



KATE
MORTON

Autorka „Zapomnianego ogrodu” i „Milczącego zamku”

DOM NAD
JEZIOREM

O książce

Rodzinna tragedia...

Czerwiec 1933 roku. Mieszkańcy posiadłości w Kornwalii zwanej Domem nad Jeziorem żyją przygotowaniami do obchodów przesilenia letniego. Wielkie przyjęcie kończy się jednak tragicznie, a zniknięcie jedenastomiesięcznego synka właścicieli nie jest jedyną stratą, jaką tej nocy ponoszą członkowie rodziny Edevane'ów.

Opuszczony dom...

Rok 2003. Sadie Sparrow, detektyw dochodzeniówki londyńskiej policji, po śledztwie, w którym nie potrafiła zachować profesjonalnego dystansu do sprawy, zostaje wysłana na przymusowy urlop. Wykorzystuje go na odwiedzin u dziadka w Kornwalii. W trakcie jednej z wędrówek po okolicy trafia na dom, który wygląda tak, jakby przed laty zatrzymał się w nim czas.

Nierozwiązana zagadka...

Tymczasem Alice Edevane, sędziwa autorka wziętych powieści detektywistycznych, wiedzie wygodne życie w swoim eleganckim londyńskim domu... Do czasu, aż Sadie Sparrow zacznie zadawać niewygodne pytania o przeszłość jej rodziny i przedzierać się przez gąszcz tajemnic, od których pisarka uciekała przez całe życie.

KATE MORTON

DOM NAD JEZIOREM

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA



Wydanie elektroniczne

Tej autorki

DOM W RIVERTON
ZAPOMNIANY OGRÓD
MILCZĄCY ZAMEK
STRAŻNIK TAJEMNIC
DOM NAD JEZIOREM

Tytuł oryginału:
THE LAKE HOUSE

Copyright © Kate Morton 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2016

Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcia na okładce: © FurmanAnna/E+/Getty Images, Freepik

ISBN 978-83-7985-331-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
Podziękowania

Dla Henry'ego, mojej najmniejszej perełki

Kornwalia, sierpień 1933

Padał rześisty deszcz i rąbek jej sukni unurzał się w błocie. Będzie musiała ją potem ukryć, nikt się nie może dowiedzieć, że wychodziła.

Księżyc skrył się za chmurami. Nie zasłużyła na ten łut szczęścia, mimo to przedzierała się przez gęsty mrok najszybciej, jak mogła. Była tu wcześniej, aby wykopać dół, lecz dopiero teraz, pod osłoną nocy, mogła dokończyć pracę. Krople deszczu usiały cętkami powierzchnię potoku z pstrągami, bębniły nieustępliwie o ziemię wokół strumienia. Coś przemknęło w gąszczu paproci, ale nawet się nie skuliła, nie zatrzymała. Biegała po tym lesie przez całe życie, znała na pamięć każdą ścieżkę.

Z początku, kiedy to się stało, zastanawiała się, czy nie wyznać prawdy, i wtedy może nawet mogła to jeszcze zrobić. Przegapiła jednak szansę i teraz już było za późno. Za dużo się wydarzyło: policja, ekipy poszukiwawcze, artykuły w gazetach z prośbami o informacje. Nikomu nie może już powiedzieć, niczego nie da się naprawić, nie wybaczyliby jej. Mogła zrobić tylko jedno – zagrzebać dowody najgłębiej, jak się da.

Dotarła do upatrzonego miejsca. Worek z pudełkiem był zaskakująco ciężki i z ulgą położyła go na ziemi. Na czworakach odsunęła gałęzie paproci, które maskowały dół. W powietrzu unosił się przenikliwy zapach rozmięklej ziemi, leśnych myszy, grzybów i próchnicy. Tata powiedział jej kiedyś, że po tych lasach chodziły całe pokolenia ludzi i większość z nich leży pogrzebana w tej ziemi. Wiedziała, że ojciec lubi tak myśleć. Znajdował pociechę w nieprzerwanym trwaniu natury, wierzył, że dla człowieka, który musi się zmagać z teraźniejszością, ciągłość przeszłości i historii ma kojącą moc. Może niekiedy rzeczywiście tak było, lecz nie tym razem. Nie w takiej sytuacji jak ta.

Wsunęła worek do otworu i przez chwilę wydawało jej się, że księżyc wyjrzał zza chmur. Łzy nabiegały jej do oczu, kiedy nagarniała z powrotem ziemię, ale je powstrzymała. Nie może sobie teraz pozwolić na słabość. Uklepała ziemię rękami, a potem wstała i z zapamiętaniem zaczęła ją ugniatać nogami, aż zabrakło jej tchu.

Sprawa zamknięta.

Przyszło jej na myśl, że zanim opuści to odosobnione miejsce, powinna coś powiedzieć, coś na temat utraconej niewinności i wyrzutów sumienia, które nie odstąpią jej do końca życia. Nie zrobiła tego jednak i zawstydziła się tej myśli.

Wracając szybko przez las, starannie ominęła z daleka chatę na łodzie i związane z nią wspomnienia. Kiedy dotarła do domu, zaczęło już świtać, a deszcz zamienił się w mżawkę. Woda jeziora chlupotała lekko o brzeg, ostatnie słowiki śpiewały pożegnalne pieśni, tu i ówdzie przechadzały się pokrzewki i cierniówki, w oddali zarżał koń. Wtedy jeszcze tego nie wiedziała, ale nigdy nie uwolni się od tych dźwięków; podążą za nią w przyszłość, będą nawiedzać jej sny i nigdy nie przestaną przypominać, co zrobiła.

Kornwalia, 23 czerwca 1933

Najpiękniejszy widok na jezioro roztaczał się z Pokoju Morwowego, ale Alice zdecydowała się na okno w łazience. Pan Llewellyn nie wrócił jeszcze znad potoku ze swoimi sztalugami, lecz wcześniej udawał się na spoczynek, wołała więc nie ryzykować spotkania. Staruszek był dość nieszkodliwy, ale ekscentryczny, i ciągle czegoś potrzebował, szczególnie ostatnimi czasy. Obawiała się, że jeśli niespodziewanie zastanie ją w swoim pokoju, mylnie to zrozumie. Zmarszczyła nos. Przepadała za nim, gdy była młodsza, on też ją uwielbiał. Teraz, kiedy miała szesnaście lat, dziwnie było myśleć o jego opowieściach, rysunkach, którymi w przeszłości się zachwycała, o niesamowitej atmosferze cudowności, jaką wokół siebie roztaczał. W każdym razie łazienka była bliżej niż Pokój Morwowy, a ponieważ za kilka minut mama się zorientuje, że w pokojach na pierwszym piętrze brakuje kwiatów, Alice nie mogła tracić czasu na wchodzenie po schodach. Podczas gdy stadko pokojówek wymachujących szmatkami do polerowania uwijało się z przejęciem po holu, wślizgnęła się przez drzwi do łazienki i podbiegła do okna.

Ale gdzie on się podział? Ścisnęło ją w żołądku, w jednej chwili podniecenie zamieniło się w rozpacz. Przyłożyła ciepłe dłonie do szyby i przeszukiwała wzrokiem krajobraz za oknem: kremowe i bladoczerwone róże, płatki błyszczące, jakby je wypolerowano, wspaniałe brzoskwinie przytulone do muru otaczającego ogród, podłużne srebrne jezioro połyskujące w porannym blasku. Cały majątek został ostatnio sprzątnięty i wypielęgnowany do stanu absolutnej perfekcji, mimo to wszędzie nadal panowała gorączkowa krzątanina.

Wynajęci muzycy ustawiali połączane krzesła na zmontowanej scenie, na podjeździe sznur samochodów dostawczych wzbijał tumany kurzu, na wpeł rozłożone markizy wydymały się na wietrze. Jedynym nieruchomym akcentem w całym tym rojnym rozgardiaszu była drobna, zgarbiona sylwetka babci deShiel, która siedziała na ozdobnej żelaznej ławce pod oknem biblioteki, pogrążona w pajęczynie własnych wspomnień, i nie zwracała najmniejszej uwagi na to, że wokół rozwieszają na drzewach kuliste szklane latarnie...

Alice wstrzymała raptownie oddech.

Jest.

Uśmiech rozlał się na jej twarzy, zanim zdążyła go powstrzymać; ogarnęła ją rozkoszna radość, kiedy go zauważyła na maleńkiej wysepce na środku jeziora, z wielką drewnianą belą kołyszącą się na ramieniu. Mimowolnie podniosła dłoń, żeby mu pomachać, lecz był to głupi impuls, zwłaszcza że nie patrzył w jej kierunku, a nawet gdyby patrzył, na pewno by nie odpowiedział. Oboje zdawali sobie sprawę, że muszą zachować większą ostrożność.

Jej dłoń trafiła na kosmyk wiecznie opadający przy uchu i zaczęła przeplatać włosy między palcami. Lubiła go potajemnie obserwować. Dawało jej to poczucie władzy, nie tak jak wtedy, gdy byli razem, kiedy przynosiła mu lemoniadę do ogrodu lub przekradała się do dalekich zakątków majątku, aby go zaskoczyć przy pracy. Gdy wypytywał o jej powieść, rodzinę, życie, a ona opowiadała mu różne historie, z których się śmiał, i musiała się bronić ze wszystkich sił, żeby nie zatracić się w tych głębokich, zielonych oczach ze złocistymi cętkami.

Patrzyła, jak się pochyła, jak przystaje, żeby poprawić sobie kłodę kołyszącą się na ramieniu, a następnie kładzie na stercie pozostałych. Był silny. To dobrze. Nie wiedziała dlaczego, ale miało to

znaczenie dla jakiegoś głęboko ukrytego, niezbadanego miejsca w jej duszy. Zarumieniła się, aż zapiekły ją policzki.

Alice Edevane nie należała do nieśmiałych dziewcząt. Znała przedtem chłopców, wprawdzie niewielu – z wyjątkiem tradycyjnego przyjęcia w noc świętojańską jej rodzice słynęli z tego, że woleli własne towarzystwo – lecz czasem udawało jej się zamienić kilka słów z okolicznymi wieśniakami lub synami dzierżawców, którzy międląc w rękach czapki, chodzili za ojcami po majątku ze spuszczoneymi oczami. Ale to... to było... po prostu coś innego, chociaż wiedziała, jak banalnie to brzmi, jakby wyjęta to z ust swojej siostry Deborah, tak się jednak składało, że była to prawda.

Nazywał się Benjamin Munro. Powtarzała bezgłośnie sylaby. Benjamin James Munro, lat dwadzieścia sześć, przyjechał z Londynu. Nie miał nikogo na utrzymaniu, ciężko pracował, nie lubił czczej gadaniny. Urodził się w Sussex, ale dorastał na Dalekim Wschodzie, gdzie jego rodzice byli archeologami. Lubił zieloną herbatę, zapach jaśminu oraz gorące dni, kiedy zbierało się na deszcz.

Oczywiście nie dowiedziała się tego wszystkiego od niego. Nie należał do mężczyzn, którzy gadają w kółko o sobie i swoich osiągnięciach, jakby dziewczyna była ładną buzią tkwiącą między zasłuchanymi uszami. Alice obserwowała i gromadziła informacje, a kiedy nadarzyła się okazja, wkradła się do magazynu, żeby sprawdzić księgę prac ogrodniczych. Lubiła bawić się w detektywa i po krótkich poszukiwaniach na odwrocie skrupulatnych notatek pana Harrisa na temat sadzonych roślin znalazła przypięte podanie o pracę Benjamina Munro. Było krótkie i zwarte, sporządzone charakterem pisma, który wzbudziłby głęboką dezaprobatę mamy. Alice przestudiowała całe, zapamiętała najważniejsze fragmenty, z miłym dreszczykiem wczuwała się w słowa przydające głębi i kolorytu wizerunkowi, który stworzyła i przechowywała niczym kwiat wsunięty między stronice książki. Tak jak ten, który od niego dostała w zeszłym miesiącu.

– Spójrz, Alice. – W jego szerokiej, silnej dłoni zielona łądyżka wydawała się taka krucha. – Pierwsza gardenia w tym roku.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie i sięgnęła do kieszeni, żeby pogłodzić skórzaną okładkę notesu. Ten nawyk, który doprowadzał mamę do szału, pozostał jej z dzieciństwa, od czasu gdy na ósme urodziny dostała swój pierwszy zeszyt. Jakże uwielbiała tę orzechowobrazową księgę! Jakże mądrze tata postąpił, kiedy ją jej ofiarował. On również prowadził dziennik – oznajmił z powagą, którą Alice doceniała i podziwiała. Pod czujnym okiem mamy otworzyła zeszyt i na stronie tytułowej w linii koloru jasnej sepii powoli napisała swoje imiona i nazwisko – Alice Cecilia Edevane. Od razu poczuła się bardziej realna, bardziej prawdziwa niż kiedykolwiek przedtem.

Mama strofowała ją za ten zwyczaj głaskania trzymanego w kieszeni notatnika, ponieważ wyglądała wtedy „jak mała szachrajka, która wiecznie coś knuje”, lecz Alice uznała, że ta charakterystyka wcale jej nie przeszkadza, a dezaprobatą mamy odnosiła odwrotny skutek. Alice i tak sięgałaby do notesu, nawet gdyby to nie wywoływało niezadowolonego grymasu na pięknej twarzy Eleanor Edevane. Był jej talizmanem, przypominał, kim jest. Był również jej najbliższym powiernikiem w sprawach Bena Munro.

Minął prawie rok od czasu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Przyjechał do Loeanneth pod koniec lata 1932 roku. Opadły już wszystkie emocje świętojańskiego przyjęcia i nie pozostało nic do roboty poza poddaniem się sennym upałom. Majątek pograżył się w niebiańskiej atmosferze gnuśnego spokoju i nawet mama w ósmym miesiącu ciąży z różowymi wypiekami na twarzy rozpinęła wyszywane perłami mankiety i zawijała rękawy do łokci.

Tego dnia Alice siedziała na huśtawce pod wierzbą i kołysała się leniwie, rozmyślając nad swoją Ważką Kwestią. Gdyby się wsłuchiwała w otaczające ją dźwięki, usłyszałaby odgłosy życia rodzinnego: mamę z panem Llewellynem śmiejącą się w oddali przy wtórze rytmicznych uderzeń wiosła; Clemmie mrużącą pod nosem i wirującą na łące z ramionami rozpostartymi niczym skrzydła; Deborah relacjonującą niani Rose najnowsze londyńskie skandale. Lecz Alice, skupiona wyłącznie na sobie, nie słyszała niczego poza łagodnym buczeniem letnich owadów.

Siedziała w tym miejscu już od godziny i nie zauważyła nawet, że jej nowe pióro wykrwawia się czarnym atramentem na białą bawełnianą sukienkę, kiedy wyłonił się z ciemnego zagajnika na zalany słońcem podjazd. Na ramieniu niósł płócienną torbę, w ręku trzymał coś, co wyglądało na płaszcz. Szedł sprężystym i tak zdecydowanym krokiem, że huśtawka Alice dostosowała się do jego rytmu. Dziewczyna oparła policzek o drapiący sznur i obserwując, jak się zbliża, próbowała przebić wzrokiem płaczące gałęzie wierzby.

Ludzie zwykle nie zjawiali się w Loeanneth niespodziewanie, głównie za sprawą kapryśnej topografii. Majątek leżał w głębokiej dolinie, otoczony lasami pełnymi gęstych zarośli kolczastego wrzośca, zupełnie jak domy w bajkach dla dzieci. (Oraz, jak się okazało, w koszmarach sennych, chociaż tego Alice jeszcze wtedy nie wiedziała). To była ich własna Słoneczna Dolina, dom od pokoleń należący do deShielów, przodków jej matki. I oto w samym środku tej ukrytej doliny zjawiał się, jak gdyby nigdy nic, ten nieznamy i popołudniowy urok przysł w jednej chwili.

Alice była z natury wyjątkowo ciekawska, co ludzie powtarzali jej przez całe życie, a ona traktowała jako komplement – zamierzała z tej cechy zrobić dobry użytek – lecz tego dnia jej zainteresowanie bardziej wynikało z nudy i braku rozrywki niż z zaciekawienia. Przez całe lato pracowała zawzięcie nad powieścią o namiętności i zbrodni, ale od trzech dni praca utknęła w martwym punkcie. Winna była temu jej heroina, Laura, która po rozdziałach poświęconych jej bogatemu życiu wewnętrznemu odmówiła nagle współpracy. Stał się oko w oko z wysokim, ciemnowłosym i oszalamiająco przystojnym dżentelmenem, lordem o fantastycznym nazwisku Hallington, ni stąd, ni zowąd utraciła cały dowcip i polot i zamieniła się w nierozgarniętą gąskę.

No cóż, pomyślała Alice, obserwując młodego mężczyznę na podjeździe, Laura będzie musiała poczekać. Na razie następczą się inne Ważkie Kwestie.

Po terenie majątku wił się, szmerząc, wąski potok, który na tym odcinku zażywał przyjemnej słonecznej kąpieli, zanim zatoczywszy się szerokim łukiem, nieuchronnie ginał z powrotem w głębi lasu. Przepływał pod kamiennym mostkiem, pozostawionym przez jakiegoś zapomnianego przodka, otwierającym drogę do Loeanneth. Nieznajomy dotarł do mostu i przystanął. Odwrócił się powoli w kierunku, z którego przyszedł, po czym spuścił wzrok na coś, co trzymał w dłoni. Karteczkę? Grę światła? Sposób, w jaki przekrzywił głowę, w jaki przyglądał się leśnej kniei, świadczył o głębokim namyśle i Alice aż zwęziły się oczy, kiedy go obserwowała. Była pisarką, rozumiała ludzi, umiała rozpoznać ich bezradność. Co wzbudziło jego niepewność i dlaczego? Znow się obrócił, podniósł dłoń do czoła i popatrzył wzdłuż podjazdu w kierunku domu stojącego pod strażą wiernych cisów. Nie poruszył się, zdawało się nawet, że nie oddycha, po czym na jej oczach położył na ziemi torbę i płaszcz, poprawił szelki aż do żabek przy spodniach i westchnął.

W tym momencie Alice doznała przebłysku niezachwianej pewności, jakie czasami jej się zdarzały. Nie była pewna, skąd się u niej bierze ta umiejętność czytania ludzkich umysłów, lecz owe chwile przenikliwego wtajemniczenia spływały na nią niespodziewanie, w pełni uformowane, i nie budziły najmniejszych wątpliwości. Po prostu niekiedy pewne rzeczy wiedziała. Tym razem to mianowicie, że przybysz nie przywykł do takich miejsc jak Loeanneth. Szedł jednak na spotkanie z przeznaczeniem i chociaż coś mu szeptało do ucha, aby zawrócić i opuścić majątek, zanim jeszcze się w nim pojawił, nie mógł odwrócić się plecami do tego, co nieuchronne. Była to upajająca perspektywa i Alice podświadomie ścisnęła mocniej sznur od huśtawki, bo myśli w jej głowie zaczęły się nagle przepychać jedna przez drugą, podczas gdy ona czekała na następny ruch nieznanego.

Zgodnie z jej przewidywaniami, mężczyzna wziął do ręki płaszcz, zarzucił torbę na ramię i ruszył dalej podjazdem w stronę ukrytego domu. W jego zachowaniu można było teraz wyczuć nową determinację i zapewne w oczach ludzi nieświadomych sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego, dla którego czekające go zadanie nie przedstawia żadnych trudności. Alice uśmiechnęła się z zadowoleniem, a wtedy uderzyła ją pewna myśl z tak oślepiającą jasnością, że omal nie spadała

z huśtawki. W tej samej chwili, kiedy zobaczyła plamę z atramentu na sukience, ujrzała rozwiązanie Wąskiej Kwestii. Przecież to takie oczywiste! Laura, która mierzyła się z przyjazdem jej własnego intrygującego nieznajomego, również obdarzona większą spostrzegawczością niż większość ludzi, z pewnością przeniknęłaby wzrokiem grę pozorów i odkryła jego przerażający sekret, jego zbrodniczą przeszłość, i wyszeptałaby w ciszy, kiedy miała go tylko dla siebie...

– Alice?

Alice podskoczyła i uderzyła policzkiem o drewnianą futrynę.

– Alice Edevane! Gdzie ty się podziewasz?

Rzuciła okiem w stronę zamkniętych drzwi łazienki. Przyjemne wspomnienia poprzedniego lata, upajającego dreszczu pierwszych miłosnych poruszeń, pierwszych spotkań z Benem, a także fascynujący i odurzający splot ich historii z jej powstającą powieścią roztrzaskały się z brzękiem na podłodze. Mosiężna klamka zadrżała lekko od tupotu energicznych kroków na korytarzu i Alice wstrzymała oddech.

Przez cały tydzień mama chodziła jak kłębek nerwów. Nie była urodzoną duszą towarzystwa, lecz przyjęcie świętojańskie stanowiło w majątku deShielów rodzinną tradycję, a Eleanor bardzo kochała swego ojca, Henriego, tak więc święto urządzano co roku, by uczcić jego pamięć. Nieodmiennie wpadała w okropny młyn, lecz tym razem było jeszcze gorzej niż zwykle.

– Wiem, że tu jesteś, Alice. Deborah widziała cię kilka minut temu.

Deborah – starsza siostra, nieosiągalny wzór i największe zagrożenie. Alice zazgrzytała zębami. Jakby nie wystarczało, że jej matką jest słynna, uwielbiana Eleanor Edevane, to jeszcze ona, Alice, musiała się urodzić po swojej starszej siostrze, która była niemal tak samo doskonała! Piękna, inteligentna, zaręczona z najlepszą partią sezonu... Dobrze chociaż, że Clementine zjawiała się po niej i była tak osobliwym patykowanym dziewczętkiem, że nawet Alice mimo woli czuła się w porównaniu z nią... normalna.

Podczas gdy mama niczym burza szalała na korytarzu, a Edwina człapała za nią jak cień, Alice uchyliła okno i wystawiła twarz na powiew ciepłego powietrza, pachnącego świeżo skoszoną trawą i morską solą. Edwina jako jedyna (może dlatego, że była golden retrieverem, a nie człowiekiem) mogła wytrzymać z mamą w tym stanie. Nawet biedny tata uciekał na poddasze, aby cieszyć się cichym towarzystwem swego wiekopomnego dzieła z historii naturalnej. Eleanor Edevane była bowiem perfekcjonistką i każdy drobiazg przyjęcia świętojańskiego musiał spełniać jej najsurowsze wymagania. Chociaż Alice ukrywała ten fakt głęboko pod powierzchnią krnąbrnej obojętności, przez długi czas zadręczała się myślą, że tak bardzo zawiodła nadzieje matki. Patrzyła z rozpaczą w lustro na swoje zbyt wysokie ciało, niesforne, mysioszare włosy i ubolewała nad własnym upodobaniem do towarzystwa wymyślonych ludzi.

Lecz to było kiedyś. Uśmiechnęła się, gdy Ben wrzucił kolejną belę na szybko rosnący stos. Może nie była tak czarująca jak Deborah i z pewnością nie zostanie uwieczniona w uwielbianej książeczce dla dzieci tak jak jej matka, ale to nie miało znaczenia. Była inna.

– Jesteś pisarką, Alice Edevane – powiedział jej Ben pewnego późnego popołudnia, kiedy rzeka mijała ich z chłodnym prądem, a gołębie powracały do gołębnika. – Nigdy wcześniej nie spotkałem osoby o tak żywej wyobraźni, tak pełnej wspaniałych pomysłów.

Mówił łagodnym głosem i patrzył na nią przenikliwie. Alice ujrzała wtedy siebie jego oczami i spodobało jej się to, co zobaczyła.

Głos mamy minął drzwi łazienki – coś jeszcze na temat kwiatów – po czym ucichł za załosem korytarza.

– Tak jest, najdroższa mamusiu – mruknęła Alice z rozkoszną protekcyjnością w głosie. – Nie ma potrzeby miotać się jak nogawki pantalonów.

Było coś fascynująco świętokradczego w przywoływaniu wizji bielizny Eleanor Edevane i Alice musiała zasłonić usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Spojrzawszy ostatni raz w stronę jeziora, wyszła z łazienki i na paluszkach pomknęła do swojego pokoju, żeby spod materaca wydobyć bezcenny notatnik. Uważając, aby w pośpiechu nie potknąć się o wytarty czerwony dywan perski, który dziadek Horace przywiózł ze swych wojaży po Bliskim Wschodzie, zbiegła na dół po dwa stopnie naraz, chwyciła kosz stojący na stole w holu i wybiegła na nowo narodzony dzień.



Pogoda była idealna. Idąc kamienną ścieżką, Alice nie mogła się powstrzymać, aby nie nucić pod nosem. Kosz był w połowie wypełniony, a nawet jeszcze nie doszła do łąki, gdzie rosły najpiękniejsze kwiaty – polne urocze niespodzianki, w przeciwieństwie do przewidywalnych i narcystycznych ogrodowych pyszałków – Alice czekała jednak na stosowną okazję. Przez cały ranek unikała mamy, czekała, aż pan Harris pójdzie na przerwę śniadaniową, aby zostać z Benem sam na sam.

Kiedy widzieli się ostatnio, powiedział, że coś dla niej ma, i Alice wybuchła śmiechem. Odpowiedział tym swoim półuśmiechem, na widok którego miękły jej kolana, i spytał:

– Co cię tak rozśmieszyło?

Wyprostowała się i oznajmiła, że zupełnie przypadkiem ona również coś dla niego ma.

Przystanąła na końcu kamiennej ścieżki pod największym cisem, przyciętym starannie na przyjęcie, tak że iglaste gałęzie tworzyły zwarty gąszcz. Wyjrzała zza gałęzi. Ben był nadal na wyspie, a pan Harris na przeciwległym końcu jeziora pomagał swojemu synowi Adamowi przygotowywać kłody do przewiezienia łodzią na drugą stronę. Biedny Adam. Alice obserwowała, jak drapie się za uchem. Pani Stevenson mówiła, że był kiedyś chlubą rodziny – postawny, silny, bystry – dopóki pod Passchendaele odłamek szrapnela nie trafił go w głowę i nie spowodował upośledzenia umysłowego.

– Wojna to straszna rzecz – powtarzała kucharka, waląc wałkiem w Bogu ducha winną bryłę ciasta.

– Weźmie ci takiego zuch-chłopaka, przeżuje jak krowa i wypluje kompletnego półgłówka.

Jedynym pocieszeniem, według pani Stevenson, był fakt, że sam Adam nie zdawał sobie z tego sprawy, wręcz wydawał się pogodniejszy niż dawniej.

– Nie zawsze tak jest – dodawała, zdradzając szkocki pesymizm drzemiący na dnie jej duszy. – Inni, jak wracają, to całkiem wydrążeni z wesołości.

To tata nalegał, żeby zatrudnić Adama w majątku.

– Ma u nas zapewnioną pracę do końca życia – usłyszała, jak mówił kiedyś do pana Harrisa głosem zduszonym od wzruszenia. – Mówiłem ci już dawno: w tym majątku zawsze znajdzie się miejsce dla młodego Adama, gdy tylko będzie go potrzebował.

Alice usłyszała koło lewego ucha cichy furkot, poczuła delikatny oddech wiatru na policzku. Spojrzała na ważkę unoszącą się w powietrzu na peryferiach jej pola widzenia – rzadki okaz szablaka żółtego. Ogarnęła ją fala dawnego podniecenia, wyobraziła sobie tatę siedzącego w gabinecie, ukrywającego się przed mamą i jej świętojańskim szaleństwem. Alice mogłaby złapać ważkę, pobiec na górę i ofiarować tacie do kolekcji, a potem pławić się w przejawach podziwu i zadowolenia i czuć się wywyższoną, tak jak w dzieciństwie, kiedy przywilej wstępu do pachnącego kurzem pokoju, pełnego ksiąg, białych rękawiczek i szklanych gablotek, wystarczał, aby zamknąć oczy na przerażające srebrne szpilki.

Lecz oczywiście nie miała teraz czasu, aby biec na górę ani nawet o tym myśleć. Zmarszczyła brwi. Czas miał fascynujący zwyczaj zmieniania kształtu, kiedy jej umysł pochłaniały jakieś sprawy. Spojrzała na zegarek. Dziesięć po dwunastej, za dwadzieścia minut główny ogrodnik pójdzie jak co dzień do swojej szopy na kanapki z serem i korniszonami, po których oddawał się studiowaniu wyników wyścigów. Pan Harris był niewolnikiem nawyków, i tym razem Alice to doceniała.

Zapominając o wążce, przeszła szybkim krokiem na drugą stronę ścieżki i po cichu zaczęła się przekradać wokół jeziora. Ominęła z daleka grupę robotników krzątających się wokół wymyślnych urządzeń do sztucznych ogni i trzymała się cienia, dopóki nie doszła do Ogrodowej Dolinki. Usiadła na rozgrzanych stopniach starej fontanny i postawiła koszyk obok siebie. To był doskonały punkt obserwacyjny – żywopłot z głogu zapewniał skuteczną osłonę, a jednocześnie przez szparki między liśćmi mogła całkiem dobrze widzieć nowe molo.

Czekając, kiedy Ben zostanie sam, przyglądała się parze gawronów kołujących się na tle morskiego błękitu nieba. Jej wzrok zatrzymał się na ścianie domu, gdzie mężczyźni na drabinach przyozdabiali ceglany mur zielonymi wieńcami, a pokojówki pracowicie zawieszały pod gzymsami delikatne papierowe lampiony. Słońce oświetliło górny rząd okien i rodzinna rezydencja, wypucowana na najwyższy połysk, błyszczała niczym stara matrona obwieszona biżuterią na swój doroczny wieczór w operze.

Wezbrała w niej fala uczuć. Od kiedy pamiętała, dom i ogrody Loeanneth żyły i oddychały dla niej w sposób, jakiego nie rozumiały jej siostry. Podczas gdy Deborah marzyła o wielkim Londynie, Alice nigdzie nie czuła się równie szczęśliwa jak tutaj, siedząc nad brzegiem potoku, machając nogami, mocząc palce w leniwym strumieniu, leżąc w łóżku przed świtem i nasłuchując odgłosów ruchliwego życia rodziny jerzyków, które uwiły sobie gniazdo nad jej oknem, włócząc się wokół jeziora z notesem niezmiennie wetkniętym pod pachę.

Miała siedem lat, kiedy zrozumiała, że pewnego dnia dorosnie, a dorośli zwykle nie mieszkają w domu rodziców. Otworzyła się przed nią otchłań egzystencjalnej grozy. Zaczęła wycinać swoje imię w każdym miejscu, jakie jej przyszło do głowy – w twardej dębowej okiennicy bawialni, w zaprawie cementowej między płytami zbrojowni, na tapecie w przedsionku – jakby w ten sposób mogła się związać z tym miejscem bardziej namacalnie i trwale. Przez całe lato nie dostawała puddingu, kiedy mama odkryła te szczególne przejawy afektu. Zniosłaby bez bólu tę karę, gdyby nie to, że oskarżenia o rozpasany wandalizm były takie niesprawiedliwe!

– Sądziłam, że akurat po tobie można się spodziewać więcej szacunku dla tego domu – syknęła mama, blednąc ze złości. – Trudno mi uwierzyć, że moje dziecko może okazywać takie lekceważenie i niedbałość, że stać je na tak okropny i bezmyślny wybryk!

Zarzuty te złamały Alice serce. Jej żarliwą potrzebę posiadania sprowadzono do zwyczajnego psikus!

Dzisiaj jednak te sprawy nie miały już znaczenia. Dziecięca fiksacja odeszła w przeszłość. Alice wyciągnęła przed sobą nogi, rozprostowała palce i westchnęła z głębokim zadowoleniem. Wszechobecne słońce połyskiwało złociście na jaskrawozielonych liściach ogrodu. Kapturka ukryta w listowiu wierzby wyśpiewywała cudne fanfary, a dwie dzikie kaczki biły się o dorodnego ślimaka. Orkiestra robiła próby i grała fragmenty muzyki tanecznej, dźwięki muskały powierzchnię jeziora. Dopisało im prawdziwe szczęście, że dzień wstał taki piękny. Po tygodniach dręczących wątpliwości, analizowania poranków, zasięgania porady Tych Którzy Powinni Wiedzieć, wzeszło słońce i wypaliło każdą ociągającą się chmurkę, dokładnie tak, jak powinno być w wigilię nocy świętojańskiej. Wieczór będzie ciepły, powieje lekki wietrzyk, przyjęcie zapowiadało się czarujące jak zawsze.

Alice doświadczyła magii świętojańskiej na długo, zanim dorosła na tyle, by brać udział w przyjęciu, w czasach gdy niania Bruen sprowadzała na dół wszystkie trzy dziewczynki, ubrane w najładniejsze sukieneczki, i ustawiała je w rzędzie do prezentacji. Przyjęcie przeżywało trudne początki, wystrojeni goście zachowywali się z posagowym dostojeństwem, czekając, aż zapadnie zmrok, lecz później, kiedy wszyscy myśleli, że Alice śpi, ona nasłuchiwała, aż oddech niani się wyrówna i nabierze sennej głębi, po czym podkradała się do okna, wdrapywała na krzesło i klękała, aby podziwiać lampiony nabrzmiałe niczym dojrzewające przez noc owoce, ryczące ognisko, które zdawało się unosić na wodzie posrebrzonej blaskiem księżycy – cały ten czarodziejski świat, gdzie ludzie i miejsca

przypominali tych, których pamiętała, lecz nie byli całkiem tacy sami.

A dzisiaj, w tę wyjątkową noc, będzie wśród nich. Przeszedł ją dreszcz radosnego oczekiwania. Spojrzała na zegarek, po czym wyjęła z koszyka teczkę i otworzyła, aby raz jeszcze spojrzeć na jej ceną zawartość. Maszynopis był jednym z dwóch egzemplarzy, które z mozolną starannością spisała na maszynie Remingtona jako zwieńczenie całorocznej pracy. W tytule wkradł się mały błąd – przez pomyłkę wcisnęła „m” zamiast „n”, lecz poza tym wszystko wyglądało bez zarzutu. Ben się nie obrazi, pierwszy powiedziałaby jej, że powinna wysłać nienaganną kopię do Victora Gollanca. Po wydaniu on dostanie drugi egzemplarz z autografem pod dedykacją.

Żegnaj, pajacyku, przeczytała półgłosem tytuł. Nadal za każdym razem, kiedy to robiła, czuła na plecach podniecający dreszcz. Była niezmiernie dumna z tej opowieści, uważała, że to najlepsza historia, jaką dotąd napisała, i miała całkiem sporą nadzieję, że uda jej się ją opublikować. Był to najprawdziwszy pod słońcem kryminał. Alice przeczytała wstęp do *Best Detective Stories*, usiadła ze swoim notatnikiem i spisała zasady wyszczególnione przez pana Ronalda Knoxa. Zrozumiała, że popełniła błąd, próbując ożenić dwa odmienne gatunki, zamordowała więc Laurę i zaczęła od początku. Wymyśliła wiejską rezydencję, detektywa oraz dom pełen podejrzanych. Zagadka była zdradliwym zadaniem, należało bowiem ukryć przed czytelnikami, kto popełnił przestępstwo. Wtedy uznała, że potrzebuje płyty rezonansowej, Watsona, by tak rzec, dla swojego Holmesa. I szczęśliwie go znalazła. A nawet dużo, dużo więcej.

Dla B.M, współnika w zbrodni, towarzysza w życiu.

Przebiegła kciukiem po dedykacji. Kiedy powieść się ukaże, wszyscy się o nich dowiedzą, lecz Alice to nie obchodziło. Nie mogła się doczekać. Tyle razy omal jej się coś nie wyrwało w rozmowie z Deborah lub nawet Clementine, tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa wypowiedziane na głos, unikała natomiast tego tematu przy mamie, która żywiła pewne podejrzenia – Alice nie miała co do tego wątpliwości. Powinni się jednak dowiedzieć, gdy przeczytają jej pierwszą opublikowaną książkę.

Żegnaj, pajacyku było owocem rozmów z Benem, bez niego nie skończyłaby tej książki. Wyłuskała z powietrza ich wspólne myśli i przeniosła je na papier, a teraz uchwyciła coś ulotnego, najbardziej niematerialną ewentualność, i uczyniła ją prawdziwą. Mimo woli czuła, że ofiarowując mu ten egzemplarz, składa przyrzeczenie, które bez słów stawało się jeszcze bardziej realnie. W rodzinie Edevane przyrzeczenia miały szczególną wagę. Dziewczęta nauczyły się tego od mamy, niczym sentencji wpojonej im, gdy tylko zaczęły mówić: nigdy nie składać obietnicy, której nie zamierza się dotrzymać.

Za głołowego żywopłotu dobiegły głosy i Alice instynktownie przycisnęła maszynopis do piersi. Nasłuchiwała czujnie, po czym podeszła do zielonego ogrodzenia i wyrzała przez romboidalną szczelinę w listowiu. Ben zniknął, a przy molo znów pojawiła się łódka, lecz Alice zauważyła, że wszyscy trzej mężczyźni stoją razem przy stercie bali. Patrzyła, jak Ben pije z menażki, obserwowała poruszające się jabłko Adama, cień zarostu na szczęce, ciemne loki sięgające kołnierzyka. Na koszuli pot zostawił wilgotną plamę i Alice poczuła ściskanie w gardle; uwielbiała jego zapach, był taki prawdziwy, przesiąknięty ziemią.

Pan Harris zebrał swoje narzędzia do torby i na odchodne wydał kilka poleceń, na które Ben pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Alice też się uśmiechnęła, wpatrując się w dołek na policzku, mocne barki, odsłonięte ramię połyskujące w palącym słońcu. Wyprostował się, jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos w oddali. Alice podążyła za jego wzrokiem, który zatrzymał się na czymś w dzikiej części ogrodu. Dopiero wtedy w płataninie pustynników i werbeny zauważyła ledwie widoczną drobnutką figurkę przedzierającą się odważnie dziarskim, kołyszącym krokiem w stronę domu. Theo. Na widok młodszego braciszka twarz Alice rozpromieniła się w uśmiechu, lecz po chwili uśmiech zgasł, bo za chłopcem podążał wielki czarny cień. Zrozumiała, dlaczego Ben marszczył brwi, miała takie samo zdanie na temat niani Bruen. Niczego w niej nie lubiła, ale w końcu nikt nie przepada za ludźmi o despotycznym charakterze. Nikt nie miał pojęcia, czemu zwolniono kochaną, śliczną nianię Rose. Rose uwielbiała Thea,

hołubiła go i ją również wszyscy lubili. Nawet tata gawędził z nią czasem w ogrodzie, kiedy Theo ganiał nad wodą kaczki. A tata znał się na ludziach.

Coś jednak bardzo zdenerwowało mamę. Dwa tygodnie temu Alice widziała, jak się sprzeczały z nianią Rose przed pokojem dziecinnym. Spór dotyczył Thea, ale rozmawiały szeptem i Alice, ku swej ogromnej irytacji, nie mogła usłyszeć, co mówiły. Zanim się ktokolwiek zorientował, niania Rose znikła, a na jej miejsce wezwano z powrotem nianię Bruen. Alice miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczą tej starej megiery z zarostem na brodzie i nieodłączną butelką oleju rycynowego. Czuła nawet odrobinę osobistej dumy, kiedy podsłuchiwała, jak babcia deShiel komentowała, że to niesforne zachowanie Alice do reszty złamało ducha starej biedaczki. A teraz Bruen wróciła, w dodatku jeszcze bardziej zrzędliva niż przedtem.

Alice cały czas rozpamiętywała stratę niani Rose, kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Usłyszała za plecami trzask pękającej gałązki, wyprostowała się szybko i odwróciła.

– Och, pan Llewellyn! – wykrzyknęła na widok zgarbionej sylwetki ze sztalugami pod pachą i dużym szkicownikiem przyciśniętym niezdarnie z drugiej strony. – Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam, moja droga Alice. Chyba sam nie zdawałem sobie sprawy, jak cicho się podkradam. Miałem nadzieję, że utniemy sobie małą pogawędkę.

– Teraz, panie Llewellyn?

Mimo całej sympatii dla staruszka Alice walczyła z falą zniecierpliwienia. Czy on nie rozumiał, że minęły bezpowrotnie czasy, kiedy siedziała obok niego i przyglądała się, jak rysuje; gdy pływali razem łódką unosząca się leniwie z prądem; polowali na wróżki, a ona zwierzała mu się ze swych dziecięcych sekretów? Nie można zaprzeczyć, że był kiedyś w jej życiu bardzo ważną osobą, najbliższym przyjacielem, zwłaszcza kiedy była mała, później zaś, kiedy stawiała pierwsze pisarskie kroki, nieocenionym mentorem. Ileż to razy biegła, żeby mu pokazać swoje dziecięce opowiadki nagryzmołone w przypływie natchnienia, a on recenzował je zawsze z wielkim przejęciem. Teraz jednak, gdy miała szesnaście lat, jej uwagę pochłaniały inne rzeczy, z których nie mogła mu się zwierzyć.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zajęta.

Jego wzrok powędrował w kierunku dziury w żywopłocie i Alice zapiekły policzki.

– Pilnuję przygotowań do przyjęcia – oznajmiła. – Mama kazała mi nazrywać kwiatów – dodała szybko, kiedy pan Llewellyn uśmiechnął się w taki sposób, jakby dokładnie wiedział, kogo obserwowała i dlaczego.

Zerknął na rzucony koszyk, na kwiaty więdące w południowym upale.

– Powinnam już wracać do pracy.

– Oczywiście – powiedział i skinął głową. – W normalnej sytuacji nie ośmieliłbym się przeszkadzać ci w wypełnianiu tak ważnych obowiązków, ale muszę z tobą porozmawiać w pewnej istotnej sprawie.

– Niestety, nie mam teraz ani jednej wolnej chwili.

Pan Llewellyn wyglądał na głęboko rozczarowanego i Alice pomyślała, że chodzi ostatnio dość markotny. Może nie całkiem osowiały, lecz roztargniony i smutny. Zauważyła krzywo zapiętą satynową kamizelę i wymiętą chustkę na szyi. Zrobiło jej się go żal i aby zatuszować swoje zachowanie, wskazała głową szkicownik.

– Jest bardzo dobry.

To była prawda. Nigdy przedtem nie widziała, żeby pan Llewellyn rysował Thea, podobieństwo aż biło w oczy – pulchne, niemowlęce policzki, pełne wargi i okrągłe, ufne oczy. Kochany pan Llewellyn zawsze umiał dostrzec w innych to, co najlepsze.

– Może spotkamy się po podwieczorku? – zaproponowała, uśmiechając się zachęcająco. – Zanim rozpocznie się przyjęcie?

Staruszek przycisnął szkicownik do piersi, rozważając jej propozycję, po czym lekko zmarszczył czoło.

– A może wieczorem przy ognisku?

– Przyjdzie pan?

To była niespodzianka. Pan Llewellyn nie należał do osób towarzyskich i zwykle za wszelką cenę unikał tłumów, zwłaszcza ludzi, którzy koniecznie chcieli go poznać. Bardzo lubił mamę, lecz nawet jej nigdy dotąd nie udało się go zwabić na przyjęcie świętojańskie. Jak zawsze na honorowym miejscu zostanie wyeksponowane pierwsze wydanie *Magicznych drzwi Eleanor* i ludzie będą się prześcigać, by poznać autora. Nic ich nie mogło powstrzymać przed klękaniem przy żywopłocie i wypatrywaniem ukrytego kapitelu kamiennej kolumny.

– Popatrz, Simeonie, widzę go. Mosiężny pierścień, dokładnie taki jak w książce!

Nie wiedzieli, że wejście do tunelu zostało zamknięte wiele lat temu przed takimi właśnie ciekawskimi badaczami.

W innych okolicznościach Alice postanowiłaby zbadać tę sprawę dokładniej, lecz po drugiej stronie żywopłotu rozległ się męski śmiech, a po nim wesołe wołanie:

– Ja będę dalej nosił, Adamie, idź z tatą na śniadanie, nie ma potrzeby dźwigać ich wszystkich naraz!

I Alice przypomniała sobie, po co tu przyszła.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie wieczorem na przyjęciu.

– Powiedzmy o wpół do dwunastej w altance?

– Tak, tak.

– To bardzo ważne, Alice.

– O wpół do dwunastej – powtórzyła trochę zniecierpliwiona. – Przyjdę.

Mimo to pan Llewellyn nadal nie odchodził, jakby z tym poważnym, melancholijnym wyrazem twarzy przyrósł do miejsca, i patrzył na nią, jakby się chciał nauczyć jej rysów na pamięć.

– Panie Llewellyn?

– Pamiętasz, jak popłynęliśmy łódką w urodziny Clemmie?

– Tak, pamiętam – odparła. – To był piękny dzień. Wspaniała wyprawa.

Alice wymownym gestem schyliła się po koszyk stojący na stopniach fontanny i pan Llewellyn musiał zrozumieć aluzję, ponieważ kiedy się wyprostowała, już go nie było.

Poczuła ukłucie nieokreślonego żalu i westchnęła głośno. To pewnie dlatego, że jest zakochana, robiło jej się żal wszystkich ludzi, którzy nie czuli tego co ona. Biedny stary pan Llewellyn. Kiedyś widziała w nim prawdziwego czarodzieja, teraz tylko zgarbionego, smutnego człowieka, przedwcześnie postarzałego, tkwiącego w niewoli wiktoriańskich obyczajów, z którymi nie chciał się rozstać. W młodości przeżył silne załamanie nerwowe, co miało pozostać tajemnicą, lecz Alice wiedziała wiele rzeczy, których nie powinna wiedzieć. To się wydarzyło, kiedy mama była małą dziewczynką, a pan Llewellyn przyjacielem jej ojca, Henriego deShiela. Porzucił życie zawodowe w Londynie i wtedy właśnie napisał *Magiczne drzwi Eleanor*.

Alice nie wiedziała, co wywołało jego załamanie. Na wpół świadomie doszła teraz do wniosku, że powinna to bliżej zbadać. Ale nie dzisiaj, dzisiaj nie ma czasu na przeszłość, skoro po drugiej stronie żywopłotu czeka na nią przyszłość. Kolejny rzut oka potwierdził, że Ben jest sam i zbiera swoje rzeczy, żeby wrócić przez ogród na drugie śniadanie. Pan Llewellyn błyskawicznie wywietrzył jej z pamięci. Podniosła głowę i napawała się blaskiem słońca, które pieściło jej twarz. Jakaż to radość być sobą, tu i teraz. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się czuć szczęśliwszy. W końcu po chwili wsunęła manuskrypt pod pachę i ruszyła w kierunku molo, odurzona ponętym uczuciem, że jest młodą dziewczyną stojącą u progu roziskrzonych przyszłości.

Kornwalia, 2003

Słońce przedzierało się przez liście i Sadie pędziła, aż jej płuca zaczęły błagać, żeby się zatrzymała. Ale nawet nie zwolniła, biegła coraz szybciej, wsłuchując się w uspokajający rytm własnych kroków, miarowe dudnienie, cichy pogłos wilgotnego mchu i gęstego zdeptanego poszycia.

Psy jakiś czas temu znikły na wąskiej ścieżce, z nosami przy ziemi, prześlizgując się jak strumienie melasy między połyskującymi pędami jeżyn. Może jeszcze bardziej niż ona ucieszyły się, że deszcz przestał w końcu padać i mogą się wyrwać na wolność. Zdziwiła się, jaką przyjemność sprawiło jej ich towarzystwo. Z początku zaprotestowała, kiedy dziadek zaproponował, żeby je ze sobą wzięła, lecz nabrał już podejrzliwości, gdy nagle zjawiała się na jego progu („Od kiedy jeździsz na urlop?”) i wykazał typowy dla siebie upór.

– Nie znasz tych lasów. Można się w nich zapuścić bardzo głęboko i niewiele trzeba, żeby w nich zabłądzić.

Kiedy zaczął się z nią prawie sprzeczać i zasugerował nawet, że któryś z miejscowych chłopaków mógłby się z nią wybrać „dla towarzystwa” (patrzył na nią przy tym takim wzrokiem, jakby zamierzał zadać pytania, na które nie miała ochoty odpowiadać), szybko się zgodziła, że psom dobrze zrobi, jak się przebiegną.

Sadie zawsze biegła sama, jeszcze zanim wyszła sprawa Baileyów i jej życie w Londynie nagle stanęło na głowie. Niektórzy biegają dla sportu, inni dla przyjemności, a Sadie biegła, jakby próbowała uciec przed własną śmiercią. Tak jej powiedział były chłopak. Rzucił to oskarżycielsko, zgięty wpół, próbując złapać oddech w środku Hampstead Heath. Wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc, co można widzieć w tym złego, i właśnie wtedy pojęła, czując przy tym zaskakująco mało żalu, że z ich związku nic nie wyjdzie.

Podmuch wiatru prześlizgnął się przez gałęzie i rozprysnął na jej twarzy ostatnie nocne krople deszczu. Potrząsnęła głową, lecz nie zwolniła. Po obu stronach ścieżki coraz gęściej rosły dzikie róże – niewolnicy przyzwyczajeni, powracający co roku w te same miejsca między liśćmi paproci i próchniejącymi konarami. To dobrze, że takie rzeczy są na świecie, to dowód, że naprawdę istnieje piękno i dobro, jak mówi się w wierszach i wyświechtanych frazesach. W jej pracy łatwo było stracić ten fakt z oczu.

W czasie weekendu w londyńskich gazetach pojawiło się więcej informacji. Sadie zauważyła to przelotnie przez ramię jakiegoś mężczyzny w barze Na Przystani, kiedy jedli z Bertiem śniadanie. Ściślej mówiąc, kiedy ona jadła śniadanie, on zaś pił jakąś zieloną maź, która pachniała trawą. To był tylko niewielki artykułek, jedna kolumna na piątej stronie, lecz imię i nazwisko Maggie Bailey działało na Sadie jak magnes, tak że urwała w pół zdania i zaczęła zachłannie przebiegać wzrokiem drobny druk. Nie dowiedziała się z artykułu niczego nowego, co oznaczało, że nic się nie zmieniło. Bo dlaczego miało się zmienić? Sprawa została zamknięta. Pod artykułem podpisał się Derek Maitland. Nic dziwnego, że uczeplił się tej historii jak rzep psiego ogona, taki już był. Pewnie dlatego go wybrała.

Drgnęła przestraszona, kiedy Ash wyskoczył spomiędzy drzew i przeciął jej drogę z kłapiącymi uszami i pyskiem otwartym w szerokim, mokrym uśmiechu. Zebrała siły, żeby nie zostać zanadto w tyle, zacisnęła pięści, aż zbieleły jej palce, i przyspieszyła. Nie powinna czytać gazet, miała „zrobić sobie przerwę od tego wszystkiego”, wziąć się w garść i odczekać, aż sprawy w Londynie przyschną. Tak

radził Donald. Wiedziała, że próbuje ją chronić, żeby nie utarło jej nosa, robił to z życzliwości, ale tak naprawdę za późno.

Swego czasu było o tym głośno we wszystkich gazetach, w wiadomościach telewizyjnych; sprawa nie cichła przez kilka tygodni, zataczała nawet coraz większe kręgi, począwszy od artykułów relacjonujących konkretne komentarze Sadie, przez pochopne oskarżenia o rozłam w Scotland Yardzie i sugestie o próbach uciszenia sprawy. Nic dziwnego, że Ashford był zły. Nigdy nie przegapił żadnej okazji do wygłoszenia pogadanki na temat lojalności.

– Nie ma nic gorszego niż wtyka w wydziale, słyszycie? – mówił, podciągając spodnie poplamione lunchem i rozpryskując strumienie śliny na zebranych detektywów. – Jak macie kolec w dupie, to wyciągajcie go na własnym podwórku. Nic bardziej nie szkodzi wydziałowi niż gliniarz puszczający oko do pismaków.

Szczególną wzmiankę poświęcał wtedy najbardziej odrażającym z obcych, czyli dziennikarzom. Aż mu się broda trzęsła.

– Przekłete pijawki, wszyscy co do jednego.

Dzięki Bogu nie wiedział, że w tym szczególnym wypadku oko puściła Sadie. Donald ją krył, tak samo jak za każdym razem, od kiedy zaczęła popełniać błędy.

– Od tego są partnerzy – powiedział, zbywając szorstko jej nieporadne wyrazy wdzięczności.

Weszło to nawet w ich codzienne stosunki jako żart na temat jej drobnych potknięć w pedantycznym skądinąd trybie życia, lecz tym ostatnim wybrykiem przekroczyła wszelkie granice. Jako starszy oficer dochodzeniowy Donald był odpowiedzialny za działania całego zespołu; jeśli ktoś zapomniał notesu na przesłuchanie, mógł liczyć tylko na dobroduszne przycinki, lecz jeśli komuś wymykały się oskarżenia, że policja schrzaniła śledztwo, to sprawa wyglądała całkiem inaczej.

Donald domyślił się, że przeciek wyszedł od niej, gdy tylko historia ujrzała światło dzienne. Zabrał ją na piwo do pubu Fox and Hounds i w sposób niepozostawiający miejsca na sprzeciw oznajmił, że musi wyjechać z Londynu. Wziąć zaległy urlop i trzymać się z dala, dopóki nie pozbędzie się tego, co ją męczy.

– Ja nie żartuję, Sparrow – powiedział, ocierając pianę z wąsów twardych jak szczotka ryżowa. – Nie wiem, co w ciebie ostatnio wstąpiło, ale Ashford nie jest głupi, będzie obserwował jak jastrząb. Twój dziadek mieszka w Kornawalii, prawda? Dla własnego dobra... dla dobra nas obojga, wyjedź i nie wracaj, dopóki nie zrobisz ze sobą porządku.

Nagle nie wiadomo skąd pod jej nogami wyrósł konar, przeskoczyła, zawadzając o niego czubkiem buta. Poczowała przypływ adrenaliny i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. *Nie wracaj, dopóki nie zrobisz ze sobą porządku.* Łatwo powiedzieć! Donald nie znał powodu jej roztargnienia i pomyłek, lecz Sadie wiedziała doskonale, skąd się brały. Przed oczami stanęła jej koperta wsunięta do szafki nocnej w gościnnej sypialni Bertiego: ozdobny papier listowy, staranny charakter pisma i lodowaty szok na widok wiadomości zawartej w środku. Dokładnie od tego wieczoru zaczęły się jej kłopoty – kiedy nadepnęła na ten przekłety list na wycieracze. Zaczęło się od sporadycznych kłopotów z koncentracją, drobnych błędów, które łatwo było zatuszować, lecz potem wybuchła sprawa Baileyów, małej dziewczynki zostawionej przez matkę, i rozpętała się burza.

Ostatnim wysiłkiem woli zmusiła się do sprintu do czarnego pniaka, przy którym zwykle zawracała. Nie zwolniła, dopóki do niego nie dobiegła, wyciągając rękę, by dotknąć wilgotnego, poszarpanego wierzchołka, po czym zgięła się wpół i oparła dłońmi o kolana, żeby złapać oddech. Przepona pracowała jej ciężko, przed oczami migotały gwiazdki. Bolał ją każdy mięsień, lecz było to przyjemne uczucie. Ash węszył w pobliżu, obwąchiwał omszały konar sterczący ze stromeego błotnistego stoku. Łapczywie napiła się wody z butelki, po czym wycisnęła trochę płynu prosto w spragniony psi pysk. Pogłaskała gładką, błyszczącą ciemność między uszami.

– A gdzie twój braciszek? – spytała, na co Ash przekrzywił łeb i patrzył na nią mądrymi ślepiami. –

Gdzie Ramsay?

Rozglądała się po otaczającym ich dzikim gąszczu zieleni. Paprocie wyciągały do światła spiralne łodyżki, które rozwijały się w liście. Słodki aromat wiciokrzewu mieszał się z zapachem mokrej ziemi i letniego deszczu. Uwielbiała ten zapach, a jeszcze bardziej od czasu, kiedy Bertie powiedział jej, że powoduje go pewien rodzaj bakterii. Dowodził w ten sposób, że w ostatecznym rozrachunku nawet złe rzeczy mogą rodzić dobre owoce. Sadie miała wiele powodów, aby wierzyć i mieć nadzieję, że to prawda.

Las był rzeczywiście głęboki i szukając Ramsaya, doszła do wniosku, że Bertie miał rację. W takim miejscu można się zgubić na dobre. Może nie ona, nie z psami, które miały doskonały węch i znały drogę do domu, lecz ktoś inny, niewinny, jakaś dziewczynka z bajki. Taka dziewczynka z głową wypełnioną romansami mogła łatwo zapuścić się zbyt głęboko w te lasy i zabłądzić.

Sadie nie знаła zbyt wielu bajek, poza kilkoma najbardziej znanymi. Była to jedna z ogromnych luk, jakie odkryła w swoim życiu, kiedy porównywała się z rówieśnikami (bajki, matura na piątkę, ciepło rodzicielskie). Nawet w pokoiku tej dziewczynki, małej Bailey, choć skromnie urządzone, zauważyła półkę z książkami oraz sfatygowany tom z bajkami braci Grimm. W dzieciństwie Sadie nie było opowiadanych półgłosem historii w rodzaju „Za siedmioma górami, za siedmioma lasami”. Jej mama nie należała do takich matek, tata tym bardziej, oboje chowali stanowczą odrazę do wszystkiego, co fantastyczne, dziwaczne i niezwykle.

Mimo to jako obywatelka świata widziała i słyszała wystarczająco dużo, by wiedzieć, że w bajkach giną ludzie i że zwykle dzieje się to w gęstych, ciemnych lasach. Ludzie giną dość często również w prawdziwym świecie. Sadie wiedziała o tym najlepiej. Niektórzy giną w wypadkach, inni znikają z wyboru: ginący w przeciwieństwie do znikających. Takich jak Maggie Bailey.

– Uciekła – stwierdził Donald niemal od razu, tego samego dnia, gdy znaleźli małą Caitlyn samą w pustym mieszkaniu, kilka tygodni przed odkryciem listu, który dowodził, że miał rację. – Przerosła ją odpowiedzialność. Dzieci, utrzymanie, wiązanie końca z końcem. Ech, gdybym mógł dostać funta za każdym razem, kiedy to widziałem.

Sadie nie chciała jednak uwierzyć w tę teorię. Zaczęła snuć własne fantastyczne hipotezy rodem z powieści kryminalnych. Upierała się, że matka nie zostawiłaby swojego dziecka, i nie przestawała się dopominać o ciągnące się w nieskończoność przeglądanie materiału dowodowego, szukanie nowych tropów i poszlak, które mogli przeoczyć.

– Szukasz czegoś, czego nigdy nie znajdziesz, Sparrow – powiedział Donald. – Czasami, niezbyt często, ale czasami, sprawy są naprawdę tak cholernie proste, jak się wydaje.

– Tak jak ty?

Roześmiał się.

– Pyskaty babsztyl. – Potem jednak głos mu złagodniał, nabrał prawie ojcowskiego ciepła, chociaż Sadie wolałaby chyba, żeby zaczął wrzeszczeć. – Zdarza się najlepszym. Jak popracujesz w tym zawodzie wystarczająco długo, to w końcu jakaś sprawa zalezie ci za skórę. Co znaczy tylko tyle, że jesteś człowiekiem, ale nie, że masz rację.

Oddech Sadie się uspokajał, lecz nadal nigdzie nie widziała Ramsaya. Zawołała go i jej głos odbił się echem w ciemnych, wilgotnych miejscach. *Ramsay... Ramsay... Ram...* ostatnie, urwane powtórzenie rozmyło się w ciszy. Był bardziej zdystansowany od Asha i trzeba było więcej wysiłku i czasu, aby pozyskać jego zaufanie. Może to niesprawiedliwe, lecz właśnie dlatego był jej ulubieńcem. Sadie zawsze była ostrożna wobec łatwych emocji. Zauważyła to również u matki Maggie Bailey, Nancy, podejrzewała nawet, że to ta cecha je do siebie zbliżyła. Nazywano to *folie à deux*, paranoją indukowaną. Dwoje skądinąd normalnych ludzi podsyca u siebie to samo złudzenie. Sadie zrozumiała, że obie z Nancy Bailey karmiły się nawzajem fantazjami, przekonując się, że za zniknięciem Maggie kryło się coś więcej.

I to był rzeczywiście obłąd. Pracowała w policji dziesięć lat, w tym pięć jako detektyw

dochodzeniówki, i wszystko, czego się nauczyła, poszło z dymem w chwili, gdy zobaczyła tę śliczną małą dziewczynkę zamkniętą w dusznym, zatęchłym mieszkaniu. Z okna za jej plecami światło opromieniało jej rozczochrane jasne włoski i tworzyło wokół głowy aureolę. Patrzyła wielkimi, okrągłymi oczami na dwie nieznanne osoby, które wpadły zniemacka przez drzwi. Sadie podeszła do niej, wzięła ją za rączki i powiedziała czystym, pogodnym głosem, którego sama nie poznawała:

– Cześć, ślicznotko. Co takiego masz na koszulce? Jak się nazywa ta dziewczynka?

Była taka krucha i zalękniona. W jednej chwili trafiła w jej duszy prosto w miejsce, które Sadie od dawna chroniła przed emocjami. Przez wiele dni potem czuła na dłoniach na wpół materialny dotyk dzieciennych rączek, a w nocy, kiedy próbowała zasnąć, słyszała cichutki, płaczliwy głosik: *Mamusia? Gdzie mamusia?* Zzerała ją gorączkowa potrzeba, żeby wszystko naprawić, żeby zwrócić dziecku matkę, a Nancy Bailey okazała się w tym idealną partnerką. Nancy można było jednak wybaczyć, że chwyciła się każdej nadziei, by usprawiedliwić bezduszne postępowanie córki, złagodzić szok spowodowany faktem, że jej wnuczka została sama, a zarazem uśmierzyć własne wyrzuty sumienia („Gdybym nie wyjechała wtedy na tydzień z koleżankami, sama bym ją znalazła”). Lecz Sadie powinna była wykazać więcej rozsądku. Jej praca, jej całe życie zbudowane były na zdrowym rozsądku.

– Ramsay! – zawołała znowu.

I znów odpowiedziała jej tylko cisza wypełniona szelestem liści i dalekim szumem wody płynącej rowem. Odgłosy natury, które miały to do siebie, że pogłębiały uczucie samotności. Wyciągnęła ramiona nad głowę. Pokusa, by skontaktować się z Nancy, była prawie namacalna, niczym wielki ciężar w piersi, dwie spocone pięści zaciskające się na płucach. Mogła się pogodzić z własnym upokorzeniem, lecz wstyd, jaki ją ogarniał na myśl o Nancy, był przytłaczający. Nadal czuła palącą potrzebę przeproszenia, wyjaśniania, że popełniła błąd, że nie miała zamiaru podsycać fałszywych nadziei. Donald znał ją na wylot.

„Aha, i... Sparrow, nawet nie myśl o tym, żeby się kontaktować z babcią”, powiedział na pożegnanie.

– Ramsay! – krzyknęła jeszcze głośniejsze. – Gdzieś ty się podział?

Nasłuchiwała uważnie. Przestraszony ptak, trzepot ciężkich skrzydeł w koronach drzew. Jej wzrok przebił się przez azurowy gąszcz gałęzi w kierunku białej plamki samolotu, orzącego za sobą niebo. Samolot leciał na wschód, w kierunku Londynu, i Sadie obserwowała go z dziwnym poczuciem wyobcowania. Wydawało się nie do pomyślenia, że wir jej własnego życia kręci się tam bez niej.

Od wyjazdu nie dostała ani jednej wiadomości od Donalda. Właściwie ich nie oczekiwała. Minął dopiero tydzień, a on nalegał, żeby wzięła cały miesiąc urlopu.

– Mogę wrócić wcześniej, jeśli będę chciała, prawda? – spytała młodego pracownika w kadrach.

Z jego zdezorientowanej miny wywnioskowała, że nikt do tej pory nie zadał mu takiego pytania.

– Lepiej nie – warknął potem Donald. – Jeśli cię tu zobaczę, zanim dojdiesz do siebie, to skończą się żarty, Sparrow, pójdę prosto do Ashforda.

Wiedziała, że to nie były czcze pogrożki. Myślał już o emeryturze i nie zamierzał pozwolić, żeby nieźrównoważona partnerka pokrzyżowała mu plany. Sadie nie miała innego wyjścia, spakowała walizkę, podwinęła ogon pod siebie i pojechała do Kornwalii. Zostawiła Donaldowi numer do Bertiego, uprzedziła, że czasem niełatwo tam złapać zasięg, i nie traciła nadziei, że niebawem wezwie ją z powrotem.

Usłyszała głuchy warkot i zerknęła w dół. Ash zeszywniał i nieruchomo niczym posąg wpatrywał się w las.

– O co chodzi, piesku? Nie podoba ci się zapach uzalania się nad sobą?

Sierść zjeżyła się psu na karku, zastrzygł uszami i patrzył z uwagą w ten sam punkt. Wtedy i ona to usłyszała: szczekanie Ramsaya. Odgłos dochodził z oddali, raczej nie przypominał zajadłego ujadania, mimo to brzmiał dziwnie. Ash znowu zawarczał i Sadie zakręciła butelkę. Od kiedy psy ją zaadoptowały,

obudził się w niej osobliwy instynkt macierzyński.

– Chodźmy – rzuciła, klepiąc się po udzie. – Poszukajmy twojego brata.

Jej dziadkowie nie trzymali psów, kiedy mieszkali w Londynie, ponieważ babcia miała uczulenie. Lecz kiedy zmarła, a Bertie przeniósł się na emeryturę do Kornwalii, kiepsko się trzymał.

„Radzę sobie – mówił, przekrzykując świsty na linii. – Podoba mi się tu. W dzień zawsze sobie znajduję coś do roboty. Tylko noce są ciche; zaczynam się kłócić z telewizorem. Gorzej, mam podejrzenia, że przegrywam”.

Mówił to, żeby zbagatelizować powagę sytuacji, lecz Sadie słyszała, jak głos mu się łamie. Dziadkowie kochali się od wczesnej młodości. Ojciec babci był dostawcą w sklepie rodziców dziadka w Hackney i od tamtej pory Ruth i Bertie nigdy się nie rozstawali. Rozpacz dziadka była wręcz namacalna i Sadie z całego serca pragnęła powiedzieć coś, czym mogłaby mu ulżyć. Niestety, słowa nigdy nie były jej mocną stroną, zasugerowała więc, że może miałby większe szanse w kłótni z labradorem. Roześmiał się i powiedział, że o tym pomyśli, a nazajutrz pojechał do schroniska. Jak to zwykle z nim bywało, przyjechał nie z jednym, lecz z dwoma psami i zbzikowanym kotem. Po tygodniu od swego przyjazdu Sadie doszła do wniosku, że cała czwórka tworzy całkiem zadowoloną rodzinę, chociaż kot spędza większość czasu, chowając się za kanapą. Nie widziała dziadka tak wesołego od momentu, gdy zachorowała Ruth. Tym bardziej nie mogła się pokazać w domu bez psów.

Ash wysforował się do przodu i Sadie musiała przyspieszyć, żeby nie stracić go z oczu. Zauważyła, że w tym rejonie lasu roślinność nieco się zmieniła. Powietrze również stało się lżejsze. Między rzędnącymi drzewami jeżyny skwapliwie korzystały z większej ilości światła i rozrastały się coraz gęściej. Gałęzie zaczepiały ją za spodenki, kiedy między nimi przemykała. Gdyby miała skłonności do fantazjowania, mogłaby pomyśleć, że próbują ją zatrzymać.

Wdrapywała się po stromym gruncie, omijając wielkie porozrzucane głazy, póki nie dotarła na szczyt wzgórza i nie znalazła się na skraju lasu. Przystanęła i zaczęła się rozglądać. Nie zapuszczała się dotąd tak daleko. Przed nią rozpościerała się łąka, zarośnięta dziko wysoką trawą, w oddali wznosił się płot i coś, co wyglądało na koślawą bramę. Za nią ciągnęła się taka sama wielka zielona przestrzeń, usiana z rzadka wielkimi drzewami o rozłożystych, gęstych koronach. Sadie wstrzymała oddech. Na środku wielkiej łąki stało dziecko; samotna sylwetka dziewczynki rysowała się na tle światła padającego z tyłu, więc Sadie nie mogła rozpoznać twarzy. Otworzyła usta, żeby zawołać, lecz kiedy to zrobiła, dziecko znikło i zamieniło w skrawek jaskrawożółtego blasku.

Potrząsnęła głową. To przez zmęczenie, powinna przetrzeć oczy, pewnie widziała tylko plamki przed oczami.

Ash, który pogalopował do przodu, obejrzał się, żeby sprawdzić, jak daleko została w tyle, i szczeknął niecierpliwie, stwierdziwszy, że się ociąga. Ruszyła w jego kierunku, odsuwając od siebie niemłą, mglistą myśl, że robi coś, czego nie powinna. To było dla niej całkiem nowe uczucie; zwykle nie zwracała uwagi na takie rzeczy, lecz ostatnie kłopoty w pracy pozostawiły po sobie ślady. Nie lubiła się bać. Strach prowadzi do słabości, a ona wiele lat temu postanowiła, że lepiej wejść prosto w paszczę lwa, niż pozwolić, żeby lęki skradały się za plecami.

Brama była drewniana, wyblakła i popękana, wisiała na zawiasach znudzona, jakby ostentacyjnie dawała do zrozumienia, że robi to od bardzo długiego czasu. Gęste liściaste pnącze z fioletowymi dzwoneczkami oplotło się szczelnie wokół słupków i Sadie musiała się precyzyjnie przemieszczać między wygiętymi palikami. Ash, zachęcony tym znakiem, że jego pani nadal za nim podąża, szczeknął energicznie i przyspieszył kroku, a po chwili zniknął w oddali.

Trawa muskała gołe kolana Sadie; spocona skóra swędziała po lekkich smagnięciach. Coś w tym miejscu nie dawało jej spokoju. Od chwili gdy przeszła przez bramę, nie odstępowało jej dziwne wrażenie, że coś jest nie w porządku. Sadie nigdy nie słuchała przeczuć, nie było potrzeby zatrudniać szóstego zmysłu, skoro pozostałych pięć pracowało wystarczająco skutecznie, i z całą pewnością to

dziwactwo również miało swoje racjonalne wyjaśnienie. Minęło około dziesięciu minut, zanim sobie uprzytomniła, o co chodzi. Łąka była pusta. Nie chodziło o drzewa, trawę czy ptaki, tych nie brakowało, lecz o wszystko inne – nigdzie nie warczały traktory, nie widać było ludzi pracujących w polu lub naprawiających płoty, zwierząt pasących się na trawie. W tych okolicach było to niezwykle zjawisko.

Rozejrzała się, szukając czegoś, co by świadczyło, że nie ma racji. Słyszała w pobliżu szum płynącej wody, a z gałęzi pobliskiej wierzby obserwował ją ptak przypominający kruka. Widziała rozległą połąć wysokiej, szumiącej trawy i pojedyncze rosochate drzewa, lecz jak okiem sięgnąć nigdzie żywej duszy.

Gdy kątem oka zauważyła, że coś czarnego mignęło na drzewie, aż drgnęła niemile zaskoczona. To ptak poderwał się z gałęzi i leciał prosto na nią. Uchyliła się, żeby uniknąć uderzenia, potknęła się o coś i upadła na kolana w miękką, błotnistą ziemię przy grubej wierzbie. Obejrzała się, piorunując zdradliwe miejsce oskarżycielskim spojrzeniem, i zobaczyła sznur pokryty rosą, zaplątany o jej lewą stopę.

Sznur.

Intuicja, a może doświadczenie – ponure wspomnienia niezliczonych miejsc zbrodni oglądanych w czasie śledztw – kazały jej podnieść wzrok. Z drzewa zwisał postrzępiony koniec liny, a obok drugi taki sam z przyczepionym na końcu kawałkiem spróchniałej deski. A więc nie szubienica, tylko huśtawka.

Wstała, otrzepała ubłocone kolana i powoli obesza kołyszający się sznur. Było coś dziwnie niepokojącego w postrzępionym wspomnieniu dziecięcej zabawy w tym odludnym miejscu, lecz zanim zdążyła się zastanowić, Ash pognał dalej; jego krótkotrwała troska o Sadie ustąpiła miejsca palącej chęci, by odnaleźć brata.

Ostatni raz obrzuciła spojrzeniem linę i pobiegła za psem. Tym razem jednak zaczęła zwracać uwagę na rzeczy, które przedtem przegapiła. Rząd niesfornych cisów okazał się starym, zdziczałym żywopłotem; na tle północnego horyzontu między dwoma gęstymi kępami polnych kwiatów zauważyła coś, co wyglądało na most. Zatem roztrzaskana brama, przez którą się przecisnęła, nie była szczątkiem ogrodzenia między dwoma naturalnymi terenami, lecz zaniedbaną granicą między cywilizacją i głuszą. Co oznaczało, że ten skrawek ziemi, po którym szła, nie był ugorem, ale ogrodem. W każdym razie był nim kiedyś.

Za cisowego żywopłotu znów doszło ciche ujadanie i Ash odpowiedział głośnym szczeknięciem, po czym zniknął w szczelinie między gąszczem zieleni. Sadie zrobiła to samo, a kiedy przeszła na drugą stronę, stanęła jak wryta. Przed nią rozciągała się czarna jak atrament tafla wody, niczym szkliste lustro na nieruchomej polanie. Dookoła wierzby układały się w pierścień, a na środku jeziora wystający nad wodą wielki błotnisty pagórek tworzył coś w rodzaju wysepki. Oblegały go kaczki, łyski i wodniki, a wokół unosił się intensywny, lekko zgniły zapach żywej ziemi. Miejsce to wywoływało w Sadie przedziwne uczucie, jakby obserwowały ją ciemne, błyszczące ptasie oczy.

Znowu zaszczekał Ramsay i Sadie ruszyła wilgotnym, mulistym brzegiem jeziora, śliskim od kaczyczych odchodów. Szła ostrożnie między drzewami w kierunku drewnianego pomostu po drugiej stronie jeziora, gdzie stał teraz Ash i z uniesionym ogonem szczekał na alarm.

Odsunęła sprzed twarzy gałęzie wierzby płaczącej i schyliła się pod dziwną szklaną kulą zwisającą na zardzewiałym łańcuchu. Po drodze minęła jeszcze cztery takie same kuliste przedmioty, wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu i zaklejone w środku pokoleniami pajęczyn. Dotknęła lekko spodu, podziwiając osobliwy urok, zastanawiając się nad przeznaczeniem tych fantastycznych owoców zwisających między liśćmi.

Kiedy dotarła na pomost, zobaczyła, że tylna łapa Ramsaya zaklinowała się w dziurze między gnijącymi deskami. Pies zaczynał panikować, więc Sadie ostrożnie przyspieszyła kroku na drewnianym moło. Uklękła, pogłaskała psa po uszach, żeby go uspokoić, a kiedy stwierdziła, że nic poważnego mu się nie stało, zaczęła się zastanawiać, jak go uwolnić. W końcu nie wymyśliła nic lepszego, niż przytrzymać mocno łapę i szarpnąć za deski. Ramsay nie okazywał za grosz wdzięczności – drapał pazurami

i szczełwał oburzony na tę niezasłużoną krzywde.

– Wiem, wiem – mruknęła. – Niektórzy nie potrafią przyjmować pomocy.

W końcu udało jej się go uwolnić. Położyła się na plecach, żeby złapać oddech, a tymczasem pies, nastroszony, lecz cały i zdrowy, czym prędzej uciekł z pomostu. Sadie zamknęła oczy i roześmiała się, bo Ash zaczął ją lizać z uznaniem po szyi. Cichy głosik ostrzegał ją, że deski mogą w każdej chwili pęknąć, lecz była zbyt zmęczona, żeby zwracać na to uwagę.

Słońce wzeszło i wspięło się już po niebie całkiem wysoko, dotyk ciepłych promieni na twarzy wydawał się prawdziwym błogosławieństwem. Sadie nigdy nie należała do ludzi o skłonnościach do kontemplacji, lecz w tym momencie ich zrozumiała. Z ust wyrwało jej się zadowolone westchnienie, mimo że od długiego czasu słowo „zadowolony” było ostatnim określeniem, jakie by wybrała na opisanie swojego samopoczucia. Słyszała własny oddech, krew tętniącą w skroniach tak głośno, jakby trzymała przy uchu muszlę i podsłuchiwała szum oceanu.

Kiedy zamknęła oczy, eliminując wiecznie ingerujący w naturę rzeczy wzrok, cały świat wypełnił się nagle dźwiękami: chlupotem wody obmywającej słupki, pluskiem kaczek muskających powierzchnię podczas lądowania na środku jeziora. Nasłuchując, zdała sobie sprawę z wszechobecnego, otulającego ją szumu, podobnego do setek warczących maleńkich silniczków. Dźwięk ten kojarzył się nieodłącznie z latem i z początku nie umiała go nazwać, lecz po chwili zrozumiała. Owady, całe chmary owadów.

Usiadła, mrugając przed rażącym blaskiem słońca. Na chwilę świat zrobił się całkiem biały, po czym znów wszystko wróciło do normy. Liście lilii wodnych lśniły na wodzie niczym kafelki glazury w kształcie serca, kwiaty wyciągały ku niebu piękne otwarte dłonie. W powietrzu unosiły się setki małych skrzydlatych stworzeń. Podniosła się i już miała zawołać psy, kiedy jej uwagę zwróciło coś po drugiej stronie jeziora.

Na środku osłonecznionej polany stał kamienny budynek ze spadzistym dachem i wejściem osłoniętym portykiem. Spomiędzy dachówek wyrastały kominy, a w słońcu mrugały konspiracyjnie trzy rzędy okien z szybkami w ołowianych ramkach. Do ceglanej fasady przylgnęło żarłoczne, zielone pnącze, a w koronkowej płataninie pędów małe ptaszki wytwarzały wrażenie nieustannego ruchu. Sadie gwizdnęła cicho.

– A cóż taka wytworna, stara dama robi w takim miejscu? – Powiedziała to cicho, lecz jej głos zabrzmiał obco i nieprzyjaźnie; wymuszona wesołość sprawiała wrażenie intruza w tej wybujałej zieleni ogrodu.

Ruszyła wokół jeziora w kierunku domu, który przyciągał ją magnetyczną siłą. Kaczki i inne dzikie ptaki nie zwracały na nią uwagi, a ich obojętność w jakiś sposób harmonizowała z pięknym, ciepłym dniem i wilgotnym powietrzem wokół jeziora i podsycala nieco klaustrofobiczną atmosferę tego miejsca.

Kiedy dotarła na drugi kraniec jeziora, zauważyła ścieżkę prowadzącą do wejścia, w znacznej części zarośniętą zaborczym głogiem. Przejechała po powierzchni czubkiem buta. Kamień. Kiedyś prawdopodobnie był brązoworóżowy, tak jak wszystkie budynki w miasteczku, lecz z biegiem czasu całkowicie szerniał.

Gdy podeszła bliżej, stwierdziła, że dom sprawia wrażenie tak samo opuszczonego i zapomnianego jak ogród. Brakowało dachówek, a te, które odpadły, leżały roztrzaskane na ziemi, w oknie na najwyższym piętrze tkwiła stłuczona szyba, wiele innych oklejała gruba warstwa ptasich odchodów, białe stalaktyty zwisały z parapetu i rozpryskiwały się na błyszczących liściach pod oknem.

Jakby na potwierdzenie swego udziału w gromadzeniu tych pokaźnych grud nieczystości, zza potłuczonego szkła wyleciał niewielki ptaszek. Poszybował prosto przed siebie i przemknął tuż koło ucha Sadie. Wzdrygnęła się. Były wszędzie, te małe ptaki, które mignęły jej nad jeziorem, śmigwały w ciemnej płataninie pnących roślin i nawoływały się niecierpliwym świergotem. Ale liściasty gąszcz roił się nie tylko od ptaków, lecz również od niewiarygodnej chmary owadów – motyli, pszczoł i całego mnóstwa innych, których nie potrafiła nawet nazwać. Wywoływały złudzenie nieustannego ruchu i tętniącego życia,

kontrastującego ze zrujnowanym, pożałowania godnym stanem budynku.

Wszystko wskazywało na to, że dom jest opuszczony, lecz Sadie wzywano nieraz do domów, w których mieszkali starzy ludzie, i wiedziała, że za zaniedbanym wyglądem często kryje się smutna ludzka historia. Na odrapanych drewnianych drzwiach wisiała przekrzywiona mosiężna kołatka w kształcie lisiej głowy; Sadie już podniosła rękę, ale po chwili ją opuściła. Co właściwie powie, kiedy ktoś otworzy drzwi? Zastanawiając się, rozprostowywała po kolei palce. Nie potrafiła podać żadnego powodu, dla którego się tu znalazła, a oskarżenie o wtargnięcie na teren prywatny było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Jednak w tej samej chwili, kiedy o tym pomyślała, wiedziała już, że snuje niepotrzebnie rozważania. Dom, przed którym stała, był z całą pewnością opuszczony. Nie potrafiła wyjaśnić tego słowami, może otaczała go specyficzna atmosfera, tak czy inaczej nie miała wątpliwości, że nikt tu nie mieszka.

Nad drzwiami zauważyła ozdobny witraż: cztery postaci w długich szatach, każda przedstawiona na tle innej pory roku. Nie był to, na ile Sadie mogła ocenić, obraz religijny, lecz wywoływał podobny efekt – czegoś prawdziwego, może ukrytego hołdu, który przywodził na myśl kościelne witraże. Podciągnęła pod drzwi wielką skrzynkę na rośliny i ostrożnie stanęła na krawędzi.

Przez kawałek przezroczystego szkła zobaczyła hol z owalnym stołem na środku. Na blacie stał wazon: porcelanowy, pękaty dzban z namalowanymi kwiatami oraz – zmrużyła oczy – bladym złotym wzorkiem wijącym się wzdłuż ucha. W wazonie było kilka niedbale ułożonych kruchych gałązek, może wierzbowych witek; pod spodem leżały suche listki. Z gipsowej rozety na suficie zwisał fantazyjny kryształowy żyrandol, w głębi holu zaś pięły się i rozchodziły na boki szerokie schody, wyłożone wytartym czerwonym chodnikiem. Na ścianie po lewej, obok zamkniętych drzwi, wisiało okrągłe lustro.

Zeskoczyła ze skrzyni. Po obu stronach portyku rozciągał się gęsty, bezładny ogród. Zaczęła się przez niego przedzierać. Kolce jeżyn zaczepiały o jej podkoszulkę, w powietrzu unosił się silny, lecz dość przyjemny zapach wilgotnej ziemi, butwiejących liści i świeżych kwiatów łapiących pierwsze promienie słońca; wielkie, tłuste trzmielce pracowicie zbierały pyłek z drobnego bladioróżowego kwiecia. Jeżyny. Sama się zdziwiła, odkopując tę wiedzę. Za kilka miesięcy te gałęzie będą się uginać od owoców.

Podeszła do okna i natychmiast zauważyła wycięte w drewnianej futrynie nierówne litery – A i może E, pokryte ciemnozielonym nalotem. Przeciągnęła palcami po głębokich rowkach, zastanawiając się leniwie, kto mógł to zrobić. Z gęstych zarośli pod parapetem sterczał wygięty żelazny pręt i gdy Sadie rozgarnęła gałęzie, odkryła zardzewiałą ławkę ogrodową. Obejrzała się przez ramię na dżunglę, którą właśnie przemierzyła. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś tu kiedyś siedział i patrzył na pięknie utrzymany ogród.

Znowu ją ogarnęło dziwne, prawie złowieszcze uczucie, ale szybko się z niego otrząsnęła. Interesowały ją fakty, nie uczucia, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach powinna sobie nieustannie o tym przypominać. Przyłożyła dłonie do szyby i przycisnęła do nich twarz, aby zajrzeć do środka.

W pokoju panował półmrok, lecz w miarę jak jej wzrok się przyzwyczajał, z ciemności zaczęły się wyłaniać przedmioty: fortepian w kącie przy drzwiach, pośrodku kanapa i dwa fotele zwrócone do niej przodem, kominiek pod ścianą po drugiej stronie. Sadie doświadczyła dziwnego, lecz przyjemnego uczucia, jakby uchylała wieko czyjegoś życia. Uważała takie chwile za wisienkę na torcie swojej pracy. Mimo że dużo częściej była świadkiem ponurych i okropnych historii, zawsze ją fascynowało, jak żyją inni ludzie. I choć nie znajdowała się teraz na miejscu zbrodni i nie przyjechała tu służbowo, mimowolnie zaczęła odnotowywać w pamięci swoje spostrzeżenia.

Na ścianach wyłożonych spłowiałą bladofioletową tapetą w kwiaty półki uginały się pod ciężarem setek książek. Nad kominkiem wisiał, niczym na straży, portret kobiety o pięknym nosie i tajemniczym uśmiechu. Na sąsiedniej ścianie podwójne drzwi balkonowe, oskrzydłone grubymi adamaszkowymi zasłonami, prowadziły kiedyś do bocznego ogrodu, a w takie poranki jak ten słońce wlewało się do

środką i rzucało ciepłe, jasne kwadraty na wyłożoną dywanem podłogę. Lecz to było kiedyś. Teraz fale nieustępliwego bluszczu przyklejały się do szkła i wpuszczały do środka tylko drobniutkie plamki światła. Przy drzwiach stał wąski drewniany stół, a na nim fotografia w ozdobnej ramce. W półmroku nie dało się dostrzec osoby na zdjęciu, lecz nawet gdyby oświetlenie było lepsze, i tak widok zasłaniała staroświecka filiżanka ze spodeczkiem.

Rozmyślając, Sadie przygryzła wargi. Pokój z otwartym fortepianem, przekrzywionymi poduszkami i filiżanką na stole sprawiał wrażenie, że mieszkańcy domu przed chwilą wyszli i lada chwila wrócą, lecz jednocześnie w tym dziwnym wnętrzu po drugiej stronie szyby panował niesamowity bezruch. Pomieszczenie jakby zamarło, wszystko, co się w nim znajdowało, zawisło w przestrzeni, tak że nawet powietrze, najbardziej nieustępliwym z żywiołów, zostało odcięte na zewnątrz, a w środku nie dawało się oddychać. Ale to nie wszystko. Coś wskazywało, że pokój porzucono w tym stanie bardzo dawno temu. Początkowo Sadie myślała, że zwodzą ją wyteżone oczy, lecz po chwili zrozumiała, że mętny połysk wypełniający całe pomieszczenie powoduje gruba warstwa kurzu.

Widziała go teraz wyraźnie na biurku pod oknem, gdzie snop światła wydobył tę powłokę pokrywającą wszystkie przedmioty: kałamarz, abażur lampy oraz książki, rozrzucone między nimi na chybił trafił. Jej uwagę zwróciła kartka leżąca na wierzchu ze szkicem dziecięcej twarzy – ślicznej buzi o wielkich, poważnych oczach, delikatnych wargach i włoskach opadających po obu stronach małych uszu, tak że chłopczyk (lub dziewczynka – trudno było orzec) wyglądał bardziej na ogrodowego chochlika niż prawdziwe dziecko. Zauważyła, że szkic jest miejscami rozmazany, czarny tusz rozsmarowany, a grube kreski zatarte. W dolnym rogu widniały podpis i data – 23 czerwca 1933.

Za plecami Sadie rozległ się tupot i szelest rozgarnianych gwałtownie roślin, tak że Sadie podskoczyła i uderzyła czołem o szybę. Z gąszczu jeżyn wyskoczyły dwa czarne zdyszane psy i natychmiast zaczęły obwąchiwać ziemię wokół jej nóg.

– Pewnie chcecie śniadanie – powiedziała, kiedy zimny, wilgotny nos szturchnął ją w rękę. Jej własny żołądek natychmiast podchwycił tę myśl i zaburczał głośno. – Dobrze, chodźmy. – Odwróciła się od okna. – Wracamy do domu.

Obrzuciła dom ostatnim spojrzeniem, po czym ruszyła za psami przez potargany żywopłot. Wschodzące słońce schowało się za chmurę i okna przestały połyskiwać w jeziorze. Budynek nachmurzył się posępnym cieniem niczym rozpieszczone dziecko, które lubi być w centrum uwagi, i dąsa się teraz, ponieważ je zlekceważono. Nawet ptaki nabrały zuchwałej śmiałości i fruwały po zamglonej polanie tam i z powrotem, a ich świergot brzmiał, jakby się naśmiewały. Chór owadów również przybierał na sile wraz z rosnącym upałem.

Nieruchoma tafla jeziora migotała tajemniczo, a nawet trochę obłąkańczo, i nagle Sadie poczuła bardzo wyraźnie, że jest tu intruzem. Trudno powiedzieć, skąd się brała ta pewność, lecz kiedy się odwróciła i schyliła głowę, żeby przejść przez dziurę w cisowym żywopłocie, czuła – a jak każdy dobry policjant miała do takich spraw nosa – że w tym domu wydarzyło się coś złego.

Kornwalia, październik 1932

Dziewczęta aż krztusiły się ze śmiechu, kiedy szybowiec omal nie odciął mamie czubka głowy. Podniecona Alice splotła dłonie, a Clementine pogalopowała za małym szybowcem.

– Tylko nie puszczaj go zbyt blisko dziecka – ostrzegła mama, sprawdzając na włosach, czy wszystkie szpilki tkwią na swoim miejscu.

Jeśli Clementine usłyszała ostrzeżenie, to nie pokazała tego po sobie w żaden sposób. Pędziła przed siebie z powiewającą spódniczką, jakby goniło ją stado bizonów, i z wyciągniętymi ramionami szykowała się do złapania szybowca, choćby miała się roztrzaskać o ziemię.

Z jeziora wyczłapało stado hałaśliwych, zaciekawionych kaczek, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie, i teraz rozpierzchły się na wszystkie strony, trzepocząc skrzydłami i kwacząc z oburzeniem, bo szybowiec, a tuż za nim Clemmie wpadli z poślizgiem w sam środek stada.

Tata uśmiechnął się znad tomiku poezji, który czytał na ławce obok starej skrzyni na kwiaty.

– Wspaniałe lądowanie! – zawołał.

To on wpadł na pomysł, aby kupić Clemmie szybowiec. Zobaczył reklamę w gazecie i zamówił go z Ameryki. Miała to być tajemnica, lecz Alice wiedziała o tym od kilku miesięcy. Zawsze wiedziała dużo wcześniej, kto, co i od kogo dostanie. Pewnego wieczoru wiosną zauważyła, jak tata wskazał reklamę i powiedział:

– Spójrz na to. Idealny prezent dla Clemmie, nie sądzisz?

Mama nie zapaliła się do tego pomysłu. Spytała, czy naprawdę uważa, że drewniany szybowiec jest stosownym prezentem dla dwunastoletniej dziewczynki, lecz tata uśmiechnął się i odparł, że Clementine nie jest zwyczajną dwunastoletnią dziewczynką. I miał rację, Clemmie była zdecydowanie niezwykłą dziewczynką.

– To syn, którego nie mamy – lubił powtarzać, zanim urodził się Theo.

W kwestii szybowca też miał rację. Po lunchu Clemmie odwinęła papier i oczy zrobiły jej się okrągłe jak spodki. I naprawdę zapiszczała z radości. Poderwała się z krzesła i rzuciła do drzwi, ciągnąc za sobą obrus.

– Clemmie, stój! – zawołała mama, sięgając po wazon. – Jeszcze nie skończyliśmy. – Rozejrzała się błagalnie po pozostałych. – Nie wychodźmy na dwór. Może porozwiązujemy szarady w bibliotece...

Trudno jednak świętować urodziny, kiedy gość honorowy uciekł z miejsca zdarzeń, tak więc ku wyraźnemu rozczarowaniu mamy goście nie mieli innego wyjścia, jak tylko porzucić starannie zastawiony stół i przenieść popołudniową część uroczystości do ogrodu.

Tak właśnie się tu znaleźli – cała rodzina, pan Llewellyn, babcia i niania Rose. Rozbiegli się po trawniku, podczas gdy na głęboko zielonej trawie rozlewały się długie popołudniowe cienie. Dzień był przepiękny, jesienny, lecz ciepły. Na murach budynku nadal kwitł powojnik, drobne ptaszki ćwierkały, przemykając po polanie. Nawet małego Thea przyniesiono z domu w koszu.

Na sąsiednim polu jakiś gospodarz palił wrzosowisko i w powietrzu unosił się przepiękny zapach. Alice uwielbiała ten zapach; kojarzył jej się z przemianą pór roku, więc przyglądając się, jak Clemmie bawi się drewnianym szybowcem, czując na karku ciepłe promienie słońca, a pod bosymi stopami chłodną ziemię, doznała rozkosznego, głębokiego błogostanu.

Wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła notes, by pospiesznie zanotować to wrażenie, opisać dzień

i uczestników, obgryzając końcówkę wiecznego pióra i wędrując spojrzeniem po murach oblanego słońcem budynku, wierzbach, migoczącym jeziorze i żółtych różach pnących się po żelaznej bramie. Ogród wyglądał jak z bajki – bo też był ogrodem z bajki – i Alice go kochała. Nie chciała wyjeżdżać z Loeanneth. Nigdy. Wyobrażała sobie, jak się tu starzeje: szczęśliwa wiekowa dama, z długimi siwymi włosami i kotami, tak, zdecydowanie z kotami, które będą jej dotrzymywać towarzystwa. (Clemmie będzie ją odwiedzać, lecz Deborah nie, ona przeniesie się do Londynu, gdzie zamieszka w wielkim domu, z bogatym mężem i armią pokojówek).

To jeden z tych dni, myślała Alice, bazgrząc z przejęciem, gdy wszyscy czują to samo. Tata zrobił sobie przerwę od gabinetu, pan Llewellyn zdjął swoją odświętną marynarkę i chodził w samej koszuli i kamizelce, nawet babcia deShiel wyglądała prawie wesoło, drzemiąc pod wierzbą. Jedynym rzucającym się w oczy wyjątkiem była mama, lecz ona nigdy nie lubiła, kiedy się lekceważyło jej misternie skonstruowane plany, więc można było przewidzieć pewną dozę jej cierpkiego niezadowolenia.

Nawet dla Deborah, która nie przepadała za zabawkami i uważała się za zbyt dorosłą i dystygowaną na takie rzeczy, entuzjazm Clemmie okazał się zaraźliwy. Co ją oczywiście rozdrażniło, więc uparła się, że będzie siedzieć sama na ławce pod oknem biblioteki i obdzielać innych zaszczytem powściągliwej rozmowy, kiedy uzna to za stosowne, jakby miała dużo lepsze rzeczy do roboty, a wszystkich spotkało wielkie szczęście, że postanowiła pobłogosławić ich swoim towarzystwem.

– Sprawdź, czy uda ci się zrobić nim kółko! – zawołała, podnosząc pudełko, w którym dostarczono szybowiec. – Tu jest napisane, że jeśli się odpowiednio umocuje gumki, to można nim zatoczyć pętlę.

– Podwieczorek gotowy – oznajmiła mama tonem upomnienia, który nabierał surowości, w miarę jak popołudnie oddalało się coraz bardziej od tego, co sobie ułożyła. – Herbata wkrótce ostygnie.

Zjedli obfity lunch i nikt nie miał ochoty na herbatę, lecz Llewellyn był lojalnym przyjacielem, dostosował się gorliwie do życzenia mamy i z wdzięcznością przyjął filiżankę oraz talerzyk, które mu podała wymownym gestem.

Deborah dla kontrastu kompletnie zignorowała propozycję.

– No dalej, Clemmie – powiedziała. – Puść go jeszcze raz.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wsunęła szybowiec za satynową przepaskę sukienki. Wcisnęła spód spódnicy w pantalon i wyciągnęła szyję, żeby dojrzeć szczyt jaworu.

– Clemmie! – zawołała Deborah rozkazująco.

– Podsadzisz mnie?! – odkrzyknęła w odpowiedzi jej najmłodsza siostra.

Mama, chociaż zajęta podawaniem tortu Llewellynowi, jak zawsze czujnie wyglądała nadciągających kłopotów i nie upuściła nawet okruszka, wołając:

– Nie, Clemmie! Absolutnie nie wolno!

Zerknęła w stronę taty, szukając u niego wsparcia, lecz on wrócił już do swojej książki i z radością zatopił się z powrotem w świecie Keatsa.

– Pozwól jej – poprosił Llewellyn. – Wszystko będzie dobrze.

Deborah nie dała już rady dłużej się opierać urokowi popołudnia, położyła pudełko na ławce i pobiegła w stronę drzewa. Uprosiły nianię Rose, żeby splotła z nią ręce i utworzyła stopień, po którym Clemmie zaczęła się wdrapywać na drzewo. Po paru minutach gramolenia się i kilku nieudanych próbach znikła w gąszczu między najniższymi gałęziami.

– Uważaj, Clementine – upomniała ją mama, przyciągana z nieodpartą siłą w stronę centrum wydarzeń. – Proszę, bądź ostrożna.

Stała pod drzewem i wzdychała z emfazą, śledząc poczynania Clemmie w gęstym listowiu.

Wreszcie rozległ się triumfalny okrzyk i spomiędzy gałęzi na czubku drzewa wyłoniła się ręka Clementine. Alice zmrużyła oczy przed popołudniowym blaskiem i uśmiechnęła się szeroko, patrząc, jak młodsza siostra usadawia się w najwyższym rozwidleniu konarów i ostrożnie wyjmuje szybowiec z za

przepaski. Nawinęła ciasno gumkę, podniosła ramię, upewniła się, że ustawiła go pod odpowiednim kątem i... i... i... puściła!

Szybowiec leciał jak ptak, wznosił się po jasnoblękitnym niebie, potem zanurkował lekko w dół, po czym, kiedy pęd powietrza zmalał i zelżał nacisk na ogon, wyrównał lot.

– Patrz! – zawołała Clemmie. – Patrz, co będzie teraz!

I rzeczywiście szybowiec zaczął zataczać wielką pętlę dokładnie nad jeziorem. Widok był tak niezwykły, że nawet pan Harris oraz nowy ogrodnik przerwali pracę na pomoście i zadarli głowy. Kiedy samolot zakończył swoją akrobację i wrócił na kurs, rozległy się spontaniczne owacje. Potem opuścił obszar nad wodą i wylądował łagodnym ślizgiem na płaskim trawniku przy fontannie.

Zdawało się, że cały świat stanął w miejscu, kiedy mały szybowiec zataczał koło, więc Alice ze zdziwieniem usłyszała nagle płacz dziecka. Biedne maleństwo! Wszyscy byli tak podnieceni i przejęci, że całkiem zapomnieli o niemowlęciu leżącym w koszu. Alice, która zawsze uważała się za obserwatorkę, stojącą raczej z boku wydarzeń, rozejrzała się, czekając, aż ktoś wkroczy do akcji, i dopiero po chwili zrozumiała, że jest jedyną osobą, która może pomóc. Już miała ruszyć w kierunku koszyka, kiedy zobaczyła, że tata będzie pierwszy.

Niektórzy ojcowie – tak przynajmniej sądziła Alice – uważali, że uspokajanie małych dzieci nie należy do ich obowiązków, lecz ich tata się do nich nie zaliczał. Był najlepszym ojcem na świecie, dobrym i łagodnym i naprawdę bardzo mądrym. Uwielbiał przyrodę i naukę; pisał nawet książkę o ziemi. Pracował nad nią już ponad dziesięć lat i (choć nie przyznałaby się do tego na głos) była to jedyna rzecz, jaką Alice chętnie by w nim zmieniała. Cieszyła się, że jest mądry, i napawało ją to dumą, ale zdecydowanie za dużo czasu spędzał w towarzystwie tej książki. Wolałaby, aby mieli go tylko dla siebie.

– Alice! – To Deborah ją wołała i cokolwiek chciała powiedzieć, musiało być ważne, bo zapomniała przyjąć nieodłączny wyniosły ton. – Alice! Chodź tu szybko! Pan Llewellyn zabierze nas na łódkę!

Na łódkę! Pysznie! Rzadko trafiała się taka gratka. Mama miała ten przywilej, kiedy była dziewczynką, ale obecnie uważano to za staromodny zwyczaj. Rozpromieniła się, serce podskoczyło jej w piersi, a popołudniowe słońce nabrało blasku. Zapowiadał się naprawdę najwspanialszy dzień, jaki pamiętała!

Kornwalia, 2003

– Już jesteśmy!

Sadie zrzuciła zabłocone buty w małym przedsionku, po czym podsunęła je nogą pod ścianę, czubkami do listwy. Dom stojący nad urwiskiem przepełniał ciepły i przyjemny zapach i jej wygłodniały żołądek zaburczał żałośnie.

– Nie uwierzysz, co odkryliśmy, Bertie. – Zagrzechotała torbą z psimi smakołykami, które leżały pod wieszakiem. – Dziadku?

– Jestem w kuchni! – dobiegła ją odpowiedź.

Poklepała po karkach żarłoczne psy i weszła do mieszkania.

Zastała dziadka przy okrągłym drewnianym stole, ale nie był sam. Naprzeciwko niego siedziała drobna kobieta w okularach, o krótko ostrzyżonych, siwych włosach i żywej powierzchowności. W rękę trzymała kubek i uśmiechała się przyjaźnie.

– Och – powiedziała Sadie. – Przepraszam, nie wiedziałam...

Dziadek zbył jej przeprosiny machnięciem ręką.

– Herbaty? W czajniku jest jeszcze gorąca woda, skarbie. Nalej sobie i przysiądź się do nas. To jest Louise Clarke z miejscowego szpitala. Zbiera zabawki na festyn z okazji święta przesilenia. Przyniosła nam gulasz na kolację – dodał, kiedy Sadie uśmiechnęła się na powitanie.

– Tylko tyle mogę zrobić – powiedziała Louise, podnosząc się lekko, aby uścisnąć jej dłoń.

Była ubrana w sprane dzinsy i jaskrawozielony podkoszulek z napisem: *Magia istnieje!* Jej twarz emanowała wewnętrznym blaskiem, jakby sen dawał jej więcej wypoczynku niż innym ludziom. Sadie czuła się przy takich osobach zakurzona i pomarszczona.

– Pani dziadek robi wspaniałe rzeczy, tak pięknie rzeźbione. Szpitalny stragan będzie w tym roku wyglądał wyjątkowo okazale. Mamy niewiarygodne szczęście, że nam pomaga.

Sadie zgadzała się z tym w całej rozciągłości, lecz wiedząc, jak niechętnie dziadek odnosi się do wszelkich publicznych pochwał, nie powiedziała tego na głos. Przeciskając się za oparciem jego krzesła, pocałowała go w łysy czubek głowy.

– Widzę, że będę musiała strzelić z bicza i zagonić go do pracy – zażartowała, podchodząc do ławy.
– Cudownie pachnie ten gulasz.

Louise uśmiechnęła się promiennie.

– To według mojego własnego przepisu. Soczewica z dodatkiem miłości.

Zanim Sadie zdecydowała się na któryś z wariantów odpowiedzi, wtrącił się Bertie.

– Wnuczka przyjechała do mnie na jakiś czas z Londynu.

– Na urlop, to wspaniale. Będzie pani jeszcze u nas za dwa tygodnie, kiedy zacznie się festyn?

– Możliwe – odparła Sadie, unikając spojrzenia dziadka. Starła się wymigiwać od jednoznacznych deklaracji, kiedy pytał ją o plany. – Szczerze mówiąc, decyduję dość spontanicznie.

– Niech rozstrzygnie wszechświat – podsumowała Louise ze zrozumieniem.

– Coś w tym rodzaju.

Bertie uniósł brwi, lecz postanowił nie naciskać. Wskazał głową jej ubłocone ubranie.

– Widzę, że wracasz z wojny.

– Szkoda, że nie widziałeś tego drugiego.

Louise zrobiła okrągłe oczy.

– Moja wnuczka jest biegaczką – wyjaśnił Bertie. – Należy do tych dziwnych ludzi, którzy lubią zadawać sobie ból. Z powodu pogody przez cały tydzień czuła się jak w więzieniu i wygląda na to, że wyładowała frustrację na miejscowych szlakach.

Kobieta wybuchła śmiechem.

– To się często zdarza przyjeźdnym. U nieprzyzwyczajonych osób wywołują czasem nieprzyjemne wrażenia.

– Na szczęście nie było dzisiaj mgły. – Sadie ukroiła sobie grubą kromkę świeżo upieczonego chleba na zakwasie. – Powietrze jest kryształowe.

– Och, to znakomicie. – Louise dopiła resztkę herbaty. – Mam w szpitalu trzydzieści dwoje niebezpiecznie podekscytowanych dzieci, które nie mogą się doczekać pikniku nad morzem. Gdyby przyszło nam jeszcze raz go odkładać, chyba doszłoby do rewolucji.

– Chodź, pomogę ci – zaofiarował się Bertie. – Nie chcemy, żeby nasi mali mieszkańcy wzniesli bunt.

Podczas gdy on i Louise zawijali rzeźbione zabawki w papierowe serwetki, a następnie pakowali je do kartonowego pudła, Sadie posmarowała sobie chleb masłem i marmoladą. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie dziadkowi o swoim odkryciu w lesie. Dziwna atmosfera opuszczenia, jaka panowała w domu nad jeziorem, nie odstępowała jej przez całą drogę powrotną i Sadie tylko jednym uchem słuchała rozmowy dziadka i Louise na temat jakiegoś mężczyzny imieniem Jack, który był członkiem ich komitetu.

– Pójdę do niego – zaproponował Bertie. – Uwielbia mój placek z gruszkami, zaniosę mu kawałek i może uda mi się go przekonać.

Sadie zerknęła przez okno na przystań, gdzie na aksamitnej wodzie kołysały się łodzie rybackie. Zdumiewające, jak szybko Bertie wtopił się w tutejszą społeczność. Minał zaledwie rok, od kiedy się sprowadził do Kornwalii, a już zadzierzgnął tak silne więzi, jakby mieszkał tu całe życie. Sadie nie była pewna, czy umiałaby wymienić nazwiska wszystkich lokatorów w budynku, w którym mieszkała od siedmiu lat.

Usiadła przy stole i próbowała sobie przypomnieć, czy mężczyzna mieszkający piętro wyżej ma na imię Bob, Todd czy Rodd. Porzuciła tę kwestię nierozstrzygniętą, kiedy Bertie zapytał:

– No, Sadie, skarbie, opowiedz nam, co takiego odkryłaś. Wyglądasz, jakbyś wpadła do starej kopalni miedzi. – Przerwał pakowanie. – Nie wpadłaś, prawda?

Przewróciła oczami z żartobliwym zniecierpliwieniem. Zawsze się o nią zamartwiał, zwłaszcza od śmierci babci.

– Znalazłaś zakopany skarb? Będziemy bogaci?

– Niestety, nie.

– W tych okolicach czyhają różne niespodzianki – wtrąciła Louise. – Choćby te tunele, które przemysłowcy wykopali dawno temu na wybrzeżu. Biegała pani po przyładku?

– W lesie – odparła Sadie.

Wyjaśniła pokrótce, jak szukając Ramsaya, zboczyli z Ashem ze ścieżki.

– Sadie...

– Wiem, dziadku, te lasy są gęste, a ja jestem mieszczuchem. Ale był ze mną Ash. I dobrze, że poszliśmy szukać Ramsaya, bo okazało się, że łapa mu utknęła między deskami starego pomostu.

– Pomostu? W lesie?

– Niezupełnie w lesie. To była przesieka, otwarty teren jakiegoś majątku. W środku niewiarygodnie zarośniętego ogrodu leży jezioro. Spodobałoby ci się. Dookoła rosną wierzby i ogromny żywopłot. Kiedyś musiał być wspaniały. A nieopodal jeziora stoi dom. Całkiem opuszczony.

– Loeanneth – powiedziała cicho Louise. – Majątek Edevane'ów.

W nazwie tej pobrzmiwała jakaś celtycka magia i Sadie mimo woli przypomniała sobie to dziwne uczucie, jakie wywołały chmury owadów – jakby dom był żywą istotą.

– Loeanneth – powtórzyła.

– To znaczy „dom nad jeziorem”.

– Tak... – Sadie stanęło przed oczami zamulone jezioro i jego skrzydlaci mieszkańcy. – Rzeczywiście. Co tam się stało?

– Okropna historia. – Louise pokręciła ze smutkiem głową. – To się zdarzyło w latach trzydziestych, zanim się urodziłam. Moja mama często o tym opowiadała, zwykle kiedy chciała nas przestrzec, żebyśmy się zanedo nie oddalali. Pewnej nocy, w czasie wielkiego przyjścia, zaginęło tam dziecko. To była wtedy głośna historia. Rodzina była bogata i prasa poświęcała tej sprawie mnóstwo uwagi. Policja prowadziła śledztwo, ściągnęli nawet jakąś szychę z Londynu. Wszystko na próżno. – Wsunęła ostatnią zabawkę do pudełka. – Biedne maleństwo.

– Nigdy nie słyszałam o tej sprawie.

– Sadie pracuje w policji – wyjaśnił Bertie. – Jest detektywem – dodał z taką dumą, że Sadie aż się skrzywiła.

– Nic dziwnego, że pani o tym nie słyszała, minęło tyle lat – powiedziała Louise. – Ale co jakiś czas sprawa odżywa. Ktoś dzwoni na policję, mówiąc, że trafił na nowy trop, ale zwykle trop okazuje się ślepym zaułkiem. Potem ni stąd, ni zowąd zjawia się jakiś mężczyzna i twierdzi, że jest zaginionym chłopcem. Za każdym razem sprawa kończy się na artykułach w lokalnej prasie.

Sadie przypomniała sobie zakurzoną bibliotekę, otwarte książki na biurku, rysunek dziecka, portret na ścianie. Osobiste przedmioty, które kiedyś musiały coś dla kogoś znaczyć.

– Czemu dom został opuszczony?

– Rodzina się wyprowadziła. Zamknęli drzwi na cztery spusty i wyjechali do Londynu. Po jakimś czasie ludzie o nim zapomnieli. Stał się naszym okolicznym zamkiem Śpiącej Królowej. W miejsce, które leży tak głęboko w lesie, rzadko kto się zapuszcza bez wyraźnego powodu. Podobno był to kiedyś bardzo ładny majątek, z pięknym ogrodem wokół jeziora. Prawdziwy raj. Ale wszystko się skończyło, kiedy zniknął ten chłopczyk. Dosłownie rozpląnął się w powietrzu.

Bertie westchnął z głębokim zadowoleniem i klasnął miękko w dłonie.

– No właśnie! Dokładnie czegoś takiego szukałem w Kornwalii.

Sadie uniosła brwi zaskoczona wystąpieniem własnego dziadka, skądinąd trzeźwego realisty. Z pewnością była to romantyczna historia, ale jej śledczy instynkt gwałtownie zaprotestował. Ludzie tak po prostu nie znikają. Nie rozpląwają się w powietrzu. Przemilczała na razie dziwną reakcję dziadka i odwróciła się do Louise.

– W śledztwie... Domyślam się, że byli jacyś podejrzani?

– Przypuszczam, że tak, ale nikogo nie skazano. O ile pamiętam, to była prawdziwa tajemnica. Nie znaleźli żadnych wyraźnych tropów. Policja prowadziła bardzo skrupulatne poszukiwania. Początkowo podejrzewali, że chłopiec po prostu gdzieś zabłądził, ale nie znaleziono po nim ani śladu.

– I rodzina nigdy tu nie wróciła?

– Nigdy.

– Nie sprzedali domu?

– O ile mi wiadomo, nie.

– Dziwne – rzucił Bertie. – Trzymają go tylko po to, żeby stał zamknięty i opuszczony...

– Przypuszczam, że wiązało się z nim zbyt dużo bolesnych wspomnień – orzekła Louise. – Możemy sobie tylko wyobrazić, co znaczy stracić dziecko. Rozpacz, bezsilność. Całkowicie rozumiem, dlaczego stąd wyjechali: postanowili zacząć nowe życie gdzie indziej. Zostawić wszystko za sobą.

Sadie przytaknęła mruknięciem, ale nie dodała tego, co mówiło jej doświadczenie – bez względu na to, jak uporczywie człowiek ucieka, jak bardzo stanowczo zaczyna od nowa, przeszłość zawsze znajdzie

sposób, żeby pokonać barierę czasu i go osiągnąć.



Tego wieczoru w pokoju, który Bertie przygotował jej na piętrze, Sadie wyciągnęła kopertę, tak jak poprzedniego wieczoru, a także dwa dni temu. Nie wyjęła jednak ze środka listu. Nie musiała, wiele tygodni temu nauczyła się go na pamięć. Przejechała palcem po papierze i informacji wypisanej wielkimi literami nad adresem: NIE ZAGINAC. ZAWIERA FOTOGRAFIĘ. Zdjęcie też pamiętała z najdrobniejszymi szczegółami. Dowód. Namacalne świadectwo tego, co zrobiła.

Psy poruszyły się w nogach łóżka, Ramsay zaskomlał przez sen. Sadie położyła dłoń na ciepłej sierści, żeby go uspokoić.

– No już, staruszkę, wszystko będzie dobrze.

Pomyślała, że mówi to w tym samym stopniu do niego, co do siebie. Piętnaście lat trwało, zanim przeszłość ją znalazła. Piętnaście lat, kiedy robiła wszystko, aby iść do przodu i nie oglądać się za siebie. To naprawdę niewiarygodne, że po tylu wysiłkach, aby wznieść barierę między teraz a przedtem, wystarczył jeden list, i wszystko legło w gruzach. Kiedy zamknęła oczy, widziała siebie tak wyraźnie – szesnastolatkę czekającą na ceglanym murku przed schludnym szeregowcem rodziców. Widziała swoją tanią bawełnianą sukienkę, grubą warstwę błyszczący na ustach, oczy otoczone czarnymi kreskami. Do tej pory pamiętała chwilę, kiedy je malowała miękką zużytą kredką; pamiętała swoje odbicie w lustrze i chęć, żeby nałożyć jeszcze grubszą warstwę czarnej kredki, aby móc się za nią ukryć.

Przyjechało po nią dwoje starszych ludzi, których nie знаła – znajomi dziadków, tyle jej tylko powiedziano. On został za kierownicą i pracowicie polerował szmatką czarne kółko, podczas gdy żwawa staruszka z makijażem w perłowo-opalizujących odcieniach, wysiadła z samochodu od strony pasażera i ruszyła wzdłuż krawężnika.

– Dzień dobry! – zawołała z rażącą wesołością osoby, która wie, że wyświadcza przysługę, i bardzo siebie za to lubi. – Ty pewnie jesteś Sadie.

Sadie siedziała tam przez cały ranek. Uznała, że nie ma sensu kręcić się po pustym domu z myślą, że nie ma dokąd iść. Kiedy pracownica pomocy społecznej o włosach farbowanych henną wyjaśniła jej, gdzie i o której godzinie ma czekać, zastanawiała się, czy nie zrezygnować, lecz trwało to tylko chwilę. Wiedziała, że jest to najlepsze wyjście. Może była lekkomyślna – rodzice wciąż jej to powtarzali – ale nie głupia.

– Sadie Sparrow? – uparcie dopytywała się kobieta; cienka warstwa potu połyskiwała na jasnych włoskach nad górną wargą.

Nie odpowiedziała; jej konformizm miał swoje granice. Zacisnęła tylko usta i udawała, że z wielkim zainteresowaniem ogląda stado szpaków szybujących po niebie.

Kobieta zachowała stoicki spokój i nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Nazywam się Gardiner, a tam – wskazała ręką samochód – siedzi mój mąż. Twoja babcia, Ruth, prosiła, żebyśmy po ciebie przyjechali, ponieważ ani ona, ani twój dziadek nie umieją prowadzić samochodu, a my bardzo się cieszymy, że możemy pomóc. Jesteśmy ich sąsiadami i często jeździmy w tę stronę.

Sadie nie odpowiedziała, więc pani Gardiner wskazała lakierowaną fryzurą w kierunku torby British Airways, którą ojciec Sadie przywiózł rok wcześniej z podróży służbowej do Frankfurtu.

– Czy to cały twój bagaż?

Zacisnęła dłoń na uchwytych torby i pociągnęła ją po betonie, dopóki nie dotknęła jej biodra.

– Oto dziewczyna, która nie przywiązuje wagi do rzeczy. Mój mąż będzie pod wrażeniem.

Kobieta odgoniła muchę latającą wokół jej twarzy, a Sadie przemknął przez myśl Piotruś Królik. Że

też ze wszystkich rzeczy, jakie mogły jej przyjść do głowy, gdy opuszczała dom rodzinny, pomyślała akurat o postaci z książeczek dla dzieci! Może byłoby to zabawne, gdyby nie wrażenie, że nic już jej w życiu nie rozbawi.

Nie chciała urządzać sentymentalnych scen, oglądać się za siebie, by obrzucić ostatnim spojrzeniem dom, w którym mieszkała przez całe życie, lecz kiedy pan Gardiner odjeżdżał od krawężnika, zdradzieckie spojrzenie uciekło w bok. Nigdzie nie zobaczyła żywej duszy ani niczego niezwykłego. W oknie sąsiedniego domu poruszyła się zasłona, po czym opadła – znak, że krótkie urozmaicenie, jakim był wyjazd Sadie, dobiegło końca i życie na przedmieściach wracało do swej monotonnej rutyny. Samochód skręcił na końcu ulicy i ruszył na zachód w kierunku Londynu i nowego rozdziału w życiu Sadie – mieszkania z dziadkami, których prawie nie знаła, lecz którzy zgodzili się wziąć ją do siebie, bo nie miała gdzie się podziać.



Z góry dobiegł stłumiony rumor i wróciła myślami do tonącej w półmroku sypialni o pobielonych ścianach, skośnym suficie i oknie mansardowym wychodzącym na ogromny, ciemny ocean. Ściany ozdabiał tylko jeden obraz – ta sama reprodukcja, którą Ruth powiesiła nad łóżkiem Sadie w Londynie – morski pejzaż przedstawiający ocean targany sztormem i wielką falą, która ma lada chwila spaść na trzy łodzie rybackie.

– Kupiliśmy go podczas naszego miesiąca miodowego – zdradziła jej babcia pewnego wieczoru. – Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia: to napięcie, wielka fala uchwycona tuż przed nieuchronnym upadkiem. I dzielni, doświadczeni rybacy walczący o życie z pochylonymi głowami.

Nie musiała więcej tłumaczyć, Sadie zrozumiała ukrytą w jej słowach sugestię.

Kolejny łomot. Bertie znów wszedł na strych.

W ciągu tygodnia pobytu w Domu z Widokiem na Morze Sadie zauważyła, jak układa się życie dziadka. O ile w ciągu dnia robił mnóstwo różnych rzeczy, spotykał się ze znajomymi, pracował w ogrodzie i zajmował się niekończącymi się przygotowaniami do festynu, to wieczory wyglądały całkiem inaczej. Codziennie po kolacji wchodził po chybotałej drabinie pod pretekstem szukania jakiegoś rondla, trzepaczki czy książki kucharskiej, która nagle okazała się niezbędna. Rozlegała się pierwsza seria gruchotów, potem następowały między nimi coraz dłuższe przerwy, a przez szczeliny w podłodze przedostawał się zapach dymu fajkowego.

Sadie wiedziała, co tam robi. Niektóre ubrania Ruth oddano do Oxfam, lecz na strychu zostało w pudłach mnóstwo rzeczy, z którymi nie potrafił się rozstać. To była kolekcja jego życia, a on wypełniał obowiązki kustosa.

– Wytrzymają jeszcze kilka dni – odpowiadał szybko, kiedy Sadie proponowała, że pomoże mu je posegregować. – Nie przeszkadzają mi – dodawał łagodniej, jakby żałował zbyt ostrego tonu. – Lubię myśleć, że jest obecna pod tym dachem.

Sadie była zaskoczona, kiedy dziadek oznajmił, że sprzedaje dom i przeprowadza się do Kornwalii. On i Ruth mieszkali w tym domu całe życie. Sadie tak go pokochała, że niekiedy czuła się tam jak w prawdziwym raju. Sądziła, że Bertie zostanie w nim do końca życia, że nie zechce opuszczać miejsca, gdzie szczęśliwe wspomnienia poruszały się w każdym kącie niczym obrazy ze starego projektora. Lecz Sadie nigdy nie kochała nikogo z takim oddaniem jak Bertie i Ruth, więc cóż mogła wiedzieć? Okazało się, że od lat planowali przeprowadzkę. Dziadek nosił się z tym pomysłem od dziecka. Natchnęła go nim kiedyś jakaś klientka, która opowiadała mu historie o wspaniałej pogodzie panującej w zachodnich rejonach kraju, o pięknych ogrodach, soli, morzu i bogatym folklorze.

– Tylko jakoś nigdy się nie składało – powiedział ze smutkiem kilka tygodni po pogrzebie. –

Człowiek zawsze myśli, że ma jeszcze dużo czasu, aż pewnego dnia robi się za późno.

Kiedy Sadie spytała, czy nie będzie tęsknił za Londynem, wzruszył ramionami i odrzekł, że oczywiście, przecież to jego dom, tu się urodził i dorastał, tu poznał swoją żonę i żył z rodziną.

– Ale to przeszłość, skarbie. Będzie mi towarzyszyć wszędzie, gdziekolwiek się udam. Lecz robiąc coś nowego, coś, o czym zawsze rozmawialiśmy z Ruth, w pewnym sensie daję jej nowe życie.

Nagle Sadie usłyszała kroki na korytarzu, a po chwili pukanie do drzwi. Szybko ukryła kopertę pod poduszką.

– Wejdz.

Drzwi się otworzyły, w progu stał Bertie z tortownicą i jakimś pudełkiem w ręku.

Uśmiechnęła się nieco sztucznie, a serce jej waliło, jakby popełniła zbrodnię.

– Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Tak. Zamierzam jutro upiec placek z gruszkami, to jeden z moich firmowych wypieków. – Zmarszczył lekko brwi. – Chociaż właśnie sobie uprzytomniłem, że nie mam gruszek.

– No cóż, nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że to może nastreczyć pewnych trudności.

– Pewnie nie uda ci się kupić ich dla mnie jutro rano w mieście?

– Hm, muszę sprawdzić w kalendarzu...

Bertie wybuchnął śmiechem.

– Dziękuję, skarbie.

Sadie czuła, że coś jeszcze chodzi mu po głowie. I nie myliła się.

– Popatrz, co jeszcze znalazłem na strychu. – Sięgnął do pudełka i wyjął podniszczoną książkę z zagiętymi rogami. Wyciągnął ją, żeby mogła zobaczyć okładkę. – Jak nowa, prawda?

Sadie rozpoznała ją natychmiast. Jakby otworzyła drzwi i zobaczyła dawno niewidzianego przyjaciela, który towarzyszył jej w szczególnie trudnym i bolesnym okresie. Nie mogła uwierzyć, że dziadkowie ją zachowali. Nie sposób było przecenić roli, jaką w jej życiu odegrała ta książka z łamigłówkami, szczególnie na początku, kiedy zamieszkała z dziadkami w domu nad sklepem. Odizolowała się wtedy w swoim pokoju, który Ruth specjalnie dla niej przygotowała, i przeczytała całą pozycję od deski do deski, z zapalem bliskim religijnej ekstazy.

– Rozwiązałaś je wszystkie, prawda? – powiedział Bertie. – Każdą zagadkę.

Wzruszyła ją duma pobrzmiewająca w jego głosie.

– Tak.

– Nie musiałaś nawet sprawdzać odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie.

Spojrzała na poszarpany papier na końcu książki, gdzie wyrwała kartki z odpowiedziami, aby jej nawet nie kusiło. To było niezmiernie ważne: miała znaleźć odpowiedzi samodzielnie. To, co osiągnęła, musiało być niepodważalne i absolutne. Pragnęła udowodnić sobie, że nie jest głupia ani beznadziejna, że nie jest „zgniłym jajkiem”, wbrew temu, co sądzili rodzice. Że nawet największe problemy można rozwiązać, że wielka fala może runąć, a rybacy przeżyją.

– Ruth mi ją kupiła.

– Tak.

To był idealny prezent w idealnym momencie, chociaż Sadie podejrzewała, że nie okazała wtedy należytej wdzięczności. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co powiedziała, kiedy dostała tę książkę. Prawdopodobnie nie odezwała się ani słowem. Nie była wtedy zbyt rozmowna. Szesnastoletni kłębek arogancji i monosylabicznej pogardy dla wszystkich i wszystkiego, łącznie (a może nawet szczególnie) z tymi nieznanymi krewnymi, którzy przyjechali, żeby ją uratować.

– Zastanawiam się, skąd wiedziała.

– Ruth rozumiała takie rzeczy jak nikt inny. Była życzliwa i mądra, umiała dostrzegać ludzi, nawet kiedy robili wszystko, żeby się ukryć. – Uśmiechnął się i oboje udali, że ta rozmowa o Ruth wcale nie

wycisnęła mu łez w oczach. Położył książkę z łamigłówkami na stoliku nocnym. – Mogłabyś sobie sprawić nową książkę na czas, kiedy tu jesteś. Może jakąś powieść? Ludzie często to robią, kiedy wyjeżdżają na urlop.

– Tak myślisz?

– Tak słyszałem.

– W takim razie może rzeczywiście to zrobię.

Uniósł jedną brew. Był ciekaw, dlaczego przyjechała, lecz wiedział, że nie powinien się narzucać.

– No, czas do łóżka – powiedział tylko. – Nic tak dobrze nie robi na sen jak nadmorskie powietrze, co?

Sadie przytaknęła i życzyła mu dobrej nocy, lecz kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszała, że nie poszedł do swojej sypialni po drugiej stronie korytarza, lecz z powrotem na strych.

Gdy między deskami sufitu znów zaczął się przesączać dym z fajki, psy spały niespokojnie obok niej, a dziadek na strychu stawiał czoło przeszłości, Sadie otworzyła książkę. Nie było to nic nadzwyczajnego, zwykły zbiór łamigłówek, niezbyt wymyślnych, a jednak uratował jej życie. Nie miała pojęcia, że jest inteligentna, dopóki nie dostała tego prezentu od babci. Nie wiedziała, że umie rozwiązywać zagadki, a tym bardziej, że ich rozwiązywanie dostarczy jej przyjemności, jakie inne dzieciaki znajdowały zwykle na wagarach. Tymczasem okazało się, że ma te szczególne zdolności, i otworzyły się przed nią drzwi, a jej życie wkroczyło na ścieżkę, o jakiej jej się nie śniło. Zaczęła wyrastać ze swych nastoletnich problemów i pomału o nich zapomniała; znalazła pracę, w której mogła rozwiązywać prawdziwe zagadki, lecz jeśli jej się nie udawało, konsekwencje były znacznie poważniejsze niż frustracja z powodu intelektualnych niedociągnięć.

Zastanawiała się, czy to zbieg okoliczności, że Bertie dał jej tę książkę właśnie dzisiaj, książkę, która tak mocno wiązała się dla niej z tamtym okresem. Czyżby odgadł, że jej przyjazd łączy się w jakiś sposób z wydarzeniami sprzed piętnastu lat?

Znów wyjęła kopertę, popatrzyła na porządną charakter pisma, na swoje nazwisko wypisane oskarżycielsko w miejscu na dane adresata. Ten list był jej własną bombą zegarową, która tykała w czasie, gdy ona próbowała wymyślić sposób, aby ją rozbroić. Ta bomba już namieszała jej w życiu i będzie to robić dalej, jeśli jej nie unieszkodliwi. Żałowała, że to diabelstwo nie zginęło gdzieś w drodze. Że nie wypadło listonoszowi z torby, że wiatr go nie poniósł w siną dal, że pies nie poszarpał go w drobny mak. Westchnęła ciężko i wsunęła kopertę do książki z łamigłówkami. Nie była naiwna, wiedziała, że nie istnieje coś takiego jak „sprawiedliwość”. Mimo to, zamykając książkę i odkładając ją na bok, rozżaliła się na świat. To nie w porządku, że jej życie wykoleiło się dwukrotnie z powodu jednego błędu.



Rozwiązanie spłynęło na nią tuż przed zaśnięciem. Jak zawsze, zasypiając, widziała przed oczami dziewczynkę stojącą na tle jasno oświetlonych drzwi, wyciągającą rączki i wołającą swoją mamusię. Wtedy nagle oprzytomniała. Odpowiedź (a w tym stanie półsnu wydawało jej się, że jest to rozwiązanie wszystkich problemów) była tak prosta, że nie mogła uwierzyć, ile czasu zajęło jej znalezienie. Sześć tygodni. Komuś, kto uważał, że ma talent do rozwiązywania łamigłówek! Żałowała, że list do niej doszedł. Ale kto właściwie mógł to potwierdzić? Odrzuciła kołdrę, wyjęła kopertę z książki i nabazgrała popieszczeni na wierzchu: *Odbiorca zmienił adres*. Robiła to z taką werwą, że litery wyglądały jeszcze bardziej koślawo niż zwykle. *Zwrot do nadawcy*. Spojrzała na swoje dzieło i odetchnęła z ulgą. Natychmiast poczuła, jak rozluźniają jej się ramiona. Zwalczyła pokusę, by jeszcze raz popatrzeć na fotografię, i pieczołowicie zakleiła kopertę, aby nikt się nie zorientował.

Nazajutrz o świcie, kiedy Bertie i psy jeszcze spali, włożyła strój do joggingu i z kopertą w dłoni pobiegła cichymi, opustoszałymi ulicami w stronę jedynej skrzynki w mieście, po czym wysłała list w drogę powrotną do Londynu.

Biegając wzdłuż przylądka, uśmiechała się do siebie. Czowała przypływ nowej energii, a kiedy na różowym niebie wzeszło słońce, pławiła się beztrudnie w jego blasku z myślą, że cała niemiła historia została ostatecznie zamknięta. Właściwie mogła przecież w ogóle nie dostać tego listu. Bertie nigdy się nie dowie, jaki był prawdziwy powód jej przyjazdu do Kornwalii, a ona wróci spokojnie do pracy. Kiedy list nie będzie jej zatruwał myśli i zdrowego rozsądku, zamknie w końcu sprawę Baileyów raz na zawsze i wyjdzie z tego całego obłądu. Pozostało tylko powiedzieć Donaldowi.



Idąc drugi raz do miasta, żeby kupić dla dziadka gruszki, minęła punkt widokowy nad urwiskiem i ruszyła zachodnią ścieżką w kierunku placu zabaw. Był to bezsprzecznie piękny zakątek świata. Sadie rozumiała, czemu Bertie się w nim zakochał.

– Od pierwszej chwili to wiedziałem – powiedział z niespodziewanym zapałem. – W tym miejscu jest coś, co mnie po prostu przywoływało.

Uparł się, że w jego przeprowadzce maczała palce jakaś tajemnicza siła nadprzyrodzona, że było mu to po prostu pisane, a Sadie uśmiechała się tylko i kiwała głową, powstrzymując się od uwagi, że mało kto nie poczułby tu, że to miejsce go wzywało.

Wyjęła z kieszeni monety i zabrzęczała nimi niecierpliwie. Zasięg sieci komórkowej był w miasteczku niepewny, lecz w parku znajdował się automat telefoniczny i Sadie zamierzała skorzystać z okazji, że Bertie nie będzie jej słyszał. Wrzuciła monety do otworu i czekała, stukając kciukiem o wargę.

– Raynes – zaburczał w słuchawce jego głos.

– Cześć, Donald, mówi Sadie.

– Sparrow? Prawie cię nie słyszę. Jak urlop?

– Super – powiedziała. – Wypoczywam – dodała po chwili wahania, uznając, że pewnie ludzie zwykle mówią coś takiego, dzwoniąc z wakacji.

– To dobrze. To dobrze.

Coś zasyczało na linii. Żadne z nich nie przepadało za towarzyskimi pogawędkami, więc postanowiła od razu przejść do sedna.

– Słuchaj, przemyślałam sobie wiele rzeczy i mogę już wrócić.

Cisza.

– Do pracy – dodała dla pewności.

– Minął dopiero tydzień.

– Ale dużo mi się wyklarowało. Nabrałam dystansu. Wiesz, morskie powietrze i w ogóle.

– Wyraziłem się jasno, Sparrow. Cztery tygodnie, żadnych „ale”.

– Wiem, Don, ale posłuchaj... – Sadie obejrzała się przez ramię i zobaczyła kobietę kołyszącą dziecko na huśtawce. Zniżyła głos. – Wiem, że przekroczyłam granicę. Źle zrobiłam, działałam pochopnie i strasznie namieszałam. Miałeś rację, w grę wchodziło co innego, sprawy osobiste, ale to już zamknięte, załatwiłam je i...

– Poczekaj chwilę.

Usłyszała, że ktoś mówi do niego półgłosem, potem Donald mruknął coś w odpowiedzi, a po chwili wrócił do telefonu.

– Słuchaj, Sparrow, coś się tu dzieje.

– Naprawdę? Nowa sprawa?

– Muszę iść.

– Oczywiście, rozumiem. Chciałam tylko powiedzieć, że jestem gotowa...

– Źle cię słyszę. Zadzwoń za kilka dni, dobrze? W przyszłym tygodniu. Wtedy pogadamy.

– Ale ja...

Zaklęła w słuchawkę, bo na linii zaległa nagle cisza. Wygrzebała z kieszeni więcej drobnych, lecz kiedy wykręciła drugi raz, odezwała się poczta elektroniczna Donalda. Oczekała kilka sekund i spróbowała znowu. To samo. Nie nagrała wiadomości.

Usiadła na ławce. Kilka mew biło się o garść rozsypanych chipsów. Dziecko na huśtawce płakało, łańcuchy skrzypiały ze współczuciem. Sadie zastanawiała się, czy to możliwe, że Donald celowo nie odebrał jej kolejnych telefonów. Doszła do wniosku, że tak. Przemknęło jej przez głowę, że skoro siedzi przy automacie z monetami w kieszeni, to może zadzwoni do kogoś innego, ale stwierdziła, że lepiej nie. Niespokojnie machała nogami. Aż do bólu pragnęła wrócić do Londynu, gdzie mogła robić coś pożytecznego, coś więcej niż kupowanie gruszek dla dziadka. Wrzały w niej frustracja, niemoc i tłumione podniecenie. Dziecko na huśtawce ryczało już na cały głos, prężyło się i wykręcało, kiedy mama próbowała mu wytrzeć ubrudzoną buzię. Sadie miała chęć się do niego przyłączyć.

– Tanio sprzedam – powiedziała kobieta do Sadie, przewracając oczami jak wszyscy rodzice, kiedy żartują, że oddadzą swoje dziecko.

Sadie uśmiechnęła się blado i poszła dalej w stronę centrum miasta, gdzie wybierała w sklepie gruszki z takim namaszczeniem jak nigdy w życiu, oglądając każdą niczym podejrzanego w czasie konfrontacji, zanim w końcu podjęła decyzję i ruszyła z powrotem do domu.

Kamienny budynek biblioteki stał przy High Street i stanowił charakterystyczny punkt w krajobrazie między centrum miasta i domem dziadka. Mijała go wiele razy, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, aby wejść do środka. Nie należała do bywalców bibliotek. Za dużo tam książek, za dużo ciszy. Teraz jednak spojrzała na witrynę i aż wrosła w ziemię. Za szybą stała piramida powieści kryminalnych w czarnych oprawach, z nazwiskiem A.C. Edevane wytłoczonym na okładce grubymi srebrnymi literami. Znała oczywiście tę pisarkę, A.C. Edevane była jedną z niewielu autorek tego gatunku, które czytali policjanci. Kiedy Louise mówiła o rodzinie Edevane i ich domu nad jeziorem, Sadie nie dostrzegła początkowo powiązania. Teraz jednak, spoglądając na plakat wiszący nad wystawą i głoszący PIĘĆDZIESIĄTA POWIEŚĆ KORNWALIJSKIEJ PISARKI, poczuła znajomy dreszczyk, jaki towarzyszył jej zawsze, ilekroć zdarzyło jej się powiązać dwa pozornie odrębne elementy zagadki.

Bez namysłu weszła do budynku. W środku przywitał ją życzliwy mężczyzna o posturze karła. Zapewnił ją, że owszem, mają dział historii tutejszych okolic, i zapytał, czy chciałaby, aby jej pomógł znaleźć coś szczególnego.

– Szczerze mówiąc, tak – odparła, kładąc na stole torbę z gruszkami. – Chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej na temat pewnego domu. I pewnego dawnego śledztwa. I skoro już jestem przy tym temacie, to proszę mi polecić swoją ulubioną powieść A.C. Edevane.

Londyn, 2003

Biegąc do autobusu, Peter omal nie upuścił paczki. Ponieważ jednak przez całe życie był niezdarą, miał wprawę w łapaniu różnych upadających rzeczy, tak więc udało mu się przyszpilić ją łokciem do ciała, nie zwalniając biegu. Wyjął z kieszeni bilet, odgarnął z oczu zasłonę włosów i zobaczył jedno wolne miejsce.

– Przepraszam – powiedział w powietrzu, przeciskając się przejściem między siedzeniami. – Przepraszam. Dziękuję. Przykro mi. Przepraszam.

Przy oknie siedziała kobieta ze ściągniętymi surowo ustami i kiedy Peter klapnął ciężko na sąsiednim fotelu, zmarszczyła brwi nad otwartym „Timesem”, poprawiła się i westchnęła cicho, lecz wymownie, aby dać do zrozumienia, że wywołał niepożądane poruszenie i ferment. Peter zawsze podejrzewał siebie o wywoływanie takich efektów, nie poczuł się więc w najmniejszym stopniu urażony.

– Już myślałem, że będę musiał iść na piechotę – oznajmił wesoło, zsuwając torbę i paczkę na podłogę między nogami. – Do Hampstead dość daleko, zwłaszcza w taki upał.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, lecz zrobiła to tak kwaśno, że każdy inny człowiek, mniej dobroduszny niż on, uznałby to za niemiły grymas. Potem powróciła do lektury, potrząsając energicznie gazetą, aby wyprostować stronice. Taki sposób czytania oznaczał ostentacyjne ignorowanie obecności sąsiada, lecz Peter nie należał do postawnych osób i stwierdził, że jeśli wciśnie się w siedzenie, to stronice nie będą go dotykać. Co więcej, dzięki tej pozycji mógł przejrzeć nagłówki artykułów i może nawet dzięki temu nie wstępować do kiosku w Hampstead.

Alice oczekiwała od niego, że będzie na bieżąco śledził najnowsze wiadomości. Czasem wpadała w gadatliwy nastrój i stawała się zgłodniałą rozmówczynią, a wtedy nie tolerowała głupoty. To ostatnie oznajmiła mu pierwszego dnia pracy. Oczy jej się wtedy zwężyły, zupełnie jakby posiadała nadludzka zdolność przeświadczenia człowieka na wylot i wykrywania głupoty jednym spojrzeniem.

Peter zerknął na drugą stronę, rozłożoną uczynnie przez jego sąsiadkę na jego kolanach. Według ostatnich sondaży, zrównały się wyniki laburzystów i konserwatystów; w Iraku zastrzelono sześciu żołnierzy brytyjskiej żandarmerii wojskowej; mówi się, że Margaret Hodge zostanie pierwszym ministrem do spraw nieletnich. Przynajmniej sprawa Baileyów znikła z pierwszych stron gazet. To była okropna historia – dziecko pozostawione samo przez wiele dni, porzucone przez jedyną osobę, na którą miało prawo liczyć w każdej sytuacji. Któregoś popołudnia, kiedy o sprawie było najgłośniejsze, Peter wygłosił przy herbacie swoją opinię na ten temat i reakcja Alice bardzo go zaskoczyła. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w przestrzeń nad filiżanką, po czym odparła, że nie mają prawa nikogo osądzać, jeśli nie znają całej historii.

– Jesteś młody – ciągnęła. – Życie cię wyleczy z naiwnych idei. Jedyne, na co człowiek może liczyć, to na to, że na nikogo nie można bezwarunkowo liczyć.

Z początku Peterowi trudno było się oswoić z wszechobecną zgryźliwością Alice. Przez cały miesiąc żył w przeświadczeniu, że lada moment zostanie zwolniony, dopiero z czasem zrozumiał, że jego chlebodawczyni ma po prostu taką naturę, takie poczucie humoru – niekiedy sarkastyczne, lecz nigdy perfidne. Problem Petera polegał na tym, że traktował wszystko zbyt poważnie. Wiedział, że to skaza na charakterze, i bardzo się starał ją skorygować lub przynajmniej zamaskować. Nie zawsze szło mu łatwo; był taki, od kiedy sięgał pamięcią. Rodzice, bracia, wszyscy lubili śmiech i żarty i przez całe jego

dzieciństwo kręcili głowami, targali go po czuprynie i rechotali, ilekroć zbyt długo główkował nad jakimś dowcipem lub przycinkiem, i powtarzali, że jest głuptasem i że takiego kochanego wariatuńca musiała im podrzucić kukułka.

To określenie nieco Petera ubodło, ale nie za bardzo. Rzeczywiście był zawsze trochę inny i wcale nie chodziło o powagę. Jego dwaj starsi bracia byli postawnymi, krzepkimi chłopakami, którzy wyrosli na postawnych, krzepkich mężczyzn, stworzonych do gorzkiego, mocno chmielonego piwa i piłki nożnej. A obok nich stał Peter: wysoki, kościsty, blady, ze skłonnością do siniaków. Mama się dziwiła – lecz nie mówiła tego tonem zarzutu – że ona i tata mogli spłodzić takiego odmienca o delikatnej skórze i niepojętym upodobaniu do karty biblioteczej.

– Lubi czytać – mówili rodzice swoim przyjaciółom tym samym tonem, jakim oznajmiliby im zapewne, że został odznaczony Krzyżem Wiktorii.

Peter rzeczywiście lubił czytać. Zanim skończył osiem lat, przeczytał prawie wszystkie książki z działu dziecięcego biblioteki w Kilburn. Wyczyn ten mógłby się stać dla niego źródłem wielkiej dumy i powodem do świętowania, gdyby nie to, że był za mały, aby dostać upragnioną kartę dla dorosłych. Na szczęście, pani Talbot, przygryzając wargę i poprawiając tabliczkę z nazwiskiem przypiętą do cytrynowego sweterka, obiecała – a łagodny, miękki głos drżał jej lekko z ożywienia na myśl o szczytnym celu – że osobiście dopilnuje, aby nigdy nie zabrakło mu rzeczy do czytania. Dla Petera była czarodziejką, deszyfrantką tajemnych kodów, mistrzynią fiszek, katalogów i klasyfikacji dziesiętnej Deweya, strażniczką przejść do cudownych krain. A popołudnia spędzone w bibliotece, w zatęchłym, rozgrzanym przez promienie słoneczne kurzu tysięcy opowieści, były magiczne. I oto po dwudziestu latach, jadąc autobusem numer sto sześćdziesiąt osiem w stronę Hampstead Heath, Peter poczuł, jakby naprawdę znalazł się z powrotem między zbiorami czytelni w Kilburn. Aż mu nogi zaczęły podrygiwać, jak wtedy, kiedy miał dziewięć lat i ciało patykowate niczym żrebak. Od razu poprawił mu się nastrój, kiedy sobie przypomniał, jaki świat się wydawał wielki, pełen wspaniałych możliwości, a jednocześnie bezpieczny i przyjazny, gdy siedział zamknięty w tych czterech ceglanych ścianach.

Ryzykując kolejne udręczone westchnienie sąsiadki, schylił się do torby, aby wyjąć pamiątkowy folder z planem pogrzebu. Wcisnął go między okładkę a podniszczone kartki *Wielkich nadziei*, które czytał, aby uczcić pamięć pani Talbot, i teraz przyjrzał się uważnie uśmiechniętemu portretowi na okładce.

Kiedy Peter powiedział, że chciałby wziąć wolne we wtorek przed południem, żeby iść na pogrzeb, Alice wykazała typowe u siebie zainteresowanie. Zawsze była żarłocznie ciekawa wszystkich szczegółów jego życia. Niekiedy zasypywała go pytaniami, których można by się spodziewać raczej po kosmicie studiującym ludzki gatunek niż po jego osiemdziesięciosześcioletniej przedstawicielce. Z początku Peterowi, który po namyśle z pewnością uznałby swoje życie do tego momentu za tak zwyczajne, że prawie niezauważalne, zainteresowanie staruszki wydawało się kłopotliwe. Wolał czytać o życiu i dokonaniach innych ludzi, niż opowiadać o swoim. Lecz Alice nie należała do osób, które tolerują sprzeciw, on zaś z czasem oswoił się z jej pytaniami i odpowiadał na nie coraz swobodniej. Nie znaczy to, że nabrał przekonania o swojej ważności; zdawał sobie sprawę, że nie jest jedynym ani nawet wyjątkowym obiektem jej zainteresowania. W tym samym stopniu ciekawiły ją obyczaje lisów żyjących za szopą w jej ogrodzie.

– Na pogrzeb? – spytała, podnosząc żywo wzrok znad sterty książek, które podpisywała dla swego hiszpańskiego wydawcy.

– Pierwszy raz idę na czyjś pogrzeb.

– Na pewno nie ostatni – stwierdziła rzeczowo, kreśląc zawijasa na stronie tytułowej. – Człowiek gromadzi pogrzeby przez całe życie. Jak będziesz w moim wieku, okaże się, że więcej ludzi złożyłeś do grobu, niż możesz zaprosić na herbatę. Oczywiście to nieuniknione; nic dobrego nie wyniknie ze śmierci bez pogrzebu.

Petera przelotnie zaintrygowała ta uwaga, lecz zanim zdążył się nad nią zastanowić, Alice wróciła do indagacji.

– Ktoś z rodziny? Przyjaciel? To zawsze dużo smutniejsze, kiedy umierają młodzi ludzie.

Opowiedział jej wtedy o pani Talbot. Sam siebie zaskoczył, ile szczegółów pamiętał, ile dziwacznych drobiazgów, które utkwily w jego dziewięcioletniej pamięci. Delikatny zegarek ze złota o różowym odcieniu, zwyczaj pocierania kciuka palcem wskazującym, kiedy się nad czymś zastanawiała, piżmowo-różany zapach jej skóry.

– Przewodniczka – powiedziała Alice, unosząc srebrzyste brwi. – Mentorka. Miałeś wielkie szczęście. I przez cały czas utrzymywaliście kontakty?

– Niezupełnie. Przestałem ją widywać, kiedy poszedłem na studia.

– Ale ją odwiedzałeś.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Zbyt rzadko.

Prawdę mówiąc, ani razu jej nie odwiedził, ale wstydził się do tego przyznać. Wiele razy myślał o tym, żeby pójść do biblioteki, miał taki zamiar, lecz w życiu ciągle coś się działo i jakoś nigdy nie wyszło. Przypadkiem dowiedział się niedawno, że pani Talbot zmarła. Alice wysłała go do Biblioteki Narodowej i czekając, aż przyniosą mu z archiwum niemiecką książkę o truciznach, przeglądał biuletyn Stowarzyszenia Bibliotek Uniwersyteckich i Narodowych, kiedy jej nazwisko rzuciło mu się w oczy. Pani Talbot – Lucy Talbot, bo przecież naturalnie miała imię – przegrała walkę z rakiem; pogrzeb ma się odbyć we wtorek dziesiątego czerwca. Ta wiadomość uderzyła go jak grom z jasnego nieba. Nie wiedział nawet, że zachorowała. Choć tak naprawdę skąd miał wiedzieć? Powtarzał sobie, że takie jest życie, dzieci rosną i dojrzewają, a on za dużo o tym rozmyśla. Wspomnienia ubarwiły jego przyjaźń z panią Talbot. Wymyślił sobie, że łączyła ich szczególna więź, podczas gdy w rzeczywistości ona wykonywała tylko swoją pracę, a Peter był jednym z wielu dzieci, które przychodziły do biblioteki.

– Wątpię – odrzekła Alice, kiedy jej się zwierzył ze swoich refleksji. – Prawdopodobnie widywała tyle dzieci, z którymi nie miała żadnego szczególnego kontaktu, że to jedno nabrało dla niej wyjątkowego znaczenia.

Nie pochlebiał sobie, że Alice próbuje podbudować jego wiarę w siebie. Wypowiedziała w ten sposób swoją przemyślaną opinię, jak zawsze szczerze i otwarcie, a jeśli on poczuł się przy tej okazji obojętnym niegodziwcem... no cóż, to nie była jej sprawa.

Uznał, że na tym temat został zamknięty, lecz kilka godzin później, kiedy był pochłonięty przepisywaniem porannych akapitów na nowy komputer, Alice spytała:

– Dała ci kiedyś moją?

Peter podniósł wzrok znad pokreślonego maszynopisu. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że w ogóle jest w pokoju. Rzadko kręciła się w pobliżu, kiedy pracował; na ogół po południu wychodziła załatwiać jakieś tajemnicze sprawy, których celu nigdy nie wyjawiała.

– Twoja bibliotekarka. Dała ci kiedyś którąś z moich książek?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skłamać, lecz trwało to tylko sekundę. Alice umiała z daleka wyczuć nieszczerłość. Kiedy odparł, że nie, ku jego zdziwieniu wybuchła śmiechem.

– To też dobrze. Moich książek nie powinny czytać dzieci.

Co było niepodważalną prawdą. Alice pisała angielskie kryminały, ale nie było w nich żadnych jasnych punktów. Recenzenci nazywali takie powieści „psychologicznie dręczącymi” i „moralnie ambiwalentnymi”. Intrygowały co najmniej w tym samym stopniu zagadkami, kto popełnił zbrodnię, co motywami, które kierowały przestępcą. Jak Alice powiedziała w słynnym wywiadzie dla BBC, morderstwo samo w sobie nie jest zajmujące; to tylko popęd, który pcha do zabójstwa, pasja, furia i namiętność leżące u podłoża przerażających czynów nadają im tę zniewalającą siłę przyciągania. Umiała jak nikt inny uchwycić tę pasję i furie. Skinęła głową, kiedy dziennikarz przeprowadzający z nią

wywiad sformułował tę tezę, słuchała uprzejmie, gdy zasugerował, że „jak na jego upodobania, jest nieco zbyt wnikliwa”, po czym odrzekła:

– Oczywiście człowiek nie musi popełnić morderstwa, żeby o nim pisać, podobnie jak nie musi mieć wehikułu czasu, aby pisać o bitwie pod Agincourt. Wystarczy znajomość ciemnych zakamarków ludzkiej natury i skłonność do konsekwentnego ich zgłębiania. – Uśmiechnęła się prawie czarująco. – Poza tym czyż każdy z nas choć raz w życiu, przez krótką chwilę, nie poczuł chęci, by kogoś zabić?

Po tym wywiadzie sprzedaż jej książek wystrzeliła pod niebiosa. Co nie znaczy, że tego potrzebowała. Odnosiła sukcesy od kilkadziesiąt lat. Nazwisko Edevane stało się symbolem całego gatunku powieści kryminalno-detektywistycznych, a zgryźliwego Diggory’ego Brenta, byłego żołnierza z zamiłowaniem do patchworków, tysiące czytelników pokochało bardziej niż własnych ojców. To, co powiedział Peter, nie było przesadą; „Sunday Times” w ostatnich badaniach zadało czytelnikom to pytanie i odpowiedzi potwierdziły to ponad wszelką wątpliwość.

– Znamienne – orzekła Alice po rozmowie ze swoim wydawcą, który zadzwonił, aby jej przekazać nowiny. – Z pewnością nie o to mi chodziło – dodała, żeby Peter nie pomyślał przypadkiem, że zależy jej na zadowalaniu publiczności.

Nigdy się jej nie przyznał, że nie przeczytał ani jednej z jej książek, dopóki nie zaczął u niej pracować. W ogóle czytał niewiele literatury współczesnej. Pani Talbot, która bardzo poważnie potraktowała swoją rolę dealera niedozwolonych książek dla dorosłych, zastanawiała się długo, czy najlepszym początkiem nie byłyby pozycje popularnonaukowe (bo jaką szkodę, argumentowała na głos, mogą wyrządzić dziecięcemu umysłowi książki historyczne?), w końcu jednak uznała, że najważniejszy jest solidny fundament z dzieł klasycznych, i sięgnęła na półkę po *Wielkie nadzieje*. Zapalał miłością do lamp gazowych, surdutów i powozów konnych i nigdy nie oglądał się za siebie (a prawdę mówiąc, nie za często również patrzył przed siebie).

Co ciekawe, tym, co ostatecznie scementowało związek Petera z Alice, była jego niegasnąca fascynacja powieścią dziewiętnastowieczną. Po skończeniu studiów stanął na rozdrożu – rynek pracy nie oferował zbyt wiele ludziom, którzy uzyskali tytuł magisterski, pisząc pracę zatytułowaną *Figuratywne konstelacje, czyli iluminacja, indywidualizm oraz wrażliwość w powieści wiktoriańskiej 1875–1893*. Postanowił poświęcić lato na ułożenie jakiegoś planu. Musiał jednak z czegoś płacić czynsz, więc dorabiał, pomagając bratu w firmie dezynsekcyjnej. Alice zadzwoniła w poniedziałek rano. Usłyszała w ścianie złowrogie tykanie i przez cały weekend nie mogła spać. Zażądała, aby ktoś to natychmiast sprawdził.

– Staruszka bywa jadowita – ostrzegł Petera David, kiedy wyskoczyli z samochodu na Heath Street i ruszyli w kierunku domu Alice. – Ale dość nieszkodliwa. Wzywa mnie i opowiada, co, jej zdaniem, tam znaję. A najdziwniejsze, że zwykle ma rację.

– Podejrzewam, że to tykotek rudowłosy – oznajmiła, kiedy David postawił swój sprzęt pod ścianą w jej sypialni i przyłożył do gipsowej powierzchni szklaną słuchawkę. – *Xestobium...*

– ...*rufovillosum* – wymamrotał równocześnie Peter. – *Serce oskarżycielem* – dodał, widząc, że David gapi się na niego, jakby zaczął gadać brzuchem.

Zapadła krótka chwila powściągliwej ciszy.

– Kto to jest? – spytała w końcu Alice głosem, jakim przemówiłaby królowa, lustrując przebieg czynności dezynsekcyjnych w pałacu. – Nie pamiętam, żeby miał pan pomocnika, panie Obel.

David wyjaśnił, że nie ma pomocnika i że Peter jest jego bratem, który na razie pomaga mu w firmie i zastanawia się, co robić po studiach.

– Potrzebował przerwy od tych wszystkich książek – dodał. – Zrobił się za mądry, żeby wyszło mu to na zdrowie.

Alice prawie niedostrzegalnie skinęła głową, po czym wyszła. Jej kroki dudniły w korytarzu, kiedy wchodziła po schodach na strych. Później Peter się dowiedział, że mieści się tam jej gabinet.

Kiedy siedzieli w zadymionym kącie baru Pod Psem i Gwizdkiem, David szturchnął go w ramię.

– Obudziłeś smoka i przeżyłeś. Będziesz miał o czym opowiadać wnukom. – Dopił piwo i zbierając lotki. – A tak w ogóle, to o co chodziło z tym sercem?

Peter opowiedział mu o Poem i jego bezimiennym narratorze, o precyzji, z jaką zaplanował morderstwo, o rzekomym zdrowiu psychicznym i w końcu o tym, jak wyrzuty sumienia doprowadziły go do wyznania prawdy. W tym czasie David, niewykazujący zrozumienia dla literatury gotyckiej, trafił jedną dziesiątkę po drugiej. Kiedy skończyły mu się lotki, zazartował, że na szczęście Alice nie замуrowała Petera w ścianie.

– Wiesz, że ona się właśnie tym zajmuje? Morderstwami. Nie prawdziwymi, rzecz jasna, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, ale na papierze.

List od Alice przyszedł tydzień później razem z czekiem za usługi dezynsekcyjne. Napisano go na maszynie z wadliwie działającą literą „e” i podpisano granatowym atramentem. Wiadomość brzmiała prosto i bezpośrednio. Alice przeprowadza właśnie rozmowy z kandydatami na zastępstwo dla jej asystenta, którego zatrudnia na stałe. Może się spotkać z Peterem w piątek w południe.

Dlaczego zjawił się posłusznie o wyznaczonej porze? Teraz już nie pamiętał, lecz późniejsze doświadczenie nauczyło go, że ludzie zwykle bez sprzeciwu wykonywali polecenia Alice Edevane. Zadzwonił w południe do drzwi i został wpuszczony do salonu na parterze, urządzonego w jadeitowozielonym kolorze. Alice miała na sobie spodnie z diagonalu i jedwabną bluzkę, które teraz uważał za jej mundurek, na szyi nosiła duży złoty medalion. Siwe włosy zaczesywała gładko do tyłu i układała w posłuszne fale. Usiadła za mahoniowym biurkiem, gestem dała mu znać, żeby zajął miejsce na wyściełanym krześle po drugiej stronie, po czym złożyła dłonie i przystąpiła do serii pytań, które sprawiały wrażenie kompletnie niepowiązanych ze stanowiskiem, które miał zająć. Nagle w samym środku jego odpowiedzi spojrzała ostro na zegar okrętowy stojący na kominku, podniosła się i wyciągnęła rękę. Do tej pory pamiętał, jak zaskakująco chłodna i koścista była jej dłoń. Rozmowa skończona – oznajmiła krótko. Ma teraz ważne sprawy, którymi musi się zająć. Może zacząć pracę od przyszłego tygodnia.

Autobus numer sto sześćdziesiąt osiem zwolnił i zjechał do krawężnika na końcu Fitzjohn’s Avenue. Peter zebrał swoje rzeczy. Rozmowa z Alice odbyła się trzy lata temu. Zatrudniona na stałe osoba z tajemniczych przyczyn nigdy nie wróciła do pracy, a Peter do tej pory nie odszedł.



Alice pracowała nad szczególnie zagmatwaną sceną podróży bohatera. To były zawsze najtrudniejsze fragmenty, pozornie bez znaczenia, i właśnie dlatego, zdawałoby się, proste zadanie przeniesienia postaci z ważnego punktu A do ważnego punktu B bez tracenia uwagi czytelnika nastroczało najwięcej kłopotów. Nigdy nikomu się do tego nie przyznała, a już na pewno nie prasie, lecz nawet teraz, po napisaniu czterdziestu dziewięciu powieści, zdarzało jej się utknąć przy tych przeklętych scenach.

Wsunęła okulary głębiej, podniosła przycisk papieru w maszynie do pisania i ponownie przeczytała ostatnią linijkę: *Diggory Brent wyszedł z kostnicy i ruszył w drogę powrotną do swego biura.*

Związłe, klarowne i precyzyjne, kolejne wersy powinny być równie bezpretensjonalne. Znała zasadę: podsunąć mu myśli istotne dla wątku powieści, od czasu do czasu aktualizować informacje o postępach w podróży, aby przypomnieć czytelnikowi, że je robi, i wreszcie ostatnie zdanie doprowadzające go pod drzwi, gdzie... *voilà!*, czeka następna niespodzianka, która ma popchnąć dalej fabułę.

Kłopot polegał na tym, że napisała już chyba każdy scenariusz, jaki mogła wymyślić, i była znudzona. Nie przywykła do tego uczucia i nie miała najmniejszego zamiaru mu folgować. Jej mama

zawsze powtarzała, że należy się litować nad ludźmi, którzy się nudzą, bo nuda jest domeną głupców. Z dłońmi zawieszonymi nieruchomo nad klawiaturą Alice zastanawiała się, czy nie wpleść w tym miejscu rozmyślań nad fragmentem narzuty, nad którym obecnie pracował; może jakąś alegorię, symbol niespodziewanego zwrotu akcji, jaki nastąpił w sprawie.

Te niewielkie kwadraty materii okazywały się niewiarygodnie użyteczne. Niejednokrotnie wyciągnęły ją z oparów. I pomyśleć, że ich źródłem był banalny zbieg okoliczności. Od dłuższego czasu zastanawiała się wtedy, jakim hobby obdarzyć Diggory'ego, które odzwierciedliłoby jego upodobanie do wzorów i deseni, kiedy jej siostra Deborah zaszła w ciążę i z nietypowym dla siebie zacięciem chwyciła do ręki igłę.

– To mnie odpręża – oznajmiła. – Odwraca myśli od zmartwień o wszystkim, co może się nie udać.

Alice doszła do wniosku, że jest to idealna, kojąca czynność, jaką człowiek w rodzaju Diggory'ego Brenta może wykonywać, aby zapełnić długie wieczorne godziny, które kiedyś wypełniała mu rodzina. Krytycy niezmiennie utrzymywali, że wymyślając mu takie hobby, Alice próbowała złagodzić ostre krawędzie kanciastego charakteru swego detektywa, ale to nieprawda. Lubiła ostre krawędzie i ludzie, którzy za wszelką cenę usiłowali się ich pozbywać, budzili jej głęboką podejrzliwość.

Diggory Brent wyszedł z kostnicy i ruszył w drogę powrotną do swego biura. I co dalej? Palce Alice znieruchomiały nad klawiszami. Idąc, zastanawiał się... Nad czym?

Miała w głowie pustkę.

Sfrustrowana, opuściła przycisk papieru, zdjęła okulary i pozwoliła, by jej uwaga podryfowała w kierunku błękitnego nieba za oknem. Był ciepły czerwcowy dzień. W dzieciństwie w taki dzień nie potrafiła się oprzeć pokusom zewnętrznego świata, zapachom wiciokrzewu i liści rozgrzanych słonecznymi promieniami, tykaniu schnącego betonu i świerszczy przyczajonych w chłodnym poszyciu. Lecz Alice wiele lat temu przestała być małą dziewczynką i niewiele było miejsc, do których pragnęłaby się przenieść, nawet kiedy opuszczała ją inwencja twórcza.

Jej gabinet mieścił się na poddaszu wiktoriańskiego szeregowca z czerwonej cegły stojącego przy Holly Hill. Był to mały pokój ze skośnym sufitem i, według słów agenta nieruchomości, poprzedni właściciel zamykał w nim swoją matkę, która stała się dla niego ciężarem. Alice cieszyła się, że nie ma dzieci. Wybrała ten dom z powodu tego pokoju, choć oczywiście nie ze względu na nieszczęsną przeszłość jego dawnej mieszkanki. Miała dość tragicznych historii we własnej rodzinie i była odporna na ludzką głupotę, która myliła historię z romanssem. Do kupna tej nieruchomości skłoniło ją umiejscowienie gabinetu. Przypominał orle gniazdo, wieżę strażniczą.

Z miejsca, gdzie siedziała, mogła patrzeć na wrzosowiska Hampstead, na kąpieliska i wieżyczki Highgate. Za jej plecami przez mały okrągły świetlik widać było gęsty ogród, omszały ceglany mur i drewnianą szopę, które wytyczały granicę posesji. Zielony gąszcz na terenie działki Alice zawdzięczała poprzedniej właścicielce, która pracowała w królewskich ogrodach botanicznych i z wielkim zaangażowaniem tworzyła na tyłach własnego domu Ogród Ziemijskich Rozkoszy. Pod opieką nowej właścicielki roślinność mogła tam rosnąć żywiołowo, bez żadnych ograniczeń, nie wskutek zaniedbania, lecz dlatego że Alice uwielbiała las i wolała przestrzeń, która buntowała się przeciwko rygorystycznej kosmetyce.

Na dole zazgrzytał zamek w drzwiach i zatrzeszczały deski. Potem rozległ się głuchy łomot, jakby coś upadło na podłogę. Peter. Nie był niezdarą w ścisłym tego słowa znaczeniu, tyle tylko, że jego długie kończyny zawsze wchodziły mu w drogę. Alice zerknęła na zegarek i stwierdziła zaskoczona, że minęła druga. Nic dziwnego, że zgłodniała. Splotła palce i rozprostowała ramiona. Wstała zniecierpliwiona, zła, że strwoniła cały poranek na przeprowadzanie Diggory'ego Brenta z punktu A do punktu B, lecz wiedziała, że na nic zdadzą się nerwy. W ciągu pięćdziesięciu lat pracy twórczej zdążyła się nauczyć, że bywają dni, kiedy najlepsze, co można zrobić, to odejść od klawiatury. Diggory Brent będzie musiał spędzić noc na ziemi niczyjej między kostnicą a biurem. Umyła ręce w małej umywalce pod oknem,

wytarła je ręcznikiem, po czym ruszyła wąskimi schodami na dół.

Oczywiście wiedziała, skąd się biorą jej problemy, i w żadnej mierze nie sprowadzało się to do nudy. Wszystko przez tę przeklętą rocznicę i pompę, jaką zamierzają urządzić z tej okazji jej wydawcy. Był to niewątpliwie zaszczyt, dyktowany najlepszymi intencjami, i w normalnych okolicznościach nie miałaby nic przeciwko niewielkiej uroczystości zorganizowanej na jej cześć, ale książka posuwała się fatalnie. Przynajmniej tak jej się zdawało, bo skąd tak naprawdę mogła to wiedzieć? To zresztą przysparzało jej dodatkowych zmartwień. Jej aktualna redaktorka, Jane, była inteligentna i pełna entuzjazmu, lecz także młoda i bezkrytyczna. Alice nie mogła się po niej spodziewać zdrowego, twórczego krytycyzmu.

W chwilach największego zwątpienia obawiała się, że nie będzie nikogo, kto by ją ostrzegł, kiedy poziom jej książek zacznie dramatycznie spadać. A nie miała wątpliwości, że prędzej czy później tak się stanie. Śledziła na bieżąco twórczość innych pisarzy jej pokolenia i wiedziała, że zawsze do tego dochodziło: autor tracił wycucie współczesnego świata, jego umysłowości i zwyczajów. Nie zawsze było to rażące – czytelnicy mogli przymknąć oko na zbyt wyczerpujące objaśnienia technicznych zawłości czy użycie pełnej formy, kiedy powszechnie używano skrótu, lecz to wystarczało, by całość wyglądała nieprzekonująco. Alice zawsze szczyliła się żywym realizmem swych utworów, za który przez całe życie obsypywano ją deszczem komplementów, i myślała, że pozwolono by jej na publikację książek, w których nie stanęła na wysokości zadania, mroziła jej krew w żyłach.

Dlatego właśnie codziennie po południu wsiadała do metra i jeździła w najróżniejsze miejsca, gdzie nie miała żadnych spraw do załatwienia. Przez całe życie ludzie budzili jej nienasyconą ciekawość. Nie zawsze ich lubiła, rzadko spotykała się z nimi w celach towarzyskich, ale ją fascynowali. A nie ma lepszego miejsca, w którym można obserwować ludzi, niż podziemne labirynty metra. Przewijał się przez nie cały Londyn – nigdy niemalejący strumień ludzkości w całej różnorodności postaci i form, wśród których przemykała jak duch. Starość jest poniżająca, lecz siwizna działa jak peleryna niewidka – dar od upływających lat. Nikt nie zauważał drobnej staruszki siedzącej skromnie w kącie wagonu z torebką na kolanach.

– Cześć, Alice! – zawołał Peter z kuchni. – Za moment będzie lunch.

Przystanąła na pierwszym piętrze i otworzyła usta, lecz nie potrafiła się zmusić, aby odkrzyknąć. Nadal zbyt głośno dzwoniły jej w uszach echa dawnych wykładów matki na temat manier i dobrego wychowania. Cała Eleanor, pomyślała Alice, schodząc po ostatnich stopniach; prawie siedemdziesiąt lat minęło od czasu, gdy mieszkały pod jednym dachem, a ona nadal ustalała zasady, nawet tutaj, w domu, którego nie widziała na oczy. Alice zastanawiała się często, w jaki sposób mama wpłynęłaby na jej życie, gdyby nie zmarła tak wcześnie, czy zaakceptowałyby karierę pisarską Alice, brak męża? Eleanor miała bardzo niewzruszone poglądy na temat monogamii oraz obowiązujących w niej zasad lojalności, lecz ona wyszła za człowieka, w którym zakochała się w młodości, więc nie było to całkiem uczciwe porównanie. We wspomnieniach Alice mama wyrastała na posagową postać bez skazy, sylwetkę tak bardzo wtopioną w odległą przeszłość, że nie sposób było sobie wyobrazić, by mogła płynąć z prądem zmieniającego się czasu. Dla niej pozostała piękną, nieskałaną damą, ukochaną, lecz daleką, kruchą, bo utraconą, jedyną osobą, za którą niekiedy tęskniła z bolesnym pragnieniem zranionego dziecka.

Poza tymi rzadkimi chwilami Alice była osobą niezależną i zwykle nie potrzebowała pomocy innych. Przez większą część dorosłego życia mieszkała sama i ani się tego nie wstydziła, ani tym nie szczyliła. Miewała kochanków, każdy z nich przestępował jej próg ze swoimi ubraniami i szczoteczkami do zębów, niektórzy zostawali na dłużej, nigdy jednak nie wydłużyła oficjalnego zaproszenia, nigdy też nie pozwoliła sobie na zmianę myślenia z „mój dom” na „nasz dom”. Była raz zaręczona, lecz druga wojna światowa położyła kres narzeczeństwu, tak jak zrobiła z wieloma innymi rzeczami. Takie jest życie – drzwi do nieskończonych możliwości nieustannie się otwierają lub zamykają, a człowiek przechodzi przez nie na oślep.

Weszła do kuchni i zobaczyła na piecyku parujący rondel, a po drugiej stronie stołu Petera stojącego przed plikiem otwartej korespondencji. Podniósł głowę, kiedy stanęła w drzwiach.

– Dzień dobry – powiedział dokładnie w chwili, gdy na blacie zadzwonił minutnik. – Jak zawsze masz perfekcyjne wyczucie czasu.

Miał bardzo ładny, szczerzy uśmiech. Był on jednym z powodów, dla których go zatrudniła. Drugim było to, że jako jedyny przyszedł w wyznaczone miejsce o wyznaczonej porze. Potem okazał się bardzo kompetentnym asystentem, co Alice bynajmniej nie dziwiło; uważała się za znawczynię ludzkich charakterów, i tym razem również miała rację, choć w przeszłości zdarzało jej się popełniać błędy, bardziej lub mniej niefortunne.

– Jest coś ważnego? – spytała, siadając przed gazetą, którą zostawiła rano otwartą na krzyżówce.

– Angus Wilson z „Guardiana” chciałby coś napisać z okazji rocznicy. Jane prosi, żebyś się zgodziła.

– Nie wątpię.

Nalała sobie świeżo zaparzonego darjeelinga.

– Muzeum Historii Naturalnej prosi, żebyś wygłosiła mowę podczas otwarcia wystawy. Przyszło też zaproszenie do uczestnictwa w wieczorze organizowanym dla uczczenia dziesięciu lat od wejścia na rynek *Śmierć ma swój dzień* oraz kartka od Deborah z potwierdzeniem piątkowego spotkania w rocznicę śmierci twojej mamy. Reszta, jeśli dobrze widzę, to listy od czytelników. Zacznę je przeglądać po lunchu.

Skinęła głową, kiedy Peter postawił przed nią talerz z gotowanym jajkiem na toście. Od dwudziestu lat lunch Alice wyglądał tak samo, naturalnie z wyjątkiem dni, kiedy jadała poza domem. Doceniała efektywność, jaką zapewniało trzymanie się rutyny, lecz nie była jej niewolnikiem, w przeciwieństwie do Diggory’ego Brenta, który służył z tego, że instruował kelnerki, jak mają przyrządzić mu jajka. Wyłożyła na tost półmiękkie żółtko i rozkroiła go na cztery części, obserwując, jak Peter sortuje korespondencję.

Nie był zbyt rozmowny, co uznawała za zaletę, chociaż ta małomówność trochę drażniła, kiedy chciała usłyszeć jego opinię na jakiś temat, mimo to wolała go od poprzednich, bardziej wygadanych asystentów. Podobały jej się jego długie włosy, w każdym razie dłuższe niż u większości mężczyzn. Z patykowatymi, chudymi członkami i ciemnobrązowymi oczami wyglądał jak jeden z tych brytyjskich muzyków pop, chociaż może to za sprawą wyjątkowo oficjalnego stroju, jaki miał tego dnia na sobie – ciemnej aksamitnej marynarki. Wtedy przypomniła sobie, że przecież był na pogrzebie swojej zaprzyjaźnionej bibliotekarki. Od razu poweselała i niecierpliwie wyczekiwała na relację. Słuchała jak rażona piorunem, kiedy opowiedział jej o swojej mentorce i przewodniczącej po świecie literatury. W jednej chwili stanął jej w pamięci pan Llewellyn. Rzadko o nim rozmyślała; to, co ich łączyło, tak mocno kojarzyło się z tym okropnym latem trzydziestego trzeciego, że obiecała sobie tego nie robić, lecz kiedy Peter opowiadał o pani Talbot, o zainteresowaniu, jakim go obdarzyła, gdy był chłopcem, o tym, jaki wpływ miała na jego życie, opadły ją wspomnienia pełne głęboko skrywanych emocji: zapach mułu rzecznego, brzęczenie wodnych owadów, przejażdżki starą łodzią wiosłową po rzece, dyskusje o ulubionych opowieściach. Nigdy potem nie czuła tak błogiego zadowolenia jak wtedy.

Upiła łyk herbaty, odsuwając od siebie nieproszone myśli o przeszłości.

– A więc pożegnałeś przyjaciółkę? Czy było tak, jak się spodziewałeś?

– Chyba tak. Smutno, lecz w pewnym sensie ciekawie.

– W jakim sensie?

Peter zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Znałem ją tylko jako panią Talbot. Tymczasem słyszałem, jak wypowiadają się o niej inni ludzie: mąż, syn... To było bardzo poruszające. – Odgarnął z oczu grzywkę. – Niezbyt mądrze to brzmi, prawda? Truizm... – Spróbował jeszcze raz. – Znałem tylko małą część jej życia, a ona była kimś więcej, z przyjemnością o tym słuchałem. Ludzie są fascynujący, prawda? Im więcej człowiek się dowiaduje o tym, co ich nakreśla, tym się stają ciekawsi.

Uśmiechnęła się lekko na znak, że się z nim zgadza. Odkryła w życiu, że bardzo niewiele ludzi jest naprawdę nudnych. Sztuka polega na tym, aby zadawać odpowiednie pytania. Stosowała ten zabieg, tworząc postaci do swoich książek. Wszyscy wiedzą, że najlepszym sprawcą zbrodni jest osoba, której czytelnik w ogóle nie podejrzewa, lecz kluczem do fabuły jest motyw. Owszem, można zaskoczyć czytelników postacią wiekowej babci o morderczych skłonnościach, lecz uzasadnienie przestępstwa musi być nieprzemakalne. Miłość, nienawiść, zazdrość – wszystkie te motywy są równie wiarygodne, sedno tkwi w pasji. Odkryj, co wzbudziło namiętność bohatera, a reszta przyjdzie sama.

– Hm, mam tu coś innego niż zwykle – powiedział Peter.

Wrócił już do pracy i otworzywszy jeden z listów, ściągnął ciemne brwi.

Herbata Alice nabrała nagle goryczy. Nikt nie jest całkiem odporny na krytykę.

– Czy to jeden z „tych”?

– Od policjantki, niejakiej detektyw Sparrow.

– Ach, więc to jeden z tych.

Alice wiedziała z doświadczenia, że są dwa rodzaje policjantów: tacy, na których można liczyć, że pomogą w procesie twórczym, w sprawach dotyczących policyjnych procedur śledczych, oraz mędrki, które czytały jej książki tylko po to, aby wytykać błędy i trudności po tym, jak powieść już się ukazała.

– I jakąż to perełką kryminologicznej mądrości pani detektyw Sparrow uznała za stosowne się z nami podzielić?

– Nie, to nic w tym rodzaju. Ona nie jest czytelniczką, pisze do ciebie w związku z pewną prawdziwą sprawą zaginięcia.

– Niech zgadnę. Wpadła na genialny pomysł i uznała, że jeśli go wykorzystam w książce, podzielimy się zyskami po połowie?

– Zaginione dziecko – ciągnął Peter – w latach trzydziestych. Majątek w Kornwalii, sprawa, której nigdy nie wyjaśniono.

Do końca swoich dni Alice nie będzie potrafiła wyjaśnić, czy naprawdę w pokoju zrobiło się nagle tak zimno – może za sprawą chłodnego wiatru, który powiał od wrzosowiska – czy też zadziałał jej wewnętrzny termostat; bałwan morski z przeszłości uderzył w nią niczym spiętrzona fala czekająca przez dziesiątki lat na odpowiedni przypływ. Oczywiście wiedziała dokładnie, o czym mowa w liście, wiedziała też, że nie ma on nic wspólnego ze zgrabnymi, zmyślonymi historyjkami, które opisywała w książkach.

Taka zwyczajna kartka papieru, pomyślała, cienka i tania, w przeciwieństwie do tych, na których czytelnicy zwykle piszą do niej listy. Z pewnością jej bohaterka wybrałaby inną papeterię, aby napisać zdania niosące tak potężny ładunek wybuchowy z odległej przeszłości.

Peter czytał teraz na głos i chociaż Alice wolałaby, żeby przestał, nie umiała znaleźć słów, aby go uciszyć. Słuchała, jak przekazuje sumienne i nader miarodajne podsumowanie znanych okoliczności tej zamierzchłej sprawy, zaczerpnięte zapewne z archiwów prasowych albo tej żalostnej książki pana Pickeringa. Jak widać, nic nie mogło powstrzymać ludzi od szperania w publicznych archiwach, od wysyłania listów do osób, których nie znali, od przywoływania bolesnej przeszłości przy stole jadalnym, chociaż ich odbiorcy uczynili wszystko, co w ich mocy, aby nie wracać do tych miejsc i czasów.

– Pisze, jakby była przekonana, że wiesz, o co chodzi.

Z pamięci Alice, jeden po drugim, wyłaniały się obrazy niczym rozdawane karty z talii: członkowie z ekipy poszukiwawczej brodzący po kolana w połyskującym jeziorze; gruby policjant, spocony w dusznej bibliotece; jego młody zastępca sporządzający naprędce notatki; rodzice o poszarzałych twarzach, pozujący przed fotografem z lokalnej gazety. Czuła na plecach dotyk chłodnej szyby, kiedy stała oparta o drzwi balkonowe i robiło jej się słabo z powodu tajemnicy, której nie potrafiła wyjawic, wyrzutów sumienia dręczących ją od tamtej pory przez całe życie.

Zauważyła, że dłoń jej drży niedostrzegalnie, i postanowiła zapamiętać to zjawisko na okazję, kiedy

będzie następnym razem opisywać lodowaty wstrząs, spadający nagle na człowieka, który przez całe życie uprawiał się w zachowywaniu pozorów opanowania. Położyła zdradliwe dłonie na kolana i ścisnęła je mocno, po czym wysuwając rozkazująco brodę, powiedziała:

– Wyrzucić go do kosza.

Jej głos był zaskakująco spokojny, niewiele z żyjących jeszcze osób potrafiłoby w nim wyłowić ledwo zauważalne napięcie.

– Nie chcesz, żebym odpowiedział?

– Chyba nie ma sensu, prawda? – Patrzyła mu prosto w oczy. – Obawiam się, że detektyw Sparrow zwyczajnie się pomyliła. Wzięła mnie za kogoś innego.

Kornwalia, 25 czerwca 1933

Mężczyzna coś mówił. Usta się poruszały, słowa latały jak pszczoły, lecz Eleanor nie potrafiła ich wychwycić, nie potrafiła znaleźć w nich sensu. Raz na jakiś czas któreś z nich docierało do jej świadomości: znikło... zabłądziło... zginęło... Jej głowę wypełniała mgła, błogosławiona mgła – zadbał o to doktor Gibbons.

Chłodna kropla potu spłynęła jej za kołnierz, a potem dalej między łopatki, aż Eleanor zadrżała, a Anthony, który siedział obok niej, objął ją mocniej, ale nadal bardzo łagodnie. Położył wielką dłoń na jej szczupłych palcach. Kiedyś dotyk tej dłoni był taki znajomy, lecz dziś, za sprawą koszmarnych wydarzeń, wydawał się obcy. Spozstrzegęła szczegóły, których nigdy wcześniej nie zauważyła – włoski, zmarszczki i jasnoniebieskie żyłki biegnące pod skórą niczym ścieżki na mapie.

Upały się nie skończyły. Burza, na którą się zносиło, nie nadciągnęła. Przez całą noc grzmiało, lecz potem nawałnica przetoczyła się nad morze. I dobrze, stwierdził policjant, bo deszcz zatarłby ślady. Ten sam młodszy funkcjonariusz podszeptał im, że rozmowa z dziennikarzami mogłaby odnieść pożądany skutek.

– Tysiące oczu będą patrzeć w naszą stronę i szukać waszego chłopca.

Eleanor była chora z trwogi, sparaliżowana przez lęk; na szczęście Anthony wziął na siebie ciężar rozmowy z dziennikarzami. Słyszała jego głos, jakby dochodził z bardzo daleka. Tak, chłopiec jest mały, nie skończył jeszcze jedenastu miesięcy, ale wcześniej zaczął chodzić, wszystkie dzieci w rodzinie Edevane’ów szybko zaczynają chodzić. Raczej szczupły, silny i zdrowy... ma jasne włosy i niebieskie oczy... oczywiście, że mogą dostarczyć zdjęcie.

Przez okno Eleanor widziała zalany słońcem ogród i jezioro. Kręcili się tam ludzie, policjanci w mundurach, a także mężczyźni, których nie znała. Część stała na brzegu, lecz kilku brodziło w wodzie. Powierzchnia jeziora była tego dnia gładka jak szkło – wielkie srebrne lustro z mętnym, kołyszącym się odbiciem nieba. Kaczki odleciały, mężczyzna w czarnym kombinezonie do nurkowania i goglach na oczach przez cały ranek przeszukiwał z łodzi toń jeziora. Ktoś mówił, że tak robią na początku, a potem używają haków.

Kiedy Eleanor była dziewczynką, miała własną małą łódkę. Kupił ją tata i kazał wymalować na burcie jej imię. Łódka wyposażona była w komplet drewnianych wiosł i biały, ręcznie szyty żagiel. Prawie każdego ranka pływała nią po jeziorze. Pan Llewellyn nazywał ją Eleanor Poszukiwaczką Przygód. Machał jej z brzegu szkicownikiem i wymyślał różne historie o jej podróżach, a potem opowiadał je przy stole podczas lunchu. Eleanor klaskała, tata śmiał się w głos, a mama uśmiechała się z ponurym zniecierpliwieniem.

Jej matka, Constance, traktowała pana Llewellyna i jego historie z pogardliwym lekceważeniem. Nie znosiła w ludziach żadnych przejawów wrażliwego usposobienia, nazywała je „słabością charakteru”, a pan Llewellyn z pewnością był w porównaniu z nią wrażliwą duszą. Przeżył kiedyś załamanie nerwowe i do tej pory zdarzały mu się napady melancholii. Constance patrzyła na te sytuacje z pogardą. Nie lubiła także tego, co uważała za „niezdrowe zainteresowanie”, jakie jej mąż okazywał córce. Tyle skoncentrowanej uwagi może tylko zepsuć dziecko, które i bez tego wykazuje „niepokojąco buntowniczego ducha”. Poza tym są lepsze rzeczy, na które może wydawać pieniądze. Te słowa powtarzały się między nimi niczym refren, pieniądze lub ich brak, rozbieżność pomiędzy życiem, które

wiedli, a tym, jakiego Constance pragnęła. Eleanor często słyszała wieczorami, jak się kłócili w bibliotece: ostry głos mamy i łagodne, pojednawcze odpowiedzi taty. Czasami się zastanawiała, jak on wytrzymuje tę nieustanną krytykę.

– Miłość – odrzekł pan Llewellyn, kiedy Eleanor podzieliła się z nim swoim spostrzeżeniem. – Nie zawsze mamy wybór, kogo, gdzie i jak kochamy, a miłość daje nam odwagę, by dźwigać ciężary, o jakie nigdy byśmy siebie nawet nie podejrzewali.

– Pani Edevane?

Eleanor otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzi w bibliotece na sofie, a Anthony cały czas trzyma ją czule za rękę. Zdziwiła ją przelotnie obecność mężczyzny siedzącego naprzeciwko nich z małym kołonotatnikiem w ręku i ołówkiem zatkniętym za ucho. Potem pomału zaczęła powracać rzeczywistość.

Jest dziennikarzem. Przyszedł, żeby porozmawiać o Theo.

Nagle ramiona zaczęły jej ciążyć od nieobecności małego synka. Przypomniała jej się ta pierwsza noc, kiedy byli tylko we dwoje. Był jedynym z jej czworga dzieci, które przyszło na świat za wcześnie, czuła maleńkie piętki dotykające jej dłoni, gdy trzymała go w ramionach, te same maleńkie marmurowe kosteczki niczym szklane kulki, które jeszcze kilka dni przedtem czuła pod swoją skórą. W ciemności przemawiała do niego szeptem, obiecała, że będzie z nią bezpieczny...

– Pani Edevane?

Z Theo od samego początku było inaczej. Eleanor kochała wszystkie swoje dzieci, może nie od pierwszego wejrzenia, jeśli miała być szczerą, ale z pewnością od czasu, jak zaczęły stawiać pierwsze kroczki, lecz z Theo łączyło ją coś więcej niż miłość. Rozkoszowała się nim. Po porodzie wzięła go do łóżka, owinęła w kocyk, spojrzała mu w oczka i ujrzała w nich całą mądrość, z którą rodzą się dzieci, a która wkrótce potem umyka. Odpowiedział jej takim samym głębokim, uważnym spojrzeniem, jakby jej zdradzał tajemnice kosmosu; maleńkie usteczka otwierały się i zamykały na słowach, których jeszcze nie znał, a może tylko nie pamiętał. Przypomniało jej się, jak umierał jej tata. Zrobił wtedy to samo – tak samo wpatrywał się w nią oczami, w których ujrzała bezdenną głębię, pełnymi rzeczy, których nigdy nie zdołał powiedzieć.

– Pani Edevane, fotograf zrobi teraz państwu zdjęcie.

Zamrugła. Dziennikarz. Jego notes przypominał mu Alice. Gdzie ona jest? Gdzie Deborah i Clemmie? Prawdopodobnie ktoś się nimi zajął. Na pewno nie mama, ale może pan Llewellyn? To by wyjaśniało, czemu od rana go jeszcze nie widziała. Pewnie wziął na siebie obowiązek opieki nad dziećmi, pilnował, aby nic im się nie stało, tak jak go kiedyś wielokrotnie prosiła.

Tymczasem drugi mężczyzna, zażywny i rumiany od gorąca, machnął ręką z za trójnogu.

– Państwo Edevane, proszę popatrzeć w tę stronę.

Eleanor przywykła do zdjęć, była dziewczynką z bajki, rysowano ją, malowano i fotografowano przez całe życie, lecz tym razem aż się skuliła. Pragnęła położyć się w ciemności, zamknąć oczy i z nikim nie rozmawiać, dopóki to wszystko się nie skończy. Była zmęczona, niewiarygodnie zmęczona.

– Chodź, kochanie – zabrzmiał cichy, czuły głos Anthony'ego. – Miejmy to już za sobą. Wezmę cię za rękę.

– Jest tak gorąco – szepnęła. Jedwabna bluzka przyklejała jej się do pleców, spódnica uciskała w pasie.

– Pani Edevane, proszę popatrzeć w tę stronę.

– Anthony, nie mogę oddychać. Potrzebuję...

– Jestem tu, jestem przy tobie. Zawsze przy tobie będę.

– Gotowi, i...

Flesz wybuchnął białym światłem i kiedy migotały jej przed oczami jaskrawe gwiazdki, zauważyła postać stojącą przy drzwiach do ogrodu. To była na pewno Alice, taka cicha, nieruchoma, obserwująca.

– Alice – odezwała się Eleanor, mrugając. – Alice?

Lecz wtedy od strony jeziora dobiegły krzyki, głośne i przesywające wołanie. Reporter poderwał się z krzesła i podbiegł do okna. Anthony wstał, Eleanor też się podniosła i zatoczyła, bo jej nogi zrobiły się nagle jak z waty. Czekala, a czas stanął w miejscu, aż w końcu dziennikarz odwrócił się i pokręcił głową.

– Fałszywy alarm – powiedział, a podniecenie w jego głosie ustąpiło miejsca rozczarowaniu. Wyjął chusteczkę i wytarł czoło. – To tylko stary but.

Eleanor czuła, że lada chwila nogi całkiem odmówią jej posłuszeństwa. Odwróciła się znowu do okna, lecz Alice już znikła. Zamiast niej zobaczyła przelotnie swoje odbicie w lustrze wiszącym obok kominka. Prawie się nie poznała. Pewność siebie, nienaganne maniery wpojone przez matkę znikły bez śladu, a zamiast tego stanęła twarzą w twarz z dziewczynką, która mieszkała w tym domu dawno temu, niesforną i nieokrzesaną, dziewczynką, której prawie nie pamiętała.

– Dość tego – uciął niespodziewanie i ostro Anthony, jej wybawiciel, jej miłość. – Miejsze odrobinę litości, człowieku. Moja żona jest w szoku, zaginęło jej dziecko. Wywiad jest skończony.



Eleanor unosiła się w powietrzu.

– Zapewniam pana, panie Edevane, że to są bardzo silne barbiturany. Jedna tabletką wystarczy, żeby pańska żona przespała całe popołudnie.

– Dziękuję, panie doktorze. Jest w bardzo złym stanie.

Znała ten głos. To był Anthony.

Potem odezwał się znowu ten drugi. Lekarz.

– Nie dziwię się. Okropna historia, po prostu okropna.

– Policja robi, co może.

– Jak oceniają szanse?

– Nie możemy się poddawać i musimy ufać, że zrobią, co w ich mocy.

Położył dłoń na czole żony, ciepłą, stanowczą. Pogładził ją po włosach. Eleanor próbowała coś powiedzieć, ale jej usta były niemrawe i słowa się nie przedostały.

– No już, kochanie – uspokajał ją mąż. – Zaśnij teraz.

Jego głos rozbrzmiewał ze wszystkich stron naraz, niczym głos Boga. Ciało Eleanor było ciężkie i powolne, jakby tonęła w chmurach. Opadała, płynęła wstecz przez pokłady swojego życia. Cofnęła się do czasu, zanim została mamą, zanim zamieszkała w Loeanneth; minęła wakacje, kiedy poznała Anthony'ego, śmierć swojego taty, aż zabłądziła w długi, niezmierny przestwór dzieciństwa. Odniosła mgliste wrażenie, że coś zostało utracone i powinna tego szukać, lecz jej umysł pracował ospale i nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Prawda wymykała jej się niczym tygrys, żółto-czarny tygrys przekradający się przez ogromną łąkę. To była łąka Loeanneth, w oddali migotał ciemny las, i Eleanor wyciągnęła ręce, aby musnąć wysokie żdźbła trawy.



Kiedy była mała, miała w sypialni tygrysa. Nazywał się Zefir i mieszkał pod łóżkiem Przyszedł do nich z wielkiego domu, przemycony w czasie przeprowadzki, jego wspaniałe, dumne futro było wytarte i śmierdziało dymem. Ojciec jej ojca schwytał go w „dawnych czasach” w Afryce. Eleanor wiele słyszała o „wspaniałych dawnych czasach”; tata opowiadał jej historie z okresu, gdy deShielowie

mieszkali w pięknej rezydencji z dwudziestoma ośmioma sypialniami i powozownią pełną nie dyń, lecz prawdziwych powozów, niektórych nawet zdobionych złotem. Niewiele pozostało z tego ogromnego majątku, jedynie spalony szkielet domu, zbyt daleko, żeby można go było zobaczyć z Loanneth, ale pan Llewellyn opowiedział jej historię o tygrysie i perle.

Gdy była małą dziewczynką, wierzyła w tę opowieść bez zastrzeżeń. Że Zefir przywiózł ją ze sobą z Afryki. Perłę, którą połknął i która tkwiła głęboko w jego paszczy, kiedy go zastrzelono, obdarto ze skóry, sprzedano, a następnie przewieziono na statku; i również potem przez wiele dziesiątków lat, gdy futro wisiało na honorowym miejscu w wielkiej rezydencji; i wreszcie kiedy po wielokrotnych renowacjach sprowadzono go do podrzędnej roli w Domu nad Jeziorem. Właśnie tam pewnego dnia ktoś szarpnął za łeb tygrysa, a wtedy perła wypadła z martwego pyska i znikła pod ogromnym dywanem w bibliotece. Przez wiele lat po niej chodzono, czasem ją omijano, lecz nikt o niej nie pamiętał do czasu, gdy pewnej ciemnej nocy, kiedy wszyscy domownicy spali, wykradły ją wróżki. Zabrały perłę do lasu, położyły na wyściółce z liści i zaczęły ją podziwiać, gładzić, gdy nagle porwał ją ptak, który wziął ją za jajko.

Wysoko w koronach drzew perła zaczęła rosnąć. Rosła tak długo, że przestraszony ptak zrzucił ją z powrotem na ziemię, aby nie zgniotła innych jaj. Upadła na podłoże z suchych liści z cichym, miękkim łupnięciem i tam, w blasku księżycowej pełni, w kręgu zaciekawionych leśnych wrózek ze srebrnej kuli wykluło się dziecko. Leśne duszki zbierały nektar, aby je karmić, i na zmianę kołysały je do snu, wkrótce jednak dziecko urosło i całego zebranego nektaru nie wystarczało, aby je nasycić, i żadne czary nie mogły go zadowolić. Zwołano naradę i postanowiono, że las nie jest odpowiednim miejscem dla ludzkiego dziecka, dziewczynkę należy zatem oddać. Położono ją więc w beciku uplecionym z liści na stopniach przed drzwiami wielkiej rezydencji.

Dla Eleanor ta opowieść wszystko tłumaczyła: dlaczego zawsze czuła takie pokrewieństwo z tym lasem, czemu widywała wróżki na łąkach, gdzie inni widzieli tylko trawę, dlaczego kiedy była mała, na parapecie za oknem pokoju dziecinnego gromadziły się ptaki. Wyjaśniało to również wściekły tygrysi gniew, który czasami w niej wzbierał i sprawiał, że pluła, krzyczała i tupiała nogami, a niania Bruen uciszała ją i powtarzała, że jeśli nie będzie nad sobą panować, nic dobrego z niej nie wyrośnie. Pan Llewellyn natomiast orzekł, że są w życiu gorsze rzeczy niż zły humor, który tylko dowodzi, że człowiek ma wolną wolę. I krew w żyłach, a nie wodę, dodawał, i biada tym, którzy jej nie mają! Powiedział, że taka dziewczynka jak Eleanor powinna podtrzymywać w sobie ducha i podsycać ogień, bo społeczeństwo bardzo szybko będzie go próbowało utemperować. Zawsze przykładała ogromną wagę do tego, co mówił pan Llewellyn. Nie przypominał innych dorosłych.



Eleanor na ogół nie opowiadała ludziom historii swoich urodzin. W przeciwieństwie do *Magicznych drzwi Eleanor*, które ukazały się w postaci książki i czytały ją wszystkie dzieci, opowieść o tygrysie i perle należała tylko do niej. Z jednym wyjątkiem. Kiedy miała osiem lat, przyjechała w odwiedziny jej siostra cioteczna Beatrice z rodzicami. Nie było w tym nic niezwykłego. Matka Eleanor, Constance, nie żyła w dobrych stosunkach ze swoją siostrą Verą. Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie jedenaście miesięcy i obie dziewczynki zawsze ze sobą rywalizowały. Ich życie przypominało jeden wielki turniej drobnych siostrzanych potyczek, a kulminacja jednej prowadziła nieuchronnie do następnej. Małżeństwo Constance z Henrim deShielem, początkowo zapowiadające się na wielki triumf, zostało nieodwracalnie przyćmione, kiedy jej siostra (w dodatku młodsza!) zrobiła znacznie lepszą partię ze świeżo nobilitowanym szkockim hrabią, który dorobił się fortuny w Afryce. Constance i Vera nie rozmawiały ze sobą potem przez pięć lat, lecz w końcu po jakimś czasie nastąpiło

zawieszenie broni i zawarto kruchy rozejm.

Pewnego deszczowego dnia dziewczęta wysłano do pokoju dziecinnego, gdzie Eleanor próbowała czytać *Królową wróżek* Edmunda Spensera (był to ulubiony utwór pana Llewellyna i pragnęła zrobić na nim wrażenie), Beatrice zaś kończyła właśnie najnowszą makatkę. Eleanor błędziła gdzieś myślami, kiedy z zadumy wyrwał ją przerażony pisk. Beatrice stała wyprostowana jak struna i z czerwonymi policzkami błyszczącymi od łez i przejęcia wskazywała palcem pod łóżko.

– Potwór... moja igła... upadła mi... a... tam jest potwór!

Eleanor od razu się domyśliła, co się stało, wyciągnęła Zefira spod łóżka i zaczęła tłumaczyć Beatrice, że to jest jej wielki skarb i że ukrywa go przed gniewem mamy. Jej siostra cioteczna jednak nadal łykała łzy i pociągała nosem, a oczy miała tak zaczerwienione, że Eleanor zrobiło się jej żal. Deszcz bębnił o szyby, świat za oknem wyglądał szaro i zimno, tak więc atmosfera aż się prosiła o barwną opowieść. Kazała Beatrice usiąść obok siebie na łóżku i opowiedziała jej historię o perle i lesie, i o jej niezwykłym zjawieniu się w Loeanneth. Kiedy skończyła, dziewczynka wybuchnęła śmiechem. Powiedziała, że to bardzo zabawna historia i dobrze opowiedziana, ale chyba Eleanor wie, że tak naprawdę wyszła z brzucha swojej mamy. Wtedy z kolei roześmiała się Eleanor, zachwycona, ale też nie mniej zdziwiona. Beatrice była nijaką, nieco kluchowatą dziewczynką, dość przyziemną i pozbawioną wyobraźni; większym upodobaniem darzyła wstążki i koronki niż fantastyczne opowieści. I kto by pomyślał, że mogła usnuć taką szaloną i wspaniałą historię! Z brzucha mamy, też coś! Mama Eleanor była wysoka i szczupła, każdego ranka wpasowywała się w sukienki, które nigdy się nie marszczyły i nigdzie nie wypychały. Nie sposób było sobie wyobrazić, żeby coś mogło w środku niej urosnąć. Ani perła, ani z całą pewnością Eleanor.

Tą opowieścią Beatrice zaskarbiła sobie jej wielką sympatię i chociaż obie dziewczynki bardzo się od siebie różniły, zaczęły się przyjaźnić. Eleanor miała niewielu przyjaciół, tylko ojca i pana Llewellyna, więc kuzynka w jej wieku, z którą mogła się bawić, była dla niej zupełnie nowym przeżyciem. Pokazała jej wszystkie swoje kryjówki i ulubione miejsca: potok z pstrągami w lesie, zakręt, gdzie niespodziewanie robiło się głęboko, najwyższe drzewo, z którego ktoś, komu udało się wspiąć na sam czubek, mógł zobaczyć w oddali stary dwór deShielów. Zaprowadziła ją nawet do chaty na łódki, gdzie najbardziej lubiła spędzać wolny czas. Sądziła, że jej siostra cioteczna wspaniale się bawi w Loeanneth, aż pewnego wieczoru, kiedy leżały w swych identycznych łóżkach, Beatrice powiedziała:

– Musisz się tu czuć strasznie samotna: mieszkać na takim odludziu, nie mieć towarzystwa ani żadnego zajęcia.

Eleanor była wstrząśnięta. Jak można tak mylnie zrozumieć wszystko, co pokazywała i opowiadała? Jak można coś takiego powiedzieć, skoro w Loeanneth działo się tyle wspaniałych rzeczy? Doszła do wniosku, że nadszedł czas, aby pokazać kuzynce swoją ulubioną, sekretną grę.

Nazajutrz przed świtem potrząsnęła Beatrice i gestem nakazała jej milczenie. Potem zaprowadziła ją nad jezioro, gdzie drzewa rosły dziko, a w mrocznej toni wiły się węgorki. Wtedy zapoznała Beatrice z niekończącą się Przygodą Dziadka Horacego. Dzienniki tego wielkiego człowieka leżały w gabinecie na ostatnim piętrze domu, związane żółtą wstążeczką. Oczywiście Eleanor nie powinna wiedzieć o ich istnieniu, lecz ona, jak zwykle, gotowa była napytać sobie biedy, byleby znaleźć zakazane miejsca, podsłuchać rzeczy nieprzeznaczone dla jej uszu, i wszystkie znała na pamięć. Odtworzyła przygody, które opisywał dziadek Horacy, podróże po Peru, Afryce i lodowcach północnej Kanady, a także inne, które sama wymyśliła. Teraz z pomocą Zefira, ku zabawie i umoralnieniu swej powątpiewającej siostry ciotecznej, wykonała swój popisowy numer: okropną śmierć starca, według opisu zawartego w liście zaadresowanym *do osoby, której to może dotyczyć*, wsuniętym za okładkę ostatniego, niedokończonego dziennika. Beatrice wlepiła w nią wytrzeszczone oczy, po czym ze śmiechem nagrodziła ją gromkimi oklaskami.

– Teraz już wiem, dlaczego twoja mama mówi o tobie „mała dzikuska” – powiedziała zachwycona.

– Naprawdę tak mówi? – Eleanor zamrugała zdziwiona i całkiem zadowolona z tego niespodziewanego epitetu.

– Powiedziała mojej mamie, że jest zrozpaczona, bo uważa, że nigdy nie będziesz umiała znaleźć się w Londynie.

– W Londynie? – Eleanor zmarszczyła nos. – Nie wybieram się do Londynu.

Słyszała wcześniej to słowo. Za każdym razem, kiedy rodzice się kłócili, padało ono niczym pchnięcie miecza. „Czuję, jakbym wędła na tym zapomnianym przez Boga odludziu – mówiła matka. – Chcę pojechać do Londynu. Wiem, że to cię przeraża, Henri, ale to jest mój świat. Powinam spotykać się z odpowiednimi ludźmi. Nie zapominaj, że kiedy byłam młoda, zaproszono mnie do pałacu!”

Eleanor słyszała tę historię tysiące razy i nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Mimo to była ciekawa; nigdy nie zauważyła, żeby tata się czegoś bał, i wyobraziła sobie Londyn jako siedlisko bezprawia i chaosu.

– To wielkie miasto – odparł, kiedy go o nie spytała. – Pełne ludzi, automobili i omnibusów.

Eleanor wyczuła nieokreślony mroczny cień czający się za jego odpowiedzią.

– I pokus?

Podniósł szybko wzrok i popatrzył jej uważnie w oczy.

– Gdzie ty się nasłuchiwałaś takich rzeczy?

Prostodusznie wzruszyła ramionami. To słowo wyszło z ust samego taty, kiedy rozmawiał z panem Llewellynem przy chacie z łodziami, a ona potajemnie zrywała poziomki nad strumieniem.

Tata westchnął.

– Dla niektórych tak. Miejsce pełne pokus.

Wyglądał tak smutno, że Eleanor wzięła go za rękę i oznajmiła z zapalem:

– Nigdy tam nie pojedę. Nigdy nie opuszczę Loeanneth.

To samo powtórzyła teraz swojej siostrze ciotecznej, która uśmiechnęła się do niej z takim dobrodusznym politowaniem jak jej tata.

– Och, oczywiście, że pojedziesz, głuptasie. A jak inaczej znajdziesz męża, jeśli będziesz żyć w takiej głuszy?



Eleanor nie miała najmniejszej ochoty jechać do Londynu i nie zamierzała szukać męża, a jednak w 1911 roku, mając szesnaście lat, zrobiła jedno i drugie. Wcale tego nie chciała. Jej ojciec zmarł, Loeanneth przeszło w ręce agenta nieruchomości, a matka zabrała ją do Londynu z zamiarem wydania jej za najlepszego kandydata, jaki się trafi w tym sezonie. W wyrazie bezsilnej wściekłości Eleanor przyrzekła sobie, że nigdy się nie zakocha. Zamieszkały u ciotki Very, w dużym domu na obrzeżach Mayfair. Postanowiono, że Beatrice i Eleanor zadebiutują na salonach jednocześnie i, jak łatwo było przewidzieć, siostry znów nakreśliły linię frontu wokół matrymonialnych perspektyw swoich córek.

I tak w pewne piękne popołudnie pod koniec czerwca na drugim piętrze londyńskiej rezydencji, podczas gdy za oknem letni dzień zasnuwał się mglistą szarówką, pokojówka z czołem zroszonym potem ścierała tasiemki stanika sukni swej krnąbrnej podopiecznej.

– Proszę się nie ruszać, panienko Eleanor. Nie ułożę panience biustu, jak się patrzy, jeśli będzie się panienka tak wierciła.

Żadna ze służących nie lubiła jej ubierać, Eleanor wiedziała o tym doskonale. Odkryła w bibliotece wnękę z szybem wentylacyjnym, który przylegał do kredensu, gdzie pokojówki ukrywały się przed kamerdynerem. Podśledzała je pewnego dnia, kiedy sama chowała się przed mamą. Wraz z delikatnym zapachem dymu papierosowego doleciały ją słowa:

- Nigdy nie ustoi bez ruchu.
- Wiecznie ma plamy na ubraniu!
- Trochę się wysilić...
- ...gdyby tylko się postarała...
- I te włosy, o rety!

Eleanor popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście miała niesforną czuprynę, burza kasztanowych loków opierała się wszelkim próbom poskromienia. W połączeniu z patykowatymi kończynami i nawykiem przyglądania się światu z uporczywą uwagą i szeroko otwartymi oczami, efekt był stanowczo mało zalotny. Równie niedoskonały, jak nieraz dawano Eleanor do zrozumienia, był jej charakter. Niania Bruen cmokała i głośno utyskiwała na „karygodne oszczędzanie różgi” i „zbytne folgowanie zdrożnym upodobaniom”, wskutek których dziewczynka „wyrośnie na wielkie rozczarowanie dla matki”, a co gorsza „dla Boga!”. O ile boskie uczucia pozostały niezgłębione, o tyle matka Eleanor miała rozczarowanie wypisane na twarzy.

O wilku mowa... Constance deShiel stanęła w drzwiach, w najpiękniejszej sukni, z gładkimi, jasnymi włosami upiętymi na czubku głowy w misterne loki i dekoltem ociekającym klejnotami. Eleanor zacisnęła zęby. Ze sprzedaży takich klejnotów można by uratować Loeanneth. Matka odprawiła służącą gestem dłoni i sama zajęła się wiązaniem sukni. Pociągnęła tak energicznie, że dziewczynie aż zabrakło tchu, po czym zaczęła wyliczać odpowiednich młodych mężczyzn, którzy będą tego wieczoru na balu u Rothschildów. Aż trudno uwierzyć, że ta sama osoba kiedyś na pytania męża dotyczące wydatków odpowiadała z afektowaną beztróską:

- Och, przecież wiesz, że nie mam głowy do takich drobiazgów.

Lista była absolutnie wyczerpująca, żaden szczegół dotyczący potencjalnych konkurentów nie wydawał się zbyt błahy.

Bez wątpienia były matki i córki, którym czynność ta sprawiała niemałą przyjemność; niestety, Eleanor i Constance deShiel do nich nie należały. Matka była dla Eleanor obcą osobą – zimną, daleką postacią, która jej nigdy nie lubiła. Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego właściwie tak jest (między służbą w Loeanneth szeptało się, że pani zawsze chciała mieć syna), i nigdy za bardzo się tym nie przejmowała. Uczucie było odwzajemnione. Constance przejawiała tego wieczoru wręcz obsesyjne podniecenie. Beatrice, która w ciągu ostatnich lat dorobiła się całkiem wydatnych kształtów oraz niezdrowego upodobania do powieści Elinor Glyn, doczekała się wzmianki w najnowszej kronice dworskiej, tak więc rywalizacja między dziewczętami nabrała nagle tempa.

– ...najstarszy syn wicehrabiego – mówiła Constance. – Jego dziadek zbił majątek na transakcjach z East India Trading Company... bajecznie bogaty... akcje i obligacje... amerykańskie udziały...

Eleanor zmarszczyła brwi, widząc swoje odbicie w lustrze. Nie podobały jej się te rozmowy, które pachniały spiskiem i kunszachtami. Te słowa, stroje, oczekiwania oznaczały presję, od której pragnęła uciec. Nie czuła się dobrze w Londynie, wśród stiuków i kamiennych chodników, porannych przymiarek u madame Lucille na Hanover Square i popołudniowych powozów przywożących białe bileciki z zaproszeniami na kolejne herbatki i konwersacje. Nie interesowały jej życzliwe porady, którymi hojnie obdzielał magazyn „The Lady”, w kwestiach zarządzania służbą, dekoracji wnętrza oraz usuwania zbędnych włosków w nosie.

Podniosła dłoń do łańcuszka z wisiorkiem, który nosiła ukryty pod ubraniem. Nie był to medalion, lecz prezent od taty – oprawiony w srebro tygrysi ząb. Kiedy gładziła znajome wypolerowane przez czas powierzchnie, jej wzrok zaszedł mgłą, tak że nie widziała już siebie, tylko niewyraźną ludzką postać. Razem z zarysami sylwetki rozmasowała się również jej uwaga. Głos matki buczał w tle, aż w końcu Eleanor znikła z pokoju w Londynie i przeniosła się do swego prawdziwego domu, do Loeanneth. Siedziała nad strumieniem z tatą i panem Llewellynem i świat wrócił na swoje miejsce.

Tego wieczoru Eleanor stała pod ścianą i patrzyła, jak matka wiruje na parkiecie. Wyglądała groteskowo z wielkimi czerwonymi ustami, ciężko falującą piersią, biżuterią migoczącą w rytm walca. Płasała po sali balowej, śmiejąc się do kolejnych partnerów o delikatnych różowych policzkach. Czemu nie mogła zachowywać się jak inne przykładne wdowy? Zająć miejsce pod ścianą, podziwiać girlandy lilii i marzyć o powrocie do domu, do ciepłej kąpieli i posłanego łóżka ze szkandełą. Partner, z którym właśnie tańczyła, powiedział coś, nachylając się jej do ucha, a kiedy Constance, śmiejąc się, położyła dłoń na dekolcie, Eleanor stanęły w pamięci sceny z dzieciństwa: ukradkowe szepty między służącymi, kroki dochodzące o świcie z korytarza, obcy mężczyźni przekradający się boszo do swoich sypialni. Twarz Eleanor stężała i zapłonął w niej tygrysi gniew. Nic nie napawało jej takim wstrętem jak wiarołomstwo. Najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić człowiek, było złamanie obietnicy.

– Eleanor! Spójrz!

Obok niej Beatrice sapała głośno; podniecenie, jak zawsze, ujawniało się u niej w postaci łagodnej zadyszki. Eleanor podążyła za jej wzrokiem i w migotliwym blasku świec zobaczyła zmierzającego w ich kierunku zuchowatego młodego mężczyznę z pryszczami na brodzie. Poczowała coś na kształt rozpaczki. Czy to mogła być miłość? To całe widowisko? Włożyć na siebie najlepsze ubranie, maskę pomady na twarz, zatańczyć wyuczzone kroki, wymienić skodyfikowane pytania i odpowiedzi?

– Oczywiście! – wykrzyknęła Beatrice, kiedy Eleanor wyraziła na głos swoje wątpliwości.

– Ale czy w miłości nie chodzi o coś więcej? Czy ludzie nie powinni się głębiej poznać?

– Och, Eleanor, ależ z ciebie pierwsza naiwna! Życie to nie bajka, powinnaś o tym wiedzieć.

W książkach to wszystko wygląda pięknie, ale magia nie istnieje.

Nie po raz pierwszy od czasu ich szybkiej przeprowadzki do Londynu Eleanor zateęskniła za panem Llewellynem. Uwielbiała korespondować z ludźmi, delectowała się każdym otrzymanym listem i przechowywała kopie tych, które napisała, lecz zdarzały się sytuacje, w których jedynie prawdziwa bezpośrednia rozmowa z pokrewną duszą mogła przynieść ukojenie. Ileż by dała za tę największą pociechę – świadomość, że ktoś ją rozumie! Nie chodziło o magię, chodziło o zasadniczą prawdę. Miłość jako *fait accompli*, jako istota rzeczy, jako niezbity fakt, a nie korzystny kontrakt między dwiema stronami. Zastanawiała się właśnie, czy wygłosić swoją opinię na głos, kiedy Beatrice zaintonowała przez zęby, nie pozwalając, by czarujący uśmiech choćby zadrgał na jej twarzy.

– A teraz chodź, moja droga, zrób uszczęśliwioną minę i przekonajmy się, ile spojrzeń na siebie ściągniemy.

Eleanor zwiesiła ramiona. Uszło z niej całe powietrze. Nie miała ochoty ściągać spojrzeń mężczyzn, którzy jej nie interesowali – wymuskanych wykwintnisiów prowadzących próżniacze życie, wypełnione egoistycznymi przyjemnościami. Jej tata powiedział kiedyś, że biedacy cierpią nędzę, lecz bogaci muszą się borykać z bezużytecznością, a nic tak nie przeżera ludzkiej duszy jak bezczynność. Eleanor skorzystała z okazji, kiedy Beatrice była czymś zajęta, i wymknęła się do wyjścia.

Wchodziła po schodach, nie zastanawiając się, dokąd zmierza, zadowolona, że muzyka cichnie za jej plecami. Z czasem stało się to jej nawykiem – jak najszybciej wymykała się z sali balowej i zwiedzała dom. Nauczyła się przekradać niepostrzeżenie przez lasy Loeanneth z duchem dziadka Horacego. Na którymś piętrze zobaczyła uchylone drzwi.

W środku było ciemno, lecz blask księżycy wlewał się przez okno niczym rtęć i Eleanor stwierdziła, że znalazła się w gabinecie. Ścianę naprzeciwko drzwi zapełniały półki z książkami, na środku stało wielkie biurko. Podeszła, aby za nim usiąść. Może sprawił to zapach skóry, a może ponieważ tata nigdy jej w myślach nie opuszczał, przypomniawszy jej się gabinet w Loeanneth, gdzie Henri, zwłaszcza pod koniec życia, spędzał najwięcej czasu. Zobaczyła w wyobraźni jego postać pochyloną nad kolumnami liczb,

kiedy zmagał się z rodzinnymi długami. Przez ostatnie miesiące stał się słaby i nie mógł już włóczyć się z nią po łąkach i lasach tak jak dawniej. Eleanor postanowiła wtedy, że będzie przynosić jego ukochany świat do domu. Z samego rana wychodziła do lasu i zbierała różne rzeczy, po czym biegła, aby mu je pokazać. Opowiadała, co widziała po drodze, co słyszała i jakie czuła zapachy. Pewnego dnia trajkotała właśnie o zmiennej pogodzie, gdy tata wyciągnął rękę, aby ją powstrzymać. Powiedział, że rozmawiał z prawnikiem.

– Nie jestem już majątnym człowiekiem, córuniu, ale zabezpieczyłem ten dom. Uczyniłem zapis, że Loeanneth nie może zostać sprzedane, aby nigdy nie pozbawiono cię domu.

Lecz kiedy nadszedł czas, dokumenty zginęły, a matka zaprzeczyła, jakoby coś o nich wiedziała.

– Pod koniec opowiadał mnóstwo bzdur – oznajmiła.

Eleanor rzuciła okiem w stronę drzwi i zapaliła lampkę na biurku. Na blacie zabłysnął kwadrat żółtego światła. Bębniąc palcami w drewno, rozejrzała się po pokoju. Podstawa do pióra z rzeźbionej kości słoniowej, bibuła, dziennik w płóciennym oprawie, otwarta gazeta... Eleanor zaczęła od niechcenia przerzucać strony. Później cały łańcuch wydarzeń zostanie połączony w jedną opowieść zatytułowaną „Jak się poznali” i otoczony pełną czci aurą przeznaczenia. W tamtej chwili jednak Eleanor uciekała po prostu przed nudną przewidywalnością sali balowej. Czytając nagłówek DWA TYGRYSY Z DALEKIEGO WSCHODU PRZYJEŹDŹAJĄ DO LONDYŃSKIEGO ZOO, nie zauważyła, że otwierają się drzwi. Czuła tylko, że na jej skórze ząb Zefira zrobił się nagle ciepły i że musi zobaczyć te zwierzęta na własne oczy.

Londyn, czerwiec 1911

Dwa dni później nadarzyła jej się okazja. Cała rodzina planowała wyprawę na Festiwal Imperium i wszyscy domownicy chodzili stosownie podekscytowani.

– Pomyślcie tylko, prawdziwi dzicy z całej Afryki! – zawołała Beatrice poprzedniego wieczoru przy lampce sherry.

– I latająca maszyna! – dodała Vera. – I widowisko!

– Pan Lascelles święci triumfy – przyznała Constance. – Ciekawe, czy zjawi się osobiście. Słyszałam, że jest przyjacielem króla.

Pałac Kryształowy lśnił w słońcu, kiedy daimler zajechał przed wejście. Szofer pomógł wsiąść mamie Eleanor, ciotce i Beatrice, a Eleanor podążyła ich śladem, podnosząc głowę, aby objąć wzrokiem wspaniały szklany budynek. Był piękny i potężny, tak jak wszyscy mówili, i Eleanor poczuła wypieki od niecierpliwego wyczekiwania. Nie czekała bynajmniej na osławione skarby imperium; zaplanowała sobie coś całkiem innego. Przedzierając się przez Dział Brytyjski, przez pół godziny utwierdzali się w przekonaniu o niepodważalnej wyższości zgromadzonych tu świadectw narodowej świetności, a następnie przeszli do egzotycznych uroków kolonii. W Dziale Ogrodniczym można było podziwiać rozmaite kwiaty i kwitnące krzewy, w Zamorskim Obozie Dominium Kadetów – atletyczne postaci żołnierzy, i wreszcie bezlitośnie skrytykować widowisko. Eleanor wlokła się na szarym końcu, od czasu do czasu zmuszając się, aby z uznaniem pokiwać głową. W końcu, kiedy doszli do Labiryntu Średniowiecznego, dostrzegła swoją szansę. Było tu tłoczno, więc bez trudu oddzieliła się od grupy – wystarczyło, że skręciła w lewo, kiedy pozostali poszli w prawo, po czym zawróciła i uciekła drogą, którą przyszli.

Prawie biegła ze spuszczoną głową, na wypadek gdyby zauważył ją jakiś znajomy matki. Minęła Arenę Sportów Imperium, skierowała się w stronę Małych Gospodarstw i nie zwołała kroku, dopóki nie dotarła na dworzec kolejowy przy Sydenham Avenue. Tam szybko poprawił jej się nastrój. Wyjęła mapę pożyczoną z gabinetu wujka Vernona i jeszcze raz sprawdziła trasę, którą wytyczyła sobie poprzedniego wieczoru w łazience. Według jej ustaleń musiała tylko zatrzymać tramwaj numer siedemdziesiąt osiem na pobliskiej Norwood Road, a on zawiezie ją aż na Victoria Station. Stamtąd może przejść resztę drogi na piechotę przez Hyde Park, Marylebone i Regent's Park. Lepiej było trzymać się parków. Ulice Londynu przypominały płynące przez miasto rzeki roztopionego hałasu, a wszystko toczyło się tak szaleńczo, że chwilami Eleanor czuła, jakby ktoś ją uderzył w głowę i na moment straciła przytomność.

Dzisiaj jednak była zbyt podekscytowana, żeby się bać. Szła chodnikiem w stronę przystanku tramwajowego, a serce waliło jej na myśl, że na własne oczy zobaczy żywe tygrysy, a jeszcze bardziej z bezmiernej radości, że po raz pierwszy od kilku tygodni została w końcu sama. W jej stronę dryndał tramwaj numer siedemdziesiąt osiem. Machnęła ręką, zapłaciła za przejazd pieniędzmi, które pożyczyła z gabinetu wuja Vernona, i ruszyła w drogę. Siadając, z trudem powstrzymywała szeroki uśmiech. Czuła się dorosła i nieustraszona, niczym poszukiwaczka przygód wyruszająca na podbój świata. Odżyły w niej więzy, o których myślała, że zostały bezpowrotnie zniszczone – więzy z dzieciństwem, z poprzednim życiem, z tym, kim kiedyś była – i poczuła ten sam dreszcz emocji, z jakim przeżywała Przygody Dziadka Horacego. Gdy tramwaj przejeżdżał przez most Vauxhall i sunął po szynach przez Belgravię, Eleanor gładziła wisiołek z tygrysim zębem, ukryty pod bluzką na łańcuszku.

W pobliżu Victoria Station panował chaos, ludzie spieszyli we wszystkich kierunkach, z każdej strony otaczała ją morze cylindrów, lasek i długich, falujących sukni. Wysiadła z tramwaju i zaczęła szybko przemykać przez tłum, po czym wyszła na ulicę, gdzie dorożki i powozy konne przepychały się we wszystkie strony w drodze na umówione herbatki, podwieczorki i spotkania. Miała chęć skakać z radości, że nie siedzi w żadnym z nich.

Przystanąła, żeby się rozejrzeć, po czym ruszyła przez Grosvenor Place. Szła, oddychając szybko. W Londynie niemal na każdym kroku walczyły ze sobą zapachy zwierzęcych odchodów i spalin z automobili, przeszłości z nowoczesnością, więc z przyjemnością weszła do Hyde Parku i uchwyciła w powietrzu woń róż. Po rdzawobrazowej ziemi Rotten Row nianie w wykrochmalonych strojach pchały wielkie dziecięce wózki, a ciasno rozłożone zielone leżaki za sześć pensów tłoczyły się na rozległych trawnikach wokół jeziora Serpentine, upstrzonego piegami łodzi, wyglądającymi z daleka niczym wielkie kaczk.

– Kupujcie pamiątki! – wołał uliczny handlarz na straganie z flagami koronacyjnymi i zdjęciami ogromnej, nowo wybudowanej statuy pokoju, stojącej przed pałacem Buckingham. („Pokój?”, prychnął wujek za każdym razem, kiedy przejeżdżali obok olbrzymiego posągu, a biały marmur lśnił na tle brudnych, czarnych kamiennych murów pałacu. „Będziemy mieli szczęście, jeśli przeżyjemy dziesięć lat bez kolejnej wojny!” Po tym oświadczeniu jego zgorzkniałe oblicze przyoblekło się w wyraz samozadowolenia – nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak ogłaszanie złych wieści. Beatrice besztła go za każdym razem: „Czy zawsze musisz wszystko popsuć, tato?”. Zaraz potem jednak jej uwagę odwracał jakiś przejeżdżający powóz. „Och, patrzcie, czy to nie Mannerowie? Słyszeliście ostatnie wiadomości o lady Dianie? Przebrała się za czarnego łabędzia na Biały Bal Charytatywny! Wyobrażacie sobie, jak się wściekła lady Sheffield?”).

Eleanor przyspieszyła w stronę Bayswater Road, przeszła pod Marble Arch i skierowała się w stronę Marylebone. Na widok tabliczki z nazwą Baker Street znów pomyślała o wujku Vernonie, który uważał siebie za kogoś w rodzaju tajnego detektywa i lubił stawać w szranki z wyimaginowanym Sherlokiem Holmesem. Eleanor pożyczyła kilka kryminałów z biblioteki wujka, ale nie była zachwycona. Arogancki racjonalizm tego gatunku nie pasował do jej ukochanych baśni. Nawet teraz chełpliwe poglądy Holmesa, że wszystko da się wyjaśnić na drodze dedukcji, budziły w niej kipiący wewnętrzny protest, aż zgrzytała zębami. Do tego stopnia, że kiedy doszła do Regent's Park, zupełnie zapomniała o zmechanizowanej rzece, jaka zagradzała jej drogę. Nie patrząc przed siebie, wyszła na ulicę i nie zauważyła nadjeżdżającego omnibusu, dopóki prawie na nią nie wpadł. W tamtej chwili, kiedy patrzyła, jak pędzi na nią ogromna reklama LIPTON'S TEA, Eleanor wiedziała, że umrze. Myśli przemykały jej przez głowę jak błyskawice – wkrótce spotka się z tatą, nie będzie się musiała martwić, że straci Loeanneth, ale, och, jaka szkoda, że nie zobaczy tygrysów! Zacisnęła oczy i czekała na uderzenie, ból i zapomnienie.

Wstrząs zaparł jej dech w piersiach – coś z całej siły chwyciło ją w pasie i odepchnęło w bok, tak że powietrze uszło jej z płuc, kiedy upadła na ziemię. Inaczej sobie wyobrażała śmierć. Dźwięk wirował, dzwoniło jej w uszach, w głowie się kręciło. A kiedy otworzyła oczy, świat wypełnił się najpiękniejszą twarzą, jaką w życiu widziała. Nigdy przed nikim się do tego nie przyznała, lecz przez wiele lat potem uśmiechała się do siebie na wspomnienie chwili, w której przez ułamek sekundy sądziła, że widzi Boga.

Ale to nie był Bóg, tylko młodzieniec, mężczyzna niewiele starszy od niej, o jasnobrązowych włosach i skórze, której zapragnęła wtedy dotknąć. Leżał obok niej na ziemi i podtrzymywał ją ramieniem. Jego usta się poruszały; mówił coś, czego Eleanor nie mogła zrozumieć. Przyglądał jej się uważnie, zajął jej najpierw w jedno oko, potem w drugie. W końcu, w hałasie i zamieszaniu, które zapanowały, ponieważ dookoła zebrał się spory tłum, uśmiechnął się, a ona pomyślała tylko, jakie ma piękne usta, po czym niezwłocznie zemdlą.

Nazywał się Anthony Edevane i studiował medycynę w Cambridge. Chciał zostać chirurgiem. Dowiedziała się tego w barze na stacji Baker Street, dokąd ją zabrał na lemoniadę po niedoszłym zderzeniu z omnibusem. Był tam umówiony z przyjacielem, chłopcem o ciemnych, kręconych włosach, które nigdy nie układały się tak, jak powinny, w okularach i ubraniu wyglądającym na dobrane w pośpiechu albo na chybił trafił. Eleanor czuła z nim pewne pokrewieństwo i od razu go polubiła.

– Howard Mann... – Anthony wskazał gestem swego rozczochranego przyjaciela – to jest Eleanor deShiel.

– Miło cię poznać, Eleanor. – Howard ujął jej dłoń. – Cóż za czarująca niespodzianka! Jak poznałaś tego staruszka?

Usłyszała własny głos:

– Właśnie uratował mi życie.

I od razu pomyślała, jaki nieprawdopodobny scenariusz napisało życie.

Howard jednak nawet się nie zająknął.

– Naprawdę? No tak, to w jego stylu. Gdyby nie był moim przyjacielem, musiałbym go znienawidzić.

Ta żartobliwa konwersacja w kawiarni podziemnego dworca z dwoma nieznanymi mężczyznami mogłaby się wydawać niezręczna, lecz jak się przekonała Eleanor, ocalenie przed nieuchronną śmiercią uwalnia człowieka od pewnych zwyczajowych ograniczeń. Rozmawiali swobodnie i bez skrępowania, a im więcej ich słuchała, tym większą sympatię czuła do obu chłopców. Nie przestawali żartować i łagodnie sobie przygadywać, lecz odnosili się do siebie bardzo przyjaźnie, a ich sposób bycia cechowała charakterystyczna otwartość. Ku własnemu zaskoczeniu Eleanor rozmawiała z nimi tak swobodnie, wypowiadała swoje opinie w sposób, w jaki nie robiła tego od dawna – śmiejąc się i przytakując, a czasami protestując tak żywiołowo, że z pewnością przeraziłaby swoją matkę.

Prowadzili we trójkę niezwykle ożywioną dyskusję o nauce, naturze, polityce, honorze, rodzinie i przyjaźni. Eleanor dowiedziała się, że Anthony pragnie zostać chirurgiem i chciał nim być od dziecka, od chwili gdy jego ulubiona służąca zmarła na zapalenie wyrostka robaczkowego z powodu braku pomocy wykwalifikowanego lekarza; że Howard jest jedynym synem bardzo bogatego hrabiego, który mieszka na Lazurowym Wybrzeżu ze swoją czwartą żoną i wysyła pieniądze synowi poprzez fundusz powierniczy, zarządzany przez urzędnika bankowego z londyńskiego Lloyd'sa; że ci dwaj młodzi ludzie poznali się pierwszego dnia szkoły, kiedy Anthony pożyczył Howardowi zapasową czapkę do mundurka, aby wychowawca nie wymierzył mu chłosty, i od tej pory stali się nierozłączni.

– Bardziej czujemy się braćmi niż kolegami – powiedział Anthony, uśmiechając się przyjaźnie do Howarda.

Czas płynął, aż w końcu, kiedy zapadła jedna z nielicznych chwil milczenia, Howard zmarszczył lekko czoło.

– Nie chciałbym psuć nastroju, ale przyszło mi do głowy, że ktoś się o ciebie musi niepokoić.

Eleanor spojrzała na zegarek ojca (nosiła go od jego śmierci, czym niezmiernie irytowała matkę) i uprzytomniła sobie, że minęły trzy godziny od czasu, gdy wymknęła się rodzinie w labiryncie. Wyobraziła sobie matkę w stanie emocjonalnej apopleksji.

– Owszem – przyznała ponuro. – Istnieje taka możliwość.

– Wobec tego powinniśmy cię odstawić do domu, prawda, Anthony? – zasugerował Howard.

– Tak. – Anthony z uniesionymi brwiami postukał w szkiełko swojego zegarka, jakby podejrzywał, że pokazuje niewłaściwą godzinę. – Tak, naturalnie.

Eleanor zastanawiała się, czy rzeczywiście usłyszała nutę niechęci w jego głosie, czy tylko jej się

zdawało.

– Zachowaliśmy się wyjątkowo egoistycznie, trzymając cię tu, podczas gdy ty powinnaś dobrze wypocząć – dodał.

Z całego serca zapragnęła się z nimi nie rozstawać. Przede wszystkim z Anthonym. Zaczęła protestować. Spędziła wspaniały dzień, czuła się wyśmienicie, dom był ostatnim miejscem, do którego chciała wracać. Była już tak blisko zoo i miałyby w końcu nie zobaczyć tygrysów? Anthony powiedział coś na temat jej głowy i upadku, co było z jego strony miłe, ale doprawdy, upierała się, czuje się doskonale. Trochę jej się zakręciło w głowie, kiedy próbowała wstać, ale można się było tego spodziewać, w kawiarni panowała duchota, a ona nie jadła lunchu i... och, może jeśli chwilę posiedzi, złapie oddech, poczeka, aż jej się rozjaśni przed oczami...

On nalegał, ona była uparta; zdecydować miał Howard. Z lekkim przeproszającym uśmiechem ujął ją pod drugie ramię, kiedy Anthony poszedł zapłacić rachunek.

Eleanor obserwowała, jak odchodzi. Był mądry, życzliwy, fascynował go świat i wszystko, co ma do zaoferowania. Był również bardzo przystojny. Miał gęste włosy, ciemną karnację i spojrzenie naelektryzowane ciekawością i zamiłowaniem do wiedzy. Nie mogła mieć absolutnej pewności, że wzrok nie płata jej figłów po niedawnej przygodzie, kiedy to otarła się o śmierć, lecz wydawało jej się, jakby Anthony dosłownie promieniował blaskiem. Przepęlniały go taki entuzjazm, energia i pewność siebie, jakby miał w sobie więcej życia niż wszyscy inni ludzie w sali.

– Jest wyjątkowy, prawda? – odezwał się Howard.

Eleanor spłonęła rumieńcem. Nie sądziła, że widać to po niej tak wyraźnie.

– Jest najinteligentniejszym chłopakiem na całym roku. Zdobył prawie wszystkie nagrody, kiedy kończyliśmy szkołę. Ale sam za nic by ci się do tego nie przyznał, jest nieprzyzwoicie skromny.

– Naprawdę? – Udała tylko grzecznościowe zainteresowanie.

– Kiedy zrobi dyplom, chce pracować jako chirurg dla ludzi ubogich, których nie stać na lekarzy.

Wiele dzieci nie przechodzi ważnych operacji, ponieważ ich rodzicom brak pieniędzy na chirurga.

Wsiedli do należącego do Howarda rolls-royce’a silver ghosta i pojechali do Mayfair. Lokaj Very otworzył drzwi, lecz Beatrice, która wyglądała przez okno w sypialni, zbiegła po schodach, prawie depcząc mu po piętach.

– Wielkie nieba, Eleanor! – wyrzuciła bez tchu. – Twoja mama aż się gotuje ze złości. – Nagle zauważyła Anthony’ego i Howarda, zreflektowała się i zatrzepotała rękami. – Dzień dobry.

– Beatrice – powiedziała Eleanor z uśmiechem – pozwól, że ci przedstawię Howarda Manna i Anthony’ego Edevane’a. Pan Edevane właśnie uratował mi życie.

– A więc sądzę, że powinniście wejść na herbatę – odrzekła bez namysłu Beatrice.

Przy herbacie i cieście cytrynowym opowiedziano na nowo całą historię. Constance z uniesionymi brwiami i zaciśniętymi ustami wrzała od niezadanych pytań, przede wszystkim o to, co Eleanor robiła w Marylebone, lecz zachowała zimną krew i podziękowała Anthony’emu grzecznie.

– Edevane? – spytała z nadzieją. – Czy nie jest pan przypadkiem synem lorda Edevane’a?

– Owszem – odparł wesoło Anthony, biorąc drugi kawałek ciasta. – Najmłodszym z trzech.

Uśmiech Constance wyparował w mgnieniu oka. („Trzeci syn? – mówiła potem do Very. – Trzeci syn nie powinien chodzić po ulicach, żeby ratować naiwne panny. Powinien pracować w ministerstwie, na miłość boską!”)

Jednak Eleanor to wszystko wyjaśniało: jego swobodny, bezpretensjonalny sposób bycia, niewytłumaczalną, prawie królewską aurę, która go otaczała. Był trzecim synem.

– Jesteś urodzonym książkowym bohaterem – orzekła.

Anthony wybuchnął śmiechem.

– Nic o tym nie wiem, ale uważam się za szczęściarza, że jestem trzecim synem.

– Doprawdy? – Lodowaty ton Constance obniżył temperaturę w pokoju o kilka stopni. – Z jakiegoż

to powodu, jeśli wolno spytać?

– Mój ojciec ma dziedzicę, jak również jego ewentualnego zastępcę, więc ja mogę robić, co zechcę.

– I cóż to takiego jest, panie Edevane?

– Zamierzam zostać lekarzem.

Eleanor zaczęła właśnie wyjaśniać, że Anthony studiuje medycynę, aby zostać chirurgiem, że postanowił poświęcić życie pracy dla ludzi, którzy nie mają tyle szczęścia co my, że zdobył wszelkie możliwe nagrody akademickie, lecz dla jej matki takie drobiazgi nie miały znaczenia.

– Człowiek z pańskich sfer z pewnością nie musi zarabiać na życie – przerwała córce szorstko Constance. – Przypuszczam, że pański ojciec tego nie pochwała.

Przeszył ją wzrokiem, a siła jego spojrzenia wyssała całą resztę ciepła, jaka jeszcze pozostała w pokoju. W powietrzu czuło się napięcie. Eleanor nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś tak zuchwale przeciwstawił się jej matce. Wstrzymała oddech, czekając, co odpowie Anthony.

– Pani deShiel, mój ojciec wie, podobnie jak ja, kim się stają znudzeni ludzie z wyższych sfer, którym oszczędzono wysiłku zarabiania pieniędzy. Nie zamierzam siedzieć beczynn timer, zastanawiając się, jak wypełnić sobie czas. Chcę pomagać innym. Chcę, aby społeczeństwo miało ze mnie pożytek. – Potem odwrócił się do Eleanor, jakby poza nimi w pokoju nie było nikogo innego. – A pani, panno deShiel? – zapytał. – Czego pani pragnie od życia?

Coś się w tym momencie zmieniło, coś ledwo dostrzegalnego, a jednak przełomowego. Eleanor zaczęła pojmować, że ich spotkanie było dziełem przeznaczenia. Połączyło ich coś tak silnego, że prawie widziała to gołym okiem. Mogła mu powiedzieć tyle rzeczy, a zarazem nie miała cienia wątpliwości, że niczego nie musi mówić. Widziała to w jego oczach, w tym, jak na nią patrzył. On wiedział, czego ona pragnie od życia. Że nie ma zamiaru zostać jedną z tych kobiet, które spędzają czas na przesiadywaniu przy brydżu, plotkowaniu i czekaniu, aż stangret przewiezie je z miejsca na miejsce; że pragnie tylu rzeczy, zbyt wiele, aby je ująć słowami. Powiedziała więc tylko:

– Chcę zobaczyć te tygrysy.

Anthony wybuchnął śmiechem, a twarz mu się rozpromieniła. Wyciągnął przed siebie ręce.

– Och, to nie będzie trudne. Proszę dzisiaj wypocząć, a jutro po panią przyjadę. – Odwrócił się do matki Eleanor i dodał: – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, pani deShiel.

Dla wszystkich osób, które znały Constance deShiel, było oczywiste, że protesty dosłownie się przez nią przelewają, że ma ochotę kategorycznie zakazać temu aroganckiemu młodzikowi – w dodatku trzeciemu synowi! – zabrania jej córki dokądkolwiek. Eleanor nie była pewna, czy widziała kiedyś, aby jej matka do tego stopnia kogoś nie polubiła. Lecz Constance niewiele mogła zrobić. Pochodził z dobrej rodziny, uratował życie jej córce, obiecał jej pokazać miejsce, które z całego serca pragnęła odwiedzić. Zachowałyby się nader niestosownie, gdyby odmówiła. Uśmiechnęła się więc cierpko i mruknęła coś na znak zgody. Była to czysta formalność. Wszyscy w pomieszczeniu czuli, że równowaga sił uległa zachwianiu i że od tej pory będzie miała bardzo niewielki wpływ na życie towarzyskie i uczuciowe córki.

Po podwieczorku Eleanor odprowadziła chłopców do drzwi.

– Mam nadzieję, że niedługo się znowu zobaczymy, panno deShiel – powiedział serdecznie Howard, po czym spojrział na przyjaciela i uśmiechnął się porozumiewawczo. – Pójdę rozgrzać ghosta.

Kiedy Anthony i Eleanor zostali sami, zabrakło im nagle słów.

– Zatem... – zaczął.

– Tak.

– Jutro w zoo.

– Dobrze.

– Obiecuję, że nie będziesz wchodziła pod omnibusy.

Roześmiała się.

– Obiecuję.

Czoło mu się lekko zmarszczyło. Poczła się nagle niezręcznie.

– O co chodzi? – spytała.

– Nic. Nic takiego. Podobają mi się twoje włosy.

– To?

Dotknęła dłonią niesfornej burzy loków, która po emocjonujących przeżyciach tego dnia wyglądała jeszcze bardziej dziko niż zwykle.

Uśmiechnął się, a w niej zadrżało coś głęboko ukrytego.

– Tak. Bardzo mi się podobają.

Pożegnał się i odszedł. Eleanor patrzyła za nim, jak odchodzi, a kiedy weszła z powrotem do środka i zamknęła za sobą drzwi, wiedziała, zwyczajnie i bez cienia wątpliwości, że od tej pory nic już nie będzie takie samo.



Nie można powiedzieć, że zakochali się w sobie w ciągu następnych kilku tygodni, ponieważ byli zakochani już pierwszego dnia. I przez kolejnych kilkanaście dni, z Beatrice w roli zbawiennie nieobowiązkowej przyzwoitki, praktycznie się nie rozstawali. Pojechali do zoo, gdzie Eleanor zobaczyła w końcu tygrysy, trwonili całe dnie w Hampstead, odkrywając ukryte zielone zakątki wrzosowisk i poznając swoje sekrety, zwiedzali Muzeum Wiktorii i Alberta oraz Muzeum Historii Naturalnej, osiem razy widzieli gościnny występ Imperial Ballet. Eleanor przestała chodzić na bale, chyba że miał się tam również pojawić Anthony. Spacerowali nad Tamizą, gawędzili i śmiali się, jakby się znali od wieków.

Pod koniec wakacji, w dniu, kiedy miał wracać do Cambridge, pojechał rano okrężną drogą, aby się z nią zobaczyć. Nie czekał, aż wejdą do środka, lecz powiedział od razu w progu:

– Chciałem cię prosić, abyś na mnie czekała.

Serce zaczęło jej walić, lecz potem nagle zamarło, bo dodał:

– Lecz zdałem sobie sprawę, że nie mogę.

– Nie możesz? Dlaczego?

– Nie mogę cię prosić o coś, czego sam bym nie potrafił zrobić.

– Mogę zaczekać...

– Ale ja nie mogę, nie mogę czekać nawet jednego dnia dłużej. Nie mogę bez ciebie żyć, Eleanor. Muszę cię spytać... czy myślisz... czy wyjdiesz za mnie?

Uśmiechnęła się szeroko. Nie musiała się nawet zastanawiać.

– Tak! Po tysiackroć, tak! Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Porwał ją w ramiona i zakręcił w kółko, potem pocałował i postawił z powrotem na podłodze.

– Nigdy nie pokocham nikogo innego prócz ciebie – powiedział, odgarniając jej z twarzy kosmyki włosów.

Mówił to z takim przekonaniem, że zadrżała po czubki palców. Niebo jest błękitne, północ leży w przeciwnym kierunku niż południe, a on, Anthony Edevane, przez całe życie będzie kochał tylko ją.

Kiedy przyrzekła mu to samo, uśmiechnął się zadowolony, lecz nie zaskoczony, jakby od dawna wiedział, że to prawda.

– Nie jestem bogaty – powiedział. – I nigdy nie będę.

– To dla mnie nie ma znaczenia.

– Nie mogę ci dać takiego domu jak ten. – Zatoczył ręką łuk, wskazując wielką rezydencję ciotki Vëry.

– Przecież wiesz, że nie zależy mi na takich rzeczach – odparła urażona.

– Ani takiego jak ten, w którym dorastałaś, w Loeanneth.

– Nie potrzebuję go – powiedziała i po raz pierwszy w życiu naprawdę w to wierzyła. – Od tej pory ty jesteś moim domem.



Byli szczęśliwi w Cambridge. Stancja była mała, lecz czysta i Eleanor zrobiła z niej przytulne mieszkanie. To były ostatnie lata studiów i większość wieczorów po kolacji Anthony spędzał nad podręcznikami. Eleanor pisała i rysowała. Jego inteligencja i dobroć uwidaczniały się nawet w tym, jak marszczył czoło nad książkami, jak poruszał niekiedy dłońmi, czytając o najlepszych sposobach wykonywania operacji. Miał mądre, delikatne i zręczne dłonie.

– Zawsze umiał budować i naprawiać rzeczy – powiedziała jego matka, kiedy pierwszy raz spotkały się z Eleanor. – Jako chłopiec najbardziej lubił rozkładać na części zabytkowy zegar, rodzinną pamiątkę mego męża. – Na szczęście dla nas i dla niego zawsze potrafił go z powrotem złożyć.

Prowadzili niezbyt wyszukane życie; nie chodzili na wystawne przyjęcia, lecz spotykali się z najbliższymi przyjaciółmi w niewielkim gronie. Howard wpadał często na posiłki, zostawał do późna w nocy; gawędzili wtedy, śmiali się i dyskutowali przy butelce wina. Od czasu do czasu odwiedzali ich rodzice Anthony’ego, nieco zakłopotani, lecz zbyt grzeczni, by komentować skromne warunki, w jakich postanowił mieszkać ich najmłodszy syn ze swoją świeżo poślubioną żoną. Regularnie bywał u nich również Llewellyn. Mądry, dobroduszny staruszek, okazujący Eleanor tyle ojcowskich uczuć, wkrótce stał się drogim przyjacielem również dla Anthony’ego. Więzy jeszcze się zacieśniły, kiedy Anthony się dowiedział, że zanim Llewellyn nieco mimowolnie stał się gwiazdą literacką, również studiował medycynę (choć kształcił się na zwyczajnego lekarza, a nie chirurga).

– Nigdy nie pragnął pan powrócić do praktyki? – pytał go wielokrotnie Anthony, który nie umiał sobie wyobrazić, że coś może odciągnąć człowieka od jego powołania.

Llewellyn niezmiennie kręcił z uśmiechem głową.

– Odkryłem coś, do czego bardziej się nadawałem. Lepiej, abym zostawił takie rzeczy zdolnym ludziom, którzy aż się palą, by pomagać i leczyć innych.

Kiedy Anthony ukończył z wyróżnieniem przedkliniczny etap nauki, poprosił Llewellyna, by w czasie uroczystej promocji siedział obok Eleanor i jego rodziców. Podczas gdy prorektor wygłaszała podniosłą mowę na temat dorosłości i obowiązku – „Jeśli mężczyzna nie może służyć ojczyźnie, to lepiej by mu było umrzeć” – pan Llewellyn pochylił się i szepnął z przekąsem do Eleanor:

– Osobliwy jegomość. Przypomina mi trochę twoją mamę.

Eleanor z trudem stłumiła śmiech. Lecz oczy staruszka lśniły z dumy, kiedy patrzył, jak jego młody przyjaciel odbiera dyplom.

Anthony mówił prawdę, twierdząc, że pieniądze nie mają dla niego znaczenia, podobnie jak dla Eleanor, ale życie bywa przewrotne i wkrótce okazało się, że będą bardzo bogaci. Dziewięć miesięcy po ślubie zegnali w porcie Southampton rodziców oraz starszych braci Anthony’ego, którzy udawali się do Nowego Jorku.

– Żałujesz, że nie płyniemy razem z nimi? – zapytał Anthony, przekrzykując hałas wiwatującego tłumu.

Rozmawiali o wspólnej podróży z rodziną, lecz ich budżet nie wytrzymałby takiego wydatku, a Anthony nie chciał się zgodzić, aby rodzice zapłacili za bilety. Eleanor wiedziała, że czuje się okropnie zakłopotany, że nie stać go na taki luksus, lecz jej zupełnie na tym nie zależało. Wzruszyła ramionami.

– Mam chorobę morską.

– Nowy Jork jest taki wspaniały.

Ścisnęła go za rękę.

– Dla mnie nie liczy się miejsce, ważne, żebyśmy byli razem.

Uśmiechnął się do niej z taką miłością, że aż jej dech zaparło. Kiedy odwrócili się, aby pomachać odpływającej rodzinie, Eleanor zastanawiała się, czy człowiek może się czuć zbyt szczęśliwym. W morzu nurkowały mewy, chłopcy w szmacianych czapkach biegli wzdłuż odpływającego statku, przeskakując przez przeszkody.

– Niezatapialny – powiedział Anthony, kręcąc głową, kiedy olbrzymi kadłub oddalał się od brzegu.
– Pomyśleć tylko.



W drugą rocznicę ślubu Anthony zaproponował, żeby wybrali się na weekend do pewnego nadmorskiego kurortu. Minęły długie miesiące żałoby po śmierci jego rodziców i braci w lodowatych otchłaniach Oceanu Atlantyckiego i w końcu mogli uczcić coś ważnego.

– Dziecko – powiedział z bezbrzeżnym zdumieniem na twarzy, kiedy mu oznajmiła nowinę. – Pomyśl tylko! Małeńka częśćka ciebie i mnie.

Wczesnym rankiem wyjechali pociągiem z Cambridge do Londynu, po czym przesiedli się na stacji Paddington. Podróż trwała długo, lecz Eleanor przygotowała kosz z prowiantem i zjedli lunch po drodze, wypełniając sobie godziny podróży rozmowami, lekturą, najnowszą grą w karty, w której prowadzili długotrwałe współzawodnictwo, a w przerwach siedzieli po prostu zadowoleni obok siebie i trzymając się za ręce, patrzyli przez okno na przemykające pola i łąki.

Na stacji czekał na nich kierowca i Anthony pomógł Eleanor wsiąść do auta. Ruszyli dalej wąską, krętą drogą i w ciepłym pojeździe długie godziny podróży w końcu dały jej się we znaki. Ziewnęła i zapadła się w fotelu.

– Dobrze się czujesz? – spytał łagodnie Anthony.

Eleanor odparła, że tak, i mówiła to szczerze. Kiedy po raz pierwszy napomknął o podróży, zastanawiała się, co by czuła, mijając tak blisko miejsce, gdzie spędziła dzieciństwo – czy przeżyłaby na nowo śmierć ojca i stratę domu? Teraz zdała sobie sprawę, że choć oczywiście poczuje ból, ponieważ nie da się uciec od faktu, że przeszłość jest pełna smutku, to jednak przyszłość nadal należy do niej... do nich.

– Cieszę się, że tu przyjechaliśmy. – Położyła dłoń na delikatnie zaokrąglonym brzuchu. – Tak dawno nie widziałam morza.

Anthony się uśmiechnął i wziął ją za rękę. Patrząc na ich splecione palce, zastanawiała się, jak to możliwe, że czuje się taka szczęśliwa.

Zasnęła, błędząc we wspomnieniach. Od kiedy była w ciąży, przychodziło jej to bez trudu; ogarnęło ją takie zmęczenie jak nigdy przedtem. Silnik warczał, ciepły dotyk skóry Anthony'ego działał kojąco, a powietrze przesycił zapach soli. Nie była pewna, ile czasu minęło, kiedy zbudził ją, potrząsając lekko za ramię.

– Obudź się, śpiąca królewno.

Wyprostowała się i przeciągnęła, mrugając oczami w blasku błękitnego ciepłego dnia i czekając, aż świat znowu nabierze kształtu.

A wtedy zaparło jej dech.

Przed nią rozciągało się Loeanneth, jej najdroższy, kochany, utracony dom. Ogrody zarosły, budynek stał zniszczony i podupadły, a mimo to wyglądał wspaniale.

– Witaj w domu – powiedział Anthony, podnosząc jej dłoń, aby ją ucałować. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, z okazji rocznicy ślubu oraz na nowej drodze życia.

Dźwięk dotarł do niej szybciej niż obraz. Jakiś owad uderzał w szybę krótkimi, elektrostatycznymi wyładowaniami niepokoju, po których następował moment ciszy i bezruchu. W tle słyhać było inne, bardziej natarczywe i nieustępliwe, skrobanie; Eleanor je rozpoznawała, lecz nie umiała nazwać. Otworzyła oczy i znalazła się w całkowitych ciemnościach, tylko między zaciągniętymi zasłonami lśnił blady plasterek światła. Rozpoznała też zapachy – pokoju zamkniętego przed letnim upałem, grubych brokatowych draperii i ciemnych, chłodnych desek podłogowych, słonecznego światła przechowywanego przez dłuższy czas w zamknięciu. Uprzytomniła sobie, że znajduje się we własnej sypialni, która była teraz ich wspólną sypialną. Loeanneth.

Zamknęła z powrotem oczy. Kręciło jej się w głowie, panował okropny upał, taki sam jak wtedy, kiedy się tu sprowadzili – latem 1913 roku. Mieszkali we dwójkę i spędzili tu wspaniały czas z dala od rytmu wielkiego świata. Dom rozpaczliwie potrzebował remontu, urządzili się więc w chacie na łodzie, w której Eleanor uwielbiała się bawić jako dziecko. Warunki były dość spartańskie – łóżko, stół, podstawowe sprzęty kuchenne i mała umywalnia – lecz byli młodzi i zakochani i umieli żyć powietrzem. Wiele lat później, kiedy Anthony wyjechał na wojnę, ilekroć doskwierał jej smutek lub samotność, kiedy przytłaczały ją tęsknota lub przygnębienie, szła do chaty na łodzie, zabierała ze sobą listy miłosne, które do niej napisał, i tam, bardziej niż gdziekolwiek indziej, mogła dotknąć tego szczęścia i prawdy, które czuli tamtego lata, zanim wojna zniszczyła ich raj.

Wszystkie posiłki jadali na dworze – gotowane jajka i ser, które pakowali do kosza piknikowego, pili wino w ogrodzie pod bzem. Zaszywali się w lesie, kradli jabłka z sąsiedniego sadu i pływali łódką po rzeczce, a czas prządzł jedwabne godziny. W gwieździste, bezwietrzne noce wydobywali z szopy stare welocypedy i jeździli ubitymi ścieżkami, ścigali się, śmiali i wdychali ciepłe, słonawe powietrze, a kamienie rozgrzane po upalnym dniu lśniły w blasku księżyca.

To było cudowne lato. Długie słoneczne godziny, młodzieńczy entuzjizm, świeża wszechogarniająca miłość. Jednakże już wtedy w świecie działały potężniejsze siły. Tego lata, które było dla nich dwojga początkiem wspólnego życia i nowej rodziny, coś się również kończyło. Oni i cała ludzkość stanęli na skraju przepaści; ich życie, przebiegające od pokoleń według tych samych niezmiennych rytmów, miało doznać sejsmicznego wstrząsu. Niektórzy przeczuwali, co nadciąga, lecz Eleanor nie. Przyszłość wydawała się niezbadana. Spowijał ją beztroski kokon oszałamiającej i upajającej terażniejszości, w której liczył się tylko dzień dzisiejszy. Nad głowami jednak gromadziły się już ciemne chmury, w powietrzu wisiała wojna.

Ten sam natrętny owad cały czas dobijał się przez szybę do domu i Eleanor ogarnęła przytłaczająca fala smutku, kiedy terażniejszość wdarła się z powrotem w jej myśli. Theo. Pytania dziennikarza, fotograf. Alice stojąca w drzwiach biblioteki. Eleanor poznała wyraz jej twarzy, taki sam jak wtedy, gdy przytapała ją na wycinaniu swojego imienia na futrynie okiennej; jak wtedy, gdy kucharka wysłała ją na górę za kradzież cukrowej myszy ze spiżarni; jak wtedy, gdy zniszczyła nową sukienkę wielkimi plamami czarnego atramentu.

Z całą pewnością Alice miała na twarzy wymalowane poczucie winy, lecz to nie wszystko. Sprawiała wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć. Lecz co mogła powiedzieć i komu? Czyżby coś wiedziała? Rozmawiała z policjantem, podobnie jak wszyscy inni domownicy. Czy to możliwe, żeby wiedziała coś na temat Thea, o czym dotąd nawet nie napomknęła?

– Skąd miałaby coś wiedzieć? – doszedł ją głos z ciemności. – Przecież to tylko dziecko.

Eleanor nie zamierzała mówić na głos i zaniepokoiła się, kiedy sobie uprzytomniła, że to zrobiła. Penetrowała wzrokiem ciemność. Zaszło jej w ustach – prawdopodobnie za sprawą tabletek, które dał jej doktor Gibbons. Sięgnęła po szklankę z wodą na stoliku nocnym i w mroku zobaczyła sylwetkę osoby,

która się odezwała – na krześle wyściełanym brązowym aksamitem siedziała przy sekretarce jej matka.

– Są jakieś wieści? – spytała szybko Eleanor.

– Jeszcze nie. – Matka pisała listy, pióro skrobało po papierze welinowym. – Ale ten miły policjant, ten starszy, z chorym okiem, powiedział mi, że zdobyli jakąś informację, która może pomóc.

– Jaką informację?

Znowu skrobanie i drapanie.

– Och, Eleanor, wiesz przecież, że nie mam głowy do drobiazgów.

Eleanor upiła łyk wody. Ręka jej drżała, a w gardle paliło. To musiała być Alice. Wyobraziła sobie córkę, jak stoi przed policjantem, a na jej ożywionej twarzy maluje się pewność siebie, kiedy wyjmując z kieszeni ten swój dziennik i czyta na głos swoje zwięzłe notatki. Obserwacje i teorie, które „bez najmniejszych wątpliwości” mogą mieć związek ze zniknięciem Thea.

I może naprawdę Alice mogła im pomóc, może widziała coś, co doprowadziłoby policję do Thea. Dziewczyna rozwinęła przedziwną i niepokojącą zdolność pojawiania się w miejscach, gdzie nikt się jej nie spodziewał.

– Muszę porozmawiać z Alice.

– Musisz odpocząć. Z tego, co słyszałam, te tabletki nasenne, które zaaplikował ci doktor Gibbons, potrafią zwalić z nóg nawet konia.

– Mamo, proszę.

Matka westchnęła.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona się włóczy. Wiesz, jaka jest. Powinnaś wiedzieć, w jej wieku byłaś taka sama, obie uparte jak osły.

Eleanor nie zaprzeczyła. Nie mogła też, jeśli chciała być szczerą, zaprotestować przeciwko tej charakterystyce, chociaż słowo „uparta” zostało dobrane niezbyt starannie. Mnóstwo innych pasowałoby znacznie lepiej. Eleanor wolała myśleć o sobie jako o „nieustępliwej”. Może nawet pełnej poświęcenia.

– W takim razie pan Llewellyn będzie wiedział, gdzie ją znaleźć. Proszę, mamo.

– Jego również nigdzie nie widziałam. Policja też go szukała. Podobno nie mogą go nigdzie znaleźć, chodzą słuchy, że wyjechał. To bardzo dziwne, choć z drugiej strony nigdy nie można było na nim polegać, a ostatnio zrobił się płochliwy jak kot.

Eleanor spróbowała się podnieść. Nie miała siły zmagać się z odwieczną pogardą, z jaką matka odnosiła się do pana Llewellyna. Musi sama poszukać Alice. Och, ale jak okropnie wali jej w głowie. Objęła dłońmi skronie, a na brzegu łóżka zaskomlała Edwina.

Musi tylko odczekać minutę lub dwie, aby odzyskać równowagę, to wszystko. Zatrzymać myśli, żeby się tak nie plątały, żeby przestało jej wirować w głowie. Matka ją po prostu prowokuje, Eleanor wiedziała doskonale, że pan Llewellyn nie zostawiłby jej w takiej chwili. Rzeczywiście od kilku tygodni chodził podenerwowany, ale był jej najdroższym przyjacielem. Musiał się zaszyć gdzieś w ogrodzie, pewnie opiekuje się dziewczętami, tylko ta jedna rzecz mogła wytłumaczyć jego nieobecność. Kiedy go znajdzie, znajdzie Alice.

Bo choć bardzo pragnęła osunąć się z powrotem na łóżko i ukryć pod kołdrą, aby odepchnąć od siebie przerażające wydarzenia tego dnia, musi za wszelką cenę porozmawiać z Alice. Jej córka coś wie na temat zniknięcia Thea, Eleanor nie miała co do tego wątpliwości.

Kornwalia, 2003

Minął prawie tydzień od czasu, gdy po raz pierwszy zabłądziła do Loeanneth, i od tamtej pory biegła tam codziennie. Bez względu na to, jaki obierała kierunek, zawsze kończyła w zarośniętym ogrodzie. Najbardziej lubiła siadać na szerokiej krawędzi kamiennej fontanny i patrzeć na jezioro. Tego ranka, kiedy usiadła, zauważyła nierówny napis wydrapany na ciemnej powierzchni podstawy. A-L-I-C-E. Przeciągnęła palcem po chłodnych wgłębieniach liter.

– Cześć, Alice – powiedziała. – Wygląda na to, że znowu się spotykamy.

Znajdowała wyryte napisy na terenie całej posiadłości – na pniach drzew, na miękkim drewnie parapetów okiennych, na omszałym zielonym pomoście przed szopą na łodzie, którą odkryła kilka dni wcześniej. Zaczęła odnosić wrażenie, jakby bawiła się z Alice Edevane w nader wyrafinowaną wersję gry w kotka i myszkę, toczącą się na przestrzeni dziesięcioleci, a więź między nimi wzmacniał fakt, że przez cały tydzień zaglądała do *Zemsty na zimno*, udając (na użytek Bertiego), że robi to w ramach wakacyjnego wypoczynku, a jednocześnie próbowała dogadać z Donaldem sprawę powrotu do pracy: od poniedziałku wykonała niezliczone telefony, zostawiła sześć wiadomości i nadal nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Mimo początkowych wątpliwości czytanie okazało się zaskakująco przyjemnym sposobem spędzania wolnego czasu. Polubiła zręczliwego detektywa i sprawiało jej przyjemność wypatrywanie tropów, zanim zauważył je Diggory Brent. Trudno było sobie wyobrazić, że kobieta o surowym, poważnym obliczu, której zdjęcie widniało na skrzydełkach obwoluty, zachowywała się w młodości jak młodociany wandal niszczący dom rodzinny, lecz z jakiegoś niewyjaśnionego powodu tym zaskarbiła sobie jej sympatię. Zaintrygowało ją również, że pisarka słynąca z wymyślania skomplikowanych fabuł kryminalnych, była zamieszana, choć tylko jako świadek, w prawdziwe śledztwo, które w dodatku nigdy nie doczekało się wyjaśnienia. Zastanawiała się, co nastąpiło pierwsze w życiu Alice Edevane – wybór gatunku dla swojej twórczości czy zaginięcie maleńkiego braciszka.

Ponieważ przez cały tydzień Donald uporczywie się nie odzywał i Sadie walczyła z dotkliwym poczuciem niemocy, coraz częściej przyłapywała się na rozmyślaniach o porzuconym domu i zaginionym dziecku i coraz bardziej fascynowała ją ta zamierzchła zagadka. Wolałaby wrócić do Londynu, do prawdziwej pracy, lecz wszystko było lepsze od jałowego wpatrywania się w zegar odmierzający czas. Jej zainteresowanie nie uszło uwagi Bertiego.

– No i jak, rozwiązałaś już zagadkę?! – wołał za każdym razem, gdy Sadie wracała z psami do domu.

W jego głosie zawsze było słycać pogodną nutę, jakby się cieszył, że pochłania ją jakieś zajęcie, lecz zarazem ostrożność. Najwyraźniej nie do końca przekonało go wyjaśnienie, że przyjechała na urlop. Łapała go czasem na tym, że obserwuje ją z marsem na czole, i czuła, że w ustach piętrzą mu się pytania o niespodziewany przyjazd, o dziwną nieobecność w pracy. Za każdym razem, kiedy zdawało się, że tama nie wytrzyma już dłużej natłoku pytań, Sadie brała psy i z plecakiem wymykała się z domu.

Psy były zachwycone tym nowym porządkiem dnia. Biegły przodem, zamieniały się miejscami, lawirowały między drzewami, po czym nagle skręcały razem ze ścieżki i zaczynały się ganiać w wysokiej trawie lub prześlizgiwały pod cisowym żywopłotem, aby podjąć przerwana dzień wcześniej sprzeczkę z kaczkami. Sadie zostawała w tyle, ale na jej usprawiedliwienie należy zauważyć, że książki nie należały do lekkich, a nosiła ich ostatnio w plecaku coraz więcej, głównie dzięki nowemu znajomemu,

bibliotekarzowi z miejscowej czytelni, Alastairowi Hawkerowi.

Od pierwszej chwili okazał się tak pomocny, jak tylko pozwalał na to jego skromny księgozbiór. Niestety, nie było tego wiele. A wszystko przez Hitlera. W czasie drugiej wojny światowej bomba zniszczyła archiwum zawierające zbiory czasopism sprzed stycznia 1941 roku.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział Alastair. – Nie ma ich w internecie, ale mogę je zamówić z British Library, a tymczasem znaleźć coś innego, od czego mogłaby pani zacząć.

Sadie odparła, że to jej bardzo odpowiada, i Alastair rozpoczął poszukiwania. Stukał z zapałem na klawiaturze, przeglądał stare fiszki w drewnianych szufladkach katalogów, w końcu przeprosił i zniknął za drzwiami z napisem „Archiwum”.

– Zwycięstwo! – oznajmił po powrocie, strzepując kurz z niewielkiej sterty książek. – *Szlacheckie rody Kornwalii* – przeczytał, otwierając spis treści i przeciągając długim palcem po indeksie. Zatrzymał się mniej więcej na środku strony. – Rozdział ósmy: *DeShielowie z Havelyn*.

Popatrzyła na niego bez przekonania.

– Dom, który mnie interesuje, nazywa się Loeanneth.

– Dom nad Jeziorem, tak, ale on był tylko częścią znacznie większego majątku. O ile wiem, Loeanneth było pierwotnie domem, w którym mieszkał główny ogrodnik.

– A deShielowie?

– To miejscowy ród szlachecki, swego czasu bardzo potężny. Jak to często bywało, znaczenie i wpływy stopniały wraz ze stanem finansów. Kilka błędów w interesach, kilka zgniłych jaj, nieunikniona seria arystokratycznych skandali. – Potrząsnął książką. – Wszystko pani tutaj znajdzie.

Sadie opuściła budynek ze swoją pierwszą nowiutką, błyszczącą kartą biblioteczną w ręku, fotokopią ósmego rozdziału o deShielach z Havelyn oraz książką Arnolda Pickeringa *Syn Edevane’ów*, żywo napisaną relacją z wydarzeń związanych ze słynnym zniknięciem chłopca, którą miała wątpliwy zaszczyt wypożyczyć jako pierwsza osoba od sierpnia 1972 roku. Wzięła również sfatygowany egzemplarz *Zemsty na zimno*.

Tego popołudnia, podczas gdy Bertie piekł placek z gruszkami, Sadie usiadła przed domem i wsłuchując się w szum i westchnienia morza, czytała o rodzinie deShielów. Była to, zgodnie z tym, co powiedział bibliotekarz, opowieść o wielkości i upadku. Sadie przewertowała pierwsze kilkaset lat – nobilitację przez Elżbietę I jakiegoś pływającego deShiela, który zrabował masę złota Hiszpanom; nadanie kolejnych ziem i tytułów, śmierć rozmaitych członków rodziny; kolejne małżeństwa i spadki; znacznie późniejszy, ciekawy okres około 1850 roku, kiedy szczęście nagle odwróciło się od deShielów. Chodziły słuchy o defraudacjach, coś, co miało związek z plantacjami trzciny cukrowej na Karaibach, z jakimś wielkim długiem hazardowym i pożarem, który wybuchł w Boże Narodzenie 1878 roku w oficynie i strawił znaczną część rezydencji. Przez następne trzydzieści lat posiadłość uległa rozdrobnieniu na niewielkie spłachetki ziemi, które sprzedawano, kawałek po kawałku, aż w rękach rodziny deShielów pozostał tylko Dom nad Jeziorem z otaczającymi go terenami.

Jak się okazało, Edevane’owie stanowili tylko część historii domu. Na trzy akapity przed końcem rozdziału autor zanotował, że w 1911 roku Eleanor, ostatnia w linii deShielów, poślubiła Anthony’ego Edevane’a, a wkrótce po tym restytuowała Loeanneth i podniosła do roli wiejskiej rezydencji rodziny. Sadie nie znalazła żadnej wzmianki o zniknięciu Theodore’a Edevane’a, co początkowo ją zdziwiło, dopóki nie przeczytała, że *Szlacheckie rody Kornwalii* wydano w 1925 roku, niemal dziesięć lat przed zaginięciem chłopca, na długo, zanim przyszedł na świat.

Autor skupił się zatem na postaci Eleanor deShiel jako inspiracji książeczki dla dzieci Daffyda Llewellyna *Magiczne drzwi Eleanor*, która cieszyła się ogromnym powodzeniem w pierwszym dziesięcioleciu dwudziestego wieku. *Gdyby nie owa niezwykła, zażyła przyjaźń między Llewellynem a błyskotliwą córką jego przyjaciela, być może Llewellyn pozostałby lekarzem, nigdy nie odkrył w sobie talentu pisarskiego i całe pokolenia dzieci nie otrzymałyby daru wspaniałej opowieści.*

Llewellyn zatem pisał i ilustrował książki dla dzieci i w 1934 roku otrzymał pośmiertnie Order Imperium Brytyjskiego za zasługi w dziedzinie literatury. Według Alastaira Hawkera książka utrzymywała się na rynku, lecz nie wytrzymała próby czasu. Sadie musiała mu uwierzyć na słowo, ponieważ nie czytała w dzieciństwie tej książeczki; wydawało jej się, że ją miała – dostała w prezencie od dziadków, lecz rodzice uznali ją za „stek bzdur” i, jak można się było tego spodziewać, krytykowali głównie magiczne elementy opowieści.

Wydanie, które Sadie trzymała teraz na kolanach, ukazało się w 1936 roku. Papier, gdzieniedzie rozdzielony błyszczącymi wkładkami ze zdjęciami, stał się miękki i kruchy. Była to opowieść o małej dziewczynce, która mieszkała w wielkim, prawie pustym domu z dobrym, lecz niezaradnym ojcem oraz nieczułą macochą, opętaną żądzą awansu społecznego. Pewnego dnia, kiedy rodzice wyjechali do Londynu, dziewczynka snuła się po ponurym domiszczu i znalazła drzwi, których nigdy wcześniej nie zauważyła. Po drugiej stronie spotkała zaszuszonego, siwego człowieka, starego *niczym Dziadunio Czas we własnej osobie*. Ściany jego pokoju od podłogi do sufitu pokrywały ręcznie kreślone mapy i starannie szkicowane krajobrazy.

– Co pan tu robi? – spytała, jak spytałoby zapewne każde dziecko na jej miejscu.

– Czekam na ciebie – odrzekł staruszek.

Po tych słowach opowiedział jej o dalekiej zaczarowanej krainie, w której dawno, dawno temu popełniono wielkie zło, co zburzyło pokój i doprowadziło do waśni i wojen.

– Tylko jedna osoba może wszystko naprawić. Ty.

Kierując się mapami staruszka, dziewczynka odkryła w gęstym, zdiczalym ogrodzie wejście do tunelu, który zaprowadził ją do zaczarowanej krainy. Przyłączyła się tam do grupy prześladowanych mieszkańców i przeżyła szereg przygód oraz wzięła udział w wielu bitwach, aby pokonać niegodziwego tyrana i przywrócić krainie pokój i szczęście. Kiedy w końcu wróciła tunelem do swojego domu, odkryła, że w jej świecie czas w ogóle nie płynął, lecz wszystko inne zmieniło się nie do poznania. Jej tata był szczęśliwy, mama żyła, a dom i ogród utraciły ponury mrok. Pobiegła, aby opowiedzieć staruszkowi o swoim zwycięstwie, lecz znalazła tylko pusty pokój. Rodzice powiedzieli, że wszystko musiało jej się przyśnić, i dziewczynka prawie im uwierzyła, dopóki pod tapetą w nieużywanej sypialni gościnniej nie znalazła jedynej ocalałej mapy zaczarowanej krainy.

Siedząc na brzegu fontanny, Sadie ugryzła kanapkę z serem, którą miała w plecaku, i podniosła książkę, porównując ilustrację z prawdziwym domem. Poprosiła Alastaira, aby wyszukał jej dodatkowe informacje na temat autora, Daffyda Llewellyna. Według przedmowy do książki, był on przyjacielem Edevane’ów i nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że inspirację do swojej opowieści zaczerpnął z ich rodzowego majątku, Loeanneth. Dom na ilustracji był wierną kopią prawdziwej budowli wznoszącej się nad jeziorem. Rysownik uchwycił nawet lekkie zniekształcenie kątów w oknie na lewym narożu domu. Sadie zajęło kilka dni uważnej inspekcji odkrycie, że nie jest ono idealnie prostokątne. Przerzuciła kartki do strony z następną ilustracją – dziewczynki z burzą gęstych, kręconych włosów, ubranej w strój z dawnej epoki, stojącej pod kamienną kolumną z mosiężnym pierścieniem u podstawy. Słońce świeciło tak jasno, że Sadie musiała zmrużyć oczy, aby przeczytać podpis pod ilustracją: *Tam, pod najgrubszą, najbardziej rozłożystą i rozszepentaną wierzwą, Eleanor znalazła to, co przepowiadała mapa starego człowieka. „Pociągnij za pierścień, zdawało się szemrać powietrze, pociągnij za pierścień, a przekonasz się, co się stanie”*.

Rzuciła skórkę od kanapki w kierunku stada natarczywych łabędzi piskląt i wytarła ręce o spodnie od dresu. Jej zdaniem, wszystkie książki dla dzieci były do siebie podobne – samotne, wyobcowane dziecko znajduje przejście do magicznego świata, w którym przeżywa mnóstwo przygód i dokonuje bohaterskich czynów. Zło zostaje pokonane, stary pieśniarz uwolniony od zaklęcia, które go trzymało w niewoli, i w świecie znów zapanowują dobro i porządek. Wygląda na to, że wiele dzieci marzy o tym, by uciec od dzieciństwa, aby móc władać własnym przeznaczeniem. Sadie to rozumiała. Niektóre

przechodziły przez drzwi ukryte w szafie, inne przez koronę zaczarowanego drzewa, Eleanor znalazła klapę w ogrodzie. W przeciwieństwie jednak do wielu innych przejść, jej drzwi były prawdziwe – nie posiadała się z radości, kiedy we wtorek rano znalazła mosiężny pierścień i kolumnę, dokładnie jak w książce, ukryte pod wyjątkowo rozłożystą wierzbą po drugiej stronie jeziora. Oczywiście, próbowała ją otworzyć, lecz choć ciągnęła ze wszystkich sił, właz ani drgnął.

Chociaż ich dzieciństwo niezmiernie się różniło, Sadie czuła dziwne pokrewieństwo z Eleanor Edevane. Lubiła tę dziewczynkę z bajki, jej hart ducha, odwagę, figlarność. Kiedy była mała, taka właśnie pragnęła być, lecz to nie wszystko, łączyło je coś więcej, coś, co znalazła kilka dni wcześniej w chacie nad strumieniem. Wdrapała się do środka przez stłuczone okno i znalazła się w pokoju z łóżkiem, stołem i kilkoma innymi podstawowymi meblami. Na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu i brudu oraz wieloletni kożuch wilgoci i stęchlizny. Po skrupulatnych poszukiwaniach Sadie nie znalazła niczego pożytecznego, poza jednym przedmiotem, który można było uczciwie określić jako ciekawy. Za wezłowie łóżka wpadła koperta i przeleżała tam prawie całe stulecie. W środku znajdował się papier listowy, ozdobiony na brzegach misternym wzorem w liście bluszczu; na drugiej stronie, pod spodem, widniało imię Eleanor.

Był to list miłosny, który napisała w czasie ciąży. Między intymnymi wyznaniem, że jego miłość uratowała jej życie, Eleanor próbowała zrelacjonować mężowi cudowne zmiany, jakie następowały, w miarę jak rosło ich dziecko – *maleńka cząstka Ciebie i mnie*. Z początku Sadie przypuszczała, że nienarodzonym dzieckiem był Theo Edevane, dopóki nie przeczytała gorzkiego lamentu Eleanor, że jej ukochany znajduje się tak daleko, że pragnie mieć go blisko siebie i że rozpaczliwie za nim tęskni. Uprzytomniła sobie wtedy, że list musiał zostać napisany, kiedy Anthony walczył podczas pierwszej wojny światowej we Francji. Według *Szlacheckich rodów Kornwalii*, Edevane'owie mieli trzy córki: urodzoną przed wojną Deborah, Clementine oraz między nimi Alice, która przyszła na świat w trakcie trwania wojny. Przepełniony namiętnością, szczerzy list Eleanor tak wyraziście odzwierciedlał jej charakter, że Sadie prawie słyszała jej głos, głośny i wyraźny, dochodzący z oddali dziewięćdziesięciu lat.

Zamykając z trzaskiem książkę z biblioteki, wzbiła w powietrze chmurę kurzu. Słońce stało wysoko, z powierzchni jeziora parowała woda. Światło odbite od wody tańczyło na wiszących konarach, a liście połyskiwały niewiarygodnie soczystą zielenią. Chociaż dzień był ciepły, Sadie podniosła wzrok na dom i zadrżała. Nawet gdyby nie istniał związek między tym domem a *Magicznymi drzwiami Eleanor*, miejsce to wywoływało w niej niezwykle uczucie, jakby weszła między stronicę baśni. Im więcej czasu spędzała w ogrodzie Loeanneth, im więcej dowiadywała się o nim i ludziach, którzy tu mieszkali, im więcej odkrywała wyrzeźbionych napisów ALICE, tym mniej się tu czuła jak intruz. Mimo to nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że ten dom ją obserwuje.

Absurdalne, niemądre uczucie. W coś takiego mogłaby wierzyć nowa przyjaciółka Bertiego, Louise; Donald w głowie Sadie parsknął śmiechem. To ta cisza tak na nią działała, brak mieszkańców i właścicieli. Domy nie powinny stać puste. Taki budynek jak ten, opuszczony, a mimo to nadal pełen przedmiotów należących do jakiejś rodziny, wydawał się najsmutniejszą, najbardziej bezużyteczną rzeczą na ziemi.

Popatrzyła na stado chmur przepływających przez szyby okienne najwyższego piętra; zatrzymała się na pierwszym oknie od lewej. To był pokój dziecinny – ostatnie miejsce, w którym widziano Thea Edevane'a przed zniknięciem. Podniosła z ziemi kamyczek i zaczęła go w zadumie obracać między palcami, ważyć w dłoni. W tym tkwiło sedno sprawy. Ten dom szybko popadłby w zapomnienie, gdyby nie związana z nim okropna historia zniknięcia małego chłopca. Z biegiem czasu zła sława majątku wzbudziła szeroki wydzwitek, aż w końcu wtopiła się całkiem w miejscowy koloryt jako opowieść o zagubionym dziecku i domu pogrążonym w wiecznym śnie, wstrzymującym oddech, podczas gdy ogród dookoła powoli dziczeje i zarasta okolicę.

Sadie od niechcienia cisnęła kamyk do jeziora; wpadł do wody z głośnym pluskiem. Nie miała wątpliwości, że baśniowy element tej sprawy był jej najbardziej zdradliwym aspektem. Stare, wystygłe sprawy zawsze stanowiły największe wyzwanie, lecz ta historia miała dodatkowy, folklorystyczny, wymiar. Opowiadano ją tyle razy, że ludzie w końcu zaakceptowali jej tajemniczość. Gdyby mieli odpowiedzieć szczerze, wielu z nich, zwłaszcza ci, których ona bezpośrednio nie dotyczyła, przyznałoby, że wcale nie pragnie poznać wyjaśnienia; niewytłumaczalność przydawała tej historii uroku. W rzeczywistości jednak nie było w niej żadnej magii ani czarnoksięskich uroków, dzieci nie znikają ot tak sobie, nie dematerializują się bez powodu. Mogą się zgubić, zostać porwane lub sprzedane. Czasem zabite. Najczęściej jednak ludzie je oddają lub ktoś im je odbiera. Sadie zmarszczyła brwi. Na świecie jest tyle dzieci widm: pozbawionych rodziców, na próżno pociągających za matczyną spódnicę. Co się stało z tym?

Zgodnie z obietnicą, Alastair złożył zamówienie na archiwalne numery gazet z artykułami na temat zniknięcia małego Thea Edevane'a, zaś przyjaciółka Bertiego, Louise, która „wpadła właśnie na chwilę”, za każdym razem, kiedy Sadie wchodziła do kuchni, obiecała rozpytać wśród starszych pacjentów szpitala, czy ktoś coś na ten temat słyszał. Sadie potwierdziła w wydziale ksiąg wieczystych, że dom należy obecnie do Alice Edevane, lecz wbrew dumnym deklaracjom tutejszych instytucji okazało się, że „miejscowa” pisarka mieszka w Londynie i nie widziano jej w okolicy od kilkadziesiąt lat. Sadie znalazła jej adres zamieszkania, lecz nie udało jej się zdobyć e-maila. Jak dotąd, nie dostała odpowiedzi na listy. Na razie zadowalała się więc wypożyczoną książką Arnolda Pickeringa *Syn Edevane'ów*.

Wydano ją w 1955 roku w serii zatytułowanej *Tajemnice Kornwalii*, która obejmowała również zebrane sprawozdania ze spotkań z baśniowymi stworzeniami oraz opowieść o słynnym statku widmie, który pojawiał się w zatoce. To towarzystwo nie wzbudziło zaufania Sadie i, zgodnie z przewidywaniami, relacja Pickeringa świadczyła o większym zamiłowaniu do sensacji niż prawdy. Autor nie przedstawił żadnej rozsądnej hipotezy, wolał pozostać niewolnikiem *tajemniczego zniknięcia w noc świętojańską*. Na szczęście książka zawierała chyba w miarę wiarygodny zapis wydarzeń, co zawsze było lepsze niż nic.

Sadie wyjęła notatki, które zebrała ostatnio w teczce, i podpisała *Edevane*. Stało się dla niej czymś w rodzaju codziennego rytuału przeglądanie ich właśnie tutaj, na brzegu starej fontanny. Zawsze tak pracowała – wielokrotnie „wczytywała” w pamięć każdy szczegół sprawy, aż w końcu mogła recytować zawartość kartoteki prawie bez zająknięcia. Donald uważał, że to maniacki zwyczaj (on raczej należał do ludzi rozmyślających „po kapeczce”, najlepiej przy kuflu), lecz Sadie odkryła, że to, w czym niektórzy ludzie widzą obsesję, może być dla innych tylko formą zaangażowania, i jeśli istniał inny sposób na wykrycie luk, niedociągnięć i sprzeczności w materiale dowodowym, to ona go jeszcze nie znalazła.

Według Pickeringa, Theodore'a Edevane'a widziano po raz ostatni o jedenastej wieczorem w dniu przyjęcia, kiedy jego matka poszła zajrzeć do pokoju dziecięcego, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Robiła to codziennie o tej samej porze przed położeniem się spać, chłopiec zaś w tym okresie przespisał już spokojnie całą noc. Eleanor Edevane powiedziała policji, że bardzo rzadko budził się w nocy.

Jedna z pokojówek potwierdziła, że widziała, jak pani Edevane wychodziła z dziecięcego pokoju, a potem rozmawiała jeszcze krótko na schodach z inną służącą. Potwierdziła również godzinę – krótko po jedenastej. Powiedziała, że pamięta to dokładnie, ponieważ niosła wtedy tacę z pustymi kieliszkami do kuchni, aby przygotować czyste przed pokazem fajerwerków o północy. Lokaj, który stał przy drzwiach wejściowych, zeznał, że widział panią Edevane wychodzącą z domu niedługo po jedenastej i od tamtej pory aż do końca przyjęcia nikt z członków rodziny ani gości nie wchodził więcej do środka, poza tymi, którzy udawali się do łazienki na parterze.

Rodzina przeprowadziła wstępne poszukiwania, bez wzbudzania niepokoju i alarmowania gości,

k którzy zostali w Loanneth na noc. Jedna z córek Edevane'ów, Clementine, miała zwyczaj wychodzenia z domu wcześniej rano i często zabierała ze sobą braciszka, jeśli akurat nie spał. Uznali, że tak się stało i tym razem.

W jadalni podawano jeszcze śniadanie, kiedy Clementine wróciła ze spaceru tuż po dziesiątej. Gdy tylko oznajmiła, że nie ma pojęcia, gdzie się podział Theo, i że o szóstej rano drzwi do jego pokoju były zamknięte, natychmiast wezwano policję. Chłopca uznano za zaginionego i wszczęto szeroko zakrojone poszukiwania.

Chociaż Pickering sprawiał wrażenie, jakby całkowicie odpowiadała mu koncepcja, że Theo Edevane rozwiął się w powietrzu, zamieścił w książce krótkie podsumowanie śledztwa policyjnego i nakreślił dwa możliwe oficjalne wyjaśnienia przebiegu wydarzeń: pierwsze, że chłopiec gdzieś zabłądził, i drugie, że został porwany. Na korzyść wersji o zabłądzeniu przemawiał fakt, że znikła również jego ulubiona przytulanka. Kiedy zwiększono zasięg poszukiwań i nadal nie znaleziono ani śladu dziecka, policja uznała, że z uwagi na majątek rodziny, bardziej prawdopodobna jest ta druga możliwość. W którymś momencie między jedenastą wieczorem w noc świętojańską a ósmą rano następnego dnia ktoś się wkradł do pokoju dziecięcego i zabrał chłopca.

Było to rozsądne i uzasadnione przypuszczenie, i Sadie była skłonna się z nim zgodzić. Popatrzyła w stronę domu po drugiej stronie jeziora, usiłując sobie wyobrazić, że znajduje się na wieczornym przyjęciu opisanym przez Pickeringa: wszędzie pełno ludzi, latarni i flar, gondole ze śmiejącymi się pasażerami pływającymi po oświetlonej rzece, ognisko na wyspie na środku jeziora. Muzyka, śmiech i rozgardiasz trzystu bawiących się i rozmawiających osób.

Gdyby chłopiec wyszedł z pokoju dziecięcego – a Pickering przytoczył zamieszczony w gazecie raport, według którego Anthony Edevane oświadczył, że jego syn nauczył się ostatnio pokonywać ścianki swojego łóżeczka i kilka razy znaleziono go na schodach – to jakie istniało prawdopodobieństwo, żeby nikt z uczestników przyjęcia go nie zauważył? Autor uczynił aluzję do kilku niepewnych wzmianek gości, którzy uznali za niewykluczone, że widzieli dziecko w trakcie wieczoru, lecz najwyraźniej nie ustalono niczego konkretnego. A nawet jeśli jakimś sposobem jedenastomiesięcznemu malcowi udało się przemknąć niezauważenie przez ogród, to jak daleko mógł zajść? Sadie niewiele wiedziała o dzieciach i odległościach, jakie potrafią pokonać, ale czy nawet zaawansowany piechur nie opadłby w końcu z sił? Policja przeszukała teren w promieniu wielu mil we wszystkich kierunkach i niczego nie odkryto. Poza tym było bardzo mało prawdopodobne, aby przez siedemdziesiąt lat w końcu czegoś nie znaleziono: zwłok, kości czy choćby strzępka ubrań.

Jednakże teoria o uprowadzeniu również nastroczała kłopotów. Jak mianowicie ktoś mógł się dostać do środka, zabrać dziecko i wyjść, nie wzbudzając niczyich podejrzeń? Setki ludzi kręciły się po domu i ogrodzie, a z tego, co wywnioskowała Sadie, nie odnotowano, by ktoś słyszał lub zauważył coś pewnego. W środe przez cały ranek myszkowała wokół domu, szukając wyjść; poza frontowymi drzwiami znalazła dwa, które nadawały się do użycia: okno balkonowe w bibliotece i wejście na tyłach domu. Pierwsze z pewnością nie wchodziło w rachubę, ponieważ przyjęcie rozprzestrzeniło się po całym ogrodzie, ale Sadie zastanawiała się nad tylnymi drzwiami.

Próbowała zajrzeć przez dziurkę od klucza i szarpnęła solidnie za klamkę w nadziei, że się otworzą. W końcu między włamaniem a zwyczajnym wejściem do opustoszałego budynku jest znacząca różnica. Sadie nie należała do osób, które dzielą włos na czworo, a przecież i tak nikt w okolicy nie miałby jej za złe, nawet gdyby wyrwała zamek. Jej sytuacja służbowa była jednak nader delikatna, a stosunki z Donaldem napięte, w dodatku wisiało nad jej głową ciemne widmo Ashforda, który miał możliwość, a niewykluczone, że także i chęć, wyrzucić ją z pracy, uznała więc, że musi się zachowywać wzorowo. Co innego wgramolić się przez okno do prawie całkiem pustej chaty na łodzie, a co innego włamać do umeblowanej rezydencji. Wnętrze domu musiało zatem pozostać dla niej tajemnicą, dopóki Alastair nie zdobędzie planów budynku w archiwum urzędu hrabstwa.

– Mam fioła na punkcie map i planów – powiedział, z trudem tłumiąc w głosie zachwyt, jaki wzbudziła w nim ta propozycja.

Uwinał się w mgnieniu oka i już w czwartek Sadie wiedziała, że drzwi na tyłach domu są wejściem dla służby prowadzącym do kuchni.

Co tak naprawdę niewiele zmieniło. W dniu wieczornego przyjęcia w kuchni musiało wrzeć od pracy. Z pewnością nie było mowy, aby ktoś mógł się tędy przemknąć z najmłodszym potomkiem rodziny pod pachą.

Znowu spojrzała na imię Alice wycięte na podstawie fontanny.

– No dalej, Alice – powiedziała. – Byłaś tam. Podrzucić mi jakiś trop.

Wokół panowała ogłuszająca cisza.

Właściwie to nie, nie cisza, ponieważ tu nigdy nie było całkiem cicho. Każdego dnia, kiedy słońce pięło się na niebie, chór owadów unoszący się nad sitowiem wzniecał gorączkowy pogwar. Ogłuszający był brak dowodów.

Sfrustrowana, odrzuciła notatki na bok. Przyjemnie szukać luk w materiale dowodowym, lecz do tego trzeba by mieć jakieś dowody, które można przesiewać. Prawdziwe dowody: zeznania świadków, poszlaki, wiarygodne informacje. W tej chwili Sadie pracowała na bardzo wątlym szkicu.

Zebrała swoje rzeczy, wsunęła książki i teczkę do plecaka i zawołała psy. Przybiegły niechętnie, lecz kiedy zaczęła się przedzierać przez ogród, nie odstępowały jej na krok. Podczas poprzednich swoich wizji lokalnych odkryła strumień płynący na obrzeżach majątku. Idąc jego brzegiem, można było dojść do miasteczka.

W ciągu kilku dni z boską pomocą zdobędzie jakiś konkretny materiał. Jedną z najbardziej użytecznych rzeczy, jakie zyskała dzięki książce Pickeringa, były nazwiska policjantów, którzy prowadzili śledztwo. Najmłodszy, jak się okazało, nadal żył i mieszkał w okolicy. Według autora książki była to pierwsza sprawa Clive’a Robinsona po wstąpieniu w szeregi miejscowej policji. Miał wtedy siedemnaście lat i pełnił funkcję asystenta inspektora Hargreavesa.

Znalezienie adresu Clive’a Robinsona nie nastreczyło trudności, nadal miała znajomych w drogówce. A przynajmniej jednego – sympatycznego koleśia, z którym kilka lat temu upili się po służbie w terenie i nawet do czegoś między nimi doszło, ale od tamtej pory żadne z nich nie wspominało o tej sprawie ani słowem, a on zawsze bardzo chętnie służył jej wszelką pomocą w zdobywaniu informacji, jakich potrzebowała. Zapisała adres i w środe po południu pojechała do niedaleko położonego Polperro. Kiedy zapukała do drzwi, nikt nie odpowiedział, lecz sąsiadka okazała się niezwykle rozmowna. Clive wyjechał na wakacje na Cypr razem z córką i zięciem, ale wraca nazajutrz. Oznajmiła, że wie to na pewno, ponieważ pod nieobecność Clive’a opiekowała się jego domem – odbierała pocztę i podlewała kwiaty. Sadie napisała krótki liścik z prośbą o spotkanie i wrzuciła go do skrzynki na listy. Potem podziękowała kobiecie i dodała, że kwiaty wyglądają przepięknie. Darzyła szczególną sympatią tak uczynnych i rozmownych sąsiadów jak Doris.

Psy pognały przodem, przebiegły przez strumień na najwęższym zakręcie, lecz Sadie przystanęła. Zauważyła coś na płyciźnie, wyciągnęła z mułu i zaczęła obracać w palcach gładki, owalny kamień, płaski jak moneta, idealny do puszczania kaczek. Bertie nauczył ją dawno temu, jak je wyszukiwać. Kiedy zamieszkała z dziadkami w Londynie, chodzili we trójkę na spacerki wokół stawu w parku Wiktorii. Rzuciła go poziomo i patrzyła zadowolona, jak odbija się posłusznie po powierzchni.

Zaczęła szperać między trzciniami i właśnie dostrzegła następny odpowiedni kamyk, kiedy jej uwagę ściągnął jakiś błysk i ruch po drugiej stronie strumienia. Wiedziała od razu, co to jest. Zacisnęła wargi i zamrugała mocno. I oczywiście, gdy popatrzyła drugi raz, dziecko z rączkami wyciągniętymi po pomoc, stojące na tle słonecznego blasku, znikło. Podniosła kamyk i patrzyła ponuro, jak ten ściga swojego brata po powierzchni wody. Kiedy w końcu zatonął, przeszła po kamieniach na drugi brzeg i więcej się nie obejrzała.

Kornwalia, 1914

– Musisz znaleźć naprawdę płaski – powiedział Anthony, grzebiąc w płytkiej wodzie na brzegu strumienia. – Taki jak to чудо.

Pokazał między czubkami palców mały otoczek i podziwiał go, obracając na wszystkie strony. Za jego plecami lśniło słońce, kiedy kładł kamyczek w wyciągniętej dłoni Deborah.

Dziewczynka przyjrzała mu się zafascynowana; puszyste włoski opadały jej na czoło i muskały brzeg dużych, niebieskich oczu. Zamrugła, a potem westchnęła uszczęśliwiona i zaczęła tupać nóżkami. W efekcie kamyczek wypadł jej z dłoni i z pluskiem wpadł z powrotem do wody.

Z zaskoczenia usta dziewczynki ułożyły się w duże „O”, a po krótkiej chwili analizowania pustej dłoni pokazała z oburzeniem miejsce, gdzie zniknął w strumieniu.

Anthony wybuchnął śmiechem i delikatnie potarł mięciutkie włoski.

– Nie martw się, skrzacie. Tam gdzie go znaleźliśmy, jest mnóstwo innych.

Eleanor uśmiechnęła się, siedząc na zwałonym pniu pod wierzbą. To była chwila, w której niczego jej nie brakowało. Letnie popołudnie, zapach dalekiego morza, osoby, które kochała, zgromadzone w jednym miejscu. W takie dni jak dzisiejszy zdawało się, że słońce rzuca czar i nigdy więcej nie nadejdzie zima, i niemal wierzyła, że tylko sobie wyobraziła całą tę okropną historię... Potem jednak jej myśli wracały do rzeczywistości i znów wpadała w przerażenie, znowu coś ją ścisnęło w żołądku, ponieważ każdy kolejny dzień mijał szybciej niż poprzedni i bez względu na to, jak rozpaczliwie usiłowała spowolnić czas, prześlizgiwał się między palcami jak woda, jak te małe, płaskie kamyczki przez paluszki Deborah.

Musiała westchnąć albo zmarszczyć czoło lub w inny sposób dać wyraz wewnętrznej rozterce, bo Howard, który siedział obok niej, trącił ją lekko ramieniem.

– To nie będzie trwało w nieskończoność – powiedział. – Wróci, zanim się obejrzysz.

– Mówią, że przed Bożym Narodzeniem.

– Niecałe cztery miesiące.

– Trzy i kilka dni.

Wziął ją za rękę i ścisnął, a Eleanor przeszły lodowate ciarki złego przecucia. Powiedziała sobie, że to niemądre, i skupiła uwagę na ważce unoszącej się nieruchomo w słońcu na źdźbłe trzciny. Ważki nie wyobrażają sobie, że przeczuwają przyszłość, po prostu latają, ciesząc się ciepłem słonecznych promieni na skrzydłach.

– Miałaś wieści od swojej Catherine? – spytała pogodnie.

– Tak, poinformowała mnie, że zaręczyła się z jakimś rudowłosym kuzynem z Północy.

– Och, nie!

– Sądziłem, że jak włożę mundur, to zrobię na niej wrażenie. Niestety...

– Jest niemądra. Nie zasługuje na ciebie.

– Nie... to raczej ja miałem nadzieję, że zasłużę na nią.

Powiedział to lekkim tonem, lecz wyczuła jego cierpienie ukryte pod pozorami żartu. Zakochał się w Catherine; Eleanor wiedziała od męża, że zamierzał się już oświadczyć.

– W morzu pływa mnóstwo ryb – powiedziała i sama aż się skrzywiła, bo zabrzmiało to okropnie trywialnie.

– Tak. Tylko że Catherine była wyjątkowo piękną rybą. Może jak wrócę z wojny z jakąś małą, efektowną raną...

– Na przykład utykający?

– Myślałem raczej o czymś w rodzaju przepaski na oku. O czymś, co przydałoby mi szelmowskiego uroku.

– Jesteś stanowczo za dobry na szelmę.

– Obawiałem się, że to powiesz. Wojna na pewno mnie zahartuje, nie sądzisz?

– Mam nadzieję, że nie za bardzo.

Nad strumieniem mała Deborah śmiała się zachwycona, kiedy Anthony zanurzył jej nóżki w głębszym, chłodniejszym nurcie. Słońce osunęło się po niebie i oboje tonęli w ciepłym blasku. Chichot dziewczynki działał zaraźliwie i Eleanor z Howardem się do siebie uśmiechnęli.

– Szczęściarz z niego – powiedział Howard, poważniejąc. – Nigdy dotąd mu nie zazdrościłem, chociaż Bóg mi świadkiem, że miałem mnóstwo powodów, ale tego mu zazdrozczę. Ojcostwa.

– Twoja kolej.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna.

– Tak, chyba masz rację. W końcu kto by mi się oparł? – Wypiął dumnie pierś, lecz po chwili zmarszczył czoło. – Oczywiście, poza cudowną Catherine.

Przydreptała do nich Deborah. Nawet ten krótki dystans był dla niej zdradliwym wyzwaniem. Wyciągnęła rączkę i z powagą godną królewskiego namaszczenia pokazała im nieduży płaski kamyczek.

– Prześliczny, kochanie.

Eleanor wzięła go do ręki i potarła kciukiem gładką ciepłą powierzchnię.

– Ta – oznajmiła Deborah z wyższością. – Ta-ta.

Eleanor się uśmiechnęła.

– Tak, kochanie. Ta-ta.

– Chodź, panno D. – powiedział Howard, podrzucając ją i sadzając sobie na ramionach. – Zobaczmy, co te żarłoczne kaczki robią na jeziorze.

Eleanor obserwowała, jak odchodzą. Jej córeczka piszczała z radości, kiedy wujek Howard podskakiwał i kluczył między drzewami.

Był takim dobrym, kochanym człowiekiem, lecz od kiedy go znała, miał w sobie coś samotniczego. Nawet poczucie humoru i zwyczaj ciągłego rozśmieszania zdawały się jeszcze bardziej go od nich izolować.

– To dlatego, że jest sam – orzekł Anthony, kiedy o tym wspomniała. – Poza nami nie ma nikogo. Przez całe życie tak było. Nie miał braci ani sióstr, jego matka zmarła dawno temu, a ojca nie obchodziło, co się z nim dzieje.

Eleanor doszła do wniosku, że chyba dlatego tak bardzo go lubi – bo byli do siebie podobni; tylko jej dopisało szczęście i znalazła pokrewną duszę na ruchliwej londyńskiej ulicy, podczas gdy Howard nadal jej szukał.

– Jeszcze z niej zrobię mistrzynię w puszczaniu kaczek – powiedział Anthony, wracając znad strumienia.

Odsunęła od siebie ponure myśli i uśmiechnęła się. Popatrzyła na jego zawinięte do łokci rękawy koszuli i pomyślała po raz nie wiadomo który, jakie ma wspaniałe przedramiona, jakie piękne dłonie. Jej palce były po prostu czymś, z czym się urodziła, lecz jego miały moc leczenia ludzi. A w każdym razie będą ją miały, kiedy po wojnie ukończy studia.

– Nie wątpię – odparła. – Martwię się tylko, że tak długo zwlekasz z rozpoczęciem treningu. Ona ma już prawie jedenaście miesięcy.

– Szybko się uczy.

– I ma wrodzony dar.

– Odziedziczyła go po mamie.

Ujął jej brodę i schylił się, aby ją pocałować. Eleanor chłonęła jego zapach, jego obecność i ciepło, próbując za wszelką cenę zachować ten moment w pamięci.

Usiadł obok niej na pniu i westchnął z głębokim zadowoleniem. Tak bardzo chciałaby być taka jak on: pewna siebie, spokojna, opanowana. Tymczasem nie przestawała się zamartwiać. Jak sobie poradzi, kiedy on wyjedzie? Jak zaopiekuje się małą D.? Ich córeczka uwielbiała ojca, wypatrywała go każdego ranka i na jego widok buzia rozciągała jej się w uśmiechu, w czystej, błogiej radości. Eleanor nie mogła znieść myśli, że pewnego dnia ta malutka twarzyczka będzie wypatrywać taty na próżno, zastygnie w wyczekiwaniu, jakby zawieszona w próżni. A jeszcze gorszy będzie pierwszy dzień, w którym zapomni, że powinna go wypatrywać.

– Mam coś dla ciebie.

Eleanor zamrugała. Jej lęki przypominały muchy na pikniku: gdy tylko zaczynała je odganiać, zlatywało się ich dwa razy więcej.

– Naprawdę?

Włożył rękę do koszyka, który przynieśli z domu, po czym wręczył jej małą, płaską paczuszkę.

– Co to jest?

– Otwórz i zobacz.

– Książka – powiedziała.

– Nie. I nie powinnaś zgadywać.

– Dlaczego?

– Bo pewnego dnia możesz odgadnąć i popsujesz niespodziankę.

– Nigdy nie udaje mi się zgadnąć.

– To prawda.

– Dziękuję.

– Chociaż na wszystko przychodzi pierwszy raz.

– Otworzę ją.

– Mam nadzieję.

Rozerwała opakowanie i wstrzymała oddech. W środku znajdowała się najpiękniejsza ryza papieru listowego, jaką Eleanor w życiu widziała. Przebiegła palcami po delikatnych, jedwabistych arkuszach, po eleganckich zielonych liściach bluszczu pnących się wzdłuż krawędzi.

– To, żebyś do mnie pisała – powiedział.

– Wiem o tym.

– Nie chcę, aby mnie coś ominęło, kiedy wyjadę.

Słowo „wyjadę” przypomniało jej o rzeczywistości i tym, co nadchodziło. Tak usilnie starała się powstrzymać lęki i obawy. Anthony był taki silny i pewny siebie; pragnęła mu dorównać, nie chciała go rozczarować, lecz chwilami miała wrażenie, że trwoga strawi ją na popiół.

– Nie podoba ci się? – spytał.

– Ależ jest prześliczny.

– Więc...?

– Och, Anthony – wyrzuciła z siebie gorączkowo. – Wiem, że to z mojej strony brak odwagi, a przecież w tych czasach wszyscy powinniśmy być bardzo odważni, ale...

Przyłożył palec do jej ust.

– Ja chyba nie zniosę...

– Wiem. Ale ci się uda. Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

Pocałował ją, a ona osunęła mu się w objęcia. Uważa, że jest silna. Może naprawdę jest? Może ze względu na Deborah mogłaby przezwyciężyć własne emocje? Odsunęła na bok lęki i pozwoliła sobie

rozpłynąć się w tej chwili satysfakcji i spełnienia. Strumień, szemrząc, płynął w kierunku morza, tak jak zawsze, a Eleanor położyła głowę na ciepłej piersi Anthony'ego i wsłuchiwała się w miarowe w uderzenia jego serca.

- Wróć do mnie.
- Nic mnie przed tym nie powstrzyma.
- Obiecuj mi to.
- Obiecuję.

Kornwalia, 2003

Wracając do domu, Sadie zahaczyła o bibliotekę. Psy znały już tę marszrutę, więc powałęsały się przez moment, a potem czekały na rogu budynku obok metalowej miski, w której Alastair wystawiał im wodę.

W środku panował półmrok, lecz wkrótce Sadie zauważyła bibliotekarza kucającego za stertą książek w dziale edycji z dużym drukiem.

Uśmiechnął się na jej widok.

– Mam coś dla pani.

Wyjął spod biurka dużą kopertę.

– Czy to jest to, o czym myślę?

– „Polperro Post” – powiedział. – Z następnego dnia po zniknięciu.

Sadie wypuściła z piersi powietrze.

– To nie wszystko.

Wręczył jej grubą skoroszyt z przyczepioną na wierzchu karteczką z jej nazwiskiem.

– *Fantastyczne wycieczki czy ucieczki? Matki, monstra i metafizyka w książkach dla dzieci*. Praca doktorska, która zawiera między innymi rozdział o *Magicznych drzwiach Eleanor Daffyda Llewellyna* – przeczytała Sadie, unosząc brwi.

– I wreszcie...

– Jeszcze coś?

– Robimy wszystko, aby zadowolić naszych czytelników. Jeszcze jedna mapa majątku, łącznie z planem domu. W pewnym sensie wyjątkowa. To prawdziwy łut szczęścia. Pochodzi z dokumentacji, którą ktoś odkrył zaledwie kilka lat temu. Przechowywano ją w starym kufrze, Bóg raczy wiedzieć, kto ją tam schował. Znalaziono ją w czasie renowacji, którą przeprowadzano z okazji obchodów milenijnych. Oryginały były mocno zniszczone przez wilgoć i wysłano je do konserwacji, wróciły do archiwum urzędu zaledwie miesiąc temu.

Sadie kiwała energicznie głową w nadziei, że dzięki temu bibliotekarz szybciej skończy. Musiała się wznieść na szczyty cierpliwości, żeby nie rozedrzyć natychmiast koperty i nie pochłonąć zawartości jednym tchem. Lecz wysłuchanie euforycznej relacji Alastaira należało niejako do niepisanej umowy. Miała już wprawdzie idealnie dokładny plan domu i majątku, ale to nieważne. Alastair perorował, Sadie kiwała głową, aż w końcu, kiedy zrobił przerwę na oddech, skorzystała z okazji, uściśniła mu dłoń i podziękowała, przebąkując coś o psach, które muszą wracać do domu.

Wyszła na dwór w dziwnie lekkim nastroju, ściskając w dłoni pakunek. Nigdy w życiu by nie podejrzewała, że można poczuć tyle satysfakcji po wyjściu z biblioteki.

Ulica tonęła w blasku słońca. Nieopodal stał niewielki biały budynek hotelu z oszałamiającą kolorową oprawą kwiatów w wiszących koszykach, z widokiem na przystań i wygodną drewnianą ławką przed wejściem. Usiadła i oparła się o elegancką tabliczkę z napisem TYLKO DLA GOŚCI HOTELOWYCH! Rozdarła kopertę i zaczęła przeglądać artykuł.

Niestety, jej zapał szybko ostygł, zdała sobie bowiem sprawę, że tekst nie zawiera żadnych nowych informacji. Wyglądało na to, że z tej relacji Pickering zaczerpnął informacje do swojej książki. Ale przynajmniej dwóch fotografii dołączonych do artykułu nigdy wcześniej nie widziała: jedna

przedstawiająca wytworną uśmiechniętą kobietę, siedzącą pod drzewem z trzema małymi dziewczynkami w białych letnich sukieneczkach i *Magicznymi drzwiami Eleanor* na kolanach; druga – z tą samą kobietą, lecz tym razem z poważną, ściągniętą twarzą, w towarzystwie wysokiego, przystojnego mężczyzny, który otaczał ją ramieniem i podtrzymywał dłonią w talii. Sadie rozpoznała na fotografii wnętrze biblioteki Loeanneth. Nic się w niej nie zmieniło, nawet to samo zdjęcie w ramce stało na biurku pod drzwiami balkonowymi. ZROZPACZENI RODZICE! – głosił nagłówek. *Państwo Edevane proszą wszystkie osoby, które posiadają jakiegokolwiek informacje na temat losu ich malutkiego synka, Theodore'a, aby zgłosiły się do Loeanneth.*

Na twarzy Eleanor malował się głęboki smutek, który Sadie rozpoznała – ta kobieta utraciła część siebie. Chociaż list na papierze ozdobionym gałązkami bluszczu został napisany podczas wcześniejszej ciąży, tęsknota i miłość do nienarodzonego dziecka, jakim dała wyraz, świadczyły o tym, że należała do kobiet, dla których macierzyństwo jest błogosławieństwem, a dzieci są wielką radością. Dziesięciolecia, jakie upłynęły od czasu wykonania fotografii, nadały jej dodatkowy wydźwięk. Została zrobiona, kiedy tragedia była świeża i gorąca, kiedy Eleanor Edevane wierzyła jeszcze, że jej syn się odnajdzie i bolesna pustka, jaką pozostawiło w jej życiu zniknięcie dziecka, jest tymczasowa. Sadie, która obserwowała ten zamarły w przeszłości punkt z perspektywy czasu, znała prawdę. Eleanor do końca życia będzie dźwigać ciężar tej straty, a poza nią również katusze niepewności. Nie wiedzieć, czy jej dziecko żyje, czy nie, czy jest kochane, czy cierpi, czy płacze za nią całymi nocami...

Odsunęła gazetę na bok i popatrzyła w głąb brukowanej uliczki, w stronę migoczącej wody. Córka Maggie Bailey płakała za swoją mamą. Kiedy Sadie i Donald znaleźli Caitlyn w pustym mieszkaniu, na jej buzi widać było smugi wyschniętych łez. Przedarli się przez stertę ulotek i korespondencji, leżącą pod drzwiami, i uderzył ich w nozdrza tak odrażający smród, że nawet twardziel Donald nie wytrzymał i zwymiotował. W kuchni, w koszu na śmieci, aż buczało od much.

Sadie nigdy nie zapomni tego pierwszego widoku małej Caitlyn. Szli korytarzem, kiedy niczym duch wyrosła przed nimi mała dziewczynka w koszulce nocnej z obrazkiem *Dora poznaje świat*, lecz tak naprawdę nie spodziewali się znaleźć tam dziecka. Sąsiadka, która zadzwoniła ze skargą, narzekała na nieznośny fetor wydobywający się spod drzwi. Kiedy wypytano ją o lokatorów, opisała samotną, raczej powściągliwą kobietę. Powiedziała, że tylko od czasu do czasu dochodziła ze środka głośniejsza muzyka; czasem odwiedzała ją matka. Nie wspomniała o dziecku. Gdy później Sadie spytała, dlaczego to przed nimi zataiła, tamta tylko wzruszyła ramionami i odrzekła:

– Nie pytaliście.

Kiedy ją znaleźli, rozpętała się burza. Jezu Chryste, dziecko zamknięte samo przez tydzień w pustym mieszkaniu! Donald zgłosił to do centrali, podczas gdy Sadie usiadła z dziewczynką – z Caitlyn, bo dowiedzieli się już, jak ma na imię – na podłodze i bawiła się z nią zabawkowym autobusem, próbując sobie przypomnieć słowa jakiegokolwiek piosenki lub wierszyka dla dzieci i zastanawiając się, czy to, co się zdarzyło, coś zmienia. Zmieniło dużo. Porzucone małe dziewczynki zwykle ściągają zainteresowanie rozmaitych służb; nagle na miejscu zjawily się kolejne oddziały policji, kryminolodzy i ludzie z opieki społecznej i w małym mieszkanku wszystko zaczęło się kłębić – mierzyli, przetrząsali, zdejmowali odciski palców. W którymś momencie, kiedy zapadł zmierzch, dziewczynkę zabrano.

Mimo smutnych i przerażających rzeczy, jakie widywała, Sadie nigdy nie płakała z powodu pracy, lecz tego wieczoru, kiedy poszła biegać, pędziła jak szalona chodnikami Islington, Highgate, ciemnym wrzosowiskiem, przez cały czas tasując w głowie kawałki układanki, aż się rozmyły w nieprzenikniony mur oparów. Starła się nie przywiązywać nadmiernej wagi do emocjonalnych, ludzkich aspektów w dochodzeniu prawdy. Miała za zadanie rozwiązywać łamigłówki; ludzie, którzy byli w nie zamieszani, liczyli się tylko o tyle, o ile mogli się do tego przyczynić – ustalić motywy, potwierdzić lub obalić alibi. Lecz mała dziewczynka w pogniecionej koszulce, z potarganymi włoskami i przerażonymi oczami nie przestawała jej stawać na drodze.

Do tej pory jej stawała, do diabła. Sadie odsunęła sprzed oczu jej obraz, zła na siebie, że pozwoliła, aby jej myśli znów uciekły do tego przekłętą mieszkania. Sprawa została zamknięta. Skupiła się na przystani, na powracających kutrach rybackich, na krążących nad nimi, szybujących i pikujących mewach.

Oczywiście wszystko przez analogię między tymi dwiema sprawami: matka, która utraciła dziecko, i dziecko, które straciło matkę. Zdjęcie Eleanor Edevane z przerażoną, zapadniętą twarzą trafiło w czuły punkt Sadie. Obnażyło tę samą słabość, która przyczyniła się do tego, by, jak to określił Donald, „sprawa załazła jej za skórę”, przebiła się przez pancerz ochronny i nie pozwalała w nocy spać ani uwierzyć, że Maggie mogła tak po prostu odejść, zostawić dwuletnie dziecko w zamkniętym mieszkaniu bez pewności, że ktoś je znajdzie na czas.

– Nie chcę cię rozczarować, Sparrow – powiedział Donald – ale to się zdarza częściej, niż myślisz. Nie wszystkie kobiety nadają się na matki.

Nie zaprzeczyła. Wiedziała, że ma rację, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Chodziło raczej o sposób, w jaki zrobiła to Maggie Bailey, o bez troskę i niedbałość, które nie mieściły się w głowie.

– Może nie była wzorową matką, ale nie narażaby swojego dziecka na takie cierpienie – upierała się. – Powiadomiłaby kogoś, przygotowała swoje odejście.

I w pewnym sensie Sadie miała rację. Okazało się, że Maggie rzeczywiście poczyniła pewne przygotowania. Odeszła od Caitlyn w czwartek – dzień, w którym ojciec dziewczynki przychodził zwykle, aby zgodnie z rozwodowym orzeczeniem sądu, zabrać do siebie córkę na kilka dni. Tylko że akurat w tym tygodniu wyjechał na ryby do Lyme Regis.

– Powiedziałem jej o tym – zeznał w komisariacie, ściskając w dłoniach jednorazowy kubek. – Kazałem jej nawet zapisać to sobie na kartce, żeby nie zapomiała. Rzadko wyjeżdżam, ale tym razem dostałem od brata na urodziny bilet na samolot. Wszystko jej zapisałem. – Nie mógł wyjść z szoku. Mówiąc, odskubywał od kubka drobinki styropianu. – Gdybym tylko wiedział... Gdyby mi tylko powiedziała. Jak pomyślę, co się mogło stać...

Powiedział im rzeczy, które przedstawiły Maggie w zupełnie innym świetle, niż to zrobiła jej matka, Nancy Bailey. Trudno się dziwić. Kierowała nią macierzyńska miłość, pragnęła przedstawić córkę w różowych barwach. Lecz w tym wypadku nastąpiło to wielu kłopotów. Szkoda, że Sadie nie poznała ojca dziewczynki, zanim kupiła wersję Nancy z całym dobrodziejstwem inwentarza.

– Wiesz, na czym polega problem? – powiedział Donald, kiedy sprawa została zamknięta. – Za bardzo się zbliżyłaś z babcią tej małej. Błąd żółtodziobów.

Ze wszystkich komentarzy ten ją zakłuł najboleśniej. Utrata obiektywizmu, dopuszczenie emocji tam, gdzie powinno rządzić racjonalne myślenie, należy do najgorszych oskarżeń, jakie można wytoczyć policjantowi dochodzeniowemu.

Szczególnie, jeśli pobrzmiwały prawdziwie. *Nawet nie myśl o tym, żeby się kontaktować z babcią.* Donald miał rację, naprawdę polubiła Nancy, również dlatego, że ta mówiła rzeczy, które Sadie chciała usłyszeć – że Magie była odpowiedzialną, troskliwą matką, która prędzej dałaby się zabić, niż zostawiła swoje dziecko bez opieki; że policjanci się mylą, że powinni szukać dowodów przestępstwa.

– Czemu miałyby kłamać? – spytała Sadie. – Jaki miałyby w tym interes?

Donald tylko pokręcił głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem i współczuciem.

– To jej córka, niemądra gąszo. Co innego mogła powiedzieć?

Ojciec dziewczynki złożył skargę i Sadie dostała ostrzeżenie, żeby nie próbowała się spotykać z Caitlyn, mimo to widziała małą jeszcze raz, tuż po oficjalnym zamknięciu sprawy, kiedy wychodzili z budynku Scotland Yardu. Caitlyn szła między ojcem a jego żoną, Gemmą, trzymając oboje za ręce. Wyglądali na sympatyczną parę, dobrze ubrani, zadbani. Ktoś uczesał potargane włosy Caitlyn i zaplótł jej warkoczyki. Sadie patrzyła, jak Gemma zatrzymuje się, żeby posłuchać czegoś, co mówiła mała, po czym podnosi ją i opiera sobie na biodrze, a dziewczynka śmieje się w głos.

Było to tylko przelotne spotkanie, z daleka, lecz wystarczyło, by wiedzieć, że sprawy dobrze się

ułożyły. Życzliwa kobieta o dobrotliwej twarzy i łagodnych gestach, ubrana w jedwabną kopertową sukienkę, była właśnie tym, czego Caitlyn potrzebowała. Sadie wystarczyło tylko spojrzeć na Gemmę, aby odgadnąć, że jest osobą, która zawsze dokładnie wie, co powiedzieć i zrobić, która będzie znać przygody Dory odkrywającej świat, a także słowa odpowiednich kołysanek. Donald najwyraźniej był tego samego zdania.

– Matka wyświadczyła przysługę tej małej – powiedział później w Fox and Hounds. – Nawet ślepy zobaczy, że dziecku będzie lepiej z ojcem i tą jego drugą babką.

A przecież dzieci zasługują na to, co najlepsze i co pozwoli im się najlepiej rozwijać. Bóg świadkiem, że w świecie czeka na nie dość pułapek, żeby im podciąć skrzydła.

Sadie pobiegła myślami do listu, który wrzuciła do skrzynki. Powinien już wrócić do nadawczyni. Dobrze, że dziewczyna napisała czytelnie swój adres na odwrocie koperty. Na pewno uczyli ją takich rzeczy w tej ekskluzywnej szkole, do której chodziła. Charlotte Sutherland. Sadie uznała, że to dobre imię i nazwisko; nie to, które jej nadała, ale ładne. Słysząc w nim było dostatek, wykształcenie i sukces. Nazwisko kogoś, kto lubi hokej i wyścigi konne i nigdy nie gryzie się w język z obawy, że to, co powie, zabrzmiałoby głupio – wszystko, czego Sadie pragnęła dla małej dziewczynki, kiedy przekazywała ją pielęgniarkę i patrzyła przez łyzy, jak ją zabierają, aby dać jej lepszą przyszłość.

Drgnęła, usłyszawszy za plecami głośny rumor. Ktoś szarpał się ze starym, przesuwającym oknem, aby je otworzyć. Po chwili rozsunęły się firanki i wyłoniła się zza nich kobieta z zieloną plastikową konewką i charakterystycznym wyrazem twarzy właścicielki lokalu. Groźnym wzrokiem spiorunowała ławkę z tabliczką TYLKO DLA GOŚCI HOTELOWYCH! oraz siedzącą na niej Sadie.

Psy zakończyły badanie terenu i siedziały, czekając niecierpliwie na znak do wymarszu. Kiedy hotelarka zaczęła podlewać kwiaty wiszące w koszyku dokładnie nad ławką, Sadie skinęła na psy. Nie ociągając się, podreptały prosto w stronę domu, a Sadie ruszyła ich śladem, starając się nie zwracać uwagi na oświetloną z tyłu sylwetkę małego dziecka, która jej przez cały czas nie odstępowała.



– No i jak, rozwiązałaś zagadkę?! – zawołał Bertie, kiedy weszła z psami do domu.

Zastała go w ogródku za kuchnią z sekatorem w dłoni i stertą chwastów oraz obciętych gałązek.

– Prawie – powiedziała, rzucając plecak na drewniany ogrodowy stół z cienkich listewek. – Zostało tylko kilka drobnych niejasności w rodzaju: kto, jak i dlaczego.

– Rzeczywiście, to tylko drobiazgi.

Oparła się o kamienny mur, który powstrzymywał ogród przed ześlizgnięciem się po stromym zboczu do morza. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze, jak robi każdy człowiek, stanąwszy przed takim widokiem. Przewód srebrzystej trawy potarganej przez wiatr, biały piaszczysty klin przytulony do zatoczki między dwoma cyplami, rozległa jedwabna powierzchnia morza, falująca wszystkimi odcieniami – od błękitu po atramentowogranatowy. Wyidealizowany, nieskazitelny pejzaż w rodzaju tych, które spieczeni słońcem urlopowicze wysyłają do domów, aby wzbudzić zazdrość krewnych i znajomych. Zastanawiała się, czy nie kupić pocztówki dla Donalda.

– Czujesz zapach przypływu? – spytał Bertie.

– A ja obwiniałam o to w duchu psy.

Bertie wybuchnął śmiechem i przyciął powściągliwy pęd małego kwitnącego drzewka.

Usiadła obok dziadka na ławce i oparła nogi o metalową konewkę. Bertie miał rękę do roślin. Poza małym brukowanym kwadratem przed drzwiami domu, w pozostałej części ogrodu panowały niepodzielnie kolorowe kwiaty i gęste liściaste krzewy, a wszystko kłębiło się razem niczym morska piana.

Wśród tego uładzonego nieładu wzrok Sadie przyciągnęła kępka drobnych niebieskich kwiatków.

– Niezapominajki – powiedziała, przypominając sobie nagle ogród przed domem dziadka i Ruth w Londynie. – Zawsze je lubiałam.

Wtedy trzymał je w terakotowych doniczkach zawieszonych na murze. Zdumiewające, co potrafił stworzyć na powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych, gdzie słońce świeciło zaledwie przez godzinę w ciągu dnia. Siadywali tam we trójkę wieczorami po zamknięciu sklepu, może nie na samym początku, lecz później, po kilku miesiącach, kiedy zbliżał się termin. *Cokolwiek postanowisz, kochanie, będziemy cię wspierać*, mówiła Ruth, patrząc na nią dobrotliwymi oczami, z nieodłącznym kubkiem earl greya w dłoni.

Aż się zdziwiła, jak gwałtownie szarpnęła nią fala dotkliwego smutku. Podkradł się tak niespodziewanie, chociaż minął już rok. Tak bardzo za nią tęskniła, ileż by dała za to, by dzisiaj z nią tu była, ciepła i bliska, pozornie nieśmiertelna. Nie, nie tutaj. Najbardziej pragnęłaby odzyskać ich oboje w Londynie, tak by nigdy stamtąd nie wyjeżdżali. Miała wrażenie, że wszystkie najważniejsze decyzje w jej życiu zostały podjęte w tym maleńkim, otoczonym murem ogródku, pośród doniczek i wiszących koszyków, tak bardzo odmiennym od tej otwartej słonecznej przestrzeni. Poczła nagle silny opór przed zmianami, które w niej zachodziły, zawieruchę dziecięcego gniewu. Przełknęła go niczym gorzką pigułkę.

– Pewnie przyjemnie mieć taki duży ogród – powiedziała ze sztuczną wesołością.

Bertie uśmiechnął się, lecz nie odezwał się ani słowem, po czym wskazał sfatygowany zwitek papierów leżący pod dwiema filiżankami z resztkami czegoś, co wyglądało na muł ze źdźbłami przyciętej trawy na dnie.

– Właśnie minęłaś się z Louise. To dla ciebie. Niewiele ci to pomoże w rozwiązaniu sprawy, ale doszła do wniosku, że może zechcesz je przejrzeć.

Sadie najeżyła się lekko, lecz zaraz upomniała się w duchu, że Louise jest wyjątkowo sympatyczną i życzliwą kobietą, która właśnie wyświadczyła jej przysługę. Zerknęła na plik papierów. Wyglądały na amatorskie gazetki, składające się z jednego arkusza z winieta i tytułem „Gazeta Loanneth”, wydrukowanym staroangielską czcionką i ozdobionym czymś w rodzaju wykonanego piórkiem logo, przedstawiającego dom oraz jezioro. Kartki były poplamione i wyblakłe, a kiedy je przewracała, wymknęło się spomiędzy nich kilka rybików. Papier śmierdział pleśnią i starością, lecz nagłówki nadal tętniły życiem: **NOWE NARODZINY: NARESZCIE CHŁOPIEC!; WYWIAD Z NIEZWYKŁYM AUTOREM, PANEM LLEWELLYNEM! RZADKI WIDOK: MODRASZEK ARGIADES W OGRODZIE LOEANNETH!** Każdemu artykułowi towarzyszyła ilustracja wykonana przez Clementine, Deborah albo Alice Edevane, lecz jako autorka tekstów wszędzie widniała wyłącznie Alice.

Sadie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nazwisko i znów poczuła to ściskanie w żołądku, które towarzyszyło jej za każdym razem, gdy odkrywała coś znajomego, jak na przykład kolejny wryty napis A-L-I-C-E.

– Gdzie je znalazła? – spytała.

– Ciotka jednej z pacjentek Louise była pokojówką w Domu nad Jeziorem. Przestała tam pracować w latach trzydziestych, kiedy Edevane’owie wyprowadzili się z Kornwalii, ale te gazetki widocznie wmieszały się między jej rzeczy. W sali lekcyjnej stała prasa drukarska, najwyraźniej na poddaszu, obok pokoju służących. Dzieci często się nią bawiły.

– Posłuchaj tego... – Sadie podniosła gazetkę tak, aby nie raziło jej słońce, i zaczęła czytać na głos: **WYWIAD ZE SKAZANĄ NA BANICJĘ: OSKARŻONA PRZEMAWIA!** *Dzisiaj publikujemy wywiad, którego udzieliła nam na wyłączność Clementine Edevane, oskarżona przez mamę o „ordynarne maniery” po tym, jak obraziła nianię Rose. „Ale ona naprawdę jest gruba!”, krzyknęła ponoć oskarżona z celi za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni. „Ja tylko powiedziałam prawdę!” Prawda czy farsa? Sam osądz, drogi Czytelniku. Relacja reporterki śledczej.*

– Alice Edevane – powiedział Bertie. – Do niej należy ten dom.

Sadie skinęła głową.

– Znana również jako A.C. Edevane, wybitna pisarka powieści kryminalnych. Szkoda, że nie odpisuje na moje listy.

– Nie minął jeszcze nawet tydzień.

– Co z tego? – spytała Sadie. Cierpliwość nie należała do jej najsilniejszych stron. – To pełnych pięć dni roboczych.

– Twoja wiara w Królewską Służbę Pocztową jest wzruszająca.

Szczerze mówiąc, Sadie sądziła, że Alice Edevane z dreszczem emocji przeczyta jej listy. Policjantka pragnąca *bona fide* otworzyć na nowo, nawet jeśli tylko nieoficjalnie, śledztwo w sprawie zaginięcia jej brata. Spodziewała się listu z odpowiedzią. Nawet jeśli, tak jak powiedział Bertie, poczta nie działa perfekcyjnie, to do tej pory Sadie powinna go już otrzymać.

– Czasem ludzie dziwnie się zachowują, kiedy chodzi o przeszłość – zauważył Bertie, gładząc palcami delikatną łądyżkę. – Szczególnie po bolesnych przeżyciach.

Mówił spokojnie, nie odrywając wzroku od drzewka, lecz w jego głosie Sadie usłyszała napięcie niezadanego pytania. Przecież nie mógł wiedzieć o Charlotte Sutherland i liście, który odświeżył okropną przeszłość. Nad ich głowami zaskrzeczała mewa i przez ułamek sekundy Sadie zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o dziewczynie z eleganckim, pewnym siebie charakterem pisma i inteligentnym sposobem wystawiania się.

Ale popełniłaby głupstwo, zwłaszcza skoro dopiero co pozbyła się listu. Chciałby o tym rozmawiać, przedyskutować to, i straciłaby szansę, aby o wszystkim zapomnieć.

– Dostałam dzisiaj gazety z reportażami – oznajmiła więc. Wyjęła z plecaka materiały i zaczęła układać na kolanach stertę książek z biblioteki, teczki z archiwum oraz bloczek do pisania, który kupiła w sklepie. – Jest trochę zdjęć, których wcześniej nie widziałam, ale generalnie nic szczególnie przydatnego.

Wydawało jej się, że westchnął, wyczuwając może jej niewyartykułowane zwierzenie, i nagle z przesywającą jasnością uświadomiła sobie, że Bertie jest jedyną osobą na świecie, którą kocha, że jeśli go straci, zostanie zupełnie sama.

– A więc – dziadek rozsądnie nie naciskał – jesteśmy prawie całkiem pewni, że ktoś go porwał, co jednak nie zbliżyło nas do odpowiedzi, jak ani kto.

– Zgadza się.

– Masz jakieś teorie, czemu to zrobiono?

– Myślę, że możemy wyeliminować przygodnych porywaczy, którzy skorzystali z nadarzającej się okazji. Trwało przyjęcie, a dom stoi z dala od uczęszczanych szlaków. Nie należy raczej do miejsc, gdzie człowiek trafia przypadkowo.

– Chyba, że goni psy.

Sadie odpowiedziała uśmiechem.

– Pozostają dwie możliwości. Ktoś go porwał dla pieniędzy albo dla siebie.

– Ale nie zażądano okupu, prawda?

– Według Pickeringa nie, policja jednak nie zawsze ujawnia takie rzeczy. Mam to pytanie na liście do Clive'a Robinsona.

– Odezwał się?

– Nie, ale miał wrócić wczoraj, więc trzymam kciuki.

Bertie odciął kolejną gałązkę na drzewku.

– Powiedzmy, że nie chodziło o pieniądze – rzucił.

– A więc o chłopca. Tego konkretnego. Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby ktoś, komu po prostu zależy na dziecku, wybrał syna bogatej rodziny z wyższych sfer, dysponującej wszelkimi dostępnymi środkami, aby szukać utraconego dziedzica.

– To byłby chyba rzeczywiście głupi wybór – zgodził się Bertie. – Musiał istnieć łatwiejszy sposób.

– Co oznacza, że osoba, która porwała Thea Edevane’a, chciała zdobyć akurat to dziecko, a nie inne.

Ale dlaczego? – Stukała długopisem w bloczek cienkiego, prawie przezroczystego papieru, na którym słońce wydobyło odciśnięte ślady liter z poprzedniej kartki. Westchnęła. – To na nic. Dopóki nie zdobędę więcej informacji, nie dostanę odpowiedzi od Alice Edevane, nie porozmawiam z Clive’em Robinsonem, nie dowiem się czegoś więcej na temat ludzi, którzy byli w to zamieszani, to nie wydostanę się poza sferę domysłów. – W jej głosie zabrzmiała nowa fala frustracji.

– Naprawdę zaparłaś się, aby rozwiązać tę zagadkę, co?

– Nie lubię niedokończonych spraw.

– Minęło dużo czasu. Większość ludzi, którzy mogliby tęsknić za chłopcem, od dawna nie żyje.

– Nie w tym rzecz. Ktoś go porwał, to nie w porządku. Jego rodzina zasługuje na to, by się dowiedzieć, co się z nim stało. Popatrz... – wyciągnęła w stronę dziadka gazetę – popatrz na jego matkę, na jej twarz. Urodziła go, nadała mu imię, kochała go. Był jej dzieckiem, a resztę życia przeżyła bez niego, nie wiedząc, co się stało, na kogo wyrósł, czy jest szczęśliwy. Nie mając nawet pewności, czy żyje, czy umarł.

Bertie ledwo rzucił okiem na gazetę; przeszył wnuczkę skonsternowanym spojrzeniem.

– Sadie, skarbie...

– To łamigłówka – ciągnęła szybko, zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi piskliwie. – Przecież mnie znasz, wiesz, że nie potrafię zostawiać ich nierozwiązanych. Jakim sposobem, na litość boską, wyniesiono dziecko z domu pełnego ludzi? Musi być coś, czego nie umiem dostrzec. Drzwi, okno, drabina, jak w porwaniu Lindberghów.

– Sadie, twój urlop...

Nagle zaszczekał Ash i oba psy poderwały się na nogi, po czym pognały do kamiennego muru graniczącego z drogą.

Wtedy Sadie również to usłyszała – pod dom podjechał mały motocykl i zatrzymał się przed bramą. Rozległo się skrzypnięcie i ciche stuknięcie otwieranej skrzynki na listy, a potem na matę upadł plik listów.

– Poczta – powiedziała.

– Przyniosę – zaofiarował się Bertie, odkładając sekator i otrzepując ręce o fartuch ogrodowy.

Spojrzał na wnuczkę, zmarszczył czoło z namysłem, po czym schylił głowę i zniknął w drzwiach do kuchni.

Sadie czekała, aż odejdzie, a wtedy uśmiech uleciał z jej warg w mgnieniu oka. Bolały ją policzki. Coraz trudniej było odpierać pytania dziadka. Nie lubiła go okłamywać, oboje wychodzili wtedy na głupców, ale nie potrafiła mu wyznać, że tak fatalnie schrzaniła sprawy w pracy. To, że rozmawiała z prasą, było żenujące, wręcz skandaliczne. Co gorsza, na pewno by zapytał, dlaczego zachowała się w sposób, który tak bardzo do niej nie pasował. Co z kolei doprowadziłoby rozmowę do tematu Charlotte Sutherland i jej listu. Nie mogła mu o nim powiedzieć. Nie zniosłaby widoku jego dobrotliwej twarzy kurczącej się ze współczucia. Bała się okropnie, że jeśli zacznie o tym mówić, sprawa nabierze realności i powrócą wszystkie koszmary jej bezradnej młodości, że znów wpadnie w pułapkę strachu przed olbrzymią nadciągającą falą. Nie była już tą przerażoną dziewczyną i nigdy więcej nie pozwoli, aby tamta wróciła.

Więc czemu tak postępuje? Ściągnęła brwi. Bo przecież dokładnie to robi, prawda? Pozwala Donaldowi dyktować warunki, a sama tkwi beczynnym w stanie zawieszenia, czekając, aż zaproszą ją z powrotem do pracy, w której jest naprawdę dobra. W której wypruwała sobie żyły, aby coś osiągnąć. Pokonywała niezliczone przeciwności, wspinając się po tej drabinie, więc dlaczego zrobiła się teraz taka potulna, czemu ukrywa się nad spokojnym, błękitnym morzem za zasłoną sprawy, której tropy ostygły siedemdziesiąt lat temu?

Pod wpływem nagłego impulsu wyjęła z kieszeni komórkę. Przez chwilę przekładała ją z ręki do ręki, po czym westchnęła, podjęła decyzję i odeszła w najdalszy kraniec ogrodu. Wdrapała się na mur i wychyliła jak najdalej od domu, dopóki na wyświetlaczu nie pojawiła się jedna jedyna kreseczka zasięgu. Wybrała numer Donalda i czekała, mamrocząc pod nosem:

– No odbierz, odbierz...

Odezwała się od razu poczta głosowa i Sadie zakłęła na wietrze. Zamiast się rozłączyć i spróbować jeszcze raz, wysłuchiwała lakonicznej informacji Donalda, po czym nagrała własną wiadomość:

– Posłuchaj, Donald, mówi Sadie. Chcę ci tylko powiedzieć, że jadę do Londynu. Poukładałam sobie sprawy i jestem gotowa wrócić do pracy w następny poniedziałek. Dobrze by było się przedtem spotkać, pokażę ci zdjęcia z wakacji... – Sama usłyszała, że drobny żart wypadł beznadziejnie płasko, więc szybko dodała: – Daj znać, gdzie i kiedy ci pasuje. W przyszłym tygodniu?

Tym pytaniem, które było właściwie stwierdzeniem, zakończyła i rozłączyła się.

Dobrze. Odetchnęła głośno. Załatwione. Teraz, kiedy Bertie zapyta ją o plany, będzie mogła mu konkretnie odpowiedzieć: po krótkiej, przyjemnej wyprawie do Kornwalii w przyszłym tygodniu wraca do Londynu.

Wsunęła telefon do kieszeni, wróciła na swoje miejsce pod drzewem, czekając, aż poczuje w końcu upragniony spokój ducha. Niestety, daleko było do tego. Teraz, po zakończonej rozmowie, jej umysł sporządzał listę rzeczy, które powinna zrobić inaczej. Powinna konkretniej określić czas i miejsce. Powinna mówić łagodniej, bardziej przepraszająco, żeby wyglądało na to, że to wyszło od niego.

Przypomniała jej się teraz jego groźba, że pójdzie do Ashforda, jeśli Sadie nie zastosuje się ściśle do poleceń. Ale był jej partnerem, rozsądnym facetem, miał na uwadze jej dobro, kiedy ją zmusił do wyjazdu, a ona odebrała lekcję – nigdy więcej nic nie wycieknie od niej do prasy. Zresztą sprawa Baileyów została zamknięta, znikła z gazet, więc tak naprawdę nic złego się nie stało. (Jeśli nie liczyć Nancy Bailey. Twarz Sadie się ściągnęła, kiedy sobie przypomniała minę tej kobiety na wieść, że sprawę umorzono. „Myślałam, że mi pani wierzy, że moja córka nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś takiego. Myślałam, że ją odnajdziecie”).

Odsuwając od siebie wspomnienie Nancy Bailey (*Nawet nie myśl o tym, żeby się kontaktować z babcią*), Sadie powiedziała sobie, że postąpiła słusznie, i postanowiła zrobić wszystko, aby w to uwierzyć.

Na jej kolanach nadal leżała nowa mapa majątku Loeanneth; i Sadie zmusiła się, aby skupić na niej uwagę, aby nie myśleć o tamtych rzeczach. Była znacznie starsza od tej, którą dostała wcześniej od Alastaira. Według informacji na górnej krawędzi, pochodziła z 1664 roku, sporządzono ją więc w czasach, kiedy Dom nad Jeziorem był tylko dodatkiem do wielkiej rezydencji w majątku. Pomimo archaicznej pisowni oraz wymyślnej czcionki, w której część słów była nieczytelna, Sadie natychmiast rozpoznała plan domu, w końcu spędziła cały tydzień na studiowaniu jego rozkładu z nadzieją, że uda jej się odgadnąć, którędy porywacz wyniósł tamtej nocy Theo. Wszystkie pokoje i korytarze były na swoich miejscach.

Poza... Sadie przyjrzała się bliżej.

Wyjęła z teczki pierwszą mapę i przysunęła obie do siebie.

A jednak się różniły. Do pokoju dziecięcego przylegało maleńkie pomieszczenie lub wnęka, której nie zaznaczono na późniejszym planie.

Co to mogło być? Szafa? Czy w siedemnastym wieku wbudowywano szafy w ściany? Sadie wydawało się, że nie. A nawet jeśli tak, to czemu akurat tę jedną naniesiono na plan mieszkania, a wszystkie inne pominięto?

W zadumie postukała palcem w usta. Przeniosła wzrok ze strzyżonego krzewu Bertiego na psy, które leżały pod murem, a wreszcie na morze. Jej spojrzenie zatrzymało się na ciemnym punkciku statku kołyszącego się na horyzoncie.

Nagle coś jej zaświtało w głowie.

Zaczęła przerzucać papiery, aż znalazła swoje notatki z rozdziału ósmego *Szlacheckich rodów Kornwalii* zatytułowanego *DeShielowie z Havelyn*.

Znalazła: dom wybudował za panowania Henryka VIII żeglarz deShiel, który zrabował złoto Hiszpanom. Istniało jeszcze inne określenie na takich ludzi.

Zaczęła kojarzyć fakty z prędkością błyskawicy, powiązania rozbłyskiwały niczym sygnały świetlne, jeden zapalał się od drugiego: przodek deShiel, prawdopodobnie pirat... opowieści Louise o przemytnikach... o tunelach biegnących pod kornwalijskim wybrzeżem... tunel w *Magicznych drzwiach Eleanor* i jego odpowiednik w prawdziwym ogrodzie... kolumna z pierścieniem, którą Sadie widziała na własne oczy...

– Coś do ciebie. – Bertie wrócił z pocztą i wyciągnął do niej rękę z kopertą.

Wzięła ją bez słowa, tak pochłonięta teorią, która formowała jej się w głowie, że tylko na wpół świadomie zarejestrowała nazwisko wydrukowane starannie w lewym górnym rogu koperty.

– To od tego policjanta – powiedział Bertie. – Od Clive’a Robinsona z Polperro. Nie zamierzasz...? – zająknął się. – O co chodzi? Coś mnie ominęło? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Sadie nie widziała ducha, lecz miała wrażenie, że przed jej oczami przemknął cień.

– Ten pokój – powiedziała, kiedy dziadek podszedł i zajrzał jej przez ramię. – Ta mała wnęka... Zdaje się, że odkryłam drogę ucieczki.

Londyn, 2003

W tym szczególnym zakątku South Kensington roiło się od duchów i właśnie dlatego siostry Edevane wybrały go na początek. Co roku w rocznicę śmierci Eleanor umawiały się na herbatę w Muzeum Wiktorii i Alberta, lecz najpierw spotykały się w Muzeum Historii Naturalnej. Ich ojciec w testamencie zapisał tej instytucji całą swoją kolekcję i Alice czuła, że w tych murach zachowało się więcej jego ducha niż w jakimkolwiek innym miejscu.

Uznały za najzupełniej uzasadnione uczczenie pamięci rodziców tego samego dnia. Ich miłość należała do tych, jakie opiewają poeci i o jakich marzą inni ludzie – dwoje pięknych, młodych nieznajomych poznało się przypadkiem, zakochało od pierwszego wejrzenia, potem los ich rozdzielił, wystawił ich uczucie na próbę i scementował podczas pierwszej wojny światowej. Jako dzieci Alice i jej siostry akceptowały ten związek bez zastrzeżeń, dorastały otulone miłością i przywiązaniem Eleanor i Anthony’ego. Lecz była to miłość, która wszystkich innych ludzi odsuwała na bok jako obcych. Poza wąskim, stałym kręgiem przyjaciół rzadko i niechętnie urządzali spotkania towarzyskie i z perspektywy czasu można było zrozumieć, że fakt ten dodawał ich corocznemu przyjęciu w wigilię świętego Jana niezwykłości i magii. Kiedy tak niespodziewanie i wkrótce po mężu zmarła Eleanor, ludzie kręcili głowami i mówili do ich córek:

– To naturalne, wasi rodzice stanowili jedność.

Ci sami ludzie, którzy próbowali się im przypodobać, szeptali za ich plecami:

– Zupełnie jakby nie mogła znieść rozstania.

Alice, jak zawsze, przyszła do muzeum pierwsza. Stanowiło to część rytuału, niepisanej umowy: Alice zawsze punktualna, Deborah zaaferowana i spóźniona. Usiadła na ławce w głównym holu i sięgnęła do torebki. Najpierw przejechała dłonią po gładkiej, wytartej skórce notesu, po czym wyjęła go i położyła sobie na kolanach. Najbardziej na świecie lubiła obserwować ludzi i z czasem się przekonała, że to, co w normalnych okolicznościach uchodziło za wścibstwo, z piórem i zeszytem w ręce sprawiało wrażenie uroczego roztargnienia. Tego dnia jednak nie miała najmniejszego zamiaru robić notatek. Za bardzo ją pochłaniały własne kłopoty, żeby myśleć o obcych ludziach.

Otworzyła notes i popatrzyła na list, który włożyła między kartki. Nie przeczytała go jednak, nie musiała tego robić ponownie. Ten był drugi, podobny w treści do poprzedniego. Policjantka nalegała na spotkanie, lecz pisała bardzo ogólnikowo na temat tego, co wie o sprawie Edevane’ów, jak ją nazwała. Było to bardzo rozsądne, Alice postąpiłaby dokładnie tak samo, gdyby pisała podobny list dla Diggory’ego Brenta o tajemniczej, nierozwiązanej zagadce, na którą natknęła się podczas wakacji w Kornwalii. Każdy detektyw z prawdziwego zdarzenia wie, że naszkicowanie jedynie surowego rusztowania otwiera szczelinę, w którą może wpaść niespodziewający się niczego świadek. Na nieszczęście dla Sadie Sparrow, Alice nie była niespodziewającym się niczego świadkiem i nie miała najmniejszego zamiaru dać się podstępnie nakłonić do wyjawienia rzeczy, o których nie chciała rozmawiać. Za to Deborah...

Zamknęła notes i zaczęła się nim wachlować. Wczoraj wieczorem, leżąc w łóżku, zastanawiała się, jak rozegrać tę sprawę, jaka jest szansa, że ta Sparrow odkryje coś ważnego. Uspokajała się w duchu, że skoro wydarzyło się to tak dawno temu, nie pozostało już nic, co można by odkryć, i wtedy wpadło jej do głowy, że Deborah również mogła dostać taki list. Niewidzialne lodowate ostrze przeszło ją na wskroś

atakami paniki, kiedy to sobie uprzytomniła.

Rozważała tę możliwość od najróżniejszych stron, zanim w końcu uznała, że Deborah, niewinna do szpiku kości, skontaktowałaby się z tą policjantką natychmiast, gdyby tylko dostała list. Jako żona polityka była przeczulona na punkcie bezpieczeństwa i ochrony prywatności, przeraziłaby ją myśl, że jakaś nadgorliwa obca kobieta grzebie w rodzinnym ogródku, i natychmiast wezwałaby na pomoc siostrę. Dopiero dzisiaj rano, kiedy taksówka kluczyła przez St John's Wood, Alice przyszło do głowy, że Deborah może czekać, by przedyskutować tę sprawę osobiście. Może, skoro zbliżała się rocznica śmierci Eleanor, wsunęła list do torebki i właśnie teraz przygotowuje się do poruszenia tego tematu.

Alice wypuściła głośno powietrze, aby dodać sobie otuchy, i popatrzyła w stronę wejścia. Jak dotąd, Deborah się nie pokazała, za to przy drzwiach jakiś osobnik w czarnych dżinsach powodował małe zamieszanie. Alice zauważyła go zaraz po przyjściu. Trzymał za rączkę małą dziewczynkę w jaskraworóżowej bluzeczce na ramiączkach i granatowych ogrodniczkach. Dziecko podskakiwało i pokazywało coś rączkami, a ojciec – tak przynajmniej wywnioskowała Alice – usiłował ostudzić jego entuzjazm, sięgając po coś (może po butelkę z wodą – w ostatnich czasach dzieci sprawiały wrażenie, jakby nieustannie potrzebowały nawodnienia) do małego plecaka, który niósł na plecach.

Teraz mężczyzna wymachiwał gorączkowo rękami na strażnika, ale nie było koło niego dziewczynki. Alice rozpoznała z daleka charakterystyczne zachowanie spanikowanego rodzica, któremu zginęło dziecko. Popatrzyła w kierunku ogromnego szkieletu diplodoka i dalej, w stronę kamiennych schodów na drugim końcu ogromnej sali. Kiedy ich wcześniej obserwowała, dziewczynka wskazywała rączką właśnie w tamtą stronę. W drugiej dłoni ścisnęła kulę, która iskrzyła w środku, kiedy się nią potrzęsało, jakby szalała w niej burza, a w oczach dziecka widać było charakterystyczny błysk determinacji. Prawdopodobnie stało teraz na szczycie schodów z policzkiem opartym o chłodny, płaski kamień balustrady i przymierzało się do turlania kulki.

Dedukcja, drogi Watsonie. Alice próbowała się rozkoszować znajomą pocieszającą świadomością, że miała rację. Zawsze się chlubiła dobrą pamięcią i zdolnością wyciągania wniosków na podstawie dostępnych przesłanek. Tę umiejętność zawdzięczała ojcu. Kiedy były dziećmi, organizował im różne gry, sam uwielbiał łamigłówki, które większość dorosłych uważała za męczące. Zabierał je ze sobą na włóczęgi, pozwalał im nieść swoje przyrządy – na przykład, jeśli któreś z nich dopisało szczęście, dostawała upragnioną siatkę na motyle – i przystawał od czasu do czasu, aby przykucnąć i coś im pokazać.

– Namaluj w wyobraźni obraz, ale nie tak, żebyś widziała po prostu drzewo – mówił. – Zobacz mech porastający pień, otwory dziobane przez dzięcioła, rzadsze liście w miejscach, gdzie nie dochodzi światło.

Później, czasem po kilku dniach, kiedy najmniej się tego spodziewała, wołał:

– Alice! To wymień dziesięć cech tamtego drzewa, które widzieliśmy w lesie.

Po czym zamykał oczy i liczył na palcach, podczas gdy Alice wyczarowywała z pamięci zapamiętany obraz.

Nawet teraz poczuła dreszczyk wzruszenia na wspomnienie tych chwil, kiedy udawało jej się wywołać uśmiech na jego twarzy. Umiał się fantastycznie uśmiechać, należał do tych ludzi, których cała twarz odzwierciedla ich nastrój. Bardzo się pod tym względem różnił od Eleanor, którą wychowanie uczyniło nieco surową i powściągliwą. To była jedna z największych tajemnic, jakich Alice nie mogła w dzieciństwie zrozumieć: jak to się stało, że Eleanor z bajki, ta żywiołowa poszukiwaczka przygód, mogła wyrosnąć na tak surową i przewidywalną kobietę. Całe dzieciństwo Alice było zdominowane przez czające się widmo mamy wiecznie obserwującej, czy któraś z nich nie uchybiła zasadom, aby następnie wysłać je za karę do pokoju i mieć męża tylko dla siebie. Dopiero po wielu latach Alice zrozumiała, że matka była o nie zazdrosna, o więź, która je łączyła z ojcem, o to, jak bardzo je kochał.

– Tak, ale to trochę bardziej skomplikowane – powiedziała Deborah, kiedy o tym rozmawiały. Alice

naciskała ją dalej, więc w końcu Deborah zaczęła wyjaśniać, starannie dobierając słowa: – Myślę, że w pewnym sensie była również zazdrosna o niego. Pamiętasz? W czasie wojny, kiedy byliśmy małe, zachowywała się zupełnie inaczej. Śmiała się i lubiła się z nami bawić. Miałyśmy uczucie, jakby była jedną z nas, a nie sztywną, przyzwoitą dorosłą jak babcia czy niania Bruen.

Alice niepewnie pokiwała głową, bo słowa siostry poruszyły w niej odległe wspomnienia zabaw w chowanego i fantastycznych, czarodziejskich historii.

– A potem tata wrócił do domu i zaczęliśmy go podziwiać. Uwielbiałyśmy go i mama jakby nas straciła. Wszystko się zmieniło. Ona też stała się inną osobą, bardziej surową i wymagającą. Nie mogła... – Nagle Deborah urwała, jakby się rozmyśliła przed powiedzeniem tego, co zamierzała. – W każdym razie nie mogli być oboje ulubionymi rodzicami, prawda?

Spojrzenie Alice przyciągnęła znajoma postać, która stanęła w drzwiach. Deborah wspierała się na ramieniu Jamesa. Kiedy weszli do holu, zaśmiała się z czegoś, co powiedział jej młody kierowca. Poklepała go serdecznie po rękę i pożegnała. Alice wypuściła z piersi powietrze. Jej siostra nie wyglądała na kogoś, kto dostał w liście granat.

Po wyjściu Jamesa Deborah przez chwilę stała w miejscu, wokół niej kłębili się, witali i pozdrawiali ludzie. Jak wszystkie żony polityków, miała wprawę w robieniu dobrego wrażenia, lecz Alice zawsze potrafiła zajrzeć pod ludzką maskę: lekkie napięcie wokół ust, wyniesiony z dzieciństwa zwyczaj ściskania opuszek palców w chwili poruszenia. Żadnej z tych rzeczy teraz nie zauważyła. Uspokoiła się nieco, lecz nadal nie odrywała wzroku od siostry. Człowiek rzadko przygląda się uważnie ludziom, których dobrze zna. Deborah była wysoka i do tej pory zachowała wyprostowaną, dystygowaną postawę, chociaż dobiegała dziewięćdziesiątki. Ubierała się elegancko, nosiła takie same satynowe sukienki jak w latach trzydziestych, ściągnięte paskiem w talii i ozdobione małymi perłowymi guzikami pnącymi się do kołnierzyka. Wyglądała jak jeden z motyli taty, schwytna w momencie rozkwitu urody, zastygła w czacie i wiecznej kobiecości. Stanowiła całkowite przeciwieństwo siostry ubranej w spodnie i buty w męskim stylu.

Alice podniosła się i pomachała jej ręką. Deborah podpierała się laską, Alice wywnioskowała więc, że chora noga znów jej się daje we znaki. Mimo to bez wątpienia uśmiechnie się i oznajmi, że nigdy nie czuła się lepiej. Byłoby nie do pomyślenia, gdyby któraś z dziewcząt Edevane przyznała się do słabości, bólu czy skruchy. Hart ducha był częścią spuścizny, odziedziczyły go po Eleanor, podobnie jak szybkie odpisywanie na listy i pogardę dla niechlujnej gramatyki.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Deborah, podchodząc do ławki. – Miałam zwariowany poranek. Mam nadzieję, że nie czekałaś zbyt długo.

– Ależ skąd. Zresztą wzięłam ze sobą notes.

– Byłaś już w środku, żeby obejrzeć wystawę?

Alice odparła, że nie, i w milczeniu poszły oddać do szatni letni płaszczyk Deborah. Ktoś patrzący z boku mógłby uznać ich powitanie za dość chłodne, lecz z zachowania starszej siostry nie dało się wyczytać żadnych emocji. Nigdy się nie całowały ani nie ścisnęły na powitanie. Alice ubolewała nad nowoczesną modą na płacz i zwierzenia, obie z Deborah z wyższością traktowały wylewne uczuciowe sceny.

– Panie muszą być siostrami – stwierdziła szatniarka, uśmiechając się szeroko.

– Owszem – odparła Deborah, zanim Alice zdążyła odpowiedzieć, jak zawsze z nawyku zbyt cierpko. – Musimy.

To prawda, że na starość zrobiły się do siebie bardziej podobne niż kiedykolwiek przedtem, lecz w oczach młodych wszyscy starzy ludzie wyglądają tak samo: rzadziejące włosy, przyćmione spojrzenie, wędzące usta i skóra – wszystko traci indywidualne rysy, w miarę jak prawdziwa twarz znika za maską zmarszczek i bruzd. Tak naprawdę nie były do siebie podobne. Deborah nadal była piękna, a przynajmniej jej twarz wciąż nosiła znamiona dawnej urody. Tego lata, gdy zaręczyła się z Tomem,

ostatniego lata w Loanneth, „The Times” nazwał ją *najpiękniejszą młodą damą obecnego sezonu*. Alice i Clemmie dokuczały jej bez litości, lecz tylko dla czystej zabawy. W artykule nie wyczytały niczego, czego by już wcześniej nie wiedziały. *W każdej grupie sióstr jest jedna, która przyćmiewa pozostałe*, napisała Alice w jednej ze swoich książek, zatytułowanej *Śmierć na wezwanie*. Włożyła tę obserwację w usta Diggory’ego Brenta, który miał przedziwny dar widzenia świata tak jak Alice, a jako mężczyzna mógł myśleć takie rzeczy, nie sprawiając przy tym wrażenia zgorzkniałego czy antypatycznego.

Nie, doszła do wniosku Alice, kiedy Deborah roześmiała się wesoło z czegoś, co powiedziała szatniarka, jej siostra nie dostała listu od Sadie Sparrow. Odetchnęła z ulgą, lecz zdawała sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Jeśli nie znajdzie sposobu, by zaspokoić ciekawość pani detektyw, ta z całą pewnością wciągnie w sprawę jej siostrę. Na szczęście Alice знаła kilka sposobów na zamydlenie oczu. Musiała tylko zachować spokój i postępować metodycznie. Nie była pewna, dlaczego właściwie powiedziała Peterowi, że pierwszy list przyszedł na zły adres, że nic nie wie o zaginionym dziecku. Nie zastanawiała się nad tym, co mówi, wpadła po prostu w panikę.

– Jak się masz? – spytała Deborah, kiedy odwróciła się od kontuaru szatni i otaksowała ją wzrokiem. – Dobrze wyglądasz.

– Mam się świetnie. A ty?

– Doskonale.

Z odrobiną niesmaku na twarzy Deborah wskazała głową hol. Nigdy nie przepadała za ojcowską kolekcją owadów i jego przerażających srebrnych szpilek, chociaż jako dziecko na równi z siostrami rywalizowała, aby mu asystować w pracy.

– Dobrze – powiedziała, opierając się ostrożnie na lasce. – Chodźmy i miejmy to za sobą, aby napić się spokojnie herbaty.



Niewiele rozmawiały w czasie zwiedzania wystawy. Podzieliły się jedynie uwagą, że wszystkie eksponaty są na swoim miejscu. Kustoszuzeum powymował owady Anthony’ego z gablotek i rozmieścił je na nowo, aby wzbogacić istniejący zbiór, lecz Alice nie miała trudności z wyłowieniem tych, które pomagała ojcu łapać. Z każdym łączyła się odrębna historia. Kiedy oglądała znajome skrzydła, kształty i kolory, prawie słyszała łagodny głos ojca.

Deborah nie narzekała, ale widać było, że noga jej dokucza, więc Alice zarządziła wcześniejszy koniec pielgrzymki. Przeszły na drugą stronę ulicy do Muzeum Wiktorii i Alberta. Kawiarnia kipiała od gości, ale udało im się znaleźć spokojne miejsce przy wygaszonym kominku w mniejszej sali. Alice kazała siostrze pilnować stolika, a sama poszła po herbatę i kiedy wróciła z tacą, Deborah siedziała z okularami na nosie i patrzyła na swój telefon.

– Piekielne urządzenie – powiedziała, dźgając klawiaturę karmazynowym paznokciem. – Nigdy nie słyszę, kiedy dzwoni. I myślisz, że udaje się potem odtworzyć wiadomość?

Alice wzruszyła lekko ramionami na znak współczucia i naląła sobie mleka.

Rozsiadła się wygodnie i obserwowała, jak z filiżanki unosi się para. Przyszło jej do głowy, że zanim zacznie rozmawiać z policjantką, dobrze byłoby się upewnić, ile wie jej siostra. Problem polegał na tym, jak zacząć.

Podczas gdy Deborah nadal gmerała przy komórce, odsuwając ją i przysuwając, aby przeczytać informację na wyświetlaczu, Alice upiła łyk herbaty.

Deborah zmarszczyła brwi i dotknęła przycisku.

– Może jeśli...?

Alice odstawiła filiżankę.

– Sporo ostatnio rozmyślałam o Loeanneth.

Jej siostra wykazała tylko przelotne zdziwienie.

– Tak?

Ostrożnie, upomniała się Alice. Postępuj ostrożnie.

– Pamiętasz, jaka podniecona była mama, kiedy tata wrócił z wojny? Urządziła mu gabinet na górze, powstawiała tam jego ulubione sprzęty: mikroskop, gablotki na owady, rzędy książek, stary gramofon i płyty z muzyką taneczną. Podkradałyśmy się pod drzwi, żeby podglądać przez dziurkę od klucza tego wysokiego, przystojnego nieznajomego, który nagle zjawił się w naszym domu.

Deborah odłożyła telefon i popatrzyła na Alice spod lekko zmrużonych powiek.

– Wielkie nieba – odezwała się w końcu. – Ależ jesteś dzisiaj sentymentalna.

Alice przemilczała odpowiedź na niewypowiedziane pytanie, dlaczego mianowicie jest dzisiaj taka sentymentalna.

– Nie sentymentalna – odrzekła. – Nie wzdycham rzewnie za przeszłością, tylko poruszam temat do dyskusji.

– Ty i to twoje dzielenie słów na czworo. – Deborah pokręciła z rozbawieniem głową. – Skoro tak twierdzisz... Broń Boże, nikt cię nie oskarża o sentymentalizm! A jeśli chodzi o wspomnienia, to owszem, pamiętam. Często tańczyli tam na górze, a my próbowałyśmy ich naśladować. Ty oczywiście miałaś dwie lewe nogi. – Uśmiechnęła się.

– Próbowала go ratować.

– Co masz na myśli?

– Tylko to, że musiał być wyczerpany... był na wojnie przez tyle lat, a ona chciała, by czuł się jak dawniej.

– Pewnie tak.

– On później zrobił to samo dla niej, prawda? Po Theo. – Alice starała się, aby zabrzmiało to beztrąsko. – Na szczęście mieli siebie nawzajem. Strata dziecka, cała ta niewyjaśniona tajemnica... Niewiele małżeństw by to przetrwało.

– To prawda – odrzekła Deborah ostrożnie.

Zastanawiała się bez wątpienia, po co Alice ciągnie dyskusję w kierunku, który za sprawą dawnej milczącej umowy zgodziły się omijać. Lecz Alice nie mogła się teraz poddać. Przygotowywała właśnie następne pytanie, kiedy Deborah powiedziała:

– Wczorajem w przeddzień mojego ślubu przyszła do mnie i wygłosiła mowę umoralniającą. Cytowała pierwszy list do Koryntian.

– *Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.*

– *Nie pamięta złego.*

– To dość ponure. Po co to mówiła?

– Nie mam pojęcia.

– Nie spytałaś jej?

– Nie.

W głos Deborah wkradła się dawna cierpkość, chociaż dzielnie starała się ją zamaskować, i Alice przypomniało się coś, co dawno temu wyleciało jej z głowy. Mama i Deborah nie zgadzały się w wielu kwestiach dotyczących ślubu; często na siebie warczały albo nie odzywały się do siebie przez wiele dni. Edevane'owie mieszkali już wtedy w Londynie. Ślub Deborah z Tomem odbył się zaledwie pięć miesięcy po zniknięciu Thea i życie rodziny w Loeanneth dobiegło końca. Żadne z nich nigdy tam nie wróciło, choć wówczas jeszcze nikt nie wiedział, że tak się stanie. Policja zamknęła sprawę, lecz oni nie tracili nadziei. Mówiło się o przełożeniu ślubu, ale zarówno Deborah, jak i Eleanor stanowczo obstawały przy tym, by odbył się zgodnie z planem.

– Dolać ci herbaty? – spytała Alice, biorąc dzbanek.

Nie spodziewała się usłyszeć o przedślubnej rozmowie mamy z siostrą. Nie zamierzała wskrzeszać dawnych żalów i przestraszyła się, że ta niespodziewana dygresja pokrzyżuje jej plany.

Deborah podsunęła swoją filiżankę ze spodeczkiem.

– To były dobre czasy, prawda? – ciągnęła Alice, nalewając gorący płyn z czajniczka. – Przed Theo.

– Tak, chociaż ja zawsze wołałam Londyn. Ten śliczny dom przy Cadogan Square, pan Allan podprowadzający daimlera, sale balowe, suknie i kluby. Mnie wieś nie dostarczała odpowiednich podniet.

– Ale jak tam było pięknie! Lasy, jezioro, pikniki. Ogrody. – Udało jej się powiedzieć to lżejszym tonem. – Oczywiście to naturalne, w końcu mama miała całą armię ogrodników pracujących przez okrągłą dobę.

Deborah wybuchła śmiechem.

– Tak, to były dni! Teraz trudno mi znaleźć kogoś, kto mi oczyści kominek.

– Staruszek Harris był szefem, prawda? Miał syna, który wrócił z Sommy z okropną raną głowy.

– Adam... Biedaczysko.

– Tak, Adam. I był chyba jeszcze jeden człowiek. Na pewno. Pracował na kontrakcie. – Alice słyszała w uszach łomot własnego serca. Gwar kawiarni dobiegał z daleka. – Benjamin... jakiś tam.

Deborah zmarszczyła czoło, grzebiąc w pamięci, w końcu jednak pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie. Ale to było tak dawno temu, tylu ludzi przychodziło i odchodziło, trudno wszystkich spamiętać.

– Masz rację.

Alice uśmiechnęła się zgodnie, po czym zamaskowała zmieszanie łykiem stygnącej herbaty. Nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech. Odetchnęła z ulgą, lecz jednocześnie ogarnęło ją dziwne otępienie. Przez ułamek sekundy była przygotowana, że usłyszy, jak Deborah mówi: „Munro. Nazywał się Benjamin Munro”, i czuła przyjemny dreszcz oczekiwania. Walczyła z pokusą, aby naciskać dalej i zmusić siostrę, by go sobie przypomniawszy, tak jakby z jej pomocą mogła go wskrzesić, rozmawiając o nim, poczuć na nowo to, co czuła kiedyś. Ale to była głupia pokusa, szaleństwo, i szybko je od siebie odsunęła. Dowiedziała się tego, czego chciała: Deborah nie pamiętała Bena i Alice mogła się poczuć bezpiecznie. Najmądrzej było teraz sprowadzić rozmowę na inne tory. Posmarowała sobie rogalik masłem i powiedziała:

– Co u Lindy?

Tylko jednym uchem słuchała, jak Deborah podejmuje stary, ograny temat. Nużąca historia Wnuczki Marnotrawnej interesowała Alice tylko o tyle, że zamierzała zostawić Lindzie Loanneth. Nie miała w tym względzie wielkiego wyboru. Dom był objęty ordynacją rodową, ona nie doczekała się własnych potomków, ci, których mogła mieć, nawiedzali ją niczym blade duchy w bezsenne noce, a sprzedaż domu nie mieściła jej się w głowie.

– Oczywiście Pippa wychodzi z siebie – mówiła Deborah. – To ona nagrała mi się w poczcie głosowej. Trudno jej się dziwić. Nazywają to roczną luką w życiorysie, ale w przypadku Lindy trwa to już pięć lat.

– Jest młoda, a skłonność do odkrywania świata ma we krwi.

– Tak, i obie wiemy, co się przytrafiło pradziadkowi Horacemu.

– Australii raczej nie zamieszkują plemiona Karaibów. Dużo bardziej prawdopodobne jest, że padnie ofiarą australijskich plaż niż kanibali.

– Obawiam się, że to niewielkie pocieszenie dla Pippy.

– Linda odnajdzie w końcu drogę do domu.

Kiedy skończą jej się pieniądze, pomyślała Alice złośliwie, lecz nie powiedziała tego na głos. Nigdy nie rozmawiały na ten temat otwarcie, ale Alice miała bardzo poważne zastrzeżenia co do charakteru Lindy. Była pewna, że Deborah myśli podobnie, lecz nie wypadało krytykować jedynej

wnuczki swojej siostry, ponieważ świadczyło to o złych manierach. Poza tym kłopoty Deborah z powiciem dziecka nadawały jej skromnej progeniturze bez mała królewski status.

– Zobaczysz, że kiedy wróci, będzie nową kobietą, lepszą, bo bardziej doświadczoną.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Alice również miała taką nadzieję. Dom nad Jeziorem od wieków należał do rodziny deShielów i nie chciała być tą, która go straci.

Zdziwiło ją, kiedy odziedziczyła Loeanneth po śmierci matki, lecz z drugiej strony śmierć Eleanor w 1946 roku sama w sobie była dla wszystkich wstrząsem. Skończyła się wojna i po latach zabijania i ruiny wydawało się wręcz niebywałe, że ktoś może po prostu wyjść na ulicę i zginąć pod kołami autobusu w drodze z Kilburn do Kensington. Zwłaszcza ktoś taki jak Eleanor. Po osobie takiej jak ona oczekuje się innej śmierci.

Kierowca autobusu okropnie to przeżył. Załamał się w czasie przesłuchania i zaczął szlochać. Powiedział, że widział Eleanor stojącą na chodniku i pomyślał nawet, że wygląda na wyjątkowo dystygowaną kobietę, w wytwornym kostiumie, ze skórzaną teczką w dłoni. Zastanawiał się, dokąd może iść. Wyglądała, jakby pochłaniały ją własne myśli, lecz wtedy jakieś dziecko w autobusie zaczęło głośno płakać i odwrócił głowę, na moment, na ułamek sekundy, a zaraz potem usłyszał głuchy łomot. Dokładnie tego słowa użył: „łomot”. Do tej pory, kiedy Alice zamykała oczy, słyszała, jak to mówi.

Nie chciała tego domu, żadna z nich nie chciała, lecz mama doszła do pozornie rozsądnego wniosku: Deborah była bogata, Clemmie nie żyła, więc zostawała tylko Alice. Alice знаła jednak matkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że za tą decyzją kryło się coś więcej. Nastąpiło potem wiele nocy, kiedy wokół niej zamykała się ciemność. Użała się nad sobą, piła przy pustym stole w brzydkim londyńskim mieszkaniu, a mury, jakie wzniosła wokół przeszłości, zaczynały drżeć, gdy jej myśli krzyczały w ciemnej ciszy. To się zdarzyło w poprzednim życiu, zanim zaczęła pisać, zanim Diggory Brent umożliwił jej kanalizowanie lęków i wyrzutów sumienia. W czasie takich nocy dochodziła do wniosku, że matka chciała ją ukarać, zapisując jej Loeanneth. Eleanor zawsze składała na nią winę za zaginięcie Thea, chociaż nigdy nie powiedziała tego wprost. Cóż za wyrefinowana kara, i jakże zasłużona, dostać w spadku miejsce, które kochała najbardziej na świecie i które przeszłość uczyniła dla niej niedostępnym.

Złapała metro z powrotem do Hampstead. W ogłoszeniach poinformowano o zmianie ruchu, więc przesiadła się w kierunku King's Cross. Razem z nią w wagonie jechała para zakochanych, ściśniętych między walizkami współpasażerów. Dziewczyna opierała się o chłopca i śmiała cicho, kiedy szeptał jej coś do ucha. Alice napotkała wzrok jakiegoś nabzdyczonego zgreda, który pogardliwie uniósł brwi i rzucił wymownie spojrzenie w kierunku młodych ludzi, lecz odmówiła wymiany milczących komentarzy i odwróciła głowę. Pamiętała tę młodzieńczą, wszechogarniającą miłość, mimo że od tamtej pory minęło wiele czasu. W takiej miłości żyje piękno, a także niebezpieczeństwo. Taka miłość sprawia, że cała reszta świata przestaje istnieć; ma władzę, by pozbawić zmysłów nawet najrozsądniejszego człowieka.

Gdyby tamtego lata Benjamin Munro poprosił Alice, żeby dla niego umarła, z pewnością by to uczyniła. Oczywiście nie zrobił tego; jak się okazało, o nic nie zamierzał jej prosić. Lecz nawet by nie musiał, ona ochoczo ofiarowałaby mu wszystko, czego by zapragnął.

Wydawało jej się wtedy, że jest wyjątkowo dyskretna. Głupi dzieciak. Uważała się za taką sprytną i dorosłą. W rzeczywistości miała klapki na oczach, miłość ją zaślepiła, tak jak powiedział William Blake. Miłość dodaje skrzydeł, przełamuje bariery, zakochani stają się niepokorni, lecz także lekkomyślni. Widziano ich razem, ją i Bena. Może Deborah nie miała o tym pojęcia, ale ktoś inny wiedział o nich na pewno.

Podczas gdy metro mknęło dalej po szynach, z dalekiej przeszłości wróciły do niej dwa głosy. Była zimowa noc 1940 roku, szczytowy okres nalotów, i Clemmie niespodziewanie przyjechała do Londynu na przepustkę. Zamieszkała w małym mieszkanku Alice. Przy butelce ginu wymieniały się wojennymi opowieściami. Clemmie opowiadała o swojej pracy w oddziałach Służby Pomocniczej Transportu Lotniczego, Alice o pracach przy odgruzowywaniu miejsc zburzonych przez bomby. W miarę jak mijał czas i alkoholu ubywało, siostry wpadały w sentymentalny nastrój. Rozmowa zesłała na temat ojca i poprzedniej wojny oraz przerażających rzeczy, jakich musiał być świadkiem, a które dopiero teraz zaczynały rozumieć.

– Dobrze to ukrywał, prawda? – powiedziała Clemmie.

– Nie chciał nas obarczać tym brzemieniem.

– I nigdy nie wspominał o tym ani słowem. Nie wyobrażam sobie, jak można przeżyć takie rzeczy, a potem, kiedy wojna się skończy, odsunąć wszystko na bok. Ja już widzę, jak zamęczałabym swoje wnuki i głądziła im do znudzenia o wojnie i o tym, co robiłam. A tata nic. Nigdy w życiu nie domyśliłabym się, że walczył w okopach. Błoto, szczury, piekło, umierający towarzysze. Czy w ogóle kiedyś z tobą o tym rozmawiał?

Alice pokręciła głową.

– Pamiętam, jak mówił, że na szczęście ma córki, więc jeśli kiedyś znowu wybuchnie wojna, jego dzieci nie będą musiały walczyć. – Uniosła kieliszek i gestem wskazała mundur siostry. Uśmiechnęła się półgębkiem. – Każdy czasem się myli.

– Nawet tata – przyznała Clemmie. – Bez względu na to, co mówił, pragnął mieć syna.

– Wszyscy mężczyźni tego pragną, tak twierdzi babcia deShiel – zauważyła Alice.

Nie dodała, że złośliwa staruszka wygłosiła tę sentencję w październiku 1920 roku, kiedy urodziła się Clemmie. Skarciła w ten sposób Eleanor, dając jej do zrozumienia, że trzecia córka nie jest dobrym sposobem na powitanie męża powracającego z wojny do domu.

– I w końcu go dostał – podsumowała Clemmie.

Przez czas jakiś siedziały w milczeniu. Rozmowa cofnęła je do czasów dzieciństwa i wielkiego tematu tabu, tak że każda z nich zatoneła we własnych odurzonych ginem wspomnieniach. W mieszkaniu nad nimi zaczęło płakać dziecko, gdzieś w mieście zawyła daleka syrena. Alice wstała, pokój się zakołysał, zebrała jedną ręką puste kieliszki i trzymając je między palcami, zaniósła do kwadratowego zlewu wystającego ze ściany pod małym, pokrytym sadzą oknem zaklejonym na krzyż taśmą. Stała odwrócona plecami, kiedy Clemmie powiedziała:

– Widziałam tego człowieka, jak wyjeżdżał do Francji. Tego ogrodnika, który pracował tymczasowo w Loeanneth.

Te słowa zaiskrzyły w zimnym pokoju jak zapalona zapałka. Alice zacisnęła pięści i ukryła dłonie w rękawach robionego na drutach swetra. Odwracając się do siostry, usłyszała swój głos:

– Którego ogrodnika?

Clemmie wpatrywała się w drewniany blat stołu i wodziła po słojach krótkim paznokciem. Nie odpowiedziała. Obie doskonale wiedziały, o kim mówi.

– Allie – zaczęła, a jej siostra aż się wzdrygnęła na dźwięk tego dziecięcego zdrobnienia – muszę ci coś... widziałam coś, kiedy byłyśmy młode.

Serce Alice waliło jak młot. Przygotowała się na najgorsze; z jednej strony pragnęła zakończyć tę rozmowę, z drugiej, zmęczona uciekaniem od przeszłości, pijana i popchnięta straceńczą lekkomyślnością w tych czasach wszechobecnej śmierci i grożącego zewsząd niebezpieczeństwa, prawie jej wyczekiwała. Aż strach ją ogarnął na myśl o tym, jak alkohol przełamuje w niej wszelką powściągliwość.

– To było tamtego ostatniego lata. Kilka miesięcy wcześniej byłyśmy na pokazie lotniczym i zwariowałam na punkcie samolotów. Biegałam po domu i udawałam, że latam, pamiętasz?

Alice skinęła głową, zaschło jej w gardle.

– Któregoś dnia poszłam do bazy, tej za gospodarstwem Jacka Martina. Patrzyłam tam, jak startują i lądują samoloty, wyobrażałam sobie, jakie by to było uczucie polecieć jednym z nich. Wracając, skróciłam sobie drogę i poszłam przez las wzdłuż rzeki, obok starej chaty na łodzie.

Wszystko rozmazało się Alice przed oczami, zamrużyła, wpatrzona w obraz wiszący na ścianie, pozostawiony przez poprzedniego lokatora i przedstawiający statek na wzburzonej wodzie. Statek się teraz poruszał, Alice patrzyła lekko zdziwiona, jak przechyla się z burty na burtę.

– Nie zatrzymałabym się, byłam głodna i spieszyłam się do domu, ale usłyszałam w środku głos. To był męski głos.

Alice zamknęła oczy. Przez całe lata bała się tej chwili, wyobrażała sobie różne scenariusze, wymyślała różne wyjaśnienia i wymówki, a teraz, kiedy do tej chwili doszło, miała w głowie pustkę.

– Wiedziałam, że to nie może być tata ani pan Llewellyn, i byłam ciekawa. Podeszłam do okna. Nie mogłam się powstrzymać. Weszłam na łódź odwróconą do góry dnem i zobaczyłam... Nie chciałam tego, Alice. Ten człowiek, ten ogrodnik...

– Uważaj! – krzyknęła Alice, podrywając się, aby złapać butelkę z ginem. Zamiast tego strąciła ją na podłogę.

Szło się roztrzaskało, Clemmie podskoczyła na krześle. Przestraszona nagłym brzękiem i rozchlapującym się zimnym płynem, zaczęła otrzępywać ubranie.

– Przepraszam – powiedziała Alicja. – Potrąciłaś ją łokciem i zaczęła się przewracać. Próbowałam ją złapać.

Poszła do zlewu i wróciła ze ściereczką, z której na wszystkie strony kapała woda.

– Alice, zostaw to.

– Boże, jesteś cała mokra. Poczekaj, przyniosę ci inną koszulę.

Clemmie protestowała, lecz jej siostra się uparła i zanim dziewczyna zmieniła ubranie, a Alice wytarła rozlany gin, nastrój zwierzeń pierzchł. Nazajutrz rano Clemmie wyjechała. Miejsce na podłodze,

gdzie leżał rozłożony jej ekwipunek, było puste, a wszelkie ślady po jej pobycie uprzątnięte.

Alice poczuła taką ulgę, że prawie zakręciło jej się w głowie. Nawet liścik pozostawiony na stole nie zakłócił jej nastroju. *Musiałam już iść, mam lot z samego rana. Zobaczymy się, kiedy wrócę. Muszę z Tobą porozmawiać. To ważne. C.*

Zgniotła go w kulkę i podziękowała Bogu za to odroczenie.

Okazało się, że Bóg potrafi być okrutny. Dwa dni później Clemmie została zestrzelona nad oceanem, cztery mile od angielskiego wybrzeża. Morze wyrzuciło na brzeg jej samolot, lecz ciała nigdy nie odnaleziono. *Pilotka prawdopodobnie katapultowała się, zanim samolot spadł do morza, głosił raport.* Jedna z milionów ofiar w świecie, który uznał, że życie jest tanie. Alice nie była aż taką egocentryczką, by wierzyć, że los innych ludzi ma być dla niej lekcją; nie zgadzała się z powiedzeniem, że „nic się nie dzieje bez powodu”. Z pewnością wszystko ma swoje konsekwencje, lecz to jest zupełnie inna perspektywa. Tak więc uznała za zwyczajny zbieg okoliczności, że śmierć siostry zaoszczędziła jej rozmowy o śmierci brata.

Do tej pory postać Clemmie stawała jej przed oczami, kiedy się tego najmniej spodziewała – latem, gdy spoglądała w kierunku pulsującego słońca i przed oczami tańczyły jej mroczki, ciemne kropeczki przemykały po niebie, zataczając wdzięczne łuki, by spaść bezgłośnie do morza; w takich chwilach widywała dziewczynkę biegającą po łąkach, zataczającą koła z rozpostartymi ramionami – drugą ze swego rodzeństwa, która znikła bez śladu. *Gdybym miał skrzydła jak gołąb, tobym uleciał i spoczął¹.*

Pociąg wjechał na King's Cross i dwoje zakochanych wyskoczyło na peron, po czym skierowało się do wyjścia. Alice walczyła z pokusą, by za nimi iść, żeby choć przez krótką chwilę poczuć bijące od nich odurzające zauroczenie.

Oczywiście nie zrobiła tego. Przesiadła się do metra jadącego do Hampstead, gdzie w końcu windą wyjechała na powierzchnię. Nie miała czasu na zadumę i sentymenty; musiała wracać do domu, spotkać się z Peterem i podjąć odpowiednie kroki zapobiegawcze. To było piękne popołudnie. Upał zelżał, słońce przestało oślepiać i Alice ruszyła znajomą ścieżką w stronę domu.



Peter wyjął żółty marker i zakreślił nim kilka wersów. Kończył się długi dzień, więc pozwolił sobie na chwilę milczącego świętowania. Wydawca Alice chciał uruchomić stronę internetową w ciągu miesiąca i Peterowi zlecono zadanie napisania tekstów – zadanie, które byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby główna bohaterka nie odmówiła stanowczo wszelkiego udziału w przygotowaniach.

Powodem nie był bynajmniej trywialny protest osiemdziesięcioparolatki wobec nowoczesnej cywilizacji; przeciwnie, Alice stawiała sobie za punkt honoru nadążanie za osiągnięciami najnowszej techniki. Za życia Diggory'ego internet zmienił niewyobrażalnie procedury śledcze, a Alice z rygorystyczną konsekwencją dbała w swoich książkach o realizm. Oburzało ją natomiast podstępne naruszanie prywatności przez sferę publiczną. Marketing jest może ważną i pożyteczną sprawą, powtarzała, lecz kiedy autor staje się ważniejszy od swoich książek, to znaczy, że ze światem dzieje się coś bardzo złego. Dopiero wobec zbliżającego się pięćdziesięciolecia swojej pracy twórczej – zresztą po osobistej interwencji szefa wydawnictwa – udało się ją nakłonić do zgody, i to wyłącznie pod jednym warunkiem:

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Peter. Po prostu się tym zajmij, dobrze?

Zgodził się i pracował ostrożnie, unikając we wszelkich rozmowach takich słów jak „w sieci” czy „na stronie”. Szczegóły biograficzne pisarki nie nastęrczały kłopotów – mieli już standardowy dokument, który Peter regularnie uaktualniał na użytek prasy; był też bardzo zadowolony z zakładki, którą utworzył, pisanej z perspektywy Diggory'ego Brenta; teraz jednak pracował nad zakładką FAQ i praca posuwała

się bardzo opornie. Kłopot polegał na tym, że teksty powinny się opierać na odpowiedziach Alice. Pozbawiony jej pomocy, musiał się przekopywać przez tony archiwów, szukając artykułów, z których mógłby wydobyć odpowiedzi.

Skupił się na temacie procesu twórczego – częściowo, ponieważ wiedział, że jego chlebodawczyni byłaby z tego zadowolona, a częściowo dlatego, że ułatwiło mu to życie. Alice udzielała ostatnio niewielu wywiadów, a jeśli się na jakiś zgodziła, to pod surowym warunkiem, że rozmowa będzie dotyczyć wyłącznie jej książek. Strzegła swojej prywatności tak zaciekle, że czasem się martwił (w duchu oczywiście i tak, by nie mogła wyczuć jego troski), że jej upór graniczy z neurozą.

Mimo to dołączy do zestawu kilka pytań o życie osobiste, przez wzgląd na wydawcę, który przysłał „krótką listę” trzydziestu sugestii, więc by znaleźć odpowiedzi, Peter musiał się cofnąć w czasie o kilkadziesiąt lat. Prywatna dokumentacja Alice znajdowała się, łagodnie mówiąc, w stanie chaosu. Przez lata wprowadzano rozmaite i niekiedy bardzo interesujące systemy archiwizacji, dzięki czemu zadanie okazało się jeszcze bardziej skomplikowane, niż powinno.

W końcu odniósł jednak sukces. W wywiadzie dla „Yorkshire Post” z sierpnia 1956 roku znalazł przytoczoną wypowiedź Alice, którą po niewielkim retuszu można było wpasować w jedno z bardziej kłopotliwych osobistych pytań:

Q: Jakim dzieckiem pani była? Czy już wtedy pani pisała?

Peter spojrzał na wersy, które właśnie zaznaczył markerem.

A: Zawsze byłam grafomanką, jak te dzieciaki besztane za mazanie po murach lub wycinanie swojego imienia na meblach. Miałam szczęście, że zachęcał mnie w mych literackich ambicjach pewien przyjaciel rodziny, pisarz, który niezmordowanie zaspokajał wzloty dziecięcej wyobraźni. Jednym z najwspanialszych prezentów w moim życiu był pierwszy notes, jaki dostałam od taty. Stał się dla mnie największym skarbem. Od tamtej pory towarzyszył mi na każdym kroku, a tata kupował mi co roku nowy. Cały pierwszy kryminał napisałam w notesie, który dostałam na piętnaste urodziny.

Nadawało się idealnie. Nucąc pod nosem, Peter przewinął dokument, szukając kolejnych pustych miejsc, czekających na odpowiedź. Na klawiaturę wylewało się ciepłe popołudniowe światło. Na ulicy za oknem zatrzymał się z westchnieniem autobus, jakaś kobieta zawołała wesoło:

– Pospiesz się!

A dalej na High Street uliczny muzyk grał na gitarze elektrycznej utwór Led Zeppelin.

W myślach Peter pakował już swoje torby, wyobrażając sobie długi powrót do domu w towarzystwie Pipa i Abela Magwitchów, kiedy jego uwagę zwróciło w dokumencie inne pytanie. A ściślej mówiąc, odpowiedź, którą sam pod nim napisał:

Q: W mgnieniu oka było pani pierwszą wydaną powieścią o Diggorym Brencie, lecz czy była to pierwsza ukończona przez panią książka?

A: Tak. Należę do tych nielicznych szczęśliwych autorów, którzy nigdy nie spotkali się z odmową wydawnictwa.

Peter przestał nucić. Spojrzał jeszcze raz na zaznaczony fragment.

Obydwie odpowiedzi właściwie do końca sobie nie przeczyły. Jest różnica między ukończeniem książki a napisaniem powieści w młodzieńczym dzienniku; coś zadźwięczało w pamięci Petera.

Zaczął przerzucać stos fotokopii rozłożonych na biurku, szukając artykułu, z którego zaczerpnął drugie pytanie i odpowiedź. Znalazł je w wywiadzie z 1996 roku, zamieszczonym w „Paris Review”. Przeczytał ciąg dalszy:

DZIENNIKARZ: W mgnieniu oka było pierwszą ukończoną przez panią powieścią, ale zapewne nie pierwszą książką, którą zaczęła pani pisać.

EDEVANE: Szczerze mówiąc, było.

DZIENNIKARZ: Naprawdę wcześniej nie przyłożyła pani pióra do papieru, żeby napisać powieść?

EDEVANE: Nie. Aż do końca wojny nie przyszło mi do głowy, aby pisać powieści, a już na pewno nie kryminały. Diggory Brent przyśnił mi się pewnej nocy i nazajutrz rano usiadłam do pracy. Oczywiście jest w pewnym stopniu swoistym alter ego, ale żaden pisarz, który twierdzi, że jego bohater nie ma nic wspólnego z jego własnymi poglądami, nie mówi prawdy.

Peter usłyszał tykanie zegara na kominku. Wstał, przeciągnął się, dopił resztkę wody ze szklanki, po czym podszedł do okna. Bez względu na to, jak bardzo próbował naginać fakty i słowa, te dwa wywiady były ze sobą sprzeczne.

Wrócił do biurka. Cursor mrugał przy słowie „kłamstwo”.

Alice z zasady nie kłamała. Przeciwnie, była szczerą do tego stopnia, że zdarzało jej się nierzadko obrażać ludzi.

Wobec tego ta rozbieżność musiała być pomyłką. Między obydwoma odpowiedziami upłynęło czterdzieści lat. Widocznie zawodziła ją pamięć. Miała osiemdziesiąt sześć lat. Peter nie mógł sobie przypomnieć wielu rzeczy ze swojego dzieciństwa, a miał zaledwie trzydzieści.

Mimo to nie chciał zamieszczać w sieci niczego, co mogłoby wzbudzić kontrowersje. W dzisiejszych czasach niełatwo człowiekowi wymigać się od kłamstw i nieścisłości. Wszystko daje się zweryfikować. Wszelkie rozbieżności są wyłapywane w sieci jak owady. Nikt nie może liczyć na zapomnienie.

Peter wyciągnął rękę i stuknął od niechcienia palcem w klawiaturę. Nic wielkiego, zwyczajny, irytujący drobiazg. Nie mógł zapytać Alice wprost, w którym wywiadzie mówiła prawdę. Obiecał, że przygotuje stronę internetową, nie zwracając jej głowy, a życie było mu miłe, nie miał najmniejszego zamiaru sugerować, że jego pracodawczyni kłamie.

Jego wzrok powędrował z powrotem na ekran.

Aż do końca wojny nie przyszło mi do głowy, aby pisać powieści, a już na pewno nie kryminały... Stał się moim największym skarbem... Od tamtej pory towarzyszył mi na każdym kroku... Cały pierwszy kryminał napisałam w notesie, który dostałam na piętnaste urodziny.

Gdy na schodach zaszurały kroki, spojrzał na zegar. Otworzyły się drzwi wejściowe i z holu dobiegł głos Alice:

– Peter?

– Jestem w bibliotece! – zawołał, wyłączając komputer. Jego plik zmniejszył się na dysku do wielkości elektronicznego pyłku. – Właśnie kończę. Napijemy się herbaty, zanim wyjdę?

– Chętnie. – Alice stanęła w drzwiach. – Chciałabym z tobą porozmawiać o kilku sprawach.

Wyglądała na zmęczoną; nie przywykł do jej widoku takiej słabej i kruchej. Sprawiała wrażenie, jakby w zagięciach pogniecionego ubrania, we włosach i ruchach przechowywała upał całego dnia.

– Jakieżś wiadomości? – spytała, siadając, aby zdjąć buty.

– Jane dzwoniła w sprawie nowej książki, Cynthia chce porozmawiać o czymś związanym z promocją i dzwoniła jeszcze Deborah.

Alice szybko podniosła wzrok.

– Deborah?

– Pół godziny temu.

– Dopiero co się z nią widziałam. Czy coś się stało? Zostawiła jakąś wiadomość?

– Tak. – Peter odsunął wycinki z gazet, szukając notatki. – Gdzieś tu jest. Zapisałem sobie, żeby nie zapomnieć. – Znalazł karteczkę i zmarszczył czoło, patrząc na własne bazgroły. Deborah zawsze rozmawiała przez telefon bardzo oficjalnie, lecz tym razem wyjątkowo dobitnie nalegała, żeby przekazał Alice wiadomość dokładnie słowo w słowo, i dwukrotnie podkreśliła, że to bardzo ważne. – Kazała mi powtórzyć, że go pamięta i że nazywał się Benjamin Munro.

Kornwalia, 23 czerwca 1933

Swego ostatniego poranka w Loanneth Theo Edevane obudził się wraz z ptakami. Miał zaledwie jedenaście miesięcy i zupełnie nie rozumiał, czym jest czas, a tym bardziej nie umiał go wyznaczać, lecz gdyby umiał, przekonałby się, że wskazówki na dużym zegarze w pokoju dziecięcym pokazują sześć minut po piątej. Theo wiedział tylko, że podoba mu się, jak poranne słońce oświetla srebrne strzałki na końcówkach i sprawia, że świecą.

Z kciukiem wsuniętym do buzi i ciepłym Szczęniętkiem pod pachą przewrócił się zadowolony na bok i popatrzył w słabym blasku przedświt na proste jednoosobowe łóżko we wnęce, gdzie spała jego niania. Nie miała na nosie okularów, a bez tej metalowej oprawy, która jakoś podtrzymywała jej rysy, twarz niani rozlała się po poduszce w splątany gąszcz zmarszczek, fałd i worów.

Theo zastanawiał się, co się stało z jego poprzednią nianią, Rose. Tęsknił za nią (choćby szczegóły tego, za czym dokładnie tęsknił, już się zacierały w jego pamięci). Ta nowa była starsza i bardziej surowa i pachniała czymś, od czego łaskotało go w nosie. W rękawie czarnej bawełnianej sukni trzymała wilgotną chusteczkę, a na parapecie okiennym buteleczkę oleju rycynowego. Powtarzała często, że nie ma takich słów jak „nie mogę” oraz że „przechwałki nie są żadną rekomendacją”. Najczęściej sadzała go w wielkim czarnym wózku i woziła tam i z powrotem po wyboistym podejździe. Od czasu, kiedy Theo nauczył się chodzić, nie lubił siedzieć w tym dziecięcym pojeździe. Próbował jej to powiedzieć, ale nie znał zbyt wielu słów i niania Bruen odpowiadała tylko:

– Cicho, paniczku Theodore. Nie pytaliśmy o zdanie pana Niegrzecznego.

Theo słuchał ptaków śpiewających za oknem, obserwował świt pełznący po suficie, gdy nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Przewrócił się na brzusek i zaczął wyglądać ciekawie przez szczebelki łóżeczka.

W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa jego starszej siostry, tej z długimi kasztanowymi warkoczami i piegami na policzkach. Na jej widok Theo poczuł radość i ożywienie, a także tkliwość. Podniósł się na nóżki, a jego buzia rozpromieniła się w szerokim uśmiechu, zaczął klepać rączkami o krawędź łóżeczka, aż zadzwoniły mosiężne gałki na rogach.

Miał trzy siostry i wszystkie bardzo kochał, ale ta była jego ulubioną. Pozostałe uśmiechały się do niego, szczebiotały i mówiły mu, że jest słodkim bobasem, ale to nie było to samo. Deborah go strofowała, kiedy za bardzo dokazywał albo chwytając ją za włosy lub ubranie; Alice z kolei potrafiła się w jednej chwili śmiać się, chować i wołać „A kuku!”, a zaraz potem jej oczy zasnuwały się dziwną mgłą, jakby nagle przestała go zauważać, i bez słowa wyjaśnienia podrywała się na nogi, tam wysoko i daleko, gdzie żyją wszyscy dorośli, i dźgała piórem w kartki notesu.

Tylko ta jedna, Clemmie, nigdy się nie nudziła łaskotaniem go, strojeniem śmiesznych min, dmuchaniem w brzusek i robieniem na nim wielkich czerwonych malin. Nosiła go w różne miejsca, jej ciepłe chude ramiona otaczały go w pasie, a kiedy go w końcu stawiała na ziemi, nie powstrzymywała go jak inni, gdy tylko odkrył coś ciekawego do zbadania. Nigdy nie używała takich słów jak „brudny” i „niebezpieczny” i „nie rób tego!”, a kiedy przychodziła po niego z samego rana, tak jak dzisiaj, zawsze wyjmowała go z łóżeczka i wносиła przez kuchnię, gdzie na stelażach z siatki stygły gorące bochenki chleba, a w spiżarni stały garnki z gęstym truskawkowym dżemem.

Chwycił mocno Szczęniętko i tupiąc niecierpliwie, wyciągnął wyczekująco rączki, jakby tym

sposobem mógł się wydostać z łóżeczka. Machał ramionami, prostował z radością paluszki, a jego duża siostrzyczka uśmiechnęła się tak jak zawsze, aż jej oczy się zapaliły, a piegi zatańczyły na twarzy i tak, jak się spodziewał, pochyliła się i wyjęła go z łóżeczka.

Kiedy go niosła w stronę drzwi, a niania Bruen chrapała w poduszkę, Theo z radości wyrzucał na boki ręce i nóżki, tak że wyglądał jak rozgwiazda.

– Chodź, pajacyku – powiedziała jego siostra, rozsmarowując całusy na jego główce. – Popatrzymy sobie na samoloty.

Ruszyli razem na dół i Theo uśmiechnął się radośnie do czerwonego chodnika i pomyślał o ciepłym chlebie z masłem i dżemem, o kaczkach nad strumieniem i skarbach, które znajdzie w mule, i o rozpostartych ramionach siostry udającej, że lata; i kiedy szli przez hol, śmiał się w głos, trzymając w buzi kciuk, szczęśliwy, kochany, zadowolony, że jest tu i teraz.



Eleanor usłyszała na schodach piśnięcie, lecz jej zaspany umysł potraktował to jako część barwnego snu, w którym była konferansjerką prowadzącą przedstawienie w wielkim cyrku, w którym panował kompletny chaos. Tygrysy nie dawały się oswajać, akrobatom na trapezach nieustannie obsuwały się stopy, zginęła gdzieś małpa. Kiedy się w końcu ocknęła i wróciła do rzeczywistości swojej sypialni, dźwięk ten był już tylko dalekim wspomnieniem, zagubionym w ciemnej, przepastnej pustce razem z innymi nocnymi odpryskami snu pozostawionymi podczas przeprawy na drugą stronę.

Nareszcie ranek, światło i twarda rzeczywistość. Po długich miesiącach przygotowań nastał wreszcie dzień wigilii świętego Jana, lecz ona bynajmniej nie wyskoczyła żwawo z łóżka. Noc ciągnęła się bez końca, Eleanor miała wrażenie, jakby jej głowa zamieniła się w nasiąkniętą gąbkę. Obudziła się w ciemności i przez cztery godziny nie mogła zasnąć; leżała w gorącym, dusznym pokoju z głową pełną kłębiących się myśli. Każda liczona owca zamieniała się w zadanie do wykonania na ten dzień i dopiero o świcie Eleanor zapadła w końcu w płytki, burzliwy sen.

Przetarła oczy, przeciągnęła się. Wzięła ze stolika nocnego zegarek ojca i mrużąc oczy, spojrzała na wierny okrągły cyferblat. Nie ma jeszcze nawet siódmej, a już jest tak lepko i gorąco! Opadła z powrotem na poduszkę. Gdyby to był zwyczajny dzień, włożyłaby kostium kąpielowy i poszła nad strumień, aby się schłodzić przed śniadaniem, zanim inni się obudzą i będzie musiała znowu wcielić się w rolę matki. Zawsze lubiła pływać, czuć jedwabisty dotyk wody na skórze, patrzeć na roziskrzone światło na falującej powierzchni, wsłuchiwać się w gęstniejące dźwięki, kiedy zanurzała głowę. Gdy była dzieckiem, miała swoje ulubione miejsce, głębsze od innych, niedaleko chaty na łodzie, gdzie strome brzegi bujnie porastała werbena, a w powietrzu słodki aromat mieszał się z zapachem gnijących roślin. Woda była tu cudownie zimna, Eleanor zniknęła pod powierzchnią i wkręcała się coraz niżej, aż wtulała się między śliskie trzciny. Dni były wtedy dłuższe.

Wyciągnęła rękę i przejechała dłonią po prześcieradle. Anthony'ego nie było. Musiał wstać wcześniej i prawdopodobnie siedział już na górze, kryjąc się przed wrzawą, którą nieuchronnie przyniesie ten dzień. Jeszcze niedawno przestraszyłaby się, widząc, że zniknął, zamartwiałaby się, dopóki wreszcie nie znalazłaby go samego. Lecz to już minęło. Udało jej się wszystko naprawić i mogła odsunąć od siebie obawy.

Za oknem słychać było warkot kosiarki. Westchnęła; wcześniej nie zdawała sobie nawet sprawy, że wstrzymuje oddech. Skoro pracowała kosiarka, to oznaczało, że pogoda jest ładna. Dzięki Bogu! Jedno zmartwienie mniej. Deszcz byłby prawdziwym nieszczęściem. W nocy grzmiało. To właśnie odgłosy burzy ją zbudziły. Podbiegła do okna i odsunęła zasłony, bojąc się, że zobaczy za szybą przemoknięty, chociaż tak dobrze jej znany widok. Na szczęście burza krążyła daleko, błyskawice rozświetlały duże

płaszczyzny nieba, lecz nie widać było świetlnych zrygunków, które sprowadzały ulewę. Suchy ogród tonął w blasku księżyca i dziwnym, trochę niesamowitym bezruchu.

Stała z ulgą w ciemności i patrzyła na delikatne fałdy na powierzchni jeziora, na srebrzyste obrzeża chmur wlokących się po cynowym niebie i rozkoszowała się niezwykłym uczuciem, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który nie leży pogrążony we śnie. Nie po raz pierwszy miała takie uczucie; przypominały jej się noce, kiedy dzieci były małe i karmiła je piersią, czym wywołała zgorszenie swojej matki. Siedziała skulona w fotelu stojącym przy oknie w pokoiku dziecięcym, wsłuchiwała się w popiskiwanie zadowolonego maleństwa, czuła dotyk drobniutkich, aksamitnych rączek na swoich nabrzmiałych piersiach i tę wszechogarniającą, nieruchomą ciszę świata za oknem.

Kiedy była niemowlęciem, karmiono ją w tym samym pokoju, choć wyglądało to zupełnie inaczej. Jej matka nie zgadzała się z takimi „wampirycznymi” trendami w wychowywaniu dzieci i kazała niani Bruen – wówczas znacznie młodszej, lecz pod względem poglądów i przyzwyczajzeń równie wiekowej – przygotowywać wysterylizowane mleko krowie w buteleczkach ze smoczką, które zamówiono specjalnie w Harrodsie. Do tej pory, ilekroć Eleanor czuła zapach gumy, nie mogła się pozbyć nudności i uczucia osamotnienia. Naturalnie niania Bruen popierała ten rygor z całego serca, tak więc z militarną precyzją przygotowywano szereg butelek w odstępach czasu dyktowanych przez nieczuły cyferblat, nie zważając ani trochę na burczący brzusek Eleanor. Obie panie się zgodziły, że dziecko powinno jak najwcześniej rozpocząć naukę „porządku i punktualności”. Jak inaczej nauczyć się podporządkowywać i należycie zajmować swoje miejsce na samym spodzie rodzinnej piramidy? To były ponure, szarobure dni, dopóki ojciec Eleanor nie wybawił jej od tego wiktoriańskiego dzieciństwa. Wkroczył, kiedy rozpoczęły się rozmowy o wynajęciu guwernantki. Zaoponował i oświadczył, że sam będzie córkę uczył. Należał do najmądrzejszych ludzi, jakich Eleanor знаła, choć nie miał takiego wykształcenia jak Anthony czy pan Llewellyn, był jednak dżentelmenem o umyśle, który chłonał wszystko, co przeczytał i usłyszał, który nigdy nie przestawał rozmyślać, dopasowywać do siebie okruchów wiedzy i poszukiwać nowych.

Oparła się na poduszkach, nałożyła ukochany zegarek i przypomniało jej się, jak siedziała tacie na kolanach – to było przed pożarem w bibliotece – podczas gdy on czytał jej na głos *Beowulfa* w tłumaczeniu Williama Morrisa i A.J. Wyatta. Była młoda, zbyt młoda, by pojąć w pełni znaczenie staroangielskich słów, i szybko robiła się śpiąca. Opierała mu głowę na piersi i wsłuchiwała się w dobiegający ze środka szum jego ciepłego głosu, rozchodzącego się na wszystkie strony. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w migoczące pomarańczowe płomienie odbijające się w szkiełku zegarka, który od tamtej pory stał się dla niej symbolem absolutnego bezpieczeństwa i zadowolenia. Właśnie wtedy, w oku cyklonu, w środku wirującego wszechświata.

Może ojcowie i córki są zawsze tak mocno ze sobą związani? Anthony był bohaterem dla swoich dziewczynek. Od powrotu z wojny. Z początku patrzyły na niego z nabożnym lękiem – dwie zaciekawione buźki wyglądające nieśmiało zza drzwi gabinetu, z szeroko otwartymi oczami, szepczące do siebie nieśmiało – lecz szybko zakochały się w nim bez pamięci. Trudno się dziwić. Urządzał dla nich biwaki na łąkach, pokazywał, jak wyplatać łódki z trawy, słuchał cierpliwie ich opowieści i żalów. Kiedyś jeden z ich znajomych, patrząc, jak Anthony bawi się na trawniku z Deborah i Alice w skakanie przez kozła – mała Clementine tuż po swojej kolejce nagle zamieniła się w konia i zaczęła galopować po ogrodzie, po czym wszystkie trzy dziewczynki pokładały się ze śmiechu – spytał Eleanor z ironią ubraną w udawane współczucie, czy jej nie martwi, że mąż jest najwyraźniej ulubieńcem córek. Naturalnie odparła, że nie.

I była to niemal prawda. Po wojennych niedostatkach, po czterech długich latach, kiedy musieli żyć oddzielnie, dorastać i brać na siebie nowe obowiązki, widok męża powracającego na swoje miejsce, jego nieskażonej miłości i podziwu, gdy patrzył na ich wspólne dzieci, działał jak balsam na jej duszę. Zupełnie jakby dostała własny wehikuł czasu i cofnęła się do wieku niewinności.

Wzięła do ręki zdjęcie, które stało obok łóżka, przedstawiające ich dwoje w ogródku warzywnym w 1913 roku. Anthony miał na głowie nowiutki słomkowy kapelusz. Patrzył prosto na fotografa, z jednym

kącikiem ust uniesionym w uśmiechu, jakby właśnie powiedział jakiś żart; obok Eleanor, z włosami związanymi apaszką, patrzyła na niego zachwycona; oboje trzymali w rękach szpadle. Tego dnia skopali grządkę na truskawki, robiąc przy tym mnóstwo zamieszania. Howard Mann stał z aparatem. Któregoś dnia przyjechał swoim silver ghostem, zaniepokojony, że „wypadliście poza krawędź ziemi”, i został cały tydzień. Śmiali się, przekomarzali i dyskutowali zażarcie o polityce, ludziach i poezji, tak jak za czasów Cambridge. Wracał do Londynu niechętnie, z bagażnikiem pełnym resztek ich pierwszego zbioru, obietnicą, że niedługo znowu ich odwiedzi. Patrząc teraz na fotografię, przypominając ich sobie z tamtych lat, Eleanor poczuła dotkliwą przepaść czasu. Jakby widok tych dwojga młodych szczęśliwych ludzi działał upokarzająco. Takich pewnych siebie, nieskażonych, nietkniętych przez życie...

Cmoknęła zniecierpliwiona. To z powodu niewyspania tak się nad sobą rozczuła, przez niepokój ostatnich miesięcy i ciężki dzień, który ją czeka. Ostrożnie odłożyła zdjęcie na stolik. Słońce grzało coraz mocniej, na brokatowych zasłonach zabłyśły jaskrawe konstelacje świecących punkcików. Eleanor wiedziała, że powinna już wstać, lecz coś w niej stawiało opór, jakby nie mogła się pozbyć irracjonalnej myśli, że zostając w łóżku, może jakimś cudem powstrzymać odliczanie. Powstrzymać falę przed upadkiem. *Nie da się powstrzymać przyptywu.* To głos taty. Stoją we dwójkę i patrzą na morze, fale się załamują i rozbijają na kamieniach o podnóża skał, po czym cofają się do morza. *Jest tak nieuchronny jak dzień następujący po nocy.* To było nazajutrz po tym, jak jej powiedział, że jest chory. Kazał jej obiecać, że kiedy go zabraknie, nigdy nie zapomni, kim jest. *Pamiętaj i bądź zawsze dobra, dzielna i uczciwa.* Jej ulubione słowa z *Magicznych drzwi Eleanor.*

Odsunęła od siebie wspomnienia i wzięła się w garść. Pierwsi goście przyjadą o ósmej, co oznaczało, że o wpół do ósmej musi być ubrana i w pełni gotowa. Ale tyle rzeczy zostało jeszcze do zrobienia! Trzeba będzie zaprząć do pomocy dziewczęta. Alice zleci proste (wszyscy poza nią powiedzieliby nawet, że przyjemne) zadanie uzbierania i wstawienia kwiatów do wazonów w pokojach gościnnych. Deborah dostałaby ważniejsze zadanie, ale wpada ostatnio w zmienne humory, dąsa się i puszy, przekonana, jak każda nastolatka, że wszystko umie zrobić lepiej niż rodzice, a Eleanor nie jest w nastroju do sprzeczek. Co do Clemmie, to biedactwo najbardziej pomoże, jeśli nie będzie się plątać pod nogami. Kochana Clemmie wyrastała na najbardziej niezwykle z jej dzieci, a teraz utknęła na nieszczęsnym etapie małego żrebaka z długimi kończynami i szczerbatym uśmiechem i nie chciała się rozstać z dzieciństwem.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła Daisy ze śniadaniem na srebrnej tacy, którą trzymała dumnie w górze.

– Dzień dobry, pani – powiedziała ze zgrzytającą wesołością. – Nareszcie nadszedł ten wielki dzień! – Postawiła tacę, nie przestając paplać bez tchu na temat menu, gości i opłakanej sytuacji w kuchni. – Kiedy tam ostatnio byłam, kucharka ganiała Hettie wokół stołu z perliczką w jednej ręce i wałkiem w drugiej!

Poszła rozsunąć zasłony. Zaskakująco jasny blask wlał się przez szybę do pokoju i wygarnął ostatnie ociągające się ślady nocy.

I podczas gdy Daisy kontynuowała nieproszona relację o przygotowaniach na łące, Eleanor nałapała sobie herbaty z małego imbryczka i zastanawiała się, jakim cudem poradzi sobie ze wszystkim, czego wymagają przygotowania do wieczornego przyjęcia.



W sypialni rozsunęły się zasłony i z ogrodowej ławki, na której siedziała, Constance zobaczyła przy oknie tę głupią gęś Daisy, trzepoczącą skrzydłami i kłapiącą bez ustanku dziobem, prawdopodobnie doprowadzającą Eleanor na skraj głuchoty i rozpacz. Ale jej córka zasłużyła sobie na to. Jak można

wylegiwać się o tej porze w łóżku, kiedy czekają wszystkie przygotowania do przyjęcia! Zawsze była nieobliczalnym dzieckiem.

Constance zjadła śniadanie godzinę temu. Wstawała, gdy tylko zaczynało świtać, przez całe życie. Nie była bynajmniej bezgrzeszna – przeciwnie, uważała, że obowiązkiem kobiety jest dbać o to, by zawsze wydawała się interesująca – lecz punktualność była cnotą, którą wpojono jej w dzieciństwie, bez której człowiek zakłócał życie innych osób. Takiego braku ogłady nie wolno tolerować!

Ogród tętnił życiem i trwającymi przygotowaniami. Constance przyniosła papeterię z zamiarem napisania zaległych listów, lecz trudno było odciągnąć uwagę od panującego wokół zamieszania. Kilku krzepkich mężczyzn wznosiło na owalnym trawniku wyszukane rusztowanie do fajerwerków, a na tyły domu zaczęły już podjeżdżać samochody dostawcze z zaopatrzeniem do kuchni. Pod murem dwóch obdartych miejscowych chłopaków z dekoracyjnymi wieńcami w rękach pracowicie deptało grządki, szukając miejsca, gdzie mogliby ustawić drabinę. Jeden z nich, młodzik o niezdrowej cerze, z brodą usianą pryszczami, popełnił błąd i „szukając szefa”, podszedł do Constance. Odprawiła go szybko, wpatrując się weń pustym wzrokiem i gadając coś o pogodzie. Starość jest wygodną zasłoną. To prawda, że jej myśli ostatnimi czasy błąkały się w różnych kierunkach, ale nie aż tak bardzo, jak pozwalała im wszystkim wierzyć. Nadal, jeśli tylko coś ją wystarczająco zainspirowało, mogła zaprzęgać umysł do pracy i osiągać wspaniałe rezultaty. Tak, zapowiadał się dobry dzień. Chociaż nigdy nie przyznałaby się do tego na głos, a już na pewno nie przed córką, Constance uwielbiała świętojańskie przyjęcia. Edevane’owie rzadko organizowali rozrywki, lecz sobótkowej tradycji Eleanor nie potrafiła się wyrzec. I chwala Bogu. To była dla Constance największa atrakcja w roku, jedyna rzecz, która jej rekompensowała konieczność mieszkania na tej zapomnianej przez Boga prowincji, gdzie pachniało morzem, a kiedy wiatr wiał w pewnym określonym kierunku, uderzające o skały fale powodowały ten okropny hałas, który Constance ścinał krew w żyłach. Nie znosiła tego odgłosu. Przypominał jej tę straszną noc sprzed wielu lat. Kiedy po śmierci męża wyprowadziła się do Londynu, myślała, że udało jej się pozbyć tych wspomnień, lecz życie potrafi być okrutne.

Na szczęście podniecenie i krzątanina przygotowań do przyjęcia przypominały jej szczęśliwsze czasy: dreszcz emocji, z jakim w młodości ubierała się w jedwabne stroje, przyozdabiała biżuterią, spryskiwała wodą kolońską i upinała włosy; moment przybycia, wielkie wejście, omiatanie tłumy spojrzeniem, wyławianie najlepszych łupów, a potem podniecające łowy, gorący parkiet, ciche przemykanie się ciemnymi korytarzami, aby odebrać swoją nagrodę. Ostatnio przeszłość stawiała się tak realistyczna, tak żywa, że chwilami Constance prawie była gotowa uwierzyć, że znów się stała tamtą młodą kobietą.

Jakiś ruch wdarł się w jej rozmyślenia i starsza pani poczuła, jak z jej twarzy znika uśmiech. Otworzyły się drzwi wejściowe i wyszedł z nich Daffyd Llewellyn. Potknął się, przechodząc przez próg, poprawił kapelusz i oparł sobie sztalugę na biodrze. Siedziała cichutko, ukryta w cieniu, bo nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z tym człowiekiem. Szedł wolniej niż zwykle, jakby coś mu dolegało. Constance zauważyła to już poprzedniego popołudnia, kiedy wszyscy byli na łące i Eleanor ogłosiła, że pan Llewellyn ma otrzymać nagrodę. Widocznie miał zgagę, ale to nie było jej smartwienie; nie będzie się martwić o starego, słabego głupca. Pamiętała, jak się tu włóczył, kiedy była panią na Loeanneth – czaił się w domu, w ogrodzie, dziwacznie ubrany, z tymi smutnymi oczami i swoimi absurdalnymi historiami. Napotykała go na każdym kroku. I to jego załamanie! Prychnęła z pogardą. Ten człowiek nie miał wstydu ani dumy. Cóż to za powód do przygnębienia? To ona mogła się czuć pokrzywdzona. Zabrał jej dziecko, zasypał tymi bzdurami o magicznych krainach i odkupieniu, a potem ośmielił się nadużywać jej gościnności. Kazała Henriemu go odesłać, lecz ten, w każdej innej sprawie taki ustępliwy i potulny, tym razem odmówił.

A teraz z kolei Eleanor go hołubiła i rozpieszczała. Uwielbiała go, kiedy była dziewczynką, on ją również, i do tej pory łączyła ich szczególna przyjaźń. Jeszcze kilka tygodni temu Constance widziała, jak

gawędzili w cztery oczy na ogrodowej ławeczce przy klombie z różami. Eleanor coś mu mówiła, na jej twarzy malowało się cierpienie, a on kiwał głową; potem dotknął jej twarzy i dopiero wtedy Constance zauważyła, że Eleanor płacze. Domyśliła się, o czym rozmawiali.

Powiał lekki, ciepły wiatr i rozdmuchał płatki róż niczym konfetti. Constance widziała ostatnimi czasy wiele rzeczy. Wolałaby zachować młodość i urodę, ale na nic by się zdało walczyć z nieuniknionym, a jak się okazało, starość ma swoje zalety. Kiedy przestała przyciągać wzrok mężczyzn, nauczyła się siedzieć bez ruchu i oddychać bardzo cichutko, tak że nikt jej nie zauważał. Dzięki temu dostrzegała bardzo wiele. Widziała, jak Deborah mocno daje się matce we znaki, od kiedy się zaręczyła; jak Alice wykrada się na potajemne spotkania z tym ciemnowłosym ogrodnikiem o cygańskich oczach; i tę historię między Anthonyem i śliczną młodą nianią.

Szkoda, że Eleanor nie była tak spostrzegawcza jak ona, wcześniej by się domyśliła. Constance zastanawiała się, jak długo to potrwa, zanim córka odkryje prawdę. Oczywiście mogła jej powiedzieć, co widziała, lecz ludzie mają skłonność do zabijania posłańca, który przynosi złe wieści, a Eleanor najwyraźniej w końcu zrozumiała, co się dzieje, bo młoda niania znikła. Odprawiono ją prawie bez wypowiedzenia, bez fanfar. I krzyżyk na drogę. Te ukradkowe uśmiechy, potajemne rozmowy, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi. Ale Constance widziała. Obserwowała, jak pewnego popołudnia niania dawała mu prezent. Książkę. Oczy Constance już nie służyły tak jak dawniej i nie zdołała dostrzec tytułu, ale później postanowiła się wkraść do gabinetu Anthony'ego i tam ją znalazła, między motylami i szklami powiększającymi, tę samą zieloną oprawę. Wiersze Johna Keatsa.

Constance nie miała mu za złe samej niewierności – nie widziała powodu, dla którego mężczyźni i kobiety nie mogliby czerpać przyjemności, jeśli mieli taką ochotę – lecz niewystarczającą dyskrecję. Ludzie o ich pozycji powinni dokonywać właściwych wyborów, tak aby wiadomości nie przedostawały się poza ich wąski krąg i nie zamieniały się w plotki. Na tym polegał jego błąd. Osoba zatrudniona u państwa nie należała do ich kręgu, zatem wikłanie się w taką historię było nie tylko głupie, ale również niestosowne. Dawało służbie pożywkę do wyobrażeń przerastających ich stan, a z czegoś takiego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Komfort ma tę właściwość, że rodzi występki, a Rose Waters poczuła się stanowczo zbyt komfortowo, szczególnie opiekując się małym Theo. Nie przestrzegała zawodowych barier, jakich powinno się po niej oczekiwać. Całowała go, nuciła słodko do uszka, nosiła na rękach i tuliła, spacerując po ogrodzie, zamiast wozić w wózku, jak należało. Takie wylewne zachowanie można by tolerować u dziecienniałej krewnej, ale nie u wynajętej pomocy. I te jej samowolne przywileje wcale się na tym nie kończyły. Notorycznie przekraczała wszelkie dopuszczalne granice, a ostatnio wykazała absolutnie karygodną zuchwałość, kiedy w przypiływie jakiegoś szaleństwa nie zgodziła się, by Constance weszła do pokoju dziecięcego podczas „odpoczynku”. Była babcią chłopca, na miłość boską, i chciała tylko posiedzieć przy łóżeczku i popatrzeć na swojego wnuczka, na jego malutką pierś unoszącą się i opadającą w rytm zdrowego oddechu.

Chwała Bogu, że wróciła niania Bruen. Constance od razu poweselała na tę myśl. Tak dobrze było zobaczyć starą wierną służkę sprowadzoną z powrotem na łono rodziny. Constance szczególnie się interesowała swoim małym wnuczkiem i ogromnie się cieszyła, że nareszcie przywrócono w domu należyty poziom opieki. Odnotowała w pamięci, żeby w odpowiedniej chwili zamienić słówko z nianią Bruen. Nie dalej jak pół godziny temu widziała coś absolutnie niedopuszczalnego: Clementine, to nieszczęsne, piegowate dziecko z końskim uśmiechem, wyszło z za węgla ze swoim bratem na barana! Wpadła w gniew i kategorycznie zaprotestowała, lecz dziewczynka nie zwróciła na nią uwagi.

Teraz Constance obejrzała się w głąb ogrodu, gdzie ostatnio widziała najmłodszą wnuczkę znikającą nad jeziorem. Podczas gdy kosiarka terkotała na łące za jej plecami, starsza pani wyjęła papeterię i zaczęła się nią wachlować. Przy tym mechanicznym hałasie upał wydawał się jeszcze trudniejszy do zniesienia, a dzień zapowiadał się upiornie gorący. W taką skwarną pogodę ludzie robią dziwne,

nieprzewidywalne rzeczy. Niektórzy zachowują się nawet jak szaleńcy. Constance nigdy nie przepadała za Szekspirem – na ogół był śmiertelnie nudny – ale w jednym miał rację: noc świętojańska to dziwny i magiczny czas.

Nigdzie nie było widać Clementine ani dziecka. Constance jeszcze dźwięczał w uszach śmiech małego Thea i serce w niej topniało. Naprawdę był rozkosznym bobasem, zachwycającą, dorodną istotką o uśmiechu z dołeczkami w policzkach, o pulchnych, mocnych nóżkach. Czasami się zastanawiała, jaki byłby ten pierwszy chłopiec, gdyby dostał szansę.

Postanowiła, że po południu pójdzie do Thea, żeby patrzeć, jak zasypia. Uwielbiała to robić. Od czasu, gdy odprawiono nianię Rose, Eleanor była zajęta, a niania Bruen nigdy nie zapomniała, gdzie jest jej miejsce, nikt jej nie robił trudności.



Clemmie szła wąską ścieżką wzdłuż strumienia. Były inne, szybsze, drogi, którymi można było dotrzeć na miejsce, lecz Theo uwielbiał się pluskać w płytkim nurcie brodu, a ona lubiła patrzeć, jak jej braciszek się cieszy. Poza tym była wigilia świętego Jana i w domu przez cały dzień będzie panował rozgardiasz. Im dłużej będą się trzymać z dala od tego zgiełku, tym lepiej. Pomyślała, ale bez rozgoryczenia czy użalania się nad sobą, że prawdopodobnie nikt nawet nie zauważy ich nieobecności.

– Dobrze, że mamy siebie, prawda, pajacyku? – powiedziała.

– Ga-ga! – zagulgotał w odpowiedzi Theo.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, trochę jak miłość, a trochę żal, i ścisnęła go mocniej za nóżki, takie okrągłe i mięciutkie. Może i zajął jej miejsce w rodzinie, lecz Clemmie nie wyobrażała sobie teraz świata bez swojego małego braciszka.

Za ich plecami wschodziło słońce, a przed nimi rozciągały się ich długie, poplątane cienie – jej wydłużone ciało z krótkimi nóżkami Thea sterczącymi na boki. Chłopczyk wyglądał jej przez ramię i od czasu do czasu podniecony wyciągał piąstkę, żeby pomachać na coś pulchniutkim paluszkim. Wymagało to nieco wprawy, ale Theo umiał się świetnie trzymać jej szyi. Mogła nawet rozpostrzeć ramiona, kiedy naszła ją chęć, żeby poszybować w powietrzu, przechylać się to na jedną stronę, to na drugą, wykonując skomplikowane lotnicze akrobacje.

Zatrzymała się, kiedy doszli do brodu. Cisnęła na ziemię torbę z jedzeniem – upieczone na przyjęcie ciastka, które podkrađa z kuchni – i pozwoliła chłopcu ześlizgnąć się z jej pleców na wielki kopczyk skoszonej trawy na brzegu strumienia. Wylądował na pupie, chichocząc radośnie, i szybko podniósł się na nóżki.

– Wo – powiedział z namaszczeniem, wskazując rzekę. – Wo.

Podreptał po gęstym dywanie z koniczyny w stronę mulistego brzegu i przykucnął w trzcinie, a tymczasem Clemmie szukała kamienia do puszczenia kaczek. Musiał być mały, płaski i gładziutki, ale powinien też dobrze leżeć w dłoni. Podniosła jeden, zważyła go w palcach, obmacała i wyrzuciła, stwierdziwszy, że jest zbyt nierówny.

Powtórzyła tę czynność kilka razy, zanim w końcu znalazła kamyk, który nie był wprawdzie idealny, ale mógł się nadać. Włożyła go do kieszeni i zaczęła szukać następnego.

Najlepsza w wyszukiwaniu kamieni była Alice. Należała do tych ludzi, którzy zawsze wygrywają w takich grach i zawodach, ponieważ pasjonowały ją szczegóły, a ponadto była uparta i nigdy się nie poddawała. Spędzały tu kiedyś całe godziny; najpierw zbierały jak najwięcej kamyków, a potem puszczały z tych drogocennych łupów kaczki. Robiły na łące gwiazdy, konstruowały huśtawki z długich, żyłastych lin cumowniczych i budowały maleńkie, misterne domki w janowcu. Siłowały się, łaskotały i śmiały, potem przykładały plastry na potłuczone kolana i zasypiały zmęczone i spocone pod krzakami

głogu, podczas gdy ogród płowiął na popołudniowym skwarze. Lecz Alice się zmieniła, właśnie tego lata, i Clemmie została sama z Theo.

Podniosła jasny kamyk nakrapiany śmiesznymi plamkami i wytarła go z mułu mokrym kciukiem. Tak było od powrotu z Londynu. Wszyscy już przywykli do tego, że Alice znika w swoich notesach, w świecie wymyślanych historii, lecz to było co innego. Zrobiła się ostatnio humorzasta, wpadała w zmienne nastroje, to w euforię, to znów nagle w ponure rozdrażnienie. Wykorzystywała najdrobniejsze preteksty, by się zamykać w swojej sypialni – Muszę się położyć... Jestem zajęta pisaniem... Boli mnie głowa... – a potem nagle się wymykała, tak że kiedy Clemmie przychodziła jej szukać, siostry już nie było w pokoju.

Clemmie obejrzała się na miejsce, gdzie Theo grzebał patykiem w ziemi na brzegu strumienia, i właśnie krzyknął radośnie, kiedy konik polny przeskoczył z jednej gałązki na drugą. Uśmiechnęła się smutno; Theo był wspaniałym maluchem, ale brakowało jej Alice, zrobiłaby wszystko, żeby ją odzyskać, żeby było jak dawniej. Tęskniła za siostrami. Obie chodziły teraz bez niej, zrobiły się dorosłe, przestały się oglądać za siebie. Alice z tym nawiedzonym wyrazem twarzy i zaręczona Deborah, która wkrótce miała wyjść za mąż. Clemmie odebrała to jako zdradę. Ona nigdy nie będzie taka jak one, nigdy nie dorośnie. Dorosłych nie sposób zrozumieć. Z rozpaczą rozmyślała o tym nieustannym, męczącym pouczeniu (nie teraz, zwolnij, przestań w tej chwili), o nudnych rozmowach, tajemniczych migrenach, wymówkach, które wymyślali, żeby się wymigać od rzeczy, które przecież mogą być taką wspaniałą zabawą. Nie znosiła tych niekończących się drobnych zdrad, królestwa aluzji i niuansów, w którym żyli, mówienia jednego, a myślenia czegoś innego. Świat Clemmie był znacznie bardziej czarno-biały. Dla pilota najważniejsze były proste, dwubiegunowe wybory: tak lub nie; w górę albo w dół; właściwy lub niewłaściwy.

– Nie! – syknęła, aby się upomnieć.

Jej nastrój zaczął już przyćmiewać słoneczną poranną pogodę i nagle wróciła myśl, którą tak starannie od siebie odsuwała. To, co widziała. Te nagie, skręcające się ciała...

Nie. Zacisnęła oczy i otrząsnęła się ze wspomnień.

Wiedziała, dlaczego te okropne obrazy do niej wracają. To był właśnie taki dzień jak ten, kiedy się na nich natknęła; wracała do domu z bazy, gdzie oglądała samoloty.

Zaczęła grzebać nogą w ziemi. Gdyby wróciła wtedy do domu wcześniej, gdyby nie poszła na skróty przez las, nie mijalałaby chaty na łądzie... Ten okropny widok, popłoch, trwoga i dezorientacja. Próbowowała zrozumieć, co robią.

– Biedne maleństwo – powiedziała Deborah, kiedy Clemmie nie mogła sobie już dłużej radzić ze wspomnieniami i zwierzyła się siostrze z tego, co widziała. – Przeżyłaś szok. – Wzięła dziewczynkę za rękę i oznajmiła, że nie musi się tym martwić. Dobrze zrobiła, że jej powiedziała, ale teraz powinna to wyrzucić z głowy. – Zajmę się tym, obiecuję.

Clemmie pomyślała wtedy, że brzmiało to trochę tak, jakby siostra obiecywała, że złoży w całość stłuczone jajko, lecz Deborah się uśmiechnęła; twarz miała tak pogodną i piękną, a głos taki pewny, że wszystkie troski Clemmie błyskawicznie wyparowały.

– Sama z nią porozmawiam – przyrzekła Deborah. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Clemmie zagrzechała kamieniami w kieszeni i przygryzła z roztargnieniem kciuk. Nadal się zastanawiała, czy nie powinna pójść do mamy albo powiedzieć tacie o tym, co widziała, lecz Deborah wybiła jej to z głowy. Kazała jej o wszystkim zapomnieć i nikomu nic nie mówić.

– Tylko byś ich zdenerwowała, Clem, a przecież tego nie chcemy, prawda?

Chwyciła owalny kamień o różowym odcieniu, ułożyła między kciukiem a palcem wskazującym. Po tym, jak ich zobaczyła, zamierzała iść prosto do Alice i może by to zrobiła, gdyby były sobie tak samo bliskie jak kiedyś, lecz teraz, gdy się od siebie oddaliły... Nie, postąpiła właściwie.

– Mi-mi?

Theo przyglądał się jej z powagą, na jego niemowlęcej buzi malował się wyraz skupienia i Clemmie zorientowała się, że maluch zauważył jej zmarszczone brwi. Uśmiechnęła się szybko i Theo po chwili namysłu odpowiedział jej taką samą uszczęśliwioną minką. W jego oczach świat wrócił do normalności. Clemmie czuła dziwną mieszaninę melancholii, zadowolenia i lęku. Jakże on w nią wierzył! Jak bardzo jej ufał, skoro jeden nikły uśmiech potrafił tak radykalnie zmienić jego nastrój. Znowu spoważniała, a wtedy i z jego twarzyczki znikła cała radość. Miała nad nim nieograniczoną władzę, a dla Clemmie, która tak często czuła się całkowicie bezsilna, było to zadziwiające. Czuła jego delikatność i bezbronność. Jak łatwo człowiek o złych zamiarach mógłby wykorzystać taką ufność!

Jej uwagę odciągnął hałas kosiarki. A raczej przerwy w jej nieustannym terkocie. Ten odgłos stał się nieodłączną częścią letnich poranków, tak że nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie ustał i wszystkie inne odgłosy – szmer strumienia, świergot porannych ptaków, gaworzenie Thea – nie przybrały nagle na sile.

Twarz jej się zachmurzyła. Wiedziała, kto kosi trawę, i nie miała najmniejszej ochoty go widzieć. Tego mężczyzny. Ani teraz, ani nigdy więcej. Z całego serca pragnęła, żeby wyjechał, daleko, jak najdalej od Loanneth. Wtedy może uda jej się zapomnieć o tym, co widziała w chacie na łodzi, i wszystko znowu będzie jak dawniej.

Podniosła Thea i oparła go sobie na biodrze.

– Chodź, pajacyku – powiedziała, otrzepując jego zabłocone rączki. – Wskakuj na pokład, czas startować.

Był bardzo grzecznym dzieckiem; Clemmie słyszała, jak mama mówiła to niani Bruen, która dwa tygodnie temu przyjechała, żeby zastąpić nianię Rose („grzecznym i bardzo pogodnym” – jej zadowolony i zaskoczony ton sugerował, że poprzednie dziecko, czyli Clemmie, takie nie było). Theo nie protestował, zostawił miejsce swoich wykopalisk i usadowił się na jej plecach ze Szczeniątkiem wciśniętym bezpiecznie pod ramię. Utrzymując równowagę, przeszła po kamieniach na drugi brzeg strumienia, po czym ruszyła w kierunku bazy lotniczej za gospodarstwem Jacka Martina. Szła różnym krokiem z rękami wsuniętymi pod kolana Thea i ani razu nie obejrzała się za siebie.



Ben zeskoczył z kosiarki i przykucnął na trawie obok silnika. Łańcuch był na swoim miejscu, nic nie utknęło między ostrzami, trawnik tam, gdzie próbował go kosić, był równy. Na tym kończyła się jego wiedza na temat urządzeń mechanicznych. Uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak dać maszynie kilka minut na przemyślenie sytuacji.

Usiadł i zaczął szukać w kieszeni zapalek. Słońce grzało go w kark, zapowiadało upalny dzień. Słyszał ćwierkające wróble i poranny pociąg odjeżdżający ze stacji, czuł słodki zapach róż herbacianych oraz świeżo skoszonej trawy.

Nad jego głową przeleciał dwupłatowiec; Ben obserwował go, dopóki samolot nie zamienił się w punkcik i nie zniknął. Spuścił wzrok i zobaczył, że słońce wspięło się na ścianę budynku. Musnęło szybki okien na najwyższym piętrze, gdzie, jak wiedział, mieściły się sypialnie, i jak zawsze poczuł dotkliwą tęsknotę. Zaklął w duchu na swoją głupotę, odwrócił wzrok i zaciągnął się papierosem. Jego uczucia się nie liczyły, gorzej – stanowiły tylko przeszkodę. Już i tak przekroczył zbyt wiele granic. Sam się za siebie wstydził.

Będzie tęsknił za tym ogrodem. Pracował tylko na czasowym kontrakcie, wiedział od początku, jak to się skończy. Nie wiedział tylko, jak szybko i jak bardzo będzie mu żal. Pan Harris zaproponował mu przedłużenie umowy, lecz Ben odparł, że musi wyjechać.

– Sprawy rodzinne – wyjaśnił.

Staruszek skinął głową i poklepał go po ramieniu, podczas gdy w szopie za ich plecami krzątał się trzydziestotrzyletni mężczyzna o oczach otwartych szeroko i patrzących ze zdziwieniem jak szczenię. Ben nie podał żadnych więcej szczegółów, z całą pewnością nie wspomniał o Flo i jej problemach, nie musiał. Pan Harris lepiej niż inni rozumiał, czym jest odpowiedzialność za rodzinę. Jak każdy, kto świętował bezpieczny powrót ukochanej osoby z pierwszej wojny światowej, wiedział, że większość tych chłopców wróciła wprawdzie do domu, lecz tak naprawdę nigdy już nie będzie taka sama jak kiedyś.

Ben schylił się, przechodząc pod altanką, i przystanął nad stawem rybnym. Wspomnienia podkrały się do niego niczym cień. W tym miejscu Alice po raz pierwszy czytała mu fragmenty swojej powieści. Nadal słyszał jej głos, jakby schwytały go liście na drzewach i odtwarzały teraz jego dźwięk niczym z płyty gramofonowej.

– Wpadł mi do głowy wspaniały pomysł – usłyszał jej słowa, takie niewinne i pełne radości. – Pracowałam nad nim cały ranek i chociaż nie lubię się chwalić, to jestem prawie pewna, że to będzie najlepszy tekst, jaki napisałam.

– Doprawdy? – odparł Ben z uśmiechem.

Droczył się z nią, lecz Alice była zbyt podekscytowana, żeby to zauważyć. Zaczęła mu opowiadać o swoim pomysle, intrydze, postaciach, o zwrotach akcji, a entuzjazm i pasja odmieniały jej twarz, dodawały rysom żywego uroku. Nie zauważył, jaka jest piękna, dopóki nie zaczęła mówić o swoich książkach. Policzki jej się zarumieniły, oczy aż iskrzyły inteligencją. Była niezwykle bystra. Rozwiązywanie zagadek wymagało szczególnego rodzaju przenikliwości – aby wybiegać myślą w przód i dostrzegać wszystkie możliwe scenariusze i strategie. Ben nie miał takiego daru.

Z początku po prostu cieszył się entuzjazmem dziewczyny, z przyjemnością słuchał przy pracy jej opowieści, bawił się rozważaniem różnych pomysłów, co przypominało jakiś rodzaj teatralnej gry. Czuł się przy niej młody – jej młodzieńczy zapach, łatwość, z jaką umiała koncentrować się na chwili obecnej, działały jak narkotyk. Miał wrażenie, jakby w jej obecności zniknęły wszystkie jego dorosłe troski.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jej rodzicom nie spodobałyby się te spotkania, lecz nie widział w nich niczego złego. W każdym razie na początku. Nie przyszło mu do głowy – żadne z nich nie mogło tego przewidzieć – dokąd to doprowadzi. Ale on był od niej starszy, powinien był się domyślić, powinien być ostrożniejszy. Ludzkie serce, okoliczności, życie potrafią płatać figle, trudno nimi kierować. Zanim się zorientował, co się dzieje, było za późno.

Dokończył papierosa. Powinien wrócić do pracy. Pan Harris wręczył mu listę rzeczy do zrobienia w ramach przygotowań do przyjęcia. Trzeba było jeszcze poznosić drewno na ognisko i ktoś musiał przekonać kosiarkę, żeby zaczęła działać.

Rozejrzał się, czy nikt się w pobliżu nie czai, po czym wyjął jej list. Robił to już tyle razy, że papier na zagięciach zmiękł i słowa w tym miejscu stały się nieczytelne. Ben znał je jednak na pamięć, jakby mu szeptały do ucha. Umiała pięknie pisać, tak starannie układała słowa. Czytał powoli i z namaszczeniem każdą linijkę, która kiedyś sprawiała mu tyle radości, a teraz ciążyła na sercu jak kamień.

Będzie tęsknił za tym miejscem. Będzie tęsknił za nią.

Nisko nad głową przeleciał ptak i zbeształ go swoim świergotem, więc Ben złożył list i schował go z powrotem do kieszeni. Ma mnóstwo roboty, na nic się zda rozpamiętywanie przeszłości.

– To będzie wielkie ognisko – powiedział pan Harris, uśmiechając się półgębkiem i wskazując głową stertę drewna, które narabali w ciągu tygodnia. – Będzie je widać z Caradon Hill. U nas się mówi, że im większe ognisko w noc świętojańską, tym więcej szczęścia człowieka spotka przez cały rok.

Ben słyszał już to powiedzenie. Od Alice.

Kornwalia, 2003

Clive Robinson był szczupłym, dziarskim staruszkiem dochodzącym dziewięćdziesiątki. Miał wysokie czoło porwane zmarszczkami, gęste siwiuteńkie włosy, wielki nos i szeroki uśmiech. I zachował wszystkie swoje zęby. Patrzył czujnym, bystrym spojrzeniem, świadczącym o błyskotliwy umyśle. Obserwował świat przez szkła wielkich okularów w bakelitowych oprawkach. Sadie podejrzewała, że nosił je od lat siedemdziesiątych.

– Ależ to było gorące lato – powiedział, kręcąc głową. – Taki upał może człowieka wykończyć, prawie nie daje się spać. Przez kilka tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu, trawa wysychała na pieprz. Ale w Domu nad Jeziorem mieli ogrodników, którzy pilnowali, żeby ogród wyglądał pięknie. Kiedy przyjechaliśmy, wszystko było uporządkowane: lampy, serpentyny, wieńce z kwiatów. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Przysłali nam ciastka na podwieczorek. Wyobraża to sobie pani? Dzień po zniknięciu chłopca wysyłają nam ciastka! I jakie śliczne, lukrowane i przyozdabiane specjalnie na to przyjęcie.

Sadie skontaktowała się z emerytowanym policjantem, gdy tylko dostała jego list. Na końcu podał swój numer telefonu, więc natychmiast poszła do domu zadzwonić. Nadal tłukły jej się po głowie wszystkie możliwe konsekwencje odkrycia, jakiego dokonała na mapie z 1664 roku.

– Czekałem na ciebie – powiedział, kiedy mu się przedstawiła.

Jej uwagi nie uszedł fakt, że dokładnie te same słowa padły z ust starca z *Magicznych drzwi Eleanor*, kiedy dziewczynka zjawiała się, aby naprawić jego złe uczynki. Po sposobie, w jaki to powiedział, Sadie nie potrafiła odgadnąć, czy miał na myśli dwadzieścia cztery godziny od napisania listu, czy siedemdziesiąt lat, które minęły od zamknięcia sprawy pieczętą „nierozwiązane”.

– Wiedziałem, że ktoś się w końcu zjawi, że nie tylko ja ciągle o nich myślę.

Zamienili przez telefon jedynie kilka zdań, próbując się nawzajem wybadać, wymieniając policyjne referencje (Sadie nie wspomniała, że przyjechała do Kornwalii na przymusowy urlop), po czym odszpunkowali sprawę. Mimo swego ostatniego odkrycia nie podzieliła się z Robinsonem nową hipotezą o istnieniu drugiego tunelu; napomknęła tylko, że trafiła na informacje, które trudno było zdobyć, że do tej pory musiała się ograniczać do relacji Pickeringa. Słyszając to nazwisko, Clive prychnął pogardliwie.

– Tak, w jego książce brak konkretnych informacji – zgodziła się Sadie.

– Nie tylko tego biedakowi brakowało – odparł Clive ze śmiechem. – Nie chcę mówić źle o zmarłym, ale obawiam się, że Arnold Pickering nie stanął w kolejce, kiedy Wszechmogący rozdawał rozумы.

Spytał, czy Sadie chciałaby się spotkać i porozmawiać, zaproponowała więc następny dzień.

– Może być rano – powiedział. – W południe przyjeżdża moja córka, Bess, żeby mnie zabrać na spotkanie. – Urwał, po czym dodał półgłosem: – Nie podoba jej się, że do tej pory interesuję się tą sprawą. Mówi, że to obsesyjne.

Sadie uśmiechnęła się do słuchawki. Znała to uczucie.

– Wolalaby, żebyśmy grał w brydża albo zbierał znaczki.

– Może pan być spokojny o moją dyskrecję.

I oto siedziała w jasny sobotni poranek przy herbacie i ciasteczkach pełnoziarnistych w kuchni

Clive'a Robinsona w Polperro. Na stoliku leżała haftowana serweta ze świeżo zaprasowanymi kantami. Z niespodziewanym wzruszeniem Sadie zauważyła małą metkę przyszytą do brzegu, świadczącą o tym, że obrus rozłożono na lewą stronę.

Stary policjant sprawiał wrażenie, jakby naprawdę ucieszył się z jej wizyty, za to ogromny czarny kot, który z nim mieszkał, wydawał się oburzony tym najściem.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział Clive, drapiąc prychnącego zwierzaka pod brodą. – Nie przestała się jeszcze bocyć za mój wyjazd. Jest bardzo zaborcza ta moja Mollie.

Kotka obserwowała spotkanie spomiędzy dwóch doniczek z ziołami, stojących na nasłonecznionym parapecie, mrużąc z niezadowoleniem i bijąc ostrzegawczo ogonem.

Sadie poczęstowała się herbatnikiem i przejrzała pytania, które sobie przygotowała dla Clive'a. Postanowiła zbadać grunt, zanim zdecyduje się zaufać staremu policjantowi na tyle, by przedstawić mu swoją teorię. Chciała zweryfikować jego wiarygodność jako źródła informacji. Chociaż cieszyło ją, że zdołała się umówić na rozmowę, dość sceptycznie myślała o tym, co człowiek dobiegający dziewięćdziesiątki może pamiętać na temat sprawy, nad którą pracował siedemdziesiąt lat temu. Lecz Clive szybko rozwiał jej wątpliwości i miała teraz kilkanaście stron w notesie zapełnionych notatkami.

– Nigdy nie potrafiłem o tym zapomnieć – powiedział, nalewając herbatę przez sitko. – Może na to nie wyglądam, ale mam dobrą pamięć. Przypadek Edevane'ów miał dla mnie szczególne znaczenie. Nie mogłem go wymazać, chociaż się starałem.

Wzruszył ramionami opadającymi pod wyprasowaną koszulą. Pochodził z pokolenia, które przykładło ogromną wagę do spraw wyglądu.

– To była moja pierwsza sprawa. – Patrzył na nią przez grube szkła. – Jest pani z policji, rozumie pani, o czym mówię.

Sadie odparła, że tak. Żadne szkolenia nie mogą przygotować człowieka do nawałnicy i stresu, z jakimi wiąże się pierwsza prawdziwa sprawa. Ona trafiła na przypadek przemocy w rodzinie. Kobieta wyglądała, jakby przeżyła dziesięć rund na ringu, całą twarz miała siną, wargi rozcięte, a mimo to odmówiła złożenia zeznań. „Wpadłam na drzwi”, wyjaśniła, nie siląc się nawet na oryginalne kłamstwo.

Sadie, która dopiero co ukończyła szkolenie i skrywała własne demony, chciała mimo to natychmiast arestować przyjaciela tej kobiety. Piekło ją poczucie niesprawiedliwości. Nie chciała uwierzyć, że nie mają wyjścia, że bez współpracy ofiary niczego nie mogą zrobić, poza udzieleniem ostrzeżenia. Donald powiedział, żeby do tego przywykła, że nie ma rzeczy, do jakiej nie jest zdolna przestraszona kobieta, aby chronić partnera, który się nad nią znęca, że system utrudnia tym kobietom ucieczkę. Pamiętała zapach tego mieszkania, jakby to się wydarzyło wczoraj.

– Pierwszy raz posmakowałem wtedy prawdziwej rozpacz – ciągnął Clive Robinson. – Wychowywano mnie raczej pod kloszem, żyłem w szczęśliwej rodzinie, w dość ładnym domu, z braćmi, siostrami i babcią w niedalekim sąsiedztwie. Dopóki nie zacząłem pracować w policji, nie byłem nawet nigdy na pogrzebie. Potem nadrobiłem tę zaległość z nawiązką. – Zmarszczył czoło, jakby zobaczył coś nad jej ramieniem w odległej przeszłości. – Ten dom, ci ludzie... ich bezradność, rozpacz na twarzach, nawet powietrze w pokoju było przesiąknięte tą bolesną stratą. – Obracał filiżankę na spodeczku, starannie dobierając słowa. – To był mój pierwszy raz.

Sadie uśmiechnęła się blado ze zrozumieniem. Żadna inna instytucja nie przybliżyła tak do grozy i horrorów życia jak policja. Może poza pogotowiem.

– Więc zaczęliście od hipotezy, że Theo Edevane wyszedł z domu i zabłądził?

Robinson skinął głową.

– Tak. W tych czasach niewiele się mówiło o porwaniach. Rok wcześniej w Ameryce mieli sprawę Lindbergha, ale właśnie dlatego stała się taka głośna, bo takie rzeczy w zasadzie się nie zdarzały. Byliśmy pewni, że znajdziemy chłopca w ciągu kilku godzin, że takie małe dziecko nie mogło zająć daleko. Szukaliśmy do zmroku, przeczesaliśmy łąki i las wokół majątku, ale nie znaleźliśmy żadnego

śladu. Nic. Następnego dnia sprowadziliśmy nurków, żeby zbadali jezioro, a kiedy i to nie przyniosło efektów, zaczęliśmy się zastanawiać, kto mógłby chcieć zabrać dziecko.

Co doprowadziło Sadie do drugiej serii pytań, zanotowanych poprzedniego wieczoru na kartce. Zwykle powstrzymywała się od pytań „dlaczego”, zwłaszcza kiedy dopiero zaczynała śledztwo.

– Motywy są dla pisarzy kryminałów – burczał Donald. – Dla pisarzy kryminałów i gliniarzy z seriali telewizyjnych.

Ujął to z charakterystyczną dla siebie lapidarnością, ale miał rację. Policjanci potrzebują dowodów, muszą odpowiedzieć zadowalająco na pytania, jak popełniono zbrodnię i kto ją mógł popełnić. Pytanie „dlaczego?” odwracało tylko uwagę od konkretów i nierzadko sprowadzało na manowce.

W tej sprawie jednak, wobec szczególnie skąpego materiału dowodowego i siedemdziesięciu lat, które upłynęły od popełnienia przestępstwa, Sadie doszła do wniosku, że powinna uznać sytuację za wyjątkową. W dodatku niedawno odkryta mapa wprowadzała nowe elementy. Ta tajemnicza wnęka w ścianie, możliwość, że istniał drugi tunel łączący dom ze światem zewnętrznym, tunel, który od dawna zniknął z map i ludzkiej pamięci. Gdyby okazało się to prawdą, zostałaby rozwiązana jedna z najbardziej frapujących zagadek tej sprawy, czyli „jak”. A razem z nią wyjaśniłby się problem, kto to zrobił, ponieważ grono ludzi, którzy wiedzieli o istnieniu tunelu, musiało być wąskie i tworzyć zamknięty krąg. Od chwili gdy umówiła się z Clive'em na spotkanie, w głowie Sadie krążyły bez ustanku słowa z powieści Alice Edevane: *Diggory zawsze zaczynał od rodziny. Błędem było założenie, że żal i poczucie winy nawzajem się wykluczają*. Zdanie to poprzedzało pierwszą wizytę Diggory'ego Brenta u byłej żony i córki zabitego.

– Rozmawiałeś z rodzicami chłopca? – spytała Sadie.

– Oczywiście. W pierwszej kolejności. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów obciążających któreś z nich, zresztą oboje mieli alibi. Zwłaszcza matka chłopca była praktycznie ciągle na widoku jako pani domu. Większą część wieczoru spędziła w chacie na łodzie, gdzie organizowali przejażdżki gondolą dla gości. Potwierdziło się wszystko, co mówili. Nikogo to zresztą nie dziwiło. Po co rodzice mieliby porywać własne dziecko?

Było to uzasadnione pytanie, lecz coś nie pozwalało Sadie tak łatwo wykluczyć ich z kręgu podejrzanych, mimo że coś ją w szczególny sposób łączyło z Eleanor Edevane.

– Według Pickeringa minęły mniej więcej trzy godziny między końcem przyjęcia a odkryciem zaginięcia chłopca. Co robili wtedy rodzice?

– Oboje położyli się spać jednocześnie. Żadne nie opuściło sypialni aż do ósmej rano, kiedy przysłała pokojówka, by im powiedzieć, że dziecka nie ma w łóżeczku.

– Czy cokolwiek mogło wskazywać na to, że któreś z nich kłamie?

– Nie.

– Że mogli działać wspólnie?

– Żeby porwać własne dziecko? Po tym, jak pożegnali trzystu gości?

Zabrzmiało to absurdalnie, lecz Sadie była skrupulatna i dociekliwa. Skinęła głową.

– Nie znaleźliśmy nikogo, kto by nie potwierdził, jak bardzo kochali to dziecko. Jak bardzo go pragnęli. Edevane'owie długo czekali na syna. Mieli już trzy córki, najmłodsza skończyła dwanaście lat, uwielbiali tego chłopca. W tamtych czasach każda bogata rodzina pragnęła mieć syna, kogoś, komu przekaże nazwisko i majątek. Dzisiaj już nie. Moja wnuczka mówi, że wszystkie jej znajome chcą mieć córki. Dziewczynki są grzeczniejsze, można je stroić i w ogóle łatwiej je wychowywać. – Z niedowierzaniem uniósł siwe brwi. – Ja też miałem córki i zapewniam cię, że to nieprawda.

Sadie uśmiechnęła się lekko, a Clive wziął ciastko.

– Muszę ci uwierzyć na słowo – powiedziała, skupiając całą uwagę na spisie członków rodziny, który dostała od niego na początku rozmowy. – Powiedziałeś, że babcia chłopca też mieszkała z rodziną?

Przez pocziwą twarz Clive'a przebiegł ponury grymas.

– Constance deShiel. Okropna kobieta. W typie tych nadętych przerasowionych damulek, które prędzej cię pożą, niż odpowiedzą na pytanie. Ale kiedy ją wypytywaliśmy o córkę i zięcia, stawała się znacznie rozmowniejsza.

– Co mówiła?

– Głównie rzucała drobne uszczypliwe uwagi w rodzaju „Nie zawsze sprawy wyglądają tak, jak się zdaje”. Kilka razy czyniła aluzje do jakiejś zdrady... że niby był jakiś romans. Gdy jednak próbowaliśmy pociągnąć ją za język, milkła.

– Nie przycisnęliście jej do muru?

– W tamtych czasach? W arystokratycznej rodzinie, zwłaszcza gdy chodziło o kobietę? Wtedy panowały inne zasady, nie mogliśmy naciskać tak, jak byśmy chcieli.

– Ale próbowaliście to sprawdzić?

– Oczywiście. Sama wiesz, że rodzinne konflikty są chlebem powszednim policjanta, niektórzy ludzie nie cofną się przed niczym, żeby ukarać współmałżonka. Ojcowie zabierają dzieci na spotkanie w ramach przyznanej opieki i nie przywożą ich z powrotem; matki opowiadają dzieciom steki kłamstw na temat byłych mężów. W bitwach małżeńskich prawa dzieci często przegrywają z kretesem.

– Ale chyba nie w tym wypadku?

– Ludzie przechodzili samych siebie, żeby nas przekonać, jakimi oddanymi rodzicami byli Edevane’owie, jaką byli nierozłączną parą.

Sadie zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Małżeństwa są rzeczywiście wielkimi tajemnicami. Sama dotąd nie wyszła za mąż, lecz odnosiła wrażenie, że każde małżeństwo jest samo w sobie małą bestią, ma swoje sekrety, kłamstwa i niespełnione obietnice kipiące pod pozornie gładką powierzchnią.

– Dlaczego Constance deShiel miałyby kłamać, gdyby to była nieprawda? Widziała coś? Czy córka jej się z czegoś zwierzyła?

– Nie były ze sobą żyte, to potwierdzało wiele osób.

– A mimo to mieszkały razem?

– O ile mi wiadomo, niechętnie. Stara zaprzepaściła majątek w jakimś kiepskim interesie, w który zainwestowała pieniądze po śmierci męża, żyła więc na łasce córki i zięcia, ale nie była z tego zadowolona. – Wzruszył ramionami. – Może jej aluzje wynikały z czystej złośliwości.

– W takiej chwili? Kiedy zaginął jej wnuczek?

Staruszek machnął ręką, a jego mina mówiła, że nic go nie zaskoczy, bo w życiu widział niepojęte rzeczy, do jakich są zdolni ludzie.

– Kto wie, chociaż były i inne wyjaśnienia. W tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku Constance deShiel wykazywała już pierwsze objawy demencji starczej. Lekarz radził nam patrzeć przez palce na jej wynurzenia. Mówiąc między nami – byli sami, lecz Clive podsunął się bliżej, jakby miał jej zdradzić wielki sekret i nie chciał, aby ktoś go podsłuchał – doktor Gibbons sugerował, że Constance sama była dość niestała w małżeństwie i jej komentarze są prawdopodobnie pomieszaniem wspomnień, więc nie wolno ich traktować jako wiarygodnych spostrzeżeń. Podobno człowiek w takim stanie nie odróżnia przeszłości od terażniejszości.

– A jak ty uważasz?

Rozłożył ręce.

– Myślę, że była zgorzkniałą, ale nieszkodliwą jędzą. Czują się stara i samotna i znalazła przymusowych słuchaczy.

– Myślisz, że chciała sobie dodać powagi?

– Wyglądało to tak, jakby chciała, żebyśmy jej zadawali pytania, żebyśmy ujrzeni w niej architekta jakiegoś wielkiego nikczemnego spisku. Śmiem twierdzić, że byłaby zachwycona, gdybyśmy ją arestowali. Pragnęła budzić zainteresowanie.

Zebrał z obrusa okruszek i położył go z namaszczeniem na talerzyku.

– Niełatwo radzić sobie z uczuciem, że człowiek, starzejąc się, stopniowo traci na znaczeniu – ciągnął Clive. – W młodości była wielką panią domu, piękną, z wyższych sfer. Nad kominkiem w bibliotece wisiał jej portret. Robił wrażenie. Do tej pory ciarki mi chodzą po krzyżu, kiedy sobie przypominam oczy na tym obrazie. Sprawiały wrażenie, jakby śledziły każdy twój ruch. – Zerknął na Sadie spod zmrużonych powiek, tak że przez ułamek sekundy widziała twardego policjanta, którym kiedyś prawdopodobnie był. – Tak czy owak, poszlaka to poszlaka, a Bóg mi świadkiem, że niewiele ich mieliśmy. Od tamtej pory bacznie się przyglądałem tym dwojgu, Eleanor i Anthony’emu.

– I co?

– Dla większości rodzin strata dziecka jest jak wybuch granatu, to potwierdzają nawet statystyki. A oni wyglądali razem tak ślicznie. On był dla niej taki czuły, łagodny i opiekuńczy. Pilnował, żeby odpoczywała, powstrzymywał ją, żeby nie pobiegła szukać chłopca razem z policją. Właściwie nie spuszczał jej z oka. – Zacisnął usta na to wspomnienie. – Biedna kobieta... dla matki to musi być największy koszmar, a mimo to zachowywała się z taką godnością. Jeszcze przez wiele lat po wyprowadzce nadal tu przyjeżdżała.

– Do miasteczka?

– Do tego domu. Tylko ona. Sama.

To było coś nowego. Przyjaciółka Bertiego, Louise, sugerowała, że od zniknięcia Thea żaden z członków rodziny nie zjawił się w okolicy.

– Widziałeś ją?

– Policja słyszy różne rzeczy. Do miasteczka dotarły wieści, że ktoś przyjechał do Domu nad Jeziorem. Zajrzałem do niej kilka razy, żeby się upewnić, że wszystko w porządku, zapytać, czy mógłbym jej jakoś pomóc. Zawsze była bardzo miła, odpowiadała, że to niezwykle uprzejme z mojej strony, ale ona chętnie odpoczywa od londyńskiego zgiełku.

– A więc dla niej sprawa się nie zakończyła.

– Oczywiście, że nie. Gdzieś tam było jej dziecko. Kilka razy mi podziękowała, powiedziała, że docenia całą pracę, jaką włożyliśmy w poszukiwania jej synka. Przekazała nawet dużą darowiznę miejscowemu posterunkowi. To była naprawdę dystyngowana kobieta. I bardzo smutna. – Zmarszczył czoło i zatopił się we wspomnieniach. Kiedy się znów odezwał, w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Przez cały czas nie rozstawałem się z nadzieją, że odnajdę dla niej tego chłopca. Dręczyła mnie ta niezakończona sprawa. Dzieci tak po prostu nie znikają, prawda? Zwykle dokądś idą. Zawsze jest jakiś trop, trzeba tylko odkryć miejsce, gdzie należy szukać. – Zerknął na Sadie. – Miałaś kiedyś taki przypadek? Nie daje spokoju.

– Tak – odparła Sadie.

Przed oczami stanęła jej Caitlyn Bailey. Przypomniała sobie dotyk małej rączki spoczywającej z taką ufnością w jej dłoniach, łaskotanie potarganych dziecięcych włosów, kiedy mała przyniosła swoją książeczkę i oparła główkę na jej ramieniu.

– To była właśnie dla mnie taka sprawa – odrzekł Clive. – Najgorsze, że mieliśmy tak mało materiału, nad którym można było pracować.

– Ale musieliście mieć jakieś teorie.

– Były pewne tropy, jedne blade, inne wyraźniejsze: zwolnienia wśród służby, brakująca buteleczka ze środkami nasennymi, które mogły zostać wykorzystane do porwania, a także śmierć przyjaciela rodziny w dziwnych okolicznościach. Niejaki Daffyd Llewellyn...

– Pisarz...

– Tak. Był swego czasu całkiem sławny.

Sadie zakłęta w duchu, że w książce, którą dostała z biblioteki, nie zajrzała do rozdziału o Llewellynie. Przypomniała sobie wstęp do *Magicznych drzwi Eleanor* oraz wzmiankę o pośmiertnym odznaczeniu Orderem Imperium Brytyjskiego w 1934 roku. Nie skojarzyła wówczas faktu, że jego śmierć

nastąpiła tak szybko po zniknięciu Thea.

– Co się stało?

– Po kilku dniach poszukiwań przeczesywaliśmy teren nad strumieniem za chatą na łodzie i ktoś nagle zawołał: „Zwłoki!”. Ale to nie było dziecko, tylko starszy mężczyzna. Okazało się, że popełnił samobójstwo. Z początku podejrzewaliśmy, że zabił się z powodu wyrzutów sumienia, że miał coś wspólnego ze zniknięciem chłopca.

– A jesteś pewien, że nie miał?

– Zbadaliśmy to, ale nie znaleźliśmy motywu. Bardzo lubił chłopca, a wszystkie przesłuchiwane osoby zgodnie potwierdziły, że był najbliższym przyjacielem Eleanor. Napisał o niej książkę, kiedy była dzieckiem, wiedziałaś o tym?

Sadie skinęła głową.

– Była zdruzgotana, zupełnie się załamała, gdy się dowiedziała, że zmarł. Okropne. – Clive pokręcił głową. – Jedna z najgorszych rzeczy, jakie w życiu widziałem.

Sadie rozmyślała nad tym, co usłyszała. Ginie dziecko, a kilka godzin czy dni później przyjaciel rodziny popełnia samobójstwo.

– Zbieżność czasu wydaje się niezwykła.

– To prawda, ale rozmawialiśmy z miejscowym lekarzem. Powiedział, że Llewellyn od kilku tygodni przechodził stany niepokoju. W kieszeni znaleźliśmy buteleczkę z barbituranem.

– Zażył go?

– Koroner potwierdził przedawkowanie. Llewellyn zmieszał lekarstwo z szampanem, położył się nad strumieniem i więcej się nie obudził. Zdziwiająca zbieżność w czasie, tak jak powiedziałaś, zważywszy na to, że chłopca uprowadzono właśnie tego wieczoru, lecz nie ma w tym niczego podejrzanego. Z całą pewnością nic, co by wskazywało na jego związek z losem Thea Edevane’a. Zwykły zbieg okoliczności.

Sadie uśmiechnęła się bez przekonania. Nie lubiła zbiegów okoliczności. Jej doświadczenie wskazywało, że są one związkami, których jeszcze nie udowodniono. A teraz jej czujniki drgały jak oszalałe. Czuła, że w śmierci tego Llewellyna tkwi coś więcej, niż się zdawało na pierwszy rzut oka. Clive najwyraźniej dawno temu odrzucił tę możliwość, lecz Sadie zanotowała sobie, że musi to później sprawdzić. *Samobójstwo Llewellyna – zbieg okoliczności czy też był zamieszany w porwanie? Wyrzuty sumienia?*

Tymczasem... postukała piórem w notes i zakreśliła słowo *przypadek*. Ponieważ oczywiście istniała trzecia możliwość w sprawie Thea Edevane’a, być może najbardziej mroząca krew w żyłach: że dziecko w ogóle nie opuściło domu, a w każdym razie nie żywe. Sadie widywała już sprawy, w których dziecko zabito lub okaleczono, czasem przypadkiem, a czasem nie, po czym zbrodnię zatuszowano. Winni zawsze próbowali nadać sprawie pozory ucieczki lub porwania, ponieważ odwracało to uwagę od miejsca zbrodni.

W jej myśli wdarł się nagle odgłos cichego pstryknięcia i Sadie po raz pierwszy zwróciła uwagę na duży elektroniczny zegar stojący na komodzie za plecami Clive’a. Właśnie przeskoczyły naraz trzy plastikowe płytki, żeby pokazać godzinę jedenastą. Saddle uprzytomniła sobie nagle, że zbliża się południe, kiedy ma przyjechać córka Clive’a, i ich spotkanie nieuchronnie dobiegnie końca.

– A co z siostrami? – spytała, wracając szybko do konkretów. – Rozmawialiście z nimi?

– Och, niejednokrotnie.

– Powiedziały coś ważnego?

– Z grubsza to samo. Chłopca wszyscy kochali, nie zauważyły niczego podejrzanego, obiecały, że zgłoszą się do nas, jeśli przyjdzie im do głowy coś, co mogłoby nam pomóc. Wszystkie miały alibi na ten wieczór.

– Marszczysz brwi.

– Tak? – Clive zamrugnął; silne szkła w okularach powiększały jego oczy. Przeciągnął ręką po siwych włosach i wzruszył jednym ramieniem. – Chyba zawsze miałem wrażenie, że najmłodsza dziewczynka czegoś nam nie mówi. To było tylko subiektywne odczucie, wydawało mi się, że dziwnie się zachowuje, czerwieniła się, kiedy ją przesłuchiwaliśmy, splatała ręce, nie patrzyła nam w oczy. Ale upierała się, że nie ma pojęcia, co się stało z jej bratem, i że w ciągu ostatniego tygodnia w domu nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nie znaleźliśmy najmniejszego dowodu, że była w coś zamieszana.

I znów Sadie pozwoliła sobie zastanowić się nad motywem. Oczywiście mogła być zazdrość. Dziewczynka przez dwanaście lat była najmłodszym dzieckiem w rodzinie, dopóki nie zjawiał się mały braciszek. Ukochany syn rodziców zajął jej miejsce. Przyjęcie było doskonałą okazją, aby usunąć przeszkodę z drogi, w panującym hałasie i rwetesie łatwo było przemknąć się niezauważenie.

Albo... (co z pewnością było bardziej prawdopodobne niż wizja Clementine Edevane jako nieletniej psychopatki o morderczych skłonnościach)... Sadie przypomniała sobie relację Pickeringa o tym, że dziewczynka często zabierała Thea na poranne spacerki; że kiedy przechodziła tamtego ranka, zobaczyła zamknięte drzwi dziecięcego pokoju; że nie weszła do środka. A jeśli jednak weszła do środka, jeśli wydarzyło się coś okropnego, a ona bała się lub wstydziła przyznać?

– W majątku zatrudniono ekipę do sprzątnięcia – powiedział Clive, odgadując jej tok myślenia. – Od wyjścia ostatniego gościa aż do świtu ludzie kręcili się po całym terenie i doprowadzali do ładu miejsce po przyjęciu. Nikt niczego nie widział.

Lecz Sadie podejrzewała, że w Loeanneth istniała inna droga umożliwiająca potajemne wyjście z domu. Zapisała sobie w notesie słowo *Clementine* i obwiodła je kółkiem.

– Jaka ona była? Clementine Edevane.

– W typie chłopczycy, ale niezwykła. Każde z nich różniło się od pozostałych. Wszyscy czarujący, charyzmatyczni. Byłem nimi urzeczony. Pamiętaj, że miałem tylko siedemnaście lat, zielono w głowie. Nigdy wcześniej nie spotkałem takich ludzi. Jak w jakimś romansie: wielki dom, ogród, ich sposób wysławiania się, rzeczy, o jakich rozmawiali, eleganckie maniery i niepisane zasady, których surowo przestrzegali. Byli zniewalający. – Spojrzał na nią. – Chciałabyś zobaczyć ich zdjęcie?

– A masz?

Clive złożył tę propozycję szczerze, nawet ochoczo, lecz teraz się zawahał.

– No, nie wiem... to trochę niezręczne, jesteś czynną funkcjonariuszką...

– Nie całkiem – wypaliła Sadie, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Nie całkiem?

Westchnęła z rezygnacją.

– To przez tę Bailey – zaczęła.

Czy to za sprawą ciszy panującej w kuchni Clive'a, oddalenia od Londynu i jej prawdziwego świata, czy zawodowej więzi, jaka ich łączyła, czy ulgi, którą poczuła na myśl, że może komuś wyznać tajemnicę tak skrętnie ukrywaną przed Bertiem – w każdym razie opowiedziała starszemu pokrótce o sprawie Baileyów, o tym, jak nie chciała się pogodzić z myślą o jej zamknięciu, jak przekonała samą siebie i próbowała przekonać wszystkich dookoła, że pod pozorami ucieczki matki kryje się coś więcej, o tym, że przyjechała do Kornwalii nie na wakacje, lecz na przymusowy urlop.

Clive słuchał, nie przerywając jej, a kiedy skończyła, nie ściągnął brwi, nie zaczął jej pouczać ani nie kazał wyjść.

– Czytałem o tym w gazetach – powiedział tylko. – Okropna historia.

– Nie powinnam była rozmawiać z tym dziennikarzem.

– Uważałaś, że postępujesz słusznie.

– Nie przemyślałam tego należycie, na tym polegał problem. – Czują wstręt do samej siebie i słyszała to w swoim głosie. – Słuchałam intuicji i przeczuć.

– Nie ma się czego wstydzić. Czasem przeczuć nie są wcale tak wydumane, jak się wydaje.

Czasem wynikają z obserwacji, których dokonaliśmy, nie zdając sobie z tego sprawy.

Starał się być uprzejmy. Sadie instynktownie traktowała uprzejmość z odruchową rezerwą. Może polityka w policji zmieniła się od czasu, gdy Clive odszedł na emeryturę, lecz Sadie była pewna, że wyrywanie się z szeregu, żeby wywlekać sprawy wewnętrzne na forum publiczne, nigdy nie należało do akceptowanych praktyk. Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Powiedziałaś, zdaje się, że masz zdjęcie.

Clive zrozumiał aluzję i przestał naciskać na przeciąganie tematu Baileyów. Przez chwilę jakby się zastanawiał, po czym skinął głową.

– Zaraz wracam.

Począłapał do przedpokoju i Sadie usłyszała, jak grzebiąc, klnie w jakimś pomieszczeniu w głębi domu. Kot przyglądał jej się wielkimi zielonymi oczami, bębniąc rytmicznie ogonem. „Hm, hm, hm”, zdawał się mówić ogon.

– Czego ode mnie chcesz? – burknęła do niego Sadie. – Przecież się przyznałam, że to moja wina.

Bawiła się metką od obrusa i starała się odsunąć od siebie sprawę Nancy Bailey. *Nawet nie myśl o tym, żeby się kontaktować z babcią.* Próbowwała ignorować odczucie ciepłej, małej rączki w swojej dłoni. Spojrzała na zegar i przyszło jej do głowy, że Clive dzwoni może właśnie do Scotland Yardu, żeby na nią donieść. Zadrzały i przeskoczyły następne dwie cyfry w zegarze i wreszcie po chwili, która zdawała się wiekiem przemijającym w zwolnionym tempie, wrócił. Pomyślała, że wydaje się tak samo zdenerwowany jak ona. Na jego twarzy malowało się niewyjaśnione ożywienie. Doszła do wniosku, że jeśli nie jest sadystą, a jak dotąd nic na to nie wskazywało, to nie dzwonił do Ashforda. Ale zauważyła, że nie ma też fotografii. Zamiast tego trzymał pod pachą grubą teczkę. Wyglądała znajomo.

– Czekalem, żeby wyrobić sobie o tobie zdanie – powiedział, podchodząc do stołu. – Bo widzisz, kiedy odchodziłem na emeryturę... doszedłem do wniosku, że nikt nie zauważy, a nawet jeśli, to po co to komu...? Więc zabrałem...

Sadie zrobiła okrągłe oczy.

– Akta!

Clive skinął głową.

– Zabrałem teczkę z aktami sprawy Edevane'ów...

– Tylko pożyczylem. Zamierzam je odłożyć z powrotem, kiedy sprawa zostanie zamknięta.

– Ty...!

Twarz jej się rozjaśniła z podziwu, kiedy patrzyła na teczkę leżącą między nimi na stole, pełną wywiadów, zapisów zeznań, nazwisk, numerów, hipotez.

– Ty łotrze! Ty wspaniały łotrze!

Clive wysunął dolną szczękę.

– W archiwum nie byłoby z nich żadnego pożytku, prawda? Nikt za nimi nie tęsknił. Nawet rodzice większości ludzi, którzy tam teraz pracują, jeszcze się wtedy nie urodzili. – Zadrzała mu lekko dolna warga. – To moja niedokończona sprawa.

Wręczył jej dużą, czarno-białą fotografię, która leżała na wierzchu. Przedstawiała elegancką, zamożną rodzinę, w strojach i z fryzurami w stylu lat trzydziestych, siedzącą na kraciastym kocu zastawionym talerzami i filiżankami. Za ich plecami widać było kamienny mur, w którym Sadie rozpoznała ogrodzenie niewielkiego ogrodu leżącego w dole nad strumieniem. W środku siedzieli Eleanor i jej mąż Anthony – Sadie widziała ich zdjęcie w gazecie, lecz tutaj wyglądali na szczęśliwych, a dzięki temu i młodszych. Na lewo od Eleanor na wiklinowym fotelu siedziała starsza kobieta, prawdopodobnie Constance deShiel, a po drugiej stronie z wyciągniętymi i skrzyżowanymi w kostkach nogami trzy córki Edevane'ów. Najstarsza i najładniejsza, przynajmniej w konwencjonalnym sensie, Deborah miała włosy przewiązane chustką i siedziała najbliżej ojca; obok niej Alice patrzyła w obiektyw wzrokiem tak samo przenikliwym jak na zdjęciu autorskim w swoich książkach; ostatnią zaś, wysoką

i szczupłą, lecz wyraźnie młodszą od pozostałych, musiała być Clementine. Jasnokasztanowe falujące włosy rozdzielone przedziałką sięgały jej do ramion, lecz twarzy nie było widać wyraźnie. Patrzyła na fotografa, ale uśmiechała się raczej do małego chłopczyka siedzącego koło nóg Eleanor. Theo wyciągał rączki w stronę siostry, a w piąstce ścisnął pluszową zabawkę.

Mimo woli Sadie, patrząc na to zdjęcie, poczuła głębokie wzruszenie. Kępki trawy, smugi cienia dawno minionego słonecznego dnia, białe piegi stokrotek na pierwszym planie – krótki, przelotny moment w życiu szczęśliwej rodziny, uchwycony, zanim wszystko się zmieniło. Clive powiedział, że Edevane'owie całkowicie różnili się od ludzi, jakich wcześniej znał, lecz Sadie najbardziej uderzyła właśnie zwyczajność osób widocznych na zdjęciu, a także całej sceny. Marynarka Anthony'ego leżała rzucona niedbale z tyłu, Deborah trzymała w dłoni na wpół zjedzony kawałek ciasta, z boku siedział posłusznie retriever o pięknej, błyszczącej sierści i spoglądał łakomie na słodki kasek.

Zmarszczyła czoło i przyjrzała się fotografii uważniej.

– Kto to jest?

Na zdjęciu widać było jeszcze jedną kobietę. W pierwszej chwili Sadie jej nie zauważyła, bo postać zlewała się w cętkowanym świetle z kamiennym murem.

Clive spojrzał na zdjęcie.

– Rose Waters, niania chłopca.

– Niania – powtórzyła Sadie w zadumie. Niewiele wiedziała o nianiach, ale oglądała *Mary Poppins*. – Czy nianie nie sypiały z dziećmi w pokoju?

– Owszem – odparł Clive. – Niestety, Rose Waters opuściła Dom nad Jeziorem kilka tygodni przed przyjęciem. Sporo czasu nam zajęło, żeby ją znaleźć. W końcu dotarliśmy do niej przez siostrę w Yorkshire, zresztą w samą porę, bo Rose mieszkała w hotelu w Londynie i przygotowywała się właśnie do wyjazdu. – Podrapał się po głowie. – Znalazła nową pracę, zdaje się, że w Kanadzie. Rozmawialiśmy z nią, ale niewiele nam pomogła.

– Więc w czasie przyjęcia w Loeanneth nie było żadnej niani?

– Och, była, kobieta, którą zatrudniono na jej miejsce. Nazywała się Hilda Bruen. Stara megiera, w typie tych dawnych opiekunek, które wciskały dzieciom tran i z upodobaniem doprowadzały je do płaczu, wmawiając, że to wszystko dla ich dobra. Była młodsza niż ja teraz, ale wydawała mi się wtedy chodzącą mumią. Pracowała w Domu nad Jeziorem, kiedy Eleanor była dzieckiem, i po wyjeździe Rose Waters ściągnięto ją z emerytury.

– Była w domu, kiedy zniknął chłopiec?

– Spała razem z nim w pokoju.

Sadie osłupiała.

– No to przecież musiała coś widzieć albo słyszeć.

Clive pokręcił głową.

– Spała jak kamień. Zdaje się, że łyknęła sobie wieczorem whisky, żeby nie słyszeć hałasów z przyjęcia. Z tego, co wiem, to nie był odosobniony wypadek.

– Cholera!

– Owszem.

– Pickering ani razu nie wspomniał o niej w książce.

– Nic dziwnego. To był rzadki okaz głupca, nikt z nim nie chciał rozmawiać, więc opierał się na tym, co wyczytał w gazetach.

– Nie wyobrażam sobie, jak taka informacja mogła się nie przedostać do prasy: że ktoś spał razem z chłopcem w pokoju.

– Rodzina nalegała. Eleanor Edevane osobiście przyszła porozmawiać z moim szefem i prosiła, aby nikt nie wspominał publicznie o Hildzie Bruen. Ta niania pracowała w rodzinie od bardzo długiego czasu i nie chcieli narażać na szwank jej reputacji. Inspektorowi się to nie podobało – Clive wzruszył

ramionami – ale, jak powiedziałem, to były inne czasy, arystokratyczne rodziny zawsze mogły liczyć na szczególne względy, których teraz by im nie udzielono.

Sadie zastanawiała się, ile innych tropów zaginęło za sprawą takich „szczególnych względów”. Westchnęła i oparła się na krześle. Obracała długopis w dłoni, aż w końcu rzuciła go na notes.

– Tak mało materiału, na którym można się oprzeć.

Starszy pan uśmiechnął się przepaszajaco i wskazał gestem pękatą teczkę.

– W tym całym bałaganie, w setkach przesłuchań pojawił się tylko jeden naoczny świadek, któremu zdawało się, że widział coś, co mogłoby pomóc.

Sadie uniosła pytająco brwi.

– Jedna z kobiet obecnych na przyjęciu zeznała, że tamtego wieczoru widziała kobietą sylwetkę stojącą w oknie dziecięcego pokoju. Tuż po północy. Trwał właśnie pokaz fajerwerków. Niechętnie nam to powiedziała, bo kręciła z mężczyzną, który nie był jej mężem.

Brwi Sadie uniosły się jeszcze wyżej.

– Powiedziała – ciągnął Clive – że nie potrafiłaby żyć z myślą, że chłopca nie odnaleziono, ponieważ ona nie odważyła się odezwać.

– Można było jej wierzyć?

– Przysięgała, że mówi prawdę, ale jeszcze nazajutrz zalatywało od niej alkoholem.

– Czy kobietą, którą zauważyła w oknie, mogła być stara niania?

Clive pokręcił głową.

– Raczej nie. Kilkakrotnie podkreśliła, że widziała smukłą sylwetkę, a Hilda Bruen była tęga.

Sadie ponownie wzięła do ręki zdjęcie z pikniku. Rodzina Edevane’ów składała się w większości z kobiet i wyłącznie smukłych. Uderzyło ją wręcz, kiedy patrzyła na fotografię, że Anthony był wśród nich jedynym mężczyzną, naturalnie jeśli nie liczyć Thea. W dodatku bardzo przystojnym. W chwili gdy zrobiono zdjęcie, miał nieco ponad czterdzieści lat, ciemnoblonde włosy, inteligentną twarz i uśmiech, którym musiał często obdarzać ludzi, których kochał, w każdym razie takie wrażenie odniosła Sadie.

Przeniosła wzrok na kobietę stojącą pod murem. Jej sylwetka tonęła w cieniu, tylko jedną smukłą kostkę uchwyciło światło słońca.

– Dlaczego Rose Waters wyjechała z Loeanneth?

– Została zwolniona.

Sadie poderwała głowę.

– Zwolniona?

– Wskutek różnicy poglądów, tak w każdym razie twierdziła Eleanor Edevane.

– Jakich poglądów?

– Na temat swobód czy coś w tym rodzaju. Brzmiało to dość mętnie.

Sadie zastanawiała się przez chwilę. Wyglądało to na pretekst służący zamaskowaniu nieprzyjemnej prawdy. Popatrzyła na Eleanor. Na pierwszy rzut oka ludzie na zdjęciu tworzyli szczęśliwą, beztrudną rodzinę cieszącą się pięknym letnim dniem. Przyszło jej do głowy, że poddała się działaniu tego samego czaru, o którym mówił Clive. Pozwoliła, by urok, bogactwo i magia Edevane’ów całkiem ją zaślepiły. Popatrzyła bliżej. Czyżby tylko jej się przywidziało to napięcie rysujące się na pięknej twarzy Eleanor? Westchnęła w zadumie.

– Czy Rose Waters to potwierdziła?

– Tak. Była bardzo przygnębiona. Uważała, że zwolniono ją niezasłużenie, że dotknęła ją niesprawiedliwość. Pracowała tam dziesięć lat, a zaczęła jako nastolatka. Ale niewiele mogła zrobić, w tamtych czasach zwolniony pracownik nie mógł wnosić skargi. Cieszyła się, że przynajmniej dostała dobre referencje.

W głowie Sadie zadźwięczał dzwonek ostrzegawczy. Rose Waters była przekonana, że ją skrzywdzono i niesprawiedliwie zwolniono z pracy. Znała doskonale rodzinę i jej tryb życia, do tego

dochodziła dziwna zbieżność w czasie.

– Musieliście chyba uznać ją za podejrzaną.

– Wszyscy byli podejrzeni. Wszyscy i nikt. Częściowo na tym polegał problem, właściwie nikogo nie mogliśmy wykluczyć. Rose Waters była bardzo zdenerwowana, kiedy ją przesłuchiwałem, odchodziła prawie od zmysłów, gdy usłyszała, co się stało. Okropnie się martwiła o chłopca. Cała służba w Loanneth zgodnie twierdziła, że była z nim bardzo zżyta. Kilka osób mówiło, że kochała Thea jak własnego syna.

Serce Sadie zaczęło łomotać szybciej, ale Clive zdawał się tego nie dostrzegać.

– Wiem, jak to brzmi – powiedział. – Tylko że w tamtych czasach, po pierwszej wojnie, to się często zdarzało. Całe pokolenie utonęło w błotach Francji, a razem z nimi szanse na małżeństwo milionów młodych kobiet. Dla większości z nich rola niani w takiej rodzinie jak Edevane’owie była jedyną namiastką macierzyństwa, jedyną, na jaką mogły liczyć.

– Musiała ciężko przeżyć rozstanie z dzieckiem, które tak kochała.

– Na pewno – odparł spokojnie Clive, odgadując jej tok myślenia. – Lecz od miłości do cudzego dziecka do porwania prowadzi długa droga. Nic nie wskazywało na jej związek z tym przestępstwem.

– Poza świadkiem, który widział kobietę w oknie pokoju dziecięcego.

Skinął głową, ale bez przekonania; najwyraźniej był zdania, że choć wszystko jest możliwe, ta hipoteza wydaje mu się mało prawdopodobna.

– Nikt jej nie widział w majątku, nie było jej na przyjęciu, a portier w hotelu w Londynie powiedział, że dwudziestego czwartego czerwca podawał jej śniadanie.

Alibi jest czasem bardzo kruchą sprawą. Ludzie poręczają za innych z tysięcy powodów. Jeśli Sadie miała rację i w Loanneth istniał nieznany nikomu tunel, to nie miało najmniejszego znaczenia, czy ktoś widział Rose Waters na terenie majątku, czy nie.

Sadie miała prorocze przecucie, że oto otwiera się przed nią nowy trop. Było to prawie nadprzyrodzone wrażenie, które chyba nigdy nie straci dla niej uroku. Niania kochała chłopca; zwolniono ją nagle i, według niej, niesłusznie; naoczny świadek widział w pokoju dziecięcym sylwetkę kobiety. Co więcej, Rose Waters mieszkała w Domu nad Jeziorem przez wiele lat. Nie można wykluczyć, że w tym czasie dowiedziała się o istnieniu tunelu, może na przykład od jednej z córek. Od Clementine? Czy to był ów sekret, o który podejrzewał dziewczynkę Clive?

To prawda, że porwanie dziecka byłoby skrajnym posunięciem, lecz czyż każdego przestępstwa nie można nazwać skrajną reakcją? Sadie stuknęła palcami o stół. Nie miała wątpliwości, że zwolnienie Rose Waters było niezwykle ważnym tropem.

– Powiem ci jedno. To wielka szkoda, że nie było jej tej nocy w Loanneth – rzekł Clive. – Wiele osób, które przesłuchiwałem, podkreślało, jaka czujna była Rose Waters, kiedy opiekowała się małym Theo. Nawet Eleanor Edevane przyznała, że nie doszłoby do tego nieszczęścia, gdyby niania Rose nadal pracowała w majątku. Miała okropne wyrzuty sumienia.

– Dlatego, że ją zwolniła?

Starszy pan skinął głową.

– Oczywiście rodzice często znajdują sposób, aby obwiniać siebie, prawda? – Wziął do ręki zdjęcie i delikatnie wierzchem palców strzepnął pyłek kurzu. – Przestała przyjeżdżać do Loanneth w czasie drugiej wojny światowej. Myślałem, że to przez to przekłete pandemonium, które ogarnęło cały kraj, ale wojna się skończyła, a ona się już nigdy nie pokazała. Czasem o niej myślałem, zastanawiałem się, czy nie zginęła podczas bombardowania. To okropne, że człowiek może coś takiego pomyśleć, ale tak to było z tą wojną, wszyscy się przyzwyczailiśmy, że ludzie umierają. Żal pomyśleć, że ten dom został pusty i tak popadł w ruinę, ale trudno się dziwić, że trzymała się z daleka. Tyle śmierci i zniszczeń, czas się włókł, sześć długich, ciężkich lat. Po wojnie świat był już innym miejscem. Minęło jedenaście lat od zniknięcia chłopca. Trzymała tu straż przez tyle czasu, ale w końcu chyba pozostawiła przeszłość

i pozwoliła sobie zapomnieć.

Sadie zastanawiała się, czy Clive ma rację, czy jest taka chwila, kiedy nawet najbardziej cierpiący człowiek, który stracił kochaną osobę, zostawia cierpienie za sobą. Czy pięć lat wojny, biedy, nieszczęść i masowej zagłady mogły zatrzeć wspomnienia nawet tak dotkliwej osobistej żałoby. Może człowiek potrafi się w końcu nauczyć żyć wspomnieniami. Wszystko możliwe, wystarczy spojrzeć na Maggie Bailey. Zostawiła swoje dziecko. („Niemożliwe, Maggie nie potrafiłaby zrobić czegoś podobnego”, upierała się Nancy Bailey. Sadie otrząsnęła się z tych myśli).

– No, to tyle. – Clive uśmiechnął się przepaszająco. – Sprawa Edevane’ów w największym skrócie. Tysiące godzin pracy ludzi, najlepsze chęci, dziesiątki lat prywatnej obsesji i praktycznie nic, czym można by się pochwalić. Tyle samo tropów, co w pierwszych dniach śledztwa.

Sadie czuła w powietrzu napięcie, wywołane teorią, o której nie wspomniała. To był odpowiedni moment. Clive jej zaufał, pokazując skradzione akta, powinna mu się odwzajemnić tym samym.

– Sądzę, że znalazłam coś nowego.

Poderwał głowę, jakby przemówiła w obcym języku.

– Mam pewną hipotezę.

Zabłyły mu oczy, a jednocześnie się zwężyły, jakby się zabezpieczał przed własną nadmierną ciekawością.

– Mów – wychrypiał.

Zaczęła od mapy, którą zdobył dla niej Alastair, potem opisała plan domu z małą niepodpisaną wnęką i przedstawiła swoją teorię, że mogła ona prowadzić do tunelu.

Kiedy skończyła, Clive pokiwał energicznie głową.

– Wiedziałem, że w domu był tunel, sprawdziliśmy go kilka dni po wypadku, chociaż kłapa w ogrodzie została zamknięta na stałe, ale nie miałem pojęcia, że może istnieć drugi tunel. Nikt nie miał o tym pojęcia. Powiedziałaś, że to stara mapa?

– Bardzo. Tkwiła schowana między jakimiś gratami w zalanej piwnicy i znaleziono ją podczas niedawnych remontów. Całość wysłano do konserwacji, a potem do archiwum hrabstwa. Stamtąd ją dostałam.

Clive potarł grzbiet nosa pod okularami. Myślał z zamkniętymi oczami.

– Zastanawiam się, czy to możliwe... – mruknął. – Ale czemu nikt o tym nie wspomniał? Może nie wiedzieli?

– My też jeszcze tego nie wiemy – przypomniała mu Sadie. – W każdym razie nie mamy pewności. Muszę się dostać do środka, żeby to sprawdzić. Napisałam list do Alice Edevane.

– Eech – prychnął starszek ostro, podnosząc na nią wzrok. – Prędzej upuścisz z kamienia krew, niż skłonisz ją do pomocy.

– Zauważyłam. Dlaczego nie zależy jej na odkryciu prawdy?

– Nie mam pojęcia. Przez upór? Kaprys? Wiesz, że ona pisze kryminały? Jest bardzo sławna.

Sadie z roztargnieniem skinęła głową. Czy to dlatego nie dostała odpowiedzi? Czy jej list zaginął między setkami innych, jakie A.C. Edevane musiała otrzymywać? Od wielbicieli, ludzi proszących o pomoc i tak dalej.

– O detektywie, który nazywa się Brent – ciągnął Clive. – Czytałem kilka. Nieźle. Czasami próbowałem wyczytać coś między wersami, szukałem jakichś tropów, które pomogłyby mi w śledztwie. Widziałem ją jakiś czas temu w telewizji. Była taka sama, jak ją zapamiętałem.

– Co to znaczy?

– Wyniosła, dumna i tajemnicza, jak sfinks. I pewna siebie. Miała szesnaście lat, kiedy zaginął jej brat, tylko o rok mniej niż ja, ale byliśmy jak dwa różne gatunki. Nieporuszona jak kamień, kiedy ją przesłuchiwałem.

– Zbyt spokojna?

Skinął głową.

– Zastanawiałem się wtedy, czy to poza. Nie chciało mi się wierzyć, że młoda dziewczyna może być taka opanowana. I rzeczywiście, potem poznałem jej drugą stronę. Jako policjant miałem tę zaletę, że potrafiłem chodzić jak trusia, tak że ludzie mnie nie zauważali. To się bardzo przydawało. Szef wysłał mnie kiedyś, żebym mu znalazł pióro, bo w starym skończył się atrament, i kiedy wracałem przez hol, zauważyłem ją, jak się czała na schodach. Podkradała się do drzwi biblioteki, gdzie prowadziliśmy przesłuchania. Po chwili się rozmyśliła i odeszła, rozpląnęła się w gdzieś w cieniu.

– Myślisz, że zbierała się na odwagę, żeby zapukać?

– Albo to, albo bardzo chciała podsłuchać, o czym tam mówimy.

– Spytałeś ją o to?

– Przeszyła mnie tymi swoimi niebieskimi oczami i powiedziała, żebym przestał ją pouczać, a zamiast tego zajął się szukaniem jej brata. Jej głos brzmiał wyniosłe, ale na twarzy zrobiła się biała jak prześcieradło. – Clive pochylił się nad stołem. – Zauważyłem, że ludzie, którzy wiedzą na temat przestępstwa więcej, niż powinni, zachowują się na dwa sposoby: albo siedzą cicho jak mysz pod miotłą i próbują być niewidzialni, albo ciągnie ich do miejsca, gdzie toczy się śledztwo, niczym ćmy do płomienia świecy.

Sadie zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Muszę się dostać do tego domu.

– Oboje musimy się tam dostać. Nie myśl, że puszczę cię tam samą.

– Napiszę do niej jeszcze raz.

– Tak.

Clive sprawiał wrażenie, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

– O co chodzi? – spytała.

Rozprostował poły wełnianej kamizelki, starannie unikając jej wzroku.

– Oczywiście, najlepiej byłoby mieć pozwolenie właścicielki...

– Tak – zgodziła się Sadie.

– ...ale jest też inna możliwość. Właścicielka płaci jednemu z okolicznych mieszkańców, żeby miał oko na dom. Ma pilnować, aby nie panoszyli się tam zanadto wandalę i dzika roślinność.

– Nie za bardzo przykłada się do roboty.

– Może i nie, ale ten człowiek ma klucze.

– Aha.

– Mogę cię z nim skontaktować, jeśli chcesz.

Sadie wzięła głęboki oddech. No, pewnie, bardzo chętnie skorzystałaby z tej propozycji, ale za kilka dni miała wrócić do Londynu i jeśli zależało jej na tym, żeby Donald się za nią wstawił, nie mogła sobie pozwolić na fałszywy krok.

– Spróbuję jeszcze raz – powiedziała w końcu. – Może jednak uda mi się zdobyć pozwolenie Alice Edevane.

– A jeśli nie...

– Jeśli nie, to wiem, gdzie cię szukać.

Kiedy Sadie wróciła do domu, na stole leżała wiadomość od Bertiego, że wyszedł w sprawie festynu, a obok niej rozpakowany prezent – makatka z pomarańczowym napisem, wyhaftowanym niezbyt wprawną ręką: *Niechaj twoja przeszłość będzie przyjemnym wspomnieniem, przyszłość zachwytem i tajemnicą, a teraźniejszość cudowną chwilą, która napelni twe życie głębokim zadowoleniem.* Dołączony liścik informowała Sadie, że jest to celtyckie błogosławieństwo, „z miłością” wyhaftowane dla Bertiego przez Louise. Sadie zmarszczyła nos i włożyła plasterek sera między dwie kromki chleba. Myśl sama w sobie była bardzo miła, lecz Sadie wyobraziła sobie, co by na ten temat powiedziała Ruth. Babcia nie znosiła takiego płytkiego sentymentalizmu. Bertie jak dotąd również.

Sadie wzięła kanapkę, poszła na górę do swojego pokoju i usiadła przy oknie z notesem na kolanach. Clive nie chciał, aby zabrała ze sobą akta Edevane’ów, lecz pozwolił jej usiąść sobie przy stole i zrobić notatki. Oczywiście skwapliwie skorzystała z propozycji i szaleńczo bazgrała w swoim notesie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do domu weszła korpulentna kobieta z kaskadą podbródków na szyi.

– Sadie... – w głosie Clive’a słychać było nutę paniki, kiedy wprowadzał gościa do holu – to moja córka, Bess. Bess, to jest Sadie, moja...

– Partnerka brydżowa.

Sadie szybko podniosła się od stołu, żeby uporządkować i ukryć akta, po czym z wyciągniętą ręką wyszła kobiecie na spotkanie.

Wymieniły zdawkowe powitanie, Bess wyraziła zadowolenie, że ojciec znalazł sobie wreszcie jakieś przyzwoite hobby, po czym Sadie pożegnała się grzecznie, mówiąc, że musi już iść, i obiecując, że wpadnie w weekend „na następną partyjkę”.

I naprawdę zamierzała to zrobić. Zdażyła zaledwie prześlizgnąć się po powierzchni całej zawartości teczki z aktami, zawierającymi setki dokumentów, a wobec ograniczonego czasu skupiła się na skonstruowaniu sobie grafiku śledztwa.

Dwa dni po oficjalnym uznaniu Thea Edevane’a za zaginionego policja rozpoczęła największe poszukiwania w historii Kornwalii. Setki okolicznych mieszkańców zjawiały się o świcie, gotowe do pomocy, a dołączyła do nich również grupa mężczyzn, która służyła w batalionie z Anthonym Edevane’em w czasie pierwszej wojny światowej. Przeczesano wybrzeże, łąki i lasy. Policja pukała do każdych drzwi, które mógł mijać porywacz z dzieckiem.

W całym hrabstwie rozwieszono plakaty ze zdjęciem Thea, a rodzice chłopca wystosowali apel za pośrednictwem gazet. Zniknięcie dziecka stało się na długi czas stałym tematem wiadomości w całym kraju, poruszało powszechną wyobraźnię, a policja przeżyła prawdziwy zalew informacji, w dużym stopniu anonimowych. Sprawdzono każdy trop, nawet jeśli wydawał się zwariowany lub nieprawdopodobny. Dwudziestego szóstego czerwca policja odkryła zwłoki Daffyda Lewellyna, lecz tak, jak powiedział Clive, mimo początkowych podejrzeń nie znaleziono żadnego dowodu potwierdzającego związek między samobójstwem pisarza a zaginionym dzieckiem.

Śledztwo trwało przez cały następny miesiąc. Ósmego lipca sprowadzono dodatkowe siły z londyńskiego Scotland Yardu, aby wesprzeć miejscowe władze. Sadie mogła sobie tylko wyobrażać, jak to zostało przyjęte. Razem z nimi zjawił się słynny były inspektor Keith Tyrell, zatrudniany przez londyńską gazetę w funkcji prywatnego detektywa. Wyjechał po tygodniu z pustymi rękami, londyńscy

policjanci wrócili do domu niedługo później. W miarę jak zbliżał się koniec jesieni, poszukiwania stopniowo zawężono, ponieważ nie dało się ich kontynuować w nieskończoność bez żadnych efektów. Pomimo trzech miesięcy skrupulatnego śledztwa nie znaleziono żadnych nowych poszlak ani świadków.

Przez kolejne lata do policji docierały co jakiś czas sporadyczne zgłoszenia i informacje, wszystkie starannie sprawdzano, lecz żadna nie doprowadziła do niczego konkretnego. W 1936 roku do miejscowej gazety przyszedł list, którego autor podawał się za porywacza Thea, lecz i to okazało się fałszywym tropem; w roku 1938 jasnowidz z Nottingham ogłosił, że ciało chłopca zostało zakopane pod betonowymi fundamentami szopy w pobliskim gospodarstwie, jednak poszukiwania niczego nie wykazały; a w 1939 wezwano policję do domu starców w Brighton, aby przesłuchać na nowo Constance deShiel, ponieważ jej nowa pielęgniarka zaczęła się niepokoić nieustannymi, płaczliwymi oskarżeniami, że jej ukochany chłopiec został zamordowany przez przyjaciela rodziny. Pielęgniarka, która pochodziła z Kornwalii i znała sprawę Edevane'ów, skojarzyła te dwa fakty i powiadomiła policję.

– Wpada prawie w histerię – powiedziała policjantom. – Rozpacza nad stratą dziecka, nie przestaje opowiadać o tabletkach nasennych, które mu podano, żeby nie płakało.

Choć początkowo trop wydawał się obiecujący, szczególnie w świetle faktu, że w Domu nad Jeziorem tej nocy naprawdę zginęła buteleczka ze środkami nasennymi, to w efekcie donikąd nie doprowadził. Constance deShiel nie potrafiła dostarczyć policji żadnych nowych konkretnych informacji, a w trakcie przesłuchania zaczynała nieskładnie bredzić o swojej córce Eleanor i martwym noworodku. Kiedy z wakacji wrócił wieloletni lekarz staruszki i przepytano go w tej sprawie, potwierdził, że kobieta cierpi na zaawansowaną demencję i opowieści o popełnionym morderstwie są jednym ze stałych tematów, do których często powraca jej pomieszany umysł. Równie dobrze może opowiedzieć policji swoją kolejną ulubioną historię – o wizycie na dworze królewskim, do której nigdy nie doszło. Tak więc sytuacja wróciła do punktu z czerwca 1933 roku. Sadie cisnęła notes w kąt parapetu. Donikąd.



Po południu poszła biegać. Było ciepło i sucho, lecz powietrze nabrzmiało zapowiadającym się deszczem. Pobiegła przez las. Rytmiczne kroki pozwalały uciszyć zgiełkliwe myśli. Po wnikliwym („obsesyjnym”, powiedziałyby Donald) wczytywaniu się w notatki z akt sprawy jej umysł przegrzewał się z wysiłku.

Kiedy dotarła na skraj lasu pod Loeanneth, słońce stało nisko, a zieleń traw ciemniała, pomału zamieniając się w granat. Psy nauczyły się, że spacer trwa dalej, aż do Domu nad Jeziorem, i Ash zaszczekał niepewnie, kiedy Sadie się zatrzymała. Bardziej powściągliwy Ramsay kręcił się kilka metrów dalej.

– Dzisiaj już dalej nie pobiegniemy, chłopcy – powiedziała. – Zrobiło się za późno. Nie chcę utknąć w lesie po zmroku.

Zobaczyła leżący w pobliżu gładki patyk i rzuciła im go w ramach zadośćuczynienia. Wystrzeliły jak pociski, podskakując i potykając się. Uśmiechnęła się, widząc, jak walczą o łup, potem jednak jej wzrok powędrował w stronę dalekiej kępy cisów. Zmierzchało, ukryte świerszcze rozpoczęły na skraju lasu swą wieczorną pieśń, a nad sękatym, ciemniejącym młodniakiem unosiły się setki maleńkich szpaków. Niżej, ukryty w gąszczu zieleni, Dom nad Jeziorem przygotowywał się na kolejną noc. Sadie wyobraziła sobie ostatnie promienie słońca połyskujące w oknach, chłodną, granatową taflę jeziora od frontu, samotne skosy dachów.

Żdźbła trawy łaskotały ją w nogi i Sadie z roztargnieniem wyciągała jedno po drugim. Ta dziwnie przyjemna czynność przywiodła jej na myśl artykułik w jednej z gazetek, które pisały młode córki Edevane'ów – instrukcję: jak upleść łódkę z trawy. Sadie postanowiła spróbować, wzięła dwa żdźbła

i zaczęła je splatać w coś w rodzaju warkocza, lecz miała niezgrabne palce i szkolna zabawa wydawała się im obca. Wiele lat upłynęło od czasu, gdy oddawała się takim fanaberiom. Odrzuciła źdźbła na bok.

Nagle przyszło jej do głowy, że jedna z bohaterek w powieści A.C. Edevane wspominała kiedyś okres dzieciństwa, gdy latem robiła łądki z plecionej trawy. Naturalnie trudno to było uznać za wielki zbieg okoliczności. To oczywiste, że autor przeszukuje własne doświadczenia, by wyposażyć swoje postaci w refleksje i wspomnienia. To właśnie miał na myśli Clive, mówiąc o czytaniu między wersami powieści w poszukiwaniu tropów, które mogłyby rzucić światło na zniknięcie Thea Edevane'a. Nie powiedział, że coś odkrył, przyznał się nawet do tego z cierpkim, samokrytycznym uśmiechem, jakby zapraszał Sadie, aby się śmiała razem z nim z tych desperackich poszukiwań. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, nie tyle nad książkami A.C. Edevane, ile nad tym, czy Alice mogła wiedzieć coś ważnego, co przez lata trzymała w tajemnicy.

Zobaczyła następny duży patyk, podniosła go i zaczęła nim nerwowo grzebać w ziemi. Czy to dlatego Alice nie odpowiadała na listy? Czy miała coś na sumieniu? Clive się nie mylił – winnych można podzielić na dwie grupy: tych, którzy kręcą się nieustannie pod nogami, usiłując „pomóc” policjantom w dochodzeniu, oraz takich, którzy unikają ich jak ognia. Może to Alice powiedziała Rose Waters o tunelu, może nawet w wigilię świętego Jana widziała nianię w majątku?

Z całej siły dźgnęła patykiem w ziemię. Gdy tylko o tym pomyślała, wiedziała od razu, że to za mało. Nawet jeśli Alice powiedziała niani o tunelu, to nie mógł być jeszcze wystarczający grzech, aby kłamać, gdy zaginęło dziecko... chyba że istniał inny powód, dla którego winna jej była milczenie. Sadie potrząsnęła głową, zniecierpliwiona i poirytowana. Wiedziała, że za bardzo się stara, że próbuje interpretować fakty na siłę. Dlatego właśnie musiała biec dalej, nie dopuścić do głosu tego nawyku wymyślania kolejnych hipotez.

Ash wygrał zabawę w przeciąganie patyka, przybiegł do Sadie i rzucił go na ziemię koło jej stóp, dumnie merdając ogonem. Przez chwilę dyszał wyczekująco, a kiedy to nie pomogło, trącił swoją zdobycz nosem.

– Och, dobrze już, dobrze. – Potar mosiła go po uszach. – Jeszcze tylko raz, a potem wracamy.

Rzuciła patyk i patrzyła, jak psy pędzą, poszczekując radośnie.

Prawda była taka, że po wyjściu od Clive'a zapał Sadie dla hipotezy o roli, jaką odegrała Rose Waters, nieco ostygł. Z którejkolwiek strony na nią spojrzeła, porwanie dziecka wydawało się zbyt skrajną reakcją kobiety, skądinąd zdrowej na umyśle. A według wszystkich zeznań – było ich w aktach kilka – Rose Waters była zdrowa na umyśle. Określano ją również jako „kompetentną”, „atrakcyjną” i „energiczną”, dostała też nienaganne referencje. W ciągu dziesięciu lat pracy u Edevane'ów tylko raz wyjechała na miesięczny urlop, i to jedynie dlatego, że wezwały ją „obowiązki rodzinne”.

Nawet jeśli zwolniono ją niesłusznie i nawet jeśli pragnęła zemsty na pracodawcach, krzywda i żal wydawały się niewspółmierne do przestępstwa. Do tego dochodziły ogromne trudności w zorganizowaniu porwania. Czy to możliwe, żeby taki czyn popełniła jedna kobieta? A jeśli nie, to kto był jej współnikiem? Daffyd Llewellyn? W jaki sposób nakłoniłaby go do pomocy w osobistej zemście? Nie, pomyślała Sadie, chwytam się absurdalnych pomysłów i szukam powiązań tam, gdzie ich nie ma. Nawet motyw wydawał się teraz wątpliwy. Nie wystosowano żadnych żądań okupu, co raczej wykluczało hipotezę, że Rose pragnęła finansowej rekompensaty.

Powietrze skurczyło się od dalekiego grzmotu i Sadie rzuciła okiem w kierunku horyzontu. Zachodzące słońce oświetlało pas ciężkich chmur wiszących nad morzem. Nadciągał deszcz. Zawołała psy i odwróciła się do powrotu, ale rozwiązał jej się but, więc oparła stopę na kamieniu, żeby poprawić sznurowadło. Bez względu na to, kto był sprawcą i jakie były jego motywy, nadal pozostawało otwarte pytanie, co się stało z Theo Edevane'em. Jeśli przeżył, ktoś go musiał wywieźć. Niełatwo porwać dziecko, a następnie osadzić je w nowym środowisku bez ściągania uwagi. Ktoś musiałby to zauważyć. Musiałby powstać jakieś podejrzenia, zwłaszcza w sprawie, która wywołała takie zainteresowanie

w prasie. Przez siedemdziesiąt lat do policji nie trafił żaden prawdziwy trop, co oznaczało, że chłopca bardzo dobrze ukryto, zaś najlepszym miejscem, gdzie można ukryć dziecko, jest miejsce dobrze widoczne – zmyślony scenariusz, tak wiarygodny, że nikomu nie przyszłoby do głowy go kwestionować.

Sadie poprawiała drugie sznurowadło, kiedy coś przyciągnęło jej wzrok. Napis na kamieniu. Czas zatarł litery, które pokryły się cienką pstrokacizną mchu, lecz bez trudu przeczytała wyryte słowo, na które trafiała przez dwa tygodnie w różnych postaciach: ALICE. Ten napis nieco się jednak różnił od pozostałych. Pod spodem widniały bowiem następne wyrazy. Przykłęka i odgarnęła trawę, gdy tymczasem na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. To było drugie imię. Sadie się uśmiechnęła. Wyryty napis głosił: ALICE + BEN. NA ZAWSZE.



Wróciła do domu zmarznięta, przemoczona i głodna. Dziadka nie było. Znalazła suchy ręcznik do wytarcia Asha i Ramsaya, po czym podgrzała sobie resztkę gulaszu (soczewicy z miłością). Zjadła przy stole pochylona nad notatkami, podczas gdy na dworze deszcz bębnił o dach, a psy chrapały zadowolone obok jej nóg. Kiedy opróżniła drugą miseczkę, napisała trzeci list do Alice Edevane, prosząc o pozwolenie na wejście do domu. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie spytać wprost o ukryty tunel prowadzący z pokoju dziecinnego na drugim piętrze, ale zrezygnowała. Nie wspomniała również o Rose Waters. Napisała tylko, że ma pewną hipotezę, którą chciałaby sprawdzić, i byłaby bardzo zobowiązana, gdyby Alice się z nią skontaktowała. Spóźniła się na sobotni odbiór poczty, więc wzięła parasol i wyszła w ciemność, aby wysłać list na pocztę. Jak dobrze pójdzie, Alice dostanie go we wtorek, a przez ten czas Sadie musi się zadowolić myślą, że jest w drodze.

W miasteczku skorzystała z okazji, że jej telefon złapał jedną mrugającą kreseczkę zasięgu, i przykucnęła pod markizą sklepu spożywczego, aby sprawdzić wiadomości. W dalszym ciągu nie przyszło nic od Donalda, lecz postanowiła nie odczytać jego milczenia jako reprimendy, a raczej jako milczącą zgodę na to, że w przyszłym tygodniu skontaktuje się z nim w Londynie i wróci do pracy tak, jak sugerowała.

Zanim ruszyła w drogę powrotną, zadzwoniła do Clive'a, aby go spytać o rozmowę z Constance deShiel w domu starców w 1939 roku. Coś w sprawozdaniu z tego wydarzenia migzło niewyraźnie na tablicy rozdzielczej jej umysłu, ale nie mogła tego sprecyzować. Staruszek ucieszył się, kiedy usłyszał jej głos, lecz kiedy zadała pytanie, jego zapał ostygł.

– Ach, o to ci chodzi – mruknął. – To był ślepy zaułek. Jej stan bardzo się pogorszył. Okropne, co się wtedy z człowiekiem dzieje... całymi dniami bredzi i majaczy o przeszłości, wszystko mu się miesza i gorączkuje się bez powodu. Nie, jestem pewien, że klucz do tajemnicy trzyma w ręku Alice Edevane. To z nią musimy porozmawiać.

Gdy minęła zakręt wąskiej drogi nad urwiskiem, w Domu z Widokiem na Morze paliły się światła. Bertie parzył w kuchni herbatę i kiedy Sadie usiadła przy stole, zdjął z suszarki drugą filiżankę.

– Cześć, skarbie – powiedział. – Miałaś dzisiaj pracowity dzień.

– Mogę to samo powiedzieć o tobie.

– Dwanaście pudełek z zabawkami zapakowane i czeka na sprzedaż.

– Musisz być głodny, nie jadłeś obiadu.

– Przekąsiłem coś poza domem.

Pewnie z Louise, pomyślała. Dziadek jednak niczego więcej nie wyjaśnił, a Sadie nie chciała być wścibska ani niegrzeczna, więc oparła się pokusie dalszego wypytywania. Uśmiechnęła się przelotnie, kiedy podał jej parującą filiżankę, a potem usiadł naprzeciwko.

Zauważyła, że haftowany podarunek od Louise wisi na ścianie koło drzwi.

– Chyba przegapiłam twoje urodziny.

Podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się.

– To był upominek bez okazji.

– Miłe.

– Louise jest rzeczywiście miła.

– I ładne życzenia. Może niezbyt wyrafinowane...

– Sadie...

– Wiem, gdzie Ruth by go powiesiła. Pamiętasz te złote myśli w ramce, które wisały na drzwiach w toalecie?

Roześmiała się głucho, bo zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to płytko.

– Sadie...

– Mawiała, że jeśli człowiek w całym tym zgiełku i pośpiechu nie może spokojnie posiedzieć w WC, to dla ludzkości nie ma już nadziei.

Bertie wyciągnął rękę przez stół i wziął ją za rękę.

– Sadie, kochana dziewczyno.

Przygryzła dolną wargę. Z niewyjaśnionych powodów jego słowa sprawiły, że szloch ścisnął ją nagle za gardło. I zezłościł.

– Jesteś dla mnie jak córka. Nawet bliższa. To dziwne, a jednak niewiele łączyło mnie z twoją mamą. Nawet jako mała dziewczynka tak bardzo się bała tego, co myślą ludzie, tak bardzo zamartwiała się, że nie robimy różnych rzeczy „jak należy”, że Ruth albo ja przyniesiemy jej wstyd, jeśli nie ubierzemy się odpowiednio albo nie będziemy się zachowywać jak inni rodzice. – Uśmiechnął się łagodnie i potarł siwą szczecinę, którą nosił od przyjazdu do Kornwalii. – My dwoje jesteśmy dużo bardziej do siebie podobni. Traktuję cię jak córkę i wiem, że ty uważasz mnie trochę za ojca. Ale, Sadie, kochanie, jestem tylko zwykłym człowiekiem.

– Zmieniłeś się tutaj, dziadku.

Nie wiedziała, że zamierza to powiedzieć. Nie wiedziała nawet, że tak myśli. Mówiła jak dziecko.

– Mam nadzieję, że się zmieniłem. Taki miałem zamiar. Próbuję żyć dalej.

– Zrobiłeś nawet prawo jazdy.

– Mieszkam na wsi! Trudno mi raczej liczyć na metro.

– Ale całe to gadanie Louise o magii i o tym, że wszechświat za nas decyduje, i ta makatka... To zupełnie nie w twoim stylu.

– Kiedyś było. W czasach wczesnej młodości. Zapomniałem...

– To na pewno nie jest podobne do Ruth.

– Ruth umarła, skarbie.

– I od nas zależy, czy będziemy o niej pamiętać.

– Twoja babcia i ja poznaliśmy się, kiedy miałem dwanaście lat – powiedział nagle dziwnie szorstko. – Nie pamiętam czasów, kiedy jej przy mnie nie było. Jej strata... ta rozpacz mnie strawi, jeśli na to pozwolę. – Dopił herbatę. – Dostałem tę makatkę w upominku.

Znowu się uśmiechnął, lecz ze smutkiem, i Sadie z goryczą pomyślała, że to przez nią. Chciała go przeprosić, ale przecież tak naprawdę się nie pokłócili. Czuła się zbesztana i trochę urażona, a to utrudniało przeprosiny. Cały czas się zastanawiała, co powiedzieć, w końcu jednak Bertie odezwał się pierwszy.

– Nie mogę znaleźć tego najlepszego durszlaka. Muszę pójść na górę, żeby go poszukać.

Przez resztę wieczoru Sadie siedziała po turecku na podłodze w swoim pokoju. Przebrnęła przez pierwsze trzy strony *Fantastycznych wycieczek*, zanim zdała sobie sprawę, że rozdział o Daffydzie Llewellynie jest bardziej interpretacją jego książki, i to w dodatku w znacznym stopniu niejasną, niż biografią autora. Przerzuciła się więc na swoje notatki z akt Clive'a i przeglądała je na przemian z gazetkami sióstr Edevane. Rozmyślała o tym, co z takim przekonaniem powiedział stary policjant – że to Alice dzierży klucz do tajemnicy – a wtedy przypomniała sobie świeżo odkryty napis na kamieniu. Miała mgliste wrażenie, że gdzieś już napotkała imię Ben, i to dzisiaj, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

Deszcz spływał po szybach, przez strop przesączał się słodki zapach dymu z fajki. Sadie popatrzyła na całą masę kartek, zabazgrany notes i książki porozkładane przed nią na podłodze. Wiedziała, że gdzieś w całym tym bałaganie kryją się szczegóły czekające, aż ktoś je ze sobą powiąże. Czowała to przez skórę. Nieważne, że przesłanki przybrały postać papierowej anarchii.

Z głębokim westchnieniem oderwała się od poszukiwań i położyła do łóżka. Otworzyła *Zemstę na zimno* i przez chwilę próbowała czytać, aby oczyścić umysł. Okazało się, że właściciel restauracji został naprawdę zamordowany i wszystko coraz bardziej wskazywało na to, że zabiła go była żona. Minęło dwadzieścia lat od rozwodu; w tym czasie mężczyzna robił karierę i zbijał fortunę, podczas gdy ona poświęciła się opiece nad ich niepełnosprawną córką. Zrezygnowała z własnych ambicji zawodowych i wolności, lecz kochała córkę i taki układ wydawał się zadowolający.

Czara się przelała – Sadie przerzuciła strony coraz szybciej – gdy były mąż rzucił od niechcena, że wyjeżdża na dwutygodniowy urlop do Ameryki Południowej. Przez całe życie kobieta pielęgnowała w sobie marzenie, by zobaczyć Machu Picchu, lecz nie mogła zabrać ze sobą córki i nie mogła jej zostawić. Myśl, że były mąż, który zawsze sprawiał wrażenie zbyt zajętego bardzo ważnymi sprawami, aby pomagać w opiece nad dzieckiem, mógł sobie pozwolić na przeżycie jej wymarzonej przygody, stała się dla niej nie do zniesienia. Długie lata smutku i izolacji, jaką odczuwają wszystkie matki opiekujące się chorym dzieckiem, tłumiąc osobiste pragnienia i potrzeby, poruszyły w końcu lawinę i doprowadziły łagodną skądinąd kobietę to wniosku, że nie ścierpi, jeśli jej były mąż wyjedzie w tę podróż.

Zaskoczona, zadowolona i dziwnie ożywiona Sadie zgasiła światło i zamknęła oczy, nasłuchując burzy i niespokojnego morza. Psy chrapały w nogach łóżka. A.C. Edevane miała interesujące poglądy na moralność. Jej detektyw odkrył prawdę kryjącą się za pozornie naturalną śmiercią ofiary, ale postanowił nie ujawniać jej policji. Jako prywatny detektyw, rozumował, ma obowiązek wyjaśnić, dokąd prowadzi trop pieniędzy. I zrobił to. Nikt go nie prosił, aby odkrył przyczyny śmierci restauratora, które nie wzbudziły nawet niczyich podejrzeń. Była żona przez długi czas dźwigała na barkach ogromne brzemie w zamian za bardzo mizerną rekompensatę; gdyby ją aresztowano, jej niepełnosprawna córka znalazłaby się w opłakanej sytuacji. Diggory zdecydował, że nie pisnie nikomu ani słowa i pozwoli, by sprawiedliwość sama o siebie zadbała.

Sadie przypomniała sobie, jak Clive opowiedział jej o młodej Alice Edevane, przekradającej się obok drzwi biblioteki w trakcie trwania śledztwa, i o swoim odczuciu, że wiedziała więcej, niż mówiła, a także jego nieco desperackie przeczucie, że któraś z książek może zawierać trop prowadzący do prawdziwej zbrodni. *Zemsta na zimno* może nie odzwierciedla wydarzeń związanych ze zniknięciem Thea Edevane'a, lecz z pewnością świadczyła o tym, że Alice miała dość niekonwencjonalne poglądy na kwestie sprawiedliwości. Powieść naświetlała skomplikowane relacje między rodzicami i dziećmi, ukazywała je zarówno jako ciężar, jak i przywilej, nierozzerwalną więź na dobre i na złe. Najwyraźniej Alice nie patrzyła życzliwie na ludzi, którzy uchylają się od obowiązków.

Sadie próbowała zasnąć, ale nawet w normalnych okolicznościach nie należała do śpiochów, a teraz nie mogła się opędzić od myśli o Rose Waters. Wszystko przez to, że ta stara historia wiązała się tak mocno ze sprawami rodzicielstwa i opieki. Miłość, jaką niania okazywała Theo, „jak własnemu dziecku”, jej nienaganne referencje i nagłe „niesprawiedliwe” zwolnienie, które ją zdruzgotało; naoczny świadek przysięgający, że widział po północy sylwetkę smukłej kobiety chodzącej po pokoju

dziecięcym... Prychnęła i przewróciła się na drugi bok. Próbowwała pozbyć się natrętnych myśli, ale, jakby na przekór, przed oczami stało jej zdjęcie Edevane'ów na rodzinnym pikniku. W środku mąż i żona, przed nimi ukochany syn i ta smukła kostka z resztą ciała ukrytą w cieniu. Usłyszała głos Clive'a mówiącego, jak bardzo Edevane'owie pragnęli mieć chłopca, jak długo na niego czekali, i przypomniała jej się rozmowa z Constance deShiel, która „bredziła ciągle o Eleanor i martwym noworodku”. Może jednak nie był to produkt jej otumanionej wyobraźni? Może Eleanor po urodzeniu córek była jeszcze raz w ciąży, zanim przyszedł na świat Theo? „Edevane'owie nie kryli, że bardzo chcą mieć syna”, powiedział jeden z przesłuchiwanym świadków. Zanotowała sobie jego słowa z dokumentacji Clive'a. „To było takie błogosławieństwo, kiedy ten chłopiec się urodził. Takie niespodziewane”.

Otworzyła w ciemności oczy. Coś innego gwałtownie domagało się jej uwagi.

Włączyła światło, wychyliła się z łóżka i zaczęła przerzucać papiery na podłodze. W końcu znalazła to, czego szukała – jedną z gazetek wydrukowanych przez siostry Edevane na domowej prasie. Była pewna, że gdzieś czytała coś na temat niani Rose.

Znalazła.

Wzięła poźółkłe kartki na łóżko. Alice opisywała w swoim artykule karę, jaką dostała Clementine za nazwanie niani Rose grubą. Sadie sprawdziła datę, dokonała w umyśle szybkiej kalkulacji i wyskoczyła z łóżka po notes. Przerzucała strony, aż znalazła miejsce, gdzie streściła z grubsza dokumentację zatrudnienia Rose Waters, a szczególnie termin jej miesięcznej nieobecności w Loeanneth w lipcu 1932 roku, kiedy wezwały ją „obowiązki rodzinne”. Daty się zgadzały.

Sadie wyjrzała przez okno – skały oświetlone blaskiem księżyca, burzliwe atramentowe morze, błyskawice na horyzoncie. Próbowwała uporządkować myśli. Clive zastanawiał się, po co rodzice mieliby porywać własne dziecko. Miał na myśli oczywiście Eleanor i Anthony'ego Edevane'ów i było to pytanie retoryczne – rodzice naturalnie nie muszą porywać własnych dzieci, ponieważ już je mają.

A jeśli tak nie jest?

Zapiekły ją policzki. W jej głowie powstawał właśnie nowy scenariusz. Już widziała powód, dla którego rodzic mógłby porwać własne dziecko.

Szczegóły zaczęły się układać w całość, zupełnie jakby czekały, aż ktoś je wpasuje w odpowiednie miejsce. Służąca w kłopotcie... mały chłopiec potrzebujący rodziny... pani domu, która nie może mieć własnego syna...

To było rozwiązanie, które zadowalało wszystkich zainteresowanych. Dopóki nagle nie przestało.

Londyn, 2003

Wiadomość była krótka, nawet jak na zwyczaje Alice. Wyszła, wróci później. Peter rozmyślał nad świstkiem papieru – nie mógł się zmusić, aby go nazwać listem – i zastanawiał się, co to oznacza. Jego pracodawczyni dziwnie się ostatnio zachowywała. Zrobiła się jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle i wyjątkowo roztargniona. Podejrzewał, że nowa książka nie idzie jej najlepiej, lecz tym razem impas twórczy był raczej symptomem, a nie przyczyną kłopotów.

Miał przecucie, że zna tę przyczynę. Krew odpłynęła jej z twarzy, kiedy przekazał telefoniczną wiadomość od Deborah, a delikatne drżenie w głosie przypomniało mu wcześniejszą sytuację, gdy przyszedł list od jakiejś policjantki z pytaniem o dawne nierozwiązane śledztwo. Obie sprawy miały ze sobą jakiś związek, Peter był tego pewien. Co więcej, przypuszczał, że łączą się z jakimś prawdziwym przestępstwem, do którego doszło w rodzinie Alice. Wiedział już o tym chłopcu, o Theo. Alice starała się ukryć wstrząs, kiedy przyszedł list, lecz Peter zauważył, jak zaczęły jej drżeć dłonie, choć próbowała je ukryć pod stołem. To podsycało jego ciekawość, zwłaszcza kiedy sobie uświadomił, że początkowo wyparła się treści listu. Jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedział w domu przed komputerem, prawie nieświadomie wpisał w wyszukiwarce „Edevane i zaginione dziecko”. W ten sposób dowiedział się, że w 1933 roku zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach malutki braciszek Alice i nigdy go nie odnaleziono.

Nie miał natomiast pojęcia, dlaczego, do stu diabłów, jego pracodawczyni skłamała i czemu ta historia tak ją rozstroiła. Pewnego ranka przyszedł do pracy i zastał ją nieprzytomną w fotelu. Serce podeszło mu do gardła i przez chwilę obawiał się najgorszego. Już się prawie przymierzał do jakiejś nieporadnej akcji ratunkowej, gdy nagle chrapnęła nierówno, i dopiero wtedy zrozumiał, że śpi. Alice Edevane nigdy nie uciniała sobie drzemek. Peter mniej by się zdziwił, gdyby otworzywszy drzwi, ujrzał ją w jedwabnym stroju wyszywanym monetami, wykonującą zmysłowy taniec brzucha. Nagle ocknęła się przestraszona, więc wrócił do holu, tak by oboje mogli udawać, że niczego nie widział. Hałaśliwie i ostentacyjnie zdjął buty i na dokładkę potrząsnął wieszakiem na ubrania. Dopiero wtedy wszedł ponownie do pokoju, gdzie zastał ją z czerwonym długopisem w dłoni, czytającą zarys rozdziału. A teraz ta informacja na świstku papieru. W ciągu trzech lat, kiedy dla niej pracował, ani razu nie zburzyła ustalonego rytmu pracy.

Jej niespodziewane wyjście było niepokojące, lecz stworzyło mu przynajmniej okazję do skończenia strony internetowej z najczęściej zadawanymi pytaniami. Znów bowiem dobijali się wydawcy i w miarę jak zbliżał się termin publikacji, stawali się coraz bardziej niecierpliwi. Obiecał skończyć ostateczną wersję do końca tygodnia. Pozostało tylko wyjaśnić, czy Alice napisała jakąś książkę przed *W mgnieniu oka*. Artykuł z „Yorkshire Post” z 1956 roku, skąd zamierzał zaczerpnąć odpowiedź, cytował jej deklarację, że całą pierwszą powieść kryminalną napisała w notatniku, który otrzymała na piętnaste urodziny, i Peter sądził, że potwierdzenie tego faktu nie nastreczy mu trudności. Alice miała prawdziwego bzika na punkcie swoich notesów; nigdy nie ruszała się bez nich z domu, a wszystkie poprzednie trzymała na półkach w swoim gabinecie. Pozostawało tylko to sprawdzić.

Kiedy szedł po schodach na górę, zorientował się, że gwizdże ze zdenerwowania, i przestał. Nie musi aż tak ostentacyjnie manifestować swojej niewinności. Tylko ludzie, którzy mają nieczyste sumienie, tak się zachowują, a w tym, co zamierzał zrobić, nie było nic zdrożnego. Nie miał zakazu wstępu do

gabinetu Alice, w każdym razie nigdy niczego takiego nie usłyszał. Bardzo rzadko tam wchodził, bo nie miał potrzeby. Okazje do tego nadarzały się sporadycznie. Spotykali się i rozmawiali najczęściej w bibliotece, a on pracował przy dużym kuchennym stole albo czasami w pokoju gościnnym, w którym od wielu lat Alice przechowywała akta i dokumenty.

Był gorący dzień i przez wąskie okno nad schodami sączyły się promienie słońca. Ciepłe powietrze unosiło się i gromadziło na korytarzu pierwszego piętra, skąd nie miało jak uciec, więc Peter z ulgą otworzył drzwi do chłodnej, ciemnej pracowni, po czym wślizgnął się do środka.

Tak jak się spodziewał, na półce pod egzemplarzami wszystkich obcojęzycznych wydań jej książek znalazł notatniki. Pierwszy był cienki i mały, oprawiony w brązową skórę, która wraz z upływem czasu zmiękła i spłowiała. Otworzył go i na poźółkłej stronie tytułowej zobaczył napis wykonany starannym pismem sumiennego dziecka. *Alice Cecilia Edevane, lat 8*. Uśmiechnął się. Te kilka odręcznie napisanych słów ukazywało Alice, jaką znał: pewną siebie, onieśmielającą, niestrudzoną na raz wytyczonej drodze, pracowitą dziewczynkę, przed którą otwierało się życie. Odłożył notatnik i odliczył kilka następnych w rzędzie. Według jego kalkulacji, ten, którego szukał, Alice dostała w 1932 roku i używała przez kolejnych dwanaście miesięcy. Zatrzymał się i zdjął z półki znacznie większy brulion niż poprzedni.

Od razu się zorientował, że czegoś brakuje. Notes był zdecydowanie za lekki jak na swoją wielkość i kiedy go ścisnął, okazał się zbyt cienki. I rzeczywiście, po otwarciu przekonał się, że połowa kartek znikła, została po nich tylko gruba, nierówna koronka oddartego papieru. Upewnił się, że był to rocznik 1932–33, i w zadumie przebiegł palcami po wystrzępionych brzegach. Samo w sobie o niczym to nie świadczyło. Mnóstwo dziewcząt wydiera kartki ze swoich dzienników. Tylko że to nie był zwyczajny dziennik. A wydarto znacznie więcej niż kilka stron, brakowało ponad połowy zeszytu. Wystarczająco jak na szkic powieści? To zależało od jej długości.

Peter przejrzał ocalałe stronicę. Znalezisko było tak niezwykle, że poczuł się nieswojo, prawie jak złodziej. Upomniał się, że wykonuje tylko swoje obowiązki, że właśnie za to mu Alice płaci. „Nie chcę mieć z tym nic wspólnego”, oświadczyła, kiedy kazała mu zająć się stroną internetową. Znajdę odpowiedź, powiedział sobie, a potem odłożę go na miejsce i sprawa będzie zamknięta.

Wcześniejsze strony wyglądały obiecująco. Na pierwszy rzut oka zawierały obserwacje członków rodziny (uśmiechnął się, rozpoznawszy opis babci – *...szkielet w zetlałych na proch bogatych szatach*² – cytata z *Wielkich nadziei*) i pomysły na powieść o jakiejś Laurze i lordzie Hallingtonie, wplątanych w niesłychanie skomplikowany romans. Natknął się również na częste wzmianki o kimś, kogo nazywała „panem Llewellynem”. Peter domyślił się, że chodziło o pewnego pisarza, o którym Alice wspomniała w wywiadzie i który odegrał rolę jej mentora, kiedy była młodą dziewczyną.

Potem jednak intryga nagle się urywała, a zamiast niej widniał spis numeryczny: *Zasady pana Ronalda Knoxa, sporządzone na podstawie jego książki o najlepszych opowieściach kryminalnych*.

Spis zasad, choć, według współczesnych norm, archaiczny i raczej poradnikowy, wprowadził chyba Alice w nową epokę kariery twórczej, ponieważ na dalszych stronicach notatnika nie pojawiały się więcej postaci Laury i lorda Hallingtona (ani, ściśle rzecz ujmując, pana Llewellyna), miejsce dziecięcych interakcji zajęły natomiast bardziej ogólne refleksje na temat życia i miłości, żarliwe i wruszająco idealistyczne w swoim tonie naiwnego optymizmu.

Peter przeleciał wzrokiem wywody nastoletniej Alice na temat celów literatury, jej próby naśladowania natchnionych opisów natury w wierszach romantycznych, które cytowała jako swoje ulubione; jej egzaltowane ambicje na przyszłość: *pożądać mniej dóbr przyziemnych, a posiadać więcej miłości*. Zaczynał się czuć niezręcznie w tej voyeurystycznej roli i już miał zrezygnować z dalszych poszukiwań, kiedy natknął się na coś, na widok czego aż drgnął. W bazgrołach Alice zaczęły się pojawiać inicjały BM. *Według BM... BM twierdzi... Spytał BM...* Być może ktoś inny nie przypominałby sobie imienia i nazwiska, które podyktowała przez telefon Deborah, prosząc, aby je

przekazał Alice, lecz Peter chodził do szkoły z chłopcem, który miał na imię Benjamin i razem rozwozili kiedyś gazety dla miejscowego sklepikarza nazwiskiem Munro, i dzięki tej zbieżności imię i nazwisko, które wymieniła Deborah przez telefon, wryło mu się w pamięć. Benjamin Munro, człowiek, na wzmiankę o którym Alice zrobiła się blada jak prześcieradło.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w dzienniku zaczęły się pojawiać inicjały BM, Alice rozpoczęła pisanie nowej książki. *Wielka tajemnica, lecz tym razem powieść kryminalna z prawdziwego zdarzenia, z wymyślną intrygą, której rozwiązania nikt nie potrafiłby odgadnąć!* Na następnych kilku stronach rozwijała szkic fabuły w postaci strzałek, nabazgranych naprędce pytań, pospiesznie sporządzonych map i wykresów – technik znanych z jej aktualnych notatników – po czym nastąpił wpis z kwietnia 1933 roku: *Jutro z samego rana zabieram się do Żegnaj, pajacyku. Mam już w głowie pierwsze oraz ostatnie zdanie i dość wyraźny pomysł na to, co się ma wydarzyć w środku (częściowo dzięki BM). Nie mam wątpliwości, że tę książkę na pewno ukończę. Już czuję, że różni się od wszystkiego, co do tej pory napisałam.*

Peter nie wiedział, czy rzeczywiście zaczęła pisać *Żegnaj, pajacyku* i czy ją ukończyła. Poniżej widniał manifest twórczy, sformułowany z taką pasją, że pióro wydrapało dziurę w papierze. I na tym koniec. Reszta stronic została wydarta.

Dlaczego Alice usunęła z dziennika zarys swojej powieści? Ona, taka drobiazgową, niemal przesadną na punkcie przechowywania wszystkiego, co przyczyniało się do powstania książki.

„Pisarz nigdy nie niszczy swojej pracy! – powiedziała kiedyś w wywiadzie dla BBC. – Nawet jeśli jej nie znosi. Byłoby to równoznaczne z wyparciem się nieudanego dziecka”.

Peter wstał, przeciągnął się, popatrzył przez okno wychodzące na wrzosowisko. Mogło to nic nie znaczyć. Zwyczajne kartki wydarte z dziennika nastolatki, strony zapisane siedemdziesiąt lat temu. Mimo to niepokój, który wkradł się w jego serce, nie przestawał go potajemnie dręczyć. Alice dziwnie się ostatnio zachowywała: najpierw zaprzeczyła, jakoby dawno temu doszło do jakiegoś przestępstwa, związanego z jej rodziną, potem przeżyła szok, kiedy Peter, po telefonie Deborah, wymienił imię i nazwisko Benjamina Munro. Nawet niepozorne, a mimo to trudne do wyjaśnienia publiczne kłamstwo, że przed swoją pierwszą wydaną powieścią nigdy niczego nie napisała. Coś się działo i Alice wyraźnie się martwiła.

Peter odstawił notatnik na miejsce, starając się nie robić hałasu, jakby w ten sposób mógł unieważnić fakt, że zdjął go z półki i zajrzał do środka. Postanowił po prostu pominąć pytanie o pierwszą książkę Alice i usunąć je ze strony z FAQ. Żałował, że od razu tego nie zrobił, zamiast przychodzić tu i otwierać tę puszkę Pandory.

Może to z nadmiernego pośpiechu, aby opuścić poddasze i zostawić całą sprawę za sobą, potknął się o przewód od lampy. A może po prostu był to jeden z wielu przykładów jego niezdarności. Bez względu na przyczynę, potrącona przez Petera wysoka lampa stojąca zachybotła się i przewróciła na biurko Alice. Przewróciła się również szklanka, na szczęście pusta, i Peter właśnie odstawiał ją z powrotem, kiedy zauważył na biurku kopertę zaadresowaną do Alice i wyjętą z niej złożoną kartkę. W zasadzie nie było w tym nic niezwykłego, w końcu znajdowali się w jej domu, lecz odbieranie i czytanie poczty należało do jego obowiązków, a tego listu nie widział przedtem na oczy, co oznaczało, że został wyjęty z porannej poczty bez jego wiedzy.

Wahał się krótko. Alice była mu bardzo bliska. Może nie łączyło ich nic przypominającego stosunek babci i wnuka, ale troszczył się o nią i w świetle wszystkiego, co się działo, czuł się za nią odpowiedzialny. Otworzył list tylko na tyle, aby się przekonać, kto go napisał. Sadie Sparrow. Natychmiast przypomniał sobie ten, który przyszedł dokładnie tydzień temu, od policjantki prowadzącej śledztwo w sprawie jakiegoś dawnego zaginięcia dziecka. Historia z 1933 roku, tego, kiedy w dzienniku Alice pojawił się BM, a tajemniczy rękopis został najwyraźniej wydarty z notesu. Peter doznał złowieszczonego uczucia, że różne fragmenty układanki wpasowują się we właściwe miejsca,

a jednocześnie nie ma pojęcia, co tak naprawdę ta układanka przedstawia. W zadumie postukał palcami w usta, po czym jeszcze raz popatrzył na leżącą na biurku złożoną kartkę. To było wtykanie nosa w nie swoje sprawy, które nie wchodziły w zakres jego obowiązków. Zobaczył siebie siedzącego na skraju przepaści i zastanawiającego się, czy skoczyć, czy się wycofać. Pokręcił głową, usiadł i zaczął czytać.



Alice postanowiła się przejść przez park. Dobrze jej zrobi świeże powietrze, powiedziała sobie z niemałą dozą zdrowej ironii. Wsiadła z metra na stacji Hyde Park Corner i wyjechała windą na górę. Zrobiło się cieplej niż na początku tygodnia. Powietrze stało, upał gęstniał między asfaltem a budynkami. Linie metra, pełne wijących się, syczących w tunelach węży, wypluwających na każdej stacji tłumy spoconych podróżnych, przypominały piekło Dantego. Szła Rotten Row, skrzętnie odnotowując w myślach różane ogrody i delikatny aromat bzów, zupełnie jakby naprawdę wybrała się na spacer, aby się rozkoszować naturą, a nie odwlec nieprzyjemne zadanie, które ją czekało.

Deborah nalegała na dzisiejsze spotkanie. Kiedy Peter przekazał jej piątkową wiadomość (aż krew jej zmroziło w żyłach, gdy usłyszała w jego ustach imię i nazwisko Benjamin Munro), uznała, że najlepiej zrobi, jeśli wszystkiemu zaprzeczy. Nie muszą się spotykać w ciągu najbliższych miesięcy. Rocznicę śmierci Eleanor minęła, następna rodzinna impreza szykowałą się dopiero na Boże Narodzenie, a do tego czasu sprawa mogła z powodzeniem ucichnąć. Deborah upierała się jednak, wykorzystując ten szczególny, łagodny rodzaj władzy przysługujący zwykle starszej siostrze, potem przez kolejne dziesięciolecia udoskonalany w roli żony polityka.

– Są sprawy, o których musimy porozmawiać.

Cokolwiek wiedziała na temat Thea, przebyła najwyraźniej długą drogę na ścieżce pamięci i dotarła do miejsca, które Alice bardzo niepokoiło. Czego Deborah mogła się domyślać? Pamiętała Bena, lecz czy wiedziała, co zrobiła Alice? Musiała wiedzieć. Z jakiego innego powodu tak by się upierała przy rozmowie o tych dawnych sprawach?

– Pamiętasz nianię Rose? – spytała Deborah, zanim skończyły rozmowę. – Dziwne, że odeszła tak nagle, prawda?

Alice poczuła, jak ze wszystkich stron zbliżają się i zaczynają ją dusić mury, które przez tyle lat utrzymywała na odległość. To niezwykle, że wszystko nagle działo się jednocześnie. (Chociaż, szczerze mówiąc, sama swoim pytaniem w muzeum rozbudziła zainteresowanie Deborah. Czemu nie trzymała buzi na kłódkę?!) Właśnie dzisiaj rano dostała trzeci list od tej policjantki, chłodniejszy od poprzednich, zawierający tylko jedną, za to bardzo niepokojącą, prośbę. Owa pani Sparrow prosiła o zgodę na wejście do domu w celu „sprawdzenia pewnej hipotezy”.

Alice zatrzymała się, bo obok niej zawisła w powietrzu ważka. Szablak żółty – nazwa sama wpadła jej do głowy. Patrzyła, jak owad oddala się w stronę najbliższej rabaty z pięknym gąszczem kwiatów, czerwonych, jaskrawopomarańczowych oraz liliowych. Ogrody naprawdę działają jak balsam na duszę. Między płatkami zataczała się pszczoła i na Alice nagle spłynęło dziwne, wszechogarniające wspomnienie. Ostatnio często jej się zdarzały takie chwile. Poczula, jak by to było wkraść się do tego ogrodu w zwinnym, gibkim ciele, przeslizgiwać się pod chłodnym listowiem, leżeć na plecach i patrzeć, jak niebo przesącza się przez konary jaskrawobłękitnymi brylancikami, a jej uszy wypełnia chór owadziego życia.

Oczywiście tego nie zrobiła. Poszła dalej ścieżką, zostawiając za sobą ogród i dziwne przebliski wspomnień. Mogło chodzić tylko o tunel. Sadie Sparrow musiała się skądś dowiedzieć o drugim tunelu. Alice czekała, aż ogarnie ją panika, lecz zamiast niej poczuła tylko głuchą rezygnację. Prędzej czy później musiało do tego dojść, wiedziała o tym. To był jeden wielki łut szczęścia w całej tej historii – że nikt nie

wspomniał policji o istnieniu tego tunelu. Bo przecież w 1933 roku nie tylko ona o nim wiedziała. Wiedzieli o nim rodzice, jej siostry, babcia deShiel i niania Rose, którą musieli wtajemniczyć tamtej zimy, kiedy Clemmie zatrzasnęła się za jego zdradliwymi zamkami.

Alice zwolniła, doszedłszy do Rotten Row, gdzie ścieżka biegła w bok do mostu na Serpentine. Dalej ciągnęły się zielone tereny parku. Za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, przypominała jej się druga wojna światowa. Wtedy leżały tam worki z piaskiem i ciągnęły się grządki z warzywami – cały teren przeznaczono na cele produkcyjne. Dzisiaj wydawało się to osobliwym powrotem do średniowiecza, tak jakby głodujący, znękany bombardowaniami naród można było nakarmić zbiorami z warzywniaka Jej Królewskiej Mości. W tamtych czasach jednak wydawało się to wyjątkowo rozsądne, więcej – było sprawą życiowej wagi. Ich chłopcy umierali na obcej ziemi, w nocy Niemcy zasypywali Londyn gradem bomb, a U-Booty niszczyły statki z transportami żywności, zanim zdążyły zawinąć do portu, lecz Brytyjczycy nie zamierzali ginąć z głodu. Zamierzali wygrać tę wojnę, grządka po grządce.

Kilka lat temu w Imperial War Museum Alice podsłuchiwała grupkę chłopców z wycieczki klasowej naśmiewających się z plakatu z Ziemniaczanym Pete'em, który z dumą się przechwalał, że ugotował pyszną zupę. Chłopcy wlekli się w tyle i kiedy nauczyciel ich zgromił, wyższy z dwójki wyglądał, jakby się miał za chwilę rozpłakać. Alice poczuła dreszcz złośliwej satysfakcji. Dlaczego tak wiele realiów codziennego życia z czasów wojny wywoływało wrażenie niegroźnych obyczajowych dziwactw, podczas gdy w rzeczywistości były one złowróżbne i śmiertelnie niebezpieczne? Ludzie byli wtedy inni, wykazywali więcej stoickiego spokoju. Mniej się gadało o uczuciach i emocjach. Dzieciom wpajano od małego, że nie powinno się płakać, kiedy się zostało skrzywdzonym, że należy z podniesioną głową przyjmować przegraną, nie przyznawać się do strachu. Nawet niania Rose, która była uosobieniem słodczy, marszczyła czoło, kiedy któraś z jej podopiecznych zapłakała podczas smarowania jodyną otarć i skaleczeń. Dzieci miały z odwagą patrzeć w oczy przeznaczeniu. To były bardzo użyteczne umiejętności, nie tylko na wojnie.

Kiedy wybuchła wojna, wszystkie kobiety Edevane'ów zakasały rękawy. Clemmie wstąpiła do pomocniczych służb powietrznych i uczestniczyła w transportowaniu samolotów dla RAF-u między bazami lotniczymi; Alice jeździła karawanem przerobionym na karetkę pogotowia po zbombardowanych ulicach miasta, Deborah zaś zbierała i kierowała zaangażowanymi ochotniczkami z WVS. Najbardziej jednak zadziwiła wszystkich Eleanor. Deborah i Alice naciskały, aby rodzice wyjechali z miasta, lecz matka zdecydowanie odmówiła.

– Zostaniemy tutaj i zrobimy, co do nas należy – oznajmiła. – Nie ma mowy, żebyśmy się wymigiwali od patriotycznego obowiązku, a wy nie powinniście nawet tego proponować. Jeśli król i królowa mogą zostać w Londynie, to my również. Prawda, kochanie?

Uśmiechnęła się do męża, a on ścisnął jej dłoń na znak poparcia, choć chorował już wtedy na zapalenie opłucnej, które go w końcu zabiło. Potem wstąpiła do Czerwonego Krzyża i jeżdżąc rowerem po East Endzie, udzielała pomocy medycznej matkom i dzieciom, które wskutek bombardowania straciły dach nad głową.

Niekiedy Alice widziała miasto w postaci mapy z pinezkami wpiętymi we wszystkie miejsca, z którymi coś ją łączyło. Pinezki tłoczyły się gęsto jedna na drugiej. To było coś – spędzić większą część życia w jednym miejscu. Zgromadzić niezliczone wspomnienia, które nawarstwiały się w umyśle tak, że pewne lokalizacje zyskiwały indywidualną, odrębną tożsamość. Miejsce było dla Alice tak istotnym czynnikiem w sposobie doświadczania świata, że zastanawiała się niejednokrotnie, w jaki sposób koczownicze plemiona mierzyły upływ czasu. Jak oznaczały i obliczały postęp, skoro nie odnosiły się do czegoś nieruchomego i niezmiennego, czegoś potężniejszego i trwalszego od człowieka? Może w ogóle tego nie robiły. Może dzięki temu były szczęśliwsze.

Jedną z rzeczy, które ją najbardziej intrygowały w Benie, była jego wędrowna natura. Po pierwszej wojnie światowej pozostały niezliczone rzesze bezdomnych – smutnych mężczyzn ściskających

w dłoniach tabliczki z prośbą o pracę lub pieniądze; ich obecność na ulicach Wielkiej Brytanii spowijała kirem całe dziesięciolecie. Alice i jej siostry miały przykazane, by dawać im pieniądze, kiedy tylko miały okazję, i nigdy się nie gapić. Uczono je współczucia. Ben nie przypominał tych bezdomnych żołnierzy. Był pierwszą osobą, jaką poznała, która prowadziła taki tryb życia z wyboru. Przenosił się z jednej pracy do drugiej, a cały swój dobytek mieścił w plecaku.

– Jestem włóczęgą – powiedział z uśmiechem, wruszając ramionami. – Mój tata twierdził, że w żyłach mojej mamy płynęła cygańska krew.

Dla Alice, której babka zawsze miała dużo do powiedzenia na temat Cyganów i przybłędów, którzy pałętali się po lesie w pobliżu Loanneth, ta wizja równała się z klątwą. Dorastała na gruncie niezmiennych tradycji i historii swego rodu – spuścizny po przodkach ojca, opowieściach o ich dokonaniach, o gmachu imperium Edevane'ów; a także rodziny matki i jej korzeni wrosniętych głęboko w ziemię, którą nadal nazywali domem. Nawet słynna historia miłosna Eleanor i Anthony'ego obracała się wokół ocalenia i restytucji Loanneth. Alice zawsze uważała ją za wyjątkowo wzniosłą opowieść i z wdzięcznością przejęła namiętność, jaką matka darzyła Dom nad Jeziorem. Nie wyobrażała sobie, że człowiek może żyć inaczej.

Ben jednak był inny i sprawił, że zaczęła patrzeć na świat innymi oczami. Nie pragnął bogactw ani majątku. Twierdził, że wystarczy mu, jeśli może się przenieść z miejsca na miejsce. Kiedy był dzieckiem, jego rodzice pracowali na wykopaliskach archeologicznych na Dalekim Wschodzie. Tam się nauczył, że dobra doczesne pożądane przez ludzi są skazane na zniszczenie – nawet jeśli nie obrócą się w proch, to spoczną pod jego grubymi warstwami, aby czekać na przyszłe pokolenia ciekawych odkrywców. Jego ojciec wydobył spod ziemi mnóstwo pięknych przedmiotów, o które kiedyś być może walczyły całe armie.

– I wszystkie utracili lub porzucili, a ich właściciele zmarli lub odeszli. Dla mnie ważni są wyłącznie ludzie i przeżycia. Więż, tylko ona się liczy. Przeskakująca iskra, niewidzialna nić.

Alice zarumieniła się, kiedy to powiedział. Doskonale rozumiała, co miał na myśli, bo czuła to samo.

Tylko raz słyszała, jak z żalem i troską mówił o niedostatku pieniędzy. Zapamiętała ten moment, ponieważ wzbudził w niej nieprzyjemne odczucia. Ben opowiadał, że wychowywał się razem z pewną dziewczynką, Angielką, kilka lat od niego starszą, której rodzice pracowali przy tych samych wykopaliskach. Opiekowała się nim, ponieważ miała trzynaście lat, a on osiem, i ponieważ byli jedynymi dziećmi na tej obcej ziemi, bardzo się do siebie przywiązali.

– Oczywiście trochę się w niej podkochiwałem – przyznał ze śmiechem. – Z tymi swoimi długimi warkoczami i orzechowymi oczami wydawała mi się taka piękna...

Kiedy Florence (mówił o niej Flo i pieszczotliwość tego zdrobnienia boleśnie ukłuła Alice w serce) wyjechała z rodzicami do Anglii, pisali do siebie listy, które w miarę jak Ben dorastał, stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej osobiste. Każde z nich pozostało dla drugiego kimś stałym i niezawodnym w tym ich wędrownym życiu, i kiedy w wieku siedemnastu lat wrócił do kraju, spotkał się z Flo. Była już mężatką, lecz nalegała, aby zatrzymywał się u nich za każdym razem, kiedy przejeżdża przez Londyn. Pozostali najbliższymi przyjaciółmi.

– Jest najbardziej wielkoduszną osobą, jaką znam – powiedział. – Szczerą, lojalną, życzliwą i zawsze skorą do śmiechu.

Ostatnio ona i jej mąż popadli w tarapaty. Prowadzili interes, w który włożyli ogromnie dużo wysiłku i wszystkie oszczędności. Pracowali do upadłego, a teraz właściciel ziemi groził, że ich wysiedli.

– Mieli też inne kłopoty – ciągnął, ostrząc sekator. – Osobiste. Tacy dobrzy ludzie, ze skromnymi wymaganiami i pragnieniami. Wszystko bym zrobił, żeby im pomóc. – W jego głos wkradła się nuta frustracji. – Lecz jedyną rzeczą, jaka mogłaby coś zmienić, są pieniądze, a ja mam ich tyle, co w kieszeni.

W głosie Bena dźwięczała gorycz, kiedy opowiadał o niedoli przyjaciółki, i zakochana po uszy Alice zapragnęła poratować tych ludzi ze względu na niego. Zarazem jednak zżerała ją czarna zazdrość o tę kobietę (Flo – jakże nienawidziła niedbałej lakoniczności tego zdrobnienia), która odgrywała tak ważną rolę w jego życiu, że jej nieszczęście mogło go wpędzić w ponury nastrój nawet tutaj, setki mil od Londynu.

Czas ma niezwykłą właściwość wyciszania nawet najbardziej rozszalałych namiętności. Ben nigdy więcej nie wspomniał o swojej przyjaciółce i młoda, więc skupiona na sobie Alice wyrzuciła niedolę Flo z pamięci. Kiedy trzy lub cztery miesiące później relacjonowała Benowi swoje pomysły na *Żegnaj, pajacyku*, nie pamiętała, jak mówił, że uczyniłby wszystko – dosłownie wszystko – by zdobyć pieniądze dla swojej przyjaciółki z dzieciństwa.



Po drugiej stronie Serpentine małe dziecko biegło w stronę rzeki. Alice przystanęła i patrzyła, jak maluch zatrzymuje się tuż nad wodą i zaczyna kruszyć kawałki chleba, by rzucić je w kierunku gromadzących się kaczek. Po chwili, skrzecząc, podpłynął łabędź i jednym gwałtownym ruchem chwycił pozostałą część łupu. Dziecko przestraszyło się ostrego dzioba i rozplakało się. Oczywiście natychmiast podbiegło jedno z rodziców i malec dał się bez większego trudu pocieszyć, lecz incydent ten przypomniał Alice dzikie kaczki z Loanneth, tak samo łakome i zuchwałe jak te z Hyde Parku. Zastanawiała się, czy nadal żyją wokół Domu nad Jeziolem i nagle poczuła, jak coś ją ściska za gardło. To się czasami zdarzało. Po latach uporczywego wypierania się tej więzi dopadała ją w końcu fala bezlitosnej ciekawości, tak silna, że zapierało jej dech w piersiach.

Kiedy były dziećmi, niemal całe lato spędzały nad wodą. Ich skóra brązowiła na słońcu, włosy jaśniały, aż robiły się prawie całkiem białe. Mimo słabych płuc Clemmie, ze swoimi długimi, zrebięcymi nogami i niezależną, rozbrykaną naturą, najbardziej z nich trzech lubiła spędzać czas poza domem. Powinna się urodzić wiele lat później. W dzisiejszych czasach świat stwarzał dla takich dziewcząt jak ona nieograniczone możliwości. Alice widziała je wszędzie – energiczne, niezależne, otwarte, ambitne kobiety. Silne, wyzwolone ze społecznych oczekiwań. Lubiła patrzeć na te dziewczyny z kólkami w nosie, krótko ostrzyżone i zniecierpliwione światem. Czasami miała wrażenie, że widzi w nich tętniącego ducha młodszej siostry.

Przez kilka miesięcy po zniknięciu Thea Clemmie nie chciała z nikim rozmawiać. Kiedy policja zakończyła przesłuchania, zasznurowała usta i zachowywała się, jakby przestała cokolwiek słyszeć. Zawsze była ekscentryczna, lecz patrząc z perspektywy czasu, Alice doszła do wniosku, że pod koniec lata 1933 roku całkowicie zdziczała. Prawie nie wracała do domu, włóczyła się po lotniskach, zaostrzonym patykiem „kosila” trzcinę nad strumieniem, przekradała się do domu tylko na noc, a i to nie zawsze. Czasem obozowała w lesie albo nad rzeką. Bóg jeden raczy wiedzieć, czym się żywiła. Prawdopodobnie ptasimi jajkami. Zawsze umiała podkraść się do gniazd.

Mama wychodziła z siebie. Jakby nie wystarczało, że przeżywała katusze z powodu Thea, to jeszcze musiała się zamartwiać o córkę wałęsającą się samotnie po dziczy. W końcu Clemmie wracała, wyczerpana, śmierdząca od brudu, z potarganymi włosami, lecz poza tym cała i zdrowa. Lato dojrzało i zgniło, jesień nastąpiła pochmurna i ponura. Wraz z nią na Loanneth spłynął niekończący się smutek, jakby wraz z ciepłą porą roku ostatecznie umarła nadzieja, że Theo się odnajdzie. Kiedy skruszeni policjanci oświadczyli, że poszukiwania zostają ostatecznie zakończone, zapadła decyzja, że Edevane’owie przeniosą się do Londynu. W listopadzie miał się odbyć ślub Deborah i wydawało się że wszechmiar uzasadnione, by rodzina przeniosła się w nowe miejsce kilka tygodni wcześniej, ażeby mieć czas na zadomowienie się. Nawet mama, która nie lubiła opuszczać Loanneth, chętnie uciekła od

zimnego, zniechęcającego smutku Domu nad Jeziorem. Zamknięto okiennice i drzwi, rzeczy załadowano do samochodu.

W Londynie Clemmie musiała znów zacząć nosić buty. Kupiono nowe sukienki w miejsce podartych lub za małych i znaleziono dla niej miejsce w szkole dla dziewcząt, w której kładziono szczególny nacisk na matematykę i inne nauki ścisłe. Spodobało jej się tam. Po kolejnych staromodnych guwernantkach, z których żadna nie zagrzała długo miejsca w Loanneth, prawdziwa szkoła okazała się czystą przyjemnością i rekompensatą za opuszczenie Domu nad Jeziorem. Miło było widzieć, jak cofa się znad krawędzi przepaści i wraca do siebie, lecz w skrytości ducha Alice żałowała tej swojej postrzelonej siostrzyczki. Reakcja Clemmie na stratę Thea była tak atawistyczna, tak naturalna, że samo patrzenie na nią przynosiło ulgę. Jej powrót do cywilizacji w jakiś sposób spotęgował nieszczęście i nadał mu ramy nieodwołalności, bo skoro Clemmie porzuciła nadzieję, to znaczy, że nic z niej już nie zostało.



Alice szła szybciej, niż zamierzała, i w końcu ból ścisnął ją w piersi. To tylko zmęczenie, powiedziała sobie, z pewnością nie zawał. Dowlokła się do najbliższej ławki i usiadła ciężko. Postanowiła chwilę odpocząć i złapać oddech. Na policzkach czuła delikatny, ciepły wietrzyk. Przed nią ciągnął się szlak konny, a za nią plac zabaw, gdzie dzieci wdrapywały się po kolorowych plastikowych przyrządach albo bawiły w berka, podczas gdy ich opiekunki – dziewczęta z końskimi ogonami w dżinsach i podkoszulkach – gawędziły pod drzewem. Do placu zabaw przylegał wysypany piaskiem ogrodzony teren, na którym trenowali oficerowie z koszar Knightsbridge. Alice uprzytomniła sobie, że bardzo niedaleko stąd siedziały z Clemmie tamtego dnia w 1938 roku. To prawda, co mówią: kiedy człowiek się starzeje (a dzieje się to tak ukradkiem, czas jest taki podstępny), wspomnienia z odległej przeszłości, tłumione przez dziesiątki lat, nagle stają się czytelne i wyraziste. Schludna, trochę sztywna i ugrzeczniona dziewczynka brała lekcje jazdy konnej, jeździła w kółko po piasku. Alice i Clemmie leżały na kocu i rozmawiały o zamiarze Clemmie, by rozpocząć naukę latania. To było przed wybuchem wojny; życie córek z zamożnych rodzin toczyło się niezmiennie od pokoleń, lecz jeśli ktoś wiedział, gdzie przyłożyć ucho, słyszał to i owo. Alice zawsze wiedziała, gdzie przyłożyć ucho. Wyglądało na to, że Clemmie również.

Miała siedemnaście lat i kategorycznie odmówiła udziału w życiu salonowym Londynu. Zatrzymano ją w ostatniej chwili, kiedy po sprzedaniu kilku rodzinnych pamiątek zamierzała wyjechać do Hiszpanii, by walczyć w wojnie domowej po stronie republikanów. Alice zaimponowała odwagą siostry, mimo to ucieszyła się, że sprowadzono ją z powrotem do domu. Tym razem jednak, widząc upór i entuzjazm Clemmie, która wymachiwała gazetą z ogłoszeniem o przyjęciach do szkoły lotniczej, Alice przyrzekła siostrze, że pomoże jej przekonać rodziców, aby wyrazili zgodę. Był ciepły dzień, skończyły jeść lunch i ogarnęła je błoga senność, częściowo za sprawą osiągniętego porozumienia. Alice leżała oparta na łokciach, z oczami zamkniętymi za szklami okularów przeciwsłonecznych, kiedy Clemmie powiedziała ni stąd, ni zowąd:

– On żyje, wiesz o tym?

Jak się okazało, nigdy nie straciła nadziei.



Alice popatrzyła na miejsce, gdzie wtedy siedziały, niedaleko ogrodowej rabaty, między dwoma

wielkimi korzeniami kasztanowca. Nie było tu wówczas placu zabaw, a nianie w sukniach i kapeluszach zbierały się nad rzeką, trzymając swych podopiecznych za rączkę lub wożąc ich w wielkich czarnych wózkach. Przed świętami Bożego Narodzenia trawa znikła, a zamiast niej w ziemi ziały głębokie okopy przygotowane na ewentualność przyszłych nalotów. Ale tego dnia, kiedy siedziały z Clemmie pod drzewem, wojna, śmierć i trwoga były dopiero przed nimi. Świat nie rozpadł się jeszcze na kawałki i świeciło słońce.

– On żyje, wiesz o tym?

Minęło pięć lat, lecz Alice zrozumiała natychmiast, o kim mowa. Pierwszy raz, od kiedy zniknął Theo, Clemmie zaczęła rozmowę o zaginionym braciszku i Alice odczuła dotkliwie brzemię tego zwierzenia. Rola powiernicy była tym trudniejsza, że nie wierzyła w to, co mówiła Clemmie.

– Skąd wiesz? – odpowiedziała wymijająco.

– Po prostu wiem. Czuję to.

Dziewczynka na koniu zaczęła kłusować, zwierzę potrząsnęło łbem, aż zalśnił dumnie.

– Nie przyszło żądanie okupu – powiedziała Clemmie.

– I co z tego?

– Nie rozumiesz? Skoro nie zażądano okupu, to znaczy, że porwano go, ponieważ ktoś chciał go wziąć dla siebie.

Alice nie odpowiedziała. Jak mogła łagodnie rozwiać jej złudzenia? Jak mogła to zrobić, nie ujawniając prawdy?

Clemmie ożywiła się na twarzy. Mówiła szybko, jakby czekała pięć lat, aby to wszystko z siebie wyrzucić, i teraz, kiedy zaczęła, nie mogła się już dłużej wahać.

– Myślę, że to był mężczyzna. Przejeżdżał przez Kornwalię, przypadkiem zobaczył naszego Thea i pokochał go od pierwszego wejrzenia. Miał żonę, dobrą kobietę, która bardzo pragnęła mieć dzieci, ale nie mogła. Wyobrażam ich sobie, Alice, tego mężczyznę i jego młodą żonę. Są zamożni, lecz nie pretensjonalni, kochają się... i widzę nawet, jak bardzo chcą mieć dzieci. Widzę, jak z roku na rok stają się coraz smutniejsi, bo czas płynie, a kobieta nie zachodzi w ciążę i powoli uprzytamniają sobie, że może nigdy nie usłyszą drobniutkich kroczków biegnących przez hol ani śmiechu dobiegającego z pokoju dziecinnego. Dom okrywa się kirem, a z ich życia znikają szczęście, śmiech i muzyka, aż pewnego dnia... pewnego dnia, Alice, kiedy mężczyzna wyjeżdża z Londynu w interesach albo spotyka się ze współnikiem – Clemmie machnęła ręką – nieważne po co, przejeżdża obok Loeanneth i spostrzega Thea, i wie, że to jest dziecko, które przywróci radość w duszy jego żony.

Dokładnie w tym momencie zarżał kłusujący koń i Alice oczami duszy ujrzała Loeanneth, pola i łąki, pasące się konie, dla których dziewczęta wykładały kucharzowi jabłka. Oczywiście historia Clemmie była pełna luk i słabych punktów, na przykład tego, że do Loeanneth nie dało się zawędrować przypadkiem. Poza tym zainspirowały ją, przynajmniej częściowo, kłopoty Deborah. („Pięć lat i nadal bez dzieci”, odbijały się od ścian szeptu podczas spotkań towarzyskich). Przypomniały jej się słowiki o świcie nad jeziorem i zadrzała gwałtownie, chociaż słońce mocno grzało jej skórę. Clemmie tego nie zauważyła.

– Rozumiesz to, Alice, prawda? Oczywiście źle postąpił, ściągnął cierpienie na naszą rodzinę, ale można go zrozumieć. Nikt nie potrafił się oprzeć Theo. Pamiętasz, jak machał rączkami, kiedy się cieszył? Jakby chciał odlecieć. – Uśmiechnęła się. – Jest takim upragnionym dzieckiem. Dorasta otoczony miłością, szczęśliwy. Był maleńki, kiedy zniknął, już nas nie pamięta, nie pamięta, że należał do naszej rodziny, nawet jeśli my go nigdy nie zapomnimy. Mogę znieść swój żal, kiedy myślę, że jest mu dobrze.

Alice nie potrafiła na to odpowiedzieć. To ona była w rodzinie pisarką, lecz Clemmie miała dar patrzenia na świat przez inne soczewki. Szczerze mówiąc, zawsze podziwiała, a nawet trochę zazdrościła siostrze wyobraźni, jakby jej talent, jej książki, produkt takiego wysiłku i tyłu popełnianych błędów, błąd przy wrodzonym twórczym darze Clemmie. Prostoduszność tej dziewczyny nieuchronnie stawiała

wszystkich innych w roli bezwzględnych realistów. Alice nie chciała odgrywać tej roli, poza tym jaki sens miałyby wszelkie spory? Po co niszczyć uroczą fantazję, którą wyczarowała jej siostra: nowe życie dla Thea, kochającą rodzinę? Czy nie wystarczyło, że ona, Alice, znała prawdę?

Lecz nienasycona Alice pragnęła usłyszeć jeszcze więcej.

– Gdzie mieszkają? – spytała. – Jaki jest Theo?

Kiedy Clemmie snuła swoją opowieść, Alice zamknęła oczy i słuchała, zazdroszcząc siostrze tej niewinnej pewności. Jej wizja była taka kusząca, chociaż nieprawdziwa. Ponieważ Theo nie mieszkał z kochającą rodziną w pięknym domu. Nie wystosowano żądania okupu, to prawda, lecz Clemmie myliła się co do przyczyn. Za to Alice je znała. Brak żądania znaczył, że wszyscy się okropnie mylili i ich mały braciszek umarł. Wiedziała, ponieważ dokładnie tak to zaplanowała.

Dzień, w którym to wymyśliła, zaczął się jak wszystkie inne. Była wczesna wiosna 1933 roku, przez cały ranek siedziała w szafie do suszenia bielizny i grzała stopy o zbiornik z gorącą wodą, czytając wycinki z gazet, które trzymała w ażurowej zamykanej na kluczyk metalowej skrzyneczce, przywiezionej przez dziadka Horacego z Indii. Ukradła ją ze strychu. Znalazła artykuł o porwaniu chłopca Lindberghów w Ameryce i przez cały czas rozmyślała potem o okupach i listach, i o tym, jak przestępca może oszukać policję. Całkiem niedawno zdała sobie sprawę (a świadomość ta zbiegła się w czasie z jej nową manią na punkcie Agathy Christie), że to, czego brakowało jej poprzednim historiom, to łamigłówka, skomplikowana, zawężona fabuła wymyślona specjalnie, by wprowadzić w błąd oszołomionych czytelników. Oraz zbrodnia. Alice wiedziała, że aby napisać idealną powieść, trzeba krążyć wokół wyjaśnienia prawdy, a jednocześnie zwodzić czytelników, udając, że fabuła zmierza w jedną stronę, podczas gdy w rzeczywistości zmierzała w zupełnie innym kierunku. Przyciskając stopy w wełnianych skarpetkach do ciepłej obudowy zbiornika, bazgrała i kreśliła, spisując pomysły na temat „kto”, „dlaczego”, a przede wszystkim „jak”.

Po lunchu jej myśli cały czas krążyły wokół tych pytań, mimo to opatulila się w stare długie sobolowe futro mamy i wyszła poszukać Bena w ogrodzie. Wiał zimny wiatr, lecz Ben budował nad stawem rybnym tajemniczy ogród, ukryty za wysokim żywopłotem w kształcie okręgu. Usiadła na zimnej marmurowej krawędzi stawu, wbiła obcasy swoich wellingtonów w porośniętą mchem ziemię i serce podskoczyło jej radośnie, gdy zobaczyła wystającą z torby roboczej Bena *Tajemniczą historię w Styles*, którą mu pożyczyła do przeczytania.

Ben wyrywał chwasty na drugim końcu ogrodu i nie słyszał, jak podchodziła, przez chwilę siedziała więc w milczeniu. Pracował z zakasnymi rękawami i na odsłoniętych przedramionach zbierał się pot, a drobne grudki ziemi przyklejały się do wilgotnej skóry. Ruchem głowy odrzucił z oczu ciemne kosmyki włosów i w końcu Alice nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Wpadłam na genialny pomysł – oświadczyła.

Przestraszony odwrócił gwałtownie głowę.

– Alice! – Zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca radości. – Jaki pomysł?

– Pracowałam nad tym przez cały ranek i nie lubię się chwalić, ale jestem przekonana, że to najlepsza rzecz, jaką dotąd wymyśliłam.

– Naprawdę?

– Tak. – I wtedy wypowiedziała te nieszczęsne słowa. Oddałaby potem wszystko, by móc je cofnąć.

– Porwanie, Ben. Zamierzam napisać książkę o porwaniu dziecka.

– Porwanie dziecka? – powtórzył, mierzwiąc sobie włosy.

Pokiwała z zapalem głową.

– Po co komu cudze dziecko?

– Ponieważ jego rodzice są bogaci!

Spojrzał na nią z zakłopotaniem, jakby się zastanawiał, jaki związek ma jedno z drugim.

– Dla pieniędzy. – Alice przewróciła żartobliwie oczami. – Dla okupu.

Jej głos nabrał ostrości, która w jej własnych uszach uchodziła za cechę kobiety wyrafinowanej

i światowej. Kiedy zarysowywała mu swoją intrygę, nie mogła się powstrzymać, by nie podziwiać ekscytującej aury niebezpieczeństwa i grozy, jaką roztaczała wokół siebie tą mrozącą krew w żyłach opowieścią, wrażenia, że tyle wie o umysłach przestępców.

– Porywacz w mojej książce popadnie w tarapaty, jeszcze nie wiem jakie, nie ustaliłam szczegółów, może, na przykład, zostanie wydziedziczony albo będzie naukowcem, który dokona wielkiego odkrycia, lecz jego wspólnik w interesach, ojciec dziecka, wykradnie mu pomysł i zarobi na nim mnóstwo pieniędzy, więc mój bohater jest rozgoryczony i zły. Przyczyna nie ma znaczenia, ważne...

– ...że jest biedny.

– Tak. I zdesperowany. Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, może, na przykład, popadł w długi albo chce poślubić młodą kobietę z wyższych sfer. – Czują, jak rumienią jej się policzki, kiedy sobie uprzytomniła, jak blisko otarła się o ich niefortunną sytuację. Pospiesznie relacjonowała dalej wątki swojej intrygi. – W każdym razie musi szybko zdobyć dużą sumę pieniędzy i dochodzi do wniosku, że to jest dobry sposób.

– To niezbyt miły jegomość – zauważył Ben, otrząsając z ziemi korzeń dużego chwastu.

– Złoczyńca nie musi być miły. Z założenia powinien być niemły. Od tego jest złoczyńcą.

– Ale ludzie nie są całkiem źli albo całkiem dobrzy.

– On nie jest człowiekiem, tylko postacią z książki. To duża różnica.

– No, dobrze. – Ben wzruszył ramionami. – To ty jesteś pisarką.

Alice zmarszczyła nos. Przez cały czas mówiła jak w natchnieniu, a kiedy Ben jej przerwał, straciła wątek. Wróciła do swoich notatek, aby podjąć temat na nowo.

– Teraz dochodzę do wniosku – Ben wbił w ziemię widły – że właśnie dlatego nie lubię tych twoich powieści kryminalnych.

– To znaczy dlaczego?

– Te grube pociągnięcia pędzlem, brak subtelności, założenie, że moralność jest zawsze jednoznaczna, czarno-biała. To nie jest prawdziwy świat, tylko uproszczenie. Jak w bajkach dla dzieci.

Jego słowa przeszyły ją niczym ostrze noża. Nawet teraz, kiedy miała osiemdziesiąt sześć lat, mijając boisko piłkarskie przy Rotten Row, aż się skuliła, kiedy przypomniła sobie te słowa. Oczywiście miał rację. I w dodatku znacząco wyprzedzał swoją epokę. W obecnych czasach pytanie „dlaczego” jest dla wszystkich ważniejsze od „jak”, lecz wówczas Alice nie potrafiła dostrzec niczego ciekawego w jego sugestii, że fascynujące zagadnienie, dlaczego zwyczajni ludzie wchodzą na drogę przestępstwa, jest warte uwagi. Interesowały ją tylko łamigłówki i fortele. Zabolął ją dotkliwie jego komentarz, jakby ją oskarżył, że to ona jest ograniczona, a nie gatunek literatury. Dzień był zimny, lecz Alice zrobiło się gorąco ze wstydu i urazy. Zignorowała jego krytykę i żywo opowiadała dalej o swojej fabule.

– Oczywiście porwane dziecko musi umrzeć.

– Czy to będzie dziewczynka?

– Nie. Lepszy chłopiec.

– Tak?

Był wyraźnie, wręcz irytująco rozbawiony. Alice nie odwzajemniła uśmiechu, mówiła dalej z protekcyjną cierpliwością, jakby tłumaczyła mu rzeczy, które naprawdę powinien wiedzieć, albo gorzej – jakby go uczyła spraw, których taki mężczyzna jak on po prostu nie może zrozumieć. To było okropne. Słyszała samą siebie odgrywającą rolę bogatego, rozpieszczonego brzdąca, rolę, którą gardziła, lecz nie potrafiła się powstrzymać.

– Chłopców ceni się wyżej – tłumaczyła. – Dla rodziny są bardziej wartościowi jako potomkowie. Mają zostać dziedzicami ziemi i tytułu szlacheckiego.

– Dobrze, w takim razie chłopiec – powiedział takim samym lekkim tonem jak zawsze, co jeszcze bardziej ją rozjuszyło. – Ale czemu biedaczek musi umrzeć?

– Ponieważ kryminał wymaga morderstwa!

– To jakaś kolejna z twoich zasad?

Próbował żartować. Wiedział, że ją uraził, i starał się jakoś naprawić sytuację. Ona jednak nie zamierzała tak łatwo dać się ugłaskać.

– To nie są żadne moje zasady – odparła zimno. – To reguły pana Knoxa, opublikowane w jego książce o najlepszych opowieściach kryminalnych.

– Och, rozumiem. No cóż, to co innego. – Zdjął rękawice i sięgnął po kanapkę zapakowaną w papier parafinowy. – A jakie są pozostałe reguły pana Knoxa?

– Detektywowi nie może pomagać przypadek ani niewytłumaczalna intuicja.

– To brzmi rozsądnie.

– Nie wolno wprowadzać do opowieści bliźniąt ani sobowtórów, chyba że czytelnik zostanie o tym uprzedzony.

– Za bardzo pachnie oszustwem.

– I nie powinno się używać więcej niż jednego sekretnego pokoju lub przejścia. To bardzo istotna kwestia dla mojej powieści.

– Tak? Dlaczego?

– Dojdę do tego w stosownym momencie. – Wymieniała dalej zasady, licząc je na palcach. – Przestępca powinien zostać przedstawiony czytelnikowi na początku powieści; czytelnik nie może znać jego myśli; i wreszcie ostatnia, lecz bardzo ważna zasada: dobrze, jeśli detektyw ma głupszego przyjaciela, Watsona, trochę, ale tylko trochę, mniej inteligentnego od przeciętnego czytelnika.

Ben znieruchomiał z kanapką w ustach i niedbałym gestem wskazał ich oboje.

– Zaczynam nabierać mglistego wrażenia, że pełnię w tej drużynie rolę Watsona.

Alice poczuła, jak usta same jej się wydymają. Nie mogła już dłużej się powstrzymać. Był taki przystojny, i jak się do niej uśmiechał, w dodatku dzień się robił coraz jaśniejszy, słońce wychodziło zza chmur. Nie potrafiła się na niego złościć. Roześmiała się, a wtedy Ben zmienił się na twarzy. Podążyła za jego wzrokiem i spojrzała przez szczelinę w żywopłocie nad swoim ramieniem. Przez jeden okropny moment sądziła, że zobaczy za plecami nianię Rose. Któregoś dnia patrzyła przez okno i zobaczyła, jak rozmawiali z Benem. Wyglądało to trochę intymniej, niżby sobie tego życzyła. Ale to nie była niania Rose, tylko mama, która wyszła z domu tylnymi drzwiami i usiadła na żelaznej ławeczce. Spomiędzy palców jednej dłoni unosiła się wstążeczka dymu.

– Nie martw się – powiedziała Alice, przewracając oczami. – Nie będzie nam dzisiaj przeszkadzać. Nie chce, abyśmy wiedzieli, że pali papierosy.

Starła się mówić niedbale, lecz beztrocki nastrój prysł. Oboje wiedzieli, że muszą utrzymać ich związek w tajemnicy, zwłaszcza przed mamą. Eleanor niechętnym okiem patrzyła na ich kontakty. W ciągu ostatnich miesięcy kilkakrotnie rzuciła znaczącą uwagę na temat starannego dobierania towarzystwa, a niedawno wezwała ją wieczorem do biblioteki. Za fasadą spokoju na twarzy Eleanor czaiło się dziwne napięcie i Alice wyczuła, o co chodzi.

– Alice, to w najwyższym stopniu niewłaściwe, aby ktoś taki jak ty spędzał zbyt dużo czasu na rozmowach z pracownikami. Wiem, że nie masz niestosownych intencji, lecz ludzie mogą odebrać to opacznie. Twojemu ojcu z pewnością by się to nie spodobało. Wyobraź sobie tylko, jak by się poczuł, gdyby wyjrzał z okna gabinetu i zobaczył, że jego córka spoufala się z ogrodnikiem, na miłość boską!

Alice nie wierzyła nawet przez moment, że tata, który nie zwracał najmniejszej uwagi na różnice klasowe, mógłby się wykazać tak skostniałymi poglądami. Ale nie ośmieliła się tego powiedzieć. Gdyby mama uznała, że Ben sprawia za dużo kłopotów, mogłaby w mgnieniu oka zwolnić go z pracy.

– Lepiej już idź – powiedział Ben, puszczając do niej oko. – Ja muszę pracować, a ty masz do napisania arcydzieło literatury.

Wzruszyła ją jego troska, niewyrażona słowami opiekuńczość pobrzmiwająca w jego głosie.

– Nie boję się kłopotów – oznajmiła.

– Wcale cię o to nie podejrzewałem – odparł. – Nawet przez chwilę. – Oddał jej powieść Agathy Christie. Zadrżała, kiedy opuszki ich palców się zetknęły. Potrząsnął głową z udawanym przerażeniem. – Zabijać małych chłopców! Czysta groza.



Kiedy Alice czekała przed przejściem dla pieszych przy Kensington Road, minął ją stary piętrowy autobus numer dziewięć ze zdjęciem corps de ballet w reklamie *Jeziora łabędziego*. Chętnie by obejrzała to przedstawienie, lecz prawdopodobnie za długo zwlekała z zamówieniem biletów. Nigdy nie wybierała się na balet, jeśli nie mogła dostać miejsca, w którym słyhać było, jak pointy tancerek uderzają o scenę. Tylko ciężka praca rodzi doskonałe owoce i Alice nie lubiła udawać, że jest inaczej. Zdawała sobie sprawę, że iluzja jest częścią widowiska, że tancerze w pocie czoła walczą o wrażenie lekkości i swobody; wiedziała też, że większość osób na widowni przychodzi do teatru, aby zachwycić się romanssem, opowiedzianym z gracją i wdziękiem, ale nie ona. Zawsze podziwiała umysłową i fizyczną dyscyplinę, uważała, że pot błyszczący na ramionach solisty, westchnienie spełnienia po zakończeniu występu primabaleriny, głucho dudnienie pointów uderzających o drewnianą scenę, kiedy tancerka wiruje z uśmiechem, podnoszą jakość przedstawienia. Podobne odczucia dawała jej obserwacja misternego rusztowania wzniesionego w książkach przez innych pisarzy. Świadomość starannie budowanej konstrukcji nie umniejsza przyjemności, lecz ją podsyca.

Alice nie należała do romantycznych dusz. Pod tym względem świadomie pragnęła się odróżnić od Eleanor. Dziecięce postanowienie z czasem skostniało w sztywną cechę charakteru. Na przykład, ulubionym baletem mamy było przedstawienie, które wystawiano latem 1911 roku, kiedy poznała tatę.

– Świat był wtedy jeszcze pełen magii – powtarzała Eleanor przez lata. – Mieszkałam u ciotki w Mayfair i kilka dni wcześniej poznałam waszego tatę. Zaprosił mnie na występ Ballets Russes, zgodziłam się bez wahania, nawet nie zapytałam mamy. Możecie sobie wyobrazić, że babcia deShiel prawie mnie wydziedziczyła. Och, ale było warto! Cóż za wspaniały wieczór! Byliśmy tacy młodzi.

Zawsze się wtedy lekko uśmiechała, wiedząc, że dzieci nigdy się do końca nie pogodzą z faktem, że ich rodzice byli kiedyś inni niż teraz.

– Niżyński w *Le Spectre de la Rose* przewyższał wszystko, co w życiu widziałam. Tańczył piętnastominutowe solo, które minęło jak sen. Miał na sobie kostium Léona Baksta, jedwabny cielisty trykot z dziesiątkami jedwabnych różowych, czerwonych i fioletowych płatków. Wspaniała, egzotyczna istota, niczym lśniący owad wznoszący się z gracją do lotu. Skakał, jakby nie kosztowało go to najmniejszego wysiłku, unosił się w powietrzu dłużej, niż to możliwe, jakby w ogóle nie dotykał sceny. Tej nocy byłam skłonna uwierzyć, że człowiek naprawdę może latać i że dosłownie wszystko jest możliwe.

Alice zmarszczyła brwi. Była niesprawiedliwa. W tym, co mówiła, mama rzeczywiście zachowała dziecięcą, baśniową swadę, pełną sentymentalnego fatalizmu, lecz jej romantyczna natura nie przejawiała się wyłącznie w miłosnych opowieściach i historiach „żyli długo i szczęśliwie”, lecz w sposobie patrzenia na świat, w całym kodeksie moralnym, który sama stworzyła. Miała wrodzone poczucie sprawiedliwości oraz skomplikowany system kontroli i weryfikacji, który określał miarę czegoś, co nazywała „prawością”.

Ów instynkt moralny uwidoczniał się w czasie ostatniej rozmowy, jaką odbyły. Eleanor wróciła właśnie do domu po obejrzeniu sztuki *An Inspector Calls* w New Theatre i natychmiast zadzwoniła do Alice, aby się z nią podzielić opinią na temat przedstawienia. Określiła je jako „niezwykle podnoszące na duchu”. Alice widziała już tę sztukę. Po chwili zastanowienia odparła:

– Masz na myśli tę część, w której prześladowają doprowadzają do samobójstwa młodą niewinną dziewczynę, czy tę, w której tak wymownie zilustrowano nikczemną rodzinę Birlingów, których nie obchodziło jej cierpienie, byle tylko mogli ratować własną skórę?

Eleanor zignorowała kpinę w jej głosie i ciągnęła:

– Zakończenie było tak fantastycznie złowieszcze, takie słuszne! Każdy członek rodziny na swój sposób zawinił, a jeden został z całkowicie zadowolającym poczuciem, że prawda zawsze wyjdzie na jaw. – Podobała jej się również, co było do przewidzenia, mglistość postaci inspektora Goole’a. – Och, Alice – powiedziała z rozczarowaniem w głosie, kiedy jej córka stwierdziła, że pojawienie się inspektora można wyjaśnić dużo bardziej logicznie. – To nie ma znaczenia. To jest archetyp. Symbol, personifikacja sprawiedliwości. Nie ma znaczenia, skąd wiedział o tej biednej dziewczynie ani kim naprawdę był. Liczy się tylko to, że przywrócił porządek.

Alice burknęła coś o konstrukcji i wiarygodności postaci, lecz zmęczona Eleanor postanowiła odłożyć dyskusję na inny dzień.

– Jeszcze cię przekonam. Porozmawiamy o tym jutro, kiedy się spotkamy.

Oczywiście nigdy do tego nie doszło. Eleanor miała odwiedzić Alice w mieszkaniu w Shoreditch, kiedy wyszła na Marylebone Road prosto pod koła samochodu, którego kierowca odwrócił na chwilę wzrok od ulicy. Alice siedziała w blado oświetlonej kuchni przy stole z obrusem ocalałym z wojennej zawieruchy, ze szklanką świeżego mleka chłodzącą się w lodówce, nie przeczując, że w tym samym czasie świat Eleanor przechylił się w osadach.

Pod tym względem Ben nie miał racji. Alice zamrużyła, żeby rozproszyć smutek, który cisnął jej się do oczu. To ślicznie, że przedkładał ludzi nad rzeczy i miejsca, lecz ludzie mają brzydki zwyczaj podlegania ciągłym zmianom. Odchodzą. Umierają. Miejsca są bardziej trwałe. Nawet jeśli zostaną zniszczone, można je odbudować. Nawet ulepszyć. Na ludziach nie można tak polegać, nie zawsze będą ci towarzyszyć.

„Poza rodziną. – Alice usłyszała w głowie głos Eleanor. – Dlatego właśnie urodziłam tyle córek. Abyś zawsze kogoś miała. Wiem, co znaczy samotność”.



Idąc Exhibition Road w stronę muzeów, Alice nie miała szans zaznać samotności. Wszędzie mrowili się ludzie, głównie młodzi. Pomyślała o nich ze współczuciem – uwięzieni w rozgrzanej do białości młodzieńczej energii, kiedy wszystko wydaje się ważne, żywotne, doniosłe. Zastanawiała się, dokąd idą, do Muzeum Nauki czy Wiktorii i Alberta, czy może do Muzeum Historii Naturalnej, gdzie przedefilują przed gablotami pełnymi owadów, które trzepotały skrzydłami w Loeanneth?

– Wolałabym, żebyście ich nie zabijali – powiedziała pewnego dnia Eleanor. To była najostrzejsza krytyka taty, jaka wyszła z jej ust. – To okrutne wobec tych pięknych stworzeń.

Alice miała na rękach białe rękawiczki i natychmiast stanęła w obronie taty, choć, szczerze mówiąc, ona również nie znosiła tych szpilek.

– Okrutne jest to, że każde żywe stworzenie musi umrzeć, prawda, tatusiu? A te na zawsze pozostaną piękne.

Właśnie przechodziła grupa roześmianych dziewcząt. Kilka odwróciło się przez ramię i rzuciło jakiś żart w kierunku ciemnowłosego chłopca, a ten odkrzyknął coś niezrozumiale w odpowiedzi. Alice niemal gołym okiem widziała fale nieokiełznanej żywotności rozchodzące się wokół młodych ludzi. Pamiętała to uczucie, pasję i namiętność sprawiające, że wszystko stawało się bardziej realne. Siła, która przyciągała ją do Bena, była nie do powstrzymania, jej atrakcyjność tak potężna, że Alice prędkiej przestałaby mrugać powiekami, niż dała za wygraną. Zignorowała upomnienia mamy i nadal się z nim

spotykała, stała się tylko ostrożniejsza, bardziej przebiegła.

Przez następne tygodnie, podczas gdy Ben słuchał i tylko od czasu do czasu wtrącał pojedyncze uwagi, Alice dopracowała swoją koncepcję porwania doskonałego. Pewnego ładnego wiosennego poranka, kiedy powietrze było czyste po deszczowej nocy, a w strumieniu skakały pstrągi, rozłożyła pod wierzbą koc. Ben kopał doły pod kołki do nowego płotu, a ona leżała na brzuchu, machała nogami skrzyżowanymi w kostkach i marszcząc brwi, patrzyła na swój notes.

– Dochodzę do wniosku, że będę potrzebować współnika – oznajmiła nagle. – Nikt nie uwierzy, że przestępca działał w pojedynkę.

– Nie?

Pokręciła głową.

– To zbyt trudne. Zbyt dużo szczegółów do dopracowania. Porwanie dziecka to nie bułka z masłem. Jeden człowiek nie wystarczy.

– W takim razie musi być współnik.

– Ktoś, kto wie dużo o dzieciach. A najlepiej, żeby znał to konkretne dziecko. Jakiś zaufany dorosły, który umie sprawić, że dziecko będzie cichutko jak mysz pod miotłą.

Ben przeszył ją spojrzeniem.

– Nie miałem pojęcia, że potrafisz być taka podstępna.

Alice przyjęła komplement lekkim wzruszeniem ramion i w zadumie ssała kosmyk włosów. Patrzyła, jak po błękitnym niebie przepływa pasmo rozmazanych chmur.

Ben przerwał kopanie, żeby skrócić sobie papierosa.

– Trochę to niepewny interes, nie sądzisz?

Podniosła na niego wzrok i przesunęła głowę, tak by jego ramię zasłoniło jej słońce.

– Czemu? – spytała.

– Jedna rzecz to uknuć porwanie dziecka. Przestępca jest przestępcą, chce pieniędzy. Ale jakie ma szanse, że znajdzie drugą osobę, której zaufa na tyle, by zdradzić jej swoje nikczemne plany, i która będzie się chciała zaangażować w coś takiego?

– To proste. Ma przyjaciela przestępcę, którego poznał w więzieniu.

Ben skleił bibułkę.

– To zbyt grubymi nićmi szyte.

– No to kumpla, z którym zgodził się podzielić pieniędzmi?

– To by musiała być ogromna suma. Zbyt ryzykowne.

Rozmyślając, Alice przycisnęła do ust końcówkę długopisu.

– Z jakiego powodu ktoś mógłby się zgodzić na coś takiego? – zastanawiała się na głos. – Co mogłoby skłonić człowieka do pomocy w popełnieniu poważnego przestępstwa? Musi w tym być jakaś rola dla kobiety.

– Dla kobiety?

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Ludzie zwykle nie podejrzewają kobiet o zbrodnie. W każdym razie nie wtedy, gdy chodzi o dzieci. Kobieta byłaby idealną współniczką.

– Może są zakochani. – Uklęknął na brzegu koca. – Ludzie z miłości robią mnóstwo rzeczy, których nie powinni.

Serce Alice załomotało, jakby chciało się wyrwać na wolność. W słowach Bena kryło się tyle ukrytych znaczeń. Tyle aluzji. Obietnicy. Ostatnio mówił wiele podobnych rzeczy, kierował rozmowę na tematy miłości, życia, poświęcenia. Starła się powstrzymać drżenie w głosie.

– Miłość... Tak.

W głowie dosłownie kotłowało jej się od rzeczy, które uczyniłaby z miłości. Zapiekle ją skóra na szyi. Była pewna, że Ben to zauważył. Skoncentrowała się z powrotem na książce.

– W każdym razie on myśli, że są zakochani.

– A nie są?

– Na nieszczęście dla niego, nie. Ona ma własne powody, aby się zaangażować w porwanie dziecka.

– Jest zamieszana w handel ludźmi?

– Pragnie zemsty.

– Zemsty?

– Na rodzinie chłopca.

– Za co?

Alice jeszcze się nad tym nie zastanawiała. Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Nieważne. Ważne, że zamierza wykorzystać jego uczucie. Zgadza się mu pomóc, wymyślają plan, wykradają dziecko i wynoszą, aby je ukryć. Piszą list z żądaniem okupu, ale go nie wysyłają.

– Dlaczego?

– Ponieważ... ponieważ... – Alice czuła narastającą falę gorąca, w miarę jak fabuła zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Poderwała się i usiadła. – Ponieważ masz rację. Ona nie chce pieniędzy. Ona pragnie dziecka.

– Naprawdę?

– Nie chce go oddać, tylko zatrzymać dla siebie. Pokochała je.

– Szybko.

– Chłopiec jest ślicznym maleństwem. A może kochała go wcześniej, bo jest z nim w jakiś sposób związana. Nieważne jak, ale jest. Może od początku miała taki plan. Zatrzymać dziecko dla siebie.

– Naszemu przestępcy to się nie spodoba.

– Oczywiście, że nie. Potrzebuje pieniędzy. W końcu to był jego plan, zadał sobie wiele trudu i poniósł duże koszty, żeby zorganizować to porwanie.

– Więc co będzie?

– Pokłóć się. Kobieta chce zabrać dziecko, mężczyzna jej grozi, dochodzi do szarpaniny. – Twarz jej się rozjaśnia od nagłego objawienia, wzdycha z zadowoleniem. – Dziecko umiera!

– W czasie szarpaniny?

– A czemu nie?

– To makabryczne.

– W takim razie umiera we śnie... właściwie to nie ma znaczenia. Może już wcześniej było chore i spało bardzo mocno. Albo... – wyprostowała się nagle jak struna – dali mu jakieś środki nasenne. Chcieli je tylko uspić, żeby porwanie przebiegło bez przeszkód, ale się pomylili. Tabletki nasenne są dla dorosłych i dawka była zbyt duża. Zrujnowali własny plan. Nie mogą wysłać żądania okupu i żadne z nich nie dostaje złamanego grosza. Ani dziecka. Och, Ben... – Prawie bezwiednie wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. – To doskonała intryga.



Przechodząc na światłach przy stacji metra South Kensington, Alice zauważyła stragan z kwiatami. Na samym przedzie stał kubeł z bukietami róż i bardzo jej się spodobała jedna z kompozycji: połączenie kolorów przypomniało jej kostium z *Le Spectre de la Rose*, opisywany przez jej matkę. Pod wpływem nagłej fantazji postanowiła kupić go dla Deborah, która z pewnością już na nią czeka i spogląda w salonie na elegancki czarny zegar kominkowy, który dostała w prezencie ślubnym. Ale oczywiście nie czeka beczynn timer, to nie w jej stylu. Bardzo rozsądnie zarządza czasem, prawdopodobnie przegląda korespondencję lub poleruje srebra z rodzinnych pamiątek, albo zajmuje się innymi sprawami, którymi

damy z wyższych sfer w jej wieku wypełniają sobie czas.

Pojawił się niski, ciemnowłosy mężczyzna w fartuchu kwiaciarza i Alice wskazała róże.

– Czy one pachną?

– Bardzo ładnie.

Pochyliła się, żeby powąchać.

– Czy to aby naturalny zapach?

– Jak deszcz z nieba.

Mocno w to powątpiewała, nie znosiła kwiatów spryskiwanych olejkami zapachowymi, mimo to kupiła bukiet. Nadszedł dzień sądu i czuła się dziwnie beztroska. Poczekala, aż kwiaciarz owinie łądyżki w pergamin i obwiąże brązowym sznurkiem, po czym ruszyła dalej w stronę Chelsea i po drodze raz po raz spoglądała na różane pąki. Spodobają się Deborah, pomyślała z zadowoleniem, lekko tylko zakłóconym troską, czy siostra nie potraktuje upominku jako próby ugłaskania jej.

To było dziwne uczucie, kiedy tak szła, aby wyznać okropną tajemnicę osobie, która znała ja prawie tak samo dobrze, jak ona samą siebie. Nigdy nie wyjawiała prawdy nikomu innemu. Tuż po porwaniu prawie się zdecydowała wyznać policji wszystko, co wiedziała. „To był Ben” – ćwiczyła w myślach dziesiątki razy, podchodząc tak jak wtedy na paluszkach pod drzwi biblioteki. „Ben Munro porwał Thea. Powiedziałam mu o tunelu, to był mój pomysł, ale nie chciałam, żeby to się wydarzyło naprawdę”. Wyobrażała sobie ich niepewne spojrzenia i słyszała swój głos: „Widziałam go tamtego wieczoru na skraju lasu. Wyszedłam z przyjęcia, aby się przejść na spacer. Było ciemno, ale zaczęły się właśnie fajerwerki i zauważyłam go przy kłapie prowadzącej do tunelu. Nie mam wątpliwości, że to był on”.

Za każdym razem jednak się powstrzymywała, instynkt samozachowawczy był zbyt silny. Milczała i nie traciła nadziei. Przyjdzie żądanie okupu, przekonywała siebie, rodzice są bogaci, zapłacą żadaną sumę i Theo wróci do domu. Ben dostanie pieniądze, których potrzebuje, aby pomóc przyjaciołom, i nikt nigdy się nie dowie, jaką rolę w całej sprawie odegrała jej powieść.

Dni się wlokły, Alice jednym okiem śledziła przebieg śledztwa, drugim przychodzącą pocztę. Słyszała, jak któraś z pokojówek mówiła policji, że znikła fiolka ze środkami nasennymi, lecz nie przywiązywała wtedy do tego większej wagi, podobnie jak policja. Dopiero trzeciego dnia, kiedy dowiedzieli się, że pan Llewellyn popełnił samobójstwo, i wydawało się, że mama całkowicie podda się rozpacz, Alice zdała sobie sprawę, że sytuacja wygląda znacznie poważniej, niż sądziła. Podśluchała, jak doktor Gibbons ostrzegł mamę, że tabletki nasenne, które przepisał, są bardzo silne.

– Jeśli weźmie pani za dużo, może się więcej nie obudzić.

W tej samej chwili przypomniała sobie tamto popołudnie z Benem, swoje własne słowa, kiedy podkreślała, że ktoś z mieszkańców domu musi pomagać w porwaniu, i wpadła na pomysł użycia środków nasennych, aby uspić dziecko, a potem odmalowała koszmarną wizję przedawkowania tabletek.

Nagle zrozumiała, co oznaczał brak listu z żądaniem okupu. Wtedy było już jednak za późno, by wszczynać alarm. Wcześniej jej wyznanie mogłoby doprowadzić policję do Thea, teraz już nie było sensu. Musiałaby za to wytłumaczyć, dlaczego zwlekała trzy dni z wyznaniem prawdy. Dowiedzieliby się, że jest odpowiedzialna nie tylko za zniknięcie Thea, ale i za jego śmierć. Nigdy by jej nie wybaczyli. Więc milczała. Zachowała swój sekret przez siedemdziesiąt lat, nikomu nie szepnęła ani słowa. Aż do teraz.

Jeśli miała komuś powiedzieć, to cieszyła się, że padło na Deborah. Były sobie bliskie. Nie znaczy to, że czuły potrzebę spędzania czasu w swoim towarzystwie, nie, ich zażyłość wyrażała się znacznie bardziej naturalnie i wewnętrznie. Były ulepione z tej samej gliny. Obie nadal żyły, a Deborah nigdy nie przestała jej przypominać, że była przy niej, kiedy Alice się urodziła.

– Zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałam. Czerwona i naburmuszona... i goła! To była taka niespodzianka! Patrzyłam, jak wykręcasz tę swoją pomarszczoną szyjkę i wykrzywasz buzię tak, jak to robią noworodki. Mama nie wiedziała, że wkradłam się do pokoju, i osłupiała, kiedy podeszłam do

łóżka, wyciągnęłam ręce i zażądałam, żeby mi dałam moje dziecko. Sytuacja zrobiła się napięta, chwilę potrwało, zanim wyjaśniła mi pewne rzeczy. W czasie ciąży tyle razy mi mówiła, że wkrótce pojawi się drugie dziecko, że zostanę starszą siostrą i że będę miała za zadanie opiekować się tobą do końca życia, że potraktowałam to całkiem dosłownie. Przeżyłam szok i ogromne rozczarowanie, kiedy się roześmiała i powiedziała, że nie jesteś moją własnością i nie mogę cię zatrzymać dla siebie.

Kochana, dobra, odpowiedzialna Deborah. Jak zareaguje, kiedy się dowie, co zrobiła jej siostra? Przez cały zeszły tydzień Alice próbowała to sobie wyobrazić. Sama dawno temu pogodziła się już z własnym sumieniem. Nie działała wtedy ani ze złą wolą, ani nawet świadomie. Ponoсила winę, ponieważ to ona wymyśliła całą historię, lecz nie było powodu, by czuła się zobowiązana do jakiegoś wielkiego wyznania na policji. A już na pewno nie teraz. Zbyt wiele czasu upłynęło, a jej wina nie należała do przestępstw ściganych przez prawo. Żyła dalej. Eleanor miała rację. Świat ma własne sposoby na utrzymywanie szal w równowadze. Winowajcy mogą uciec przed prawem, lecz prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość.

Pomimo wszelkich starań, aby nie upodabniać się do matki, uświadomiła sobie wtedy, że Eleanor miała rację, i od tej chwili powieści Alice nabrały nowego wyrazu. Przestała się niewolniczo trzymać racjonalistycznej tradycji Złotego Wieku literatury kryminalnej, a w jej życie wkroczył Diggory Brent i zajął miejsce zimnych, zarozumiałych, kalkulujących detektywów, z którymi dotąd pracowała. Dziennikarzom i czytelnikom mówiła, że jej się przyśnił, co było w pewnym stopniu prawdą. Odkryła go na dnie butelki z whisky w mrocznych miesiącach umierającej wojny. Rozmyślała o Clemmie, o rozmowie, której nigdy nie odbyły, na temat czegoś, co jej siostra zobaczyła przez okno chaty na łodzie. Do tej pory przez twarz Alice przebiegał skurcz na myśl, że Clemmie widziała ją z Benem. Była taka z siebie zadowolona, gdy z manuskrytem w dłoni zapukała cicho do drzwi. Jeśli Alice się nie myliła, to poza nią tylko Agatha Christie odważyła się w swojej powieści zabić dziecko, i nie mogła się doczekać, kiedy Ben, czytając jej książkę, przekona się, jaka jest inteligentna, jak przemyślnie wplotła ich historię w fabułę. Usłyszała teraz swój szesnastoletni głos, który pokonał przestrzeń dziesięć lat od dnia, kiedy wpadł jej do głowy ten pomysł.

– Tunelem, Ben, tu jest sekretny tunel.

– Tunel? Pod ziemią?

– Wiem, co chcesz powiedzieć, więc nie musisz się trudzić. Chcesz powiedzieć, że to nierealistyczne uproszczenie i że przypomina farsę. A to nieprawda!

Uśmiechnęła się wtedy jak kot, który złapał mysz, i opowiedziała o ich własnym ukrytym tunelu, o zamaskowanym wejściu w pokoiku dziecięcym na drugim piętrze, o ryglu ze staromodnym mechanizmem, którym trzeba było potrząsnąć z odpowiednią siłą, aby otworzyć drzwi, o drabince wkutej w litą skałę i korytarzu prowadzącym do lasu i na wolność. Wszystko, co musiał wiedzieć, aby wykraść dziecko z Loeanneth.



W końcu dotarła do Chelsea. Ocierały się o nią tłumy przechodniów z torbami na zakupy, spieszący w obydwu kierunkach King's Road. W głębi ulicy zobaczyła schody do domu Deborah. Na białej kolumnie widniał namalowany czarną błyszczącą farbą numer pięćdziesiąt sześć, a po obu stronach pierwszego stopnia schodów stały donice z czerwonym geranium. Wzięła się w garść i ruszyła w ich stronę.

Środek placu wypełniał zielony gąszcz miejskiego ogrodu, czarna żelazna brama była zamknięta przed intruzami i Alice zawahała się przed grubą ścianą bluszczu. Było tu ciszej, zamęt ulicy tłumili wysokie wiktoriańskie budynki otaczające plac z czterech stron. Między konarami drzew świergotały

jaskółki; ich głosy sprawiały wrażenie zaczarowanych, jakby pochodziły z innego świata niż wszechobecny miejski gwar. Przez okno salonu Alice zobaczyła kontury wysokiej, smukłej postaci. Alice Edevane nie należała do osób, które z byle powodu odwołują spotkania, a już na pewno nie w sytuacji, gdy ktoś na nią czekał, lecz jakże bardzo pragnęła nie zatrzymywać się i pójść dalej. Serce zatrzepotało jej w piersi na widok tej drogi ucieczki. Może po prostu udać, że zapomniała, roześmiać się, kiedy Deborah do niej zadzwoni, złożyć wszystko na karb wieku. W końcu jest naprawdę stara. Nie „starsza” ani „w podeszłym wieku”, ani nic w tym rodzaju, choć ludzie często używali tych słów, ponieważ brzmiały łagodniej i milej dla ucha. Alice była stara, a starym ludziom przysługują pewne przywileje. W rzeczywistości jednak wiedziała, że to tylko niepraktyczna fanaberia, a ułaskawienie nie trwałoby długo. Czas nadszedł.

Zastukała do drzwi i aż drgnęła zaskoczona, kiedy otworzyły się prawie natychmiast. Jeszcze bardziej ją zdziwił widok Deborah, która osobiście wyszła ją przywitać. Miała na sobie jak zawsze piękną suknię z lejącego się jedwabiu, ściągniętą paskiem wokół szczupłej talii; siwe włosy uczesane w elegancki kok.

Skinęły sobie głowami, lecz żadna nie odezwała się ani słowem. Deborah odsunęła się od drzwi z lekkim uśmiechem, gestem zapraszając siostrę do środka.

Mieszkanie aż lśniło, nieskazitelnie utrzymane, ozdobione bogato kwiatami na każdej wolnej powierzchni. Alice przypomniała sobie, że co trzeci dzień do Deborah przychodziła świeża dostawa kwiatów ze sklepu na Sloane Square, gdzie miała złożone stałe zamówienie. Spojrzała na bukiet róż, który trzymała w dłoni. Wyglądał przy tamtych mizernie i śmiesznie. Mimo to wyciągnęła kwiaty w stronę siostry.

- Proszę. To dla ciebie.
- Och, Alice, dziękuje. Są prześliczne.
- To nic takiego, głupstwo. Przywiodły mi na myśl mamę, to wszystko. Nizyński...
- Kostium Baksta.

Deborah uśmiechnęła się i podniosła kwiaty do twarzy. Alice odniosła wrażenie, że zrobiła to nie tylko po to, aby je powąchać, lecz również, by przeciągnąć tę chwilę. To oczywiste, że obawiała się tego spotkania tak samo jak Alice. Dobrodusznej Deborah ta rozmowa nie mogła sprawić przyjemności.

Alice poszła za siostrą do salonu, gdzie Maria, jej gospodyni, a zarazem osobista sekretarka, ustawiała serwis do herbaty. Wyprostowała się z pustą tacą pod pachą i spytała, czy jeszcze czegoś potrzebują.

- Bądź tak dobra i włóż je do wazonu, Mario. Alice przyniosła róże. Prawda, że piękne?
- Śliczny kolor – przyznała gospodyni. – Czy mam je postawić tutaj?
- Raczej w mojej sypialni.

Maria wzięła kwiaty i wyszła żwawym krokiem osoby zaradnej i operatywnej. Alice zwalczyła chęć, aby ją zawołać z powrotem, zapytać o mamę, o liczne rodzeństwo, byleby zatrzymać ją jak najdłużej w pokoju. Nie zrobiła tego jednak i cząsteczki powietrza szybko wypełniły przestrzeń, gdzie stała przed chwilą Maria.

Siostry popatrzyły sobie w oczy i bez słowa usiadły na dwóch małych, pokrytych lnem kanapach stojących naprzeciwko siebie. Dopiero wtedy Alice zauważyła na stoliku książkę ze skórzaną zakładką tkwiącą niedaleko końca. Rozpoznała ją z daleka i aż ją skreśliło w żołądku. Ich ojciec zawsze nosił przy sobie wiersze Keatsa, z których przez lata czerpał pociechę; ścisnął je w dłoniach nawet na łożu śmierci. Na widok książki zapiekły ją policzki, zupełnie jakby rodzice siedzieli razem z nimi w pokoju i czekali, aż usłyszą, co zrobiła.

- Herbaty?
- Proszę.

Czysty, gulgoczący dźwięk nalewanego płynu niemal rozdzierał Alice uszy. Miała wrażenie, że

wyostrzyły jej się wszystkie zmysły. Widziała muchę kołyszącą się na brzegu tacy, słyszała kroki Marii wchodzącej po schodach na górę, czuła delikatny, cytrynowy zapach wosku do polerowania mebli. W pokoju było bardzo ciepło, więc wsunęła palec pod kołnierzyk, aby go rozluźnić pod szyją. Czuła ciężar wyznania, które miała uczynić.

– Deborah, muszę...

– Nie.

– Słucham?

– Proszę. – Deborah odstawiła czajniczek i złożyła czubki palców. Potem splotła dłonie i przycisnęła je do kolan. To był gest cierpienia. Twarz miała bladą i ściągniętą i nagle Alice zrozumiała, że to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Nie przyszła tu, żeby rozmawiać o Benie, tylko o siostrze, która jest chora, może nawet umierająca, a ona, Alice, tego nie zauważyła, ponieważ pochłaniały ją własne sprawy.

– Deborah?

Siostra zacisnęła usta. Głos miała niewiele głośniejszy od szeptu.

– Och, Alice, to takie okropne brzemię.

– Co takiego?

– Powinam ci była powiedzieć coś dawno temu. Miałam taki zamiar, naprawdę. Przez lata było tyle sytuacji, kiedy prawie... a teraz w muzeum... gdy wspomniałaś Loeanneth i ogrodnika, zaskoczyłaś mnie. Byłam nieprzygotowana.

A więc nie chodziło o chorobę. Oczywiście, że nie. Alice omal nie wybuchła śmiechem nad swoim instynktem samozachowawczym, który po prostu nie miał granic. Oto siedzi w konfesjonale i nadal rozgląda się za drogą przeciwpożarową. Za oknem przejechała taksówka, Alice zauważyła ją przez firanki. Zapragnęła wsiąść do niej i jechać, jechać, znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– Chodzi o Thea – powiedziała Deborah i Alice zamknęła oczy, czekając na to, co musiało nadejść.
– Wiem, co się z nim stało.

Po tych wszystkich katuszach, po latach męczącego dochowywania tajemnicy, życia z ciągłymi wyrzutami sumienia, wszystko się wreszcie skończyło. Czuła się dziwnie lekko. Nie musiała nawet sama tego mówić, ponieważ Deborah o wszystkim wiedziała.

– Deborah – zaczęła – ja...

– Ja wszystko wiem, Alice. Wiem, co się stało z Theo, i to mnie doprowadza do obłędu. Widzisz, to była moja wina. Ja jestem winna wszystkiemu, co się stało.

Oksford, 2003

Okazało się, że w Oksfordzie mieszkała krewna Rose Waters, wnuczka jej siostry. Margot Sinclair zajmowała stanowisko dyrektora renomowanej szkoły publicznej i była niezwykle zapracowaną osobą. Na szczęście Sadie udało się przekonać jej sekretarkę, aby umówiła ją na półgodzinne spotkanie punktualnie o pierwszej we wtorek. Ściśle mówiąc, nie wypowiedziała słowa „punktualnie”, lecz dała jasno do zrozumienia, że spóźnienie nie wchodzi w grę.

Rozmowa ta była tak naprawdę strzałem w ciemno – niewielu ludzi utrzymuje bliskie kontakty ze stryjecznymi dziadkami i babkami – lecz z braku innych tropów, za to kipiąc żądzą odkrycia prawdy, Sadie czekała już od południa, analizując pytania, które spisała sobie poprzedniego dnia. Ta sprawa wymagała dobrego przygotowania. Musi wykazać szczególną delikatność, rozmawiając z Margot Sinclair o jej stryjecznej babce, która, według jednej z hipotez, porwała własne nieślubne dziecko, urodzone w tajemnicy i oddane pracodawcom, a oni uznali je za swoje.

– Jesteś pewna, że nie piszesz powieści? – spytał Bertie, kiedy przedstawiła mu swoją teorię.

Przewróciła oczami. Następnego dnia po owej niefortunnej rozmowie siedzieli przy śniadaniu i oboje bardziej niż zwykle starali się, aby to, co mówią, brzmiało lekko i żartobliwie.

– Dobrze, dobrze. Wyłumacz mi jeszcze raz, czemu Edevane’owie mieliby adoptować to dziecko.

– Ponieważ po trzeciej córce mieli kłopot z poczęciem kolejnego dziecka, a bardzo chcieli mieć syna. Minęło dziesięć lat i wprawdzie Eleanor w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym zaszła w końcu w ciążę, ale dziecko urodziło się martwe. Constance próbowała to powiedzieć, lecz nikt jej nie słuchał. Możesz sobie wyobrazić, jakie to musiało być dla nich trudne, jakie niesprawiedliwe, zwłaszcza kiedy Rose Waters zaszła w ciążę i z pewnością nie mogła tego dziecka wychowywać. Nie trzeba wiele wyobraźni, żeby się domyślić, co było później. Robili wszystko, żeby jej odebrać dziecko. Nie sądzisz, że to aż nadto prawdopodobne?

Bertie podrapał się po szczeciniastej brodzie, zanim pokiwał głową, przyznając, że to możliwe.

– Pragnienie dziecka jest potężną siłą. Moja mama często żartowała, że gdybym się nie zjawił jeszcze przez jakiś czas, to zaczęłyby łakomym wzrokiem zaglądać do wózków stojących w parkach.

– A Eleanor Edevane nie musiała kraść dzieci z wózków w parku. Mały chłopiec, potrzebujący dobrego domu, prawie sam wpadał jej do rąk, że się tak wyrażę. I wszystko szło doskonale, dopóki Eleanor nie zwolniła Rose z pracy, a niania doszła do wniosku, że chce odzyskać swoje dziecko.

– Ryzykowne posunięcie: zwalniać biologiczną matkę dziecka.

– Może bardziej ryzykowne stawało się trzymanie jej w majątku. Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

Bertie westchnął.

– To pewnie nie jest najbardziej szalona hipoteza, jaką wymyśliłaś.

– Dziękuję, dziadku.

– Musisz teraz sprawdzić ją na kimś, kto znał Rose Waters.

Margot Sinclair znalazł Alastair. Następnego ranka, kiedy Sadie wysnuła swoją hipotezę, poszła prosto do biblioteki i krążyła niespokojnie przed wejściem, czekając, aż Alastair otworzy drzwi.

– Kawy? – spytała, wręczając mu styropianowy kubek.

Uniósł srebrzystobiałe brwi i bez słowa wpuścił ją do środka. Szybko i nieco mgliście streściła mu swoją najnowszą teorię. Najwyraźniej Alastairowi udało się uchwycić zasadniczą koncepcję, ponieważ kiedy skończyła i złapała oddech, powiedział:

– Powinna pani znaleźć kogoś, kto wie, co się stało z Rose po opuszczeniu Loanneth.

– Właśnie.

Natychmiast zabrał się do roboty. Ściągał z półek zakurzone segregatory, wpisywał hasła w wyszukiwarkach, przerzucał fiszki w katalogach, aż w końcu...

– Bingo!

Znalazł coś w dawnych rejestrach zatrudnienia, księgach ludności, najbliższych krewnych, aż w końcu oznajmił, że w Lake District żyła siostra Rose Waters, Edith, jej wnuczka zaś mieszka w Oksfordzie. Resztę załatwił kumpel z drogówki (po powrocie do Londynu musi mu zawieźć dobrą butelkę), zostawiając adres szkoły w poczcie głosowej Sadie.

– Mam nadzieję, że to czysta sprawa, Sparrow – powiedział, zanim się rozłączył.

– Całkowicie, Dave – mruknęła, zbierając notatki i wpychając je do torby. – Całkowicie.

Zegar w desce rozdzielczej pokazywał za dziesięć pierwszą, więc zamknęła samochód i minąwszy bramę między dwoma kamiennymi gryfami, ruszyła ścieżką w stronę budynku, którego sąsiedztwa nie powstydziliby się pałac Buckingham. W szkole trwała przerwa obiadowa i na rozległym, starannie wypielęgnowanym trawniku roilo się od grupki dzieci w słomkowych kapeluszach i mundurkach. Sadie poczuła się nagle niestosownie w dżinsach i T-shircie w środku słonecznego świata, tak bardzo różniącego się od miejsc, w których zwykle bywała. Dzieci, z aparatami na zębach i włosami związanymi w końskie ogony, ze śmiechem wolnym od strachu i świetlaną przyszłością, zdawały się z daleka błyszczeć.

Znalazła gabinet dyrektorki i podała nazwisko poważnej młodej kobiecie siedzącej za ciemnym drewnianym biurkiem.

– Proszę usiąść – odparła grzecznie sekretarka półgłosem. – Doktor Sinclair za chwilę panią przyjmie.

W sekretariacie nie słychać było żadnych głosów, za to aż dudniło od działających urządzeń. Szaleńcze stukanie palców na klawiaturze, galopujące tykanie zegara, wyniosły szum klimatyzacji. Sadie uprzytomniła sobie, że znów obgryza paznokcie kciuka, i powstrzymała się. Uspokoila się.

W świecie zewnętrznym, w prawdziwym świecie, z dumą podkreślała swój brak wykształcenia.

– Nas oboje, Sparrow, uczyła ulica – podkreślał nieraz Donald, z miażdżącą pogardą patrząc przez ramię na „eksperta”, którego właśnie skończyli przesłuchiwać. – To mądrość życiowa, i żadne tony papieru, które miałyby udowodnić światu, jaki ze mnie bystrzacha, nie mogą się z tym równać.

Był to bardzo wygodny światopogląd, stawiający znak równości między wykształceniem i bogactwem, bogactwem i przepychem, oraz między tym ostatnim i upadkiem moralnym. To pomagało Sadie w pracy. Widziała, jak ludzie w rodzaju Nancy Bailey aż się kurczą i zamykają w sobie pod wpływem jego ostrego jak diament akcentu inspektora Parr-Wilsona. Ale w takich miejscach jak to dręczyła ją myśl, jak inaczej mogło się potoczyć jej życie.

Kiedy duża wskazówka zegara przeskoczyła na pozycję pionową, Sadie poprawiła kołnierzyk i w tym samym momencie, dokładnie o pierwszej, otworzyły się drzwi gabinetu i stanęła w nich posągowa kobieta w kremowym kostiumie, z lśniącymi kasztanowymi włosami muskającymi ramiona. Przekrzywiła lekko głowę, patrząc na Sadie szeroko otwartymi oczami.

– Detektyw Sparrow? Jestem Margot Sinclair. Proszę, niech pani wejdzie.

Sadie weszła do gabinetu, besztając się w duchu za zbyt ni pośpiech.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, pani dyrektor.

– Wolę „doktor Sinclair” – odrzekła kobieta, uśmiechając się przelotnie.

Usiadła za biurkiem i wskazała Sadie miejsce po drugiej stronie. Rozmowa nie zaczęła się najlepiej.

– Nie wiem, ile przekazała pani sekretarka, doktor Sinclair.

– Jenny powiedziała mi, że interesuje się pani moją cioteczną babką ze strony mamy, Rose Martin, czy raczej Rose Waters, bo tak się nazywała, zanim wyszła za męża. – Miała zwyczaj spoglądania znad okularów w sposób, który świadczył o zainteresowaniu pozbawionym podejrzliwości. – Prowadzi pani jakieś dochodzenie?

– Tak – odparła Sadie, ale po chwili doszła do wniosku, że Margot Sinclair należy do osób, które lubią stawiać kropkę nad „i”, więc dodała: – Choć nieoficjalnie. Badam pewną bardzo starą sprawę.

Kobieta oparła się w fotelu.

– Brzmi intrygująco.

– Chodzi o wypadek, który się zdarzył w latach trzydziestych. Zaginęło dziecko i nigdy nie odkryto, co się z nim stało.

– Zakładam, że moja ciotka nie była podejrzaną?

Margot Sinclair wydawała się rozbawiona tą myślą.

Sadie uśmiechnęła się w odpowiedzi z nadzieją, że zostanie to właściwie odebrane.

– To było dawno temu, chwytam się każdego tropu. Miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś o Rose Waters z czasów, zanim wyszła za męża. Nie jestem pewna, czy pani o tym wie, ale w młodości pracowała jako niania w pewnym majątku w Kornwalii.

– Och, wiem mnóstwo rzeczy o życiu zawodowym Rose – odparła Margot Sinclair. – Była jedną z bohaterek mojej pracy doktorskiej na temat wykształcenia kobiet. Pracowała jako guwernantka. Uczyła dzieci z rodzin arystokratycznych.

– Guwernantka? Nie jako niania?

– Owszem, zaczęła jako niania, lecz rozwijała się dalej, aby zostać guwernantką, a wreszcie szanowaną nauczycielką. Rose należała do wyjątkowo inteligentnych i ambitnych kobiet. W tamtych czasach taki awans zawodowy nie był łatwy.

W dzisiejszych czasach również, pomyślała Sadie.

– Mam tutaj egzemplarz swojej pracy. – Margot podeszła szybko do ściany z biblioteczkami i zdjęła z półki tom w skórzanej oprawie. Przystanęła, aby zetrzeć z okładki niewidoczny kurz. – Niewiele się teraz o tym mówi, ale w czasach studenckich interesował mnie ten temat. Może to zabrzmieć nieco dziwnie, lecz Rose była dla mnie, i nadal jest, wielką inspiracją. Przez całe moje życie zawodowe służyła mi za przykład tego, co człowiek może w życiu osiągnąć, jeśli włoży w to odpowiednio dużo wysiłku.

Wróciła na miejsce i zaczęła ze swadą streszczać swoją pracę, a tymczasem wzrok Sadie powędrował w kierunku oprawionych w ramki świadectw i dyplomów zawieszonych równiutko na ścianie za biurkiem. Doktorat Oksfordu z biologii, świadectwo ukończenia studiów podyplomowych w dziedzinie edukacji, a także wiele innych dyplomów i certyfikatów. Zastanawiała się, jakie by to było uczucie iść przez życie ze świadectwem wydrukowanym złotymi literami, oprawionym w hebanowe ramki, dowodem, że jest się coś wartym. Mądrym.

Sadie miała piętnaście lat, kiedy za namową dyrektorki szkoły podeszła do egzaminu, aby ubiegać się o stypendium w elitarnej szkole dla dziewcząt w pobliskim mieście. Do tej pory pamiętała list z informacją, że przyznano jej miejsce w szóstej klasie, lecz z czasem wspomnienie to zamieniło się w surrealistyczny sen. Za to mocno i żywo wryła jej się w pamięć wyprawa po mundurek. Mama wystroiła się w coś, co, według niej, nosili ludzie z wyższych sfer, była sztywna ze zdenerwowania i mocnego postanowienia, że wykona zadanie bez zarzutu. Wszystko szło dobrze, dopóki się nie zgubiły

między dziedzińcami. Miały wyznaczoną godzinę, perfidny zegar na kamiennej wieży odcinał kolejne plasterki, a tymczasem mama, jak jej się to często zdarzało, dostała jednego ze swoich ataków paniki, które wszyscy zgodzili się nazywać astmą. Była perfekcjonistką i snobką; majestatyczne otoczenie, tłumiona presja, by stanąć na wysokości zadania, przekonanie, że jeśli się spóźnią, „wszystko przepadnie”, przerosły jej siły. Sadie znalazła ławkę, na której mogły usiąść w czasie, gdy mama dochodziła do siebie, po czym spytała jakiegoś dozorcę o drogę do sklepu z mundurkami. Kiedy dotarły na miejsce, zostało im dwadzieścia minut, które mama przesiedziała z niemym wyrzutem, podczas gdy kobieta zdejmowała z Sadie miarę i z pieszczotliwym szacunkiem mówiła o „tweedowym żakieciku” i „naszym aksamitnym bereciku” oraz innych rzeczach, których Sadie nawet sobie nie wyobrażała, nie mówiąc o tym, że miałyby je nosić.

W końcu nie musiała. Latem poznała przystojnego chłopaka z samochodem i przebojowym uśmiechem i zanim minęły wakacje, zaszła w ciążę. Nie zgłosiła się do szkoły, odłożyła rozpoczęcie nauki na następny rok, lecz kiedy wszystko się skończyło, ona była już innym człowiekiem.

Nawet gdyby postanowiła rozpocząć naukę, to rodzice nie chcieli jej przyjąć z powrotem – powiedzieli przyjaciółom i znajomym, że kończy liceum w Ameryce w ramach wymiany uczniów, więc jak by to wyglądało, gdyby przyjechała rok wcześniej – a stypendium nie obejmowało opłat za internat. Ruth i Bertie zapewniali ją, że znajdą sposób, żeby wszystko załatwić, lecz Sadie wiedziała, że nie poradzą sobie z kosztami, nie popadając w poważne długi. Nie mogła tego od nich wymagać. Podziękowała i stanowczo odmówiła. Dziadkowie nie byli zachwyceni jej decyzją, pragnęli dla niej jak najlepiej, lecz Sadie przyrzekła sobie i im, że odniesie w życiu sukces na własnych warunkach i nie potrzebuje do tego ekskluzywnej szkoły. Zdała egzaminy gimnazjalne w szkole wieczorowej, po czym wstąpiła do policji. Dziadkowie byli zaskoczeni, ale nie rozczarowani. Przede wszystkim ulżyło im, że nie weszła na tę ścieżkę po niewłaściwej stronie prawa. Po ciąży sytuacja wyglądała niebezpiecznie, Sadie żyła w zawieszeniu.

– Proszę – powiedziała Margot, podając jej przez biurko swoją pracę. – Nie jestem pewna, czy odpowie na wszystkie pani pytania, lecz z pewnością pozwoli pani wyrobić sobie lepsze pojęcie o tym, kim była Rose Waters. Czy zatem możemy przejść do rzeczy? Niestety, za piętnaście minut mam umówione następne spotkanie.

Margot była nieco szorstka, lecz życzliwie nastawiona i chętna do współpracy, co Sadie bardzo odpowiadało. Obawiała się, jak kobieta zareaguje na pytania o osobiste życie Rose; powinna stąpać ostrożnie po tym niepewnym gruncie, lecz ponieważ czas mijał, a Margot wykazywała rzeczowe i przychylne podejście, Sadie postanowiła wyłożyć karty na stół.

– Uważam, że pani ciotka jako młoda kobieta urodziła dziecko. Zanim wyszła za męża. Kiedy pracowała jako niania u rodziny Edevane’ów w Kornwalii.

Zapadła chwila milczenia, podczas gdy Margot Sinclair analizowała tę wiadomość. Sadie czekała, aż coś wykrzyknie, zaprzeczy lub obali jej teorię, tymczasem kobieta najwyraźniej przeżywała szok; siedziała bez ruchu, tylko mały mięsień żuchwy drgał jej nieznacznie. To proste i rzeczowe stwierdzenie zawisło ciężko w powietrzu i z perspektywy czasu Sadie doszła do wniosku, że powinna była wykazać więcej delikatności. Próbowwała wymyślić coś, co by nieco złagodziło poprzednią zbytnią bezpośredniość, lecz w końcu Margot wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Coś w jej twarzy przykuło uwagę Sadie. Na pewno była zaskoczona (tego należało się spodziewać), lecz to nie wszystko. Nagle Sadie zrozumiała.

– Wiedziała pani o tym – stwierdziła zadziwiona.

Margot Sinclair nie odpowiedziała od razu. Podniosła się zza biurka z gracją właściwą wychowankom elitarnej szkoły dla panien z wyższych sfer i podeszła sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte. Kiedy się upewniła, odwróciła się i rzekła:

– To było zawsze czymś w rodzaju rodzinnej tajemnicy.

Sadie próbowała nie okazywać podniecenia. A więc miała rację!

– Czy pani wie, kiedy zaszła w ciążę?

– Pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego. – Margot usiadła z powrotem za biurkiem i spłótła palce. – Dziecko urodziło się w czerwcu trzydziestego drugiego.

Praktycznie ta sama data urodzenia co Thea Edevane'a. Głos Sadie drżał lekko, kiedy spytała:

– I mimo to miesiąc później wróciła do pracy w Loeanneth?

– Tak.

– Co zrobiła z dzieckiem?

Margot Sinclair zdjęła okulary i trzymając je w dłoni, spojrzała na Sadie spod zmrużonych powiek.

– Pani detektyw, jestem pewna, że nie muszę pani tłumaczyć, że to były inne czasy. Młode niezamężne kobiety, które zachodziły w ciążę, nie miały lekkiego życia. Poza tym Rose nie miała jeszcze wówczas środków na utrzymanie dziecka.

– Oddała je?

– Nie miała wyjścia.

Sadie ledwo powstrzymywała dreszcz emocji. Po siedemdziesięciu latach znalazła się o krok od poznania prawdy, co się stało z Theo Edevane'em.

– Wie pani, komu go oddała?

– Oczywiście. Miała na północy siostrę, która chętnie wzięła dziecko i wychowała je jako swoje. Ale to nie był chłopiec, tylko dziewczynka. Moja mama.

– Słucham?

– Dlatego właśnie tak ją uraziło, kiedy Edevane'owie ją zwolnili. Oddała własne dziecko, przelała swoje macierzyńskie uczucia na ich syna, a potem wyrzucono ją z pracy przez jakąś błąhostkę.

– Ale... – Sadie odchrząknęła, próbując pozbierać myśli. – Ale jeśli dziecko Rose pojechało na północ, to czym dzieckiem był Theo Edevane?

– Cóż, to pani jest detektywem, pani Sparrow. Ja sądziłam, że matką tego chłopca była pani Edevane.

Sadie zmarszczyła brwi. To nie miało sensu. Była taka pewna... Przez lata Eleanor nie mogła zająć w ciążę; w końcu na świat przyszło martwe dziecko; Rose zaszła w ciążę w terminie dokładnie pokrywającym się z urodzeniem Thea; Eleanor ją zwolniła. Wniosek wydawał się taki oczywisty: Rose odebrała swoje dziecko. Tylko że nie urodziła syna, a córkę, matkę Margot Sinclair, wychowywaną w Lake District przez siostrę Rose Waters. Poza tym nie było żadnego dowodu, że Eleanor rzeczywiście straciła dziecko, pomijając starcze majaki Constance deShiel. Cała hipoteza zaczęła się walić niczym domek z kart.

– Wszystko w porządku, pani detektyw? Bardzo pani zbladła. – Margot wcisnęła w telefonie guzik interkomu. – Jenny? Przynieś, proszę, trochę wody.

Sekretarka weszła do gabinetu z karafką oraz dwiema szklankami na okrągłej tacy. Sadie wypila kilka łyków, zadowolona, że może się czymś zająć, zbierając myśli. Powoli wracała jej jasność myślenia i do głowy napływała nowa fala pytań. Może Rose nie była matką Thea, mimo to zwolniono ją niespodziewanie, i to na krótko przed porwaniem. Dlaczego? Jeśli powodem nie były obawy Eleanor Edevane przed macierzyńską opiekuńczością niani, to co takiego zrobiła Rose, że jej pracodawczyni poczuła się zagrożona? Musiał być jakiś powód. Chlebodawcy rzadko pozbywają się dobrych i lubianych pracowników. Spytała o to Margot.

– Wydaje mi się, że Rose tego nigdy nie zrozumiała. Wiem, że to zwolnienie ogromnie ją zabolowało. Mówiła, że uwielbiała pracę w Loeanneth. Kiedy byłam dzieckiem i przyjeżdżała nas odwiedzać, opowiadała mi różne historie o Domu nad Jeziorem. Zawsze czułam jakieś pokrewieństwo z tym miejscem, a także zazdrość wobec dziewcząt, które tam mieszkały. Słuchając opowieści Rose, prawie wierzyłam, że w tamtejszym ogrodzie żyją wróżki. Bardzo lubiła też swoich pracodawców, wypowiadała

się o nich z największym szacunkiem, zwłaszcza o Anthony'm Edevanie.

– Naprawdę? – To brzmiało interesująco. Sadie przypomniała sobie spotkanie z Clive'em, jego relację z rozmowy z Constance deShiel, która wyznała, że doszło do jakiejś zdrady i że mogło to mieć związek ze zniknięciem chłopca. – Czy uważa pani, że Rose mogła się zanadto zbliżyć do swego pracodawcy? Anthony'ego Edevane'a?

– Ma pani na myśli romans?

Słyszając tak bezpośrednie pytanie, Sadie aż się skrzywiła, zawstydzona własnym eufemizmem. Skinęła głową.

– Wspominała o nim w listach, wiem, że go podziwiała. Był mądrym człowiekiem i niezwykle mu współczuła, lecz nigdy nie odniosłam wrażenia, by kryło się za tym coś więcej. Podobno kiedyś sugerował, że byłaby z niej wspaniała nauczycielka, i zachęcał ją, by w przyszłości kontynuowała naukę na studiach.

– Ale nie wspominała o romansie? Nawet w aluzjach?

– Nie. Myślę, że po urodzeniu dziecka stała się bardzo ostrożna w związkach z mężczyznami. Wyszła za mąż dopiero, kiedy dobiegała czterdziestki, i nie słyszałam, żeby ktoś się o nią wcześniej starał.

A więc kolejny ślepy zaułek. Sadie westchnęła. Nie zdołała ukryć w głosie desperacji.

– Czy przychodzi pani do głowy coś, co mogło mieć związek z odejściem Rose z pracy u Edevane'ów?

– Jest jedna rzecz. Właściwie nie jestem pewna, czy ma ona jakiś związek, ale to dość niezwykle.

Sadie skinęła głową dla zachęty.

– Nigdy nie mogła zrozumieć, czemu ją zwolniono, tym bardziej że Edevane'owie wystawili jej doskonałe referencje i dali bardzo hojny prezent na pożegnanie.

– Jaki prezent?

– Pieniądze. Sumę, która wystarczyła na opłacenie podróży i studiów, co zapewniło jej byt i pracę do końca życia.

Sadie rozważała tę wiadomość. Po co ktoś zwalniał pracownika, a następnie sownie go wynagradzał? Jedyne, co przychodziło jej na myśl, to to, że chcieli ją w ten sposób przekupić, lecz po co przekupywać kogoś, kto nie ma pojęcia, o co chodzi.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wsunęła głowę sekretarka, aby przypomnieć Margot, że za pięć minut ma umówione spotkanie z członkami zarządu.

– Przykro mi, ale niestety muszę panią pożegnać. – Margot uśmiechnęła się przepraszająco. – Nie wiem, czy zdołałam pani w czymś pomóc.

Sadie również nie była tego pewna, lecz uściśniła kobiecie dłoń i podziękowała za poświęcony czas. Była już przy drzwiach, kiedy coś przyszło jej do głowy. Odwróciła się.

– Jeszcze jedno pytanie, pani doktor. Można?

– Proszę bardzo.

– Wspomniała pani, że Rose bardzo współczuła Anthony'emu Edevane'owi. Co chciała pani przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że jej ojciec przeżywał podobne udręki, więc rozumiała, co on przechodzi.

– Udręki?

– Mój pradziadek przeżył na wojnie okropne rzeczy. Podejrzewam, że tak było ze wszystkimi. Zatruli ich gazem pod Ypres, a następnie po krótkim czasie wysłano go z powrotem do okopów. Nigdy nie był już tym samym człowiekiem co przed wojną. Tak twierdziła babcia. Miał koszmary i okresy głębokich depresji, w nocy jego krzyki podrywały wszystkich na nogi. Teraz nazywamy to zespołem stresu pourazowego. Wtedy wszyscy mówili po prostu: nerwica frontowa.

– Nerwica frontowa – powtórzyła Sadie. – Czy Anthony Edevane też na nią cierpiał?

– Tak. Rose wielokrotnie wspominała o tym w swoim dzienniku. Próbowwała mu pomóc i szczerze mówiąc, to właśnie ich rozmowy zainspirowały później jej teorie na temat roli poezji, szczególnie romantyków, w nauczaniu młodych uchodźców.

Nerwica frontowa. To było zaskoczenie. Wracając do samochodu, Sadie powtarzała w myślach rozmowę z Margot. Nie zdziwiło jej, że Anthony Edevane miał objawy pourazowe, w końcu przez kilka lat walczył we Francji, bardziej ją uderzyło, że nie trafiła do tej pory na żadną wzmiankę na ten temat. Czyżby trzymano to w tajemnicy? A jeśli tak, to jak to się stało, że Rose Waters ją знаła? Może rzeczywiście młoda, inteligentna dziewczyna, która miała do czynienia z objawami tej choroby, bez trudu rozpoznała oznaki. Sadie zastanawiała się, czy to był naprawdę ważny trop, czy tylko ona chwytła się każdej możliwości. Mogłaby do kogoś zadzwonić – do Clive’a, Alastaira, Bertiego, żeby to z nimi przedyskutować, przekonać się, czy ten fakt rzuca jakieś światło na sprawę, lecz kiedy wyjęła komórkę, okazało się, że telefon się wyłączył. Ponieważ u Bertiego i tak nigdy nie było zasięgu, nie zadbała nawet, aby go naładować.

Rozległ się dzwonek i uczniowie zaczęli wracać do klas. Sadie obserwowała ich przez okno samochodu. Do takiej szkoły chodziła Charlotte Sutherland. Na zdjęciu, które przysłała w liście, miała na sobie elegancki mundurek z herbem i wyhaftowaną pod spodem długą listą osiągnięć. To był bez wątpienia „tweedowy żakiecik” i „aksamitny berecik” na chłodniejsze miesiące. Sadie upomniała się w duchu za tę grubiańską ironię. Cieszyła się, że Charlotte uczy się w takiej szkole. Co mogło być ważniejsze niż to, by jej córka otrzymała szansę, jakiej ona nigdy nie miała?

Przekręciła kluczyk w stacyjce i przypomniała sobie surowo, że musi raz na zawsze zapomnieć o Charlotte. List wrócił do nadawcy z adnotacją, że pod wskazanym adresem nikt taki nie mieszka, a ona miała się poczuć, jakby nigdy nie przyszedł. Skupiła się na drodze wyjazdowej z Oksfordu i kiedy znalazła się w końcu na trasie M40 prowadzącej na wschód do Londynu, zaczęła odtwarzać w myślach rozmowę z Margot Sinclair, wydobywać nowe informacje: doskonałe referencje, jakie Rose Waters otrzymała od Edevane’ów, hojne wynagrodzenie w gotówce. Obracała te fakty na wszystkie strony i zastanawiała się, czy wiadomość o nerwicy frontowej Anthony’ego Edevane’a coś zmieniała, a jeśli tak, to w jaki sposób.

Londyn, 1931

Eleanor weszła na herbatę do Liberty. Spotkanie skończyło się wcześniej, niż sądziła, zostały jej więc dwie godziny do odjazdu pociągu. Stała w miejscu, gdzie Harley Street spotykała się z Marylebone Road, szare chmury stapały się z szarymi budynkami, a w końcu postanowiła, że dobrze jej zrobi coś na pokrzepienie, i machnęła ręką na taksówkę. W ten sposób znalazła się w Liberty. Maleńką łyżeczką zamieszała mleko w herbacie, po czym otarła ją o brzeg delikatnej porcelanowej filizanki. Uchwyciła spojrzenie dobrze ubranego mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stoliku, lecz nie odwzajemniła grzecznego, badawczego uśmiechu.

To było niemądre, że podsycala w sobie tyle nadziei, ale cóż. Nie ma większego głupca niż stary głupiec. Anthony miał rację: lekarz nie umiał im pomóc, wysłuchiwała jedynie tego samego, tylko dłuższego wykładu co zawsze. Zastanawiała się czasem, czy nadzieja – ten nieznośny, a zarazem wspaniały ludzki odruch – kiedykolwiek umiera lub jeszcze lepiej, czy można ją zabić. Wszystko byłoby o tyle łatwiejsze, gdyby dało się po prostu pstryknąć przełącznik. Niestety, gdzieś w oddali zawsze migotało światełko nadziei, bez względu na to, jak długo i daremnie człowiek wędrował w jego stronę.

Eleanor odłożyła łyżeczkę. Gdy tylko ta myśl zaświtała jej w głowie, od razu wiedziała, że nie ma racji. Anthony utracił nadzieję. Może nie stało się to na polach Francji, lecz w którymś momencie w ciągu następnych lat. Właśnie dlatego ona musiała próbować dalej. To się wydarzyło na jej warcie. Gdyby była czujniejsza, zauważyłaby, co się dzieje, i zrobiła co trzeba, aby temu zapobiec. Obiecała to jemu i sobie.

Zaczęło padać i Londyn rozplynał się w ołowianych smugach. Ulice połyskiwały od ciemnych kałuż, a w dole przepływały fale czarnych parasoli osłaniające nurt pieszych. W deszczu ludzie poruszali się szybciej, ze stężałymi twarzami, wzrokiem utkwionym przed siebie, każdy skupiony na własnym punkcie przeznaczenia. Ulice tętniły takim pośpiechem i determinacją, że Eleanor czuła się zmęczona. Siedziała w ciepłej herbaciarni, odrętwiała niczym resztki rozbitego statku unoszące się na powierzchni oceanu, który w każdej chwili mógł ją wciągnąć w otchłań. Nigdy nie umiała zabijać czasu. Powinna była wziąć ze sobą książkę. Powinna była wziąć ze sobą męża.

Można było przewidzieć, że Anthony nie zechce jej towarzyszyć, lecz zdziwiło ją, jak gwałtownie zaprotestował.

– Przestań – powiedział, kiedy po raz pierwszy poruszyła ten temat. – Proszę, po prostu przestań.

Lecz ona nie przestała. Gdy tylko przeczytała artykuł w „Lancecie”, postanowiła, że muszą się spotkać z doktorem Heimerem. Jak się okazało, nie ona jedna doszła do takiego wniosku. Na wizytę trzeba było czekać kilka tygodni, a w tym czasie musiała powściągnąć podniecenie i wszystkie rozbudzone nadzieje, wiedziała bowiem, że lepiej nie mówić Anthony’emu za wcześnie.

– Przestań.

Nie podniósł głosu. Powiedział to prawie szeptem.

– Tym razem to może być ogromna szansa, Anthony – nalegała. – Ten doktor Heimer pracował nad tym problemem od dawna, badał wielu mężczyzn i odnosił sukcesy, tu jest napisane, że umie leczyć...

– Proszę cię! – uciął jak nożem i reszta zdania po prostu zamarła Eleanor na ustach. Nie podniósł na nią wzroku, pochylał się nad mikroskopem, tak że nie zauważyła, kiedy zamknął oczy. – Po prostu daj

spokój.

Podeszła bliżej. Poczła delikatny zapach jego potu, zmieszany z dziwnymi laboratoryjnymi aromatami pokoju.

– Nie poddam się, Anthony. – Jej głos zabrzmiał łagodnie, lecz stanowczo. – Nie zostawię cię, nieważne, jak bardzo starasz się mnie odepchnąć. Na pewno nie teraz, kiedy znalazłam kogoś, kto mógłby nam pomóc.

Spojrzał na nią wtedy z wyrazem twarzy, którego nie umiała określić. Niezliczoną ilość razy widziała go pogrążonego w rozpacz, cierpiącego od koszmarów, które dręczyły go nawet w biały dzień, widziała jego nocne poty i to okropne dygotanie, którego nie mogła ukoić, nawet otulając go ze wszystkich sił całym ciałem. Tym razem to było co innego. Obojętność. Milczenie. Cisza.

– Koniec z lekarzami – oświadczył cichym, stanowczym głosem, który nie dopuszczał sprzeciwu. – Koniec.

Zostawiła go w gabinecie i z rozpalonymi policzkami i mętlikiem w głowie zbiegła na dół. Kiedy później została sama, przypomniła sobie jego twarz. Nieobecna duchem wykonywała swoje codzienne obowiązki, a wyraz twarzy Anthony'ego prześladował ją przez resztę dnia. Dopiero w środku nocy, kiedy spał obok niej niespokojnie, a ona całkiem przytomna wsłuchiwała się w odgłosy nocnych ptaków nad jeziorem i wspominała dawno minione wieczory, kiedy jeździli welocypedami po kamieniach lśniących w blasku księżyca, wpadło jej do głowy to słowo. Odraza – to właśnie ujrzała na jego twarzy. Rysy, które kochała przez tyle lat, ułożyły się w wyraz odrazy i nienawiści, zwykle okazywanych tylko największym wrogom. Pogodziłaby się z nimi, gdyby to uczucie wstrętu skierowane było przeciwko niej, lecz na myśl, że to siebie samego Anthony tak bardzo nienawidzi, miała ochotę szlochać i przeklinać.

Rankiem jednak znów był życzliwy i przyjazny jak dawniej. Zapropozował nawet piknik nad rzeką. Odżyła w niej nadzieja. Kiedy ponownie odmówił wyjazdu do Londynu, zrobił to z uśmiechem i stwierdził, że ma ważne rzeczy do zrobienia w gabinecie. Tak więc zabrała ze sobą nadzieję, która przez całą drogę ze stacji Looe siedziała obok niej w pustym przedziale, na miejscu, które powinien zajmować jej mąż.

Przechyliła filiżankę i obserwowała, jak wystygłe resztki herbaty przelewają się to w jedną stronę, to w drugą. Powiedziała dziewczynkom, że jedzie do krawcowej w Mayfair, i uwierzyły, ponieważ właśnie taką kobietę w niej widziały. Mamę. Nie pamiętały pierwszych lat, gdy Anthony był na wojnie, a ona zajmowała się nimi w Loanneth. Czasów, gdy wędrowały razem po okolicy, historii, jakie opowiadała, sekretnych miejsc, które im pokazywała. Nie znały tylu różnych stron jej osobowości. Czasem wydobywała je na wierzch, obracała w dłoniach, przyglądała się im, podziwiała, jakby były drogocenną perłą. Potem zawijała skrzętnie z powrotem i chowała. Nigdy więcej nikomu ich nie pokazywała, ponieważ musiałyby tłumaczyć, dlaczego tak bardzo się zmieniła.

Z nikim nigdy nie rozmawiała o Anthony'ym. Byłoby to równoznaczne ze zdradą wobec tego młodego mężczyzny, w którym się zakochała pewnego letniego dnia w Londynie dwadzieścia lat temu, a także, co może byłoby jeszcze gorsze, wobec własnej niezłomnej wiary, że pewnego dnia to minie. Kiedy to się stanie, kiedy znajdzie sposób, aby przywrócić mu beztroskę, ucieszy się, że nikt poza nią się nie dowiedział, jak bardzo się pogrążył. Nikt poza Eleanor. Jego godność na to zasługiwała.

Na pewno nie dopuści, by dowiedziały się o tym dziewczynki. Anthony kochał swoje córki. Mimo wszystko był dobrym ojcem i dziewczęta go uwielbiały. Nie znały tamtego młodego mężczyzny i jego ambicji, i kochały jego dziwactwa właśnie dlatego, że dzięki nim był jeszcze bardziej „ich tatusiem”. Długie spacerunki po lesie, kiedy znikał z domu na całe dni, a potem zjawiał się z torbą pełną liści paproci lub motyli, skarbów, które dziewczęta pomagały mu preparować i opisywać. Nie widziały człowieka, którego obserwowała nieraz Eleanor – ze starym podręcznikiem medycyny na kolanach, z zamkniętymi oczami, usiłującego przypomnieć sobie budowę kostną ludzkiej dłoni, a jego własna dłoń, niegdyś tak elegancka, wprawna i pewna, drży na otwartej stronicy. Wyczuł jej obecność, otworzył oczy i powiedział

z uśmiechem, który rozjaśniał jego twarz zawsze, gdy widział ją przed sobą:

– Stałem się jednym z tych ludzi, którzy przesiadują w domach i próbują wypełnić puste godziny bezużytecznymi zajęciami.

– Nieprawda – odparła. – Pracujesz nad książką o historii naturalnej. Masz przerwę od medycyny, ale kiedyś do niej wrócisz. Dokończysz naukę i będzie lepiej niż dawniej.

– Kiedy w końcu zrozumiesz, że jest już za późno? Kiedy przyjmiesz do wiadomości, że nie jestem już tym samym człowiekiem? Że tamten zginął we Francji? Rzeczy, które się wydarzyły, Eleanor, przerażające wybory, potworne decyzje...

– Opowiedz mi o nich. Opowiedz mi, żebym mogła cię zrozumieć.

Nigdy jednak tego nie zrobił; patrzył na nią, kręcił głową i wracał do swoich książek.

Uwagę Eleanor przyciągnęła przystojna kobieta w wejściu. Trzymała za rączkę chłopca w białym marynarskim ubranku. Miał mniej więcej trzy latka, twarz cherubina, wielkie niebieskie oczy, pełne, rumiane policzki i usteczka wygięte w łuk Kupidyna, rozchylone ze zdziwienia, kiedy rozglądał się po gwarnej, jasno oświetlonej sali.

Poczuła znajome ukłucie tęsknoty. Nadal nie traciła nadziei na kolejne dziecko. Pragnęła go z całego serca. Pragnęła znów trzymać w ramionach niemowlę, łaskotać, całować i tulić maleńkie, pulchne ciało. Przypominała jej się czasem królowa z książki pana Llewellyna, która straciła swoje dziecko i tak bardzo marzyła o drugim, że była gotowa zawrzeć pakt z diabłem. W przypadku Eleanor nie było to całkiem egoistyczne pragnienie. W głębi duszy wierzyła, że gdyby urodziła jeszcze jedno dziecko, zwłaszcza chłopca, złagodziłoby to objawy choroby Anthony'ego. Kochał swoje córki, ale czy każdy mężczyzna nie pragnie mieć syna, który wyrośnie na jego obraz i podobieństwo?

Dłoń Eleanor bezwiednie spoczęła na płaskim, twardym brzuchu. Nadal zdarzały się między nimi czułe zbliżenia, kiedy mogła zająć w ciążę. Lecz chociaż chciała, chociaż od dziesięciu lat starała się ze wszystkich sił, wszystko na próżno.

Ze smutkiem odwróciła głowę od kobiety z dzieckiem, która usiadła przy stoliku. Malec starał się zachowywać przykładowie, lecz duże okrągłe oczy zdradzały ciekawość, z jaką obserwował nieznane otoczenie. Odwróciła się z powrotem do okna. Stalowoszare chmury wsiady nisko nad Londynem i miasto wyglądało ponuro. W herbaciarni paliły się światła i kiedy popatrzyła na widmowe sylwetki przechodniów na ulicy, a potem na ciemną szybę, w której odbijało się ciepłe wnętrze lokalu, przypadkiem napotkała w niej również własną sylwetkę.

Takie sytuacje zawsze wywoływały jej zdziwienie – kiedy zdarzyło jej się przypadkiem uchwycić swój wizerunek w podobnej swobodnej pozie. Jej spojrzenie odwzajemniała kobieta, która była wcieleniem dyskretnej godności. Siedziała wyprostowana, ubierała się modnie, lecz nie ulegając przelotnym, krzykliwym trendom, włosy nosiła starannie ułożone pod kapeluszem, a na twarzy zawsze życzliwą maskę, która nie zdradzała prawdziwych uczuć. Po takim obliczu ludzie zwykle prześlizgiwali się, nie zwracając na nie uwagi. Kobieta, którą zobaczyła w szybie, utożsamiała wszystko, przed czym Eleanor przysięgała się bronić. Z pewnością nie osobę, na którą powinna była wyrosnąć Eleanor Poszukiwaczka Przygód. Czasem o niej rozmyślała, o swoim sobowtórce z dzieciństwa, o tej dziewczynce patrzącej na świat szeroko otwartymi, niepokornymi oczami, z gęstą burzą włosów i nieposkromionym duchem podboju. Lubiła sobie wyobrazać, że ta dziewczynka nadal gdzieś tam jest. Że świat nie zdołał jej zapędzić do szeregu i zaszufładować, ale że zamieniła się z powrotem w perłę i wpadła do kryjówki. Że czeka gdzieś, aż znajdą ją wróżki i przywrócą w lesie do życia.

Rozstroiła ją ta myśl i Eleanor zrobiła to, co zawsze robiła, kiedy zaczynały ją przytłaczać mroczne rozważania. Uznała, że musi być w ruchu. Machnęła szybko ręką na kelnera, zapłaciła rachunek, wzięła torebkę i powabną suknię, na którą ledwo spojrzała przed kupnem, i potrząsnąwszy lekko parasolem, wyszła na deszcz.

Przy kasie dworcowej kłębiły się tłumy, w powietrzu unosił się przenikliwy zapach mokrych ubrań. Stała w kolejce niezadowolonych i utyskujących podróżnych.

– Mam zarezerwowany bilet na nazwisko Edevane – oznajmiła, dotarwszy do okienka kasy.

Kasjer zaczął szperać w pudełku z rezerwacjami i kiedy mamrotał pod nosem, przebiegając kolejne nazwiska, Eleanor obejrzała się przez ramię na tłoczącą się ciżbę.

– Domyślam się, że pociąg jest pełny? – powiedziała.

Mężczyzna nie podniósł głowy.

– Poprzedni się popsuł. Przez całe popołudnie przeżywamy prawdziwy najazd, ludzie próbują się dostać na następny. Mówi pani: Edevane?

– Tak.

– Mam. – Mężczyzna wsunął dwa bilety pod kratę. – Pociąg odjeżdża z peronu trzeciego.

Odwróciła się do wyjścia, lecz spojrzała na dwa bilety, które trzymała w rękawiczce.

– Mój mąż ze mną nie przyjechał – oznajmiła kasjerowi. – Coś go niespodziewanie zatrzymało.

Znów ten nawyk tłumaczenia się. Ostatnio robiła to bez zastanowienia.

– Nie zwracamy pieniędzy – odparł kasjer, odwracając się do następnego podróżnego.

– Nie proszę o pieniądze, chcę tylko oddać bilet. – Położyła go na kontuarze. – Nie potrzebuję go. Ktoś może z niego skorzystać.

Usiadła w wagonie i czekała, aż pociąg ruszy ze stacji. Na peronie krzatali się ludzie w mundurach, bagażowi pchali przez tłum wielkie krzywe wieże walizek, a grupy podróżnych odprawiały intymne pożegnalne rytuały. Obserwując ich, Eleanor odniosła wrażenie, że na takich stacjach jak ta rozegrały się najważniejsze sceny jej życia. Dzień, w którym poznała Anthony'ego, lemoniada na stacji Baker Street; potem poranek 1914 roku, kiedy wyjeżdżał na wojnę. Wyglądał w mundurze tak oszałamiająco przystojnie. Obok niego stał Howard, obaj tryskali młodzieńczą energią.

Kiedy jej oznajmił, że zamierza się zaciągnąć – na kocu rozłożonym nad rzeką w Loanneth – przez głowę przeleciało jej tysiąc powodów, dla których nie powinien tego robić.

– Przecież byliśmy tacy szczęśliwi! – wybuchła.

– I będziemy szczęśliwi, kiedy wrócę do domu.

– Jeśli wrócisz.

Była to pierwsza rzecz, jaka cisnęła jej się na usta w tej nadąsanej chwili, najgorsza, jaką mogła powiedzieć, samolubna, dziecinna... i prawdziwa. Potem będzie to sobie wyrzucać. Cztery lata, które nadejdą, nauczą ją powściągliwości, lecz w tamtym momencie strach, panika i bezsilność tak ją przytłoczyły, że zareagowała bez namysłu.

– To wojna, a nie piknik.

Sięgnęła ręką, aby odgarnąć na bok uparty lok, który opadał jej na oczy. Zadrżała pod dotykiem jego palców na skroni.

– Jestem studentem medycyny, Eleanor. Mogę się tam przydać. Ci mężczyźni, moi przyjaciele, będą potrzebować takich ludzi jak ja.

– Ja też cię potrzebuję. Są inni lekarze, którzy mają doświadczenie.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Przecież wiesz, że najbardziej na świecie pragnąłbym tu z tobą zostać, lecz kto tam pojedzie zamiast mnie? Jak mógłbym potem ze sobą żyć, gdybym im nie pomógł? Co byś o mnie myślała, gdybym nie spełnił swojego obowiązku? Jeśli mężczyzna nie może służyć ojczyźnie, to lepiej by mu było umrzeć.

Zrozumiała wtedy, że nic, co zrobi lub powie, nie zmieni jego postanowienia, i ta myśl ją zabolęła. Czowała w ustach smak popiołu.

– Obiecuj mi, że wrócisz – poprosiła, obejmując go i chowając twarz na jego piersi; trzymała się go, jakby był skałą pośrodku szalejącego morza.

– Oczywiście, że wrócę. – W jego głosie nie zadrżał nawet cień wątpliwości. – Nic mnie nie powstrzyma.

W dniu, kiedy wyjeżdżał, poszli razem na stację, Eleanor usiadła razem z nim w wagonie. Pocałował ją, kiedy do pociągu wsiadali inni młodzi żołnierze, a jej się wydawało, że nie wykrzesza z siebie dość siły, aby się z nim rozstać. Potem rozległ się gwizdek i znów stała na peronie, tym razem sama, a pociąg odjeżdżał ze stacji. Gdy wróciła, w domu było ciepło i wszystko zamarło w bezruchu. W kominku w bibliotece tlił się ogień, dokładnie tak samo jak w chwili, kiedy ją opuścili.

Lecz wszędzie panowała taka cisza.

Na biurku pod oknem stała ich fotografia i patrząc na roześmianą twarz Anthony'ego, Eleanor próbowała przekonać samą siebie, że poszedł tylko na górę albo nad jezioro i że lada chwila wróci i zawoła do niej z holu. Ale czuła jego nieobecność na każdym kroku i w jednym przebłytku sekundy zroszczyła, jakie długie będą nadchodzące dni, tygodnie, miesiące. Jak nieznośnie długie.

Dzięki Bogu, że miała Deborah, która przynajmniej zajmowała jej uwagę. Niełatwo było poddać się obojętności, elektryzującemu strachowi, kiedy obserwowała ją szeroko otwarte, ufne oczy tej małej osóbką, która pragnęła się uśmiechać i wypatrywała bacznie na twarzy matki znaków, że może to uczynić. Jednak za fasadą wesołych min, dziecięcych piosenek i opowiadanych bajek Eleanor bała się oddychać. Za każdym razem, kiedy ktoś zapukał do drzwi, przeszywał ją paraliżujący prąd; każda wieść dochodząca z wioski, że zginął kolejny żołnierz, rozrywała jej trzewia, a potem spływała po niej ta obojętna fala tajonej ulgi, że to nie był Anthony; radość, kiedy znajdowała list, a nie telegram w czarnej ramce, żyła tak krótko – tylko do chwili, gdy odczytała datę u góry i zdała sobie sprawę, że napisał go wiele dni temu i od tamtej chwili wszystko się mogło zdarzyć.

Z początku niewiele dało się wyczytać z jego listów. Oczywiście pisał o tym, że ich ostrzelano, że gdzieś w pobliżu zniszczono sterowiec, lecz relacje te brzmiały, jak gdyby opowiadał o drobnych niedogodnościach podróży. Kiedy Niemcy po raz pierwszy zaatakowali ich trującym gazem, wydarzyło się to w *nader sprzyjających okolicznościach*, ponieważ przypadkiem mieli między sobą człowieka, który im pokazywał, *jak skutecznie stosować środki zapobiegawcze*. Eleanor wiedziała, że nie mówi pełnej prawdy, i złościło ją to w tym samym stopniu, co rozczulało.

Dostał przepustkę na weekend w Londynie i pojechała, aby się z nim spotkać. Była zdenerwowana, podniecona i nie posiadała się z radości; w pociągu nie mogła się na niczym skupić, przez całą drogę trzymała książkę zamkniętą na kolanach.

Ubrała się z wielką starannością, lecz kiedy go zobaczyła, zrobiło jej się wstyd, że włożyła w to tyle energii, bo przecież to był Anthony, jej miłość, a ona skupiała się na takich trywialnych drobiazgach, na najładniejszych sukienkach, zupełnie, jakby chciała zamaskować nimi brak wiary w ich uczucie, w to, co było najważniejsze.

Kiedy się zobaczyli, zaczęli mówić jednocześnie.

– Czy pójdziemy...

– Myślę, że...

A potem, po dręczącej chwili niepewności, gdy się zdawało, że wszystko, co znali i do czego przywykli, obróciło się w proch, oboje nagle wybuchnęli śmiechem i nie mogli przestać. I nawet kiedy siedzieli w barze i pili herbatę, znowu każdy drobiazg wywoływał ich salwy śmiechu. Później znów byli sobą, Anthony i Eleanor, a ona przykazała mu stanowczo, żeby jej wszystko opowiedział.

– Wszystko – powtórzyła z naciskiem. – Niczego nie upiększaj.

Tak bardzo jej zależało, aby się przebić przez tę wygładzoną glazurę, którą powleczone były jego listy.

Więc jej opowiedział. O błocie, o tym, jak żołnierze łamali sobie kości, próbując się przez nie

przedzierać, o ludziach, których pochłonęło. Nazwał Somnę maszynką do mielenia mięsa. Opisał udrękę, jaką przeżywa, kiedy nie udaje mu się uratować *swoich ludzi*, gdy jeden po drugim umierają.

Po tym spotkaniu jego listy się zmieniły i Eleanor nie była pewna, czy się z tego cieszy, czy nie. Przeszło jej przez myśl, że powinna ostrożniej wyrażać swoje życzenia. Cenzor usuwał najgorsze fragmenty, lecz zostało dość, aby rozumiała, że sytuacja jest nadal przerażająca, że wojna wymaga od ludzi robienia okropnych rzeczy, a odpłaca im jeszcze gorszymi.

Ton listów uległ kolejnej zmianie, kiedy zginął Howard. Skończyły się wzmianki o *jego ludziach*, nigdy więcej nie wspominał imienia żadnego z przyjaciół. Lecz nastąpiła również inna, bardziej bolesna, zmiana. Wcześniej wypytywał w listach o dom, można w nich było wyczuć nienasycony głód wszystkich najdrobniejszych szczegółów dotyczących Deborah, a także ich drugiej córeczki Alice. *Tak bardzo chciałbym tam z Wami być. Oddalenie jest takie bolesne. Bądź silna, najukochańsza, a tymczasem prześlij mi kosmyk włosów mojego dziecka.* Teraz jego listy zawierały niewiele więcej poza chłodną, bez mała statystyczną relacją z tego, co się dzieje na froncie. Mógł je napisać każdy i do każdego. Tak więc Eleanor przeżywała szok po śmierci Howarda – smutek i przerażającą nieodwracalność tego faktu, a jednocześnie dziwną zmianę w zachowaniu męża, jakby nie dość było tego, że walczył w innym kraju, to teraz w dodatku zniknął za nieprzeniknionym murem zdawkowych uprzejmości.

W dniu, kiedy nareszcie wrócił, dwunastego grudnia 1918 roku, Eleanor zabrała do Londynu obydwie dziewczynki i razem czekały na pociąg. Na stacji przygotowano orkiestrę, skrzypkowie grali kolędy.

– Skąd będziemy wiedzieć, że to tatuś? – spytała Deborah.

Była bardzo ciekawa tego człowieka, którego знаła tylko ze zdjęcia zrobionego w pracowni fotograficznej i stojącego na stoliku nocnym koło łóżka mamy.

– Nie bój się, będziemy wiedzieć – odparła Eleanor.

Na stację wjechał pociąg i peron wypełnił się kłębamii dymu. Kiedy go w końcu zobaczyła, jeszcze zanim ich oczy się spotkały, poczuła zatrważającą przepaść minionych lat. Niezliczone niespokojne myśli roily jej się w głowie niczym ćmy krążące wokół świecy. Czy będą sobie bliscy jak dawniej? Czy nie za dużo rzeczy się wydarzyło?

– Mamusiu, ściskasz mi rączkę – powiedziała Alice.

Nie skończyła nawet dwóch lat, a już potrafiła ujmować rzeczy tak dobitnie i ekspresyjnie.

– Przepraszam, cukiereczku. Przepraszam.

Potem spojrział jej prosto w oczy i przez ułamek sekundy widziała w jego wzroku coś ulotnego, jakby cień w kształcie postaci Howarda i wszystkich innych takich jak on, a potem cień zniknął, Anthony się uśmiechnął i znów był dawnym Anthonyem, jej mężem, który ostatecznie wrócił do domu.



Na dworcu rozległ się gwizdek. Na szczęście pociąg za chwilę ruszy. Eleanor obserwowała przez okno poczerńiałe tory. Tak wspaniale było mieć go znowu w domu. Dziewczynki nie mogły się nim nacieszyć. Od kiedy wrócił, w Loeanneth zrobiło się jaśniej, wszystko stało się wyraźniejsze, jakby ktoś nastawił ostrość w aparacie fotograficznym. Życie miało się toczyć dalej, tak jak obiecał. Minęły cztery lata, lecz wygrali wojnę i nadrobią stracony czas. A jeśli niekiedy dłonie mu trochę drżały, jeśli przerywał w pół zdania i musiał zebrać myśli, zanim podjął na nowo, jeśli czasami zrywał się ze złego snu i nie chciał nawet rozmawiać o Howardzie... no cóż, to były zrozumiałe problemy i z pewnością wkrótce wszystko się ułoży.

Tak przynajmniej sądziła.

Byli w ogrodzie, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy. Dziewczynki ganiały kaczki i niania

zaprowadziła je właśnie na kolację. Zapadał piękny wieczór, słońce jakby nie chciało zachodzić, aby nie kończyć takiego dnia. Zawisło nad horyzontem i rozrzuciło po niebie różowo-fioletowe wstążeczki niczym liny ratunkowe, a w powietrzu unosił się słodki zapach jaśminu. Przynieśli z domu białe wiklinowe krzesła i Anthony po całym popołudniu spędzonym na zabawie z dziewczynkami otworzył w końcu gazetę i zasnął.

Wokół nóg Eleanor bawił się ich nowy szczeniak, Edwina. Biegała za piłką, którą znalazły dla niej dziewczynki, a Eleanor toczyła ją łagodnie po chłodnym trawniku, śmiejąc się serdecznie, kiedy psiak potykał się o własne uszy i koziółkował, próbując ją złapać. Droczyła się z nim, zabierała piłeczkę w ostatniej chwili i patrzyła rozbawiona, jak Edwina staje na dwóch łapach i kłapie ostrymi jak szpilki ząbkami. Wydarła już dziury niemal we wszystkich pończochach Eleanor. Kochany diablak, kierowana jakimś szóstym zmysłem, zawsze zdołała wyrwać z korzeniami coś, czego nie powinna, lecz nie sposób było się na nią złościć. Wystarczyło spojrzeć, jak przekrzywia łebek, jak patrzy wielkimi brązowymi ślepiami, żeby serce natychmiast topniało w piersi. Kiedy była dziewczynką, Eleanor bardzo chciała mieć psa, lecz mama nazywała je „brudnymi bestiami” i na tym sprawa się kończyła.

Szarpnęła za piłkę i Edwina, która niczego tak nie uwielbiała jak szaleńczych zapasów, jeszcze głębiej zatopiła zęby w skórze. Życie toczyło się idealnie. Słońce mieniło się pomarańczowym blaskiem, Eleanor się śmiała, Edwina warczała podekscytowana na piłkę, ale już po chwili rzuciła się do wścieklej awantury z kaczką. I nagle Anthony poderwał się z krzykiem i rzucił na psa. Jednym błyskawicznym ruchem chwycił go za kark i przydusił do ziemi.

– Cicho bądź – syczał. – Ucisz się.

Edwina zaskomlała, a potem zawyła, kaczka uciekła, a zaszokowana Eleanor poderwała się na nogi.

– Anthony, przestań! – zawołała przestraszona. Nie miała pojęcia, co się dzieje. – Anthony, proszę.

Zupełnie jakby jej nie słyszał, jakby jej tam w ogóle nie było. Dopiero kiedy do niego przypadła i chwyciła go za ramiona, obejrzał się na nią. Strząsnął jej dłoń i przez ułamek sekundy sądziła, że teraz rzuci się na nią. W jego szeroko otwartych oczach znów dostrzegła ten cień, który przemknął wtedy na stacji.

– Anthony – powtórzyła. – Proszę, zostaw ją.

Dyszał ciężko, jego pierś unosiła się i opadała, przez twarz przebiegały na przemian gniew, strach i dezorientacja. W końcu rozluźnił uchwyt i szczeniak, użalając się nad sobą cichym skomleniem, uciekł w bezpieczne miejsce pod krzesłem Eleanor, aby lizać rany.

Nikt się nie poruszył. Kiedy później wspominała tę chwilę, odniosła wrażenie, jakby zamarli we wspólnym poczuciu, że jeśli się nie poruszają, to jakimś cudem to jajko nie rozpęknie się do reszty. W końcu zauważyła, że Anthony drży na całym ciele, więc instynktownie objęła go i mocno przytuliła. Był sztywny.

– No już – usłyszała swój głos. – No już.

I powtarzała to w kółko, jakby mówiła do którejś z dziewczynek, kiedy zdarła sobie kolano albo zbudziła się ze złego snu.

Później siedzieli w milczeniu przy świetle księżyca, zaszokowani tym, co się stało.

– Przepraszam – powiedział. – Przez chwilę sądziłem... mógłbym przysiąc, że widziałem...

Nigdy jej jednak nie powiedział, co widział. W ciągu kolejnych lat Eleanor przeczytała wiele artykułów, rozmawiała z lekarzami i zorientowała się, że Anthony prawdopodobnie odreagowywał wojenną traumę, kiedy się rzucił na Edwinę, lecz nigdy nie chciał rozmawiać o tych rzeczach, które czyhały w ciemności. A upiory wracały. Przyłapywała go wpatzonego w dal z zaciśniętymi zębami. Z czasem się domyśliła, że miało to jakiś związek z Howardem i jego śmiercią, lecz Anthony nie chciał o tym rozmawiać, więc nie znała żadnych szczegółów.

Powtarzała sobie, że to nie ma znaczenia, że z czasem jej mąż sobie z tym poradzi. Każdy kogoś stracił na wojnie, lecz czas leczy rany. Kiedy dłonie przestaną mu drżeć, wróci do studiów i wszystko się

zmieni. Zostanie lekarzem, chirurgiem, tak jak zawsze zamierzał – to było jego powołanie.

Lecz drżenie rąk nie mijało, a czas nie leczył ran. Przeciwnie. Tylko oni oboje dochodzili do wprawy w ukrywaniu prawdy. Męczyły go okropne koszmary, budził się z krzykiem, roztrzęsiony, rozgorączkowany, wołając, żeby coś zrobili, uciekali, uciszeli psa. Rzadko zdarzały mu się akty przemocy, a kiedy do tego dochodziło, wina zwykle leżała gdzie indziej. Eleanor o tym wiedziała. Zawsze pragnął leczyć i pomagać ludziom, nigdy w życiu nikogo by świadomie nie skrzywdził. Dręczyło go przerażenie, że mógłby to zrobić.

– Gdyby dziewczynki... – zaczął. – Gdyby któraś z nich...

– Cśśś. – Eleanor nie pozwoliła mu wypowiedzieć na głos tej niedorzecznej myśli. – Nic takiego się nie stanie.

– Ale mogłoby.

– Nie. Nie dopuszczę do tego. Przyrzekam.

– Nie możesz mi tego przyrzec.

– Mogę. I właśnie to robię.

Na jego twarzy malował się taki lęk, dłonie mu drżały, kiedy ścisnął jej dłoń.

– Obiecuj mi, że jeśli kiedykolwiek będziesz musiała dokonać wyboru, to ocalisz je przede mną.

Ocalisz mnie przede mną samym...

Położyła mu palce na ustach, żeby nie kończył. Pocałowała go i przytuliła mocno jego roztrzęsione ciało. Wiedziała, o co ją chciał poprosić, i wiedziała, że uczyni wszystko, aby dotrzymać obietnicy.

Londyn, 2003

Mieszkanie Sadie przypominało te miejsca, gdzie ją najczęściej wysyłano z interwencją.

– Można wiele wywnioskować o człowieku na podstawie tego, jak mieszka – powiedział kiedyś Donald, dość pruderyjnie jak na gruboskórnego skądinąd gliniarza.

Zabrzmiało to podwójnie groteskowo w ustach mężczyzny, którego żona zajmowała się wszystkimi pracami domowymi.

Sadie podniosła z maty porozrzucane ulotki i rachunki, które przysły pocztą, i zamknęła nogą drzwi. Dzień zrobił się szary, lecz kiedy włączyła światło, zapaliła się tylko jedna z trzech żarówek.

Minęły zaledwie dwa tygodnie, a już na wszystkich powierzchniach osiadła warstewka kurzu. W powietrzu unosił się kwaśny zapach opuszczenia i meble Sadie, które nigdy nie należały do najpiękniejszych, pod jej nieobecność stały się jeszcze bardziej ponure i brzydkie, niż pamiętała. Atmosferę zapuszczenia, porzucenia i ogólnego zaniedbania potęgowała roślina doniczkowa stojąca na kuchennym zlewie.

– O, rany! – zawołała Sadie. Upuściła torbę na podłogę, rzuciła pocztę na kanapę i podeszła do biednego, smutnego truchelka. – Co się z tobą stało?

Wzięła ją kilka miesięcy temu po wielkanocnej uroczystości w miejscowym przedszkolu w porywie domatorskich ambicji, a także jako protest przeciwko oskarżeniom mężczyzny, z którym się spotykała i którego pożegnalne słowa do tej pory dudniły na schodach:

– Jesteś tak przyzwyczajona do samotności, że nie umiałabyś zadbać nawet o kwiatek doniczkowy.

Sadie oberwała zeschnięte liście pod zlewem. No to mu pokazała.

Z ulicy dochodził gwar, warkot samochodów i głosy ludzi; mieszkanie wydawało się przy tych stłumionych odgłosach nienaturalnie ciche. Znalazła pilota i włączyła telewizor. Właśnie mówił coś z ciętym humorem Stephen Fry; ściszyła głos i zajrzała do lodówki. Zobaczyła kolejne miejsce katastrofy: prawie puste półki, jeśli nie liczyć kilku zwiotczących marchewek i kartonu soku pomarańczowego. Sprawdziła datę ważności i stwierdziła, że sześć dni po upływie przydatności do spożycia to nie tragedia. Oni zawsze są z tymi rzeczami nadmiernie ostrożni. Nalała sobie soku do szklanki i podeszła do biurka.

W czasie gdy uruchamiał się komputer, podłączyła komórkę do ładowania, po czym wyciągnęła z torby teczkę z dokumentacją Edevane'ów. Upiła łyk kwaśnego soku i krzywiąc się, czekała, aż ucichnie pikanie modemu łączącego komputer z internetem. Przez całą drogę do domu odtwarzała w pamięci rozmowę z Margot Sinclair. Była tak przekonana, że Rose Waters i Anthony'ego Edevane'a łączył romans i Theo był jej synem, a nie Eleanor, że z trudem przetwarzała nowo usłyszane informacje. Fragmenty układanki pasowały do siebie tak idealnie, że trzeba było ogromnego wysiłku woli, aby je rozdzielić i rozpocząć składanie na nowo. Uchwyciła się tak mocno swojego przeczucia, ponieważ doszła do wniosku, że Anthony Edevane pełnił w tej sprawie kluczową rolę. Kiedy się wyświetliła strona wyszukiwarki, wpisała hasło: „nerwica frontowa”.

Na ekranie pojawiła się lista stron; przeglądała je, dopóki nie trafiła na link do adresu firstworldwar.com, który wyglądał obiecująco. Weszła i zaczęła czytać definicję: *termin używany na określenie wstrząsu psychicznego... intensywność ostrzałów artyleryjskich... załamania nerwowe nawet silnych psychicznie żołnierzy*. Obok widniało czarno-białe zdjęcie mężczyzny w mundurze,

patrzącego w obiektyw ze smutnym półuśmiechem; prawa część jego twarzy nikła w cieniu. *Żołnierze nauczyli się rozpoznawać objawy, znacznie dłużej trwało, zanim uznały je władze wojskowe... ataki paniki, paraliż umysłowy i fizyczny, bóle głowy połączone ze stanami lękowymi, koszmary senne... wielu żołnierzy cierpiało jeszcze wiele lat po wojnie... leczenie było w najlepszym wypadku nieudolne, w najgorszym niebezpieczne...*

Na dole strony widniał link do pracy naukowej doktora W.H.R. Riversa, w której autor przedstawił w zarysie swoje teorie oparte na obserwacjach rannych żołnierzy w Craiglockhart War Hospital, przeprowadzonych w latach 1915–1917. Znaczna część pracy poświęcona była wyjaśnianiu procesu wyparcia. Doktor Rivers sugerował, że żołnierze, którzy po powrocie z wojny starali się przez większą część dnia zapominać o lękach i wspomnieniach, znacznie częściej padali ich ofiarą podczas cichych i samotnych godzin nocnych, kiedy sen osłabiał mechanizmy samokontroli i czynił ich bardziej podatnymi na nawroty makabrycznych wspomnień.

To miało sens. Z doświadczenia Sadie wynikało, że większość przeżyć nabiera nocą intensywności. W każdym razie działało się tak z jej własnymi mrocznymi myślami, które w nocy wymykały się spod kontroli i dręczyły ją pod postacią snów. Starła się je lekceważyć. Tymczasem, według doktora Riversa, tłumienie powodowało, że negatywne myśli nabierały energii i w efekcie przekształcały się w realistyczne, a nawet bolesne senne obrazy i koszmary, które wyładowywały się w umyśle z niepohamowaną gwałtownością. Sadie zapisała sobie w notesie to zdanie, przez chwilę nad nim rozmyślała, po czym zakreśliła słowo „gwałtowność”. Psychiatra użył go w odniesieniu do przebiegu procesów myślowych w umyśle chorego, lecz jego brzmienie, zwłaszcza w kontekście tajemniczego zaginięcia Thea Edevane’a, wywołało niemiłe uczucie. Przez cały czas miała świadomość, że istniała ta trzecia, przerażająca możliwość – że chłopiec nie zabłądził ani też nie został porwany, lecz spotkał go tragiczny los. Kiedy rozmawiała z Clive’em, zastanawiała się, czy Clementine Edevane mogła mieć jakiś związek ze śmiercią brata, przypadkowo lub nie, lecz może to wcale nie ona, ale jej ojciec był odpowiedzialny za zniknięcie chłopca?

Sadie przerzuciła wstecz kilka kartek w notesie, aż do rozmowy z Clive’em. Anthony i Eleanor nawzajem dostarczyli sobie alibi. Podczas przesłuchań Eleanor tkwiła pogrążona w głębokiej rozpacz i przez cały tydzień wymagała podawania środków uspokajających. Clive podkreślał, że Anthony traktował żonę z wyjątkową troskliwością i opiekuńczością i poświęcał jej wiele uwagi. Był dla niej taki czuły, łagodny i opiekuńczy. Pilnował, żeby odpoczywała, powstrzymywał ją, żeby nie pobięła szukać dziecka razem z policją. Właściwie nie spuszczał jej z oka. Sadie wstała i przeciągnęła się. Kiedy zapisywała te słowa, przyjęła spostrzeżenia Clive’a za dowód silnej więzi Edevane’ów, ich miłości i naturalnych zachowań małżeństwa, które stanęło w obliczu niewyobrażalnego nieszczęścia. Nie dostrzegała w tym niczego podejrzanego. Teraz jednak, widziane przez pryzmat jej nowo powstającej hipotezy (a upominała się w duchu, że to nic więcej, jak domysły budowane na przeczuciach), zachowanie to nabrało znacznie bardziej ponurej wymowy. Czy to możliwe, że Eleanor wiedziała, co zrobił jej mąż, i go kryła? Czy jako matka byłaby do tego zdolna? A jako żona? Czy Anthony swoim zachowaniem starał się łagodzić jej gniew, a jednocześnie pilnował, aby nie zdradziła policji tego, co wiedziała?

Spojrzała na zegar w dolnym rogu ekranu. Postanowiła z Oksfordu przyjechać do Londynu, uznała bowiem, że to dzień dobry jak każdy inny na rozmowę z Donaldem. Powinna się wyluzować, dać sobie trochę wytchnienia, zanim się z nim spotka i zacznie go przekonywać, że jest gotowa do pracy, a nie ścigać duchy po internecie. Powinna się odciąć od tej sprawy i wrócić do niej później, odłożyć notes i wziąć prysznic. Nic tak nie świadczy o „profesjonalizmie i pełnej gotowości do pracy”, jak dbałość o wygląd zewnętrzny. Jej uwagę przykuła jednak notatka na samym dole kartki w notatniku – informacja Clive’a o tym, że Eleanor co roku przyjeżdżała do Loeanneth. Zaczęła ją czytać. Stary policjant powiedział, że kobieta co roku zjawiała się w majątku z nadzieją, że jej syn jakimś cudem odnalazł drogę

do domu, lecz to był tylko domysł. Eleanor nie powiedziała Clive'owi, że taki był właśnie cel jej wizyt – sam je w ten sposób zinterpretował. A jeśli wcale nie oczekiwała powrotu Thea, ponieważ wiedziała, że syn nie żyje? Może przyjeżdżała co roku nie po to, aby pełnić wartę w miejscu jego zaginięcia, tylko aby uczcić jego pamięć, tak jak inni ludzie regularnie odwiedzają groby bliskich?

Stukała długopisem w notes. To były tylko spekulacje. Nikt w żadnym przesłuchaniu nie użył wobec Anthony'ego Edevane'a słowa „gwałtowny”, a doktor Rivers pisał o dysocjacjach, depresji, dezorientacji, rozstroju, poczuciu, że „zgasło światło”, lecz nie wspominał o skłonnościach do przemocy. Usiadła z powrotem do komputera i przejrzała kilka kolejnych stron, aż trafiła na przytoczony fragment wypowiedzi korespondenta wojennego, Philipa Gibbsa, który pisał o powrocie żołnierzy do dawnego życia:

Nie wszystko układało się dobrze. Wkładali z powrotem cywilne ubrania, patrzyli na swoje matki i żony, podobnie jak młodzi mężczyźni, którzy w czasach pokoju przed sierpniem 1914 roku wyjeżdżali w interesach. Lecz nie wracali tacy sami. Cierpieli na nagłe zmiany nastrojów, na kapryśne humory, ataki głębokiej depresji na przemian z dręczącą, niezaspokojoną żądzą przyjemności. Nierzadko wpadali w szal i tracili nad sobą panowanie, używali cierpkich słów, przejmowali skrajne poglądy, czasem ludzie się ich bali.

Przygryzła wargę i jeszcze raz przeczytała cały ustęp. *Nagłe zmiany nastrojów... kapryśne humory... skrajne poglądy... czasem ludzie się ich bali.* Te słowa ilustrowały stan, w jakim człowiek z pewnością mógł popełnić okropny błąd, straszny czyn, do którego nie byłby zdolny w normalnych okolicznościach.

Potem znalazła artykuł o sytuacji panującej w okopach na froncie zachodnim, opisy przerażających warunków sanitarnych, szczurów, błota, grzybicy, gnijących stóp i wszy, które żerowały na rozkładającym się ciele. Tak ją pochłonęła ta lektura, że kiedy zadzwonił telefon domowy, aż podskoczyła i wróciwszy do rzeczywistości, prawie widziała, jak wokół niej rozplywają się obrazy błota i rzezi.

Podniosła słuchawkę.

– Halo?

Ciepły, życzliwy głos Bertiego podziałał jak balsam na duszę.

– Dzwonię tylko, żeby się upewnić, czy dotarłaś bezpiecznie do Londynu. Masz wyłączoną komórkę. Obiecałaś, że odezwiesz się po przyjeździe.

– Och, dziadku, przepraszam! – Jestem beznadziejną wnuczką, która nie zasługuje na taką opiekuńczość jak twoja. – Padła mi bateria. Zatrzymałam się kilka razy po drodze, a na M czterdzieści jest koszmarny tłok. Dopiero co weszłam do domu. – Wyobrazila sobie kuchnię domu w Kornwalii, psy śpiące pod stołem i serce jej się ścisnęło. – Jak ci minął dzień? Jak chłopaki?

– Tęsknię za tobą. Poszedłem włożyć buty, a one przybiegły natychmiast i czekały, aż pójda na spacer.

– No to wiesz, co masz robić. Pokażą ci drogę.

Bertie zarechotał.

– Już widzę, jaki by miały ubaw, biegnąc za twoim dziadkiem. Czy raczej kuśtykając.

Ogarnął ją nagle przemożny żal.

– Dziadku, jeśli chodzi o tamten wieczór...

– Nieważne, było, minęło.

– Wykazałam się brakiem wrażliwości.

– Tęsknisz za Ruth.

– Byłam rozdrażniona.

– To z troskliwości.

– Lubię Louise, wydaje się bardzo miła.

– Jest dobrą przyjaciółką. Potrzebuję przyjaciół. Nie szukam zastępstwa dla twojej babci. Powiedz,

jak poszło spotkanie z krewną Rose?

– W pewnym sensie ślepy zaułek.

– Niania nie była matką?

– Wygląda na to, że nie.

Sadie zrelacjonowała mu pokrótce rozmowę z Margot Sinclair i zakończyła niespodziewanymi nowinami na temat nerwicy frontowej Anthony’ego Edevane’a.

– Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie, ale trochę o tym poczytałam i trudno sobie wyobrazić, żeby człowiek mógł przez to wszystko przejść i w późniejszym życiu nie odczuwać żadnych następstw. – Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, gdzie jakaś mama strofowała swoje dziecko, które nie chciało usiąść w wózku. – Czy ktoś z naszej rodziny brał udział w pierwszej wojnie światowej, dziadku?

– Brat cioteczny mojej mamy walczył nad Sommą, ale mieszkał na północy, więc go nigdy nie widziałem, a wujek, którego najbardziej lubiłem w dzieciństwie, brał udział w drugiej wojnie światowej.

– Zmienił się po powrocie?

– Nie wrócił z wojny. Zginął we Francji. Moja mama nigdy tego nie przeboleła. Ale nasz sąsiad, pan Rogers, wrócił z pierwszej wojny w okropnym stanie.

– W jakim sensie?

– Leżał zagrzebany w błocie przez osiemnaście godzin po wybuchu pocisku. Osiemnaście godzin, wyobrażasz to sobie? Tkwił na środku ziemi niczyjej, a towarzysze broni nie mogli się do niego dostać z powodu ostrzału. Kiedy go w końcu wykopali, był w stanie skrajnego szoku. Wysłano go na leczenie w jednym z tych szpitali, które założono w wiejskich rezydencjach, ale według relacji moich rodziców, nigdy już nie wrócił w pełni do siebie.

– Jak się zachowywał?

– Miał zawsze skurczoną twarz, jakby z przerażenia. Nękały go koszmary, nie mógł oddychać, zrywał się, z trudem chwytając powietrze. Czasem budziło nas w nocy nieludzkie wycie, które przenikało przez ściany sąsiednich domów. Biedaczysko. Wszystkie dzieci w okolicy się go bały. Czasem nawet bawiły się, rzucając sobie wyzwania, kto się ośmieli podejść pod jego drzwi, zapukać, a potem uciec.

– Ale ty chyba tego nie robiłeś?

– Nie. Mama złożyłaby mi skórę, gdyby podejrzewała, że stać mnie na takie dziecinne okrucieństwo. Poza tym utrzymywaliśmy kontakty z panem Rogersem. Mama wzięła go pod swoje skrzydła. Codziennie na kolację przygotowywała dla niego dodatkowy talerz, robiła mu pranie, pilnowała, żeby miał w domu czysto. Taka była moja mama, miała złote serce, czuła się najlepiej, kiedy mogła pomóc jakiemuś nieszczęśnikowi.

– Szkoda, że jej nie znałam.

– Tak, jak też tego żałuję.

– Z tego, co słyszę, była podobna do Ruth.

Sadie przypomniała sobie, jak serdecznie babcia przyjęła ją w swoim domu, kiedy nie miała dokąd pójść.

– Ciekawe, że to zauważyłaś. Po śmierci mamy przejęliśmy sklep moich rodziców, a Ruth kontynuowała również opiekę nad panem Rogersem. Oznajmiła kategorycznie, że nie można zostawić biedaka w potrzebie.

– Już słyszę, jak to mówi.

Bertie się roześmiał, a potem westchnął. Sadie wiedziała, że gdy tylko skończą rozmawiać, wejdzie po schodach na strych i zacznie grzebać w pudłach, szukając kolejnej drobnej pamiątki po żonie. Więcej jednak o niej nie wspomniał i zmienił temat na bardziej przyziemny i łatwiejszy.

– Masz coś na kolację?

To właśnie jest miłość, pomyślała Sadie ze wzruszeniem. Ktoś, kto dba o to, abyś miał co jeść,

kiedy zbliża się pora posiłku. Otworzyła lodówkę i zmarszczyła nos.

– Przystojniaka – odrzekła zamykając drzwiczki. – Idę na spotkanie z kumplem.



We wtorkowe wieczory w pubie Fox and Hounds panował gorączkowy ruch, w dużym stopniu za sprawą pobliskiego hostelu oraz czterogodzinnych obniżek cen alkoholu. Znacznie bliżej komendy znajdowały się inne puby, w których roiło się od policjantów, lecz Donald uważał, że dość się tych chłopaków naoglądał w biurze i warto przejść się kilka kroków dalej, żeby odpocząć od gadania o pracy. Z początku Sadie wierzyła mu na słowo, dopóki nie zauważyła, że zawsze brał ją ze sobą i za każdym razem gadali o pracy, a w dodatku to on zwykle zaczynał. Prawda była taka, że w Fox and Hounds mieli najtańsze piwo po tej stronie Tamizy, a Donald był straszliwym dusigroszem. Uroczym, lecz jednak dusigroszem. Poza tym we wtorki jego cztery córki przychodziły do domu na obiad i wyznał kiedyś Sadie, że potrzebuje każdej dostępnej fortyfikacji, żeby nie pękła mu głowa, gdy tylko przestąpi próg.

– Te ciągle kłótnie, Sparrow, te sprzeczki, pakty i przymierza. Nie mogę się w tym połapać. – Potrząsnął głową. – Kobiety... to dopiero zagadka, no nie?

Wszystko to sprowadzało się do tego, że Donald miał swoje przyzwyczajenia i gdy Sadie z burczącym żołądkiem szła w stronę Fox and Hounds, wiedziała, że zastanie go siedzącego przy tym samym stoliku z ilustracją ze znanej dziecięcej piosenki *Żaba w zalotach*. I rzeczywiście, kiedy weszła do środka, nad znajomym stolikiem unosił się wymowny kłęb dymu. Zapłaciła za dwa piwa i ruszyła ostrożnie przez salę z zamiarem usadowienia się na pustej ławie po drugiej stronie stolika. Tylko że ława po drugiej stronie nie była pusta. W kącie siedział zgarbiony Harry Sullivan i rechotał na cały głos z czegoś, co powiedział właśnie Donald. Sadie postawiła piwa na stole.

– Przepraszam, Harry, nie wiedziałam, że tu jesteś.

Jak wszyscy starzy gliniarze, Donald zbyt dużo w życiu widział, żeby wyglądać na zaskoczonego. Najbardziej wymowną oznaką zdziwienia na jego twarzy był nieznaczny ruch brwi.

– Sparrow. – Skinął lekko głową, jakby się rozstali godzinę temu.

– Cześć, Don.

– Myślałem, że wyjechałaś na wakacje – powiedział Harry wesoło. – Co, znudziło ci się słońce i surfing?

– Coś w tym rodzaju.

Uśmiechnęła się do Donalda, który dokończył poprzednie piwo, wytarł wąsy grzbietem dłoni i odsunął pustą szklankę na brzeg stolika.

– Byłaś w Kornwalii, tak? – ciągnął Sully. – Miałem ciotkę w Truro, każdego lata wyjeżdżaliśmy z bratem i siostrą...

– Sully, mógłbyś przynieść jeszcze jedną kolejkę? – spytał Donald.

Młodszy policjant spojrzał na pełne szklanki, które przyniosła Sadie, i otworzył usta, żeby zauważyć, że Don został właśnie obsłużony, lecz zaraz je zamknął powrotem. Nie należał do najbystrzejszych policjantów w wydziale, ale po chwili jego szerokie czoło zmarszczyło się ze zrozumieniem. Machnął pustą szklanką w nieokreślonym kierunku.

– Przyniosę sobie drugie – oznajmił.

– Dobra – powiedział uprzejmie Donald.

Sadie odsunęła się, żeby przepuścić Harry'ego, po czym wsunęła się głębiej. Skóra obicia była ciepła, co podsycało nieprzyjemne odczucie, że ktoś zajął jej miejsce.

– Pracujesz z Sullym?

– Tak.

- Macie coś ciekawego?
- Zwyczajna kradzież z włamaniem.

Korciło ją, żeby zapytać o szczegóły, lecz uznała, że lepiej nie naciskać. Wzięła do ręki kartę dań i zaczęła przeglądać menu.

- Umieram z głodu. Nie będzie ci przeszkadzało, że coś zjem?
- Skąd!

Moda na podnoszenie standardu lokali ominęła Fox and Hounds, więc menu obejmowało cztery potrawy, wszystkie od roku podawane niezmiennie z frytkami. Kierownictwo knajpy z taką dumą opierało się wszelkim zmianom, że informacja ta ozdabiała pierwszą stronę karty dań. Nie trzeba dodawać, że Donald popierał to z całego serca.

„Do diabła z tymi przeklętymi tapas! – burczał nieraz, kiedy w czasie śledztwa musieli wyjechać dalej w teren. – Co takiego złego jest w dobrych staroświeckich pierogach? Od kiedy to ludzie zrobili się tacy cholernie wyrafinowani?”

Sadie zatrzymała przechodzącą kelnerkę i zamówiła rybę z frytkami.

- Coś dla pana?

Donald pokręcił głową.

- Czeka na mnie rodzinny obiad – odparł ponuro.

Kelnerka odeszła i Sadie upiła łyk piwa.

- U rodziny wszystko w porządku?
- Tak, bardzo dobrze.
- A ty jesteś zawalony robotą?
- Tak, jest tego trochę. Słuchaj, Sparrow...
- Ja też. Pracowałam nad pewną dawną sprawą.

Gdy tylko to powiedziała, od razu zbeształa się w duchu. Nie zamierzała wspominać o Edevane'ach. Rozgrzebywanie sprawy dziecka zaginionego siedemdziesiąt lat temu, studiowanie starych map i policyjnych kartotek, przesłuchiwanie potomków ludzi powiązanych ze sprawą... wszystko to nie świadczyło o udanym wypoczynku i psychicznej rekonwalescencji, lecz widok Sully'ego, który zajął jej miejsce, włączył w jej głowie wszystkie alarmy. Bęcwał!

Ale było za późno, żeby to cofnąć, uznała więc, że może tylko zamaskować błąd, poruszając nowy temat. Lecz i na to było już za późno. Donald zastrzygł uszami niczym owczarek niemiecki, który zwietrzył królika.

- Dawna sprawa? Jaka?

– Och, w sumie nic wielkiego. Stary policjant z Kornwalii szukał pudła rezonansowego dla pewnej starej, niewyjaśnionej historii. – Pociągnęła łyk piwa, żeby zyskać na czasie i poskładać do kupy stosowne kłamstwo. – Znajomy mojego dziadka. Nie mogłam odmówić.

Zrelacjonowała pospiesznie przypadek Edevane'ów, żeby nie zaczął dociekać, jak dokładnie wpadła na tę sprawę. Lepiej, żeby uznał ją za zbyt uczynną, niż dostrzegł w sprawie zniknięcia Thea kolejny przejaw tej samej obsesji. Słuchał, od czasu do czasu kiwając głową, podczas gdy Sadie zbierała paprochy tytoniu rozsypane na obrusie.

– Mam przecucie, że ta nerwica frontowa odgrywa ważną rolę – powiedziała Sadie, kiedy kelnerka postawiła przed nią talerz ze zbyt mocno przysmażoną rybą.

- Ty i te twoje przecucia!

Zakłęta w duchu na swój nieszczęśliwy dobór słów, lecz nie chwyciła przynęty.

- Wiesz coś na ten temat?

- Zespół stresu pourazowego. Trochę o tym słyszałem.

Przypomniało jej się, że bratanek Donalda brał udział w wojnie w Zatoce Perskiej. Jej partner nie należał do gaduś, ale słyszała kilka ogólnikowych aluzji i mogła się domyślić, że Jeremy nie przeżył tam

czegoś, co można by nazwać eufemistycznie „dobrą wojną”.

– Pieprzone draństwo. Kiedy już myśleliśmy, że jest z górki, znowu go dopadło. Paskudna depresja.

– Pokręcił głową, jakby nie potrafił znaleźć słów na opisanie cierpienia swego bratanka. – Nie jakies tam chandry platfusów. To zupełnie inna sprawa. Beznadzieja, rozpacz... aż ciarki przechodzą.

– Niepokój.

– Też. Palpitacje, stany lękowe, koszmary są tak realistyczne, że wydają się jawą.

– Skłonność do przemocy?

– Można tak powiedzieć. Bratowa złapała go kiedyś, jak celował ze strzelby ojca w drzwi młodszego brata. Uroiło mu się, że w środku są Arabowie z milicji.

– Boże, Don, tak mi przykro.

Zacisnął usta w kreskę i skinął głową.

– Parszywa historia. To był taki dobry dzieciak, miał miękkie serce... Nie dlatego to mówię, że to chłopak mojego brata. Zawsze wiedziałem, że jeśli moje córki są z Jeremym, to mogą być spokojny. – Gniewnym ruchem strzepnął ze stołu popiół. – Rzeczy, które ci chłopcy musieli tam robić... to, co oglądali i czego nie mogą zapomnieć. Po czymś takim człowiek nie może wrócić do normalnego życia. Jak można kazać człowiekowi zabijać i oczekiwać, że potem będzie znów normalny?

Sadie potrząsnęła głową.

– Nie wiem.

Donald wziął do ręki piwo i ze złością pociągnął duży łyk. Miał przekrwione oczy. Kiedy opróżnił szklanekę, otarł szczeniaste wąsy wierzchem dłoni.

– Don...

– Co tu robisz, Sparrow?

– Dzwoniłam do ciebie, zostawiłam wiadomość. Nie odebrałeś jej?

– Miałem nadzieję, że żartujesz. Piątek trzynastego i takie tam...

– Nie żartowałam. Jestem gotowa do powrotu. Gdybyś mi tylko zaufał...

– Za późno, Sparrow. – Zniżył głos, prawie syknął. Pochylił się, zerknął w stronę Sully'ego, który opierał się na barze i śmiał do jakiejś jasnowłosej turystki. – Ashford zaczął badać sprawę przecieku na temat Bailey. Słyszałem od Parra-Wilsona, on zawsze wie o takich rzeczach pierwszy. Są naciski z góry, żeby ukarać sprawcę dla przykładu. Polityka wewnętrzna. Kwestia wizerunku, kapujesz.

– Ożeż... wdepnęłam w gównno.

– Mniej więcej.

Przez chwilę siedzieli, każde w skrytości ducha rozważało powagę sytuacji. Don przesuwiał po stole szklanekę tam i z powrotem.

– Jezu, Sparrow, wiesz, że mam o tobie dobre zdanie, ale w tym roku wybieram się emeryturę, muszę mieć czyste ręce.

Sadie skinęła głową. Myślała gorączkowo o wszystkich konsekwencjach tej nowej sytuacji.

– Najlepiej wróć do Kornwalii. Jeśli prawda wyjdzie na wierzch, a na pewno nie wyjdzie ode mnie, będziesz mogła się tłumaczyć wyczerpaniem psychicznym, pokażesz im, że zrozumiałaś, że źle postąpiłaś, i postanowiłaś dać sobie na wstrzymanie.

Potarła czoło. W ustach czuła gorycz rozczarowania, a w pubie zrobiło się nagle głośniejsze niż zwykle.

– Sparrow, słuchasz mnie?

Niechętnie skinęła głową.

– Grzeczna dziewczynka. Nie było cię tu dzisiaj. Przez cały czas byłaś w Kornwalii na wywczasach.

– A co z Sullym?

– Nie przejmuj się nim. Jak skończy z tą blondynką przy barze, która się śmieje z jego dowcipów, nie będzie nawet pamiętał, jak się nazywał.

- Rany, dzięki.
- Powinnaś się cieszyć.
- Tak, tak.
- A teraz lepiej już znikaj.

Sadie wzięła torebkę.

- Jeszcze jedno, Sparrow...

Odwróciła się.

- Daj mi znać, jak ci idzie z tą dawną sprawą, dobra?

Kiedy Sadie wracała do domu, padał deszcz, drobne srebrzyste szpilki śmigały ukośnie w świetle latarni. Na poboczach zbierały się kałuże, przejeżdżające samochody rozpryskiwały na boki fontanny wody. Uznała, że dobrze jej zrobi, jeśli się przebiegnie, lecz kiedy znalazła się na swojej ulicy, nie czuła, żeby rozjaśniło jej się w głowie, była za to kompletnie przemoczona. Powiedziała sobie, że mogło być gorzej, że wystarczy gorący prysznic, lecz zbliżając się do wejścia, w ciemności pod daszkiem zobaczyła opierającego się o mur człowieka. Ludzie zwykle nie wystają na deszczu dla przyjemności; nieznajomy wyglądał, jakby na coś czekał: zgarbione plecy, ramiona skrzyżowane na piersi, charakterystyczna postawa gotowości. Z tej odległości nie potrafiła rozróżnić, czy to kobieta, czy mężczyzna. Zwolniła i zerknęła w górę. U wszystkich sąsiadów paliły się światła, tylko u niej było ciemno, co oznaczało, że osoba przed wejściem czeka prawdopodobnie na nią. Westchnęła z determinacją, sięgnęła do torebki po klucze i uchwyciła palcami najostrzejszy. Kiedyś dała się zaskoczyć niespodziewanemu napastnikowi – niezadowolonemu podejrzanemu w sprawie o narkotyki – i przysięgła sobie, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

Zmusiła się, żeby zachować spokój, iść w tym samym tempie, chociaż w jej żyłach szalała adrenalina. Przez głowę przelatywały wszystkie sprawy, które prowadziła, cała lista niepewnych znajomości, ludzi, którym mogło przyjść dzisiaj do głowy, że to idealna okazja, aby załatwić stare porachunki. Zlustrowała dyskretnie samochody zaparkowane przy ulicy, zastanawiając się, czy w którymś siedzi współnik, i ze ściśniętym sercem przypomniała sobie, że jej komórka ładuje się w mieszkaniu.

Kiedy podeszła bliżej, pierwszą, odruchową falę strachu zagłuszyło zniecierpliwienie. Nie miała ochoty dać się wciągać w cudze gierki, zwłaszcza po tym, co przed chwilą usłyszała. Zaciśnęła zęby i postanowiła wziąć byka za rogi.

– Na mnie pan czeka?

Nieznajomy odwrócił się szybko.

– Już myślałam, że wyjechałaś.

To był kobiecy głos. Latarnia przy ulicy oświetliła jej twarz na pomarańczowo i Sadie – ponieważ nie dorównywała Donaldowi ani wiekiem, ani doświadczeniem – wiedziała, że zaskoczenie na jej twarzy bije w oczy.

– Wyjechałam, ale wczoraj wróciłam.

Nancy Bailey uśmiechnęła się lekko.

– Mam wycucie czasu, co? Czy mogłabym wejść?

Rany boskie, oczywiście, że nie mogła. Prywatna wizyta matki Maggie Bailey była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Powinna siedzieć jak mysz pod miotłą, kiedy komisarz prowadził dochodzenie. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak w tym świetle wyglądałoby jej spotkanie z Nancy.

– Powiedziałaś, że bym była w kontakcie – przypomniała jej Nancy. – Żeby ci dała znać, jeśli przyjdzie mi coś do głowy.

Idiotka! Sadie zwymyślała się w duchu za taką głupotę. Rzeczywiście powiedziała coś takiego, kiedy ostatni raz wychodzili od Nancy, poinformowawszy ją, że policja ostatecznie zamknęła sprawę jej córki.

„Na pewno pani rozumie, że nie możemy szukać każdego, kto postanowił zrobić sobie wolne, nie uprzedzając krewnych” – zwrócił się do niej Donald.

Sadie stała obok i potakiwała głową. Dopiero kiedy wyszli na ulicę, skłamała, że zostawiła na górze notes, i pognąła z powrotem do mieszkania Nancy. Kretynka! Była na siebie wściekła, lecz co mogła teraz zrobić?

– Proszę, wejdz – powiedziała, otwierając drzwi.

Wpuściła kobietę do środka, po czym obejrzała się przez ramię, jakby się spodziewała zobaczyć na ulicy szpiegów Ashforda, robiących skrzętnie notatki.

W mieszkaniu grał telewizor, a zwiędła roślina nadal stała zwiędła. Oświetlenie wyglądało romantycznie albo złowieszczo, zależnie od punktu widzenia. Sadie w pośpiechu pozbierała rozrzucone na kanapie rzeczy z wybebeszonej torby podróżnej oraz listy i ulotki i przełożyła je na mały stolik do kawy.

– Usiądź. Przebiorę się tylko w suche rzeczy. To nie potrwa długo.

Klnąc pod nosem, ściągnęła w sypialni mokrą koszulę i wygrzebała z szuflady świeżą. Cholera! Szlag! Cholera! Wytarła ręcznikiem włosy i twarz, po czym wzięła głęboki oddech. Z całą pewnością wizyta Nancy nie należała do sprzyjających okoliczności, ale może przynajmniej spróbować obrócić sprawę na swoją korzyść i przy okazji zakończyć tę znajomość raz na zawsze. Wzięła głęboki oddech i z mocnym postanowieniem weszła z powrotem do salonu.

Nancy siedziała na kanapie i bębniła lekko palcami w splewiałe dzinsy. Wydawała się taka słaba i krucha, taka młoda. Miała zaledwie czterdzieści pięć lat; popielate włosy opadały jej luźno na ramiona, równo obcięta grzywka nachodziła na oczy.

– Napijesz się herbaty?

– Chętnie, proszę.

Sadie rozejrzała się szybko po kuchni i stwierdziła, że herbata jej się skończyła.

– A może whisky?

– Jeszcze chętniej.

Uprzytomniła sobie, jak bardzo lubi tę kobietę. W innym życiu mogłyby zostać przyjaciółkami. Na tym częściowo polegał problem. Wzięła dwa kieliszki i zniosła je do pokoju razem z butelką johnnie walkera. Wiedziała, co powinna zrobić: nie dopuścić do rozmowy na temat „zniknięcia” Maggie, zachowywać się, jakby córka Nancy po prostu wyszła z domu i wszystko wskazywało na to, że wróci w ciągu dwóch tygodni. Powinna powiedzieć coś niezobowiązującego w rodzaju: „Miała pani jakieś wieści od Maggie?”, lecz kiedy otworzyła usta, od razu zamknęła je z powrotem. Była gorącą orędowniczką teorii, że Maggie spotkało coś złego, więc gdyby teraz coś takiego powiedziała, brzmiałoby to wyjątkowo fałszywie. Postanowiła najpierw posłuchać Nancy. Nalała whisky do szklaneczek i podała jej jedną.

– Byłam w mieszkaniu Maggie – zaczęła Nancy. – Widziałam, jak wprowadzali się nowi lokatorzy. Człowiek, od którego Maggie je wynajmowała, postanowił się go pozbyć, tak szybko i cicho, jak gdyby ona w ogóle nie istniała.

– Wszłaś do środka? Rozmawiałaś z nowymi właścicielami?

– Chciałam, żeby wiedzieli, co tam się wydarzyło. Tak na wszelki wypadek.

Więcej nie wyjaśniła, bo nie musiała. Sadie zrozumiała. *Na wszelki wypadek, gdyby Maggie wróciła.* Mogła sobie wyobrazić tę rozmowę. Z doświadczenia wiedziała, że większość ludzi nie lubi mieszkań, w których toczyło się śledztwo kryminalne, chociaż podejrzewała, że porzucenie dziecka to jednak nie to samo co morderstwo.

– Jak zareagowali?

– Wykazali dużo życzliwości. To młode małżeństwo i ich pierwsze mieszkanie. Byli jeszcze w trakcie rozpakowywania, ale zaprosili mnie na herbatę.

– Przyjąłeś zaproszenie?

– Oczywiście.

Oczywiście, że przyjęła. Nancy wierzyła w Maggie niezachwianie, nie cofnęłaby się przed niczym, aby udowodnić, że miała rację i jej córka nie porzuciła swojego dziecka.

– Chciałam ostatni raz zajrzeć do środka. Ale bez Maggie, bez jej rzeczy, mieszkanie wyglądało obco, jak zupełnie inne miejsce.

Rzeczy Maggie leżały w pudłach w pokoju gościnnym jej matki, tym, który urządziła dla Caitlyn. Nancy wyglądała, jakby się miała rozplakać. Sadie nie była pewna, jak się zachować. Nie miała nawet pudełka z chusteczkami, które mogłaby postawić znacząco na stoliku.

– Wiem, że to nie miało sensu – ciągnęła Nancy. – Zachowali się bardzo uprzejmie, wypytywali mnie o Maggie, ale na ich twarzach widziałam litość. Uważali mnie za wariatkę. Stara, żałosna, obłąkana kobieta. Wiem, że to było niemądre.

Było. Mniej tolerancyjni ludzie wezwaliby policję i oskarżyli ją o zakłócanie spokoju, a może nawet o wtargnięcie i naruszenie prywatności. Ale Sadie potrafiła to zrozumieć. Pomyślała o Loeanneth, gdzie siedemdziesiąt lat po zniknięciu Thea nadal stały te same meble, a według relacji Clive’a Eleanor Edevane przyjeżdżała co roku w miejsce, gdzie ostatnio widziano jej syna. Obydwoma kobietami kierowała ta sama potrzeba, tylko Nancy nie mogła sobie pozwolić na luksus utrzymywania świątynki dla zaginionej córki. Miała jedynie wolny pokój wypełniony pudłami i tanimi meblami.

– Co u Caitlyn? – spytała, zmieniając temat.

Nancy rozpogodziła się na twarzy.

– Wszystko dobrze. Kochany kwiatusek. Tęskni za mamą. Chciałabym ją częściej widywać.

– Przykro mi.

Naprawdę było jej przykro. W mieszkaniu Nancy widziała niezliczone fotografie dziewczynki, oprawione w ramki i wyeksponowane w każdym pomieszczeniu. Wisiały na ścianach, stały na telewizorze, na półkach. Nancy spędzała z Caitlyn dużo czasu, zanim Maggie zniknęła. Często zajmowała się wnuczką, kiedy córka pracowała.

– Czuję się, jakbym je obie straciła.

Międliła w palcach róg poduszki leżącej na kanapie.

– Nie straciłaś obu. Sądzę, że Caitlyn będzie cię potrzebować bardziej niż przedtem.

– Już nie wiem, gdzie jest moje miejsce. Caty dostała nowe życie. Urządzili jej u Steve’a pokój pełen zabawek, z nowym łóżeczkiem i kołderką z obrazkami Dory. To jej ulubiona bajka.

– Tak, pamiętam. – Sadie przypomniała sobie małą dziewczynkę stojącą w korytarzu w różowej koszulce nocnej. Wspomnienie to ukłuło ją boleśnie w piersi; rozumiała doskonale, co czuje Nancy na myśl, jak szybko jej córkę w życiu dziewczynki zastąpił ktoś inny. – Jest malutka. Dzieci lubią zabawki i bajki, ale wiedzą, co jest naprawdę najważniejsze.

Nancy westchnęła i odgarnęła grzywkę.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Sadie. Właściwie nie wiem, po co tu przyszłam, nie powinnam była. Narobię ci kłopotów.

Sadie przemilczała fakt, że mleko zostało już rozlane. Napełniła ponownie szklaneczki.

– Domyślam się, że pracujesz teraz nad czymś innym? – odezwała się Nancy.

– *Nie ma pokoju dla bezbożnych*³.

Sadie zastanawiała się, czy nie powiedzieć jej o historii rodziny Edevane’ów, choćby po to, żeby zmienić temat, uznała jednak, że podobieństwa między tymi sprawami nie podziałają dobrze na Nancy, która zresztą i tak nie bardzo słuchała, wciąż bowiem myślała tylko o córce.

– Wiesz, co w tej teorii jest najbardziej niedorzeczne? – powiedziała, odstawiając szklanekę i splatając palce. – Czemu Maggie miałaby porzucać Caitlyn po tym, jak zadała sobie tyle trudu, aby ją zdobyć.

– Masz na myśli urodzenie jej? – spytała Sadie łagodnie zdziwiona.

Nie słyszała dotąd, żeby Maggie miała problem z płodnością.

– Ależ nie, dobry Boże, tym dwojgu wystarczyło tylko na siebie spojrzeć. Musieli przyspieszyć ślub, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie, mówię o rozwodzie. Włożyła mnóstwo starań, żeby udowodnić, że będzie dobrą matką. Zdobywała opinie świadków, przyjmowała odwiedziny urzędników z opieki społecznej, którzy wszystko skrzętnie notowali. Takim młodym ludziom niełatwo przekonać sąd, ale Maggie za wszelką cenę chciała zatrzymać Caitlyn. Powiedziała mi kiedyś: „Coty jest moją córką i powinna ze mną zostać”.

Spojrzała na Sadie błagalnym i zarazem triumfalnym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Nie rozumiesz tego?”.

– Po co by to wszystko robiła, gdyby chciała ją potem zostawić?

Sadie nie miała serca jej powiedzieć, że bitwa w sądzie niczego nie dowodzi. Prawie w każdym rozwodzie rodzice walczą zębami i pazurami o opiekę nad dziećmi, a ich zawziętość rzadko wynika z instynktów rodzicielskich, lecz częściej z chęci, by dopiec byłemu małżonkowi. Widywała skądinąd poczciwych i całkiem rozsądnych ludzi, którzy walczyli wściekle w sądzie rodzinnym o świnki morskie i srebrne zastawy albo o portret teriera Bilba, namalowany przez ciotkę Mildred.

– To też nie było łatwe. Jej były mąż jest lepiej sytuowany i ponownie się ożenił. Bała się, że sąd uzna zamożne małżeństwo za lepszą perspektywę dla dziecka niż samotną matkę. W końcu jednak sędzia podjął słuszną decyzję. Zobaczył, że Maggie jest dobrą mamą. I miał rację. Wiem, że Steve opowiedział wam historię o tym, jak zapomniała odebrać małą z przedszkola, ale to było nieporozumienie. Zaczęła nową pracę i za późno się zorientowała, że nie zdąży. Wtedy zaczęłam jej pomagać. Była wspaniałą mamą. Kiedy Coty skończyła dwa lata, wymarzyła sobie wyjazd nad morze i zaplanowałyśmy go na jej urodziny. Obiecywałyśmy jej, rozmawiałyśmy o tym od tygodni, ale rozchorowała się na dzień przed wyjazdem. Dostała gorączki, dosłownie przelewała się przez ręce. Była taka rozżalona. Wie pani, co zrobiła Maggie? Przywiozła morze do Coty. Przetrzęsnęła magazyn w pracy, wyszukała jakieś resztki z zaopatrzenia i przez całą noc robiła fale z folii aluminiowej i kartonów, ryby, mewy i muszle, żeby Coty miała co zbierać. I urządziła specjalnie dla niej przedstawienie kukielkowe.

Na to wspomnienie niebieskie oczy Nancy aż załśniły. Sadie odpowiedziała uśmiechem, lecz pełnym współczucia. Zrozumiała, dlaczego Nancy do niej przysłała, i zrobiło jej się smutno. Nie wydarzyło się nic nowego, po prostu chciała porozmawiać o Maggie, i zamiast krewnych czy przyjaciół wybrała Sadie. To się często zdarzało w śledztwach; krewni ofiary czuli szczególną więź z policjantem prowadzącym dochodzenie. Sadie wydawało się to zrozumiałe – ludzie, którym niespodziewana zbrodnia wywróciła życie do góry nogami, szukali wsparcia u osób uosabiających dla nich rozwiązanie problemu, a także bezpieczeństwo, osób, które – pozornie – miały za zadanie wszystko naprawić.

Lecz Sadie nie mogła już szukać Maggie ani tym bardziej niczego naprawić. W każdym razie nie dla Nancy Bailey. Ani nawet dla siebie. Spojrzała na zegarek. Poczuli się nagle kompletnie wyczerpana. Miała za sobą długi i ciężki dzień. Kiedy pomyślała, że jeszcze dziś rano zbudziła się w Kornwalii, odniosła wrażenie, że musiało się to przydarzyć komuś innemu albo bardzo dawno temu. Współczuła Nancy, lecz wkraczały na dobrze znany teren i żadnej z nich nie mogło to wyjść na dobre. Zebrała puste szklanki i postawiła je obok butelki z whisky.

– Nancy, nie chcę być niegrzeczna, ale jestem bardzo zmęczona.

Kobieta pokiwała szybko głową.

– Oczywiście, przepraszam, ja tylko... zagadałam się. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Ale nie przyszedłam tu dzisiaj bez powodu. – Nancy wyciągnęła z kieszeni mały notes w skórzanej okładce. – Przeszukiwałam ponownie rzeczy Maggie, pomyślałam, że może znajdę jakiś nowy trop, i zobaczyłam w jej kalendarzu, że była umówiona na kolację z kimś o inicjałach MT. Ta notatka była tam przez cały czas, ale wcześniej nie rozumiałam, co oznacza. Teraz sobie przypomniałam, że to był nowy pracownik w jej firmie.

Wskazała inicjały paznokciem obgryzionym do samej skóry.

– Uważasz, że ten człowiek może mieć jakiś związek z jej zniknięciem?

Nancy popatrzyła na nią, jakby postradała rozum.

– Ależ skąd, głuptasie! Uważam, że jest dowodem na to, że Maggie nigdzie nie wyjechała, a w każdym razie nie z własnej woli. Nie umawiała się na randki, nie zrobiła tego ani razu od rozwodu. Nie chciała mieszać Caty w głowie, paradując po domu z obcymi facetami. Ale z tym było inaczej, z tym MT. Opowiadała mi o nim kilkakrotnie. Mówiła: „Wiesz, mamusiu, jest przystojny i naprawdę miły i dowcipny”. Uważała nawet, że to może być ten jedyny.

– Nancy...

– Nie rozumiesz? Czemu miałyby odejść akurat wtedy, gdy wszystko zaczynało się w jej życiu układać?

Sadie mogła natychmiast wyliczyć kilka powodów, lecz powody nie miały tym razem znaczenia. Tak jak powiedział Donald: myślenie o motywach sprowadza tylko na manowce, odwraca uwagę od ważniejszych rzeczy. Jeśli człowiek nie potrafi ich od razu wyjaśnić, nie pozwalają mu dostrzegać prawdy, którą ma przed oczami. Liczyło się tylko to, że Maggie odeszła. Znaleźli na to niepodważalny dowód.

– Znaleźliśmy list...

– Och. – Machnęła sfrustrowana ręką. – Wiesz, co myślę o tym liście.

Sadie wiedziała. Jak łatwo było przewidzieć, Nancy uważała, że został sfałszowany, chociaż kilku grafologów poświadczyło, bez cienia wątpliwości, że Maggie napisała go własnoręcznie.

– To nie ma sensu – powtórzyła Nancy. – Gdybyś ją znała, zgodziłabyś się ze mną.

Sadie nie znała Maggie, ale wiedziała kilka rzeczy. Wiedziała, że znaleziono list; wiedziała, że Caitlyn była głodna i przerażona, kiedy ją znaleźli; wiedziała, że teraz dziewczynka jest szczęśliwa i bezpieczna. Spojrzała na Nancy siedzącą na drugim końcu kanapy, z udręką malującą się na twarzy od wymyślania niekończących się teorii na temat tego, co się przytrafiło jej córce. Wydawało się, że ludzki umysł ma nieograniczony potencjał twórczy, jeśli mu na czymś bardzo zależy.

Znów pomyślała o Eleanor Edevane, której również zginęło dziecko. Nigdzie w notatkach Clive'a nie pojawiła się wzmianka, żeby wysuwała jakieś sugestie na temat tego, co się mogło stać z jej synem. Stary policjant powiedział, że zachowywała się z ogromną godnością, że spokojnie pozwoliła im wykonywać swoje obowiązki, że mąż powstrzymał ją, aby nie wypadła z domu i nie rzuciła się do pomocy w poszukiwaniach, że postanowiła nie wyznaczać nagrody, ale później złożyła hojną darowiznę policji w podziękowaniu za ich wysiłki.

Nagle wszystko to wydało się Sadie bardzo nienaturalnym zachowaniem, tak bardzo odmiennym od zarliwej, niezachwianej wiary Nancy Bailey, że policja się myli, od jej nieustających wysiłków w szukaniu nowych wyjaśnień. Szczerze mówiąc, można było tę dziwną bierność Eleanor Edevane zinterpretować jako dowód na to, że wiedziała, co się stało z jej dzieckiem. Clive oczywiście tak nie myślał. Uważał, że trzymała się ogromnym wysiłkiem woli i wstrząsnęła nią dopiero kolejna tragedia, czyli samobójstwo jej przyjaciela, Daffyda Llewellyna. Lecz policjanci z dochodzeniówki nie zawsze potrafią wznieść się ponad osobiste związki, które powstają między nimi a rodzinami ofiar, szczególnie jeśli są to młodzi funkcjonariusze, którzy dopiero rozpoczynają pracę. Sadie siedziała bez ruchu, za to jej umysł pracował na najwyższych obrotach i analizował kolejne możliwości. Czy darowizna dla policji mogła być formą przeprosin za zmarnowany czas i środki w poszukiwaniach z góry skazanych na niepowodzenie? Poszukiwaniach dziecka, które nie żyło? Które może zostało pochowane gdzieś na terenie Loeanneth? Może w lesie, który izolował rezydencję od reszty świata?

– Przepraszam, jesteś zmęczona. Powinnam już iść.

Sadie zamrugała. Odleciała myślami tak daleko, że niemal zapomniała o swoim gościu.

Nancy wzięła torebkę i zarzuciła ją na ramię. Wstała.

– W każdym razie miło cię było zobaczyć.

– Nancy... – zaczęła Sadie i urwała.

Nie była pewna, co chciała powiedzieć. Przykro mi, że tak wyszło. Przepraszam, że cię zawiodłam. Nie należała do wylewnych osób, ale w tym momencie poczuła nieodpartą potrzebę przytulenia tej kobiety. I tak zrobiła.



Po wyjściu Nancy Sadie siedziała przez jakiś czas na kanapie. Nadal była zmęczona, lecz w głowie kłębiło jej się zbyt dużo myśli, aby mogła zasnąć. Zbeształa się w duchu za to, że przed wyjazdem z Kornwalii oddała do biblioteki *Fantastyczne wycieczki*; przydałby się jej teraz dobry środek usypiający. Smutek i samotność Nancy, a także rzucające się w oczy rozgoryczenie i poczucie zdrady pozostawiły po sobie w pokoju nieuchwytny ślad. Sadie współczuła jej z powodu tej dotkliwej izolacji od wnuczki, lecz tak naprawdę cieszyła się, że dziewczynka znalazła nową mamę, kochającego ojca z drugą żoną, gotową przyjąć cudze dziecko. Byli jednak na świecie dobrzy ludzie, tacy jak Bertie i Ruth.

Kiedy tamtego lata Sadie dowiedziała się, że jest w ciąży, w domu wybuchły piekielne awantury. Rodzice zajęli niewzruszone stanowisko, że „ludzie nie mogą się o tym dowiedzieć”, i zażądali, żeby „zajęła się tym szybko i cicho”. Sadie była zagubiona i przerażona, ale nie zgodziła się na to, co sugerowali. Konflikt narastał, tata zaczął wrzeszczeć, aż wreszcie – nie mogła sobie przypomnieć, które z nich postawiło ultimatum – Sadie odeszła z domu. Wtedy w sprawę włączyła się opieka społeczna. Spytano ją, czy ma kogoś, u kogo mogłaby zamieszkać, dopóki sytuacja się nie uspokoi, jakichś krewnych lub przyjaciół, którzy by ją do siebie przyjęli. Sadie z początku zaprzeczyła, dopiero kiedy naciskali, przypomniała sobie dziadków, których odwiedzała w dzieciństwie. Pamiętała mgliście podróże do Londynu, niedzielne obiady, pieczeń i maleńki ogródek otoczony murem. Potem przestali widywać dziadków, bo jej rodzice, jak wielu ludzi o ciasnych poglądach, często zrywali kontakty z ludźmi; jej matka nie odwiedzała rodziców od czasu, gdy Sadie skończyła cztery lata.

I po takiej długiej przerwie miała na nowo poznać Ruth i Bertiego, a okoliczności ich spotkania napawały ją wstydem. Była przez to drażliwa i zdenerwowana. Stała oparta plecami o ścianę sklepu, ukrywając onieśmienie za maską opryskliwości, podczas gdy państwo Gardiner wymieniali sąsiedzkie uprzejmości z jej dziadkami. Ruth gawędziła wesoło, Bertie stał obok ze zmarszczonym czołem, Sadie zaś wpatrywała się usilnie w swoje buty, paznokcie, pocztówki leżące obok kasy – wszystko, byle nie patrzeć na tych życzliwych dorosłych, którzy przejmowali kontrolę nad jej małym światem.

Właśnie kiedy tak stała i patrzyła na pocztówkę z widokiem ogrodu w kolorze sepii, po raz pierwszy poczuła kopnięcie dziecka. *Jakby łączyła mnie z tą maleńką, ukrytą istotką najbardziej zdumiewająca tajemnica*, napisała Eleanor do Anthony’ego na ozdobnym papierze listowym z gałązkami bluszczu i Sadie miała dokładnie takie samo wrażenie. Tylko ich dwoje przeciwko całemu światu. Po raz pierwszy wkradła jej się wtedy do głowy ta myśl – że mogłaby zatrzymać dziecko, że dopóki będą razem, wszystko będzie dobrze. To nie brzmiało rozsądnie: szesnastoletnia dziewczyna bez dochodów i perspektyw na pracę, niemająca pojęcia o wychowywaniu dziecka. Lecz pragnienie zapłonęło w niej z taką siłą, że na jakiś czas wyparło z głowy wszystkie rozsądne myśli. To przez hormony, powiedziały pielęgniarce.

Z westchnieniem wzięła ze stolika plik poczty i zaczęła ją przeglądać, rozdzielając rachunki od śmieci. Prawie na samym końcu zobaczyła kopertę, która nie zawierała ani rachunku, ani reklam. Adres napisano odręcznie, wyraźnym, starannym charakterem pisma, i w pierwszej chwili Sadie pomyślała, że to musi być ten sam list, który odesłała w zeszłym tygodniu, że na poczcie się pomylili i dostarczyli go z powrotem do niej, zamiast do nadawcy. Po sekundzie jednak zrozumiała, że jest to nowy list, że Charlotte Sutherland napisała do niej ponownie.

Nalała do szklaneczki whisky, żeby dodać sobie odwagi.

Jakaś część jej duszy nie chciała otwierać koperty, drugą aż świerbiło, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Ta ciekawsza wygrała. Jak zwykle.

Pierwsza połowa listu brzmiała podobnie jak poprzednio – była grzeczna i oficjalna. Dziewczyna wyjaśniała, kim jest, opowiadała trochę o sobie, o swoich osiągnięciach i zainteresowaniach, o tym, co lubi, a czego nie, lecz kiedy Sadie doszła do ostatniego akapitu, zauważyła, że charakter pisma się zmienił, stał się nierówny, jakby piszący stracił nad nim kontrolę. W oczy rzucało się szczególnie kilka linijek: *Proszę, niech Pani odpisze – niczego od Pani nie chcę, pragnę tylko wiedzieć, kim jestem. Nie poznaję siebie, patrzę w lustro i nie wiem, kogo przed sobą widzę. Proszę.*

Sadie upuściła list, jakby ją oparzył. W tych słowach brzmiała prawda. Piętnaście lat temu mogły wyjść z jej własnych ust. Pamiętała żywo ten ból, to uczucie, że nie zna już samej siebie. W mieszkaniu Ruth i Bertiego patrzyła w lustro, na swój nabrzmiały brzuch, wcześniej taki płaski, wczuwała się w to rosnące w środku życie. Potem było jeszcze gorzej – na skórze zostały ślady. Pamiętała to oczekiwanie, kiedy znów stanie się taka jak dawniej, a potem zrozumienie, że nie ma powrotu do przeszłości.

W szpitalu radzono im, aby nie nadawały dzieciom imion. Najwyraźniej to ułatwiało sprawę, a bardzo tam dbano o to, żeby wszystko przebiegało bez utrudnień. Nikomu nie zależało na scenach. Pielęgniarka wyznała jej, że zdarzają im się często, bez względu na to, jak bardzo starają się być ostrożni. To nieuniknione, ciągnęła ze stoicką mądrością, nieważne, jak dobry system stosują, zawsze mogą pojawić się kłopoty. Sadie do tej pory słyszała czasem w uszach krzyki ciemnowłosej dziewczyny o śródziemnomorskiej urodzie, biegnącej białym korytarzem w rozchełstanej koszuli i z obłąkanym wzrokiem: „Chcę moje dziecko, oddajcie mi moje dziecko”.

Sadie nie krzyczała. Prawie się nie odzywała, a kiedy już było po wszystkim, kiedy przyjechali po nią Ruth i Bertie, poszła tym samym korytarzem, wlepiła wzrok w drzwi, jakby nic się nie wydarzyło i cały epizod można było zostawić w tym jasnozielonym pokoju z pęknięciem na ścianie w kształcie Nilu.

W pracy miewała często do czynienia z młodymi matkami i wiedziała, że w dzisiejszych czasach wiele instytucji współpracuje z nimi i organizuje adopcje tak, by mogły po porodzie widywać dzieci, nadawać im imiona i spędzać z nimi trochę czasu. W niektórych wypadkach mogą otrzymywać informacje o losach swoich dzieci, a czasem nawet je odwiedzać.

Wtedy jednak sprawy wyglądały inaczej. Panowały bardziej restrykcyjne zasady. Leżała w łóżku z ramieniem podłączonym do monitora, pielęgniarki biegały tam i z powrotem w gorączkowej krzątaninie, jaka zawsze następuje po porodzie, a ona trzymała w ramionach to dziwne, ciepłe zawiniątko o chudziutkich kończynach, okrągłym brzuszku i policzkach delikatnych jak aksamit.

Dziewięćdziesiąt minut.

Dziewięćdziesiąt minut trzymała swoje dziecko w ramionach, zanim je zabrano. Patrzyła za oddalającą się rączką, wystającą nad kocykiem w biało-żółte paski. To była ta sama śliczna rączka, którą pieściła i tuliła przez półtorej godziny i która zaciskała się mocno, zaborczo wokół jej palca, i na chwilę w pokoju między nimi rozwarła się nicość i wpadły do niej wszystkie rzeczy, jakie Sadie chciała powiedzieć swojej małej córce – o życiu, miłości, o przeszłości i przyszłości. Lecz pielęgniarki miały wytyczone zasady i zanim zdołała coś pomyśleć, małe zawiniątko znikło. Do tej pory wstrząsał ją czasem dreszcz, kiedy w jej uszach dźwięczało echo dziecięcego płaczu, a w nocy budziła się zlaną lodowatym potem od dotyku tej ciepłej zaciśniętej rączki. Nawet teraz, tutaj, w jej własnym mieszkaniu, zrobiło się nagle bardzo zimno. Złamała tylko jedną ze szpitalnych zasad. Nadała swojej córce imię.

Piwo z Donaldem, whisky z Nancy i zaduch sentymentalnych myśli tak ją wyczerpały, że choć było dopiero wpół do dziesiątej, musiała zasnąć, bo ocknęła się nagle, kiedy zadzwoniła komórka. Zamrugła w mętym świetle i usiłowała sobie przypomnieć, gdzie położyła ten przeklęty telefon.

Przy ładowarce. Zataczając się w jej stronę, starała się oprzytomnieć. W jej głowie kłębiły się dzieci, zaginione, adoptowane, porzucone dzieci. Może nawet zamordowane. Sięgnęła po telefon i zobaczyła na wyświetlaczu kilka nieodebranych połączeń. Wszystkie z tego samego nieznanego numeru.

– Halo?

– Detektyw Sadie Sparrow?

– Przy telefonie.

– Nazywam się Peter Obel. Jestem asystentem pani Alice Edevane.

Poczuła w żyłach przypływ adrenaliny. Oprzytomniała w mgnieniu oka.

– Tak, słucham.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale to dość delikatna sprawa i nie chciałem zostawiać wiadomości.

Pewnie to groźba, że rozpoczną postępowanie prawne, jeśli Sadie nie zostawi jego pracodawczyni w spokoju.

– Alice Edevane otrzymała pani listy związane ze zniknięciem jej brata Thea i prosiła, abym do pani zadzwonił.

– Tak?

– Chciałaby umówić się z panią na rozmowę w tej sprawie. Czy odpowiada pani piątek w południe?

Pierwszym prawdziwym wspomnieniem o tacie był dzień, kiedy poszli do cyrku. Kilka tygodni wcześniej Alice skończyła cztery latka, a na pustym polu pod miastem wyrosły niczym zaczarowane muchomory czerwono-żółte namioty.

– Skąd oni wiedzieli, że to są moje urodziny? – spytała mamę, otwierając szeroko oczy z zachwytem, kiedy mijali obóz cyrkowców.

Przez następne dni podniecenie stopniowo osiągało apogeum, plakaty na murach i w oknach wystawowych przedstawiały klaunów, lwy i ulubiony numer Alice – dziewczynę latającą wysoko na lśniącym trapezie, za którym unosiły się w powietrzu czerwone wstążki.

Mała Clementine zachorowała, więc kiedy nadszedł wreszcie wielki dzień, mama została w domu, a oni, trzymając się za ręce, ruszyli przez łąki. Nowa sukieneczka wydymała się ślicznie, kiedy Alice podskakiwała obok taty, próbując wymyślić, co mogłaby mu powiedzieć. Była onieśmielona, lecz zarazem czuła się taka ważna. Przyszło jej teraz do głowy, że musiała być z nimi Deborah, lecz umysł Alice skrupulatnie wytarł z pamięci wspomnienie siostry. Kiedy przyszli na miejsce, uderzył ich zapach trocin i zwierzęcego łajna, dźwięk muzyki jarmarcznej, piszczących dzieci i rżących koni. Przed nimi wznosił się ogromny namiot z ziejącym czarnym otworem wejścia i dachem strzelającym w niebo. Alice przystanęła z oczami okrągłymi jak spodki i wpatrywała się w zatkniętą na szczycie postrzępioną żółtą flagę, łopoczącą na wietrze pośród stada szpaków dających się unosić prądom powietrznym.

– Ale ogromniasty – powiedziała, zachwycona nowym słowem, które podsłuchiwała w kuchni u pani Stevenson i od tamtej pory czekała na okazję, aby je z siebie wyrzucić.

W wejściu przepychał się sznur ludzi, dzieci i dorosłych, trajkoczących z podnieceniem, czekających, aż dostaną się do środka i będą mogli usiąść na wznoszących się ławkach. W powietrzu czuło się elektryzujące napięcie. Słońce prażyło i zapach rozgrzanego płótna namiotowego mieszał się z niecierpliwym wyczekiwaniem, aż w końcu po okręgu przetoczył się dźwięk bębna, uciszył odgłosy rozmów i wyciągnął zaciekawionych widzów na krawędzie ławek. Na arenę, pusząc się dumnie, wyszedł konferansjer, a za nim kroczyły ryczące lwy i słonie z tancerkami na grzbietach. Alice patrzyła jak zahipnotyzowana, odrywała zafascynowany wzrok tylko na krótką chwilę, aby spojrzeć w bok na tatę, by napawać się jego skupionym marsem na czole, zapadniętymi policzkami, ogoloną brodą. Nadal był dla niej wielką nowością, fragmentem układanki, którego brakowało w ich domu podczas wojny, chociaż o tym nie wiedziały – zapachem mydła do golenia, parą ogromnych butów stojącą w holu i głębokim, ciepłym, wąsatym śmiechem.

Potem kupił torebkę orzeszków ziemnych i razem chodzili od klatki do klatki, wkładali ręce przez kraty i otwierali dłonie na podziękowanie szorstkiego języka. W kolorowym wozie sprzedawano słodczyce i Alice ciągnęła tatę za ramię tak długo, aż się zgodził. Z jabłkami w polewie toffi, z kojącym uczuciem przyjemnego zmęczenia, ruszyli w kierunku wyjścia, gdzie siedział mężczyzna z drewnianymi kikutami zamiast nóg i kawałkiem metalu zasłaniającym połowę twarzy. Alice patrzyła na niego, sądząc, że to jeszcze jedna z cyrkowych atrakcji, takich jak kobiety z brodą czy karzeł w stroju klauna z cylindrem i pomalowaną twarzą, lecz wtedy tata ją zaskoczył, przyklękając obok mężczyzny i rozmawiając z nim półgłosem przez długą chwilę. Mijał czas, Alice zaczęła się nudzić, kopała nogą w piachu i zjadła jabłko

aż do samego patyka.

Szli do domu wzdłuż urwiska, w dole morze uderzało o skały, na łąkach kołysały się stokrotki, a tata wyjaśniał, że mężczyzna w metalowej masce był żołnierzem tak jak on; że nie wszyscy mieli tyle szczęścia co on, żeby wrócić do swoich wspaniałych domów, do pięknych żon i dzieci, że wielu z nich zostawiło w błotach Francji fragmenty swoich ciał i dusz.

– Ale ty niczego nie zostawiłeś – powiedziała zadziornie Alice, dumna, że jej tata wrócił do domu cały i zdrowy, że zachował obie strony swojej przystojnej twarzy.

Cokolwiek Anthony zamierzał na to odrzec, pozostało niewypowiedziane, ponieważ Alice, która szła po krawędziach ostrych kamieni, poślizgnęła się, upadła i stłukła sobie kolano. Wybuchła gniewnym płaczem, wyładowując złość na kamieniu, który wszedł jej w drogę. Tata opatrzył jej kolano chusteczką, przemawiał do niej łagodnie, co ukoilo ból, a potem wziął ją na barana i zaniósł do domu.

– Twój tatuś umie naprawiać różne rzeczy – powiedziała mama, kiedy wrócili w doskonałych humorach, z twarzami spalonymi słońcem, i dziewczynki zostały umyte i nakarmione w pokoju dziecięcym gotowanymi jajkami. – Zanim się urodziłaś, uczył się na wielkim uniwersytecie, gdzie przyjmują tylko najmądrzejszych ludzi w całej Anglii. Uczył się tam, jak pomagać ludziom. Aby zostać lekarzem.

Alice zmarszczyła brwi, rozważając tę nową wiadomość, po czym skwitowała energicznym ruchem głowy ewidentną mamy pomyłkę.

– Tatuś nie jest lekarzem. Nie jest jak pan doktor Gibbons. – Doktor Gibbons miał zimne palce i cuchnący oddech. – Tatuś jest magikiem.

Eleanor wzięła córkę na kolana i wyszeptała z uśmiechem:

– Mówiłam ci kiedyś, że tatuś uratował mi życie?

I Alice usadowiła się, aby posłuchać historii, która stanie się jedną z jej ulubionych opowieści. Kiedy mama mówiła, Alice czuła zmieszany zapach spalin samochodowych i zwierzęcych odchodów, widziała Marylebon Street zatłoczoną omnibusami, samochodami i tramwajami, czuła strach mamy, kiedy podniosła wzrok i zobaczyła wielką reklamę herbaty Lipton pędzącą na nią jak taran.

– Alice?

Zamrugła. Zobaczyła nad sobą twarz Petera.

– Już niedługo.

Spojrzała na zegarek.

– Niestety, niewielu ludzi jest naprawdę punktualnych, Peter. Należymy do wyjątków.

Starła się panować nad głosem, aby nie usłyszał w nim pobrzmiewającego zdenerwowania, lecz jego łagodny ton świadczył o tym, że jej się nie udało.

– Chcesz, abym coś zrobił, kiedy przyjdzie? Mogę notować albo przygotować herbatę.

„Po prostu tu bądź – miała ochotę powiedzieć – tak, żeby nas było dwoje, a ona jedna. Poczuję się wtedy pewniej”.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odparła jakby od niechcienia. – Jeśli po piętnastu minutach jeszcze tu będzie, możesz zaproponować herbatę. Tyle mi wystarczy, aby ocenić, czy warto tracić na nią czas. W tym czasie możesz się zająć innymi rzeczami.

Wrócił więc do kuchni, gdzie pracował przez cały ranek nad tą przeklętą stroną internetową. Pod jego nieobecność w pokoju znów zrobiło się gęsto od uporczywych wspomnień. Alice westchnęła. Wszystkie rodziny mają swoje historie, lecz jej przeszłość składała się chyba z grubszych pokładów powtarzanych opowieści niż inne. Po pierwsze stanowili liczną rodzinę, a po drugie wszyscy uwielbiali rozmawiać, pisać i dziwić się światu. Żyjąc w Loanneth, w domu, który miał własną historię, w nieunikniony sposób budowali swoje życie jako serię opowieści. Lecz pewien bardzo ważny rozdział nigdy nie został opowiedziany, prawda tak zasadnicza, że rodzice przez całe życie pracowali usilnie nad tym, aby zachować ją w sekrecie. Alice nie miała racji, kiedy tamtego dnia w cyrku użalała się nad

człowiekiem z kikutami i metalową maską na twarzy, a podskakując u boku ojca, zachwycała się tym, że wrócił z wojny cały. Jej ojciec również stracił coś we Francji – część duszy.

– Mama powiedziała mi o tym tuż po zakończeniu drugiej wojny – zwierzyła się Deborah we wtorek, kiedy siedziały w jej salonie i popijały herbatę, a niewytłumaczalne *mea culpa* wisiało między nimi w powietrzu. – Przygotowywałyśmy przyjęcie z okazji zwycięstwa i tata odpoczywał na górze. Był już poważnie chory i chyba trafiłam na jej refleksyjny nastrój. Rzuciłam jakąś banalną uwagę, jak to wspaniale, że wojna się skończyła i że wszyscy młodzi ludzie mogą wrócić do domu, do normalnego życia. Wieszła w oknie flagę i stała na drabinie odwrócona do mnie plecami. Sądziłam, że nie usłyszała. Dopiero kiedy powtórzyłam, zobaczyłam, że jej ramiona się trzęsą, i zorientowałam się, że płacze. Wtedy właśnie powiedziała mi o tacie, o tym, jak cierpiał, jak oboje cierpieli od czasu pierwszej wojny.

Alice siedziała na kanapie z delikatną filiżanką w dłoni, kompletnie osłupiała nie tylko na wieść o nerwicy frontowej ojca, lecz może nawet jeszcze bardziej z powodu tego, że Deborah postanowiła ujawnić ten fakt właśnie teraz, kiedy spotkały się, aby porozmawiać o Theo.

– Nigdy nic nie wskazywało na to, że cierpiał z powodu takiego urazu. Przecież mieszkali w Londynie w czasie nalotów. Na litość boską, wiele razy się z nimi widziałam i nigdy nawet się nie skulił ze strachu.

– Mama mi wytłumaczyła, że to inaczej działało. Miał kłopoty z pamięcią i ręce mu drżały na skutek kontaktu z gazem, nie mógł więc zostać chirurgiem, i to go bardzo przygnębiało. Prawdziwym problemem było jednak coś innego, coś bardziej konkretnego, co się tam wydarzyło i czego nie potrafił sobie wybaczyć.

– Co takiego?

– Nie chciała powiedzieć. Nie jestem pewna, czy wiedziała. Tata nie chciał rozmawiać z lekarzami, lecz cokolwiek zrobił czy widział podczas wojny, prześladowało go w koszmarach przez całe życie, a kiedy chwytaly go te ataki przerażenia, przestawał być sobą.

– Nie wierzę. Nigdy nie widziałam żadnych przejawów czegoś podobnego.

– Mieli umowę. Mama mówiła, że bardzo skrupulatnie utrzymywali wszystko w tajemnicy, przed nami i przed wszystkimi innymi. Tata nie chciał, żebyśmy wiedziały. Czułby się przegrany, gdyby się nie sprawdził w roli ojca. Kiedy mi o tym powiedziała, zrozumiałam, jaka się czuła samotna. Bardzo jej współczułam. Zawsze mi się wydawało, że są samowystarczalni z wyboru, dopiero wtedy zaświtało mi w głowie, że mama wycofała się z życia w następstwie jego choroby. Trudno jest opiekować się chorym, lecz aby utrzymać jego chorobę w tajemnicy, trzeba zerwać kontakty z rodziną, przyjaciółmi, stać zawsze na uboczu. I nie mogła się nikomu zwierzyć. Byłam jedną z pierwszych osób, którym to wyznała. Ponad dwadzieścia pięć lat później!

Alice spojrzała na półkę nad kominkiem, gdzie stało oprawione zdjęcie rodziców, tak niewiarygodnie młodych i szczęśliwych. Od kiedy sięgała pamięcią, nienaruszalność małżeństwa Eleanor i Anthony'ego była wręcz aksjomatem w rodzinnej mitologii. Słyszając, że oboje trzymali w tajemnicy jakiś sekret, poczuła się, jakby jej powiedziano, że jej odwieczny talizman jest imitacją. Rozgoryczenie podsycił fakt, że Deborah wiedziała o tym przez sześćdziesiąt lat, podczas gdy ją trzymano w nieświadomości. To stało w sprzeczności z rodzinną tradycją, to ona pełniła zawsze rolę domowego detektywa, ona wiedziała rzeczy, których nie powinna wiedzieć. Zaciśnęła zęby.

– Dlaczego tak się uparli, żeby to trzymać w tajemnicy? Tata był bohaterem wojennym, nie ma w tym żadnego wstydu. Zrozumiałybyśmy. Mogłyśmy nawet im pomóc.

– Zgadza się z tobą, lecz widocznie mama przyrzekła mu to zaraz po wojnie, a sama wiesz, jaka była. Wydaje mi się, że zdarzył się jakiś incydent, po którym obiecała, że nikt się o tym nigdy nie dowie. Żeby tata nie musiał się martwić, że nas przestraszy. Nauczyli się rozpoznawać pierwsze oznaki zbliżającego się ataku i mama pilnowała, abyśmy się do niego nie zbliżyły, dopóki nie minie.

– Bez względu na obietnice jestem pewna, że musiałybyśmy coś zauważyć.

– Ja też z początku nie wierzyłam, lecz potem zaczęłam kojarzyć pewne fakty. Przypominały mi się setki drobnych, nieuzasadnionych lęków, myśli i obserwacji i zdałam sobie sprawę, że w jakiś sposób zawsze o tym wiedziałam.

– A ja nie. Za to lubię być przygotowana na niespodzianki.

– Wiem. Jesteś detektywem z wrodzonym prawem pierwokupu. Ale byłaś młodsza.

– Tylko o kilka lat.

– Te lata miały zasadnicze znaczenie. Poza tym w tamtych czasach żyłaś we własnym świecie, podczas gdy ja obserwowałam dorosłych, bo chciałam dołączyć do ich wyrafinowanego świata. – Deborah uśmiechnęła się, lecz bez śladu wesołości. – Widziałam wiele rzeczy, Alice.

– Co widziałaś?

– Drzwi, które szybko zamykano, kiedy się zbliżałam, cichnące nagle głosy, wyraz na twarzy mamy, tę szczególną mieszaninę troski i miłości, gdy tata wychodził do lasu, a ona czekała, aż wróci; wszystkie te godziny, które spędzał samotnie w gabinecie, a mama zabraniała mu przeszkadzać; ciągłe wyprawy do miasta po paczki. Kiedyś przekradłam się na górę i zastałam zamknięte drzwi.

Alice machnęła ręką.

– Potrzebował spokoju. Gdybym miała dzieci, też bym zamykała gabinet na klucz.

– On był zamknięty od zewnątrz, Alice. Wspomniałam o tym mamie, kiedy w końcu powiedziała mi o jego nerwicy frontowej. Twierdziła, że sam na to nalegał, gdy czuł, że zbliża się atak. Chciał zrobić wszystko, aby nas chronić.

– Chronić! – prychnęła Alice. – Tata nigdy by nas nie skrzywdził.

Pomysł, że tata mógłby je skrzywdzić, brzmiał absurdalnie, i Alice nie potrafiła zrozumieć, czemu jej siostra w ogóle o tym wspomina. Miały rozmawiać o Theo, o tym, co się z nim stało. Alice nie widziała związku między nerwicą frontową ojca a Benjaminem Munro i scenariuszem porwania, który dla niego napisała.

– On by nas nie skrzywdził – powtórzyła.

– Nie umyślnie – odrzekła Deborah. – Mama podkreślała, że jego gniew był zawsze obrócony przeciwko niemu samemu. Ale tata nie zawsze się kontrolował.

W tym momencie niczym prąd lodowatego powietrza Alice uderzyła ta nagła myśl, że tak naprawdę właśnie rozmawiają o ich małym braciszku.

– Uważasz, że tata zrobił coś Theo?

– Gorzej.

Alice poczuła, jak otwierają jej się usta i ulatuje z nich delikatne fuknięcie. Nagle rzeczy, które wcześniej nie zostały wyartykułowane, stały się jasne. Deborah uważała, że ojciec zabił Thea. Tatus. Że wpadał w jakiś posttraumatyczny szal wywołany nerwicą frontową. Że nieumyślnie zabił ich braciszka.

Ale nie, Alice wiedziała, że to nieprawda. To Ben zabrał dziecko. Zrealizował plan, który ona naszkicowała w swojej powieści. Zamierzał zażądać okupu, zaszantażować jej rodziców, aby zapłacili pieniądze, których potrzebował dla swojej przyjaciółki z Londynu. I choć może wydawało się to nieprawdopodobne, Alice polegała na swoim przeczuciu. Tamtej nocy widziała Bena w lesie.

Teoria Deborah brzmiała nedorzecznie. Tata był najłagodniejszym człowiekiem, jakiego Alice знаła. Najlepszym. Nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś podobnego, nawet w napadzie najgorszego szalu. To była wstrząsająca wizja. Niemożliwa.

– Nie wierzę w to – oświadczyła. – Nawet gdyby, wyłącznie na potrzeby dyskusji, założyć, że tak było, to co się stało z Theo? To znaczy z jego zwłokami?

– Myślę, że pochował je w Loeanneth. Może ukrył do czasu, kiedy policja się wycofała, a potem pochował.

Deborah mówiła z niewiarygodnym, nieludzkim wręcz spokojem, jakby czerpała siłę z oburzenia siostry.

– Nie – orzekła Alice. – Nawet jeśli wziąć pod uwagę napady szału, to tata nie byłby zdolny do takiej perfidii. Kochali się z mamą. To było prawdziwe. Ludzie stawiali ich za przykład, to, jacy byli sobie bliscy. Nie. Nie tylko nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł popełnić tak odrażający czyn, ale też nie pogodzę się nigdy z myślą, że zataiłby coś takiego przed mamą. Na miłość boską, miały go zakopać w ziemi, kiedy ona odchodziła od zmysłów, nie wiedząc, co się z nim dzieje?

– Tego nie powiedziałam.

– A więc...?

– Zastanawiałam się nad tym, Alice, tyle nad tym rozmyślałam, że chwilami się bałam, żeby nie oszaleć. Pamiętasz, jak się potem zachowywali? Z początku praktycznie się nie rozstawali, lecz zanim opuściliśmy Loeanneth i wróciliśmy do Londynu, dziwnie się od siebie oddalili. Ktoś, kto ich nie znał zbyt dobrze, nie zauważyłby tego, to była tylko subtelna, ledwo zauważalna zmiana, zupełnie, jakby odgrywali role, okazując sobie wiele troski. W rozmowach i zachowaniu nadal sprawiali wrażenie kochających się, ale w to wszystko wkradła się jakaś sztywność, jakby coś, co dawniej było naturalne, przychodziło im z wielkim wysiłkiem. Czasem widziałam, jak na niego patrzyła, z troską, czułością, ale nie tylko... w jej wzroku kryło się coś jeszcze, coś bardziej złowieszczonego. Myślę, że wiedziała, co zrobił, i go kryła.

– Czemu miałyby robić coś takiego?

– Ponieważ go kochała. I ponieważ była mu to winna.

Alice łamała sobie głowę, usiłując zrozumieć ten związek. Było to dla niej całkiem nowe doświadczenie. Nie podobało jej się. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat czuła się sprowadzona do roli młodszej siostry.

– Z powodu tego, jak się poznali?

– To również, ale nie tylko. Właśnie usiłuję ci to powiedzieć, Alice. Chodzi o to, co Clemmie widziała przez okno chaty na łodzie.

Alice zrobiło się nagle gorąco. Wstała i zaczęła się wachlować.

– Alice?

Więc jednak rozmowa nieuchronnie zmierzała na tory, których tak się obawiała. Uderzyła ją fala wspomnień: jak oddała mu się tamtego popołudnia w chacie nad rzeką i jak została odrażona, tak delikatnie, tak łagodnie, że miała ochotę wpełznąć do ciemnej nory i leżeć tam tak długo, aż się obróci w proch, aby nie czuć więcej udręki i wstydu, że mogła być taka głupia, taka naiwna, taka... nieatrakcyjna. „Jesteś wspaniałym dzieciakiem, Alice – powiedział. – Nigdy nie spotkałem tak inteligentnej i bystrej osoby. Dorośniesz, będziesz jeździć po świecie, poznawać ludzi, zapomnisz o mnie”.

– Źle się czujesz? – spytała Deborah, patrząc na nią z troską.

– Nie. Nie, przepraszam, to tylko...

„Jest inna, prawda?” – rzuciła mu w twarz, jak czyniła zapewne każda wzgardzona heroina. Nie wierzyła w to nawet przez sekundę, powiedziała to tylko dlatego, że pasowało do okoliczności, lecz on milczał i tylko patrzył na nią ze współczuciem, i wtedy zrozumiała, że to prawda.

– Nagle mnie...

– To musi być dla ciebie wstrząs.

– Tak.

Alice usiadła z powrotem na lnianej kanapie i przypomniały jej się słowa, które usłyszała kiedyś w metrze i zapisała, aby wykorzystać w książce. Jedna kobieta mówiła do drugiej: „Powiedziałam sobie, że pora wciągnąć stringi jak duża dziewczynka”. Alice miała już dość ściemniania. Najwyższa pora zachować się jak duża dziewczynka i stawić czoło przeszłości.

– Mówiłaś o Clemmie – zaczęła. – Domyślałam się, że powiedziała ci, co zobaczyła przez okno szopy.

– Tak, i dlatego właśnie nigdy sobie nie wybaczyłam – odrzekła Deborah. – Powiedziałam o tym tacie. To ja go tamtego dnia popchnęłam w tę otchłań furii.

Alice uniosła brwi.

– Nie rozumiem, co te dwie rzeczy mają ze sobą wspólnego.

– Czy ty wiesz, co widziała Clemmie?

– Oczywiście.

– Więc rozumiesz, jakie to było dla niej okropne przeżycie. Przyszła prosto do mnie, zapewniłam ją, że się tym zajmę. Z początku nie miałam zamiaru mówić o tym tacie, lecz po jakimś czasie zrobiło mi się go żal i tak się na nią wściekłam. Byłam naiwna i głupia. Powinnam była trzymać język za zębami.

Alice siedziała kompletnie zbita z tropu. Na kogo się wściekła? Na Clemmie? Jakim sposobem to, co się wydarzyło w chacie na łodzie między nią a Benem, mogło doprowadzić tatę do tego, żeby skrzywdził Thea? Alice westchnęła zniecierpliwiona i podniosła dłonie.

– Deborah, proszę cię, przestań. To był ciężki dzień i chyba myśli zaczynają mi się mącić w głowie.

– Oczywiście, moja droga. Biedactwo, chcesz jeszcze herbaty?

– Nie, nie chcę herbaty, chcę, żebyśmy się cofnęły o kilka zdań i żebyś mi opowiedziała dokładnie, co widziała Clemmie.



I tak Deborah powtórzyła jej relację Clemmie, a kiedy skończyła, Alice miała ochotę wstać i opuścić ten piękny salon. Usiąść w spokojnym, cichym miejscu, gdzie nikt jej nie będzie przeszkadzał i gdzie mogłaby pozbierać myśli. Przypomnieć sobie wszystkie spotkania z Benem, każdą rozmowę, każdy wymieniony uśmiech. Musi zrozumieć, jak mogła być taka ślepa, jak mogła przez tyle czasu tkwić w błędzie. To nie ją Clemmie zobaczyła przez okno w chacie nad rzeką, a Deborah nie miała pojęcia o tym, że podkochiwała się w Benie Munro. A tym bardziej nie podejrzewała jej o współudział w uprowadzeniu Thea. Miała własne powody, by po tych wszystkich latach pamiętać nazwisko ogrodnika.

Niedługo potem wyszła od Deborah. Wymówiła się zmęczeniem i obiecała siostrze, że niedługo znowu się spotkają, po czym wyszła. Siedziała w metrze nieruchomo jak posąg, podczas gdy w środku szalało w niej kłębowisko emocji, które walczyły o prymat, gdy przesiewała zasłyszane informacje.

Nie mogła uwierzyć, że okazała się taką ślepą, egocentryczną idiotką. Takim zdesperowanym, beznadziejnie zakochanym dzieckiem, zapatrzonym w siebie i we własny świat do tego stopnia, że nie widziała, co się wokół niej działo. Za to Clemmie widziała i próbowała jej to powiedzieć tamtej ciemnej nocy w czasie nalotów, lecz nawet wtedy, dziesięć lat później, gdy były już dorosłymi kobietami, a wojna obnażyła przed nimi choroby i nieszczęścia tego świata, Alice była zbyt głupia, zbyt szczelnie owinięta kokonem własnej błędnej wizji, żeby jej wysłuchać. Paraliżował ją strach, że Clemmie widziała ją z Benem i odkryła jej związek z porwaniem Thea. Lecz Alice nie miała racji, jej młodsza siostra widziała coś zupełnie innego. Czy to możliwe zatem, że nie miała również racji w kwestii brata?

Przez całe popołudnie jeździła metrem, prawie nie zwracając uwagi na innych pasażerów. Przez tyle lat wierzyła we własną wersję wydarzeń, że to, co jej wyjawiała Deborah, wydobyło znowu z zapomnienia drobne, lecz dręczące pytania. Zawsze uważała, że skoro porywacze nie zażądali okupu, to tylko dlatego, że porwanie nie przebiegło zgodnie z planem. Gdy jednak spojrzała teraz na sprawę spoza zamkniętego, duszącego kręgu własnego poczucia winy, jej teoria ujawniła wszystkie swoje słabe strony, okazała się naciąganiem domniemaniem, podpartym wątlymi poszlakami, pomysłem rodem z powieści kryminalnej, i to marnej.

Pewność, że tamtej nocy widziała w lesie Bena – przekonanie, na którym oparła całą swoją teorię –

wydawało się teraz zwyczajnym naginaniem faktów, myśleniem życzeniowym niedowarzonej nastolatki, która marzyła tylko o tym, aby zobaczyć ukochanego. Było ciemno, jego sylwetka mignęła jej z oddali, a do Loeanneth zjechało tego wieczoru trzystu gości, aby wziąć udział w przyjęciu świętojańskim. To mógł być każdy z nich. Albo i nikt. Las potrafi płać podstępne figle, rzucać zdradliwe cienie. Och, po co ona tam poszła? Wiele rzeczy potoczyłoby się inaczej, gdyby dłużej czekała na pana Llewellyna. Przede wszystkim może jej drogi przyjaciel nadal by żył. Tę myśl przez lata starała się uporczywie od siebie odsuwać. Nie spotkała się z nim, choć się umówili, nie wysłuchała „ważnej rzeczy”, o której chciał z nią porozmawiać, a kilka dni później biedak leżał martwy nad strumieniem. Czy uratowałaby mu życie, gdyby się z nim spotkała, zamiast iść do lasu?

Dopuszczając do siebie wątpliwości, jakby podpaliła zapałkę. Cała koncepcja wydała jej się raptem kompletną fantazją: ogrodnik, którego przyjaciele potrzebują pieniędzy, w noc wielkiego przyjęcia porywa dziecko chlebobawców z zamiarem zażądania okupu. Używa sekretnego tunelu i buteleczki ze środkami nasennymi, zgodnie z planem ułożonym przez szesnastolatkę rozkochaną w opowieściach kryminalnych. Śmiechu warte! Ben nie był porywaczem. Pozwoliła, by zaślepiło ją poczucie winy. Nastoletnie wyobrażenia zastygły na beton i żadne rozumowanie osoby dorosłej nie mogło ich wykorzenić. Lecz właściwie nigdy tego nie próbowała. Przez całe życie robiła, co mogła, aby nie myśleć o tamtej historii.

Wersja wydarzeń Deborah, choć nieprzyjemna i trudna do przełknięcia, wydawała się klarowna i realna, czego nie dało się powiedzieć o scenariuszu Alice. Interpretacja jej siostry była prosta i logiczna, może nawet wręcz nieuchronna. Theo nie opuścił Loeanneth, dlatego policja nigdy nie trafiła na jego trop. Zginął w domu, z rąk człowieka, którego kochał i któremu ufał. Jeszcze jedna ofiara wielkiej wojny i jej koszmarów.

Wstrząsające wiadomości Deborah zamieniły jedną śmierć na drugą i jadąc metrem, ukrywając się za okularami przeciwsłonecznymi, Alice czuła w oczach kłujące łzy. Łzy z powodu jej małego braciszka, lecz również z powodu ojca – dobrego człowieka, który popełnił okropny czyn. Życie wydało jej się niewyobrażalnie zimne i okrutne, poczuła się nagle bardzo wyczerpana. Nie wierzyła w Boga, mimo to gotowa mu była podziękować, że Clemmie umarła w nieświadomości. Że umierając, wierzyła w swą baśniową fantazję o bezdziejnej parze, z którą Theo wiódł nowe szczęśliwe życie.

Kiedy tego dnia Alice wracała do domu, przepełniona wstydem i skruchą, grozą i smutkiem, gdzieś na peryferiach tego, co czuła, majaczyło coś całkiem nowego, coś lekkiego, czego nie mogła uchwycić. Dopiero kiedy wyszła ze stacji Hampstead, uprzytomniła sobie, co to jest. Ulga. Przez siedemdziesiąt lat obwiniła się o to, że powiedziała Benowi o tunelu, ale sensacja Deborah, która dopuszczała inną wersję wydarzeń, wyzwoliła ją z wyrzutów sumienia.

Jednak to nie z powodu ulgi kazała Peterowi zadzwonić do Sadie Sparrow, tylko z ciekawości. Kiedyś, dawno temu, wybuchały śmiechem, gdyby ktoś zaproponował, żeby powierzyła obcej osobie najbardziej osobiste szczegóły z życia jej rodziny. Nie pozwoliłyby jej na to duma oraz potrzeba chronienia swojej prywatności. Lecz Alice była stara. Czas uciekał. I od chwili gdy usłyszała opowieść Deborah, a potem leżała w nocy i przebiegała w myślach każdą możliwą wersję wydarzeń, w której jeden wniosek prowadził do następnego, a znane fakty z jej życia tańczyły jak klocki w kalejdoskopie i tworzyły nowe obrazy, Alice wiedziała, że musi poznać prawdę.

Snując przez lata fabuły powieści, nauczyła się przesiewać informacje i komponować z nich ciągi zdarzeń, tak więc nie potrwało długo, zanim poukładała fakty chronologicznie. Widziała jednak wiele luk, nie mówiąc już o drobnej kwestii brakujących dowodów, i Alice chciała je wypełnić. Pragnęła uzyskać pełny obraz. Sama przeprowadziłaby niezbędne dochodzenie, lecz czas i miejsce narzucały pewne ograniczenia, a w wieku osiemdziesięciu sześciu lat musiała się przyznać do pewnych fizycznych utrudnień. Choć myślenie takie za bardzo przypominało jej mamę, nie mogła się opędnąć od refleksji, że zjawienie się zawodowego dochodzeniowca, palącego się do przekopania sprawy, by dotrzeć do samego

sedna, i to dokładnie w chwili, gdy Alice kogoś takiego potrzebowała, wydawało się wyjątkowym zbiegiem okoliczności. Poza tym od wtorku przeprowadziła tak szczegółowe rozpoznanie, korzystając ze wszystkich znajomości, jakimi dysponowała w wydziałach śledczych, że Sadie Sparrow przestała być właściwie obcą osobą.

Alice wyjęła dossier policjantki i zaczęła przeglądać notatki. Jej wzrok spoczął na informacjach o ostatnim śledztwie prowadzonym przez detektyw Sparrow. Wszystko wskazywało na to, że jest doskonałym detektywem, charakteryzowano ją jako pełną pasji, wytrwałą lub wręcz upartą jak osioł. Alice nie znalazła w jej kartotece nic krytycznego czy dwuznacznego. Nawet Derek Maitland nie chciał powiedzieć nic, co by podważyło jej uczciwość, a to już o czymś świadczyło, lecz Alice potrafiła być bardzo przekonująca. Prześledziła oddźwięk sprawy Baileyów w prasie, zwłaszcza że zawsze fascynowały ją przypadki zaginięć. Dowiedziała się, że sprawę zamknięto, policja uznała ponad wszelką wątpliwość, że matka porzuciła dziewczynkę. Potem znalazła następny artykuł, sugerujący, że sprawę zamknięto przedwcześnie. Zorientowała się, że ktoś z wydziału śledczego musiał puścić farbę, a teraz domyśliła się, kto to był. Warto było mieć w zanadrzu zabezpieczenie, a choć Alice wzdragała się na samą myśl o czymś tak plugawym jak szantaż – bo nie było powodu, aby nie nazywać rzeczy po imieniu – z asem Dereka Maitlanda w rękawie nie miała właściwie wątpliwości, że może spokojnie powierzyć detektyw Sparrow sekrety dziedzictwa Edevane'ów.

Zamknęła teczkę i spojrzała na zegar. Duża wskazówka dochodziła prawie do dwunastki, co oznaczało, że za chwilę Sadie Sparrow będzie spóźniona, a Alice zyska dzięki temu drobną, lecz nie mniej przyjemną formę przewagi. Znow weźmie do ręki batutę i świat wróci do normy. Zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i potrząsnęła głową, rozbawiona tym momentem swojej przesądnej słabości. Co za głupota! Zachowuje się, jakby sukces spotkania i rozwiązanie rodzinnej tajemnicy zależało od spóźnionego przybycia gościa. Upomniała się w duchu, wzięła do ręki krzyżówkę, którą usiłowała rozwiązać od śniadania, i patrzyła beznamiętnie, jak krótsza wskazówka układa się równo na dwunastce. Dłuższa przygotowywała się właśnie do skoku i kiedy rozległo się pukanie do drzwi, serce Alice wbrew jej woli również podskoczyło w piersi.

Sadie stała na schodach i łapała oddech. Przebiegła całą drogę z przystanku autobusowego, co nie było łatwe w czółenkach, które w ostatniej chwili wyciągnęła z głębi szafy. Były zakurzone i zalatywały stęchlizną, a lewy obcas trzymał się na jednym włókienku kleju. Schyliła się i potarła rysę, której wcześniej nie zauważyła. Jej nogi wyglądały obco, jakby należały do kogoś innego, i wcale nie była pewna, czy tego kogoś lubi, lecz Alice Edevane zawsze bardzo dbała o wygląd i Sadie nie chciała jej urazić, zjawiając się w jej domu ze swoją zwyczajową, niedbałą prezencją. Nie chciała się również spóźnić, nieważne, że musiała biec od przystanku na niebezpiecznie wysokich obcasach. Starsza pani była wręcz pedantycznie punktualna. Odmówiła kiedyś dokończenia wywiadu ze spóźniałskim dziennikarzem, a najstłynniejszym jej wyczynem była reprimenda, jakiej udzieliła na antenie gospodarzowi programu za to, że kazał jej zbyt długo czekać. Sadie o tym wszystkim wiedziała, ponieważ przez ostatnie dwa dni przeczesywała gorączkowo internet, czytała stare wywiady i wszystko, co jej się nawinęło przed oczy na temat A.C. Edevane. Okazało się to zresztą zaskakująco przyjemnym zadaniem, bo Alice miała w sobie coś dziwnie zniewalającego, a Sadie pozwoliło to oderwać się od sprawy drugiego listu Charlotte Sutherland. Dowiedziała się również, że pisarka woli krzewy od kwiatów ciętych i z zadowoleniem pokiwała do siebie głową, zauważywszy na parapetach okiennych doniczki z bukszpanem. Jak dotąd, wszystko szło nieźle. Poczła się pewniej i wygładziła rękawy. Przeprowadzi rozmowę dokładnie tak, jak to sobie przygotowała, i nie wyjdzie stamtąd bez informacji, których potrzebuje.

Podniosła dłoń, żeby zapukać jeszcze raz, lecz zanim zdążyła dotknąć drewna, drzwi się otworzyły. W progu stał mężczyzna około trzydziestki, z długimi nogami i rzadką brodą. Wyglądał jak statysta z filmu o Rolling Stonesach. Sadie poczuła zaskakujący, lecz nie całkiem niemiły dreszcz zainteresowania.

– Peter Obel? – domyśliła się.

– Detektyw Sparrow. – Uśmiechnął się. – Proszę wejść, Alice na panią czeka.

Deski trzeszczały pod nogami, gdzieś w głębi mieszkania tykanie zegara odmierzało czas. Peter wprowadził ją najpierw do holu, a potem do gęsto umeblowanego, eleganckiego salonu o wyraźnie męskim charakterze.

Na fotelu obok wygasłego kominka siedziała kobieta, którą Sadie rozpoznała natychmiast ze zdjęć. Alice Edevane. Jak to zwykle bywa, kiedy poznaje się osobę publiczną, odniosła silne wrażenie, jakby ją znała od lat. Nie było to ulotne doznanie *déjà vu*, lecz głębokie i niemal namacalne odczucie zażyłości. Prawie każdy gest – kiedy zakładała nogę na nogę w nieskazitelnym spodniach, trzymała niedbale gazetę, nawet sposób, w jaki wysuwała brodę – wydawał się znajomy. Oczywiście Sadie w ogóle jej nie znała – poza licznymi wywiadami, które przeczytała – i aż się zarumieniła, gdy nagle przypomniała sobie cytat: *Nie ma nic bardziej męczącego niż człowiek, który uważa osobę znaną z mediów za znajomka*. To były słowa Diggory’ego Brenta z książki, którą czytała tydzień temu.

– Alice – powiedział Peter – detektyw Sparrow przyszła na umówione spotkanie. – Odwrócił się do Sadie i uprzejmym gestem wskazał jej fotel obity zieloną skórą. – Zostawię was. Gdybyś czegoś potrzebowała, będe w kuchni.

Kiedy tylko wyszedł, zegar na kominku zaczął tykać głośniejsze, a Sadie poczuła nagle palącą potrzebę, żeby coś powiedzieć. Ugryzła się jednak w język, przypomniawszy sobie pogardliwą uwagę, jaką Alice uczyniła w jednym z wywiadów, że ludzie w dzisiejszych czasach nie radzą sobie z milczeniem.

Postanowiła nie dopuścić do tego, by kobieta wyczuła w niej choćby najdrobniejszy niepokój. Obawiała się, że mogłoby się to okazać zgubne w skutkach.

Alice nie spuszczała z niej wzroku. Małe, bystre oczy zdawały się błyszczeć w wyblakłej ze starości twarzy. Sadie szybko nabrała pewności, że te oczy potrafią sięgać do samego dna duszy. Po kilku sekundach milczenia, które zdawały się trwać znacznie dłużej, odezwała się Alice. Miała głos aktorki teatralnej, dykcję z innej epoki.

– A więc w końcu się spotykamy, pani detektyw.

– Proszę mi mówić po imieniu. Nie występuję tu służbowo.

– W istocie, raczej nie.

Sadie aż wstrzymała oddech. Nie tyle słowa, które były w zasadzie prostym przytaknięciem, co sposób, w jaki to powiedziała... Te oczy dużo wiedziały.

– Przeprowadziłam mały wywiad na pani temat. Na pewno zgodzi się pani ze mną, że było to rozropne posunięcie. Poprosiła pani w liście o zgodę na wejście do mojej rodzinnej rezydencji, zapewne również o dostęp do archiwów. Wyraziła pani również chęć rozmowy o zniknięciu mojego brata. Chociaż jestem pisarką, cenię sobie prywatność, co z pewnością zdążyła pani zauważyć. Nie mogłam się zgodzić na rozmowę o rodzinnych sprawach z pierwszą lepszą osobą. Musiałam się przekonać, czy można pani ufać, a to wymagało przeprowadzenia drobnego dochodzenia, które pozwoliło mi stworzyć pani bardziej szczegółowy wizerunek.

Sadie starała się ukryć lęk za maską spokojnego uśmiechu, a jednocześnie zastanawiała się, jak ten przekłety wizerunek musi wyglądać.

– Znam sprawę Baileyów – ciągnęła Alice. – W szczególności wiem o pani nieoficjalnej rozmowie z dziennikarzem Derekiem Maitlandem.

Krew odpłynęła Sadie z twarzy do czubków palców, gdzie tętniła, jakby próbowała uciec jeszcze dalej. Ona wie, że to ode mnie wyciekły informacje. Ta myśl rozjarzyła się w jej głowie niczym neon i przez chwilę jej gorący, przerażający blask wyrugował wszelkie inne myśli. Dopiero po kilku sekundach powoli powrócił rozsądek. Alice wiedziała o jej rozmowie z prasą, a mimo to zaprosiła ją do siebie.

– Jestem zaintrygowana, pani detektyw, co natchnęło panią przekonaniem, że Maggie Bailey padła ofiarą przestępstwa, skoro, o ile mi wiadomo, nie znaleziono żadnego dowodu potwierdzającego taki scenariusz.

Sadie nie spodziewała się rozmowy na temat sprawy Baileyów, lecz Alice nie bez powodu go poruszyła. Mogła na nią donieść przełożonym i odmówić wszelkiej współpracy. Zamiast tego zaprosiła ją do swego domu. Sadie domyśliła się, że kobieta próbuje ją sprowokować. Znała tę metodę. Prowokacje podczas przesłuchań były jej ulubioną rozrywką. Poczwała dla staruszki coś w rodzaju zawodowego szacunku.

– Niełatwo to wytłumaczyć.

Alice policzki obwisły z rozczarowania. Odpowiedź była mętna i nieprzekonująca, Sadie wiedziała, że musi się bardziej wykazać.

– Po pierwsze – podjęła szybko – wygląd mieszkania świadczył o tym, że urządzano je z dużym staraniem, nawet jeśli skromnymi środkami finansowymi: pianino było pomalowane na jaskrawożółty kolor, na ścianach wisiały dziecięce rysunki z wyeksponowanym podpisem w rogu. Trudno uwierzyć, że kobieta, która włożyła tyle wysiłku w te przejawy matczynej miłości, mogłaby porzucić swoje dziecko. Mnie się to nie zgadzało i kiedy rozmawialiśmy z ludźmi, którzy ją znali, byli tego samego zdania.

– Jacy ludzie?

– Przede wszystkim jej matka.

Alice uniosła brwi.

– Ależ, pani detektyw, w podobnej sytuacji matka zawsze stanie po stronie swego dziecka. Czy

przesłuchiwała pani inne osoby, które ją znały? Na przykład byłego męża? Czy one potwierdziły to odczucie?

– Jego opinia nie była już tak pochlebna.

– Nie?

– Nie, lecz przecież trudno się spodziewać, że w takich okolicznościach były mąż okaże się wylewny.

Alice uśmiechnęła się przelotnie, lekko rozbawiona. Usiadła głębiej w fotelu i obserwowała Sadie znad złożonych w piramidkę palców.

– Ludzie potrafią być bardzo niewiarygodni, prawda? – powiedziała. – Nawet najbardziej gorliwi i bezstronni świadkowie zaśmiecają swoje zeznania drobnymi nieścisłościami, domysłami i własnymi opiniami w miejsce faktów.

Sadie przypomniała sobie relację Clive’a, który stwierdził, że podczas śledztwa w trzydziestym trzecim roku Alice niechętnie składała zeznania. Mówił, że skradała się pod drzwiami biblioteki, a on odniósł wrażenie, że albo coś ukrywa, albo bardzo pragnie usłyszeć, co mówią inni przesłuchiwani świadkowie.

– Wszyscy jesteśmy ofiarami swoich doświadczeń – ciągnęła Alice. – Mamy skłonność do patrzenia na teraźniejszość przez soczewki własnej przeszłości.

Sadie odniosła mgliste wrażenie, że ich rozmowa przestała mieć wymowę ogólną. Starsza pani znowu przeszła ją drapieżnym, jastrzębim wzrokiem.

– To prawda.

– Ale zostawmy na razie na boku zeznania świadków. Ciekawa jestem, pani detektyw, czy był jakiś konkretny dowód, który potwierdził pani odczucie, że tej młodej matce przytrafiło się coś złego.

– Nie. – przyznała Sadie. – Szczerze mówiąc, był nawet list napisany własnoręcznie przez Maggie, potwierdzający hipotezę, że odchodzi z własnej woli.

– Pamiętam to z artykułów prasowych. Znaleźliście go tydzień po rozpoczęciu śledztwa.

– Tak. Aż do tamtej pory badaliśmy bardzo skrupulatnie inne możliwości. List wpadł między szafkę a lodówkę.

– Lecz nawet potem pani nie pogodziła się z myślą, że Maggie Bailey po prostu odeszła z domu.

– Trudno mi uwierzyć w tę hipotezę.

– Do tego stopnia, że zdecydowała się pani na wystąpienie z szeregu i rozmowę z prasą.

Sadie odwzajemniła spojrzenie kobiety. Zaprzeczanie nie miało sensu, Alice nie była głupia. Poza tym ona nie chciała niczemu zaprzeczyć. Jej rozmówczyni dysponowała informacją, która mogła jej zniszczyć karierę, i fakt ten podziałał dziwnie wyzwalająco. Od czasu, gdy Sadie wyjechała na urlop, nie mogła z nikim szczerze porozmawiać o sprawie Baileyów. Donald nie chciał o tym słyszeć, wobec Clive’a musiała zachować zawodowy dystans, a Bertiemu nie chciała sprawić rozczarowania wyznaniem prawdy. Nagle nadarzyła jej się okazja, by porozmawiać otwarcie. Nie miała nic do stracenia, ponieważ Alice Edevane najgorsze już wiedziała.

– Nie miałam pojęcia, co innego mogłabym zrobić, żeby los Maggie nie popadł w zapomnienie. Wydział śledczy zajął się innymi sprawami. Detektywom trwoniącym pieniądze podatników na sprawy, w których brakuje materiału dowodowego, okazuje się niewiele zrozumienia. Nie potrafiłam jednak pogodzić się z myślą, że tej kobiecie coś się przytrafiło i nikt już nie będzie miał jej sprawy na oku.

– Straci pani pracę, jeśli się dowiedzą, że to od pani wyszedł przeciek.

– Wiem.

– Lubi pani swoją pracę?

– Z całego serca.

– A mimo to zrobiła pani coś, co może ją kosztować koniec kariery.

– Musiałam.

– Czy jest pani lekkomyślna, pani detektyw?

Sadie zastanawiała się nad tym pytaniem.

– Mam nadzieję, że nie. Nie podjęłam decyzji o rozmowie z Derekiem Maitlandem pochopnie. Wolę myśleć, że zachowałam się odpowiedzialnie wobec Maggie, a nie że postąpiłam nieodpowiedzialnie w pracy. – Odetchnęła. – Nie, nie jestem lekkomyślna. Jestem obowiązkowa. Może odrobinę krnąbrna.

Kiedy w ten sposób zarysowywała swój własny profil psychologiczny, do pokoju wszedł Peter. Sadie popatrzyła na niego wyczekująco, zastanawiając się, czy czymś, co powiedziała, nacisnęła niewidzialny guzik, który sprawił, że zostanie oddalona, i asystent Alice przyszedł, aby ją odprowadzić do drzwi.

Peter bez słowa spojrział pytająco na pracodawczynię. Alice skinęła głową tylko raz, za to wymownie, i powiedziała:

– Myślę, że napijemy się herbaty. Dziękuję, Peter.

Mężczyzna sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego.

– Och, wspaniałe wieści. Tak się cieszę.

Wychodząc, rzucił Sadie ciepły uśmiech. Poczwała się głęboko wzruszona, chociaż nie wiedziała, czym sobie na to zasłużyła. Tak, zdecydowanie coś ją do niego ciągnęło. Dziwne, bo wcale nie był w jej typie. Intrygował ją długimi, kręconymi włosami i staromodnymi manierami. Nie mógł być od niej dużo starszy. Miał za to wiele „literackiego” uroku. Jak to się stało, że pracuje jako współczesny Lurch?

– Jest doktorem – oznajmiła Alice Edevane, czytając jej w myślach. – Literatury, nie medycyny. I chyba najlepszym asystentem, jakiego miałam.

Sadie uprzytomniła sobie, że gapi się na drzwi, za którymi zniknął, więc szybko spuściła wzrok na swoje kolana, gdzie z wielkim namaszczeniem wyskubała niewidzialny kłaczek.

– Czy czytała pani którąś z moich książek, pani detektyw?

Sadie wygładziła ostatnim ruchem spodnie.

– Jedną.

– Więc poznała pani Diggory’ego Brenta.

– Tak.

– Może pani nie wie, ale Diggory został prywatnym detektywem, kiedy go wyrzucili z policji za przewinienie bardzo podobne do pani niestosownego postępuku.

– Nie wiedziałam o tym.

– No cóż, kiedyś od autorów serii powieściowych oczekiwano, że na początku każdej nowej książki wprowadzą krótkie podsumowanie tła fabularnego, lecz z czasem wydawnictwa przestały się przy tym upierać, a ja po napisaniu tylu książek z przyjemnością zrezygnowałam z tego obowiązku. Ile można wymyślić sposobów na powiedzenie tego samo po raz nie wiadomo który? Z czasem zadanie to stawało się coraz bardziej uciążliwe.

– Wyobrażam sobie.

– Diggory nie pasował do policji. To człowiek z powołaniem, lecz spotkały go ogromne nieszczęścia w życiu prywatnym. Stracił żonę i małe dziecko. Po tej tragedii stał się trochę bardziej bezkompromisowy, co nie zawsze było mile widziane przez kolegów, nie mówiąc już o zwierzchnikach. Strata dziecka wywołuje w człowieku dotkliwą pustkę. Moje obserwacje to potwierdzają.

Nie po raz pierwszy Sadie odniosła dość niesamowite wrażenie, że Alice Edevane wie o jej przeszłości więcej, niż powinna. Uśmiechnęła się niezobowiązująco, podczas gdy pisarka ciągnęła:

– Diggory znacznie lepiej pasuje do pracy śledczej poza restrykcyjnymi ograniczeniami prawa. Nie znaczy to, że jest niepraworządny, wręcz przeciwnie, to człowiek honoru, z surowym kodeksem, którego przestrzega bardzo skrupulatnie. Jest skrupulatny i.. jak to pani ujęła? Odrobinę krnąbrny.

Wrócił Peter z herbatą, którą postawił na biurku za plecami Sadie.

– Jaką pani pije? – zapytał i zgodnie z życzeniem podał jej napój ze śmietanką i jedną łyżeczką

cukru.

– Dziękuję, Peter.

Alice wzięła od niego swoją filiżankę z herbatą bez śmietanki i cukru. Upiła, zawahała się przelotnie, po czym odstawiła na stół, odrobinę przekręcając spodeczek.

– Dobrze – powiedziała tonem sugerującym kolejną zmianę biegów. – Zatem przejdźmy do interesów. Wspomniała pani w liście, że ma jakąś hipotezę. Chciała pani dostać się do Domu nad Jeziorem, aby ją sprawdzić. Domyślam się, że odkryła pani drugi tunel w Loeanneth?

I w ten sposób porzuciły temat Maggie Bailey i Diggory’ego Brenta, a Alice poprowadziła dalej rozmowę na temat zniknięcia brata. Sadie trochę zdeprymowała tak niespodziewana zmiana, ale się ucieszyła, ponieważ nie mogła się już doczekać, kiedy przejdą do sprawy, która ją tu przywiodła.

– Tak – odparła, prostując się w fotelu. – Lecz moje koncepcje nieco się zmieniły od ostatniego listu. Czy mogłabym zapytać o pani ojca?

Alice nawet nie mrugnęła okiem, jakby nie miała pojęcia, do czego jej rozmówczyni zmierza.

– Mogłaby pani zapytać, pani detektyw, lecz jestem stara i czas jest dla mnie niezwykle cenny. Byłoby dla mnie znacznie wygodniej, a i pani z pewnością odniesie większy pożytek, jeśli przejdziemy od razu do rzeczy i przedstawi mi pani swoją hipotezę. Co, według pani, stało się z Theo?

Sadie nie miała wątpliwości, że w ciągu długich lat pracy w policji nigdy nie zdarzyło jej się przesłuchiwać kogoś takiego jak Alice Edevane. Próbowwała nie dać się speszyć.

– Sądzę, że pani brat zmarł tamtej nocy w Loeanneth.

– Ja również tak sądzą. – Alice wydawała się prawie zadowolona, jakby prowadziła egzamin i Sadie podała jej prawidłową odpowiedź. – Przez długi czas wierzyłam, że został porwany, dopiero całkiem niedawno przekonałam się, że nie miałam racji.

Sadie postanowiła kontynuować wątek.

– Pani ojciec cierpiał po wojnie na nerwicę frontową.

I znów Alice przyjęła jej słowa z kamiennym spokojem.

– Tak, choć powtarzam, że dowiedziałam się o tym całkiem niedawno. Moi rodzice utrzymywali ten fakt w ścisłej tajemnicy. Powiedziała mi o tym siostra, a ona również usłyszała o chorobie taty bardzo późno, bo dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. – Długie palce Alice gładziły aksamitną poręcz fotela. – Zatem, pani detektyw, ustaliłyśmy, że mój ojciec cierpiał na nerwicę frontową, a brat najprawdopodobniej umarł w Loeanneth. Jak, pani zdaniem, mają się do siebie te dwie rzeczy?

A więc doszły do sedna. Sadie patrzyła jej w oczy.

– Uważam, że pani ojciec przypadkowo zabił swoje dziecko, pani Edevane.

– Tak – przyznała Alice. – Całkiem niedawno doszłam do tego samego wniosku.

– Przypuszczam, że pani brat jest pochowany w Loeanneth.

– Owszem, ten scenariusz wydaje się uzasadniony.

Sadie odetchnęła z ulgą. Ludzie zwykle bardzo źle przyjmują sugestię, że ktoś z ich najbliższych okazał się zdolny do popełnienia poważnego przestępstwa. Wyobrażała sobie, że będzie musiała długo przekonywać Alice, uspokajać ją, ugłaskiwać i uważać, by nie zranić jej uczuć. To szczere porozumienie było znacznie lepszym rozwiązaniem.

– Problem polega na tym, że nie umiem tego dowieść – przyznała.

– Być może w tej kwestii będę mogła przyjść pani z pomocą, pani detektyw.

Sadie ogarnęło ostrożne podniecenie.

– W jaki sposób?

– No cóż, obawiam się, że po tak długim czasie niewiele się znajdzie materialnych tropów, lecz istnieją źródła, do których możemy się odwołać. W mojej rodzinie bardzo żywy był zwyczaj, by wszystko zapisywać. Dużo pani pisze?

Sadie pokręciła głową.

– Nie? No, mniejsza o to, to nie pani tajemnice chcemy odkrywać. Mój ojciec prowadził dziennik, w którym notował wszystko z nabożną wręcz żarliwością, mama nie pisała dziennika, za to uwielbiała prowadzić korespondencję. Należała do tych dzieci, które zostawiały urocze liściki do wróżek. Potem, niedługo po ślubie, tata wyjechał na wojnę i ich zwyczaje utknęły w martwym punkcie.

Sadie przypomniała sobie list miłosny napisany przez Eleanor do Anthony’ego na papierze zdobionym liśćmi bluszczu, który znalazła w chacie na łodzie. On był wtedy na wojnie, a ona w ciąży z Alice. Zastanawiała się, czy o nim nie wspomnieć, lecz nie chciała, by jej zainteresowanie wyglądało na niezdrowe podglądactwo. Poza tym Alice mówiła dalej:

– Na poddaszu w Loanneth znajduje się gabinet, w którym moja rodzina od pokoleń przechowuje dokumentację i gdzie pracował mój ojciec. Z kolei w pokoju mamy stoi zamykana sekretera. Od tych miejsc bym zaczęła. Mama traktowała korespondencję z prawdziwym nabożeństwem. Pisała wszystkie listy w dwóch egzemplarzach, a przechowywała na półkach w sekreterze, zaś listy, które otrzymywała – w bocznych szufladkach. Są zamknięte, lecz znajdzie pani kluczyk na małym haczyku pod krzesłem przy sekreterze. Jako dziecko stawiałam sobie za punkt honoru, aby wiedzieć takie rzeczy. Niestety, nie przypuszczałam, że w papierach mamy może się znajdować coś wartego odkrycia, nie ośmieliłam się również naruszyć sanktuarium ojca. Może oszczędziłabym wszystkim wielu strapiień, gdybym tam wtedy zajrzała. Mniejsza o to. Lepiej późno niż wcale. Nie mogę zagwarantować, że znajdzie pani odpowiedzi, których szukamy, ale nie tracę optymizmu. Słyszałam wiele dobrego o pani detektywistycznych zdolnościach.

Sadie zdobyła się na uśmiech, miała nadzieję, że wyrażał wiarę i pewność siebie.

– W trakcie poszukiwań odkryje pani zapewne wiele różnych rzeczy. Liczę, że zachowa pani dyskrecję. Wszyscy mamy sekrety, które pragniemy zachować dla siebie, prawda?

Sadie zdała sobie sprawę, że Alice ją właśnie zaszantażowała. Bardzo dyskretnie.

– Może mi pani ufać – powiedziała.

– Umiem oceniać charaktery, pani detektyw, i uważam, że rzeczywiście można pani ufać. Ma pani odwagę bronić swoich racji. Zawsze ceniłam tę cechę u ludzi. Chcę się dowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło tamtej nocy. Nie lubię określenia „sprawa zamknięta”. Idea ostatecznego zakończenia sprawdza się w książkach, lecz w naszym prawdziwym, wielkim świecie jest raczej infantylną ideą. Nie muszę dodawać, jak bardzo mi zależy na uzyskaniu odpowiedzi. – To mówiąc, wyciągnęła rękę i wzięła pęk kluczy ze stolika. Obróciła je kilka razy w dłoni, po czym oddała Sadie. – Proszę. Ma pani moją zgodę na szukanie odpowiedzi wszędzie, gdzie uzna pani za stosowne.

Sadie z powagą przyjęła od niej klucze.

– Jeżeli jest tam coś do znalezienia...

– Pani to znajdzie. Doskonale. A teraz, jeśli niczego już pani ode mnie nie potrzebuje, to sądzę, że możemy zakończyć spotkanie.

Sadie zrozumiała, że w ten sposób została właśnie dyskretnie odprawiona, coś jej jednak przyszło do głowy, kiedy Alice mówiła o dzienniku, który prowadził jej ojciec, i o listach matki. Najwyraźniej wierzyła, że znajdą tam dowody świadczące o związku między śmiercią Thea a jej ojcem, lecz skoro nawet Sadie odkryła to powiązanie, to czyż nie dostrzegłaby go Eleanor Edevane, która wiedziała o chorobie męża?

– Czy uważa pani za możliwe, że pani mama również o tym wiedziała?

Alice nawet nie mrugnęła powieką.

– Jestem przekonana, że o tym wiedziała.

– Ale... – Sadie była zszokowana. – Czemu nie powiedziała policji? Jak mogła pozostać przy nim po tym, co zrobił?

– Był chory, nie zrobiłby czegoś takiego, będąc przy zdrowych zmysłach.

– Ale przecież to było jej dziecko!

– Moja mama miała bardzo mocno zakorzenione zasady etyczne oraz poczucie sprawiedliwości. Uważała, że złożonej obietnicy należy dotrzymać. Może czuła, że w jakiś sposób zasłużyła na to, co się stało, może nawet wydawało jej się, że sama ściągnęła na siebie karę.

Sadie nie rozumiała.

– Jak, na miłość boską, mogła dojść do takiego wniosku?

Alice siedziała wyprostowana i nieruchoma jak posąg.

– W majątku pracował w tym czasie pewien mężczyzna. Nazywał się Munro.

– Tak, wiem, Benjamin Munro. Była w nim pani zakochana.

Alice Edevane wyraźnie straciła zimną krew, choć prawie nie dała tego po sobie poznać.

– No proszę, widzę, że naprawdę sumiennie odrobiła pani pracę domową!

– Na tym polega moja praca – odparła Sadie i natychmiast się skrzywiła, słysząc w swoich ustach ten oklepany banał.

– Tak, lecz w tym wypadku dokonała pani błędnej dedukcji. – Alice uniosła ramię, jedwabna bluzka w kolorze kości słoniowej wybrzuszyła się na sterczącej, ostrej kości. – Owszem, możliwe, że jako młoda dziewczyna durzyłam się trochę w Benie, lecz to było tylko przelotne dziecięce zauroczenie. Wie pani, jacy są młodzi ludzie... tak łatwo ulegają afektom.

Po sposobie, w jaki to powiedziała, Sadie przemknęło przez głowę, że Alice jakimś cudem dowiedziała się również o jej młodzieńczym zauroczeniu. O chłopaku z tysiącem gładkich frazesów na podorędziu, lśniącym samochodem i uśmiechem, pod wpływem którego miękły jej kolana.

– Benjamin Munro opuścił Loeanneth tuż przed zniknięciem Thea – powiedziała.

– Tak – potwierdziła Alice. – Skończył mu się kontrakt.

– Miał coś wspólnego ze zniknięciem chłopca?

– Nie bezpośrednio.

Sadie zaczynały męczyć te łamigłówki.

– Więc jaki jest powód, że pani o nim wspomniała?

Alice uniosła brodę.

– Pytała pani, dlaczego moja matka czuła się odpowiedzialna za to, co się stało z Theo. Na tydzień przed nocą świętojańską moja siostra Deborah powiedziała ojcu o czymś, co musiało go doprowadzić do okropnego stanu. Dowiedziałam się o tym dopiero niedawno. Wygląda na to, że w okresie poprzedzającym wigilię świętego Jana moja mama miała romans z Benjaminem Munro.

Kornwalia, 1931

Eleanor zakochała się po raz drugi, kiedy miała trzydzieści sześć lat. Nie od pierwszego wejrzenia, nie jak w Anthonym, w końcu w 1931 roku była inną osobą niż dwadzieścia lat wcześniej. Miłość ma jednak wiele odcieni. Szary, deszczowy Londyn, lekarz na Harley Street, herbata w Liberty, morze czarnych parasoli, zatłoczony dworzec kolejowy, brudnożółte siedzenie w wilgotnym wagonie.

Na dworze rozległ się gwizd, pociąg miał nareszcie ruszać. Eleanor wyjrzała przez okno, popatrzyła na poczerniałe od sadzy podkłady kolejowe, lecz prawie nie zwróciła uwagi, kiedy w ostatniej chwili do pociągu wskoczył jakiś mężczyzna i zajął miejsce naprzeciwko niej. Zauważyła jego odbicie w szybie: młody, co najmniej dziesięć lat młodszy od niej. Jak przez mgłę słyszała dość przyjemny głos mówiący innemu pasażerowi, że miał ogromne szczęście, ponieważ udało mu się zdobyć bilet, który ktoś zwrócił w ostatniej chwili. Potem przestała w ogóle zwracać na niego uwagę.

Pociąg wyjechał ze stacji pośród kłębow dymu i szyby skąpały się w deszczu, tak że świat za oknami się rozmył. Kiedy ulice Londynu zostały z tyłu, a ich miejsce zajęły podmiejskie krajobrazy, Eleanor odtwarzała w pamięci spotkanie z doktorem Heimerem, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo. Skromna, drobna maszynistka siedząca w kącie gabinetu i zapisująca wszystko, co Eleanor mówiła, już wtedy działała na nią deprymująco. Wiedziała, że powinna rozmawiać z lekarzami całkowicie szczerze, wyjaśnić im dokładnie wszystkie objawy Anthony'ego, mimo to, kiedy powtarzała sobie w myślach własne słowa, nie mogła się pozbyć przytłaczającego, obmierzłego uczucia, że zdradziła męża, którego przysięgała chronić.

Był zupełnie innym człowiekiem niż w chwilach, kiedy nękały go objawy nerwicy. Próbowwała wyjaśnić lekarzowi, jaki jest dobry dla dziewczynek, jaki był dobroduszny, przystojny i pełen szlachetnego zapału, gdy go poznała, i jakie to niesprawiedliwe, że wojna może tak wydrążyć człowieka aż do samego wnętrza, rozedrzeć materię jego życia i zostawić tylko strzępy dawnych marzeń, którymi może je łątać. A jednak chociaż tak starannie dobierała słowa, nie potrafiła przekonać lekarza, jak bardzo kocha męża, nie mogła dość dobitnie wyrazić, że pragnie go tylko ocalić, tak jak on ją kiedyś ocalił. Chciała, aby doktor ją rozgrzeszył, aby ją zwolnił z winy za to, że jej się nie udaje, a tymczasem on siedział niewzruszony, ukryty za szarym garniturem i okularami w drucianych oprawkach, z piórem przyciśniętym do ust, i kiwał głową, wzdychał i od czasu do czasu notował coś na marginesie notesu w linie. Jej słowa krystalizowały się w krople i spływały po jego wypomadowanych włosach niczym woda po kacze, a przez cały czas w statecznej, klinicznej ciszy gabinetu stukot maszyny do pisania rozbrzmiewał nieustającym potępieniem.

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki mężczyzna siedzący naprzeciwko nie podał jej chusteczki. Zaskoczona, podniosła wzrok i zobaczyła, że zostali w wagonie tylko oni oraz starsza kobieta, która przycupnęła na brzegu ławki przy drzwiach. Eleanor była zbyt pochłonięta własnymi myślami, by zauważyć, że pociąg zatrzymywał się po drodze na stacjach.

Przyjęła chusteczkę i otarła łzy pod oczami. Czuła się zakłopotana, wręcz zła, że zachowuje się jak żalosna płaczka, wzbudzająca litość nieznajomych mężczyzn. Przyjęcie ofiarowanej chusteczki wyglądało zbyt poufale, Eleanor poczuła się niezręcznie na myśl o starszej kobiecie, która siedziała przy drzwiach i udawała zainteresowanie swoją robótką na drutach, lecz raz po raz rzucała w ich stronę ukradkowe spojrzenia.

– Nie, nie – powiedział, kiedy próbowała mu oddać chusteczkę. – Proszę ją zatrzymać.

Nie zapytał o jej kłopoty, a ona milczała, uśmiechnął się więc grzecznie i zajął swoimi sprawami.

Które, jak zauważyła, polegały na składaniu kawałka papieru. Jego palce poruszały się szybko i zwinnie, robiły zakładki, zagięcia i trójkąty, po czym obracały kartkę na drugą stronę i powtarzały czynność. Zdała sobie nagle sprawę, że gapi się zbyt ostentacyjnie na jego dłonie, więc odwróciła wzrok, lecz nie przestała go obserwować w szybie. W końcu dokonał ostatnich, drobnych poprawek i wyciągnął przed siebie rękę, przyglądając się swojemu dziełu z różnych stron. Zaskoczona i zachwycona Eleanor rozpoznała w papierowej figurze łabędzia ze spiczastymi skrzydłami i długą szyją.

Pociąg toczył się dalej na zachód, za oknem zapadła ciemność tak nieprzenikniona jak w teatrze po zakończonym przedstawieniu. Eleanor musiała spać długo i mocno, bo kiedy się ocknęła, pociąg dotarł na koniec trasy. Naczelnik stacji ponaglał pasażerów gwizdkiem, by opuszczali pociąg, i ludzie przeciskali się do wyjścia.

Próbowała zdjąć z półki bagaże, lecz torba z zakupami zaczepiła o wystający kawałek metalu, a Eleanor była zbyt zmęczona i oszołomiona spaniem, aby sobie poradzić, więc znowu jej pomógł.

– Dziękuję – powiedziała. – Również za chusteczkę. Obawiam się, że całkiem ją zrujnowałam.

– Och, proszę nawet o tym nie wspominać. – Kiedy się uśmiechnął, w policzku zrobił mu się niewielki dołek. – Należy do pani. Podobnie jak to.

Ich dłonie się otarły, kiedy brała od niego torbę, i przelotnie spojrzeli sobie w oczy. On również to poczuł, poznała po tym, jak się wyprostował, a na jego twarzy odmalował się przelotny wyraz oszołomienia. Doznanie było elektryzujące, niczym iskra przeszywającego zrozumienia, jakby na ułamek sekundy powstała szczelina w materii czasu i oboje ujrzeli w niej równoległy świat, w którym byli dla siebie kimś innym niż tylko nieznanymi z pociągu.

Przywołała swoje myśli do porządku. Na oświetlonym peronie za oknem zobaczyła kierowcę Martina, który wypatrywał jej w tłumie pasażerów, aby ją zwieźć do domu.

– Jeszcze raz dziękuję panu za pomoc – powiedziała takim samym rzeczowym tonem, jakim oznajmiałyby nowej pokojówce, że jej uchybienie zostało wybaczone.

Po czym skinęła krótko głową, zostawiła młodego człowieka w wagonie, a sama, uniósłszy lekko brodę, wysiadła z pociągu.



Gdyby go więcej nie zobaczyła, epizod w pociągu szybko poszedłby w niepamięć – przypadkowe spotkanie z przystojnym nieznanym, który wyświadczył jej drobną przysługę. Niewiele znaczące zdarzenie z góry skazane na zepchnięcie w dalekie zakamarki pamięci, w których tłoczyły się inne podobne epizody.

Lecz kilka miesięcy później, w pewien pochmurny sierpniowy dzień Eleanor znów go spotkała. Poranek był wyjątkowo gorący, powietrze gęstniało od upału i Anthony znów zbudził się z bólem głowy. Eleanor słyszała, jak się kręcił i rzucał przed świtem, walcząc z obrazami, które go dręczyły w nocy, i wiedziała, że mogą się spodziewać najgorszego. Wiedziała również z doświadczenia, że najlepszą obroną jest atak. Wysłała go na górę tuż po śniadaniu, nakłoniła do wzięcia dwóch tabletek nasennych od doktora Gibbonsa i zapowiedziała surowo służbie, że pan jest zajęty ważnym projektem i nie wolno mu przeszkadzać. W końcu, ponieważ tego dnia niania Rose miała wolne, zebrała dziewczęta, kazała im włożyć buty i oznajmiła, że jadą do miasta.

– O nie! Dlaczego?

Pytanie zadała oczywiście Alice, która zawsze narzekała pierwsza i najgłośniej. Po jej przerażonej reakcji można by wywnioskować, że Eleanor zaproponowała co najmniej tydzień w kopalni.

– Ponieważ mam paczki do odebrania na pocztę i chętnie przyjmę pomoc życzliwych ramion.

– Doprawdy, mam, znowu paczki? Chyba zdążyłaś już kupić przynajmniej jeden egzemplarz każdego artykułu, jakie sprzedają w Londynie.

Utyskiwaniom nie było końca.

– Wystarczy, Alice. Któregoś dnia z boską pomocą zostaniesz panią domu i wówczas będziesz mogła sama decydować, jakie artykuły kupować, a jakie nie.

Wyraz twarzy Alice wołał wielkimi literami: NIGDY NIE ZOSTANĘ PANIĄ DOMU! i Eleanor aż się przestraszyła, widząc na obliczu swej czternastoletniej córki swój własny młodzieńczy grymas. Rozdrażniła ją ta myśl, wyprostowała się i powiedziała dużo bardziej szorstko, niż zamierzała:

– Nie będę powtarzać dwa razy, Alice. Jedziemy do miasta. Martin poszedł przyprowadzić samochód, więc proszę, abyś włożyła buty.

Dziewczynka zacisnęła wyniośle usta, a oczy zabłyśły jej pogardliwie.

– Tak, mam – wycedziła takim tonem, jakby pragnęła zetrzeć to słowo ze swoich ust.

Mama. Nikt za nią nie przepadał. Czasem nawet sama Eleanor krzywiła się na jej wszechobecną pedanterię. Nie nadawała się do zabawy, za to można było liczyć, że utemperuje każdy bardziej szalony pomysł kazaniem na temat odpowiedzialności i bezpieczeństwa. Mimo to była nieodzowna. Eleanor załamałaby się pod rozdzierającym serce brzemieniem choroby Anthony’ego, gdyby mama nie potrafiła zawsze stanąć na wysokości zadania. Pilnowała, aby dziewczęta dawały ojcu niezbędną przestrzeń, kiedy tego potrzebował, i zawsze czuwała, aby go podtrzymać, kiedy opadał z sił. Mama nie martwiła się tym, że córki widzą w niej jędzę. Czemu miałyby się martwić? Pomagała im, aby dawały z siebie jak najwięcej, działała w ich najlepszym interesie.

Za to Eleanor bardzo się tym martwiła. Z żalem wspominała dawne stracone dni w czasie wojny, kiedy dziewczęta siedziały u niej na kolanach i słuchały opowieści; kiedy biegając z nimi po lasach i łąkach, pokazywała im magiczne miejsca ze swego dzieciństwa i odkrywała nowe. Dawno już jednak przestała się nad sobą użalać. Widziała rodziny, których życie obracało się wokół palących potrzeb ich kalekich członków i doszła do wniosku, że koszty są zbyt wysokie. Nie chciała, aby mrok rozpacz i nieszczęścia Anthony’ego położył się cieniem na życiu ich dorastających córek. Jeśli zdoła przyjąć na siebie jego kłopoty, dzieci nie odczują ich skutków, a pewnego dnia znajdzie lekarza, odkryje lekarstwo, które mu pomoże, i nikt się o niczym nie dowie.

Poświęciła całą energię, aby zgodnie z obietnicą utrzymać chorobę Anthony’ego w tajemnicy. To właśnie dlatego składała mnóstwo zamówień w londyńskich sklepach. Nie potrzebowała nawet połowy z tych rzeczy, lecz to nie miało znaczenia. Był to jeden z najprostszych i najbardziej wiarygodnych sposobów, jakie wypracowała przez lata, aby usunąć dziewczęta z drogi, kiedy Anthony tego potrzebował. Między kolejnymi wyprawami na plażę towarzyszyły jej do miasta po przesyłki. Uwierzyły bez trudu – choć nie bez ostentacyjnego narzekania – że matka jest uzależniona od zakupów i nie zazna spokoju, jeśli nie nabędzie najnowszych rupieci i fatałaszków z Londynu. Tak też sprawy się potoczyły tego ranka.

– Deborah, Clementine, Alice! Chodźcie, Martin czeka.

Nastąpiła chwila zwyczajowego zamieszania, kiedy dziewczęta biegały po domu, szukając nieuchwytnych butów, czemu nieuchronnie towarzyszył wykład o młodych damach, odpowiedzialności, obowiązkach wobec siebie i tym podobnych rzeczach. Mama była dobra w wygłaszaniu nauk. I powinna taka być. Miała w młodości doskonały wzór w Constance. Eleanor sama nie mogła się nadziwić, jak doskonale potrafi wychodzić na skończoną, zimną i ponurą wiedźmę. Kiedy wygłaszała surowe reprimendy i wzywała do poprawy, twarze jej córek przedstawiały prawdziwe studium znudzenia i niechęci, a co gorsza, poza sporadycznymi sytuacjami, kiedy po twarzy Deborah przemykał wyraz urazy, jakby pamiętała lata, gdy wszystko toczyło się inaczej, obie z czasem przestały wykazywać zdziwienie. I to było dla Eleanor najgorsze. Jej córki nie miały pojęcia, jak bardzo im zazdrościła wolności, jak

bardzo lubiła ich brak towarzyskiej ogłady, jak bardzo była kiedyś do nich podobna i że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłyby się naprawdę zaprzyjaźnić.

W końcu dziewczęta stanęły pod schodami, nieco bardziej rozczochrane, niżby Eleanor sobie tego życzyła, lecz przynajmniej miały na nogach buty, a to już było coś. Wyprowadziła je na dwór, gdzie Martin czekał w samochodzie i rozgrzewał silnik, po czym wszystkie wsiadły na tylne siedzenie. Podczas gdy dziewczęta sprzeczały się o to, której z nich przysługuje miejsce przy oknie i kto przyciął komu sukienkę, Eleanor podniosła wzrok na okna poddasza, gdzie spał jej mąż. Jeśli uda jej się utrzymać dziewczęta poza domem przez cały ranek, po południu z bożą pomocą Anthony wróci może do siebie i spędzą miło przynajmniej drugą połowę dnia. Niekiedy po takich porankach zdarzały się najprzyjemniejsze rodzinne popołudnia. Były to dziwne huśtawki, w których głęboką otchłań rozpacz, w jaką wpadał Anthony, równoważyła późniejsza ulga i promienna radość z jego powrotu. Chwile te niczym rzadkie i drogocenne klejnoty przypominały jej o człowieku, którym kiedyś był. Którym był przez cały czas – upominała się – pod pokładami mroku, nieszczęść i urazów psychicznych.

Gdy dojechały do miasta, niebo się roz pogodziło, do portu powracały łodzie, a nad nieruchomym stalowoszarym morzem skrzeczały mewy. Martin zwolnił na High Street.

– Gdzie mam się zatrzymać, proszę pani?

– Tu będzie idealnie, dziękuję, Martinie.

Szofer zatrzymał samochód i otworzył drzwi.

– Czy mam zaczekać, kiedy będą panie załatwiać sprawunki?

– Nie, dziękuję. – Eleanor wygładziła spódnice na biodrach. Słona bryza znad morza pieściła jej skórę na szyi. – Na pewno masz jakieś zlecenia od pani Stevenson, a nam to zajmie kilka godzin.

Umówili się, że kierowca wróci po nie o wpół do pierwszej, co zostało przyjęte z łatwym do przewidzenia potokiem protestów.

– Mamo, całe dwie godziny?! Żeby odebrać kilka paczek? Umrę z nudów!

– Nuda jest świadectwem głupoty – usłyszała własną odpowiedź. – Stanem godnym pożałowania. Skoro już tu jesteśmy, możemy się napić herbaty – ciągnęła, ignorując dalsze narzekania. – Opowiecie mi, czego się nauczyłyście na lekcjach.

Eleanor podejrzewała, że niewiele. Sądząc po liczbie gazetek krążących w obiegu i chichotów pokojówek, które powinny się zajmować innymi rzeczami, dziewczęta więcej czasu spędzały przy prasie drukarskiej niż nauce. Oczywiście Eleanor była w dzieciństwie taka sama, lecz jej córki nie musiały o tym wiedzieć.

Pocieszone nieco perspektywą ciastek, znacznie mniej obietnicą rozmowy o lekcjach, dziewczęta ruszyły za Eleanor do kawiarni przy promenadzie, gdzie całkiem przyjemnie i wesoło spędziły we czwórkę czas, przelotnie tylko zmacony, kiedy Clementine wywróciła dzbanek z mlekiem i trzeba było wezwać na pomoc sprzątaczkę.

Niestety, mile spędzonego czasu nie dało się przeciągać w nieskończoność. Gdy wyczerpały się tematy przyjemnej pogawędki, jak również herbata w imbryczku, Eleanor rzuciła okiem na zegarek swego ojca i stwierdziła, że została jeszcze do zapełnienia cała godzina. Zapłaciła rachunek i ułożyła plan B. Przygotowała sobie zawczasu wymyślony pretekst wizyt u modystki, jubilera oraz w pasmanterii, tak więc skierowały się prosto na High Street. Kiedy skończyła wypytywać o naprawę zapięcia w złotej bransolecie, znudzone dziewczęta dosłownie wychodziły ze skóry.

– Mamo, błagam – powiedziała Alice. – Czy nie mogłybyśmy po prostu iść nad morze, dopóki nie skończysz swoich spraw w mieście?

– Oj, tak, mamo, prosimy – zawtórowała siostrze Clementine, która w ciągu trzech minut zdążyła prawie zepsuć tyle samo zegarków.

– Zabiorę je na plażę, mamo – zaproponowała Deborah, która w wieku szesnastu lat zaczynała właśnie wczuwać się w rolę dojrzałej kobiety. – Będę miała je na oku, dopilnuję, żeby zachowywały się

jak należy. Wrócimy na czas, żeby ci pomóc w niesieniu paczek.

Eleanor, patrząc, jak odchodzą, wypuściła z piersi długo powstrzymywane westchnienie. Była tak samo zadowolona jak one. O ileż łatwiej było wypełniać sobie czas, kiedy nie musiała ich zabawiać i przywoływać do porządku. Podziękowała jubilerowi, zgodziła się na metodę naprawy, którą zaproponował, i wyszła ze sklepu.

Z zadowoleniem zobaczyła na placu pustą ławkę. Usiadła i przez pół godziny w spokoju obserwowała tętniące życie miasteczka. Jako dziecko nie zdawała sobie sprawy, ile przyjemności może dorosły człowiek czerpać ze zwykłego siedzenia. Nikt niczego od niej nie oczekiwał, niczego nie wymagał, nikt nie zadawał pytań, nie zmuszał do rozmowy. Prawdziwa, prosta radość. Z żalem stwierdziła, że zostało jej tylko piętnaście minut do przyjazdu Martina i nadszedł czas, aby iść w końcu na pocztę. Co oznaczało spotkanie z poczmistrzynią. Eleanor przygotowała się na najgorsze. Marjorie Kempling była plotkarką z nieprzebraną skarbnicą informacji, które wylewały się z niej niepowstrzymanym potokiem. Ponieważ Eleanor często przychodziła odbierać paczki, panna Kempling zaczęła ją z czasem uważać za kogoś w rodzaju współpracownicy. Był to całkiem mylny wniosek, Eleanor nie uczyniła najdrobniejszego gestu, który by mógł to wrażenie podtrzymać. Nie interesowały jej bardziej lub mniej prywatne szczegóły życia sąsiadów, lecz nawet najbardziej powściągliwe i wymowne milczenie nie mogło ugasić zapału poczmistrzyni. Przeciwnie, im większy dystans starała się zachowywać Eleanor, tym więcej zaangażowania wykazywała panna Kempling, aby go wypełnić.

Eleanor zatrzymała się z wahaniem na najwyższym stopniu schodów urzędu pocztowego. Po drugiej stronie drzwi wisiał przymocowany do ościeżnicy mały dzwoneczek i z dreszczem niechęci myślała o jego wylewnym dźwięku. Dla panny Kempling był to odgłos surm bojowych, dla niej sygnał nadciągającej szarży. Eleanor uzbroidła się w postanowienie, że wejdzie tylko do środka i grzecznie, lecz stanowczo uwolni siebie oraz swoje paczki z uścisku panny Kempling, wywołując możliwie najmniej zamieszania. Zaciśnęła dłoń na klamce być może nieco mocniej, niż to było konieczne, i przygotowała się do pchnięcia drzwi, lecz dokładnie w tej samej chwili otworzyły się do środka i zawstydzona wpadła prosto na mężczyznę wychodzącego z budynku.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała, cofając się na schody.

– Ależ nic nie szkodzi. To moja wina, spieszyłem się. Poczułem nieznośną wręcz potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza i błogosławionej ciszy.

Eleanor mimo woli wybuchała śmiechem. Spojrzała mężczyźnie w oczy i po dłuższej chwili go rozpoznała. Zmienił się. Miał dłuższe włosy, ciemne i kręcone, a skórę bardziej opaloną niż poprzednio. Nie przypominał tamtego schludnego i zadbanego młodego człowieka, którego spotkała w pociągu.

Na jego twarzy również zastygł uśmiech.

– Czy my się nie znamy?

– Nie – powiedziała szybko, przypominając sobie podróż, chusteczkę i dreszcz, jaki poczuła, kiedy ich palce się zetknęły. – Nie wydaje mi się, abyśmy się kiedyś spotkali.

– Może w Londynie?

– Nie. Nigdy.

Jego czoło zmarszczyło się lekko, ale uśmiechnął się tak, jakby nie miał w życiu żadnych trosk.

– Wobec tego przepraszam, pomyliłem się. Życzę miłego dnia.

– Ja również.

Eleanor z ulgą wypuściła powietrze. Była dziwnie roztrzęsiona, odczekała więc kilka sekund, zanim weszła do środka. Dzwonek zabrzączał wesoło i musiała powstrzymać chęć, aby wyciągnąć rękę i go uciszyć.

Na jej widok oczy poczmistrzyni zabłyśły.

– Pani Edevane! Jak cudownie, że panią widzę. Mam dla pani kilka paczek. Ależ, wielkie nieba, jak mizernie pani wygląda!

– Dzień dobry, panno Kempling. Właśnie przed chwilą wpadłam w drzwiach na jakiegoś dżentelmena. Byłam nieostrożna, jestem trochę roztrzęsiona.

– Och, to pewnie był pan Munro. Proszę, niech pani usiądzie, moja droga, przyniosę pani trochę chłodnej wody.

Pan Munro. Mogła się domyślić, że Marjorie Kempling będzie wiedziała, kim jest mężczyzna wychodzący z jej urzędu. Eleanor zezłościła się na siebie za to zainteresowanie, a jeszcze bardziej, kiedy zapłonęła w niej nagła, irracjonalna zazdrość o to, z jaką lekkością kobieta wymawiała jego nazwisko.

– Ależ z niego gładki młodzik, prawda? – Panna Kempling wypadła zza lady ze szklanką wody w rękę. – Mógłby występować w filmach! Nie to co inni! Z tego, co wiem, to z niego taka złota rączka, jeździ po kraju, przyjmuje pracę, gdzie się da. Przez lato pracował w sadzie u pana Nicolsona. – Pochyliła się tak blisko, że Eleanor poczuła zapach tłustego kremu na jej skórze. – Mieszka w starym wozie cyrkowym nad rzeką, jak jaki Cygan. A i po wyglądzie można powiedzieć, że pewnie ma w żyłach ich krew, no nie? Ta cera! Te oczy!

Eleanor uśmiechnęła się blado. Gardziła tą kobietą za jej niepowściągliwy sposób bycia, za plotkarstwo, mimo to podświadomie pragnęła usłyszeć więcej. Cóż z niej za żalosna hipokrytka!

– Nie do końca dżentelmen – mówiła dalej kobieta – ale maniere ma niegorsze i ujmujący jest, że ho, ho. Będzie mi tu brakowało jego wizyt.

– Brakowało?

– Właśnie dzisiaj przyszedł, żeby mi to powiedzieć. Nie będzie już odbierał listów, bo jego kontrakt u pana Nicolsona wygasa i w przyszłym tygodniu wyjeżdża. Nie zostawił żadnego adresu, żeby przesyłać korespondencję. Szkoda. Tajemniczy jegomość. Spytałam go nawet: „A co, jak przyjdzie list i nie będę miała gdzie go posłać?”. I wie pani, co odpowiedział?

– Nie umiem sobie nawet wyobrazić.

– Powiedział, że wszystkie osoby, od których chce otrzymywać wiadomości, dowiedzą się, gdzie do niego pisać, a bez innych może się obejść.



Po tym zdarzeniu Eleanor nie potrafiła już o nim zapomnieć. To, czego się dowiedziała od panny Kempling, rozпалиło jej ciekawość i przez kilka następnych tygodni często przyłapywała się na rozmyślaniu o panu Munro. Jego nazwisko wryło jej się w pamięć i powracało w najdziwniejszych momentach. Kiedy odwiedzała Anthony’ego w gabinecie; kiedy obserwowała dziewczynki na trawniku; kiedy się kładła spać i nad jeziorem rozlegały się krzyki nocnego ptactwa. Było jak melodia, która utkwiała w pamięci i nie można się od niej uwolnić. Pamiętała jego ciepły głos, wzrok, gdy na nią patrzył, jakby łączył ich intymny, nieznany nikomu innemu żart, a także co czuła w pociągu, kiedy musnął palcami jej dłoń – że to przeznaczenie połączyło ich ścieżki, że zawsze było im to pisane.

Wiedziała, że są to niebezpieczne myśli i niestosowne, o czym świadczył niepokojący dreszcz, jaki im towarzyszył. Była wręcz wstrząśnięta własnymi reakcjami, nigdy nie podejrzewała, że może ją pociągać inny mężczyzna, poczuła się zbrukana swoją postawą. Powtarzała sobie, że to chwilowy stan, przejściowa anomalia, że wkrótce o nim zapomni, a tymczasem myśli są jej prywatną sprawą i nikt nie musi o nich wiedzieć. Ten człowiek wyjechał kilka tygodni temu i nie zostawił adresu. Nie istniało żadne realne zagrożenie. Czemu więc nie może sobie od czasu do czasu pozwolić na przyjemne wspomnienie; przecież nikomu nie stanie się przez to krzywda. I przechowywała go w pamięci, a czasem nawet go wymyślała. Pan Munro. Jego swobodny uśmiech; przyciąganie, jakie czuła, kiedy na nią patrzył; i to, co by się mogło wydarzyć, gdyby wtedy powiedziała: „Ach tak, pamiętam pana. Już się kiedyś spotkaliśmy”.

Niestety, gdy w sercu powstaje rysa, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, choćby była ona

najmniejsza i pozornie niewinna. Kiedy znów zaszła konieczność, by Eleanor zabrała dziewczęta z domu, był piękny poranek, pierwszy po kilku tygodniach nieustannej mżawki, i nie miała najmniejszej ochoty wciskać się w suknię wyjściową i jechać do miasta. Zdecydowała się więc na piknik.

Pani Stevenson zapakowała im drugie śniadanie i wyruszyły dróżką między wawrzynowym żywopłotem, okrążyły jezioro i dotarły nad rzekę u podnóża ogrodu. Edwina, która nigdy nie lubiła zostawać w tyle, dyszała zachwycona, biegnąc z boku. Była pięknym psem, wiernym i lojalnym wobec wszystkich, lecz najbardziej uwielbiała Eleanor. Od incydentu z Anthonym, kiedy była szczenięciem, zadzierzgnęła się między nimi szczególna więź. Kochane stare psisko cierpiało na artretyzm, lecz nie chciało zostać w domu, skoro mogło towarzyszyć ukochanej pani.

Pogoda była wspaniała, i może dlatego, że od wielu dni siedziały zamknięte w domu, zaszły dalej niż zwykle. Eleanor przysięgała sobie potem w myślach, że nie zaprowadziła ich aż do granicy sadów pana Nicolsona świadomie. Tak naprawdę to Clementine wybierała drogę i biegła przodem z rozpostartymi ramionami, a także Deborah, która w końcu wskazała trawiastą łączkę pod wierzbą nad brzegiem rzeki.

– Och, usiądźmy tam, to wymarzone miejsce! – zawołała.

Naturalnie Eleanor zdawała sobie sprawę, gdzie się znajdują, i zadrżała niespokojnie, kiedy z nagłą siłą powróciły fantazje, które nawiedzały ją przez ostatni miesiąc. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, zaproponować, aby przenieśli piknik wyżej w górę rzeki lub na inną łąkę, jej córki rozłożyły już koc i Deborah z Alice leżały wygodnie wyciągnięte. Młodsza z obu sióstr, marszcząc czoło i przygryzając wargę, walczyła, by nadążyć piórem za galopującymi myślami, więc Eleanor nie miała innego wyjścia, jak uznać z westchnieniem, że za późno już na zmianę miejsca. Nie było też właściwie powodu, by się przenosić gdzie indziej. Ten człowiek, pan Munro – policzki ją zapiekły na samo wspomnienie nazwiska – wyjechał z tych okolic kilka tygodni temu. To tylko jej nieczyste sumienie wzdragało się przed myślą, by usiąść na tej akurat łące, należącej do tej szczególnej farmy.

Rozpakowała koszyk i poukładała prowiant przygotowany przez panią Stevenson. Kiedy słońce wzeszło wyżej, zjadły kanapki z szynką, jabłka oraz zdecydowanie za dużo ciastek, popijając wszystko świeżym piwem imbirowym. Edwina obserwowała ucztę proszącym wzrokiem i chwyciła łąpczywie każdy kęs, który poleciał w jej stronę.

Upał jak na październik był niebywały. Eleanor rozpięła perłowe guziczki u mankietów i dwukrotnie podwinęła rękawy. Po jedzeniu ogarnęła ją senność, więc ułożyła się na kocu i zamknęła oczy. Słyszała, jak dziewczęta sprzeczą się bez przekonania o ostatni kawałek ciasta, lecz jej myśli odpłynęły gdzie indziej, daleko od chlupotu wody, kiedy w strumieniu wyskoczył nad powierzchnię błyszczący pstrąg, brzdąkania świerszczy kryjących się pod lasem, ciepłego szelestu liści w pobliskim sadzie. Każdy dźwięk dochodził przerysowany, jakby ktoś rzucił zaklęcie na ten spłachetek ziemi, niczym w magicznych opowieściach pana Llewellyna, które czytała w dzieciństwie. Westchnęła. Staruszka nie było już od miesiąca. Jak co roku, kiedy lato dobiegało końca, wyjechał do Włoch w poszukiwaniu cieplejszego klimatu, aby złagodzić dolegliwości swych niespokojnych nóg i ducha. Eleanor bardzo za nim tęskniła. Pod jego nieobecność zimowe miesiące w Loanneth zawsze wydawały się dłuższe i chłodniejsze, a ona czuła się bardziej spięta i zamknięta w sobie. Był jedyną osobą, która dostrzegała w niej jeszcze tamtą dziewczynkę z burzą niesfornych włosów i pozornie nieposkromionym duchem.

Balansowała na krawędzi snu i jawy. Śniło jej się, że jest małą dziewczynką. Płynęła łodzią, biały żagiel wydymał się na wietrze, a tata i pan Llewellyn machali do niej z brzegu. Jej serce przepełniało się szczęściem, nie czuła strachu ani niepewności. Światło falowało na powierzchni wody, liście lśniły w słońcu, lecz po chwili, kiedy się odwróciła, żeby im pomachać, zobaczyła, że odpłynęła dalej, niż zamierzała, a jezioro zmieniło kształt, otworzyło się i oddalało ją od domu i rodziny, prąd stawał się coraz silniejszy i odpychał ją coraz dalej, łódka kołysała się na boki coraz gwałtowniej na wzburzonej powierzchni wody, Eleanor musiała się trzymać mocno, żeby nie wypaść...

Zbudziła się nagle i poczuła, że ktoś ją potrząsa za ramię.

– Mamo, obudź się. Mamo!

– O co chodzi?

Nie było już jasno. Na zachodzie gromadziły się gęste, ciemne chmury, zerwał się wiatr. Poderwała się szybko i rozejrzała za dziewczętami.

– Clementine?

– Nic jej nie jest. Martwimy się o Edwinę. Jakies pół godziny temu pobiegła za królikiem i do tej pory nie wróciła, a zbiera się na deszcz.

– Pół godziny temu? To ile ja spałam? – Eleanor spojrzała na zegarek; dochodziła trzecia. – W którą stronę pobiegła?

Deborah wskazała w kierunku odległego lasu i Eleanor wyteńczyła wzrok, jakby wpatrując się w drzewa wystarczająco uporczywie, mogła wywołać spomiędzy nich Edwinę samą siłą woli.

Niebo nabrało siniego odcienia; czuła zapach nadciągającej burzy, upału zmieszanego z wilgocią. Wkrótce zacznie padać i zanosilo się na gwałtowną ulewę, lecz przecież nie mogły zostawić Edwiny tak daleko od domu. Psisko było stare i częściowo niewidome, w dodatku z chorymi stawami nie poradzi sobie, jeśli wpadnie w kłopoty.

– Pójdę jej poszukać – podjęła decyzję i zaczęła pakować rzeczy do koszyka. – Nie mogła odbiec daleko.

– Mamy tu zaczekać? – spytała Deborah.

Eleanor zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby, żebyśmy wszystkie zmokły. Zabierz Alice i Clemmie do domu. Przypilnuj, żeby Clemmie nie wychodziła na deszcz.

Wysłała dziewczynki do domu ze stanowczym przykazaniem, aby nie marudziły po drodze, po czym ruszyła w stronę zagajnika. Wołała Edwinę, lecz silny wiatr porywał jej głos. Szła szybko, przystając co jakiś czas, by przeszukać wzrokiem horyzont, żeby zawołać, a potem przez chwilę nasłuchiwać, lecz ani razu nie odpowiedziało jej żadne szczekanie.

Szybko się ściemniało i z każdą minutą Eleanor coraz bardziej się niepokoiła. Edwina się przestraszy. Kiedy padało, zawsze kuliła pod siebie ogon i uciekała na swoje posłanie za zasłoną w bibliotece, gdzie kryjąc łeb między łapami, przeczekiwała najgorsze.

Dolinę wypełnił huk grzmotu, chmury burzowe wisały już nad głową Eleanor, ostatni skrawek jasnego nieba utonął w kłębiącym się mroku. Bez wahania przeszła przez bramę odgradzającą łąki i ruszyła dalej. Uderzył w nią silny podmuch wiatru, niebo rozdarła błyskawica. Kiedy spadły pierwsze grube krople deszczu, przyłożyła do ust zwinięte dłonie i znów zawołała:

– Edwina!

Ale jej głos uleciał z burzą i żadna odpowiedź nie nadeszła.

Nad łąką przetoczył się kolejny grzmot i w ciągu kilku minut Eleanor przemokła do suchej nitki. Spódnica przyklejała jej się do nóg, musiała mrużyć oczy, żeby widzieć coś przez zasłonę deszczu. Powietrze rozdarł ogłuszający łoskot, znak, że piorun trafił gdzieś w pobliżu, i mimo narastającego niepokoju o Edwinę Eleanor poczuła falę dziwnego podniecenia. Burza, niebezpieczeństwo, nawałnica zmyły z niej skorupę matki. Spod spodu wyłoniła się prawdziwa – wolna – Eleanor. Eleanor Poszukiwaczka Przygód.

Doszła na szczyt wzgórza i tam zobaczyła na dnie doliny mały wóz cyrkowy w kolorze burgunda z wyblakłymi żółtymi kołami. Natychmiast się domyśliła, do kogo należy, i z dreszczem niepokoju ruszyła w jego stronę. Spłowiałe zasłony zaciągnięto, pojazd był zniszczony, lecz pod łuszczącą się farbą dostrzegła ślady starego kwiecistego wzoru, który go kiedyś ozdabiał. Zastanawiała się przelotnie, gdzie jest mężczyzna, który w nim mieszka, jakie to musi być uczucie żyć w takich warunkach. Być niezależnym, podróżować do woli, badać, odkrywać, uciekać. Zazdrościła mu tej swobody, i tym razem jej zazdrość

zaowocowała wybuchem dziwnego gniewu. To było szalone, ponieważ ten mężczyzna nie miał przecież wobec niej żadnych zobowiązań; to tylko wyobraźnia roznieciła w niej poczucie, jakby została zdradzona.

Dotarła do strumienia i zastanawiała się właśnie, czy zawrócić w kierunku Loanneth, czy przejść na drugi brzeg, kiedy spojrzała w stronę wozu i stanęła jak wryta. Do drzwi prowadziły zniszczone drewniane stopnie, a na podeście na szczycie schodków siedziała wcale nie za bardzo zmoknięta Edwina. Eleanor wybuchła śmiechem.

– Ty sprytna bestyjko! Siedzisz tu sobie sucha i zadowolona, a ja wyglądam jak zmokła kura!

Kamień spadł jej z serca. Wbiegła na schody, uklęknęła i zaczęła tarmosić pysk starego, kochanego psiska.

– Tak mnie przestraszyłaś – powiedziała. – Myślałam, że się zgubiłaś. Nic ci nie jest? – Obejrzała jej łapy, czy nie ma skaleczeń, po czym rozejrzała się ze zdziwieniem. – Jakim cudem się tu dostałaś?

Nie zauważyła, kiedy otworzyły się drzwi wozu. Dopiero gdy usłyszała jego głos, zorientowała się, że stoi w progu.

– Pomogłem jej. Usłyszałem, że się kręci przestraszona pod wozem, kiedy się zaczęła burza. Uznałem, że tu jej będzie wygodniej. – Miał mokre włosy, a na sobie tylko spodnie i podkoszulek. – Zapraszałem ją do środka, ale wołała zostać na zewnątrz. Myślę, że czekała na panią.

Eleanor nie wiedziała, co powiedzieć. Była zaszokowana. Miał przecież wyjechać, pracować gdzie indziej. Listy od ludzi, od których chciał usłyszeć wiadomości, miały go znaleźć gdzie indziej. Lecz poczuła coś jeszcze, niewytłumaczalne wrażenie podobne do *déjà vu*, tylko znacznie silniejsze, spotęgowane być może przez szalejący żywioł i niezwykły przebieg zdarzeń tego dnia, przeświadczenie, że znalazł się tu, ponieważ go wyczarowała. Że ta chwila była nieunikniona, to spotkanie, tu i teraz, że wszystko od zawsze prowadziło do tego punktu, w czasie i przestrzeni. Nie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć. Obejrzała się przez ramię, pogoda była nadal okropna, nad łąkami szalała nawałnica. Eleanor znalazła się na ziemi niczyjej, ani tu, ani tam, przycupnięta na wąskiej kładce między dwoma światami. Wtedy się znowu odezwał i kładka usunęła jej się spod nóg.

– Właśnie miałem rozpalić ogień. Może pani wejdzie i przeczeka burzę!

Londyn, 2003

Jakiś czas po wyjściu Sadie z kluczami do Loeanneth, schowanymi bezpiecznie w torebce, Alice wyszła do ogródka na tyłach domu. Zaczynało zmierzchać i wraz ze zmrokiem na świat spłynęła melancholijna cisza. Szła zarośniętą ścieżką, odnotowując w pamięci rzeczy, które w najbliższym czasie wymagały zrobienia. Dużo ich było. Lubiła ogrody z charakterem, ale jest różnica między charakterem a bałaganem. Problem polegał na tym, że zbyt rzadko tu przychodziła. Kiedyś uwielbiała świeże powietrze... dawno temu.

Po ścieżce pełzały splątane pędy pnącego jaśminu i Alice przykłękała, aby urwać małą gałązkę. Powąchała zapach uchwyconych promieni słonecznych. Nagle nasza ją chęć, by rozwiązać sznurówki. We wnęce pod krzakiem kamelii stało krzesło z giętego metalu, więc usiadła na nim, zdjęła buty i skarpetki, wystawiła stopy i zaczęła przebierać zaskoczonymi palcami w popołudniowym balsamicznym powietrzu. Nad krzakiem róży zawisł spóźniony motyl i Alice, jak zawsze na widok motyla, pomyślała o ojcu. Od kiedy sięgała pamięcią, był zapalonym naukowcem amatorem; nigdy nie sądziła, że mógłby pragnąć czegoś innego niż to, co miał i robił. Wiedziała, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, studiował medycynę i zamierzał zostać lekarzem, lecz jak wszystko to, co w świadomości dzieci dotyczy planów i marzeń rodziców, wiedza ta wegetowała w świecie znacznie mniej realnym i żywym niż ten, w którym się wychowała i dorastała. Teraz jednak odstąpił się przed nią rąbek prawdy, jak wiele odebrała ojcu wojna. Przypominały jej się strzępy rozmów, słowa wymawiane półgłosem, przekleństwa ciskane na drżące dłonie, kłopoty z koncentracją, gry pamięciowe, w które lubił grać, aby uporządkować uciekające myśli.

Przejechała stopami po ciepłych ceglach, wyczuwając każdy kamyk, każdy kwiat, który opadł na ziemię. Ostatnio jej skóra zrobiła się bardzo wrażliwa, nie to, co twarde dziecięce podeszwy zaprawione w codziennych zabawach. W ciągu długich letnich miesięcy w Loeanneth całymi tygodniami chodziły boso; trzeba się było wiele nabiegać, żeby znaleźć buty, kiedy mama zarządziła nagłą wyprawę do miasta. Okrążyć dom, zajrzeć pod łóżka, za drzwi, pod schody, zanim się wreszcie dokonało wielkiego odkrycia. Wspomnienie było tak żywe, że Alice mogła go prawie dotknąć.

Westchnęła ciężko. Kiedy oddała Sadie Sparrow klucze do Loeanneth, obudził się w niej długo tłumiony smutek. Po śmierci mamy odziedziczyła dom, lecz ukryła klucze głęboko i przyrzekła sobie, że nigdy tam nie wróci. Mimo to coś jej zawsze szeptało do ucha, że to nietrwała obietnica; w głębi duszy wiedziała, że musi kiedyś ją złamać. Loeanneth było jej ukochanym domem.

Nie zmieniła zdania i teraz wyglądało na to, że już tego nie robi. Przekazała klucze do domu wraz zadaniem odkrycia rodzinnych sekretów obcej osobie, młodej policjantce, która paliła się do tego zadania, choć nie z powodów osobistych, lecz czysto badawczych. W jakiś sposób było to równoznaczne z przyznaniem, że Alice już nigdy tam nie pojedzie.

– Napijesz się ginu z tonikiem?

To był Peter. Trzymał w ręku kryształową karafkę, w drugiej dwie szklaneczki. Kostki lodu grzechotały niczym rekwizyt ze sztuki Noëla Cowarda.

Alice uśmiechnęła się z większą ulgą, niż chciała to okazać.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, na co miałabym większą ochotę.

Usiedli razem przy ozdobnym metalowym stoliku z kutego żelaza i Peter nalał im obojgu ginu. Właśnie tego jej było trzeba – lodowatego, cytrynowego, piekąco orzeźwiającego płynu.

Gawędzili o ogrodzie, wymienili grzecznościowe uwagi, co w miły sposób oderwało ją od ponurych rozmyślań. Jeśli Peter zauważył jej bose stopy i uznał to za alarmujące naruszenie protokołu, to był zbyt grzeczny, by o tym wspomnieć.

– Powiniennem już iść – powiedział. – Chyba że masz jeszcze dla mnie jakieś zlecenie.

– Nie przychodzi mi nic na myśl.

Skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca, i Alice uznała, że drobny wyraz wdzięczności byłby na miejscu.

– Dziękuję ci za dzisiejszy dzień, Peter. Za to, że zorganizowałeś spotkanie z detektyw Sparrow, i za to, że trzymałeś rękę na pulsie podczas jej wizyty.

– Drobiazg, to przecież nic takiego. – Wziął do ręki zabłąkany pęd bluszczu i zaczął go obracać w palcach. – Mam nadzieję, że spotkanie było owocne?

– Myślę, że tak.

– To dobrze. Miło mi to słyszeć.

Nadal jednak nie ruszył się z miejsca.

– Peter?

– Słucham.

– Cały czas tu jesteś.

Westchnął, jakby właśnie podjął decyzję.

– Powiem to w końcu.

– Proszę.

– Skończyłem stronę internetową i zastanawiałem się, czy nie mogłabyś mnie zwolnić na jakiś czas z codziennych obowiązków.

Alice była zaskoczona. Nigdy przedtem nie prosił o wolne, więc w pierwszej chwili chciała odruchowo odmówić. Przyzwyczaiła się do jego obecności. Lubiła go mieć koło siebie.

– Rozumiem.

– Chciałbym się zająć pewną ważną sprawą.

Spojrzała mu w oczy i nagle zawstydziła się własnych myśli. Biedny chłopak nigdy o nic nie prosił, nie narzekał, robił bez szemrania wszystko, co mu kazała, gotował jej nawet jajka dokładnie tak, jak lubi, a ona chce mu teraz utrudniać życie! Od kiedy stała się taką sekutnicą? Jak do tego doszło? I to ona, którą kiedyś przepełniała bezgraniczna radość, która patrząc na świat, widziała w nim miejsce nieskończonych możliwości. Czy to samo stało się z jej matką? Przełknęła ślinę.

– Ile czasu potrzebujesz?

Uśmiechnął się, a ulga, jaka odmalowała się na jego twarzy, była nieświadomym oskarżeniem.

– Myślę, że trzy, cztery dni powinny wystarczyć, łącznie z weekendem.

Miała na końcu języka pytanie: „Na co powinny wystarczyć?”, lecz w porę się powstrzymała. Przywołała na twarz najbardziej przyjazny uśmiech, na jaki mogła się zdobyć.

– Masz cztery dni. Czekam na ciebie w środę.

– Szczerze mówiąc...

– Słucham, Peter?

– Miałem nadzieję, że wybierzesz się ze mną.

Alice wytrzeszczyła oczy.

– Na urlop?

Wybuchnął śmiechem.

– Niezupełnie. Myślę, że powinniśmy pojechać do Korwalii, do Loeanneth. Nie po to, żeby plątać się pani detektyw pod nogami, ale tak po prostu, żeby tam być. Mogłabyś nadzorować poszukiwania, a ja

potem pomógłbym ci przy studiowaniu dzienników i listów. Czytanie między wierszami, analiza tekstu... to w końcu mój zawód.

Przyglądał jej się bacznie, czekając, jak zareaguje. Jeszcze godzinę temu by odmówiła, stanowczo i bez wahania, lecz teraz słowa nie chciały jej przejść przez usta. Kiedy pili gin i rozmawiali, popołudniowy wiatr przyniósł skądś znajomy zapach ogrodu, wilgotnej ziemi i grzybów i Alice opadły niespodziewanie wspomnienia, a także tęsknota. Zdała sobie sprawę, że w Loeanneth jest coś, czego potrzebuje, cząstka dziewczynki, którą była, a zarazem symbol winy i wstydu, które nosiła w sobie przez tyle lat. Nagle poczuła, że od dawna niczego nie potrzebowała tak bardzo jak tego. Uświadomiła sobie, że jeśli ma się uwolnić od przeszłości, musi tam wrócić.

Wrócić do Loeanneth? Obiecała sobie, że tego nie zrobi...

Nie potrafiła się zdecydować, co samo w sobie było niepokojące: Alice Edevane nigdy nie miała problemów z podjęciem decyzji. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że traci kontrolę nad swoim życiem, że wątek i osnowa zaczynają się rozplatać, a co więcej, że może dobrze by było przestać je tak kurczowo ścisnąć w dłoni.

Peter czekał w milczeniu.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – Po prostu nie wiem.



Po wyjściu Petera Alice jeszcze przez godzinę siedziała w ogrodzie. Zrobiła sobie drugiego drinka, potem trzeciego i słuchała, jak sąsiedzi wpadają w pokrzepiającą rutynę swoich codziennych zajęć, jak na ulicy za płotem rośnie, a później maleje ruch i ostatnie towarzyskie ptaki odlatują, szukając schronienia. Zapadł piękny letni wieczór; w takie wieczory wszystkie rzeczy stają w zenicie. To jeden z punktów krytycznych natury. Powietrze pachnie oszałamiająco, niebo przybiera wszelkie odcienie barw – od różowego, przez koralowy, do granatowego – i mimo rzeczy, których dowiedziała się całkiem niedawno, ogarnął ją głęboki spokój.

Kiedy w końcu weszła do domu, zobaczyła, że Peter zostawił jej kolację na kuchence. Nakrył do stołu, używając jej ulubionej zastawy, a na szafce, oparty o pojemnik na sztucce, stał liścik z instrukcją, jak długo należy podgrzewać zupę. Najwyraźniej Alice wyjątkowo skutecznie wywarła na nim wrażenie całkowitej nieudolności. Nie była jeszcze głodna; postanowiła trochę poczytać. Zamiast tego jednak w salonie wzięła do ręki starą fotografię z rodzinnego pikniku w Loeanneth. Zrobiono ją tuż przed tym, jak wszystko się rozsypało. Choć oczywiście – przypomniawszy sobie – tak naprawdę rozsypywało się od dłuższego czasu.

Przyjrzała się twarzy matki. W 1933 roku Eleanor miała trzydzieści osiem lat, dla szesnastolatki była wiekową matroną, ale z dzisiejszej perspektywy wydawała jej się niemal dziewczyną. Miała piękne rysy twarzy, lecz Alice zaczęła się zastanawiać, jak mogła nie zauważyć bijącego w oczy smutku na obliczu matki. Teraz, wiedząc o tym, co przeżywała jej mama, kiedy przez tyle lat utrzymywała w tajemnicy chorobę taty i brała na siebie jego cierpienia, Alice dostrzegała ten smutek bardzo wyraźnie. W pewien sposób dodawał Eleanor uroku. W jej pozie wyrażała się rezerwa, a w przenikliwym spojrzeniu udreka i jakieś brzemie widoczne na czole; może hart ducha, a może bunt i przekora. Była krucha, a jednocześnie silna i urzekająca. Nic dziwnego, że Ben się w niej zakochał.

Odstawiła fotografię. Clemmie była w szoku, kiedy relacjonowała Deborah, co zobaczyła w chacie.

– Miała dwanaście lat – powiedziała Deborah. – W dodatku była dość dziecinna jak na swój wiek. Nie chciała dorastać. Poza tym chodziło przecież o mamę.

Alice mogła sobie wyobrazić swoją młodszą siostrę, jak wchodzi na drewniany ganek, jak przykładła dłoń do szyby i zagląda przez okno do środka. Pewnie była oszołomiona, gdy zobaczyła mamę

z Benem. I jaki zdruzgotany musiał być tata, kiedy się dowiedział. I Deborah.

– Myślałam, że znenawidzę mamę do końca życia – wyznała, gdy Alice wyraziła swoje przypuszczenie.

– Ale jej wybaczyłaś.

– Jak mogłabym nienawidzić jej po tym, co się stało z Theo? Wobec straty dziecka niewierność wydawała się znikomą przewiną, nie sądzisz? Chyba uznałam, że została wystarczająco ukarana, i współczucie zagłuszyło we mnie gniew. Poza tym została z tatą. Doszłam do wniosku, że skoro on jej wybaczył, to ja również powinnam.

– A co z Clemmie?

Debrah pokręciła głową.

– Zawsze trudno mi było odgadnąć, co ona myśli. Nigdy więcej nie rozmawiałam z nią na ten temat. Kilka razy próbowałam, ale za każdy razem patrzyła na mnie, jakbym gadała od rzeczy. Nie widziała świata poza lataniem. Czasem miałam wrażenie, że unosi się w powietrzu ponad zwykłymi ludzkimi sprawami, które nas wszystkich pętają.

Ale czy rzeczywiście tak było? Nagle Alice ujrzała w innym świetle dystans, który zawsze dzielił Clemmie i jej matkę. Zawsze uważała, że to efekt buntowniczego, samotniczego charakteru jej młodszej siostry; nigdy nie przeszło jej przez myśl, że u podłoża leżało coś tak konkretnego i traumatycznego.

A co ze mną? – pomyślała Alice, ale udało jej się nie wypowiedzieć tego na głos.

– Zastanawiam się, dlaczego tak długo milczałaś? – rzuciła beztroskim tonem, chociaż wcale się tak nie czuła. – Nie mówię o romansie, ale o tacie, o jego nerwicy, o Theo.

Zaciśnięte usta Deborah zadrżały lekko.

– Wszystkie go kochałyśmy, ale ty wyniosłaś na piedestał. Nie chciałam ci tego odbierać. – Próbowała się rozeźmiać, lecz wypadło to blado. – Boże, to brzmi, jakby moja decyzja miała w sobie coś szlachetnego, a tak wcale nie było. – Westchnęła. – Nie powiedziałam ci, ponieważ wiedziałam, że obwiniałabyś mnie o to, że wywołałam jego gniew. I wiedziałam, że miałabyś rację. Nie mogłam sobie z tym poradzić.

W Deborah wezbrały wyrzuty sumienia połączone z żalem i rozpaczą i rozsłochała się cicho. Przyznała, że nieraz się zastanawiała, czy jej kłopoty z zajściem w ciążę nie były karą za to, co zrobiła, lecz Alice zapewniła ją, że to absurd. Po pierwsze, świat tak nie działa; po drugie, jej decyzja była całkowicie uzasadniona. Czuła żarliwą lojalność wobec taty i gniew na mamę. Nie mogła przewidzieć, że mówiąc mu o tym, wyzwoli łańcuch przerażających wydarzeń.

Tyle różnych elementów układanki, a każdy z bohaterów trzymał w ręku inny fragment. Jediną osobą, która je wszystkie znała, była matka, a ona nikomu się nie zwierzała. Sadie Sparrow nie potrafiła pojąć, jak Eleanor mogła wybaczyć mężowi taki czyn. W tle ich rozmowy wisiało niewypowiedziane pytanie: „Czy nie kochała swojego dziecka?”. Ależ uwielbiała je i nikt, kto ją znał, nie mógłby pomyśleć inaczej. Opłakiwała je przez całe życie, każdego roku powracała do Loeanneth, mimo to nigdy nie zrzuciła winy na męża.

– Miłość nie przechowuje kartoteki złych uczynków – powiedziała Eleanor najstarszej córce w przeddzień jej ślubu i jeśli chodzi o Eleanor, była to prawda.

Miała również inne powody, by wytrwać u boku męża. Detektyw Sparrow mogła tego nie rozumieć, lecz Alice wiedziała, że jej matka czuła się wszystkiemu winna. Że wszystko, co się wydarzyło, było karą za to, że złożyła tacie przysięgę i jej nie dotrzymała.

Alice znowu spojrzała na fotografię. Zastanawiała się, jak długo trwał romans mamy z Benem. Czy była to tylko jedna przelotna schadzka, czy naprawdę się kochali? W pierwszej chwili, kiedy Deborah jej o tym powiedziała, poczuła wstyd. Przypomniała sobie natychmiast tamto popołudnie w chacie, kiedy Ben ją odtrącił. Spytała go, czy w jego życiu jest jakaś inna kobieta, i tkliwość, jaka odmalowała się na jego twarzy, powiedziała jej, że tak. Ale nie miała pojęcia, kim ona jest.

Wyobraziła sobie wtedy, jak oboje się śmieją z niej za jej plecami, i czuła się niewyobrażalnie poniżona. Lecz dzisiaj emocje sprzed siedemdziesięciu lat zbladły, został z nich tylko cień. Kiedy poznała Bena, miała zaledwie piętnaście lat; owszem była rozwinięta jak na swój wiek, lecz nadal naiwna. Zakochała się w pierwszym mężczyźnie, który okazał jej zainteresowanie. Wzięła przyjacielską życzliwość za odwzajemnione uczucie. Dość banalna historia i już dawno wybaczyła sobie tę niedojrzałość. Wiedziała też, że mama na pewno by się z niej nie śmiała. Przeciwnie, zrozumiała teraz, dlaczego z takim zniecierpliwieniem i stanowczością ostrzegała ją przed angażowaniem się w związek z „nieodpowiednią” osobą.

Nie czuła też zazdrości, że Ben wybrał Eleanor. Jak mogłaby zazdrościć mamie, która tyle wycierpiała i tyle utraciła? Która była znacznie młodsza niż ona teraz i zmarła prawie sześćdziesiąt lat temu? Zupełnie jakby była zazdrosna o swoje dziecko albo o postać z dawno przeczytanej książki. Nie, nie była zazdrosna. Nie wpadła nawet w melancholię, w ogóle w tym, co czuła, nie kryło się nic ogólnego ani irracjonalnego. Było jej żal, że mama przechodziła przez to wszystko sama. Kiedy patrzyła na to stare zdjęcie, przyszło jej do głowy, że może siła przyciągania Bena tkwiła w tym, że był miłym mężczyzną, łagodnym, urzekającym i wolnym od więzów, które Eleanor musiały się czasem wydawać ciężarem nie do udźwignięcia.

Spojrzała na ojca siedzącego na brzegu koca za plecami swojej rodziny. Za nim wznosiło się ogrodzenie i Alice uprzytomniła sobie nagle, że tata wydawał jej się zawsze taki niezłomny i mocny jak te stare kamienne mury, które przecinały tereny Loeanneth. Deborah powiedziała, że Alice wyniosła go na piedestał. Na pewno bardzo go kochała i pragnęła, aby on też ją kochał. Lecz przecież wszystkie czuły to samo i rywalizowały o jego względy.

Chłonęła każdy szczegół znajomej twarzy, próbując przeniknąć kochane rysy i odkryć tajemnice, jakie kryła. Niewiele wiedziała o nerwicy frontowej, tyle co wszyscy – o napadach drżenia, koszmarach sennych i mężczyznach wyniszczonych przez traumatyczne przeżycia, którzy kulili się ze strachu na każdy głośniejszy hałas. Deborah twierdziła jednak, że z tatą było inaczej. Miał kłopoty z koncentracją i czasem drżały mu dłonie, przez co nie mógł już wrócić na studia medyczne, lecz dręczyło go jakieś jedno szczególnie przeżycie, gorsze od całego brzemienia koszmarów. Gehenna z pola bitwy niszczyła życie rodzinne w czasach pokoju.

W końcu w nieunikniony sposób spojrzenie Alice przeniosło się na Thea. Siedział w nogach mamy z promiennym uśmiechem na buzi i wyciągał rączkę w stronę Clemmie. Trzymał ukochanego pluszowego pieska, i niewtajemniczony obserwator mógłby pomyśleć, że malec chce oddać siostrze swoją zabawkę, ale Theo za nic w świecie nie oddałby nikomu Szczęniątka, w każdym razie dobrowolnie. Co się stało z ukochaną przytulanką? W świetle tragicznych wydarzeń, które się później rozegrały, było to doprawdy mało istotne pytanie, mimo to Alice nie mogła go sobie nie zadać. Prawdopodobnie odezwała się w niej powieściopisarska natura, nawyk, by nie pozostawić bez wyjaśnienia nawet najdrobniejszego szczegółu. Lecz odpowiedzi nie doczekały się również ważniejsze pytania, począwszy od podstawowego – jak do tego doszło? Kiedy tata zdał sobie sprawę, co zrobił? Kiedy dowiedziała się o tym mama? A także, co według Alice było kwestią kluczową: co się wydarzyło na wojnie, że popchnęło go do takich zachowań? Wszystko by oddała, aby móc się cofnąć w czasie i spytać go wprost, lecz pozostała jej tylko nadzieja, że gdzieś w papierach w Loeanneth kryje się odpowiedź.

Powierzyła znalezienie jej młodej policjantce, teraz jednak zrozumiała, że nie potrafi usiedzieć beczynnym z boku. Obiecała sobie kiedyś, że nie wróci do Loeanneth, lecz nagle zapragnęła tego najbardziej na świecie. Podniosła się szybko, przeszła przez pokój, powachlowała rozpalone policzki. Wrócić do Loeanneth... Wystarczy, że zadzwoni i powie jedno słówko, zapewnił ją Peter. Czy naprawdę pozwoli, żeby powstrzymywało ją postanowienie złożone w czasach młodości, niepewności i strachu?

Spojrzała na telefon i dłoń jej zadrżała.

Kornwalia, 1932

Wiódł taki szczęśliwy i błogosławiony żywot. Co zresztą jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Miał żonę, którą kochał, trzy dobre i beztrioskie córki, które wносиły w jego świat tyle radości, a teraz miało się urodzić kolejne dziecko. Mieszkał w pięknym domu z bujnym ogrodem na skraju wielkiego i gęstego lasu. Wśród jego drzew śpiewały ptaki, wiewiórki budowały gniazda, a w jego rzece pływały dorodne pstrągi. Nie zasługiwał na takie dobrodziejstwa. Miliony mężczyzn straciły szansę na normalne życie, straciły życie w błotach Francji lub popadły w obłąd, mężczyźni, którzy oddaliby wszystko za to, czym on się cieszył. Tymczasem leżeli pogrzebani na polach bitew Europy lub popadali w zapomnienie, jemu zaś życie zsyłało wciąż nowe błogosławieństwa.

Obszedł dookoła jezioro i zatrzymał się, kiedy zobaczył chatę na łodzie. To zawsze będzie szczególne miejsce. Proste życie, jakie wiedli tam przed wojną, gdy w domu trwały prace renowacyjne, a on i Eleanor koczowali nad strumieniem. Nie był pewien, czy kiedykolwiek później czuł się taki szczęśliwy. Wszystko wydawało się takie pewne. Miał przed sobą wytyczony cel, umiejętności i środki, aby go realizować, i ufność, ponieważ był młody, zdrowy i świat nie poddał go jeszcze próbom. Uczciwie mógł się uważać za dobrego człowieka. Życie wydawało się prostą drogą, ciągnącą się w nieskończoność i czekającą, aż nią podąży.

Kiedy wojna się skończyła i Anthony wrócił do domu, spędzał w tej chacie dużo czasu; czasem tylko siedział i patrzył na rzekę, czasem czytał stare listy, a czasem po prostu spał. Czuł się taki zmęczony. Niekiedy zdawało mu się, że się już nie obudzi, i nawet tego pragnął. Ale za każdym razem się budził i dźwigał na nogi. Z pomocą Eleanor urządził sobie gabinet na poddaszu domu, a chatę przejęły dziewczęta. Stała się miejscem dziecięcych zabaw i przygód, a teraz służyła za mieszkanie dla pracowników. Ta myśl działała na niego pokrzepiająco. Wyobrażał sobie pokłady czasu i pokolenia jej mieszkańców – duchy dnia wczorajszego ustępują miejsca ludziom, którzy właśnie teraz rozgrywają swoje życie. Budowle są trwalsze niż człowiek i czyż nie jest to pokrzepiająca myśl? To właśnie najbardziej lubił w lasach i łąkach Loeanneth. Spacerowały nimi całe pokolenia, pracowały tu i zostały tu pochowane. Z trwałości natury można czerpać tyle pocieszenia. Nawet lasy w Menin musiały już odrosnąć. Trudno było to sobie wyobrazić, ale tak musi być. Czy na grobie Howarda rosną kwiaty?

Rozmyślał czasem o ludziach, których spotykali we Francji. Starał się tego nie robić, lecz wdzierali się w jego myśli nieproszeni – mieszkańcy miasteczek i wsi, których domy stały w samym środku wojny. Zastanawiał się, czy nadal tam mieszkają. Pan Durand i pani Fournier i niezliczone rzesze innych, u których ich zakwaterowywano w trakcie przemarszu. Czy kiedy podpisano zawieszenie broni i odłożono na bok karabiny, ci ludzie, którym żołnierze zniszczyli domy i uprawy, rozpoczęli powolny proces odbudowy? Przypuszczał, że tak. Dokąd mieliby się udać?

Ominął żywopłot i ruszył w kierunku lasu. Alice chciała mu towarzyszyć, lecz matka się nie zgodziła i wymyśliła jej jakieś zajęcie. W ciągu minionych lat Eleanor osiągnęła prawdziwe mistrzostwo w rozpoznawaniu jego nastrojów. Niekiedy miał wrażenie, że zna go lepiej niż on sam siebie. Mimo to ostatnio sprawy wymykały się spod kontroli. Od kiedy powiedziała mu o dziecku, sytuacja przybierała coraz gorszy obrót. Martwił się. Sądziła, że ucieszy go ta wiadomość, i w pewnym sensie naprawdę tak było, lecz coraz częściej przyłapywał się na tym, że powraca myślami do tamtej stodoły w gospodarstwie

pani Fournier. Słyszał w nocy płaczące widma, dziecięce krzyki i za każdym razem, kiedy zaszczał pies, musiał stanąć bardzo cicho i nieruchomo i powtarzać sobie, że wszystko jest w porządku, że zło czai się tylko w jego głowie. Tak jakby to mogło coś zmienić.

Po niebie przemknęło stado ptaków i Anthony zadrzał. Wystarczył ułamek sekundy, aby znów wrócił do Francji, leżał na ziemi za dojarnią i bolało go ramię, w które uderzył go Howard. Zacisnął mocno oczy i pięć razy odetchnął głęboko, zanim znów je uchylił i wpuścił trochę światła pod powieki. Skupił się, aby widzieć przed sobą tylko rozległe, puste łąki Loeanneth, huśtawkę Alice, ostatnią bramę pod lasem. Powoli, stanowczym krokiem ruszył w tamtą stronę.

Dobrze, że przyszedł dzisiaj sam. Eleanor miała rację. Jego reakcje stawały się coraz bardziej nieprzewidywalne. Martwił się, do czego może być zdolny w tym stanie niepoczytalności, co dziewczęta mogłyby zobaczyć lub usłyszeć. A nie powinny się dowiedzieć, co zrobił, kim był, nie zniósłby myśli, że o tym wiedzą. Albo gdyby, co gorsza, uchwyciły choćby przelotną wizję tego, co prawie uczynił, tej potwornej granicy, którą niemal przekroczył.

Którejś nocy obudził go hałas w sypialni, gdzie spali razem z Eleanor. Usiadł w łóżku i zobaczył, że coś się czai w ciemnym kącie pod zasłoną. Ktoś. Serce zaczęło mu walić.

– Kto tu jest? – syknął. – Czego chcesz?

Mężczyzna ruszył powoli w jego stronę, a kiedy wszedł w smugę księżycowego blasku, Anthony zobaczył, że to Howard.

– Będę ojcem – mówił. – Będę ojcem, Anthony, tak jak ty.

Anthony zacisnął oczy, zasłonił uszy tak mocno, że dłonie mu drżały na skroniach. Kiedy się ocknął, Eleanor obejmowała go z całych sił. Paliła się lampka na stoliku nocnym, a Howard zniknął.

Ale wróci. Zawsze wracał. A teraz, kiedy Eleanor była w ciąży, Anthony już nigdy się go nie pozbędzie.



Wojna trwała już dwa i pół roku. Walki toczyły się głównie na linii frontu i żołnierze kursowali w niekończących się przetasowaniach między miejscami starć a kwaterami na tyłach. Poznali całkiem niezłe miasteczko Warloy-Baillon oraz jego mieszkańców i udało im się osiągnąć maksimum komfortu, jaki był możliwy w tym piekle wojny okopowej. Ostatnio jednak rozeszła się wieść, że przygotowuje się wielkie natarcie, i Anthony się ucieszył; im szybciej wygrają tę przeklętą wojnę, tym szybciej wrócą do domu.

Właśnie kończył się ich ostatni dzień odpoczynku poza okopami. Siedział przy dębowym stole w kuchni ich niezbyt szczęśliwego gospodarza, *monsieur* Duranda, rozkoszował się ostatnią herbatą pitą z porcelanowej filiżanki zamiast z cynowego kubka i po raz kolejny czytał list od Eleanor. Przesłała mu zdjęcie Deborah i ich młodszej córki, Alice, kochanego, tłuściutkiego szkraba o zadziwiająco energicznym i upartym charakterze. Ostatni raz rzucił okiem na zdjęcie i ostrożnie wsunął je do kieszeni kurtki.

List napisany na papierze listowym z bluszczowymi ornamentami był dokładnie taki, jak prosił: kolejne opowieści o życiu, które coraz bardziej wydawało mu się baśnią. Czy naprawdę istniał dom w majątku nazywanym Loeanneth, jezioro z kaczkami i wysepką, rzeka, która płynęła, potykając się o kamienie w nizej położonych ogrodach? Czy naprawdę dwie małe angielskie dziewczynki o imionach Deborah i Alice wykradają się rankiem do warzywnika, zasadzonego przez swoich rodziców, i chorują po zjedzeniu zbyt wielu truskawek? *Obie źle się potem czuły, napisała Eleanor, ale cóż można poradzić? Kiedy się wyprawiają do ogrodu, zamieniają się w dwie przebiegłe małe przechery. Deborah trzyma owoce w kieszeni i daje Alice, gdy tylko odwracam wzrok. Nie wiem, czy mam się złościć, czy cieszyć!*

Ale nawet kiedy podejrzewam je o przestępstwo, nie mam serca ich powstrzymać. Czy jest coś lepszego na świecie niż świeże truskawki jedzone prosto z krzaczka? Można je w nieskończoność wkładać do ust i rozpląwać się ze słodyczy, tylko że, och, Anthony, gdybyś zobaczył pokój dziecięcy, te lepkie paluszki... przez kilka dni pachniało w nim ciepłym dżemem!

Podniósł wzrok i zobaczył Howarda stojącego w drzwiach kuchni. Przyłapany na tej chwili intymnej słabości, złożył szybko list i schował razem z fotografią.

– Jeśli ty jesteś gotowy, to ja też. – Anthony wziął czapkę i wyprostował się.

Howard usiadł na drewnianym wiejskim zydlu po drugiej stronie stołu.

– Nie jesteś gotowy – stwierdził Anthony.

– Nie jadę.

– Dokąd nie jedziesz?

– Nie wracam na front.

Anthony zdziwiony uniósł brwi.

– Żartujesz? Rozchorowałeś się?

– Ani jedno, ani drugie. Nie jadę. Dezerteruję, możesz to sobie nazywać, jak chcesz. Wyjeżdżam z Sophie.

Rzadko się zdarzało, żeby Anthony'emu brakowało języka w gębie, lecz w tej chwili dosłownie zaniemówił. Wiedział, że Howardowi podobała się gospodyni Duranda. Biedna dziewczyna straciła męża w pierwszych tygodniach wojny. Miała zaledwie osiemnaście lat, małego synka, Louisa, i żadnych krewnych ani przyjaciół w pobliżu. Nie miał jednak pojęcia, że sprawy zaszły aż tak daleko.

– Kochamy się – oznajmił Howard. – Wiem, że to brzmi śmiesznie w tych czasach, ale to prawda.

W tych okolicach nigdy nie cichły strzały, w tle zawsze było słychać kanonadę. Przyzwyczaili się do drżącej ziemi, brzęczących filiżanek i spodeczków. Doszli do mistrzostwa w ignorowaniu faktu, że każdy grzmot oznaczał śmierć kolejnych ofiar.

Anthony przytrzymał filiżankę i patrzył, jak drży w niej resztką płynu.

– Miłość – powiedział.

To słowo zabrzmiało tak dziwnie w miejscu, gdzie rozmowy dotyczyły najczęściej szcurów, błota i zakrwawionych kończyn.

– Nie nadaję się na żołnierza, Anthony.

– W tej chwili wszyscy musimy być żołnierzami, bez względu na to, czy się nadajemy, czy nie.

– Nie mam zamiaru. Dopisywało mi dotąd szczęście, ale czuję, że jest na wyczerpaniu.

– Musimy dokończyć to, co zaczęliśmy. Jeśli mężczyzna nie może służyć ojczyźnie, to lepiej by mu było umrzeć.

– Bzdura! Nie wiem, czy kiedykolwiek w to wierzyłem. Jaki ze mnie pożytek dla Anglii? Dużo większy będzie miała ze mnie Sophie i Louis niż Wielka Brytania.

Wskazał ręką okno i Anthony zobaczył dziewczynę siedzącą z dzieckiem na ławce na drugim końcu podwórza. Louis był ślicznym chłopczykiem o dużych brązowych, błyszczących oczach, z dołeczkami na policzkach. Śmiał się i wyciągał rączki, żeby pogłaskać mamę po twarzy.

– Posłuchaj, mogę załatwić przepustkę. – Anthony zniżył głos. – Wróć do Anglii na kilka tygodni, pozałatwiaj swoje sprawy, przemyśl wszystko w spokoju.

Howard pokręcił głową.

– Nie wracam do Anglii.

– Nie masz wyboru.

– Człowiek ma zawsze wybór. Odchodzę dziś wieczorem. Razem odchodzimy.

– Wracasz ze mną na front, bez dyskusji. To rozkaz.

– Chcę się z nią ożenić. Chcę dostać szansę na normalne życie. Zostać ojcem. Mężem.

– Możesz zostać, kim zechcesz, ale musisz to zrobić uczciwie. Nie możesz tak po prostu uciec.

– Nie powiedziałbym ci, ale jesteś dla mnie jak brat, a nie przyjaciel.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Musisz.

– Obaj wiemy, co spotyka dezerterów.

– Najpierw musieliby mnie złapać.

– Złapią.

Howard uśmiechnął się smutno.

– Anthony, stary przyjacielu. Na froncie jestem już trupem. Zabili moją duszę, a ciało wkrótce pójdzie jej śladem.

Wstał, po czym ostrożnie wsunął zydę pod stół. Wyszedł z kuchni, gwizdząc melodię, której Anthony nie słyszał od lat – taneczną piosenkę z czasów studenckich.

Ta melodia, pogwizdywanie, ten niedbały krok, którym jego przyjaciel podpisywał na siebie wyrok śmierci... Prerażające rzeczy, które razem przeszli, nieuchronność otaczającego ich świata, emocje tłumione, aby przetrwać tyle czasu, przejmująca tęsknota za Eleanor, za dziewczętami, za młodszą córeczką, Alice, której nie widział na oczy – poczuł, że wszystko to za chwilę go przygniecie.

W głowie zaczęło mu się mącić. Poderwał się. Wypadł z kuchni i pobiegł ścieżką, na której zniknął Howard. Dogonił go w przejściu za sąsiednią dojarnią, kiedy przyjaciel mijał drugi węgiel budynku.

– Stój!

Howard nawet nie zwolnił kroku.

– Już nie jesteś moim dowódcą! – odkrzyknął przez ramię.

Strach, gniew i bezradność wezbrały w Anthonym niczym spiętrzona czarna fala, której nic nie może powstrzymać. Nie może na to pozwolić; musi zapobiec nieszczęściu.

Puścił się biegiem. Nigdy nie używał przemocy, studiował, by zostać lekarzem, by uzdrawiać ludzi. Lecz serce waliło mu w piersi jak oszalałe, w żyłach tętniła krew, a z nią każda kropla gniewu, rozpacz i frustracji, jakie przeżył przez te dwa lata. Dogonił Howarda, skoczył i powalił go na ziemię.

Tarzali się, siłowali i szarpali, każdy usiłował zadać rozstrzygający cios i żadnemu się nie udawało. Howard pierwszy zyskał przewagę, odsunął się na tyle, żeby wziąć zamach, i wymierzył lewy sierpowy. Osłepiający ból przeszył pierś i ramię Anthony'ego.

Howard miał rację, nie nadawał się na żołnierza, Anthony również, szarpanina kompletnie ich wyczerpała. Przestali walczyć i obaj leżeli na plecach, dysząc ciężko i usiłując złapać oddech, podczas gdy powoli mijał moment chwilowego szaleństwa.

– Boże – powiedział Howard. – Przepraszam. Nic ci się nie stało?

Anthony pokręcił głową. Patrzył na niebo, które jeszcze bardziej raziło, ponieważ brakowało mu oddechu.

– Do stu diabłów, Howard.

– Powiedziałem: przepraszam.

– Nie masz jedzenia, nie masz środków do życia... co ty sobie wyobrażasz?

– Wystarczy, że mamy z Sophie siebie. Niczego więcej nam nie trzeba.

Anthony zamknął oczy i położył dłoń na piersi. Słońce przyjemnie grzało mu policzki i zabarwiało wnętrze powiek na pomarańczowo.

– Przecież wiesz, że muszę cię powstrzymać.

– W takim razie będziesz musiał mnie zastrzelić.

Anthony zamrugał przed blaskiem słońca. Na tle rozjarzonego błękitu przeleciał klucz czarnych punkców. Obserwował je, a tymczasem jego stanowczość kruszała z sekundy na sekundę. Ten dzień, słońce, ptaki... wszystko to istniało niezależnie od wojny. Zupełnie jakby tam, w górze, obowiązywała inna rzeczywistość, jakby wystarczyło się wznieść odpowiednio wysoko, aby uciec z tego miejsca, które nazywali światem.

Howard siedział oparty plecami o ceglany mur i oglądał pokiereszowaną dłoń. Anthony usiadł obok niego. Bolały go żebra.

– Uparłeś się, żeby to zrobić.

– Tak postanowiliśmy.

– Więc powiedz mi, jaki macie plan. Musicie mieć jakiś plan. Nie wierzę, że możesz być na tyle głupi, żeby wziąć kobietę i dziecko i ruszyć ot tak, gdzie cię oczy poniosą.

Podczas gdy Howard relacjonował mu swoje plany, Anthony słuchał. Starał się nie myśleć o armii i przepisach, i o tym, co się stanie, jeśli go złapią. Słuchał, kiwał głową i wmawiał sobie, że to się może udać.

– Więc ciotka Sophie mieszka na południu?

– Prawie przy samej hiszpańskiej granicy.

– Przyjmie was do siebie?

– Jest dla niej jak matka.

– A jak się tam dostaniecie? Co będziecie jeść?

– Oszczędzałem prowiant z naszych racji i paczek od Eleanor, a Sophie zdobyła chleb i wodę.

– Z kuchni Duranda?

Howard skinął głową.

– Zamierzam zostawić mu pieniądze. Nie jestem złodziejem.

– Gdzie to wszystko przechowywałeś?

– Na farmie pani Fournier, trochę na uboczu stoi nieużywana stodoła. W dachu jest pełno dziur po odłamkach, więc przecieka jak sito.

– Trochę prowiantu, ciasto, bochenek chleba... to nie wystarczy. Będziecie się musieli ukrywać przez wiele dni, a nie wiesz, co was może spotkać w drodze.

– Wszystko będzie dobrze.

Anthony'emu stanął przed oczami magazyn kuchni polowej – puszki z peklowaną wołowiną, mleko skondensowane, mąka, ser i dżem.

– Będziecie potrzebowali więcej jedzenia – powiedział. – Poczekajcie do zmroku. Wszyscy będą zajęci jutrzejszym natarciem. Spotkamy się w stodole.

– Nie. Nie chcę cię w to mieszać.

– Już jestem wmieszany. Jesteś moim bratem.



Tego wieczoru Anthony wziął plecak i napełnił go wszystkim, co zdołał do niego włożyć. Bardzo starannie sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Jako oficer miał więcej przywilejów, lecz nawet on nie mógł sobie pozwolić na to, żeby go przyłapano w niewłaściwym miejscu z plecakiem pełnym skradzionych zapasów.

Kiedy przyszedł, zagrzechotał drzwiami stodoły i zapukał raz, tak jak się umówili. Howard musiał czekać po drugiej stronie, bo otworzył natychmiast. Padli sobie w objęcia. Anthony nie pamiętał, żeby to kiedyś przedtem robili. Potem się zastanawiał, czy przypadkiem obaj nie przeczuwali, że coś się wydarzy. Dał przyjacielowi plecak z prowiantem.

Przez dziurę w dachu wlewało się do środka światło księżycy i Anthony zobaczył Sophie siedzącą na stercie siana w kącie stodoły, z dzieckiem w płóciennej chuście na piersi. Chłopiec spał z ustami ściągniętymi w kształcie pączka róży i wyrazem jakby głębokiej koncentracji na buzi. Anthony zazdrościł mu tego spokojnego snu; już teraz wiedział, że sam nigdy więcej nie zazna takiego spokoju. Skinął Sophie głową, a ona odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem. Nie była już gospodynią w miejscu, gdzie

kwaterowali, lecz ukochaną jego najbliższego przyjaciela. A to wiele zmieniało.

Howard podszedł do niej i przez chwilę rozmawiali po cichu. Sophie słuchała uważnie, od czasu do czasu kiwając głową. W pewnej chwili położyła drobną dłoń na jego piersi, a Howard przycisnął ją mocno. Anthony poczuł się jak intruz, lecz nie mógł oderwać od nich wzroku. Uderzył go wyraz twarzy przyjaciela. Howard wyglądał starzej, lecz nie dlatego, że był zmęczony. Znikła maska sztucznego humoru, którą nosił, od kiedy Anthony pamiętał, uśmiech, którym bronił się przed światem.

Skończyli czułą rozmowę i Howard podszedł szybko do niego, żeby się pożegnać. Anthony zdał sobie sprawę, że to naprawdę ostateczne rozstanie. Przez całe popołudnie zastanawiał się, co ma powiedzieć, kiedy nadejdzie ta chwila, przebiegał w pamięci wszystkie życzenia i wyrazy współczucia, jakie uzbierał przez całe życie, a także pozornie przypadkowe frazy, których nie miałby okazji wypowiedzieć w innych okolicznościach, lecz teraz wszystko to uleciało mu z głowy. Zbyt wiele chciał wyrazić i za mało miał na to czasu.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

– A kiedy to wszystko się skończy...

– Tak, kiedy to wszystko się skończy...

Z dworu dobiegł hałas i obaj zamarli.

W oddali szczekał pies.

– Howardzie! – zawołała Sophie przestraszonym szeptem. – *Dépêche-toi! Allons-y.*

– Tak. – Howard skinął głową, nadal patrząc na Anthony'ego. – Musimy iść.

Podszedł szybko do dziewczyny, zarzucił plecak na ramię i podniósł drugą torbę, która leżała obok jej nóg.

Pies nie przestawał szczekać.

– Zamknij się – mruknął Anthony pod nosem. – Błagam, zamknij się.

Lecz pies się nie zamknął. Warczał i ujadał coraz bliżej i w każdej chwili mógł obudzić dziecko, a teraz z dworu zaczęły dochodzić również inne głosy.

Anthony rozejrzał się po stodole. Zobaczył okno bez szyb, lecz za wysoko, by można było przerzucić przez nie dziecko. Otwarte drzwi po drugiej stronie prowadziły do małej sieni. Wskazał je gestem.

Stłoczyli się w środku. Było tu ciemniej, ponieważ przez dach nie wpadało światło księżyca. Wstrzymali oddech, nasłuchując. Ich oczy pomału przyzwyczyły się do ciemności. Anthony widział strach malujący się w oczach Sophie. Trudniej było wyczytać coś z twarzy Howarda, który ją obejmował.

Skrzypnęły zawiasy i drzwi stodoły otworzyły się z hurgotem.

Dziecko się obudziło i zaczęło cicho gaworzyć. W ich sytuacji nie było nic zabawnego, lecz malec o tym nie wiedział. Przepęłniała go zwyczajna, prosta radość życia i chłopczyk zaczął się śmiać.

Anthony przyłożył palec do ust na znak, że muszą go uciszyć.

Sophie wyszeptała coś małemu do ucha, lecz dziecko poczuło łaskotanie i zaśmiało się jeszcze głośniejsze. „Zabawa – mówiły jego ciemne, roztańczone oczy. – Ależ uciecha!”

Anthony'emu włosy zjeżyły się na karku. Kroki słychać było bardzo blisko, głosy stały się wyraźniejsze. Znów ostentacyjnie przycisnął palec do ust, Sophie zaczęła podrzucać dziecko, a w jej szeptane słowa wkradła się panika.

Lecz mały Louis znudził się zabawą lub może zgłodniał, a może chciał zejść na ziemię i biegać i nie rozumiał, czemu mama mu nie pozwala. Gaworzenie zamieniło się w cichy płacz, który szybko przybierał na sile. W mgnieniu oka Anthony był już przy Sophie, złapał dziecko i zaczął je wrywać, wyciągać z chusty, żeby zasłonić mu usta, żeby uciszyć ten wrzask, żeby zażegnać niebezpieczeństwo.

Lecz pies dopadł już do wewnętrznych drzwi i drapał w drewno. Howard zaczął odciągać Anthony'ego, odpychać w tył, a dziecko cały czas płakało, pies szczekał, Howard otaczał ramieniem Sophie, która również popiskiwała, a tymczasem zagrzechotały zawiasy.

Anthony wyciągnął broń i wstrzymał oddech.

Otworzyły się drzwi, oślepił ich blask latarki. Anthony zamrugał i odruchowo podniósł broń. Nie myślał jasno, lecz widział wyraźnie dwóch krzepkich mężczyzn tonących w ciemności poza kręgiem światła. Jednego rozpoznał, kiedy zaczął mówić szybko po francusku – to był Durand, drugi miał na sobie brytyjski mundur.

– Co to wszystko znaczy? – spytał oficer.

Anthony prawie słyszał, jak obracają się trybiki w głowie mężczyzny, tak że nie zdziwił się, kiedy dobiegły go słowa:

– Odłóż plecak i cofnij się.

Howard posłusznie wykonał polecenie.

Anthony zauważył, że dziecko ucichło i wyciągnęło rączkę, żeby dotknąć białych policzków Sophie. Patrzył na malca zafascynowany jego kompletną niewinnością, uderzającym kontrastem między tym beztróskim milczeniem a grozą sytuacji, w której się znaleźli.

I w tym milczeniu uprzytomnił sobie prawdę o tym, czego właśnie o mały włos nie zrobił, jaki niehumaniczny odruch przed chwilą obudził się w jego umyśle.

Potrząsnął głową. Ależ to potworne! To niemożliwe. Nie on, który zawsze mógł sobie ufać, swojej samokontroli, troskliwości, chęci, by nieść ludziom pomoc.

Oszołomiony, odsunął od siebie tę myśl i znów spojrzał na dziecko. Przyszło mu nagle do głowy, że w świecie, z którego zostało wyssane całe dobro, wszyscy powinni strzec tego bezcennego dziecka i podziwiać jego niewinność. „Przestańcie gadać – miał ochotę krzyknąć – i popatrzcie na to niemowlę”.

Oczywiście tracił zdrowy rozsądek. Tak się dzieje, kiedy człowiek patrzy w oczy śmierci. Bo bez wątplenia wszyscy za chwilę umrą. Pomoc w dezercji niewiele się różniła od samego wykroczenia. Dziwne, ale śmierć nie była taka straszna, jak sobie wyobrażał. Przynajmniej niedługo będzie po wszystkim.

Zdał sobie sprawę, że jest zmęczony, bardzo zmęczony, a teraz może przynajmniej przestać się tak bardzo starać. Eleanor będzie go opłakiwać, lecz kiedy już pogodzi się z jego stratą, ucieszy się, że zginął, próbując pomóc Howardowi w rozpoczęciu nowego życia. Prawie wybuchnął śmiechem. Rozpocząć nowe życie! W takim czasie jak ten, gdy świat obraca się w ruinę!

Rozległ się huk i Anthony zamrugał. Zdziwił się, że cały czas stoi w tej samej stodole we Francji. Oficer otworzył plecak i wysypał skradzione produkty. Puszki z wołowiną, gulasz i mleko skondensowane leżały rozrzucone na podłodze – Anthony dopilnował, żeby Howard i Sophie mieli dość jedzenia, gdyby przyszło im się ukrywać przez kilka tygodni.

Oficer gwizdnął cicho.

– Wygląda na to, że ktoś tu planował sobie wakacje.

– I udałoby mi się – odezwał się nagle Howard – gdyby Edevane mnie nie przyłapał.

Anthony spojrzał na niego osłupiały. Przyjaciel uniknął jego spojrzenia.

– Łajdak mnie śledził. Próbował mnie od tego odwieść.

Cicho bądź, pomyślał Anthony. Po prostu bądź cicho. I tak już za późno.

Oficer spojrzał na pistolet w dłoni Anthony'ego.

– Czy to prawda?

Przenosił wzrok z jednego na drugiego.

– Próbowałeś go zatrzymać?

Lecz Anthony nie mógł wykrztusić z siebie ani jednego słowa, każde przypominało płatek konfetti unoszący się na wietrze.

– Powiedziałem, że musiałby mnie zastrzelić na miejscu – dodał szybko Howard.

– Edevane?

Głos oficera dochodził do Anthony'ego z ogromnej odległości.

Nagle z przeklętej francuskiej stodoły przeniósł się do Loanneth i w warzywniku patrzył, jak bawią się jego córeczki. Pielęgnował ogród, który zakładali razem z Eleanor wieki temu, czuł zapach nagrzanym słońcem truskawek i promienie słoneczne na swojej twarzy, słyszał śpiew córeczek.

– Wróć do mnie, do domu – poprosiła Eleanor tamtego dnia nad strumieniem.

I przyrzekł jej, że wróci. Wróci, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi. Obiecał jej. Ale nie tylko z tego powodu. Wróci do domu, ponieważ tego pragnie.

– Próbowałem go powstrzymać – usłyszał swój głos. – Mówiłem mu, żeby nie uciekał.

Kiedy mężczyźni wzięli Howarda między siebie i pomaszrowali w stronę obozu, a Sophie szła obok, szlochając i lamentując po francusku, Anthony wmawiał sobie, że kupił przyjacielowi więcej czasu. Że to się tak nie skończy. Póki trwa życie, zawsze jest nadzieja. Znajdzie jakiś sposób, żeby wszystko wytłumaczyć, żeby uratować Howarda, i będzie tak jak dawniej. Od linii frontu dzieli ich wiele kilometrów, miał mnóstwo czasu, żeby coś wymyślić i wyciągnąć przyjaciela z tarapatów.

Lecz kiedy od okopów dzieliło ich już tylko pół kilometra, nadal niczego nie wymyślił i nie czuł już zapachu truskawek, tylko zgniły wojenny smród, błoto, odchody i gryzący smak prochu na wargach. Słyszał gdzieś ujadanie psów i – był tego pewien – płacz dziecka w nocnej ciemności. I naszała go myśl, zanim zdołał ją powstrzymać, zimna i obojętna, wyprana z wszelkich uczuć, że gdyby dokończył to, co wtedy zaczął, i uciszył dziecko – a mógłby to uczynić szybko i bezboleśnie – uratowałby Howardowi życie. To był jedyny sposób, aby ocalić przyjaciela, a on go nie wykorzystał.

Kornwalia, 2003

Po rozmowie z Alice Sadie uznała, że nie ma sensu tracić dłużej czasu w Londynie. Klucze do Loeanneth wypalały jej dziurę w kieszeni i kiedy wróciła do mieszkania, postanowiła wyjechać natychmiast. Wlała szklankę wody do doniczki wyschniętej roślinki, zebrała notatki i powiesiła na ramieniu torbę, której nie zdążyła do końca rozpakować. Zamknęła drzwi i nie oglądając się za siebie, zbiegła na dół po dwa stopnie naraz.

Pięciogodzinna podróż minęła zaskakująco szybko. Hrabstwa przemykały za oknami rozmazane w zielone smugi, a Sadie rozmyślała o dowodach, które zgodnie z tym, co mówiła Alice, może znaleźć w murach Loeanneth. Było prawie wpół do dziesiątej i robiło się ciemno, kiedy zjechała z trasy A38 w kierunku wybrzeża. Zwolniła, dojeżdżając do przekrzywionego znaku wskazującego las oraz ukryty wjazd do Loeanneth. Kusilo ją, aby skręcić i jak najszybciej zacząć poszukiwania, niechętnie też myślała, że przyjdzie jej się tłumaczyć Bertiemu, dlaczego tak szybko wróciła. Mogła sobie wyobrazić jego przekorną minę, kiedy mówi: „Następny urlop?”. Lecz w Domu nad Jeziozem nie było prądu, a ona nie wzięła ze sobą latarki. Zresztą jeśli nie zamierzała omijać z daleka nie tylko dziadka, ale i całego miasteczka, to prędzej czy później i tak musi wypić to piwo, którego nawarzyła. Uznała stanowczo, że lepiej od razu stawić czoła Bertiemu.

Westchnęła niechętnie i z determinacją ruszyła dalej w stronę miasteczka, gdzie trwały przygotowania do weekendowego festynu letniego przesilenia. Na ulicach wisiały sznury kolorowych lampionów, a na rynku leżały w równych odstępach przygotowane sterty belek i płótna, z których miały zostać wzniesione stragany. Sadie jechała powoli wąskimi uliczkami, po czym skręciła na drogę prowadzącą do Bertiego. Za ostatnim zakrętem zobaczyła usadowiony na szczycie urwiska Dom z Widokiem na Morze. W kuchni paliło się ciepłe światło, a nad spadzistym dachem gwiazdy rozświetlały niebo – obraz jakby żywcem wyjęty z filmów rodzinnych o Bożym Narodzeniu, tylko bez śniegu. W związku z czym Sadie przypadała rola krewnego intruza, przybyłego znikąd, aby zburzyć błogi spokój. Zaparkowała samochód na skraju wąskiej drogi, wzięła torbę z tylnego siedzenia i ruszyła po schodach do wejścia.

W środku czekały psy i drzwi frontowe otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Bertie miał na sobie fartuch, a w ręku chochlę.

– Sadie! – powiedział z szerokim uśmiechem. – Przyjechałaś na festyn, jaka miła niespodzianka!

Naturalnie, że przyjechała na festyn. Cóż za genialny pretekst!

Zza pleców Bertiego wyskoczyły psy i zaczęły ją obwąchiwać, merdając ogonami z nieposkromioną radością. Wybuchła śmiechem i przyklękała, żeby się z nimi przywitać.

– Jesteś głodna? – Bertie zagonił psy do środka. – Właśnie miałem jeść kolację. Chodź, posmarujesz chleb masłem, a ja przygotuję resztę.



Każda wolna powierzchnia w kuchni zastawiona była słoikami konfitur i stygnącego ciasta, wyszli więc z domu, aby zjeść przy długim drewnianym stole w ogródku. Bertie zapalił świece w wysokich

lampach sztormowych i podczas gdy płomyki mrugały wesoło i wypalał się wosk, Sadie wypytywała o nowiny z miasteczka. Jak można się było spodziewać, ostatnie godziny odliczania obfitowały w intrygi i dramatyczne napięcie.

– Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy – orzekł Bertie. – Jutro o tej porze będzie po wszystkim.

– Do następnego roku – zauważyła Sadie.

Wzniósł oczy do nieba.

– Nie oszukasz mnie, tak naprawdę to uwielbiasz – powiedziała. – Spójrz na swoją kuchnię, wysmażyłeś tam prawdziwą nawałnicę smakołyków.

– Wielki Boże, wypłuj to słowo! – zawołał Bertie przerażony. – Nie kuś losu. Ostatnia rzecz, jakiej nam jutro trzeba, to deszcz!

Sadie wybuchła śmiechem.

– Nigdy nie pozbędziesz się tych przesądów. – Popatrzyła na ogród, na morze lśniące w blasku księżyca, na gwiazdziste niebo. – Myślę, że nie ma najmniejszego zagrożenia.

– Tak czy inaczej, musimy jutro zacząć z samego rana, jeśli mamy zdążyć na czas. Cieszę się, że będę miał kogoś do pomocy.

– Jeśli o to chodzi... Obawiam się, że nie byłam całkiem szczerą co do powodów mojego powrotu.

Bertie uniósł jedną brew.

– Udało mi się osiągnąć przełom w sprawie Edevane'ów.

– No proszę, naprawdę? – Odsunął na bok miseczkę. – Zamieniam się w słuch.

Sadie zrelacjonowała mu swoją wizytę u Alice oraz ich wspólną hipotezę na temat Anthony'ego Edevane'a.

– Więc, jak widzisz, nerwica frontowa miała w tej historii zasadnicze znaczenie.

– Mój Boże... – Bertie pokręcił głową. – Co za potworne nieszczęście. Biedna rodzina.

– Wygląda na to, że śmierć Thea była początkiem końca. Rodzina nigdy nie wróciła do Loeanneth, wybuchła druga wojna, a kiedy świat zaczął się otrząsać po tej tragedii, Eleanor, Anthony'ego i ich najmłodszej córki Clemmie nie było już wśród żywych.

Nad ich głowami niewidoczna sowa zatrzepotała skrzydłami w ciepłym powietrzu i Bertie westchnął.

– To dziwne uczucie odkrywać tajemnice ludzi, których już nie ma wśród nas, nie sądzisz? Kiedy się słyszy o współczesnych przestępstwach, człowiek pragnie przede wszystkim złapać i ukarać sprawcę. W tym wypadku nie ma już kogo karać.

– Nie ma – zgodziła się Sadie. – Ale prawda pozostaje równie ważna jak zawsze. Pomyśl o ludziach, którzy przeżyli. Oni również cierpieli, zasługują na to, żeby wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Gdybyś poznał Alice, przekonałbyś się, jaki to był dla niej ciężar. Mam wrażenie, że całe jej życie toczyło się w cieniu tamtych okropnych wydarzeń. Dała mi klucze do Loeanneth i pozwolenie, żebym szukała wszędzie, gdzie uznam za stosowne. Nie wyjadę, dopóki nie znajdę dowodów, że Anthony miał związek ze śmiercią Thea.

– To wspaniałe, że chcesz im pomóc zamknąć tę całą historię. I jakie to będzie osiągnięcie! Rozwiążesz zagadkę zbrodni, która pozostawała tajemnicą przez siedemdziesiąt lat! To musi być cudowne uczucie.

Tak, pomyślała Sadie z uśmiechem, to rzeczywiście byłoby cudowne uczucie. I wielkie osiągnięcie.

– Miło ze strony twojego wydziału, że dali ci czas na rozwiązanie tej sprawy.

Zapiekiły ją policzki; za to jej dziadek wyglądał jak wcielenie niewinności. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Ramsaya po szyi. Sadie nie była pewna, czy rzeczywiście niczego się nie domyślał, czy też pozorną beztroską maskował niewypowiedziane pytania. Oczywiście mogła skłamać, lecz nie miała już na to siły. Zmęczyło ją udawanie, zwłaszcza przed Bertiem, jedynym bliskim krewnym, jedyną osobą na

świecie, przy której mogła nie udawać.

– Szczerze mówiąc, dziadku, mam trochę kłopotów w pracy.

Nawet nie mrugnął okiem.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

I tak Sadie opowiedziała mu o sprawie Baileyów, o swoim niezachwianym przekonaniu, że Maggie spotkało coś złego, o tym, jak nie zgodziła się z decyzją przełożonych i ostatecznie zdecydowała się porozmawiać z Derekiem Maitlandem.

– To zasada numer jeden: nie rozmawiać z dziennikarzami – dodała.

– Ale ty jesteś pierwszorzędną policjantką. Musiałaś czuć, że masz uzasadniony powód, aby złamać zasady.

Wiara, jaką w niej pokładał, była wzruszająca.

– Wydawało mi się, że mam. Byłam przekonana, że intuicja mnie nie zawodzi i że nie powinno się tej sprawy zamykać.

– Więc działałaś w dobrej wierze, nawet jeśli zrobiłaś to w niewłaściwy sposób. To chyba ma jakieś znaczenie?

– Niestety, zasady są trochę inne. Nawet gdyby się okazało, że miałam rację, to by mnie nie uchroniło od kłopotów. Ale nie miałam. Podjęłam niewłaściwą decyzję, za bardzo emocjonalnie zaangażowałam się w tę sprawę. Teraz toczy się śledztwo.

– Och, skarbie. – Bertie uśmiechnął się ze współczuciem. – Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie, to z całego serca wierzę w twoją intuicję.

– Dziękuję, dziadku.

– A co z Donaldem? Czy on wie? Co powiedział?

– To on zasugerował, żebym wzięła urlop. Żeby uprzedzić wypadki, że tak powiem. Jeśli odkryją, że to ode mnie wyszedł przeciek, mogę powiedzieć, że wzięłam wolne, aby nabrać do sprawy dystansu.

– I to pomoże?

– Nie słyszałam, żeby Ashford zgrzeszył kiedyś pobłażliwością. W najlepszym wypadku zawieszają mnie w obowiązkach. A jeśli będzie miał zły dzień, to będę musiała odejść.

Bertie pokręcił głową.

– To niesprawiedliwe. Czy możesz temu jakoś zaradzić?

– Próbuję się nie wychylać, schodzić im z oczu i unikać Nancy Bailey, poza tym najlepsze, co udało mi się wymyślić, to trzymać kciuki.

Podniósł dłoń z zaciśniętymi palcami.

– Wobec tego przyłączę się do ciebie. A na razie musisz znaleźć rozwiązanie zagadki Domu nad Jeziorem.

– Właśnie.

Poczuła dreszcz podniecenia na myśl o jutrzejszym dniu. Pogratulowała sobie w duchu, że w końcu powiedziała Bertiemu prawdę. Dziadek podrapał się po głowie.

– Ciekawe, co takiego było w tej sprawie Baileyów.

– Co miało być?

– Czemu akurat w tę historię tak bardzo się zaangażowałaś.

– Matki i dzieci... – Wzruszyła ramionami. – To dla mnie zawsze najtrudniejsze sprawy.

– Ale przecież miałaś już do czynienia z podobnymi sytuacjami.

Już zamierzała odrzec, że pozostaje im włożyć tę kwestię między inne niewytłumaczalne zjawiska, kiedy przypomniał jej się pierwszy list od Charlotte Sutherland i ogarnął ją tak głęboki smutek, że aż się skuliła pod przytłaczającą falą, którą powstrzymywała przez piętnaście lat.

– Dostałam list – rzuciła szybko. – Kilka miesięcy temu. Od niej. Ma teraz piętnaście lat.

Bertie otworzył szeroko oczy.

– Esther? – zapytał tylko.

To imię wypowiedziane tak swobodnie, tak po prostu, podziało jak grot. Tylko jedną zasadę złamała, kiedy zobaczyła tę małą rączkę w kształcie gwiazdki, kołyszącą się nad kocykiem w biało-żółte pasy. Nadała swojemu dziecku imię.

– Esther do ciebie napisała?

Dwa razy, odparła w myślach Sadie, ale nie powiedziała tego na głos.

– Kilka tygodni po tym, jak zaczęłam pracować nad sprawą Baileyów. Nie wiem, jak zdobyła mój adres. Przypuszczam, że w szpitalu przechowują dokumentację i udzielają informacji, jeśli ktoś o nie prosi, a nie tak trudno zdobyć czyjś prywatny adres, jeśli się wie, gdzie szukać.

– Co napisała?

– Opowiedziała trochę o sobie. O swojej miłej rodzinie, o szkole, o wspaniałych zainteresowaniach. I napisała, że chciałaby mnie poznać.

– Esther chciałaby cię poznać?

– Nie nazywa się Esther. Ma na imię Charlotte. Charlotte Sutherland.

Bertie oparł się na krześle. Uśmiechał się lekko oszołomiony.

– Ma na imię Charlotte i wkrótce się z nią spotkasz.

– Nie. – Sadie pokręciła głową. – Nie spotkam się z nią.

– Ależ, Sadie, kochanie...

– Nie mogę, dziadku. Już postanowiłam.

– Ale...

– Oddałam ją. Co ona sobie o mnie pomyśli?

– Sama byłaś wtedy prawie dzieckiem.

Nadal kręciła głową, choć robiła to bezwiednie. Zadrżała, chociaż noc była balsamicznie ciepła.

– Myśli pewnie, że ją porzuciłam.

– Przeżywałeś katusze, uznałeś, że to będzie dla niej najlepsze.

– Ona tego tak nie odbierze. Znienawidzi mnie.

– Skąd wiesz?

– Spójrz tylko na mnie...

Nie miała męża ani chłopaka, ani zbyt wielu przyjaciół, nawet jej roślina więdła z powodu zaniedbania. Prawie wszystko w życiu poświęciła pracy, a teraz nawet i to może stracić. Kto by się kimś takim nie rozczarował.

– Nie nadaję się na matkę.

– Nie sądzę, żeby szukała kogoś do wiązania sznurowadeł. Z tego, co słyszę, radzi sobie z takimi rzeczami całkiem nieźle. Chce poznać swoje biologiczne korzenie.

– Oboje wiemy, że biologia nie jest żadną gwarancją serdecznych uczuć. Czasem najlepszym, co może człowieka spotkać, są nowi rodzice. Tak jak ty i Ruth staliście się nimi dla mnie.

Teraz z kolei Bertie pokręcił głową, lecz nie ze smutkiem. Widziała, że jest zniecierpliwiony jej uporem, ale decyzja należała do niej, a ona już ją podjęła. Słuszną czy nie.

Z determinacją wypuściła powietrze z płuc. Słuszną.

– Ruth często powtarzała, że jeśli się postąpiło właściwie i po raz drugi zrobiłoby się to samo, to pozostaje tylko jedno: iść dalej tą samą drogą – przypomniała dziadkowi.

Oczy Bertiego zaszyły mgłą.

– Zawsze była mądra.

– I zwykle miała rację. Tak właśnie zrobiłam, dziadku, poszłam za jej radą. Przez piętnaście lat podążałam tą samą drogą. Nie oglądając się za siebie. I wszystko było dobrze. Dopóki nie dostałam listu. Razem z nim wróciła cała przeszłość.

– Ruth miała na myśli co innego, skarbie. Chciała, abyś żyła bez wyrzutów sumienia, a nie na

zawsze wyparła się przeszłości.

– Nie wypieram się przeszłości, po prostu o niej nie myślę. Podjęłam decyzję i nic dobrego nie wyniknie z rozgrzebywania sprawy na nowo.

– Czy nie to właśnie chcesz zrobić dla Edevane'ów?

– To co innego.

– Czyżby?

– Tak.

To naprawdę było co innego. Nie potrafiła ubrać tego w słowa, lecz nie miała co do tego wątpliwości. Złościło ją, że Bertie ma inne zdanie, lecz nie chciała się z nim kłócić.

– Dziadku – odezwała się łagodniejszym tonem – muszę wejść do domu i wykonać kilka telefonów, zanim będzie zbyt późno. Może nastawię czajnik i zrobię nam świeżej herbaty.



Mimo usypiającego szumu morza Sadie nie mogła tej nocy zasnąć. W końcu udało jej się wyrzucić z głowy Charlotte Esther Sutherland, lecz jej myśli zaczęły krążyć wokół Loeanneth i Edevane'ów. Przewracała się z boku z na bok, a przed oczami przesuwwały jej się wizje wydarzeń nocy świętojańskiej 1933 roku: Eleanor wchodząca do pokoju dziecięcego, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku; łódki i gondole unoszące się na rzece, wielkie ognisko płonące na wyspie na środku jeziora.

Było jeszcze ciemno, kiedy zrezygnowała z dalszych prób zaśnięcia i włożyła strój do biegania. Psy obudziły się podniecone i natychmiast podreptały w ślad za nią. Panował jeszcze zbyt gęsty mrok, żeby wybrać ścieżkę przez las, więc zdecydowała się na trasę biegnącą w głąb przylądka. Po drodze przebiegała w myślach rzeczy, których będzie potrzebować w Loeanneth. Gdy pierwsze promienie świtu zaczęły nieśmiało wkradać się na stół kuchenny w domu Betriego, Sadie była już z powrotem i właśnie wrzucała do tosteru trzecią kromkę chleba. Zostawiła dziadkowi liścik pod czajnikiem, zapakowała do samochodu teczkę z aktami, latarkę i termos z herbatą, po czym przykazała psom, żeby zostały.

Kiedy jechała na wschód, niebo na horyzoncie rozjaśniało się złociście. Morze migotało, jakby je posypano żelaznymi opiłkami, i Sadie otworzyła okno, aby nacieszyć się rześkim, słonawym powietrzem chłodzącym twarz. Dzień festynu zapowiadał się ciepły i pogodny, co ucieszyło ją ze względu na Bertiego. Była również zadowolona, że udało jej się wyjść z domu, zanim się obudził, i uniknąć powracania do wczorajszych tematów. Nie żałowała, że dowiedział się o liście, ale nie chciała o tym więcej rozmawiać. Wiedziała, że nie zgadza się z jej decyzją w sprawie Charlotte i uważa, że świadomie niewłaściwie zinterpretowała radę Ruth, ale nie potrafił zrozumieć jej sytuacji. Może znalazłaby odpowiednie słowa na wytłumaczenie, jakie to uczucie oddać własne dziecko, jak bardzo musiała walczyć, aby nie myśleć o tym, że gdzieś po świecie chodzi jej córka, krew z jej krwi i kość z kości, że prawdopodobnie nigdy w życiu jej nie pozna. Lecz na tę chwilę to były zbyt skomplikowane sprawy.

Dojechała do przekrzywionego znaku z farbą łuszczącą się po dziesięcioleciach walki z morskim wiatrem i skręciła w lewo. Droga była wąska, upstrzona kępkami trawy wdzierającymi się na poszarzały asfalt i robiła się coraz węższa, w miarę jak zagłębiała się w las. Świt nie przedarł się jeszcze przez baldachim liści i Sadie musiała włączyć światła, lawirując między drzewami. Jechała powoli, przeczesując gąszcz, żeby nie przegapić bramy z kutego żelaza strzegącej wjazdu do Loeanneth. Według tego, co mówiła Alice Edevane, łatwo ją było przeoczyć. Stoi ukryta z dala od drogi i nawet w czasach, kiedy w majątku kwitło ożywione życie, na kunsztowny wzór nieustannie wkradały się z drzew zaborcze pędy bluszczu, aby ją omotać i pochłonąć.

I rzeczywiście Sadie omal jej nie minęła. Dopiero gdy reflektory samochodu ześlizgnęły się z zaśniedziałego słupka, zdała sobie sprawę, że to tu. Cofnęła szybko, zjechała z drogi, wyskoczyła

z samochodu i zaczęła przerzucać klucze, które dostała od Alice, szukając tego właściwego z napisem *Brama*. Palce jej drżały z emocji i przez dłuższą chwilę nie mogła trafić do zamka. W końcu jej się udało. Zardzewiała brama ciężko chodziła na zawiasach, lecz kiedy Sadie coś odpowiednio zmotywowało, zawsze potrafiła znaleźć nadspodziewanie dużo sił. Rozsunęła skrzydła na tyle, by mogła przejechać samochodem.

Nie wchodziła przedtem do Loeanneth od tej strony i gdy w końcu wyłoniła się z gęstego lasu, zaskoczona stwierdziła, jak bardzo dom jest ukryty przed resztą świata – zbudowany w dolince wśród ogrodów, osłonięty dodatkowo wielkimi opiekuńczymi wiązami. Minęła mostek i zaparkowała samochód pod ogromnym drzewem na żwirowym terenie skolonizowanym przez drapieżną kępiastą trawę. Słońce dopiero wschodziło, kiedy Sadie lekko popchnęła starą furtkę i weszła do ogrodu.

– Wczesnie przyszedłeś! – zawołała na widok staruszka siedzącego na brzegu dużej żardyniery.

Clive pomachał jej ręką.

– Czekałem na tę chwilę siedemdziesiąt lat. Nie mam najmniejszego zamiaru czekać ani minuty dłużej, niż to konieczne.

Zadzwoiła do niego poprzedniego wieczoru i poinformowała go w skrócie o swoim spotkaniu z Alice. Clive słuchał zaszokowany nowej hipotezy na temat śmierci Thea Edevane'a, zamordowanego przez własnego ojca.

– Przez te wszystkie lata nie traciłem nadziei, że go kiedyś odnajdę.

Sadie słyszała drżenie w jego głosie, rozumiała, jak bardzo osobiście zaangażował się w tę sprawę. Znała to uczucie.

– Mamy zadanie – powiedziała. – Ten chłopiec zasługuje na to, abyśmy odkryli prawdę o tym, co się wydarzyło tamtej nocy. – Wyjawiała mu, że Alice dała jej klucze oraz zgodę na przeszukanie domu. – Rozmawiałam z nią, zanim do ciebie zadzwoniłam, wspomniałam, że cały czas pasjonuje cię ta historia. Opowiedziałam jej, jak bardzo już mi pomogłeś.

Stali pod daszkiem na ganku, a Sadie mocowała się z frontowymi drzwiami. Przez jeden frustrujący moment zdawało się, że zamek się zaciął i nie da się go otworzyć, lecz w końcu usłyszeli upragnione kliknięcie ustępującego mechanizmu. Chwilę później przestąpili próg i stanęli w holu Domu nad Jeziorem.

Wnętrze, przesiąknięte zapachem stęchlizny, było chłodniejsze, niż się Sadie spodziewała. Zostawili otwarte drzwi i kiedy obejrzała się przez ramię, budzący się świat na dworze wydawał się jaśniejszy niż przed chwilą. Widziała zarośniętą ścieżkę i powierzchnię jeziora w oddali, mieniącą się od pierwszych promieni porannego słońca.

– Zupełnie jakby czas stanął w miejscu – powiedział miękko Clive. – Nic się tu nie zmieniło od siedemdziesięciu lat. – Wyciągał szyję, starając się zajrzeć w każdy kąt. – Poza pajakami – dodał. – One są nowe. – Napotkał jej spojrzenie. – Od czego chcesz zacząć?

Sadie mimowolnie dostroiła się do jego przepojonego szacunkiem głosu. Coś w tym wnętrzu, zapieczętowanym przez tyle lat, domagało się takiej dramaturgii.

– Alice powiedziała, że powinniśmy zacząć od gabinetu Anthony'ego i sekretery Eleanor.

– Czego właściwie szukamy?

– Wszystkiego, co dotyczy dolegliwości Anthony'ego, szczególnie w okresie poprzedzającym wigilię świętego Jana tamtego roku. Listów, dzienników... Idealne byłoby pisemne wyznanie.

Uśmiechnął się, a ona ciągnęła:

– Myślę, że więcej zdziałamy, jeśli się rozdzielimy. Może ty pójdziesz do gabinetu, a ja przeszukam biurko? Spotkamy się za kilka godzin i porównamy notatki.

Czuła milczenie Clive'a, kiedy wchodzili razem po schodach; widziała, jak się rozgląda; słyszała, jak wzdycha, gdy zatrzymali się na pierwszym piętrze. Mogła sobie tylko wyobrazić, co dla niego oznacza powrót do tego domu. Po siedemdziesięciu latach, w ciągu których sprawa Edevane'ów nigdy

się dla niego nie zakończyła, nigdy nie rozstał się z nadzieją, że ją rozwiąże. Zastanawiała się, czy tej nocy rozmyślał o śledztwie, czy w świetle nowej hipotezy niezrozumiałe fragmenty układanki powpadały w jego umyśle na swoje miejsca.

– O niczym innym nie myślałem – odparł, kiedy zadała mu to pytanie. – Kładłem się właśnie spać, gdy zadzwoniłaś, ale potem nie miałem już szans zmrużyć oka. Przypominałem sobie, jak Anthony nie odstępował swojej żony podczas przesłuchań. Wtedy sądziłem, że robił to, aby ją chronić, żeby się nie załamała po tym, co się stało. Lecz teraz przychodzi mi do głowy, że w tej ich bliskości było coś wręcz nienaturalnego, zupełnie jakby pilnował, żeby nie odkryła prawdy o tym, co zrobił.

Sadie już miała odpowiedzieć, kiedy w kieszeni zadzwonił jej telefon. Clive dał jej znak, że idzie na górę do gabinetu Anthony’ego, a ona skinęła głową i wyjęła komórkę. Rozpoznała numer Nancy Bailey. Od razu ścisnęło ją w piersi. Na swój sposób uważała się za specjalistkę w kwestii rozstań i wydawało jej się, że słowa „Do widzenia i dbaj o siebie” są dość czytelną i dyskretną sugestią, że sprawa została ostatecznie zakończona. Najwyraźniej będzie musiała posłużyć się bardziej jednoznaczną metodą. Ale nie teraz. Wyciszyła telefon i wsunęła go z powrotem do kieszeni. Załatwi sprawę z Nancy kiedy indziej.

Sypialnia Eleanor znajdowała się w głębi korytarza, dwa pokoje dalej, lecz Sadie nie ruszyła się z miejsca. Jej wzrok przyciągnął zniszczony, miejscami przegniły czerwony chodnik prowadzący po schodach na górę. Najpierw musi zrobić coś innego. Weszła na następne piętro i skierowała się na koniec korytarza. Było tu cieplej i coraz bardziej duszno. Na ścianach wisały portrety całych pokoleń członków rodu deShielów, a za każdymi uchylonymi drzwiami widać było całkowicie umeblowany pokój, pełen drobnych, codziennych elementów wyposażenia: lampek nocnych, książek, akcesoriów na toaletkach. Wydawało się to niesamowite i Sadie odniosła silne, irracjonalne wrażenie, że powinna poruszać się po tym miejscu całkowicie bezszelestnie. Za to jakaś druga, przekorna część jej osobowości zakasała, tylko po to, by przerwać przenikliwą ciszę.

Na końcu korytarza drzwi pokoju dziecięcego były zamknięte. Sadie zatrzymała się przed nimi. W ciągu ostatnich dwóch tygodni wielokrotnie wyobrażała sobie ten moment, lecz teraz, kiedy naprawdę stanęła przed wejściem do pokoju Thea, wszystko dookoła wydawało się bardziej realne, niż sądziła. Nie miała zwykle skłonności do rytuałów i przesądów, lecz odczuła potrzebę, by odmalować sobie przed oczami Thea Edevane’a, pulchnego bobasa o pełnych policzkach i okrągłych oczach, którego widziała na zdjęciach w gazecie, i upomnieć się, że pokój, do którego za chwilę wejdzie, jest święty.

Po cichu otworzyła drzwi i przestąpiła próg. W pomieszczeniu panował zaduch i choć niegdyś białe zasłony były zaciągnięte i poszarzałe, to przeżarta przez mole tkanina bez przeszkód wpuszczała do środka światło dzienne. Sadie wyobrażała sobie większy pokój. Ozdobne metalowe łóżeczko przypominało dobitnie, jakim malutkim i bezbronnym dzieckiem był Theo Edevane w 1933 roku. Stało na okrągłym tkanym dywanie, przed fotelem z perkalowym obiciem, które kiedyś musiało być wesołe, jaskrawożółte, lecz po dziesiątkach lat działania kurzu, owadów i przekradającego się letniego słońca wyblakło i przybrało nieokreślony i smutny bury odcień. Półka ze staromodnymi drewnianymi zabawkami, koń na biegunach pod oknem, dziecięca wanienka w kącie – wszystko to Sadie знаła ze zdjęć w gazetach i odniosła teraz dziwne, nieco nawet drażniące odczucie, jakby rozpoznawała ten pokój ze snów lub z własnego dzieciństwa.

Podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się uważniej łóżeczku. Nadal było posłane i przykryte mocno naciągniętym kocykiem z dzianiny. Zakurzone i smutne. Sadie przeciągnęła lekko dłonią po metalowej poręczy i rozległo się cichutkie brzęczenie. Któraś z czterech mosiężnych gałek obluźowała się na słupku i dźwięczała metalicznie. Tutaj położono Thea Edevane’a spać wieczorem w dniu przyjęcia. Niania Bruen spała na jednoosobowym łóżku wsuniętym pod ścianę ze skośnym dachem, a za oknem na rozległym trawniku nad jeziorem setki ludzi uczestniczyły w obchodach nocy świętojańskiej.

Sadie spojrzała na mniejsze okienko, w którym jedna z uczestniczek przyjęcia widziała około północy smukłą kobietę. Musiała się pomylić. Albo całe zdarzenie jej się przywidziało – według Clive’a

kobieta jeszcze następnego ranka była pijana – albo widziała inne okno i inny pokój. Mogła zauważyć Eleanor, która zgodnie ze zwyczajem przyszła sprawdzić, czy u synka wszystko w porządku, lecz w takim wypadku kobieta pomyliła się co do godziny, ponieważ Eleanor opuściła to miejsce o jedenastej, a wychodząc, wydawała jakieś polecenia służącej. Świadkowie widzieli panią Edevane tuż przed północą przy chacie nad rzeką, gdzie czekały gondole.

Z góry spoglądał na pokój okrągły zegar z białym cyferblatem; wskazówki pokazywały dawno minioną godzinę – kwadrans po trzeciej. Po ścianie chodziło pięć wydrukowanych Kubusiów Puchatków. Te mury znały całą prawdę, lecz nie przemówią. Sadie zerknęła w stronę drzwi i na jej oczach rozegrał się teatr cieni, wydarzenia tamtej odległej nocy. Po dwunastej Anthony Edevane wszedł z korytarza i stanął nad łóżeczkiem, dokładnie tak, jak teraz Sadie. Co się wydarzyło później? Czy wyniósł chłopca z pokoju, czy nastąpiło to tutaj? Czy Theo się obudził? Czy rozpoznał tatę, uśmiechnął się i zaczął gaworzyć, czy może wyczuł, że dzieje się coś strasznego? Czy zaczął się szarpać lub płakać? I co się stało później? Kiedy Eleanor dowiedziała się o tym, co zrobił jej mąż?

Uwagę Sadie przyciągnął mały przedmiot błyszczący w prostokącie porannego słońca na dywaniku koło łóżeczka. Schyliła się i podniosła okrągły srebrny guziczek z pulchnym kupidynem. Obracała go w palcach, gdy nagle poczuła na nodze jakiś dziwny ruch. Podskoczyła, a serce podeszło jej do gardła, zanim zdała sobie sprawę, że to tylko jej telefon wibruje w kieszeni. Ulga szybko zamieniła się w zniecierpliwienie, bo na wyświetlaczu znów zobaczyła numer Nancy Bailey. Z marszem na czole wcisnęła „odrzucić”, wyłączyła wibracje i schowała do kieszeni telefon i guzik. Rozejrzała się po pokoju, lecz czar zdążył prysnąć. Już nie widziała Anthony’ego podkradającego się do dziecięcego łóżeczka, nie słyszała odgłosów przyjęcia za oknem. Został tylko stary osamotniony pokój, a ona marnowała czas na zgubione guziki i makabryczne, niezdrowe fantazje.



W sypialni Eleanor Edevane panował półmrok i zaduch smutku i zaniedbania. Sadie od razu poszła rozsunąć grube welurowe zasłony we wszystkich czterech oknach. Zakasłała, bo z poruszonej tkaniny w powietrze wzbiły się kłęby kurzu. Pootwierała przesuwane, zacinające się okna najszerszej, jak się dało, i przez chwilę stała bez ruchu, podziwiając widok na jezioro. Słońce świeciło już mocno, na wodzie kaczki pływały zajęte swoimi sprawami. Usłyszała ciche świergotanie i podniosła głowę. Nad okapem dachu zauważyła wystający kawałek gniazda.

Kiedy przez otwarte okno do pokoju wpadło rześkie, chłodne powietrze, poczuła świeżą falę motywacji i postanowiła ją wykorzystać. Pod ścianą po drugiej stronie pokoju, dokładnie tak, jak opisała Alice, stała sekretera. To Eleanor zaprosiła Sadie na tę drogę, Eleanor, z którą od początku czuła osobliwe pokrewieństwo, rozniecone listem napisanym na ozdobnym papierze z gałązkami bluszczu, i Eleanor pomoże jej udowodnić, co się stało z małym Theo. Przypominając sobie wskazówki Alice, wsunęła dłoń pod krzesło stojące przy biurku i zaczęła obmacywać postrzępione obicie od spodu, przebiegać palcami wzdłuż drewnianej krawędzi. Wreszcie w miejscu, gdzie tylna prawa noga łączyła się z siedzeniem, jej palce trafiły na dwa małe kluczyki wiszące na haczyku. Bingo!

Po otwarciu zamka drewniana pokrywa uniosła się gładko i odsłoniła starannie utrzymane wnętrze sekretery ze skórzanym notesem i podstawką na pióro, przygotowanymi do pisania. W głębi na półeczkach stało kilka ksiąg i szybki rzut oka potwierdził, że znajdowały się w nich kopie listów Eleanor. Przebiegła chciwie wzrokiem po grzbietach. Nic nie wskazywało na to, że stały ułożone w porządku chronologicznym, lecz zadbane, starannie sprzątnięte wnętrze biurka sugerowało, że jest to prawdopodobne. Edevane’owie opuścili Loanneth pod koniec 1933 roku, co prawdopodobnie oznaczało, że ostatnie listy zostały napisane w miesiącach poprzedzających noc świętojańską tego roku.

Sadie zdjęła księgę z półki i rzeczywiście, pierwszy list, jaki zobaczyła, zaadresowany pięknym charakterem pisma do niejakiego doktora Steinbacha, nosił datę ze stycznia 1933 roku. Usiadła na podłodze, oparła się o łóżko i zaczęła czytać.

Był to pierwszy z serii listów, napisanych do różnych lekarzy, w których Eleanor przedstawiała w skrócie objawy Anthony'ego i w uprzejmych słowach, nie do końca maskujących jej desperację, prosiła o pomoc. Opisywała cierpienie męża w sposób wyjątkowo przejmujący: pełen entuzjazmu młody człowiek, który utracił życiowe powołanie, służąc krajowi, i przez wiele lat od powrotu z wojny próbował się otrząsnąć z traumatycznych przeżyć i odzyskać dawne umiejętności. Sadie była głęboko poruszona, lecz nie przyjechała tu opłakiwać wojennych koszmarów. Tylko jeden koszmar miała za zadanie wyjaśnić, a w tym celu musiała się skupić na poszukiwaniach wszelkich wzmianek świadczących o skłonnościach Anthony'ego do przemocy, które mogły doprowadzić do wydarzeń dwudziestego trzeciego czerwca.

O ile w listach, które Eleanor pisała do lekarzy w Londynie, wyczuwało się pewną powściągliwość, o tyle bogatą korespondencję z Daffydem Llewellynem cechował znacznie swobodniejszy i bardziej osobisty ton. W nich również opowiadała o chorobie męża – Sadie przypomniawszy sobie, że Llewellyn także studiował i praktykował medycynę, zanim rzucił ją dla pisarstwa – lecz wolna od ograniczeń, jakie narzucały pisma do londyńskich autorytetów medycznych, wymagające zachowania dyskrecji oraz godności Anthony'ego, mogła szczerze i wiernie opisać jego stan oraz własną rozpacz: *Niekiedy przejmuję mnie lęk, że on się nigdy od tego nie uwolni, że moje poszukiwania na zawsze pozostaną daremne... wszystko gotowa bym była uczynić, aby wyzdrowiał, lecz cóż mogę zrobić, skoro utracił wolę, aby samemu sobie pomóc?* Dalsze zdania przekonały Sadie, że jest na dobrym tropie: *Kilka dni temu historia znów się powtórzyła. Zbudził się z okropnym krzykiem, wołając coś o psie i dziecku, i powtarzając, że muszą się stąd wydostać. Trzymałam go ze wszystkich sił, żeby nie wybiegł z pokoju. Biedactwo, kiedy to się dzieje, kiedy się trzęsie i rzuca, nie zdaje sobie nawet sprawy, że to ja... Rano jest pełen skruchy. Czasem nawet go okłamuję, udając, że się skaleczyłam przy pracach domowych. Wiem, co o tym myślisz, i zgadzam się, że szczerłość połączona z wrażliwością jest najlepszym sposobem postępowania, lecz mówiąc mu prawdę, zadałabym mu tyle bólu. Nigdy w życiu świadomie nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie mogłabym go tak zawstydzić, nie zniosłabym tego. Ale Ty nie powinieneś się tak zamartwiać, nie powiedziałabym Ci o tym, gdybym sądziła, że zadam Ci ból. Zapewniam Cię, że nic mi nie jest. Skaleczenia na ciele się goją, znacznie gorzej wyleczyć rany na duchu. Złożyłam mu obietnicę i muszę jej dotrzymać. To Ty mnie tego nauczyłeś...*

W dalszej części listu stało się jasne, że Llewellyn wiedział również o romansie Eleanor z Benjaminem Munro. *Mój przyjaciel (jak go pruderyjnie nazywasz) ma się dobrze... Oczywiście dręczą mnie wyrzuty sumienia. To bardzo wielkoduszne z Twojej strony, że wskazujesz na różnice między moją matką a mną, lecz mimo Twoich litościwych słów zdaję sobie sprawę, że nasze postępowanie wcale tak bardzo się nie różni... Na swoją obronę, jeśli na nią zasługuję, mogę powiedzieć, że go kocham, inaczej niż Anthony'ego oczywiście. Teraz wiem, że można kochać dwie osoby... A potem w ostatnim liście: *Masz rację, Anthony nie może się o tym dowiedzieć. To by nie tylko pogorszyło jego stan, to by go zniszczyło...**

Ostatni list nosił datę z kwietnia 1933 roku, potem już w księdze nie było żadnego. Sadie przypomniawszy sobie, że Daffyd Llewellyn miał zwyczaj pomieszkować w Loanneth podczas letnich miesięcy, co wyjaśniało brak dalszej korespondencji. Przeczytała ponownie słowa: *Masz rację, Anthony nie może się o tym dowiedzieć... to by go zniszczyło.* Nie był to dowód w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz pewna poszlaka. Sądząc po odpowiedzi Eleanor, Llewellyn bardzo się martwił, jak Anthony może zareagować, kiedy się dowie o romansie. Sadie zastanawiała się, czy jego niepokój mógł się jakoś przyczynić do depresji, która doprowadziła go do samobójstwa. Nie była w tych kwestiach ekspertem, ale nie wydawało się to niemożliwe. Z pewnością mógł wytłumaczyć zbieżność w czasie, która nie

dawała jej spokoju.

Rozchmurzyła się. Alice powiedziała, że jej matka przechowywała otrzymane listy w bocznych szufladach biurka. Może dopisze jej szczęście i znajdzie wśród nich również korespondencję od Daffyda Llewellyna, a w niej wyjaśnienie, czego się dokładnie obawiał – i jak bardzo – wyrażone jego własnymi słowami. Otworzyła obydwie szuflady. W środku leżały pogrupowane i przewiązane kolorowymi wstążeczkami setki kopert z poszarpanymi brzegami w miejscu, gdzie zostały otwarte. Wszystkie nosiły nazwisko adresatki, *Pani E. Edevane*, na niektórych wydrukowane, na innych napisane odręcznie. Zaczęła wertować jedną paczuszkę po drugiej, szukając korespondencji od Daffyda Llewellyna.

Nadal siedziała z pustymi rękami, kiedy trafiła na osobliwą partię listów z pierwszą kopertą bez adresu i znaczka. Zdziwiona, przejrzała pozostałe. Było wśród nich kilka, które przysły pocztą, lecz większość, tak jak pierwsza, nie miała adresata ani nadawcy. Wtedy zaświtało jej w głowie: miękka czerwona wstążeczka, delikatny zapach perfum, to musiały być listy miłosne.

Niezupełnie tego szukała, lecz przeszył ją dreszcz ciekawości. Poza tym Eleanor mogła się podzielić z kochankiem obawami na temat choroby męża. Sadie tak się niecierpliwiła, aby otworzyć paczuszkę, że pociągnęła wstążeczkę za mocno i listy rozsypały się na podłodze. Zakłęła w duchu, że pomieszała się kolejność, gdy nagle coś przykuło jej wzrok. Coś, co w ogóle nie powinno należeć do tej partii.

Natychmiast rozpoznała papeterię – intensywnie zielone, splątane gałązki bluszczu, wijące się wokół brzegów, charakter pisma, pióro, wszystko się zgadzało. Była to pierwsza połowa listu, który znalazła w chacie, listu Eleanor do Anthony’ego, pisanego, kiedy był na wojnie. Z bijącym sercem wygładziła kartkę. Później pomyśli, że miała przecucie, co odkryje w tym liście. Albowiem razem z oddartą połówką listu wpadł jej do rąk brakujący kawałek układanki, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

– Sadie?

Podniosła przestraszona wzrok. W drzwiach pokoju stał Clive z oprawionym w skórę notesem i wyrazem niezwykłego ożywienia na twarzy.

– Ach, tutaj jesteś – powiedział.

– Tu jestem – powtórzyła jak papuga, obracając gorączkowo w myślach wszystkie następstwa swojego odkrycia.

– Chyba znalazłem – rzucił podniecony, idąc tak szybko, jak pozwalały mu na to stare nogi, aby usiąść na brzegu łóżka obok Sadie. – W dzienniku Anthony’ego z trzydziestego trzeciego roku. Alice miała rację, był wyjątkowo płodnym pamiętnikarzem. Każdego roku zapisywał jedną księgę, głównie obserwacjami natury i ćwiczeniami pamięciowymi. Sam je robiłem na początku pracy w policji, kiedy próbowałem zapamiętać każdy szczegół z miejsca zbrodni. Ale są też inne wpisy, czasem w formie listów do niejakiego Howarda. Zdaje się, że to był jego przyjaciel, który zginął na wojnie. Tam to właśnie znalazłem. Wygląda na to, że w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku Anthony wkroczył w nowy, mroczny etap swojej choroby. Mówi przyjacielowi, że od roku jego stan się pogarsza, że coś się zmieniło, tylko nie wie co, i że narodziny syna wcale nie podziałały korzystnie. Szczerze mówiąc, kiedy przejrzałem starsze wpisy, zauważyłem kilkakrotne wzmianki, że głos jego płaczącego synka przywołuje wspomnienia czegoś, co nazywa „wypadkiem”, czegoś, co wydarzyło się w czasie wojny. W ostatnim wpisie przed nocą świętojańską notuje, że przyszła z nim porozmawiać jego najstarsza córka, Deborah, i powiedziała mu coś, co wszystko zmieniło, i opisuje swoje uczucie: że coś utracił i że „pękła iluzja” jego idealnego życia.

– Romans – powiedziała Sadie, myśląc o obawach wyrażonych w liście Daffyda Llewellyna.

– Prawdopodobnie.

Anthony dowiedział się o romansie tuż przed przyjęciem w noc świętojańską. To na pewno wystarczyło, żeby go wtrącić w czarną rozpacz i popchnąć do nieobliczalnych czynów. Tego się właśnie obawiał DaffydLlewellyn. Teraz jednak, po tym, co przeczytała, zaczęła się zastanawiać, czy to było

jedyne, co odkrył.

– A co u ciebie? – Clive ruchem głowy wskazał koperty rozsypane na dywanie. – Znalazłaś coś ciekawego?

– Chyba tak.

– Co?

Opowiedziała mu szybko o fragmencie listu Eleanor, napisanego, jak sądziła, kiedy Anthony był na wojnie, a ona w ciąży z Alice. Wyrażała w nim obawy, jak sobie bez niego poradzi.

– I co? – ponaglił ją.

– Właśnie znalazłam drugą część, a właściwie pierwszą, tutaj, między całą korespondencją.

– To ten fragment? – spytał, wskazując ruchem głowy kartkę, którą trzymała w ręku. – Mogę?

Podła mu ją, a on przeleciał wzrokiem tekst z uniesionymi brwiami.

– Dobry Boże.

– Tak.

– Ależ to płomienne.

– Hm...

– Ale to nie jest list do Anthony'ego. Napisała: *Najdroższy Benie*.

– Właśnie – potwierdziła Sadie. – I nosi datę: maj tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego. Co oznacza, że nienarodzonym dzieckiem, o którym pisze, nie jest Alice, a Theo.

– Ale to znaczy...

– To znaczy, że Theo Edevane nie był synem Anthony'ego, tylko Bena.

Kornwalia, 1932

Eleanor nie zamierzała zająć w ciążę, w każdym razie nie z Benem, ale nie żałowała tego nawet przez sekundę. Wiedziała niemal od razu, kiedy to się stało. Minęło dziesięć lat od czasu, gdy zaszła w ciążę z Clementine, ale nie zapomniała. Czuła tę wszechogarniającą miłość do tej małej istotki, która w niej rosła. Anthony pokazywał jej niekiedy różne rzeczy pod mikroskopem, więc wiedziała, jak wyglądają komórki, czym jest budulec tkanek, jaka jest materia życia. Jej miłość do dziecka tętniła w każdej komórce. Byli jednością i nie wyobrażała sobie życia bez tej maleńkiej istotki.

Związek ten był tak głęboki, tak bardzo organiczny – zwłaszcza kiedy była tak mała, tak bezpiecznie w niej ukryta – że łatwo było zapomnieć o istnieniu ojca, o tym, że nie powołała tego dziecka do życia siłą woli. Trzymała go w tajemnicy – była pewna, że to chłopiec – a umiała dotrzymywać tajemnic. Przez lata ukrywała przed światem chorobę Anthony’ego, a od pewnego czasu swój romans z Benem.

Ben. Z początku wmawiała sobie, że to tylko zwykłe, chwilowe uzależnienie. Kiedy była dziewczynką, dostała od taty latawiec, wyjątkową zabawkę z dalekich Chin. Uwielbiała go, jego wspaniałe kolorowe ogony, władzę, jaką czuła, trzymając w dłoniach drżący sznurek, nieznane, tajemnicze napisy na powierzchni, które bardziej przypominały ilustrację niż język.

Tata nauczył ją, jak go puszczać, i razem przeczesywali łąki Loeanneth, szukając najlepszego miejsca, najlepszych prądów powietrznych, na których latawiec mógłby się unosić. Eleanor oszalała na jego punkcie. Notowała w zeszycie szczegóły lotów, sporządzała wykresy i projekty przeróbek w namalowanym wzorze. Czasem nawet budziła się w środku nocy, siadała na łóżku i na wpół świadomie wyjmowała z ziemi kołeczek, a potem zwijała lub rozwijała sznurek wyimaginowanego latawca, jakby nadal była na łące.

– Całkiem się uzależniłaś – powiedziała niania Bruen z wyrazem niesmaku, po czym zabrała jej latawiec i schowała. – Uzależnienie to diabelska sprawa, diabeł odejdzie, jak zobaczy, że się zamknęło przed nim drzwi.

Teraz Eleanor uzależniła się od Bena, w każdym razie tak sobie mówiła, lecz tym razem była dorosła, samodzielna i odpowiedzialna za własne życie. Nie miała niani, która spaliłaby latawiec i zamknęła drzwi, więc mogła swobodnie przez nie przejść.



– Właśnie miałem rozpalić ogień – powiedział, kiedy trafiła do jego wozu. – Może pani wejdzie i przeczeka burzę?

Nadal padało jak z cebra, a kiedy w końcu Eleanor znalazła Edwinę, poczuła nagle, jak okropnie przemokła i zmarzła. Za plecami Bena zobaczyła maleńki pokój, który wydał jej się nagle szczytem ciepła i luksusu, podczas gdy za nią dudnił deszcz, a Edwina stała jak wmurowana i najwyraźniej podjęła decyzję, że zostaje.

Jej pani uznała, że nie ma wielkiego wyboru. Podziękowała za zaproszenie, wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Zamknął za nią drzwi i odgłos ulewy przycichł. Podał jej ręcznik i zaczął rozpalać ogień w małym piecyku z żelaznym rusztem na środku wozu. Poprawiając włosy, Eleanor skorzystała z okazji, aby się rozejrzeć.

Wóz był urządzone wygodnie, lecz bez luksusów. Włożono w niego akurat tyle pracy, by mógł służyć za przytulne mieszkanie. Zauważyła, że na parapecie stoi kilka delikatnych papierowych żurawi lub łabędzi, takich jak ten, którego składał w pociągu.

– Proszę usiąść – powiedział. – Zaraz się rozpali. Piec bywa nieco kapryśny, ale ostatnio żyliśmy w całkiem niezłej komitywie.

Odsunęła od siebie cichy szept złego przeczucia. Przez szparę w zaciągniętych kotarach zobaczyła łóżko, miejsce, gdzie sypiał. Odwróciła wzrok, odłożyła ręcznik na wiklinowe krzesło i usiadła. Odgłos deszczu nieco ucichł i Eleanor nie po raz pierwszy wpadła do głowy myśl, że jest to jeden z najprzyjemniejszych dźwięków, jakie zna. Siedzieć w ciepłym wnętrzu, wiedząc, że wkrótce wyschnie i się ogrzeje, podczas gdy na dworze pada deszcz, należało do najwspanialszych przyjemności.

Płomienie zaczęły podskakiwać, ogień trząskał i Ben wstał od pieca. Wrzucił spaloną zapałkę do ognia i zamknął drzwiczki.

– Znam panią – powiedział. – Spotkaliśmy się kilka miesięcy temu w przepełnionym pociągu z Londynu do Kornwalii. Jechała pani w moim przedziale.

– Z mojego punktu widzenia to pan jechał w moim przedziale.

Uśmiechnął się, a jej serce niespodziewanie załomotało w piersi.

– Nie mogę się z tym spierać. Miałem szczęście, że w ogóle dostałem bilet. – Otrzepał o spodnie dłonie pobrudzone sadzą. – Przypomniałem to sobie, gdy tylko się rozstaliśmy na poczcie. Zaraz potem wróciłem, lecz pani już nie było.

Wrócił. To ją skonsternowało. Aby zamaskować niepokój, udała, że rozgląda się po wnętrzu.

– Pan tu mieszka? – spytała.

– Chwilowo. Wóz należy do gospodarza, u którego pracuję.

– Sądziłam, że skończył pan pracę u pana Nicolsona. – Przekląła się w duchu. Teraz będzie wiedział, że o niego pytała. Nie zareagował, więc szybko zmieniła temat. – Nie ma tu bieżącej wody ani elektryczności.

– Nie potrzebuję tych rzeczy.

– A gdzie pan gotuje?

Wskazał głową płonący ogień.

– Gdzie się pan myje?

Znów skinął głową, tym razem w kierunku strumienia.

Eleanor uniosła brwi, a on się roześmiał.

– Lubię to miejsce, czuję tu ogromny spokój.

– Spokój?

– Czy nigdy nie zapragnęła pani uciec od świata?

Pomyślała o rygorystycznych wymogach roli mamy, o nienawiści, jaką czuła, kiedy jej własna matka kiwała z aprobatą głową, o nieustannej obserwacji, od której wszystko w niej sztywniało, a trybiki w umyśle zacinały się, jakby hamowane elastyczną gumką.

– Nie – odpowiedziała wystudowanym lekkim tonem, który udoskonaliła przez lata. – Nie pamiętam, abym kiedyś się tak czuła.

– No cóż, z pewnością to nie jest życie dla każdego. – Wzruszył ramionami. – Napije się pani herbaty, zanim wyschnie pani ubranie?

Wzrok Eleanor powędrował za jego palcem wskazującym w kierunku rondla stojącego na piecyku.

Było zimno i przemokły jej buty.

– Może dopóki deszcz nie przestanie padać.

Zaparzył herbatę, a ona spytała o rondel stojący na piecyku. Odparł ze śmiechem, że nie ma czajnika, ale rondel całkiem nieźle spełnia swoją rolę.

– Nie lubi pan czajników?

– Ależ lubię. Po prostu go nie mam.

– Nawet w domu?

– To jest mój dom, przynajmniej na razie.

– A dokąd pan pojedzie, kiedy skończy tu pracę?

– Tam, gdzie znajdę następną. Jestem niespokojnym duchem. Nigdzie nie zatrzymuję się na długo.

– Nie potrafiłabym żyć bez domu.

– Moim domem są ludzie, których kocham.

Eleanor uśmiechnęła się gorzko. Pamiętała, jak sama mówiła coś podobnego wiele lat temu.

W innym życiu.

– Nie zgadza się pani ze mną?

– Ludzie się zmieniają. – Nie chciała, aby zabrzmiało to tak cierpko. – Za to dom... mury, podłogi i dach... pokoje pełne szczególnych przedmiotów, pełne wspomnień kryjących się w cieniach... To coś, na czym można polegać. Bezpieczne, niezawodne i...

– Prawdziwe?

Podał jej filiżankę parującej herbaty i usiadł obok niej na krześle.

– Tak – odparła. – Dokładnie tak. Niezawodne, prawdziwe i szczerze.

Uśmiechnęła się zakłopotana, że wyraziła tak radykalną opinię. Była zbyt otwarta, wyszła na dziwaczkę. Kto wypowiada takie opinie na temat domu? Ale on też się uśmiechnął i dostrzegła w jego oczach, że choć się z nią nie zgadza, to rozumie jej uczucia.

Wiele lat minęło od czasu, gdy Eleanor poznała kogoś nowego, kiedy mogła się odprężyć, pytać, słuchać i odpowiadać. Zapomniała o ostrożności i rozmawiała z nim swobodnie, wypytywała o jego życie. Dorastał na Dalekim Wschodzie, jego ojciec był archeologiem, matka zapaloną podróżniczką. Oboje zachęcali go, by szukał własnej drogi i nie ulegał presji społecznej. Eleanor mgliście pamiętała te uczucia z własnej młodości.

Czas mijał dziwnie, nienaturalnie, jakby wnętrze wozu cyrkowego ulokowało się poza przypiływami i odpływami zewnętrznego świata. Rozpadła się materia rzeczywistości i zostali tylko oni dwoje. Przez lata Eleanor zauważyła, że potrafi w każdej chwili określić godzinę z dokładnością do pięciu minut, lecz tym razem kompletnie straciła poczucie czasu. Dopiero kiedy przypadkiem zobaczyła stojący na parapecie zegarek, uprzytomniła sobie, że minęły dwie godziny.

– Muszę iść – powiedziała bez tchu, podnosząc się i oddając mu pustą filiżankę.

Taka beztroška była karygodna. Nie do pomyślenia. Dziewczęta, Anthony, mama... co oni wszyscy by powiedzieli?

Ben również się podniósł, lecz żadne się nie poruszyło. Znow przeskokczyła między nimi ta iskra, jak wtedy w pociągu. Eleanor poczuła nieodpartą chęć, by tu zostać, ukryć się i nigdy nie opuścić tego pokoiku. Powinna była powiedzieć „Do widzenia”, lecz zamiast tego z jej ust uleciało:

– Cały czas mam pańską chustkę.

– Tę z pociągu? – Roześmiał się. – Powiedziałem, że należy do pani.

– Nie. Wówczas to było co innego, nie miałam sposobności, aby ją zwrócić, lecz teraz...

– Teraz?

– Teraz wiem, gdzie pan mieszka.

– Tak. Teraz pani wie.

Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. Nie dotknął jej, ale uprzytomniła sobie, że chce, by to

zrobił. Stała na krawędzi przepaści i zapragnęła w nią skoczyć. Później zrozumiała, że to zrobiła.



– Wyglądasz promiennie – zauważyła jej matka, kiedy Eleanor wróciła do domu. – Aż dziw bierze, jak ożywczo może na człowieka podziałać porządny deszcz.

Tego wieczoru, gdy Eleanor położyła się obok męża, kiedy wyciągnęła do niego rękę, a on poklepał ją po dłoni, po czym odwrócił się na drugi bok, leżała w ciemności bez ruchu i wodziła wzrokiem po rysach na suficie, nasłuchiwała, jak Anthony się uspokaja i pogłębia jego oddech, i starała się sobie przypomnieć, w którym momencie zaczęła się czuć taka wyalienowana, a w wyobraźni widziała młodego mężczyznę z pociągu, mężczyznę – uprzytomniła sobie dopiero teraz, że nie zna nawet jego imienia – który sprawił, że się śmiała, który działał tak ożywczo i kojąco i mieszkał całkiem niedaleko stąd.



Z początku po prostu czuła, że żyje, znowu, po tylu latach. Nawet nie zauważyła, że pomału zamieniała się w kamień. Zdawała sobie sprawę, że się zmieniała od czasu, gdy Anthony wrócił z wojny, lecz nie miała pojęcia, jak bardzo niekorzystnie odbiły się na niej skutki postanowienia, aby się o niego troszczyć, chronić go, dbać o jego samopoczucie i pilnować, by dziewczęta nie poniosły z tego powodu uszczerbku. A teraz zjawiał się Ben, taki wolny, beztroski i pogodny. Znalazła sposób, by uciec od ciężaru obowiązków, zaznać znów bliskości z drugim człowiekiem i trochę egoistycznych przyjemności, łatwo więc było powiedzieć sobie, że to zwyczajne uzależnienie.

Lecz objawy uzależnienia – obsesyjne myśli, zakłócony sen, niebywała przyjemność czerpana z gryzmolenia czyjegoś imienia na kartce, jakby w ten sposób mogło się ono zmaterializować – są zdumiewająco podobne do objawów miłości, więc z początku Eleanor nie zorientowała się, co się dzieje. Naprawdę nie sądziła, że można kochać jednocześnie dwóch mężczyzn. Ze zdumieniem przyłapała się pewnego dnia na tym, że nuci pod nosem starą melodię z baletu, o którym nie rozmyślała od wieków, i zdała sobie sprawę, że dzięki Benowi czuje się tak jak wtedy, gdy poznała Anthony'ego, jak gdyby świat stał się niespodziewanie znacznie weselszym miejscem niż kiedyś.

Zakochała się w nim.

Te słowa brzmiały w jej głowie niewiarygodnie, a jednak prawdziwie. Już zapomniała, że miłość może być tak prosta i łatwa, i radosna. Miłość do męża pogłębiła się z biegiem lat i ewoluowała; życie stawiało przed nimi nowe wyzwania i miłość się do nich przystosowywała. Oznaczała stawianie na pierwszym miejscu drugiej osoby, poświęcenie, utrzymywanie połatanego okrętu na powierzchni, aby nie zatonął w czasie sztormu. Za to miłość do Bena była maleńką łódką, w której można się było unosić spokojnie ponad szalejącą nawałnicą.



Kiedy zaszła w ciążę, wiedziała bez cienia wątpliwości, czyje to dziecko. Mimo to policzyła dokładnie tygodnie, aby się upewnić. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby się okazało, że ojcem jest Anthony.

Nie zamierzała Bena okłamywać, a jednak nie powiedziała mu od razu o dziecku. Ludzki umysł ma skłonność do radzenia sobie ze skomplikowanymi problemami – wypiera je – i Eleanor postanowiła po

prostu cieszyć się szczęściem: będzie miała dziecko, od dawna o tym marzyła, uszczęśliwi również Anthony'ego. Więcej, dziecko na pewno złagodzi objawy jego choroby. To przekonanie zakorzeniło się w jej umyśle tak dawno temu, że nie przeszło jej nawet przez myśl, że może być inaczej.

Z początku nie przyjmowała do wiadomości zawilego problemu ojcostwa. Nawet kiedy brzuch jej się zaokrąglił i poczuła pierwsze nieśmiałe poruszenia, nadal zachowywała sekret dla siebie. Jednak w czwartym miesiącu, kiedy przekazała wspaniałą nowinę Anthony'emu i dziewczętom, zrozumiała, że nadszedł również czas, by porozmawiać z Benem. Cięża zaczęła być widoczna.

Kiedy się zastanawiała, jak mu to powiedzieć, zdała sobie sprawę, że obawia się tej rozmowy, nie dlatego, by przewidywała kłopoty ze strony Bena. Od początku spodziewała się, że kiedyś zniknie, podświadomie czekała, aż nadejdzie dzień, kiedy przyjdzie do jego wozu i nikogo nie zastanie. Za każdym razem, idąc brzegiem strumienia na spotkanie, wstrzymywała oddech i przygotowywała się na najgorsze. Oczywiście nigdy na głos nie wypowiedziała słowa „miłość”. Myśl, że mogłaby go stracić, była przerażająca, lecz Eleanor ani na chwilę nie przestała się upominać, że Ben jest wolnym duchem, włóczęgą i że wiedziała o tym od początku. To ją między innymi tak pociągało i dlatego pozwoliła sobie na ten romans. Jego przelotność stanowiła przeciwieństwo ciężaru, jaki dźwigała. Pewnego dnia Ben wyjedzie i sprawa się zakończy – żadnych zobowiązań, żalu ani krzywdy.

Ale się oszukiwała i teraz uprzytomniła sobie z całą siłą, jak bardzo fałszywa i zwodnicza była ta pozornie niedbała postawa. Musi mu przekazać wieści, które bez cienia wątpliwości sprowokują do wyjazdu cygańskiego kochanka, i pojęła, jak bardzo się od niego uzależniła – od jego pocieszeń, pokrzepiającej pogody ducha, dobroci i łagodności. Kochała go i choć jego wyjazd rozwiązałyby wiele kłopotów, to bardzo tego nie chciała.

Gdy tylko to pomyślała, skarciła się w duchu za podsycanie w sobie fałszywych nadziei. Naturalnie, że sytuacja się zmieni, przecież będzie miała dziecko. Anthony jest jej mężem. Kocha go i zawsze będzie kochać. Musi tylko powiedzieć Benowi, że zostanie ojcem, a potem patrzeć, jak pakuje swoje rzeczy.



Nie wzięła pod uwagę biologii. Ani siły miłości.

– Dziecko – wykrzyknął zachwycony, usłyszawszy nowinę. – Dziecko...

Na jego twarzy odmalował się niezwykle wyraz – uśmiech pełen radości, więcej, nabożnego lęku. Zanim Theo się urodził, Ben zakochał się w nim bez pamięci.

– Stworzyliśmy malutkiego człowieczka – powiedział, on, który uchylał się od wszelkiej odpowiedzialności i zobowiązań życia. – Nie wyobrażałem sobie, że można się czuć z kimś tak mocno związanym. Nierozzerwalnie. Czy ty również to czujesz?

Co mogła odpowiedzieć? Oczywiście, że tak. Dziecko połączyło ją z Benem zupełnie niezależnie od jej więzi z Anthonym, od przeszłości, którą zaplanowała dla swojej rodziny w Loeanneth.

Przez następne miesiące Ben tryskał zaraźliwym entuzjazmem, nawet przez moment nie przyjmował do wiadomości, że pojawienie się na świecie ich dziecka może nie być najwspanialszym i najbardziej pożądanym zdarzeniem pod słońcem.

Wierzył święcie, że wszystko się ułoży.

– Zawsze się układa – powiedział. – Przez całe życie pozwalałem, by sprawy biegły swoim torem.

Aż w końcu Eleanor zaczęła mu wierzyć. Dlaczego życie nie miałyby się toczyć tak jak dotąd? Ona i dziecko w Loeanneth, a Ben tutaj? Do tej pory to działało.

Ben miał jednak inne plany i latem, kiedy zbliżał się czas porodu, oznajmił jej, że opuszcza swój wóz cyrkowy. W pierwszej chwili pomyślała, że wyjeżdża z Kornwalii, i zabolowało ją, że serce mu się tak odmieniło, lecz on odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy za ucho i powiedział:

– Muszę być bliżej. Przyjąłem nową posadę, zobaczyłem ogłoszenie w miejscowej gazecie. Pan Harris powiedział, że mogę zacząć w przyszłym tygodniu. Wydaje mi się, że nad rzeką jest chata na łódzie, gdzie czasem pomieszkiwali ogrodnicy, prawda?

Być może na twarzy Eleanor odmalował się lęk, bo Ben dodał szybko:

– Obiecuję, że nie będę niczego utrudniał. – Delikatnie położył obie dłonie na jej okrągłym brzuchu.
– Ale muszę być bliżej, Eleanor. Muszę być razem z wami. Z tobą i dzieckiem, jesteście moim domem.



Ben rozpoczął pracę w Loeanneth pod koniec lata 1932 roku. Pewnego upalnego popołudnia przyszedł podjazdem od strony drogi, sprawiając wrażenie człowieka, który nie miałby pojęcia o istnieniu tego majątku, gdyby w gazecie nie zamieszczono ogłoszenia o poszukiwaniu ogrodnika. Eleanor zdołała już przekonać samą siebie, że sprawy rozwiążą się same. Ben miał zapewnioną pozycję, mógł obserwować, jak rośnie jego dziecko; ona będzie go widywała, kiedy zapragnie, a Anthony, drogi Anthony, nie musi poznać prawdy.

Naturalnie żyła w raju głupców. Miłość, podniecenie związane ze zbliżającym się terminem rozwiązania, długie piękne lato – wszystko to zaślepiło ją na rzeczywistość, lecz nie trwało długo, nim raj utracił swój beztroski blask. Bliskość Bena uczyniła jej związek bardziej realnym. Do tej pory ich romans toczył się jakby w innej krainie, lecz nagle został przeszczepiony w jej życie rodzinne i bardzo szybko zaczęły ją gryźć długo tłumione wyrzuty sumienia.

Źle zrobiła, zdradzając Anthony'ego. Widziała to teraz tak wyraźnie, że nie mogła zrozumieć, jak to sobie wyobrażała. Co ją opętało? Anthony był jej wielką miłością. Oczami duszy widziała jego młodą rozpromienioną twarz – tamtego ranka wiele lat temu, kiedy ocalił ją przed śmiercią pod kołami omnibusu; w dniu, kiedy brali ślub, gdy się uśmiechał i ścisnął ją za rękę, a ona widziała rozciągającą się przed nimi przyszłość; tamtego popołudnia na dworcu kolejowym, kiedy wyjechał na wojnę, gnany pragnieniem, by nieść ludziom pomoc. Zapragnęła zwinąć się w kłębek i umrzeć ze wstydu.

Zaczęła unikać ogrodu. To była stosowna kara – ogród był w Loeanneth jej ulubionym miejscem, miejscem, gdzie zawsze znajdowała ukojenie i pociechę. Zasłużyła na tę stratę. Lecz unikała go również z innego powodu. Poczucie winy wzbudziło w niej paniczny lęk, że w jakiś sposób się zdradzi, że spotka Bena i przypadkowo jej sekret się wyda. Nie mogła ryzykować – skutki byłyby dla Anthony'ego druzgocące. Odwracała się szybko od okna, gdy tylko zauważyła Bena chodzącego po terenie, budziła się w nocy, zastanawiając się, co robi, jeśli Ben zechce mieć więcej kontaktu ze swoim dzieckiem, niż ona była skłonna mu go umożliwić.

Nieważne jednak, jak bardzo się w duchu łajała, jak wielką czuła skruchę, nigdy w pełni nie pożałowała tego, co się stało. Jak mogłaby żałować, skoro dzięki Benowi pojawił się Theo? Pokochała swojego synka od pierwszej chwili, kiedy poczuła, że nosi go w łonie, lecz gdy się urodził, zaczęła go prawdziwie uwielbiać. To nie znaczyło, że kochała go bardziej niż córki, lecz była teraz inną kobietą niż wtedy. Życie ją zmieniło. Postarzała się, posmutniała, potrzebowała więcej pocieszenia. Potrafiła obdarzyć to dziecko najbardziej oczyszczającą, bezinteresowną miłością. A kiedy zostawali tylko we dwoje, mogła odrzucić rolę mamy i być tylko sobą, Eleanor.

Spośród wszystkich możliwych scenariuszy, jakie brała pod uwagę i których się obawiała, nawet przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że po urodzeniu Thea stan Anthony'ego może się pogorszyć. Wmawiała sobie przez lata, że nowe dziecko, a zwłaszcza syn, jest najlepszym lekarstwem, jakiego jej mąż potrzebuje, aby wrócić do zdrowia, tak że w jej umyśle nie było miejsca na żadne inne rozwiązanie. Tymczasem srodze się pomyliła. Kłopoty zaczęły się niemal od pierwszej chwili, gdy Theo miał zaledwie kilka tygodni.

Anthony go uwielbiał, delikatnie tulił w ramionach, wpatrywał się zachwycony w malutką, nieskazitelną buzię, lecz jego radość zabarwiona była zwykle melancholią, gorzkim wstydem, że jego życie toczy się tak idealnie, podczas gdy inni cierpią niedolę. Czasem nawet, gdy dziecko płakało, na jego twarzy pojawiał się dziwny wyraz pustki, jakby myślami uciekał gdzie indziej i widział ukryte sceny rozgrywające się w jego umyśle.

W takie noce, kiedy nękały go koszmary, kiedy budził się z krzykiem: „Uciszcie go!”, „Niech przestanie płakać!”, Eleanor musiała go trzymać ze wszystkich sił, aby nie pobiegł korytarzem i nie zrobił tego własnoręcznie. W takie noce zastanawiała się, co też najlepszego zrobiła.

Na dwunaste urodziny Clementine kupili jej szybowiec. To był pomysł Anthony’ego, bardzo dobry, lecz wszelkie dotychczasowe wysiłki Eleanor, by unikać ogrodu, spełzły na niczym. Ledwo skończyli jeść wczesny obiad, kiedy Clementine rozpakowała prezent i jak strzała wypadła na dwór. Do końca urodzinowych uroczystości pozostał tylko deser i herbata, więc Eleanor powiedziała sobie, że w tak krótkim czasie nic złego się nie stanie, i zrezygnowana wydała służącej polecenie, aby wyniosła tacę z ciastem do ogrodu.

Było piękne jesienne popołudnie, pogoda tak wspaniała i słoneczna, że ktoś odważny mógłby się nawet porwać na pływanie w rzece. Wszysy ulegli uroczystemu, urodzinowemu nastrojowi; szaleli na trawniku, puszczali szybowiec, śmiali się, kiedy kogoś o mały włos nie oskalpował, lecz Eleanor przez cały czas była spięta. Wiedziała, że Ben pracuje nad jeziorem, i bała się, aby ktoś z rodziny nie zobaczył ich razem; bała się, że na widok kosza z dzieckiem Ben pod jakimś pretekstem przyjdzie na łąkę, aby przyłączyć się do przyjęcia.

Lecz przecież obiecał, że nie będzie przysparzał kłopotów. Mimo to ludziom ze strachu przychodzą do głowy szalone myśli i Eleanor pragnęła tylko, aby ten dzień się skończył, aby jak najszybciej zjedli ciasto, wypili herbatę i wrócili w bezpieczne zacisze domu. Niestety, Clementine miała inne pomysły. Wyglądało wręcz tak, jakby cała rodzina sprzysięgła się przeciwko Eleanor. Nikt nie chciał herbaty, wszyscy machnięciem ręki rezygnowali z ciasta, a ona znów ugrzęzła w roli mamy, podczas gdy najbardziej na świecie pragnęła zostać sama.

A potem Clemmie, obdarzona wyjątkowym darem do wybierania najgorszych momentów na realizowanie swoich lekkomyślnych pomysłów, zaczęła się wdrapywać na wielki jawor. Eleanor serce podeszło do gardła, przez cały czas chodziła z nerwami jak postronki, a teraz uznała, że dłużej tego wszystkiego nie znieśie. Stała pod drzewem, na które jej najmłodsza córka wdrapywała się po konarach z bosymi stopami, zakasaną spódnicą i podrapanymi kolanami, i nie odrywała od niej oczu z mocnym postanowieniem, że jeśli Clemmie będzie spadać, to ona ją złapie.

Dlatego nie zauważyła, kiedy to się stało. Pierwsza ocknęła się niania Rose. Krzyknęła cicho i złapała Eleanor za rękę.

– Szybko – szepnęła. – Theo.

Te słowa zmroziły jej krew w żyłach, a kiedy obejrzawszy się przez ramię, zobaczyła, że Anthony idzie w stronę kosza, świat zawirował jej przed oczami. Dziecko płakało, a ona poznała po sztywnej, niezgrabnej postawie męża, że nie jest sobą.

Rose ruszyła już w stronę Thea. Była jedną z niewielu osób, które wiedziały o chorobie Anthony’ego, choć Eleanor jej o tym nie powiedziała. Dziewczyna sama to odgadła, ponieważ jej ojciec cierpiał na podobne objawy. Powiedziała to Eleanor pewnego wieczoru i zaoferowała pomoc w razie potrzeby.

– Daffydzie, zabierz dziewczęta na łódź – poprosiła Eleanor.

Llewellyn musiał usłyszeć w jej głosie panikę, ponieważ zrozumiał w ułamku sekundy i zdobywając się na swój najbardziej dobroduszny, gawędziarski ton, zawołał do siebie Deborah i Clemmie i ruszył z nimi w kierunku łodzi przycumowanej nad strumieniem.

Eleanor puściła się biegiem, prawie wpadła na Alice, która szła dołączyć do sióstr. Serce jej

waliło, myślała tylko o tym, żeby dobiec w porę do Anthony'ego.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie na jego oczy, aby się zorientować, że jest nieobecny. Że błądzi duchem tam, gdzie uciekał za każdym razem, kiedy pochłaniała go ciemność.

– Niech to dziecko przestanie płakać – mówił rozgorączkowanym głosem. – Zróbcie coś.

Objęła go mocno w pasie i poprowadziła w stronę domu, szepcząc, że wszystko jest dobrze. Obejrzała się na Rose. Niania uspokajała już płaczącego Thea, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, Eleanor wiedziała, że może jej zaufać.



Tej nocy, gdy Anthony wziął tabletki nasenne i zasnął głęboko, wymknęła się z sypialni i bosoruszyła korytarzem w stronę schodów. Ostrożnie zeszła na dół, uważając, aby się nie potknąć o perski dywan dziadka Horacego. Za nią po podłodze cichcem przemykał cień.

Kamienne płyty na ogrodowej ścieżce jeszcze nie ostygły po gorącym dniu i Eleanor wyczuwała stopami ich twardą powierzchnię. Kiedyś te podeszwy były twarde od biegania na bosaka.

Dotarła nad brzeg jeziora, zatrzymała się i zapaliła papierosa. Nikt nie wiedział, że pali. Zaciągnęła się głęboko.

Tęskniła za ogrodem. To był jej przyjaciel z dzieciństwa.

Woda w jeziorze chlupotała w ciemności, nocne ptaki stroszyły pióra, jakieś małe żyjátko, może lis, czmychnęło przestraszone jej obecnością.

Dokończyła papierosa i szybko poszła w stronę strumienia. Rozpięła sukienkę, zdjęła ją przez głowę i została w samej halce.

Noc była ciepła, chociaż za zimna na kąpiel, lecz Eleanor palił od środka ogień. Pragnęła narodzić się na nowo. Poczuć, że żyje, poczuć wolność, zerwać się z uwięzi. Pragnęła się zatracić, zapomnieć o wszystkim i wszystkich, których znała.

– Czy nigdy nie zapragnęła pani uciec od świata? – spytał Ben, kiedy pierwszy raz trafiła do jego wozu.

Tak, pragnęła tego dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Zanurzyła się w wodzie i zanurkowała do samego dna. Czuła na stopach dotyk chłodnych, śliskich roślin, na dłoniach zmaconą wodę z piaskiem i mułem. Wyobraziła sobie, że jest drewnianą kłodą niesioną przez niewidoczne prądy, bez trosk, bez odpowiedzialności.

Wypłynęła na oświetloną przez księżyc powierzchnię i kołysała się na plecach, wsłuchując się w nocne odgłosy: konia na pastwisku, ptaków w lesie, bulgotania wody w strumieniu.

W którymś momencie zdała sobie sprawę, że nie jest sama, i skądś wiedziała, że to Ben. Podpłynęła do brzegu, wyszła z wody i usiadła obok niego na zwałonym pniu. Zdjął kurtkę i okrył ją, nie pytając, co się stało, przytulił, pogłaskał po włosach, powiedział, że wszystko będzie dobrze. Eleanor nie zaprotestowała, słuchała w milczeniu, ponieważ tęskniła za nim, a ulga, jaką poczuła w jego ramionach, ścisnęła ją za gardło.

Lecz znała prawdę. Była królową z *Magicznych drzwi Eleanor*, która tak bardzo pragnęła mieć dziecko, że gotowa była zawrzeć pakt z diabłem. Otworzyła drzwi i zaznała miłości tam, gdzie nie powinna. Teraz musi ponieść konsekwencje. W świecie panuje równowaga i prawa naturalnej sprawiedliwości; za wszystko trzeba zapłacić, już za późno, aby zamknąć drzwi.

Kornwalia, 2003

– Niech mnie diabli!

Clive wytrzeszczał na Sadie niebieskie oczy za okularami, podczas gdy w głowie układały mu się wszystkie konsekwencje tego, co właśnie odkryli.

– Nie mam pojęcia, czemu nie przyszło mi to wcześniej do głowy – powiedziała.

– Bo nie było powodu. Prowadziłem tu śledztwo w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku i poznałem całą rodzinę. Nikt nie uczynił nawet najdrobniejszej aluzji, że coś takiego jest możliwe.

– Myślisz, że Anthony wiedział?

Clive aż gwizdnął cicho przez zęby.

– Jeśli wiedział, to sprawy wyglądają znacznie bardziej ponuro, niż się z początku zdawało.

Sadie musiała się z tym zgodzić.

– Znalazłeś coś w dziennikach? – spytała. – Na przykład z tego okresu, kiedy Deborah powiedziała mu prawdę o Eleanor i Benie?

– Jeśli coś tam było, to za bardzo zawoalowane, żebym zdołał to wyczytać.

– A podczas przesłuchań w trzydziestym trzecim? Tak, wiem, co mówiłeś: nikt nawet nie sugerował, że Anthony mógł nie być biologicznym ojcem Thea, ale może przypomniało ci się coś innego? Jakiś pozornie niezwiązany z tym szczegół, który wtedy wydawał się bez znaczenia, ale teraz nabiera nowego sensu?

Clive grzebał w pamięci. W końcu odezwał się bez przekonania.

– Była jedna rzecz. Nie wiem, czy to może się okazać ważne... czuję się głupio, w ogóle o tym wspominając, ale kiedy zaczęliśmy przeprowadzać przesłuchania, mój szef zasugerował, żeby Edevane'owie porozmawiali z dziennikarzami. Uważał, że jeśli wzbudzą współczucie społeczeństwa, to setki ludzi będą razem z nimi szukać zaginionego dziecka. Tego dnia było okropnie parno, wszyscy siedzieliśmy w bibliotece na parterze: fotograf, dziennikarz, Anthony i Eleanor Edevane'owie, podczas gdy na dworze policja przeszukiwała jezioro. – Pokręcił głową. – Okropne. Po prostu okropne. Eleanor prawie zemdląła i Anthony zarządził wtedy koniec przesłuchania. Wcale mu się nie dziwiłem, ale utkwiły mi w głowie jego słowa. „Miejże odrobinę litości, powiedział, moja żona jest w szoku, zaginęło jej dziecko”. – Clive popatrzył na Sadie z nową determinacją. – Nie powiedział „nasze dziecko”, tylko „jej”.

– Może chciał w ten sposób podkreślić nieszczęście żony, okazać jej więcej współczucia?

– Nie, nie sądzę – odparł z rosnącym podnieceniem. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to podejrzane.

Sadie poczuła wewnętrzny opór. Im więcej pewności nabierał Clive, że Anthony wiedział o dziecku, tym bardziej w niej rosła potrzeba, by udowodnić, że tak nie było. W jej uporze brakowało logiki, po prostu nie chciała w to uwierzyć. Przyjęły z Alice hipotezę, że Anthony zabił przypadkowo, w okropnym, ślepym gniewie wywołanym nerwicą frontową. Lecz jeśli się okazało, że jego długo wyczekiwany, ukochany syn nie jest jego dzieckiem, to narzucały się dużo bardziej przerażające podejrzenia.

Gdyby był tu Donald, pewnie by ją oskarżył, że zbyt osobiście zaangażowała się w sprawę Edevane'ów, tak więc kiedy Clive relacjonował swoje kolejne drobne spostrzeżenia, naginając je tak, by

pasowały do jego nowo powstającej hipotezy, Sadie usiłowała zachować otwarty umysł. Ze względu na Alice nie mogła pozwolić, aby osobiste uprzedzenia przesłoniły jej obiektywny osąd, lecz Clive odmalował wyjątkowo odrażającą wersję wydarzeń. Anthony musiałby z pełnym wyrachowaniem wybrać odpowiedni dzień, aby popełnić swój zbrodniczy czyn – przyjęcie, podczas którego żona będzie zabiegana, wypełniając obowiązki pani domu, a służba zbyt zajęta, by zauważyć coś niezwykłego. Rose Waters została zwolniona, co stanowiło nader wygodną okoliczność, bo czujna młoda niania, co podkreślała z żalem Eleanor podczas przesłuchania, nie dopuściłaby, aby coś złego spotkało jej podopiecznego. Zastąpiono ją starą Hildą Bruen, która oczywiście musiała się wzmocnić szklaneczką whisky, kiedy hałasy przyjęcia nie pozwalały jej zasnąć. Wszystko zostało starannie przemyślane. A co z Eleanor? Gdzie było jej miejsce w tej teorii?

– Uważasz, że wiedziała? – spytała Sadie.

– Myślę, że tak. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że nie chciała wyznaczyć nagrody? Wiedziała, że to bezcelowe, że jej syn się nie znajdzie.

– Ale dlaczego miałyby pomagać w tuszowaniu przestępstwa? Dlaczego milczała? Czemu pozostała żoną Anthony’ego Edevane’a, i to całkiem szczęśliwą, jak zgodnie twierdzili wszyscy świadkowie.

– Sytuacje rodzinne bywają bardzo skomplikowane. Może jej groził? Może groził jej kochankowi? To by tłumaczyło całkowite zniknięcie ze sceny Bena Munro. Może Eleanor czuła, że jest temu winna, że to jej niewierność popchnęła męża do tego czynu.

Sadie przypomniała sobie, jak Alice charakteryzowała swoją matkę i jej sztywny kodeks moralny. Kobieta o tak silnych zasadach etycznych musiała czuć ogromne wyrzuty sumienia z powodu złamanych ślubów małżeńskich. Lecz czy to możliwe, aby pogodziła się ze śmiercią dziecka, uznając ją za stosowną karę? Nie. Czym innym byłoby wybaczenie choremu mężowi nieświadomego wypadku – choć i to uważała za naciąganą teorię – a czym innym zabójstwo z premedytacją. I bez względu na to, jak bardzo się Sadie starała myśleć jasno i obiektywnie, nie potrafiła pogodzić tego, co czytała o Anthonym Edevanie – łagodnym ojcu, kochającym mężu, dzielnym weteranie wojennym – z wizerunkiem mściwego potwora.

– I co o tym myślisz? – spytał Clive z przejęciem.

Czekał niecierpliwie, aż Sadie mu przytaknie, ona jednak nie mogła się z nim zgodzić. Czegoś w tym wszystkim nie dostrzegali. Z grubsza miało to sens, lecz brakowało im zasadniczego fragmentu układanki.

– Myślę, że powinniśmy iść na dół i napić się herbaty. Poczekajmy, aż nam się to wszystko poukłada.

Clive skinął głową rozczarowany. Do pokoju wpadało słońce i kiedy Sadie zbierała rozsypane koperty, poszedł otworzyć okno.

– Coś podobnego! – zawołał nagle. – Nie wierzę własnym oczom! Czy to jest... Czy mnie wzrok myli?

Sadie podeszła do okna i rozejrzała się po znajomym krajobrazie – po zarośniętym ogrodzie i brzegach jeziora. Ścieżką szło dwoje ludzi. Chyba nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby zobaczyła maleńkiego Thea drepczącego w stronę domu na własnych nóżkach.

– To Alice – powiedziała. – Alice Edevane i jej asystent, Peter.

– Alice Edevane – powtórzył Clive i gwizdnął cicho z niedowierzaniem. – Wróciła w końcu do domu.



– Zmieniłam zdanie – powiedziała tylko Alice tytułem wyjaśnienia, kiedy spotkali się w holu i Sadie przedstawiła jej Clive’a.

Gdy tylko Peter doprowadził swoją pracodawczynię do drzwi domu, wysłała go natychmiast z powrotem do samochodu, aby przyniósł coś, co tajemniczo nazwała „ekwipunkiem”, i stała teraz na zakurzonych kamiennych płytach z nieco oburzonym wyrazem twarzy, niczym kapryśna ziemianka, która wyszła na poranny spacer i właśnie wróciła, nader niezadowolona z wysiłków swojej nieudolnej służby.

– Pocziwemu staremu dworzyszczu przydałoby się trochę polerunku. Usiądźmy w bibliotece.

– Dobrze – zgodziła się Sadie.

Spojrzała na Clive’a i wzruszyła lekko ramionami na znak, że jest tak samo zaskoczona jak on. Weszli za Alice do pokoju, który Sadie zauważyła przez okno tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zawędrowała do Loeanneth. Tutaj policja przesłuchiwała świadków w 1933 roku i tutaj, zgodnie z relacją Clive’a, Eleanor i Anthony nazajutrz po zaginięciu Thea spotkali się z dziennikarzem i fotografem.

Clive usiadł na sofie z jednej strony, Sadie z drugiej. Wszędzie leżała gruba warstwa kurzu, lecz bez gruntownego wiosennego sprzątnięcia niewiele dało się tu zrobić. Prawdopodobnie Alice przyjechała, żeby wysłuchać ich relacji ze śledztwa, a nie należała do osób, które tolerują odmowę czy pozwalają, aby pokrzyżowała im plany odrobina brudu.

Sadie czekała, aż usiądzie w fotelu i rozpocznie ostrzał, a tymczasem staruszka chodziła od drzwi do kominka, to znów do biurka pod oknem, w każdym miejscu zatrzymywała się na moment, po czym ruszała dalej. Uniosła brodę, lecz Sadie doświadczonego okiem detektywa potrafiła przejrzeć tę maskę na wylot. Chociaż pisarka próbowała to rozpaczliwie ukryć, była zdenerwowana i spięta. Nic dziwnego. Niewiele można sobie było wyobrazić równie niezwykłych doświadczeń jak powrót po siedemdziesięciu latach do domu swego dzieciństwa i znalezienie go, pomijając kurz i lekkie zaniedbanie, w takim samym stanie jak w dniu wyjazdu. Nie mówiąc o traumatycznych wydarzeniach, które skłoniły Edevane’ów do opuszczenia domu. Alice przystanęła przy biurku i wzięła do ręki rysunek dziecięcej buzi.

– Czy to on? – spytała łagodnie Sadie, przypomniawszy sobie wrażenie niezmiernie pięknego, jakie zrobił na niej ten portret, kiedy zajrzała tu przez okno. – Theo?

Alice nie podniosła wzroku i przez moment Sadie sądziła, że nie usłyszała pytania. Już miała je powtórzyć, kiedy starsza pani w końcu się odezwała:

– Narysował go pewien przyjaciel rodziny, nazywał się Daffyd Llewellyn. Dokładnie w dniu, kiedy Theo umarł. – Spojrzała w okno i twarz jej stężała. Zarastające jeżyny zasłaniały prawie cały widok, lecz Alice jakby tego nie zauważała. – Widziałam, jak wracał ze szkicem znad rzeki. Przyjeżdżał co roku i mieszkał z nami przez całe lato, w Morwowym Pokoju na górze. Prawie codziennie wychodził z samego rana ze sztalugami na ramieniu i szkicownikiem pod pachą. – Nie wiedziałam nawet, że go rysował, dopóki nie zobaczyłam gotowego portretu.

– Interesujący zbieg okoliczności – zauważyła ostrożnie Sadie. – Pierwszy raz narysował pani brata akurat w dniu, kiedy zaginął?

Alice spojrzała na nią surowo.

– Może zbieg okoliczności, lecz nie nazwałabym go interesującym. Pan Llewellyn nie miał nic wspólnego z tym, co się stało z Theo. Ale cieszę się, że narysował jego portret. Przez wiele tygodni przynosił mamie ogromną pociechę.

– Daffyd Llewellyn zmarł kilka dni później, prawda? – Sadie przypomniała sobie rozmowę z Clive’em i własne podejrzenia co do dziwnej zbieżności w czasie obydwu wydarzeń.

Clive skinął głową, a Alice odrzekła:

– Policja znalazła jego zwłoki w czasie poszukiwań mojego brata. To wyjątkowo niefortunne...

– Zbieg okoliczności? – odpowiedziała Sadie.

– Obrót wydarzeń – odparła Alice z naciskiem. Popatrzyła znowu na portret i rysy jej twarzy złagodniały. – Taka tragedia i taka okropna strata. Człowiek zawsze się zastanawia... – Nie dokończyła, nad czym się mianowicie zastanawiała. – Wszyscy bardzo lubiliśmy pana Llewellyna, lecz najbardziej

przyjaźnił się z mamą. Była wyjątkiem, poza nią nie przepadał za towarzystwem dorosłych. Przeżyła podwójny cios, kiedy wkrótce po zniknięciu Thea znaleziono zwłoki jej przyjaciela. Byłby dla niej dużą podporą. W pewnym sensie zastępował jej ojca.

– Czy był człowiekiem, któremu powierzyłaby swoje tajemnice?

– Wyobrażam sobie, że tak. Nie miała zbyt wielu innych przyjaciół, w każdym razie nie takich, którym mogłaby się zwierzać.

– A jej matka?

Alice nie odrywała dotąd oczu od dziecięcego portretu, lecz teraz podniosła wzrok z wyrazem cierpkiego rozbawienia na twarzy.

– Constance?

– Mieszkała z wami, prawda?

– Tylko dlatego, że nie miała innego wyjścia.

– Czy pani mama mogła jej się zwierzyć?

– Z całą pewnością nie. Niewiele je ze sobą łączyło. Nie wiem, z czego wynikała ich wzajemna niechęć, ale miała bardzo stare korzenie. Kiedy zaginął Theo i wyjechaliśmy z Loeanneth, pękły ostatnie wątle nici między nimi. Babcia nie przeniosła się z nami do Londynu, szwankowała na zdrowiu. Już kilka miesięcy przed nocą świętojańską mąciło jej się w głowie, a potem jej stan gwałtownie się pogorszył. Umieszczono ją w zakładzie w Brighton, gdzie dożyła swoich dni. To była jedyna sytuacja, kiedy byłam świadkiem prawdziwych uczuć okazanych jej przez moją mamę: postawiła sprawę bardzo stanowczo, że babcia musi dostać najlepszą opiekę w domu starców. Rodzinne relacje są takie skomplikowane, prawda, pani detektyw?

Bardziej, niż pani sądzi, pomyślała Sadie i wymieniła spojrzenie z Clive'em. Stary policjant skinął głową.

– O co chodzi? – Przenikliwa jak zawsze Alice popatrzyła najpierw na jedno, potem na drugie. – Znaleźliście coś?

Sadie wyjęła list Eleanor do Bena z tylnej kieszeni spodni, podała go Alice, a ta przebiegła po nim wzrokiem, unosząc jedną brew.

– Tak, no cóż, ustaliliśmy już, że moja mama miała romans z Benjaminem Munro.

Sadie wyjaśniła jej wtedy, że w chacie nad rzeką znalazła drugą część tego listu, w której Eleanor pisała o swojej ciąży.

– Z początku byłam pewna, że napisała ten list do pani ojca, kiedy był na wojnie. Wyznawała w nim, jak bardzo za nim tęskni, jak trudno jej będzie żyć z dzieckiem bez niego. Dopiero kiedy znalazłam tę drugą kartkę w sypialni pani mamy, zrozumiałam, że pisała do Bena. – Przerwała z wahaniem. – O Theo.

Gdy Alice powoli osunęła się na fotel, Sadie pojęła, co znaczy wyrażenie, że z kogoś uszło całe powietrze.

– Chce pani powiedzieć, że Theo był synem Bena.

– Tak.

Zabrzmiało to krótko i sucho, lecz Sadie nie widziała sensu, aby coś na ten temat dodawać.

Krew odpłynęła Alice z twarzy. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a jej usta poruszały się lekko, jakby dodawała w myślach liczby. W Londynie sprawiała groźne wrażenie, teraz jednak Sadie dostrzegła jej kruchość. Nie była słaba, ale kiedy wyjrzała spoza zasłony własnej legendy, okazała się ludzką istotą, tak samo wątłą jak inni.

– Tak – powiedziała w końcu zafascynowana. – To ma sens. To by wiele wyjaśniało.

Clive odchrząknął.

– To zmienia postać rzeczy, nie sądzi pani?

Alice zerknęła na niego z ukosa..

– To nie zmienia losu mego brata.

– Nie, oczywiście, że nie, chciałem powiedzieć...

– Chciał pan powiedzieć, że zmieniło motyw mojego ojca. Wiem, co pan sugeruje, i mogę pana zapewnić, że ten człowiek nie mógłby skrzywdzić Thea rozmyślnie.

Sadie poczuła to samo, kiedy Clive na górze po raz pierwszy wysunął tę hipotezę, lecz teraz, widząc gwałtowną reakcję Alice na samą insynuację, że taka możliwość wchodzi w grę, zaczęła się zastanawiać, czy jej własna głęboka niechęć do tej teorii nie przyćmiła obiektywnego sądu.

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki i po chwili w drzwiach zjawił się Peter, który wrócił po wykonaniu tajemniczego zadania.

– Alice? – zapytał niepewnie. – Nic ci nie jest? – Odwrócił się do Sadie z troską w oczach. – Czy coś się stało?

– Nic mi nie jest – odparła Alice. – Wszystko w porządku.

Usiadł obok niej i zapytał, czy przynieść jej wody, czy nie potrzebuje wyjść na świeże powietrze, czy może by coś zjadła. Wszystkie te propozycje odrzucała machnięciem ręki.

– Naprawdę nic mi nie jest, Peter. To się po prostu wydarzyło tak niespodziewanie. To miejsce, wspomnienia... – Pokazała mu rysunek. – Spójrz, mój brat. Theo.

– Och, jaki piękny szkic. Czy to ty...?

– Ależ skąd! – Omal nie wybuchła śmiechem. – Narysował go przyjaciel rodziny, Daffyd Llewellyn.

– Ten pisarz! – zawołał Peter zachwycony, jakby otrzymał odpowiedź na długo skrywane pytanie. – Oczywiście. Wszystko się zgadza.

Wzmianka o pisarzu przypomniała Sadie, że rozmowa zoczyła z tematu, zanim ona zdążyła zaspokoić swoje zainteresowanie zbieżnością czasową między zniknięciem Thea a samobójstwem Llewellyna. Przyszło jej teraz do głowy, że może pisarza dręczyły wyrzuty sumienia nie dlatego, że skrzywdził Thea, lecz ponieważ nie zdołał powstrzymać Anthony'ego.

– Czy pani ojciec i Daffyd Llewellyn również się przyjaźnili?

– Żyli w bardzo dobrych stosunkach – odrzekła Alice. – Tata traktował go jak członka rodziny, lecz łączył ich również zawodowy szacunek, obaj mieli wykształcenie medyczne.

Nie tylko to ich łączyło, przypomniała sobie Sadie. Podobnie jak Anthony, Daffyd Llewellyn również nie mógł kontynuować praktyki lekarskiej wskutek załamania nerwowego.

– Czy domyśla się pani, co było przyczyną załamania nerwowego Daffyda Llewellyna?

– Niestety, nie. Zawsze tego żałowałam. Miałam zamiar z nim porozmawiać, zachowywał się dziwnie przed tą nocą świętojańską, lecz byłam skupiona na innych sprawach i zbyt długo to odkładałam.

– Czy był ktoś inny, kto mógł to wiedzieć?

– Może mama, ale na pewno nikomu o tym nie powiedziała, a jedyną inną osobą, która go znała w młodości, była moja babka. Wyciągnięcie od niej prawdy mogłoby się okazać bardzo owocne. Nie przepadali za sobą. Constance nie znosiła słabych ludzi, więc z jej punktu widzenia pan Llewellyn był godzien najwyższej pogardy. Nie posiadała się ze złości, kiedy przyznano mu Order Imperium. Poza nią wszystkich nas rozsadzała duma, żałowałam tylko, że nie dożył chwili, aby odebrać go osobiście.

– Był twoim mentorem – wtrącił łagodnie Peter. – Tak jak dla mnie panna Talbot.

Alice uniosła delikatnie brodę, jakby odganiała lzy, zanim zdążyły się pojawić. Pokiwała głową.

– Tak, przez jakiś czas, dopóki nie uznałam, że go przerosłam. Co za pyszałkowatość! Lecz młodzi ludzie zawsze mają tę skłonność, by lekceważyć starszych, nieprawdaż?

Peter uśmiechnął się smutno, tak się przynajmniej wydawało Sadie.

To wspomnienie musiało poruszyć w pamięci Alice jakąś strunę, bo westchnęła z determinacją i spłótła dłonie.

– Ale dość tego – powiedziała, odwracając się do Petera z ożywieniem. – Nie czas dzisiaj na skrucę, chyba że po to, aby zaczerpnąć z niej naukę na przyszłość. Przyniosłeś ekwipunek?

Peter skinął głową.

- Zostawiłem go przy drzwiach wejściowych.
- Doskonale. Czy mógłbyś teraz poszukać...
- Deski podłogowej ze słojami w kształcie łosiego łba? Już idę.
- Wspaniale.

Sadie nie zwracała uwagi na rozmowy o łosich łbach i korzystając z okazji, wzięła z powrotem do ręki list Eleanor. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie to mogło być uczucie, czytać taki list napisany przez własną matkę. Głos odległej przeszłości, który przedarł się w teraźniejszość, aby skomplikować prawdę, którą tak długo chowała w sercu. Pomyślała, że był to akt niezwyklej odwagi – przelać na papier własne uczucia i dać je drugiej osobie.

Stała jej przed oczami Charlotte Sutherland. Mimo paniki, jaka ją ogarnęła, kiedy dostała jej listy, Sadie ani przez chwilę nie przestała myśleć, jakiej trzeba było odwagi, aby je napisać i wysłać. W przekazywaniu uczuć jest coś niewiarygodnie intymnego, a Charlotte ryzykowała przecież powtórne odrzucenie. Sadie bez namysłu odesłała ten pierwszy. Czy dziewczyna była tak bardzo odważna, czy tak uparta, że napisała drugi?

– Nie rozumiem – powiedziała tyle do siebie, co do innych – po co przechowuje się takie listy. Napisać pod wpływem nagłej potrzeby to jedno, lecz trzymać go przez lata po tym, jak... – Pokręciła głową. – Jest przecież tak bardzo osobisty, taki... samooskarżycielski.

Twarz Alice rozpogodziła się w uśmiechu. Znów wydawała się sobą.

– Pyta pani, ponieważ sama nie pisze. Gdyby pani pisała, wiedziałaby, że twórca nigdy nie niszczy swojej pracy, nawet jeśli się boi, że ona go zdradzi.

Sadie zastanawiała się nad tym, co powiedziała Alice, kiedy z dworu doszło wołanie.

– Halo! Jest tam kto?

Rozpoznała głos Bertiego.

– To mój dziadek – powiedziała zaskoczona. – Przepraszam na moment.

– Przyniosłem ci lunch – oznajmił, kiedy podeszła do drzwi frontowych. Wyciągnął rękę z koszem pełnym pachnącego, świeżo upieczonego chleba i czegoś jeszcze w ogromnym termosie. – Próbowałem zadzwonić, ale twój telefon nie odpowiadał.

– O, szlag, przepraszam. Wyciszyłam głos.

Bertie pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Chciałaś się skoncentrować.

– Coś w tym rodzaju.

Wyjęła telefon i zobaczyła na wyświetlaczu informację o sześciu nieodebranych połączeniach: dwóch od dziadka i czterech od Nancy.

– Czemu się krzywisz?

– Nic, nieważne. – Uśmiechnęła się, tłumiąc rosnący niepokój. Nancy potrafiła być ślepo uparta, kiedy chodziło o sprawę jej córki, lecz cztery telefony to nawet jak na nią było dość niezwykle. – Chodź do środka, poznasz wszystkich.

– Jakich wszystkich?

Opowiedziała mu o niespodziewanym przyjeździe Alice. Ucieszyła się z tego pretekstu do zmiany tematu, obawiała się bowiem, że Bertie będzie próbował wciągnąć ją w rozmowę na temat Charlotte Sutherland albo Baileyów – dwóch spraw, których wołała unikać.

– Dobrze, że zawsze przygotowuję jedzenie z małym zapasem – powiedział wesoło, kiedy Sadie prowadziła go w kierunku biblioteki.

Alice stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi, zerkając na zegarek i bębniąc palcami. Clive wyraźnie się ucieszył, kiedy wróciła Sadie.

– To mój dziadek, Bertie – oznajmiła. – Przyniósł lunch.

– Och, jak to miło z pańskiej strony – powiedziała Alice, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią.

– Jestem Alice Edevane. – Wszelkie ślady zdenerwowania pierzchły, starsza pani w mgnieniu oka przedzierzgnęła się w charyzmatyczną panią domu, pełną swobody i dostojeństwa, których zapewne uczono w bogatych rodzinach. – Co mamy w menu?

– Zupę i jajka na twardo – odparł Bertie.

– Moje ulubione. – Alice nagrodziła go krótkim skinieniem głowy, które miało wyrazić jej miłe zaskoczenie. – Jakby pan wiedział.

– Każdy, kto zna się na rzeczy, lubi jajka na twardo.

Alice uśmiechnęła się z uznaniem, które całkiem przeobraziło jej oblicze.

– Dziadek przez cały tydzień przygotowywał potrawy na szpitalny stragan na festynie świętojańskim – wtrąciła Sadie.

Alice pokiwała głową z aprobatą, a w tej samej chwili wrócił Peter z małym czarnym woreczkiem w ręku.

– Jestem gotowy, daj tylko znać – powiedział, po czym zauważył Bertiego. – O, dzień dobry.

Dokonano krótkiej prezentacji, po której nastąpiło małe zamieszanie, Alice z Peterem debatowali, czy mają zająć się swoimi sprawami zgodnie z pierwotnym planem, czy też zrobić przerwę na małą przekąskę. W końcu uznali, że byłoby niegrzecznie pozwolić, aby zupa ostygła.

– Znakomicie – orzekł Bertie. – Może w takim razie wskażecie nam najlepsze miejsce na zjedzenie lunchu. Nie wiedziałem, czy dom nadaje się do użytku, więc na wszelki wypadek wziąłem ze sobą koc.

– Bardzo rozsądnie – orzekła Alice. – Ten ogród zaprojektowano specjalnie na pikniki. Obawiam się, że trochę zarósł, ale całkiem niedaleko stąd nad strumieniem są śliczne polanki.

Alice wyszła z Peterem i Bertiem przed dom, gawędząc o ogromnym jaworze rosnącym w ogrodzie, o drewnianym szybowcu i chacie na łodzie.

– Latem spędzałyśmy tam z siostrami większość czasu – opowiadała, gdy oddalali się kamienną ścieżką w stronę strumienia. – Z domu biegnie tunel, który prowadzi aż na skraj lasu, niedaleko chaty. Urządzałyśmy tam wspaniałe zabawy w chowanego.

Kiedy pozostali wyszli, Sadie odwróciła się do Clive'a i wzruszyła ze zdziwieniem ramionami.

– Chyba my też zrobimy sobie przerwę na lunch?

Staruszek skinął głową.

– Na to wygląda. Odprowadzę was kawałek, ale nie zostanę dłużej. Córki z rodzinami zabierają mnie na polowanie na antyki.

Nie wydawał się zachwycony tą wyprawą i Sadie skrzywiła się ze współczuciem. Dołączyli do czekającej trójki i dopiero gdy dotarli do brzegu jeziora, zorientowała się, że idą w przeciwnym kierunku niż droga z zaparkowanymi samochodami. Co więcej, uprzytomniła sobie, że kiedy rano przyjechała, nie zauważyła pojazdu Clive'a. A brama była zamknięta.

– Jak tu dotarłeś? – spytała.

– Rzeką – odparł. – Mam małą łódkę, którą cumuję zwykle obok trawlera znajomych. To najłatwiejsza droga z miasta, szybsza niż samochodem.

– Założę się, że również bardzo widokowa. W takiej pięknej okolicy.

Uśmiechnął się.

– Niekiedy można przepłynąć całą drogę i nie zobaczyć żywego ducha.

W tym momencie ciszę i spokój zakłócił dzwonek telefonu Sadie. Wyjęła go z kieszeni i skrzywiła się, spojrzawszy na ekran.

– Złe wieści?

– To Nancy Bailey. Pamiętasz, mówiłam ci o tej sprawie.

– Babcia małej dziewczynki. Pamiętam. Ciekawe, czego chce.

– Nie wiem, ale wydzwania do mnie od rana.

– To musi być coś ważnego, skoro tak cię zamęcza w sobotę.

– Możliwe. Ale potrafi być uparta.

– Nie oddzwonisz do niej?

– Nie powinnam tego robić. Sprawa została zamknięta. Jeśli komisarz się dowie, że mam z nią kontakt, szybko doda dwa do dwóch. Poza tym jesteśmy zajęci.

Clive kiwał głową, lecz Sadie widziała, że nie do końca się z nią zgadza.

– Uważasz, że powinnam oddzwonić?

– No cóż, to nie moja sprawa, ale czasem, kiedy coś nas za bardzo prześladowuje, to dlatego, że domaga się naszej uwagi. Spójrz na mnie. Jak myślisz, co tu robię po siedemdziesięciu latach?

Telefon znowu zadzwonił, numer Nancy Bailey pojawił się na wyświetlaczu. Sadie zerknęła na Clive'a, a ten uśmiechnął się zachęcająco. Wzięła głęboki oddech i odebrała.

Znalazła pozostałych nad strumieniem. Rozłożyli koc na wysokiej trawie pod wierzbą, a na wodzie przy pomoście przed chatą kołysała się niewielka łódka o nazwie *Jenny*. Peter i Clive rozmawiali o czymś z poważnymi minami, a Alice siedziała elegancko na starym krześle, które skądś przyniesiono, i śmiała się z żartu Bertiego. Sadie usiadła na brzegu koca i z roztargnieniem przyjęła kubek z zupą. Jej umysł pracował gorączkowo, rozpakowując pracowicie wszystkie dowody, które z takim wysiłkiem układała przez ostatnie tygodnie na półkach. W pracy nad każdą sprawą nadchodzi taki przełomowy moment, kiedy jakiś konkretny trop zamienia się w soczewki, przez które wszystko nabiera nagle wyrazistości, fakty zyskują inną wymowę, a szczegóły zaczynają się ze sobą łączyć. To, co powiedziała jej przed chwilą Nancy, zmieniało całkowicie obraz sytuacji.

– I co? – spytał Clive. – Nie mogłem wyjechać, dopóki nie dowiem się, o co chodziło.

Rozmowy ucichły i wszyscy patrzyli na Sadie wyczekująco. Przyszło jej do głowy, że oto na tym piknikowym kocu zebrały się osoby, którym opowiedziała o sprawie Baileyów i swoim nieprofesjonalnym zachowaniu.

– Sadie, skarbie? – zachęcił ją łagodnie Bertie. – Clive powiedział, że Nancy Bailey próbowała się do ciebie dodzwonić przez cały dzień.

Sprawa została oficjalnie zamknięta. Sadie wplątała się już przez nią w kłopoty. Bała się, że wybuchnie, jeśli tego z siebie natychmiast nie wyrzuci. Wzięła głęboki oddech.

– Nancy powiedziała, że dzwonili do niej nowi lokatorzy mieszkania, które wynajmowała ich córka.

Bertie podrapał się po głowie.

– To oni mieli jej numer?

– To długa historia.

– Co powiedzieli?

– Zadzwonili, żeby jej powiedzieć, że zauważyli jakiś napis na krawędzi blatu kuchennego. Słowa nabazgrane długopisem: *To był on*. Nie zwróciliby na to uwagi, gdyby nie to, że Nancy była u nich niedawno i mieli świeżo w pamięci historię zniknięcia Maggie.

Wszyscy obecni w milczeniu analizowali usłyszane wieści.

– Kim jest „on” i co zrobił? – spytał skonfundowany Peter.

Sadie zdała sobie sprawę, że asystent Alice jest jedyną osobą w tym gronie, która nie wie o jej roli w sprawie Baileyów, o jej podejrzeniach, że doszło do przestępstwa. Szybko wprowadziła go w sytuację.

– A więc ów „on”, kimkolwiek jest, to człowiek, którego szukasz.

Na wpół świadomie Sadie zauważyła, że Peter uznał jej poglądy na zniknięcie Maggie za uzasadniony punkt widzenia.

– Muszę tylko odkryć, kim „on” jest.

Alice jak dotąd się nie odzywała, lecz teraz odchrząknęła.

– Jeśli kobieta w niebezpieczeństwie pisze: *To był on*, to uważa, że wszyscy natychmiast się domyślą, o kogo chodzi. Czy w życiu Nancy Bailey było wielu mężczyzn?

– Nie. W ogóle było niewiele osób, z którymi utrzymywała kontakt. Właściwie tylko córka i mama.

- A co z ojcem Caitlyn?
- No tak...
- Zdaje się, że opiekuje się teraz córką, prawda?
- Tak.
- Ożenił się powtórnie po rozwodzie z Maggie, mam rację?
- Tak, dwa lata temu.
- I nie mają własnych dzieci?
- Nie.

Sadie przypomniała sobie scenę w komisariacie. Żona Steve'a, Gemma, czesała dziewczynce włosy, zawiązywała jej wstążeczki, trzymała ją za rączkę i uśmiechała się do niej tak tkliwie, że Sadie czuła to ciepło z odległości.

- Ta kobieta sprawia wrażenie, jakby naprawdę bardzo lubiła Caitlyn.

Na Alice informacja ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- Jaki on jest?

– Steve? Szczery, pełen dobrych chęci. Nie znam go za dobrze. Wykazywał w czasie śledztwa dużą chęć współpracy.

Clive prychnął cicho, jakby ta odpowiedź potwierdzała jego głęboko zakorzenione przekonanie, i Sadie przypomniała sobie, co mówił, kiedy rozmawiali o sprawie Edevane'ów: na temat dwóch postaw, jakie przyjmują zwykle winowajcy. Przeszły ją ciarki. Pierwszy typ, zgodnie z jego teorią, unika policji jak ognia, a drugi, ten pomocny, narzuca się funkcjonariuszom przy każdej okazji i nieustannie kręci się w samym centrum śledztwa.

– Znaleźliśmy list – dodała szybko, próbując uporządkować galopujące myśli, w miarę jak w jej głowie krystalizował się nowy, przerażający obraz sprawy. – Napisany własnoręcznie przez Maggie...

Urwała. Przypomniała sobie, jak Steve ubolewał nad niefrasobliwą postawą Maggie, jak ją oskarżał, że zapomniała o zmienionym terminie jego wyjazdu na ryby.

„Kazałem jej nawet zapisać to sobie”. I zaraz w następnym zdaniu się poprawił. „Wszystko jej zapisałem”.

Drobna modyfikacja, lecz Sadie od razu zwróciła na nią uwagę. Uznała to jednak za drobne przejęzyczenie. Był zdenerwowany i źle się wyraził. Każdemu się zdarza. Ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy przejęzyczenie to nie miało bardziej freudowskiego podłoża, czy nie było pomyłką, która zdradziła inną prawdę – że całkiem dosłownie zmusił Maggie do napisania dyktowanych słów.

- Ale morderstwo!? – Myślała na głos. – Steve?

Nikomiu nie przeszło przez głowę, żeby go uznać go za podejrzanego, nawet przed znalezieniem listu. Miał alibi, przypomniała sobie, wyjechał na ryby do Lyme Regis. Sprawdzili to, lecz zrobili to tylko dla formalności. Wszystko się zgadzało – zameldowanie w hotelu, urlop w firmie, wypożyczalnia łodzi – i na tym zakończyli. Teraz jednak, kiedy zastanowiła się nad tym bardziej krytycznie, stwierdziła, że tak niespodziewany wyjazd z Londynu w odległy zakątek kraju dokładnie w dniach, kiedy znikła jego była żona, wydawał się szyty zbyt grubymi nićmi.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – Wbrew własnym zasadom nie mogła się powstrzymać, żeby nie zastanowić się nad motywem. – Byli kiedyś małżeństwem. Kochali się. Po rozwodzie prawie się nie spotykali. Po co miałyby ją zabijać, do diabła?!

Przez gmatwaninę jej myśli przedarł się głos Alice Edevane:

– Jedną z pierwszych opowieści o Diggorym Brencie napisałam w oparciu o historię, którą usłyszałam od mojej siostry, Clemmie. To było jeszcze przed drugą wojną światową, siedziałyśmy wtedy w Hyde Parku, a ona opowiedziała mi o człowieku, którego żona tak bardzo pragnęła mieć dziecko, że je dla niej ukradł. Utkwiła mi ta opowieść w pamięci. Zawsze wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że jakaś para może tak bardzo pragnąć dziecka, że kochający mąż mógłby się uciec do najbardziej

drastycznych sposobów.

Sadie przypomniała sobie pocziwą, uszczęśliwioną twarz Gemmy, kiedy ta trzymała Caitlyn za rączkę, jak naturalnym gestem podniosła ją i oparła sobie o biodro. Boże, Sadie tak się cieszyła, kiedy je widziała, czuła taką ulgę, że mimo zniknięcia matki dziecko znalazło szczęśliwy dom i kochających rodziców, którzy o nią zadbają.

– I co teraz zrobisz? – spytał Bertie.

O tak, spis konkretnych zadań. To znacznie bardziej pomoże niż samobiczowanie.

– Muszę zweryfikować alibi Steve’a – powiedziała. – Sprawdzić, czy było możliwe, żeby przyszedł do Maggie w czasie, kiedy rzekomo wyjechał z Londynu. Będę musiała z nim porozmawiać, ale to nie będzie łatwe, skoro toczy się śledztwo w mojej sprawie.

– Nie możesz zadzwonić do Donalda i poprosić, żeby zadał mu kilka pytań?

Sadie pokręciła głową.

– Nie mogę go wtajemniczyć, póki nie zyskam stuprocentowej pewności. – Zmarszczyła czoło, bo właśnie przyszło jej coś do głowy. – Muszę jeszcze raz rzucić okiem na list Maggie i oddać go do laboratorium.

– DNA?

– To również, ale poza tym chodzi mi o ślady przymusu. Badali go już raz grafolodzy, którzy porównywali charakter pisma z próbkami pisma Maggie. Stwierdzili, że niektóre elementy wyglądają trochę nienaturalnie, że wskazują na pośpiech w czasie pisania. Dla mnie list wyglądał na dość staranny, ale oni potrafią zauważyć rzeczy, których my nie widzimy. Przyjeliśmy, że pisała w pośpiechu, ponieważ planowała popełnić karygodną rzecz. To miało sens.

List napisano na eleganckim papierze z bloczku do notowania. Maggie pracowała w WHSmith i, według Nancy, nabrała upodobania do ładnych artykułów papierniczych. Sadie nie zauważyła w notatce niedbałości, lecz na górze widniał jakiś bazgroł, który ją zafrapował.

– Sprawdzała długopis – orzekł Donald, wzruszając ramionami. – Sam to robiłem setki razy.

Sadie też, a mimo wszystko coś jej w tym nie pasowało. Dlaczego osoba z natury raczej pedantyczna sprawdzała długopis na eleganckim papierze listowym, na którym zamierzała napisać ważną wiadomość?

– Była zdenerwowana – odparł Donald, kiedy Sadie wyraziła swoje wątpliwości. – Zamierzała zostawić córkę, wątpię, żeby analizowała w takiej chwili, czy papier ładnie wygląda.

Sadie ugryzła się wtedy w język. List wywołał wstrząs, wyrócił do góry nogami jej hipotezy, a ona wyszła na zwariowaną fantastkę. Kruszenie kopii o bazgroł na kartce papieru na pewno by jej się nie przysłużyło. Lecz Nancy się z nią zgodziła.

– Maggie w życiu by czegoś podobnego nie zrobiła – orzekła. – Od dziecka lubiła porządek. Wszystko musiało być czyste i schludne.

Teraz nagle ten bazgroł wydał się niezwykle doniosłym tropem. Może świadczył o tym, że ktoś był wtedy w mieszkaniu Maggie? Stał nad nią, może nawet sprawdził długopis, zanim zaczął jej dyktować wiadomość, którą miała napisać?

Wyraziła swoje myśli na głos, klękając, aby wygrzebać z kieszeni telefon. Na szczęście, choć nie całkiem legalnie, zrobiła zdjęcia listu, zanim został oficjalnie oznakowany i dołączony do innych materiałów dowodowych. Przeszukała teraz folder ze zdjęciami, a kiedy je znalazła, puściła telefon w obieg, aby każdy mógł mu się przyjrzeć.

Wstała i zaczęła krążyć. Czy to możliwe, żeby Steve zaplanował i zrealizował tak przerażający plan? Może traciła zmysły, może chwytła się brzytwy, lecz jeden rzut oka na jej towarzyszy podniósł ją na duchu. Były policjant, autorka powieści kryminalnych i doktor literaturoznawstwa. To była wyśmienita grupa dochodzeniowa i wszyscy uważali, że ta nowa hipoteza zasługuje na uwagę.

Bertie się uśmiechnął, a na jego dobrodusznym obliczu odmalowało się coś na kształt dumy.

– To co teraz zrobisz, skarbie? – spytał ponownie. – Co będzie dalej?

Nieważne, czy miałarację, czy nie, nieważne, jakie poniesie konsekwencje, jeśli istniał chociaż cień prawdopodobieństwa, że Steve zmusił byłą żonę do napisania listu, jeśli Maggie czuła, że to wszystko źle się dla niej skończy, a mimo to zebrała dość sił, aby się zbuntować i zostawić policji wskazówkę, to Sadie musiała tę sprawę doprowadzić do końca. Albo dopilnować, aby zrobili to inni. Była to winna Maggie.

– Myślę, że muszę to zgłosić – powiedziała.

Bertie skinął głową.

– Ja też tak uważam.

Ale nie Donaldowi. Nie mogła wykluczyć, że ten nowy trop donikąd nie doprowadzi. Nie chciała ryzykować, że znowu wpakuje partnera w kłopoty. Musi iść na samą górę, nawet za cenę przyznania się, że przeciek wyszedł od niej. Gdy Bertie z pozostałymi zwijali piknik, Sadie wybrała numer Scotland Yardu i poprosiła o połączenie z komisarzem Ashfordem.



Kiedy po południu wszyscy wrócili do miasta, Sadie do nich nie dołączyła. Clive odpłynął zaraz po lunchu, wymusiwszy na Sadie obietnicę, że da mu znać, gdy tylko dostanie jakąś wiadomość z Londynu, a Bertie musiał się stawić o trzeciej na stoisku szpitalnym, na którym pełnił dyżur. Próbował skusić Sadie obietnicą świeżych babeczek z bitą śmietaną, lecz myśl o tym, że miałyby się tłoczyć w wiwatującym tłumie, podczas gdy wszystko się w niej skręcało jak sprężyna zegarka, była nie do przyjęcia.

Za to Alice obdarzyła Bertiego uśmiechem, co nie zdarzało jej się często, i oznajmiła:

– Od wieków nie miałam w ustach prawdziwej kornwalijskiej śmietany.

Zmarszczyła brwi, kiedy Peter przypomniał jej dyskretnie o tajemniczym zadaniu, które tak ją zaprzętało przed wyjazdem, po czym machnęła ręką i oświadczyła, że skoro czekało siedemdziesiąt lat, to wytrzyma jeszcze jeden dzień. Poza tym lepiej zameldować się w hotelu, zanim zacznie się festyn i rynek zapełni się tłumami. Obiecała właścicielce hotelu autografy w książkach, co wydatnie pomogło w zarezerwowaniu dwóch pokoiów na czas festynu, mimo tak późnej rezerwacji.

I tak Sadie została sama. Patrzyła, jak dwa samochody oddalają się podjazdem i po kolei połyka je las, a gdy tylko znikły jej z oczu, wyjęła z kieszeni komórkę. Zaczynała to robić odruchowo. Tym razem nie było żadnych nieodebranych połączeń, co nie mogło dziwić, zważywszy, że ustawiła dzwonek najgłośniejszy, jak się dało. Rozczarowana, schowała z powrotem telefon.

Nie była całkiem szczerą, mówiąc, że w wydziale przyjęli z wdzięcznością nowy trop w sprawie. Szczerze mówiąc, Ashford ani trochę nie ucieszył się z jej telefonu, a kiedy powiedziała, z czym dzwoni, zabulgotał z wściekłości. Do tej pory piekły ją policzki od gromów, jakie ciskał. Nie mogłaby przysiąc, że jego ślina nie przeniosła się w powietrzu razem z połączeniem i nie oparzyła jej w ucho. Czuła, jak w odpowiedzi i w niej narasta gniew, lecz starała się hamować. Pozwoliła przełożonemu się wygadać, po czym najspokojniej, jak umiała, przeprosiła za swój błąd i oznajmiła, że ma nową informację. Nie miał zamiaru jej wysłuchać, więc Sadie, kładąc na szali pracę, którą tak kochała, przypomniała mu, że nadal ma numer Dereka Maitlanda i nie wypadnie to dobrze, jeśli się okaże, że Maggie została zamordowana, ona miała rację, a policja nie chciała o tym słyszeć.

W końcu zaczął słuchać, ziejąc w słuchawkę jak smok, a kiedy skończyła, burknął:

– Wyślę kogoś.

I rozłączył się.

Po skończonej rozmowie nie pozostało jej nic poza czekaniem i nadzieją, że Ashford okaże się na tyle wspaniałomyślny, żeby do niej zadzwonić z informacją, czego się dowiedzieli.

I na tym stanęło. Musiała jednak przyznać, że mogło jej się trafić gorsze miejsce do zabijania czasu.

W popołudniowym świetle dom wyglądał całkiem inaczej, okolica sprawiała wrażenie, jakby osiadła z westchnieniem ulgi. Ucichła szaleńcza poranna krzątania ptaków i owadów, dach przeciągał się i trzeszczał w rozgrzanych spojeniach, a przez okna wlewało się do środka leniwe, zadowolone światło spełnionego dnia.

Przez chwilę myszkowała po gabinecie Anthony'ego. Na półce nad biurkiem nadal stały jego podręczniki anatomiczne z eleganckim, pełnym nadziei na przyszłość podpisem na stronach tytułowych, w dolnej szufladzie zaś leżały schowane szkolne nagrody i wyróżnienia: z literatury klasycznej, łacińskich heksametrów i wiele innych. W ciemnym kącie znalazła zdjęcie grupy młodych mężczyzn w akademickich togach i biretach, wśród których rozpoznała młodego Anthony'ego. Zauważyła też, że na biurku stoi oprawione w ramkę zdjęcie jednego z jego towarzyszy – w mundurze, z gęstą czupryną czarnych włosów i inteligentnymi rysami twarzy. Za szkłem tkwiła gałązka rozmarynu, widać było, że zbrązowiałe listki rozsypią się w pył, jeśli spróbuje ją wyciągnąć. Było też zdjęcie Eleanor pozującej na tle kamiennego budynku. Wzięła je do ręki, żeby obejrzeć bliżej. Domyśliła się, że zrobiono je w Cambridge, gdzie Edevane'owie mieszkali, zanim Anthony zrobił żonie niespodziankę i odzyskał Loeanneth.

Całą półkę sięgającej do sufitu biblioteczki po drugiej stronie pokoju zajmowały dzienniki Anthony'ego. Sadie wyjęła kilka na chybił trafił i wkrótce lektura pochłonęła ją bez reszty, dopóki zmierzchające światło nie zmusiło jej do wyężania wzroku. Nic w zapiskach nie wskazywało, żeby Anthony żywił mordercze intencje. Przeciwnie, przepełniały je najgorętsze pragnienia, aby się „naprawić”, skrucha, że zawiódł żonę, brata, naród. Poza tymi zwierzeniami znalazła dziesiątki stron wspomnianych przez Clive'a gier pamięciowych, którymi Anthony usiłował posklejać swój pogruhotany umysł. Trawiły go nieprzewyciężone wyrzuty sumienia z powodu tego, że przeżył wojnę, podczas gdy tyłu jego towarzyszy straciło na niej życie lub zdrowie. Listy, które pisał do swego utraconego przyjaciela Howarda, rozdzierały serce, podobnie jak proste, eleganckie opisy tego, co znaczy żyć, jak to ujął, w *kondycji ciągłej bezużyteczności*, ze świadomością, że własne szczęście jest niezasłużoną nagrodą wykradzioną innym.

Niełatwo się czytało te wyrazy głębokiego wstydu za siebie oraz wdzięczności dla Eleanor, lecz jeszcze bardziej przejmująco brzmiały opisy grozy, jaką czuł na myśl, że mógłby nieumyślnie skrzywdzić osoby, które kocha najbardziej na świecie. *Ty, drogi przyjacielu, najlepiej wiesz, że byłbym do tego zdolny.* (Dlaczego? Sadie zmarszczyła brwi. Czy te słowa coś znaczyły, czy były tylko prostym stwierdzeniem, że przyjaciel zna go lepiej od innych?)

Dręczyła go również niemożność kontynuowania studiów i praktyki lekarskiej. *Tylko o tym myślałem po wydarzeniach we Francji. Tylko w ten sposób mogłem wszystko naprawić – udowodnić sobie, że przeżyłem wojnę, aby zrobić coś ważnego, wrócić do Anglii i pracować jako chirurg, aby umierać ze świadomością, że więcej ludzi wyleczyłem, niż skrzywdziłem.* Nie mógł jednak zostać lekarzem i Sadie zrobiło się go ogromnie żal. Dla niej również ten krótki okres bez pracy, którą kochała, był dotkliwą karą.

Odwróciła się na twardym krześle obrotowym, aby obrzucić spojrzeniem pozostałą część pokoju. Było to bardzo samotne miejsce, smutne i zatechłe. Próbowwała sobie wyobrazić, co musiał czuć zamknięty tutaj, mając za towarzystwo tylko własne demony i rozczarowania, żyć w wiecznym strachu, że kiedyś go pokonają. I słusznie się obawiał, ponieważ jego lęki się spełniły.

Albowiem śmierć Thea musiała być wypadkiem. Nawet jeśli Anthony dowiedział się o niewierności Eleanor i o tym, że ojcem chłopca jest Ben Munro, i nawet jeśli z zazdrości wpadł we wściekłość, to zamordowanie dziecka swojej żony byłoby niewyobrażalną zbrodnią. Ludzie się zmieniają, życie sprawia różne niespodzianki, lecz Sadie po prostu nie wierzyła, że Anthony Edevane mógłby to zrobić. Jego samoświadomość, obawy, jego czyny – wszystko to stało w absolutnej sprzeczności z hipotezą Clive'a. Nie miało znaczenia, czyim synem był Theo. Zbieżność w czasie między

śmiercią chłopczyka i odkryciem przez Anthony'ego romansu żony była przypadkowa. Sadie uniosła brwi. Przypadek. Znowu to nieznośne, natrętne słowo.

Westchnęła i przeciągnęła się. Na świat opadła długa letnia szarówka. W kryjówkach rozgrzanego słońcem ogrodu świerszcze rozpoczęły swój wieczorny koncert, w domu wydłużały się cienie. Gorące powietrze nagrzone upalnym dniem gromadziło się, gęstniało i osiadało nieruchomo, czekając, aż wymiecie je wieczorny chłód. Zamknęła dziennik i odłożyła go na półkę. Po cichu zamknęła drzwi gabinetu i zeszła na dół po latarkę. Sprawdziła szybko telefon, stwierdziła, że nie było żadnych wiadomości, po czym skierowała się do sypialni i sekretery Eleanor.

Tak naprawdę nie miała pojęcia, czego właściwie szuka, wiedziała tylko, że czegoś jej brakuje, listy Eleanor wydawały się najlepszym źródłem. Powinna zacząć od okresu sprzed urodzenia Thea i przeczytać wszystko w nadziei, że trafi na jakąś kluczową informację, dzięki której prawda ukaże się wreszcie we właściwym świetle. Postanowiła czytać listy chronologicznie, zaczynając od jednego z trzech egzemplarzy pisanych przez Eleanor, a następnie szukać stosownej odpowiedzi.

Praca szła powoli i mozolnie, lecz Sadie miała dużo czasu do zapełnienia i potrzebowała czegoś, co odwróci jej uwagę. Wyrzuciła z głowy Ashforda i sprawę Baileyów, a zamiast nich ożywiła w wyobraźni świat Edevane'ów. Było oczywiste, że świat Eleanor obracał się wokół jej związku z Anthonyem, wielkiej miłości przytłoczonej wieczną grozą i zamętem jego choroby. W kolejnych listach do kolejnych lekarzy wystosowywała kolejne prośby o pomoc, niezmiennie tym samym serdecznym tonem i z tą samą, niesłabnącą determinacją, by znaleźć lekarstwo na cierpienia męża.

Jednakże pod politurą uprzejmych próśb kryło się ogromne cierpienie, któremu dawała wyraz w listach do Daffyda Llewellyna. Przez wiele lat tylko on był powiernikiem jej tajemnicy, świadkiem nieszczęścia i pogarszającego się stanu Anthony'ego. Dziewczęta nie miały o niczym pojęcia, podobnie służba, z wyjątkiem kilku zaufanych osób. Nie wiedziała również Constance, wobec której zarówno Eleanor, jak i najwyraźniej Daffyd Llewellyn żywili długotrwałą niechęć.

Eleanor złożyła mężowi obietnicę, że dotrzyma jego tajemnicy, i wielokrotnie podkreślała w listach, że nic jej nie skłoni do złamania słowa. Wykreowała przed ludźmi fantastyczną wizję, w której żyli oboje bez trosk: ona zajmowała się prowadzeniem domu, on studiami historii naturalnej oraz pisaniem Wielkiego Dzieła. W gawędziarskich listach do kilku znajomych opisywała życie w Loanneth, obficie wypełniając je zabawnymi, czasem nieco ironicznymi uwagami na temat córek – *każda bardziej ekscentryczna od swej poprzedniczki*.

Sadie podziwiała nieustępliwość Eleanor, choć kręciła głową na szaleńczo niewykonalne zadanie, które sobie postawiła. Daffyd Llewellyn również ją namawiał do otwartego stanowiska wobec otaczających osób, a zaczął naciskać jeszcze usilniej na początku 1933 roku, kiedy jej obawy zyskały nowe uzasadnienie. Jak zawsze martwiła się o męża, teraz jednak zaczęła się bać również o syna, którego narodziny ożywiły w umyśle Anthony'ego jakiś mroczny bodziec.

Głęboki wstrząs z czasów wojny nabrał nowej siły, odżyły okropne wspomnienia wiążące się ze śmiercią jego przyjaciela Howarda. *Sytuacja pogarsza się w lawinowym tempie. Dręczą go wyrzuty sumienia z powodu powodzenia, jakie go w życiu spotyka, żałuje, że nie może pomagać ludziom jako lekarz, a to wiąże się w pewien szczególnie sposób z jakimś „incydentem” z czasów wojny. Słyszę często, jak przez sen płacze, woła, że muszą już iść, że trzeba uciszyć psa i dziecko.*

A potem, kilka tygodni później: *Jak wiesz, Daffydzio, od pewnego czasu prowadzę potajemnie własne śledztwo. Zdziwiłam się ogromnie, ponieważ nie znalazłam wzmianki o Howardzie na liście poległych, zaczęłam więc drążyć tę sprawę nieco głębiej i, och, Daffydzio, to okropne. Nieszczęśnik został zastrzelony o świcie przez naszą własną armię! Znalazłam człowieka, który służył w tym samym pułku co Howard i Anthony. Zdradził mi prawdę: Howard próbował zdezerterować i Anthony go powstrzymał. Mój kochany mąż myślał prawdopodobnie, że uda mu się utrzymać wszystko w tajemnicy, lecz zauważył ich inny oficer i sprawa potoczyła się dramatycznie. Ten mężczyzna, z którym*

rozmawiałam, powiedział, że Anthony bardzo głęboko to przeżył, a znając go, jestem pewna, że obwinia się tak, jakby sam pociągnął za spust.

Wprawdzie Eleanor poznała przyczynę kryjącą się za koszmarami nękającymi męża, lecz nie tłumaczyła ona, dlaczego jego objawy uległy nasileniu, i w niczym nie ułatwiła jej trudnego zadania. Anthony uwielbiał małego Thea i myślał, że mógłby mu wyrządzić krzywdę, doprowadzała go do rozpacz. W chwilach największego zwątpienia przebąkiwał nawet o skończeniu z tym wszystkim raz na zawsze. *Nie mogę do tego dopuścić*, pisała Eleanor. *Nie mogę pozwolić, by wielka nadzieja, jaką mógł być dla świata ten niepospolity człowiek, została w ten sposób zaprzepaszczona. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się przekonuję, że tylko otwarta rozmowa o tym, co się stało z Howardem, pozwoli mu się uwolnić od tych nawracających koszmarów. Zamierzam go zapytać o ten „incydent”, lecz dopiero, kiedy sytuacja się uspokoi. Gdy wszyscy będą bezpieczni.*

W tym czasie jedynym jasnym punktem w życiu Eleanor, jedynym miejscem wytchnienia, był związek z Benem. Najwyraźniej zwierzyła się z romansu Daffydowi Llewellynowi, a z kolei kochankowi opowiedziała o chorobie męża. Coś w koczowniczej naturze Bena, jak napisała, w jego braku korzeni czyniło go idealną osobą do zwierzeń. *Co nie znaczy, że często o tym rozmawiamy. Mamy tyle innych tematów. Ben dużo podróżował; jego dzieciństwo jest prawdziwą kopalnią anegdot o ludziach i miejscach, a ja jestem ich tak złałknioma. To dla mnie forma rekompensaty, chwilowej ucieczki, kiedy po prostu muszę zrzucić z piersi ten kamień. Poza tobą, drogi Daffydzio, on jest jedyną osobą, której mogę zaufać. Kiedy z nim rozmawiam, mam uczucie, jakbym pisała na piasku lub wykrzykiwała prawdę na wiatr. Jest człowiekiem, który żyje w harmonii z żywiołami natury; mogę być spokojna, że zachowa dla siebie wszystko, co mu powiem.*

Sadie zastanawiała się, co mógł czuć Ben, wiedząc o chorobie Anthony’ego, a w szczególności o zagrożeniu, jakie przedstawiał dla Eleanor i małego Thea. W końcu to było jego dziecko. List, który znalazła w chacie, świadczył jednoznacznie, że Ben o tym wiedział. Przewertowała plik jego listów do Eleanor. Do tej pory ich unikała. Czytanie cudzej korespondencji miłosnej wydawało jej się przekroczeniem kruchej granicy intymności, teraz jednak uznała, że musi przynajmniej rzucić na nie okiem.

Zrobiła znacznie więcej. Przeczytała wszystkie. A kiedy skończyła ostatni, w pokoju panował nieprzenikniony mrok, a w całym domu i ogrodzie zalegała taka cisza, że słyszała daleki szum morza. Zamknęła oczy. Była zarazem zmęczona i w niezwyklej sposób ożywiona; wpadła w spiralę dziwnie połączonych przeciwieństw – wszystko, co tego dnia widziała, czytała, słyszała i myślała, złało się w jedno wielkie kłębowisko. Alice mówiąca Bertiemu o wylocie tunelu koło chaty; Clive i jego łódź – „najłatwiejsza droga z miasta, szybsza niż samochodem... można przepłynąć całą drogę i nie zobaczyć żywego ducha”; obietnica Eleanor złożona Anthony’emu i jej obawy o synka; opowieści Bena z czasów dzieciństwa.

Myślała też o Maggie Bailey i o tym, do czego jest zdolny człowiek, by chronić swoje dziecko; o Caitlyn i uśmiechniętej Gemmie; o Rose Waters i gorącym uczuciu, jakim można obdarzyć cudze dziecko. Żal jej było Eleanor, która w ciągu jednego tygodnia straciła Thea, Bena i Daffyda Llewellyna. I ciągle wracała myślami do słów, jakimi Alice opisała swoją matkę: *Uważała, że złożonej obietnicy należy dotrzymać.*

Nie był to właściwie żaden nowy trop, raczej połączenie w całość wielu drobnych szczegółów, jak w tych chwilach, kiedy słońce, przetaczając się po niebie, pokona maleńki odcinek i oświetla niewidoczną pajęczynę, która nagle zaczyna się mienić niczym srebrny filigran. Sadie bowiem nagle ujrzała, jak wszystko się ze sobą łączy, i domyśliła się już, co się wydarzyło tamtej nocy. Anthony nie zabił Thea, ani celowo, ani przez przypadek.

Kornwalia, 23 czerwca 1933

Na środku jeziora płonęło ognisko. Na tle rozgwieżdżonego nieba skakały kolczaste pomarańczowe płomienie, a nad nimi przemykały czarne cienie ptaków. Constance uwielbiała noce świętojańskie. Była to jedna z nielicznych tradycji przejętych po rodzinie męża, których przestrzegała. Przez całe życie skwapliwie korzystała z każdej nadarzającej się okazji do zabawy, a ognisko, lampiony, muzyka, tańce i cała ta pogańska żywiołowość czyniły przyjęcie wyjątkowo podniecającym. Nie zwracała dotąd uwagi na tę przesadną gadaninę deShielów o przesileniu i odrodzeniu, o odpędzaniu złych duchów, lecz tego roku po raz pierwszy zastanawiała się, czy nie warto potraktować tych rzeczy bardziej na poważnie. Tego wieczoru zamierzała dokonać własnego przełomowego aktu odrodzenia. Po blisko czterdziestu latach postanowiła porzucić zadawnione antagonizmy.

Położyła dłoń na sercu. Stary, zapiekły ból nigdy nie mijał. Tkwił między żebrami niczym pestka brzoskwini. Po kilkudziesięciu latach tłumione wspomnienia wracały ostatnio coraz częściej. Dziwne, jak łatwo zdarzało jej się zapomnieć, co jadła poprzedniego wieczoru na kolację, a tak niespodziewanie potrafiła się znowu znaleźć w tym wirującym szaleńczo pokoju, kiedy za oknem wstawał świt, a jej ciało rozszczępiało się w środku na kawałki. Durna pokojówka stała niezdecydowana z ręcznikiem, kucharka zawijała rękawy do zdartych łokci, a w kominku trzaskały węgle. Na korytarzu mężczyźni debatowali nad tym, co należy uczynić, lecz Constance ich nie słuchała, głosy utonęły w ogłuszającym ryku morza. Tego ranka wiał zły wiatr i kiedy ludzie zaczęli się krzątać na granicy otaczającej ją ciemności, kiedy rozpętał się chaos ostrych głosów i brutalnych dłoni, Constance znikła pod nieubłaganą, huczącą powierzchnią bezlitosnych fal. (Jakże ona nienawidziła tego dźwięku! Nawet teraz doprowadzał ją do szału).

Na nieużytkach rozciągających się tygodni, które nastąpiły potem, Henri wzywał kolejnych medyków, najlepszych specjalistów z Londynu, którzy zgodnie orzekli, że to było nieuniknione – pępowina owinęła się niczym stryczek wokół małej szyi – i najlepiej będzie, jeśli puszcza w niepamięć ten niefortunny wypadek. Lecz Constance nie miała zamiaru puszczać niczego w niepamięć i wiedziała, że oni wszyscy się mylili. „Wypadek” nie był nieunikniony; jej dziecko umarło przez nieudolność. Jego nieudolność. Oczywiście lekarze zwarli szyki i stanęli murem w jego obronie, był jednym z nich. Natura nie zawsze bywa łaskawa, powtarzali, prześcigając się w przymilnych uśmiechach. Ona jednak wiedziała najlepiej.

Musi wykazać hart ducha.

Najlepiej nie rozdrapywać ran.

Następnym razem będzie inaczej.

Pod tym względem mieli rację. Dwanaście miesięcy później urodziła się Eleanor. Akuszerka pokazała jej dziecko.

– Dziewczynka!

Constance obrzuciła noworodka wzrokiem od stóp do głów, zobaczyła, że jest śliski, różowy i piszczący, po czym skinąwszy krótko głową, przewróciła się na bok i zażądała gorącej herbaty.

Czekała na przyływ uczuć – miłości macierzyńskiej i tęsknoty, które czuła za pierwszym razem (och, ta pulchna, woskowa buzia, te długie, piękne paluszki, słodziutkie zwinięte usteczka, z których nigdy nie wydobędzie się dźwięk), lecz dni mijały, jej piersi nabrzmiały i bolały, aż w końcu powróciły do dawnego stanu i zanim się obejrzała, przyjechał doktor Gibbons i orzekł, że Constance może opuścić

sypialnię.

Lecz między nimi sprawa została już obopólnie rozstrzygnięta. Dziecko płakało, krzyczało i nie chciało się uspokoić, kiedy Constance brała je na ręce. Patrzyła na wrzeszczącą buzię i nie mogła wymyślić żadnego imienia, które by pasowało do dziewczynki bardziej niż inne. Tak więc zadanie to przypadło Henriemu, podobnie jak noszenie córki na rękach i spacerowanie, dopóki w odpowiedzi na zamieszczone ogłoszenie nie zjawiała się niania Bruen ze swoimi nienagannymi referencjami i sztywnymi zasadami wychowawczymi. A kiedy w życie dziewczynki wkroczył Daffyd Llewellyn i zaczął ją karmić opowieściami i wierszykami, Constance i Eleanor były już sobie całkiem obce. Przez lata pielęgnowała w duszy gniew na człowieka, który odebrał jej nie jedno, ale dwoje dzieci.

Westchnęła. Zmęczył ją ten ciągły gniew. Tak długo chowała w sercu roztopioną nienawiść, że w końcu stała się twarda jak gład. Kiedy muzycy zaczęli grać następną wesołą melodię i ludzie wirowali po rozjarzonych lampionami deskach w kręgu rosnących wierzb, przecisnęła się przez tłum do stołu, gdzie kelnerzy nalewali drinki.

– Lampkę szampana dla pani?

– Dziękuję. I drugą dla mojego przyjaciela.

Wzięła dwa pełne kieliszki i ruszyła w stronę ławeczki w altance. To nie będzie łatwe zadanie, zżyła się z tą zadawnioną niechęcią niczym z własnym odbiciem, ale nadszedł czas, aby się w końcu z nią rozstać, uwolnić się od gniewu i żalu, które ją przez lata trzymały w więzieniu.

Właśnie mignęła jej w tłumie postać Daffyda Llewellyna. Szedł prosto w stronę altanki, omijając rozbawionych gości, zupełnie, jakby wiedział, że na niego czeka. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że podjęła właściwą decyzję. Będzie uprzejma, nawet miła, zapyta go o zdrowie, o dokuczliwą zgagę i pogratuluje mu ostatnich sukcesów oraz wielkiego zaszczytu, który ma go spotkać.

Niespokojny uśmiech drgał w kącikach jej ściągniętych ust.

– Panie Llewellyn! – zawołała, wstając, aby do niego pomachać.

Jej głos zabrzmiał bardziej piskliwie niż zwykle.

Daffyd Llewellyn rozejrzał się i zeszywniał na jej widok.

Zobaczyła w nagłym wspomnieniu młodego, zdolnego, przystojnego lekarza, z którym przyjaźnił się jej mąż. Upomniała się surowo.

– Zastanawiałam się, czy masz może wolną chwilę. – Głos jej zadrżał, ale zapanowała nad nim. Była zdeterminowana, pragnęła się w końcu uwolnić od tej odwiecznej animozji. – Miałam nadzieję, że moglibyśmy porozmawiać.



Siedziała w altance i kiwała na niego ręką z kieliszkiem szampana. Dokładnie w tym samym miejscu Daffyd był za piętnaście minut umówiony z Alice. Dziewczyna miała szósty zmysł, kiedy chodziło o Bena Munro, i Eleanor prosiła go, aby zajął tego wieczoru jej uwagę.

– Proszę, Daffydzie – powiedziała. – Jeśli Alice pojawi się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, cały plan spali na panewce.

Zgodził się, lecz tylko dlatego, że traktował Eleanor prawie jak własne dziecko. Kochał ją od niemowlęcia. Maleńki tobołek, nieodłączny dodatek do Henriego, zawsze w jego ramionach, a później na barana lub podskakująca gdzieś w pobliżu. Czy byłaby tak bardzo podobna do ojca, gdyby nie spędzała z nim tyle czasu w dzieciństwie? Trudno powiedzieć, lecz Daffyd za to również ją kochał.

– Błagam – powiedziała, ujmując jego dłonie. – Nie uda mi się to bez twojej pomocy.

Więc naturalnie się zgodził. Choć prawdę mówiąc, miał wiele zastrzeżeń do tego pomysłu. Martwił się o Eleanor do tego stopnia, że nie mógł spokojnie skupić myśli, a od czasu, gdy mu o tym

opowiedziała, zgaga nie dawała mu już chwili spokoju, powróciła również depresja – przekleństwo, które kiedyś o mało go nie zniszczyło. Widywał nieraz, co się działo z kobietami, które straciły dziecko. Był to plan zrodzony z desperacji, który miał rację bytu jedynie w czasie długich nocnych rozmyślań.

Wiele razy, kiedy zwierzała mu się ze swoich obaw, błagał, aby to jeszcze rozważyła, lecz Eleanor była nieugięta. Rozumiał jej lojalność wobec Anthony'ego, znał ich oboje od czasu, gdy byli młodzi, i razem z nią opłakiwał stratę, jaką poniósł jej mąż; dzielił również jej obawy o malutkiego Thea. Lecz ponieść taką ofiarę! Musiał być inny sposób.

– Wskaż mi go – odpowiadała. – A zapewniam cię, że skwapliwie z niego skorzystam.

Lecz bez względu na to, jak usilnie przedstawiał i wciskał fragmenty tej układanki, nie znajdował rozwiązania, które by wszystkich zadowoliło i nie naraziło Anthony'ego na ujawnienie jego kłopotów, a tego Eleanor z całą mocą odmawiała.

– Obiecałam mu, że nikt się o tym nie dowie – powtarzała. – A ze wszystkich ludzi ty wiesz najlepiej, że obietnic nie wolno łamać. Sam mnie tego nauczyłeś.

Daffyd protestował, z początku łagodnie, potem coraz bardziej stanowczo; tłumaczył, że prawa, które leżą u podłoża jego wymyślnego świata baśni, te lśniące nici, z których tkął materię swych opowieści, nie są dość silne, by wytrzymać skomplikowane perturbacje ludzkiego żywota. Nic jej jednak nie mogło przekonać.

– Czasem możemy kochać tylko z daleka – odrzekła.

Pocieszał się, że ten układ nie jest nieodwołalny, że zawsze może zmienić zdanie. Że może tak rzeczywiście będzie lepiej, maluch znajdzie na jakiś czas bezpieczną przystań.

Zrobił więc to, o co prosiła. Umówił się z Alice na spotkanie, żeby nie błąkała się w niepożądanych miejscach i nie zniweczyła ich planów. Eleanor nie miała wątpliwości, że wrodzona ciekawość córki wystarczy, aby się zgodziła na spotkanie, a Daffyd przygotowywał się przez cały dzień, próbując uprzedzić wszystkie możliwe okoliczności i komplikacje, nie przewidział jednak, że zatrzyma go Constance. Starał się zwykle nie myśleć o matce Eleanor. Praktycznie nie widywał się z nią oko w oko, nawet przed tamtą okropną nocą. Przez cały okres jej narzeczeństwa z Henrim obserwował z boku, jak wodzi jego przyjaciela za nos. Była okrutna i nieczuła, a mimo to Henri zakochał się w niej po uszy. Sądził, że uda mu się ją okiełznać, że kiedy zgodzi się za niego wyjść, skończą się jej flirty.

Rozpacz Constance po śmierci dziecka była autentyczna, Daffyd nie miał co do tego wątpliwości. Miała złamane serce, potrzebowała kogoś, kogo mogłaby obwinić, a los wskazał na niego. Nieważne, ilu lekarzy tłumaczyło jej przyczyny komplikacji i zapewniało, że efekt byłby taki sam bez względu na to, kto przyjmowałby poród, nie chciała uwierzyć. Nigdy mu nie wybaczyła. Lecz on również nigdy tego sobie nie wybaczył. Porzucił praktykę. Tego ponurego poranka zgasła cała jego zawodowa pasja. Nawiedzały go obrazy dziecięcej twarzy; parna duchota pokoju, przeraźliwy lament Constance, która nie chciała wypuścić z ramion martwego dziecka.

A teraz siedziała w altanie, wyciągała do niego dłoń z szampanem i prosiła go o rozmowę.

– Dziękuję – odparł, przyjmując kieliszek, i pociągnął większy łyk, niż uczyniłby to w innych okolicznościach.

Alkohol był zimny i mocno musujący; Daffyd nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zaschło mu w gardle, jak ogromnie się denerwował zadaniem, które go czekało. Constance obserwowała go z dziwnym wyrazem twarzy, jakby zaskoczona jego nieokrzesanym pragnieniem.

Po chwili jednak się uśmiechnęła.

– Zawsze uwielbiałam noce świętojańskie. Powietrze aż tętni od wszystkiego, co się może zdarzyć, nie sądzisz?

– Obawiam się, że dla mnie to za duży tłum.

– Może na przyjęciu, lecz ja mówię ogólnie. O idei odrodzenia, nowego początku.

W jej zachowaniu było coś niepokojącego. Uprzytomnił sobie, że kobieta denerwuje się tak samo

jak on. Wziął kolejny łyk szampana.

– Ty najlepiej wiesz, co to znaczy zaczynać od nowa, prawda, Daffydzie? Przeszedłeś transformację, dostałeś drugą szansę.

– Miałem szczęście.

– Henri był taki dumny z twoich literackich sukcesów. Eleanor również, ona wielbi ziemię, po której stąpasz.

– Ja też ją zawsze ogromnie ceniłem.

– O tak, wiem. Okropnie ją zepsułeś. Te historie, które pisałeś... i napisałeś o niej książkę. – Roześmiała się lekko, lecz po chwili spoważniała. – Zestarzałam się, Daffydzie. Coraz częściej myślę o przeszłości. O utraconych szansach, o ludziach.

– Wszystkich nas to spotyka.

– Zamierzałam ci pogratulować zaszczytu, którym cię ostatnio uhonorowano, królewskiego orderu. Domyślałam się, że zostaniesz przyjęty w pałacu?

– Przypuszczam, że tak.

– Poznasz króla. Wspominałam ci kiedyś, że w młodości prawie dostąpiłam tego zaszczytu? Niestety, zachorowałam i zastąpiła mnie moja siostra Vera. Oczywiście na takie wypadki nie ma rady. Życie pełne jest niespodziewanych zmian i zwrotów. Choćby twój zadziwiający sukces: róże wyrosłe z popiołów.

– Constance...

– Daffydzie. – Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. – Uznałam, że nadszedł czas, aby zostawić za sobą przeszłość. Mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz.

– Ja..

– Człowiek nie może przez całe życie chować urazy. Nadchodzi czas, kiedy trzeba działać, zamiast tylko biernie czekać.

– Constance...

– Nie, nie, pozwól mi skończyć, proszę. Wiele razy wyobrażałam sobie tę rozmowę. Muszę powiedzieć to, co sobie postanowiłam.

Skinął głową, a ona uśmiechnęła się przelotnie z wdzięcznością, po czym uniosła kieliszek. Dłoń jej lekko drżała; nie wiedział, czy to z emocji, czy wskutek podeszłego wieku.

– Chciałabym wznieść toast. Za działanie. Za lekarstwo. Za odrodzenie.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Daffyd wysączył resztkę szampana. Grał na zwłokę, czuł się oszołomiony. To, co zrobiła Constance, było tak niespodziewane, że wahał się, co powiedzieć. Spiętrzyły się w nim kumulowane przez lata pokłady wyrzutów sumienia i żalu, oczy mu zasłyły mgłą. Razem z trudnym i niepokojącym obowiązkiem, który spadł na niego tej nocy, przerosło to jego wytrzymałość.

Na jego twarzy musiał się uwidocznic wewnętrzny zamęt, bo Constance przyglądała mu się uważnie, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu. Może dlatego, że czuł na sobie jej badawcze spojrzenie, zachwiał się na nogach. Zrobiło mu się nagle gorąco. Ależ panował upał. Obecność tylu ludzi powodowała zamęt. I muzyka grała za głośno. Wypił ostatnie krople szampana.

– Daffydzie? – Constance zmarszczyła czoło. – Zbladłeś.

Podniósł dłoń do czoła, jakby próbował w ten sposób utrzymać równowagę. Zamrugnął, żeby skupić wzrok, żeby się pozbyć rozmazanych aureoli otaczających ludzi i przedmioty.

– Przynieść ci wody? Może potrzebujesz świeżego powietrza?

– Powietrza – wychrypiął przez zaschnięte gardło. – Tak, proszę.

Dookoła pełno było ludzi, twarzy, głosów i wszystko się rozplątywało. Ucieszył się, że może się przytrzymać jej ramienia. Nie wyobrażał sobie nigdy, że może się znaleźć w sytuacji, gdy Constance będzie go podtrzymywać, aby zaczerpnął świeżego powietrza. Lecz miał uczucie, że bez jej pomocy chybaby upadł.

Minęli roześmiane towarzystwo; wydawało mu się, że w oddali zauważył Alice. Próbował coś powiedzieć, wyjaśnić Constance, że nie może się zanadto oddalać, że ma tu ważną sprawę, której musi dopilnować, lecz język odmówił mu posłuszeństwa i nie mógł wyartykułować ani słowa. Jeszcze jest czas. Eleanor powiedziała, że spotkają się dopiero po północy. Zrobi to, co obiecał, musi tylko odetchnąć świeżym, chłodnym powietrzem.

Poszli ścieżką na drugą stronę żywopłotu, aż odgłosy tłumu ścichły i wydawały się bardzo dalekie. Serce mu łomotało. To nie była zgaga ani jego zwykły niepokój; czuł w uszach rozgorączkowane tętno. Oczywiście, to były wyrzuty sumienia, wspomnienia tego okropnego poranka sprzed wielu lat, porażki i skruchy, że nie zdołał uratować maleństwa. I pomyśleć, że to Constance postanowiła pierwsza wyciągnąć dłoń. Poczł, że ma ochotę się rozpłakać.

Kręciło mu się w głowie. Głosy, kakofonia dalekich głosów, lecz jeden przebił się przez całą resztę i powiedział mu prosto do ucha:

– Poczekaj tu. Odpocznij chwilę, a ja ci przyniosę wody.

Zrobiło mu się nagle bardzo zimno. Rozejrzał się. Osoba, która to powiedziała, znikła. Został sam. Gdzie ona się podziała? Kto się podział? Ktoś mu towarzyszył. Czy tylko mu się zdawało? Był zmęczony, tak bardzo zmęczony.

Wirowało mu w głowie od dźwięków – ryb trzepoczących ogonami w ciemnych stawach, tajemniczych odgłosów kapania w głębi lasu.

Zauważył chatę nad rzeką. Za dużo ludzi tam się kręciło, śmiali się, piszczeli i wygłupiali się w łódkach z lampionami. Potrzebował samotności, musiał odetchnąć, wziąć się w garść.

Pójdzie tylko kawałek dalej w przeciwnym kierunku. Wzdłuż strumienia. To było zawsze jedno z jego ulubionych miejsc. Tyle pięknych dni spędzili tu razem z Henrim, tyle długich słonecznych dni, a potem razem z małą Eleanor, która biegała wokół nich w podskokach, a oni zachwycali się jej bystrością. Daffyd nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Henriego, kiedy patrzył na córkę – wyrazu bezgranicznego uwielbienia. Wiele razy próbował oddać w rysunku ten wyraz twarzy, lecz nigdy nie udało mu się go uchwycić na papierze.

Potknął się, zatoczył, potem wyprostował. Miał dziwne uczucie w nogach, wydawały się obluźowane, jakby wszystkie ścięgna i więzadła zamieniły mu się w gumę. Postanowił usiąść. Tylko na chwilę. Zaczął grzebać w kieszeni, znalazł tabletki na zgagę, wrzucił do ust i przełknął.

Ziemia była chłodna i wilgotna; oparł się plecami o gruby, mocny pień. Zamknął oczy. Krew tętniła mu w żyłach niczym rzeka płynąca po deszczu, szybko i rytmicznie, a on był łódką porwaną przez prąd, podskakującą na powierzchni, miotaną na boki, obracaną wokół osi.

Zobaczył twarz Henriego. Takie szlachetne, dobroduszne oblicze. Eleanor miała rację: czasem możemy kochać tylko z daleka. I z pewnością lepsze to, niż nie kochać w ogóle.

Och, ale to takie trudne.

Woda w strumieniu uderzała o brzeg, a on oddychał coraz wolniej i w końcu stopił się z jej rytmem. Musi się spotkać z Alice, obiecał to Eleanor. Zaraz pójdzie. Jeszcze tylko kilka minut, ziemia jest taka twarda i chłodna, drzewa takie wierne, wiatr delikatny na jego policzkach. I twarz Henriego w jego wspomnieniu, starego druha. Wzywał go, kiwał na niego ręką. Zaraz pójdzie...



Alice spoglądała właśnie na zegarek, kiedy prawie wpadła na babcię. Constance szła szybko, wyjątkowo czymś podniecona.

– Wody – powiedziała na widok Alice. Była czerwona, oczy jej błyszczały. – Potrzebuję wody.

W innych okolicznościach to niezwykle ożywienie babci wzbudziłoby zainteresowanie Alice, lecz

nie tego wieczoru. Zawalił się jej świat i za bardzo pochłaniały ją własne nieszczęścia i wstyd, żeby zastanawiała się nad osobliwym zachowaniem innych. Tylko z głębokiego poczucia obowiązku przyszła się spotkać z panem Llewellynem. Niechętnie wracała myślami do ich porannej rozmowy. Tak bardzo chciała się go pozbyć, zaabsorbowana własną dumą z powodu ukończenia powieści i podniecona czekającym ją spotkaniem z Benem. A wszystko okazało się taką okropną pomyłką.

Boże, miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu! Usiadła na krześle w altance i nieszczęśliwa, podciągnęła kolana pod brodę. Nie chciała przychodzić na przyjęcie, wolałaby usiąść gdzieś w ukryciu i lizać swoje rany, ale mama nalegała.

– Nie możesz przez cały wieczór siedzieć w domu i się dąsać – powiedziała. – Masz włożyć najładniejszą suknię i dołączyć do reszty rodziny. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło i czemu wybrałaś sobie na dąsy akurat dzisiejszy wieczór, ale nie będę tego tolerować. Za dużo przygotowań kosztowało wszystkich to przyjęcie, żebym ci pozwoliła je zepsuć swoimi humorami.

I tak Alice siedziała pogrążona w bezmiarze cierpienia. Najchętniej spędziłaby cały wieczór pod kołdrą w swoim pokoju, usiłując zapomnieć, jaką zrobiła z siebie idiotkę, jaką głupią gęś! Wszystko przez pana Llewellyna. Kiedy w końcu udało jej się go pozbyć, zostało jej za mało czasu, żeby pokazać Benowi manuskrypt, bo pan Harris i jego syn mogli lada chwila wrócić. Postanowiła więc zanieść po południu manuskrypt prosto do chaty nad rzeką. Dzięki temu będą mogli wreszcie zostać tylko we dwoje.

Na samo wspomnienie zapiekły ją policzki. Wbiegała po dwa stopnie naraz, żeby zapukać do drzwi, taka pewna siebie, taka podniecona. Uczesła się starannie, wybrała odpowiednie ubranie. Po cichu spryskała się nawet wodą kolońską mamy, na dekolcie pod guzikami i po wewnętrznej stronie nadgarstków, tak jak to robiła Deborah.

– Alice – powiedział Ben, kiedy ją zobaczył i uśmiechnął się (zmieszany – teraz to rozumiała; wtedy sądziła, że jest tak samo zdenerwowany jak ona. Znowu poczuła piekący wstyd!). – Nie spodziewałem się nikogo.

Otworzył drzwi i weszła do środka, z przyjemnością wachając roztaczający się wokół niej aromat perfum. W chacie było bardzo przytulnie, miejsca wystarczało tylko na łóżko i małą kuchenkę. Alice nigdy dotąd nie była w męskiej sypialni i z trudem się powstrzymywała, żeby nie wytrzeszczać oczu jak niemądry dzieciak na kołdrę z patchworku, rzuconą niedbale na brzegu materaca.

Na wierzchu leżał prezent w małym kwadratowym pudełku, zawiązany zwyczajnym sznurkiem, lecz bardzo ładnie i starannie, oraz liścik złożony w papierowe zwierzątko.

– Czy to dla mnie? – spytała, przypominając sobie, że podobno on również coś dla niej miał. Powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Tak. To nic wielkiego, drobny upominek na zachętę dla młodej pisarki. O mało nie pękła z radości.

– A skoro o tym mowa... – Zaczęła mu z podnieceniem opowiadać, że właśnie skończyła swoją powieść. – Świeżutko spod prasy. – Wcisnęła mu do ręki specjalnie przygotowany egzemplarz. – Chciałam, żebyś był pierwszą osobą, która to przeczyta.

Ucieszył się; od szerokiego uśmiechu zrobił mu się dołeczek na lewym policzku.

– Ależ to niesamowite, Alice! Wspaniałe osiągnięcie! Jestem przekonany, że to pierwsza książka z wielu, jakie napiszesz. Zapamiętaj moje słowa.

Czuła się taka dorosła, pławiąc się w jego pochwałach.

Obiecał, że ją przeczyta, i na chwilę Alice wstrzymała oddech, czekając, aż Ben zajrzy do środka i zobaczy dedykację, lecz on odłożył manuskrypt na stół. Obok stała butelka lemoniady i Alice poczuła się nagle okropnie spragniona.

– Boże, wszystko bym oddała za łyk picia – powiedziała zalotnie.

– Nie ma potrzeby do takich poświęceń. – Nalał jej napój do szklanki. – Chętnie się z tobą podzielę. Kiedy nie patrzył, odpięła najwyższy guzik bluzki. Podał jej szklankę i ich palce się zetknęły. Jakby

prąd przeszedł przez jej ciało.

Upiła łyk, nie odrywając od niego oczu. Lemoniada była słodka i zimna. Alice delikatnie oblizwała wargi. To był ten moment. Teraz albo nigdy. Szybkim ruchem odstawiła szklanę, podeszła do niego, ujęła jego twarz w dłonie i zbliżyła usta, aby go pocałować, tak jak marzyła o tym dziesiątki razy.

Przez chwilę było tak oszałamiająco! Wdychała jego piżmowy męski zapach, z ledwo wyczuwalną nutą potu. Jego wargi były miękkie i ciepłe; miała wrażenie, że za chwilę zemdleje – wiedziała zawsze, że tak będzie, zawsze to wiedziała...

Lecz nagle rozpalający się ogień przygasił. Ben się odsunął. Spojrzał jej w oczy.

– Co się stało? – spytała. – Zrobiłam coś złego?

– Och, Alice. – Na jego twarzy troska walczyła z zaskoczeniem. – Alice, przepraszam cię. Byłem głupcem. Nie miałem pojęcia...

– O czym ty mówisz?

– Sądziłem... Nie przypuszczałem...

Uśmiechnął się łagodnie i smutno i Alice zrozumiała, że to litość, że patrzy na nią ze współczuciem. Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. On nigdy nie czuł tego samego co ona. Nigdy.

Coś jeszcze mówił, łagodnie, z powagą, ze zmarszczonym czołem; jego oczy patrzyły na nią dobrotliwie, lecz w jej uszach wszystko zagłuszał przejmujący, bezlitosny wstyd. Od czasu do czasu jego przeraźliwy dźwięk cichł i przebijały się przezeń oderwane, banalne słowa:

– Jesteś wspaniałą dziewczyną... inteligentną... bystrą pisarką... przed tobą wspaniała przeszłość... poznasz kogoś innego...

Czuła w ustach pustynię, kręciło jej się w głowie, nie miała tu już nic do roboty, w tym miejscu, gdzie tak się zhańbiła, gdzie jedyny mężczyzna, którego pokochała, patrzył na nią ze współczuciem i przemawiał przeproszającym tonem, jakiego używają dorośli, kiedy tłumaczą coś zagubionemu dziecku.

Z całą godnością, na jaką ją było stać, dokończyła lemoniadę, wzięła swój manuskrypt z tą okropną dedykacją i ruszyła w stronę drzwi.

Wtedy zauważyła walizkę. Później jej się to przypomniało i pomyślała, że coś z nią jest nie w porządku, skoro nawet w chwili, gdy złamano jej serce, pozostała w niej jakaś część, która trzymała się z boku tego uczuciowego zamętu i robiła notatki. Jeszcze później, kiedy poznała Grahama Greene'a, zrozumiała, że to tylko okruch lodu, który noszą w sercu wszyscy pisarze.

Walizka stała otwarta pod ścianą, pełna równo poskładanych ubrań. Ben się pakował.

– Wyjeżdżasz – powiedziała, nie odwracając się.

– Tak.

– Dlaczego?

Och, nieznośna próżności... Nawet teraz poczuła nowy przypływ nadziei, że może jednak ją kocha, że może to miłość zmusza go do wyjazdu, szacunek dla jej młodości oraz lojalność wobec rodziny, która go zatrudnia.

Ale nie.

– Najwyższa pora – odrzekł. – Wręcz za późno. Mój kontrakt wygasł dwa tygodnie temu. Zostałem dłużej tylko po to, żeby pomóc w przygotowaniach do przyjęcia.

– Dokąd wyjedziesz?

– Jeszcze nie wiem.

Był cyganem, naturalnie, włóczęgą. Nigdy nie mówił o sobie inaczej, jak w ten właśnie sposób. A teraz wyjeżdżał. Porzucał jej świat z lekkim sercem, tak samo, jak w niego wkroczył. Uderzyła ją nagle ta myśl. Odwróciła się.

– Jest ktoś inny, prawda?

Nie odpowiedział. Ale nie musiał. Zobaczyła w jego skruszonym spojrzeniu, że odgadła.

Skinęła lekko głową i oszołomiona, nie patrząc więcej w jego stronę, wyszła z chaty. Z uniesioną

głową, wzrokiem wbitym przed siebie w jeden punkt szła powoli, stawiając krok za krokiem.

– Alice, twój prezent! – zawołał za nią, ale nie zawróciła.

Dopiero kiedy minęła zakręt na ścieżce, przycisnęła manuskrypt do piersi i pobiegła w stronę domu tak szybko, jak pozwalały jej na to oczy mokre od łez.

Jak to możliwe, że tak się pomyliła? Siedząc na ogrodowej ławce w altance, podczas gdy wokół niej wrzały świętojańskie uroczystości, nadal nie mogła tego pojąć. Jej umysł rozwijał w pamięci nić ich wspólnych spotkań, rozmów. Zawsze tak się cieszył na jej widok, tak uważnie słuchał, kiedy opowiadała o tym, co pisze, o swojej rodzinie, sugerował nawet różne rzeczy, kiedy narzekała na mamę, na ich nieporozumienia, próbował łagodzić rozdzwięki między nimi. Alice nigdy nie spotkała kogoś, kto by wykazywał tyle troski i zainteresowania, kto by ją tak rozumiał.

To prawda, że nigdy, ani razu, jej nie dotknął, w każdym razie nie tak, jak by tego pragnęła, zastanawiała się nawet nad tym, co Deborah opowiadała o młodych mężczyznach i ich pożądlivych, lubieżnych umizgach, lecz doszła do wniosku, że Ben jest po prostu zbyt wielkim dżentelmenem, żeby się tak zachować. Na tym polegał problem. Za dużo wysnuwała wniosków. Przez cały czas widziała tylko to, co chciała dostrzec: swoje własne pragnienia, odzwierciedlone jak w lustrze.

Z rozdzierającym westchnieniem rozejrzała się za panem Llewellynem. Czekala już od piętnastu minut i nigdzie go nie widziała. Powinna już iść. Zmusiła się, żeby się tu przywlec, a on nie raczył nawet dotrzymać umowy. Pewnie zapomniał, że byli umówieni, albo znalazł ciekawsze towarzystwo. Niechby tu przyszedł i jej nie zastał, dostałby zasłużoną nauczkę.

Lecz dokąd właściwie miałyby pójść? Pływać gondolami? Za blisko chaty na łodzie. Jej stopa tam więcej nie postanie. Do domu? Wszędzie kręcili się służący i szpiegowali dla mamy, od razu by jej donieśli, że córka nie posłuchała poleceń. Na parkiet do tańca? Też coś! Chyba nic na świecie nie napawało jej teraz takim wstrętem jak przytupywanie i wywijanie hołubców razem z tymi głupcami. Poza tym z kim niby miałyby tańczyć?

Przerażająca prawda była taka, że nie miała nic lepszego do roboty i nikogo innego, z kim mogłaby coś robić. Nic dziwnego, że Ben jej nie kochał. Nie zasługiwała na miłość. Zostało dziesięć minut do północy, wkrótce się zaczyna fajerwerki, a Alice została całkiem sama – beznadziejna, bez przyjaciół, bez przyszłości.

Ujrzała wtedy samą siebie jakby z góry – samotną, tragiczną postać wystrojoną w najlepsze fatałaszkę, siedzącą w kucki, skuloną dziewczynę, której nikt nie rozumie.

Wyglądała jak ktoś, kto przyjechał znikąd i siedzi na nabrzeżu po długiej morskiej podróży. Coś w zaokrąglonym kształcie jej ramion, w pochyleniu głowy, w długiej, prostej szyi wskazywało młodą kobietą, która doznała wielkiej straty. Zginęła cała jej rodzina (Jak? Tragicznie, w okropnych okolicznościach, szczegóły nie miały teraz znaczenia), a ona z niezłomną, płomienną determinacją wyznaczyła sobie zadanie, aby pomścić ich śmierć. Prostowała się, w miarę jak zaczęło w niej kiełkować ziarno pomysłu na fabułę. Sięgnęła powoli do kieszeni i pogładziła swój notes. Myśl... Myśl...

Dziewczyna nie ma na świecie nikogo, została opuszczona i zapomniana przez wszystkich, którym ufała, lecz poprzysięgła sobie w duszy, że zwycięży. Już Alice o to zadba! Wstała żywo. Zaczęła szybciej oddychać, zawirowało jej lekko w głowie od mieniących się, splątanych wątków. Musi pomyśleć, usnąć intrygę.

Las! Pójdzie do lasu. Z dala od przyjęcia, z dala od tego tłumu rozbawionych głupców. Skoncentruje się na zaplanowaniu następnej powieści. Nie potrzebuje Bena ani pana Llewellyna, ani nikogo innego. Nazywa się Alice Edevane i jest powieściopisarką.

Zgodnie z planem, mieli się spotkać w lesie pięć minut po północy. Dopiero kiedy go zobaczyła czekającego dokładnie tak, jak obiecał, uprzytomniła sobie, że przez cały wieczór wstrzymywała oddech, bojąc się, że coś się nie uda.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór.

Zabrzmiało to dziwnie oficjalnie. Tylko tak mogli przetrwać i doprowadzić do końca to okropne zadanie, które ich czekało. Nie objęli się, musnęli się tylko ramionami, łokciami, nadgarstkami w jakiejś niezręcznej imitacji uczucia i swobody, do której oboje przywykli. Tej nocy wszystko wydawało się inne.

– Nie miałaś kłopotów? – spytał.

– Na schodach spotkałam pokojówkę, ale była zabiegana, zbierała kieliszki do szampana, żeby je przygotować na toast o północy. Nie zwróciła na mnie uwagi.

– To może nawet dobrze. Widziano cię na miejscu zbrodni dużo przed czasem. To się wyda mniej podejrzane.

Eleanor aż się wzdrygnęła na te dosadne określenia. *Na miejscu zbrodni. Mniej podejrzane.* Jak do tego doszło? Poczła się nagle zagubiona, ogarnęła ją panika, przestraszyła się, że ją sparaliżuje. Przyjęcie, las, świat rozmazywał się jej przed oczami. Znikła chata nad rzeką, oświetlona lampionami, znikli roześmiani flirtujący goście w jedwabiach i satynach, znikło jezioro, dom i orkiestra, został tylko ich plan, który wcześniej wydawał się taki rozsądny, taki logiczny.

Za nimi w niebo wystrzelił ze świstem fajerwerk i wysoko w górze eksplodowała peonia czerwonych iskier, która po chwili opadła do jeziora. To był sygnał do działania. Fajerwerki miały trwać trzydzieści minut. Eleanor poleciła pirotechnikowi przygotować pokaz, któremu nikt się nie oprze, pozwoliła również służbie cieszyć się widowiskiem do woli. Daffyd absorbował uwagę Alice.

– Musimy działać – powiedziała. – Mamy mało czasu. W końcu ktoś mnie zacznie szukać.

Jej wzrok przyzwyczaił się do mroku panującego w lesie, widziała wyraźnie twarz Bena. Wyczytała na niej żal i opór; patrzył na nią badawczo ciemnymi oczami, szukając w jej oczach śladów wahania. Mogła mu je pokazać. Powiedzieć: „Chyba popełniłam błąd” albo „Zastanówmy się nad tym jeszcze” i wycofać się, rozejść w różnych kierunkach. Lecz jej postanowienie było niezachwiane, ruszyła w stronę wjazdu, który prowadził do tunelu.

Może za nią nie pójdzie, pomyślała z nadzieją. Wróci wtedy do domu, pozostawi swoje śpiące dziecko w łóżeczku i dołączy do przyjęcia jak gdyby nigdy nic. Zbudzi się jutro rano, a kiedy znowu zobaczy Bena, oboje pokręcą z niedowierzaniem głowami, zdumieni obłędem, który ich ogarnął, o mało co niepopelnionym szaleństwem, jakimś czarodziejskim urokiem, jakiemu się poddali. *Folie à deux*, powiedzieliby. „Zespołowy obłąd”.

Lecz gdy tylko to pomyślała, gdy tylko się nieco rozchmurzyła i poczuła podniesiona na duchu, zrozumiała, że to niczego nie rozwiąże. Stan Anthony’ego się pogorszył. Jej synkowi groziło niebezpieczeństwo. A teraz sprawy przyjęły nowy, katastrofalny obrót, ponieważ Deborah i Clemmie dowiedziały się o jej zdradzie. Na samą myśl o tym miała ochotę zamienić się w pyłek kurzu i odlecieć. Co było przejawem słabości oraz formą ucieczki i podsycalo tylko jej nienawiść do samej siebie. Nie, ten przerażający, niewyobrażalny plan był jedynym sposobem, by zapobiec katastrofie. Co więcej, zasłużyła sobie na to.

Szła dalej przed siebie. Zauważyła, a może usłyszała, że coś się poruszyło w mroku. Czy ktoś tam był? Czy ktoś ich zauważył?

Wstrzymując oddech, próbowała przebić wzrokiem ciemność, ale niczego nie zauważyła.

Musiało jej się przywidzieć. Pewnie wyobraźnia płata jej figle, to przez nieczyste sumienie.

Mimo to lepiej za długo tu nie zwlekać.

– Szybko – szepnęła. – Zejdź za mną po drabinie. Musimy się spieszyć.

Zeszła na dół i odsunęła się, żeby zrobić Benowi miejsce w wąskim tunelu. Zamknął za sobą kłapę

i w środku zrobiło się ciemniej niż w najciemniejszą noc w środku lasu. Eleanor zapaliła latarkę, którą tu wcześniej przyniosła, i poprowadziła go w stronę domu. W tunelu pachniało stęchlizną, wilgotną ziemią i tysiącem dziecięcych przygód. Zapragnęła znów stać się małą dziewczynką, wolną od trosk poza tą, jak wypełnić sobie długi słoneczny dzień. Szloch dławił ją w gardle. Potrząsnęła głową w obawie, że wybuchnie płaczem, i zła, że tak się nad sobą rozczuła. Musi być teraz silna. Czeka ją dużo trudniejsze dni. Jutro rano ktoś odkryje, co się stało, rozpoczną się poszukiwania, przyjedzie policja. Będą ich przesłuchiwać, prowadzić śledztwo, będzie musiała odegrać swoją odrażającą rolę. A Ben wyjedzie.

Słyszała za plecami jego kroki i wróciła do niej przelotna bolesna świadomość, że jego również utraci. Że za kilka minut Ben odwróci się i odejdzie i nigdy więcej go nie zobaczy... Zaciśnęła zęby i skoncentrowała się na zadaniu, które ją czekało. Na stawianiu kolejnych kroków. Zatrzymała się przed kamiennymi schodami prowadzącymi do budynku. Oświetliła latarką drzwi i wzięła głęboki oddech. Powietrze w korytarzu było gęste, nieruchome, przesycone zapachem ziemi, w smudze światła unosiły się pyłki kurzu. Kiedy przejdą przez drzwi, nie będzie już powrotu. Wzięła się w garść i ruszyła po schodach. Nagle Ben chwycił ją za nadgarstek. Odwróciła się zaskoczona.

– Eleanor...

– Nie – powiedziała, a jej głos w tym wąskim korytarzu z surowej cegły zabrzmiał niespodziewanie głucho i beznamiętnie. – Nie rób tego, Ben.

– Serce mi pęka na myśl o tym, że mamy się pożegnać.

– Więc tego nie róbmy.

Zobaczyła w świetle latarki, jak twarz mu się rozjaśnia. Źle ją zrozumiał, sądził, że sugeruje, aby nie wyjeżdżał.

– Rozstańmy się bez pożegnania. Po prostu zróbmy to, co zaplanowaliśmy.

– Musi być inne wyjście.

– Nie ma.

Nie było. Gdyby było, Eleanor by je znalazła. Rozmyślała nad tym tak długo, że dziwiła się, jak to możliwe, że jej mózg jeszcze nie krwawi z wysiłku. Wtajemniczyła pana Llewellyna, lecz on również nie potrafił znaleźć innego rozwiązania. Nie było sposobu, by wszystkich zadowolić. To było najlepsze, co zdołała wymyślić, plan, w którym ona weźmie na siebie największy ciężar. Theo będzie początkowo zdezorientowany i – Boże, miej ją w swojej opiece – nieszczęśliwy, ale jest malutki i z czasem zapomni. Wierzyła Benowi, kiedy mówił, że ją kocha, że nie chce bez niej żyć, lecz on był cyganem, miał we krwi ciągłe podróże; prędzej czy później ruszyłby w dalszą drogę. Nie, ona musi zostać, przecierpi najwięcej, będzie tęsknić za obydwoma, jak księżyc tęskni za słońcem, i nigdy nie przestanie się zastanawiać...

Nie wolno ci o tym myśleć, nakazała sobie. Wykrzesła z siebie resztkę silnej woli, cofnęła dłoń i ruszyła dalej po schodach. Musi się skupić na tym, aby ich plan się powiódł. Czy dodatkowy łyk whisky sprawi, że niania Bruen zaśnie kamiennym snem? Czy pan Llewellyn przez cały czas zajmuje uwagę Alice, która może im sprawiać najwięcej kłopotów?

Na szczycie schodów spojrzała przez ukrytą dziurkę w drzwiach. Oczy zaszyły jej mgłą, zamrugła ze złością. Korytarz był pusty. Z oddali dobiegały wystrzały fajerwerków. Spojrzała na zegarek, zostało dziesięć minut do końca pokazu. Wystarczy.

Czuła w dłoni twardą, zimną powierzchnię klamki. Była taka prawdziwa. Wiedziała, że ten moment się zbliża, lecz nie chciała go sobie wcześniej wyobrażać, koncentrowała się na kolejnych etapach zadania, nie zastanawiała się, co poczuje, kiedy stanie na tym progu.

– Powiedz mi jeszcze raz, co to za ludzie – poprosiła łagodnie.

W jego ciepłym głosie zabrzmiał smutek i, co najgorsze, rezygnacja.

– Najlepsi, jakich można sobie wyobrazić – odparł. – Umieją ciężko pracować, są lojalni i weseli. W ich domu zawsze pachnie dobrym jedzeniem i choć może brakować wielu rzeczy, to nigdy nie brakuje miłości.

Gdzie to jest? – miała ochotę spytać. Dokąd go zabierasz? Ale kazała mu obiecać, że jej nigdy nie powie. Nie ufała sobie. Ich plan powiedzie się tylko pod warunkiem, że ona nie dowie się, gdzie znaleźć Thea.

Ben położył jej dłoń na ramieniu.

– Kocham cię, Eleanor.

Zamknęła oczy, przyłożyła czoło do twardych drewnianych drzwi. Wiedziała, że pragnie usłyszeć to samo od niej, lecz gdyby to zrobiła, okazałoby się to zgubne w skutkach.

Skinęła tylko głową i otworzyła zasuwę, po czym wślizgnęła się do pustego korytarza. Znad jeziora nadal dochodziły odgłosy fajerwerków, które rzucały przez okna czerwone, niebieskie i zielone światła padające na dywan. Eleanor przygotowywała się na wejście do pokoju dziecięcego.



Theo obudził się nagle. Było ciemno i jego niania chrapała głośno na łóżku we wnęce. Coś łomotnęło głucho, a przez cienkie zasłony przebijało się zielone światło. Gdzieś daleko na dworze rozlegały się też inne dźwięki, odgłosy wesołych ludzi. Jego obudziło jednak coś innego. Ssał kciuk, nasłuchując, koncentrując się, aż wreszcie się uśmiechnął.

Wiedział, że to mamusia, zanim jeszcze podeszła do łóżeczka. Wzięła go na ręce i Theo oparł główkę pod jej brodą. Przemawiała do niego pieszczotliwie, a wtedy on wyciągnął rączkę, żeby pogłaskać ją po buzi. Westchnął z zadowoleniem. Kochał mamusię najbardziej na świecie. Jego siostrzyczki były zabawniejsze, a tatuś potrafił go wyżej podrzucać, ale w zapachu mamy, w dźwięku jej głosu w dotyku jej palców, które tak delikatnie gładziły go po buzi, było coś naprawdę wyjątkowego.

Nagle rozległ się inny dźwięk, ktoś inny wszedł do pokoju. Theo uniósł głowę i w ciemności za plecami mamy zauważył zbliżającego się mężczyznę, a po chwili rozpoznał Bena z ogrodu. Lubił Bena, nawet bardzo. Robił różne zwierzątka z papieru i opowiadał historie, które kończyły się łaskotaniem.

Mamusia szeptała mu coś do ucha, ale Theo nie słuchał. Był zajęty zabawą w „a kuku”, którą próbował przyciągnąć uwagę Bena. Mama trzymała go mocniej niż zwykle i Theo zaczął się wiercić. Pocałowała go kilka razy w policzek, lecz on się odsunął. Próbował sprowokować Bena do uśmiechu. Nie chciał się przytulać, tylko bawić. Kiedy Ben wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać po policzku, Theo zaśmiał się, nie wyjmując z buzi paluszka.

Potem Ben podeszedł bliżej i podniósł dłoń, żeby dotknąć policzka mamusi. Zamknęła oczy i przytuliła się do niego.

– Ja też cię kocham – powiedziała.

Theo zajrzał między ich twarze. Stali oboje bez ruchu, żadne się nie odzywało, próbował odgadnąć, co będzie dalej. Kiedy mamusia przekazała go Benowi, Theo się zdziwił, ale nie zmartwił.

– Już czas – szepnęła.

Theo spojrział na duży zegar wiszący na ścianie. Nie był pewien, co to znaczy, ale wiedział, że czas płynie stamtąd.

Gdy wyszli z pokoiku, zastanawiał się, dokąd idą. Zwykle nie robili tego w nocy. Ssał kciuk, obserwował i czekał, co się wydarzy. Na korytarzu były drzwi, których nigdy przedtem nie zauważył, lecz teraz mama je otworzyła i przytrzymała. Ben zatrzymał się i wyszeptał jej coś do ucha, lecz Theo nie słyszał słów. Zaczął naśladować szeleszczące dźwięki: „szu, szu, szu” i uśmiechnął się zadowolony. Potem Ben wszedł z nim do korytarza i drzwi zamknęły się za nimi cicho.

Zrobiło się ciemno. Ben włączył latarkę i ruszył w dół po schodach. Theo rozglądał się za mamusią, ale nigdzie jej nie było. Może się chowała? Czy to jakaś nowa zabawa? Rozglądał się z nadzieją nad ramieniem Bena, aż mama wyskoczy, uśmiechnie się i zawoła: „A kuku!”. Ale nie wyskoczyła. Czekał

i czekał, i nic.

Zadrżała mu dolna warga, miał ochotę się rozpłakać, ale Ben coś do niego mówił i słysząc jego głos, Theo czuł się trochę bezpieczniej. Może jednak wszystko jest w porządku, tak jak jego główka pasuje we wgłębienie pod szyją mamy, a skóra jego siostry Clemmie pachnie dokładnie tak samo jak jego. Ziewnął. Był zmęczony. Podniósł Szczeniątko, oparł je na ramieniu Bena i wtulił w nie buzię. Potem wsunął do ust kciuk, zamknął oczy i nasłuchiwał.

Był zadowolony. Głos Bena brzmiał uspokajająco, dźwięczała w nim znajoma nuta w ten tajemniczy sposób, który jest stary jak sam świat.

Kornwalia, 2003

Atramentową ciemność rozpraszały tylko białe snopy latarek prześlizgujących się po ziemi kilka metrów przed nimi. Peter nie był pewny, po co właściwie przyszedł do lasu Loeanneth, zamiast bawić się na festynie. Wolałby siedzieć teraz przy talerzu z zupą rybną, a potem przy glinianym kubku miejscowego miodu pitnego, lecz Alice była równie uparta, jak tajemnicza.

– Zgadza się, że robienie tego po ciemku nie jest idealnym rozwiązaniem, ale muszę to w końcu załatwić.

Aż się prosiło pytanie, czemu wobec tego nie przyszedł tu za dnia.

– Nie chciałam tego robić przy tej policjantce i jej dziadku. To prywatna sprawa.

W jej odpowiedzi słychać było, że mówi prawdę, przynajmniej częściowo. Alice rzeczywiście bardzo rygorystycznie strzegła swojej prywatności. Zastanawiałaby się, po co go ze sobą zabrała, lecz „ekwipunek”, który mu poleciła kupić na tę wycieczkę, świadczył wyraźnie, że zaprosiła go głównie z powodu tężyzny fizycznej. Udało mu się zdobyć wszystko, o co prosiła. Wcale to nie było proste w tak krótkim czasie, ale Peter był dobry w tym, co robił, i nie chciał jej sprawić zawodu.

Zadanie to było najwyraźniej dla Alice bardzo ważne, o czym najlepiej świadczył fakt, że zadzwoniła do niego w piątek późnym wieczorem i oznajmiła, że przemyślała jego propozycję i pojedzie z nim do Kornwalii. Była bardzo podniecona, wręcz gadatliwa, i Peterowi przemknęło przez myśl, że po jego wyjściu nie żałowała sobie ginu.

– Obiecuję, że nie będę się wtrącać w czasie podróży – zapewniła.

Po czym oznajmiła, że czeka na niego nazajutrz o piątej rano.

– Najlepiej byłoby zdążyć przed porannymi korkami, nie sądzisz? – dodała. – Aha, i... Peter?

– Słucham, Alice?

– Czy udałoby ci się zdobyć szpadel i dobre rękawice ogrodowe? Muszę zrobić jedną rzecz, kiedy będziemy na miejscu.

Przez całą drogę siedziała obok niego z kamienną twarzą, nieobecna myślami, i każdą propozycję, aby się zatrzymali, zjedli coś, napili się lub po prostu rozprostowali nogi i zaczerpnęli powietrza, zbywała niezmiennie kategorycznym „Nie ma potrzeby”. Nie była w nastroju do rozmowy, co Peterowi nawet odpowiadało. Włączył sobie audiobooka z kolejnym rozdziałem *Wielkich nadziei* i podkreślił głos. Przez ostatnie dwa tygodnie był tak zapracowany, że nie miał kiedy dokończyć rozpoczętej powieści; uznał, że podróż będzie doskonałą okazją. Gdy dojeżdżali na miejsce, zaproponował, aby najpierw zameldowali się w hotelu.

– Nie – odparła stanowczo Alice. – To nie wchodzi w grę. Musimy pojechać prosto do Loeanneth.

Wtedy powiedziała mu o kluczu, który ma dla niej zdobyć.

– Na górze jest suszarnia. W podłodze pod półkami rusza się jedna deska. Poznasz ją, bo ma charakterystyczny układ słoików w kształcie głowy łosia. Pod nią znajdziesz mały skórzany woreczek z kluczykiem. Należy do mnie i od dawna mi go brakowało.

– Rozumiem. Obluzowana deska podłogowa, głowa łosia, mały skórzany woreczek.

Jej determinacja nie osłabła nawet po pikniku. Kazała mu zabrać ekwipunek na taczkę, z założeniem, że wyruszą do lasu, gdy tylko skończą lunch, lecz potem dziadek Sadie Sparrow zaproponował, że oprowadzi ją po festynie i Alice przystała na jego ofertę bez chwili wahania. Petera bardzo to zdziwiło,

lecz zauważył, że jego pracodawczyni wyjątkowo polubiła Bertiego. Słuchała uważnie, kiedy mówił, śmiała się z jego żartów i kiwała z ożywieniem głową, słuchając jego opowieści. Było to zachowanie zupełnie do niej niepodobne; nie należała do osób, które szybko zadzierzgują bliskie więzi czy w ogóle jakiegokolwiek więzi.

Bez względu na to, jaka była przyczyna, wrócili do miasta, zameldowali się w hotelu i Alice z przyjemnością pozwoliła się oprowadzić po festynie. Tymczasem Peter przeprosił wszystkich i zniknął. Przez całe popołudnie chodziło mu coś po głowie, drobiazg, który go nurtował w skrytości ducha, i chciał wejść do biblioteki, aby to sprawdzić. Teraz jednak znaleźli się w środku nocy na tej samej ścieżce, którą szli wcześniej, wiodącej wokół jeziora i obok chaty na łodzie. Alice nie zatrzymała się, kiedy doszli nad strumień, tylko pociągnęła go dalej w głąb lasu. Peter szedł z oporami, zastanawiając się, czy powinien ciągnąć osiemdziesięcioletnią kobietę po ciemku, lecz powiedziała, żeby się nie przejmował.

– Znam ten las jak własną kieszeń – uspokoiła go. – Człowiek nie zapomina krajobrazów dzieciństwa.



Nie po raz pierwszy podziękowała Bogu, że Peter nie jest gadułą. Nie miała ochoty na rozmowy i wyjaśnienia ani zabawianie go pogawędką. Szła, wspominając ostatni raz, kiedy przemierzała tę drogę. Nad ich głowami w ciemności przeleciał nocny ptak i do Alice powróciły odgłosy tamtej nocy sprzed siedemdziesięciu lat: rzenie konia, chlupot wody w jeziorze, odgłos przelatujących pokrzewek.

Potknęła się i Peter złapał ją za ramię.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

Dobry był z niego chłopak. Zadawał mało pytań. Robił wszystko, o co go prosiła.

– Już niedaleko – rzuciła.

Szli dalej w milczeniu przez pokrzywy, przez polankę z ukrytym wejściem do tunelu, obok stawu z pstrągami. Czowała dziwne uniesienie. A więc w końcu była w Loanneth, w lesie, właśnie w tej chwili. Tak jak to sobie wyobrażała, siedząc poprzedniego wieczoru w swojej londyńskiej bibliotece, wsłuchując się w tykanie zegara na kominku, kiedy jej tłumiona tęsknota wybuchła płomieniem palącego pragnienia. Nie chodzi o to, że poczuła się znowu młoda, tylko że po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat pozwoliła sobie wspominać młodość. Wspominać siebie jako przestraszoną, zakochaną niemądłą nastolatkę.

W końcu doszli do miejsca, które wybrała sobie wtedy na ten szczególny pochówek, miejsca, do którego przez lata zakotwiczone było jej poczucie winy.

– Nie możemy się teraz zatrzymać – dodała.

Poczuła znajomy zapach grzybni i myszy leśnych i spadła na nią tak silna fala wspomnień, że musiała się przytrzymać ramienia Petera.

– Czy mógłbyś coś dla mnie wykopać? Tym razem dosłownie.

Na szczęście o nic jej nie wypytywał, wyjął szpadel z worka, włożył rękawice i zaczął kopać w miejscu, które wskazała.

Alice świeciła mu latarką. Wstrzymała oddech, przypominając sobie tamtą noc, deszcz, zabłocony rąbek sukienki przyklejający się do butów. Nigdy jej więcej nie włożyła. Po powrocie do domu zwinęła ją i rzuciła w kąt, a przy najbliższej okazji spaliła.

Poszła przez łąkę, mimo że padał deszcz. Mogła skorzystać z tunelu, co nie byłoby łatwe z powodu zacinającego się, zdradliwego zamka, ale jakoś by sobie poradziła. Wolała jednak unikać miejsc, którymi chodził Ben, a była taka pewna, że to on porwał Thea, taka zaślepiona swoją teorią. I sparaliżowana ze

strachu, że ktoś doda dwa do dwóch i odkryje rolę, jaką odegrała w tej sprawie.

– Alice – odezwał się Peter – czy możesz poświęcić tu trochę bliżej?

– Przepraszam – odparła i poprawiła latarkę, która uciekła w bok, kiedy Alice się zamyśliła.

Rozległ się brzęk, szpadel uderzył w coś twardego. Peter ukląkł i wygrzebał z ziemi zawiniątko.

Zdjął i odrzucił na bok resztki woreczka, do którego włożono drogocenną zawartość.

– To pudełko – powiedział, podnosząc na nią rozszerzone ze zdumienia oczy. – Metalowa skrzynka.

– Tak.

Wstał i strzepnął ziemię z pokrywki.

– Mam otworzyć?

– Nie. Zabierzemy je do samochodu.

– Ale...

Na widok wykopanej skrzynki serce Alice zaczęło wariować, lecz udało jej się zapanować nad głosem.

– Nie ma potrzeby jej teraz otwierać. Wiem, co znajdziemy w środku.



Sadie przepychała się przez tłum ludzi. Wzdłuż ulic rozchodzących się od rynku stały rzędy straganów z kolbami kukurydzy, ubraniami, plackami i pasztecikami domowej roboty. Z odwróconych do góry nogami beczek skakały płomienie, a w zatoce na wodzie unosił się ponton z fajerwerkami czekającymi na nocny pokaz. Alice i Peter wynajęli pokoje w hotelu na rogu High Street, w budynku z koszami kwiatów wiszącymi na murze i nadętą właścicielką. Przepychanie się przez tłum zajmowało więcej czasu, niż Sadie przypuszczała. Miała tylko nadzieję, że są w pokoju, a nie na festynie. Bardzo chciała im powiedzieć, czego się dowiedziała na temat śmierci Thea, aby Alice wiedziała, że jej ojciec był niewinny.

Poczuła na nodze wibracje. Wyjęła telefon z kieszeni w chwili, gdy obok niej przeciskało się dziecko z olbrzymią watą cukrową na patyku, spojrzała na wyświetlacz i stwierdziła, że dzwonią do niej z komendy.

– Halo?

– Cześć, Sparrow.

– Donald?

– No, tym razem udało ci się wetknąć kij w gniazdo szerszeni – powiedział.

Sadie stanęła. Krew zaczęła jej tętnić w żyłach.

– Co się stało? Rozmawiali z mężem Maggie? Ze Steve'em?

– Jest w areszcie. Przyznał się do wszystkiego.

– Co? Poczekaj, znajdę jakieś spokojne miejsce.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, ale udało jej się wypatrzeć wnękę w kamiennym murze przystani, gdzie mogła choć trochę ukryć się przed tłumem.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało.

– Ashford ściągnął najpierw jego żonę. Kazał Heatherowi usiąść i zadawać pytania: jak się czuje Caitlyn i tak dalej, wszystko grzecznie i uprzejmie, potem zmienili śpiewkę: czy miała kiedyś dziecko, czy będzie chciała mieć. Okazuje się, że nie może mieć dzieci.

Sadie zasłoniła ręką drugie ucho.

– Naprawdę?

– Próbowwała zajść w ciążę przez rok, aż w końcu poszła zrobić badania.

A więc sytuacja rozwijała się dokładnie tak, jak przewidzieli podczas lunchu w Loanneth,

scenariusz wykorzystany przez Alice w książce o Diggorym Brencie, historia, którą opowiedziała jej przed laty siostra.

– Więc Steve załatwił jej cudze?

– Mniej więcej. Powiedział, że żona była zdruzgotana, kiedy się dowiedziała o bezpłodności. Zawsze chciała mieć córkę, podobno pragnęła tego najbardziej na świecie. Była załamana, a po lekach na niepłodność poszła już całkiem w rozsypkę. Podobno była bliska samobójstwa, a on chciał ją uszczęśliwić.

– Znajdując jej córkę – dopowiedziała Sadie. – Idealne rozwiązanie, gdyby nie cholerny drobiazg, Caitlyn miała już matkę.

– Załamał się w czasie przesłuchania. Przyznał się do zbrodni, wskazał, gdzie znajdziemy jej zwłoki. Wyprawa na ryby, psiakrew! Wysłaliśmy tam nurków. Płakał, zaklinał się, że nie jest złym człowiekiem, że tego nie chciał, nie zamierzał posuwać się tak daleko.

Sadie ponuro zacisnęła usta.

– Powinien był o tym pomyśleć, zanim zmusił Maggie do napisania listu. Zanim ją zabił.

Pieniła się ze złości. Przypomniała sobie, jak skubał styropianowy kubek w czasie przesłuchania, jakie urządził przedstawienie: kochający ojciec, wykorzystywany były mąż, zatroskany i oszołomiony i taki chętny do pomocy w odszukaniu nieodpowiedzialnej uciekinierki, gdy tymczasem doskonale wiedział, co z nią zrobił.

Maggie musiała się spodziewać, co się święci. W którymś momencie domyśliła się i napisała w akcie desperacji *To był on*. Nigdy dotąd czas przeszły tak bardzo nie mroził jej krwi w żyłach. I nie był takim aktem odwagi. Jedynym szczęściem w nieszczęściu całej tej sytuacji był fakt, że Caitlyn nie widziała, co się stało z jej mamą.

– Powiedział, co zrobił z córką, kiedy zabijał Maggie?

– Włączył jej bajkę, *Dora poznaje świat*. Dziewczynka nie ruszyła się sprzed telewizora.

A ponieważ Maggie wiedziała, że Caitlyn jest w domu, nie chciała robić scen, aby córeczka nie stała się świadkiem tego, co się miało zdarzyć. Po raz drugi tego dnia Sadie miała okazję pomyśleć, do czego są zdolni rodzice, aby chronić swoje dziecko.

Głos Donalda w słuchawce zabrzmiał niezręcznie.

– Sparrow, ja...

– Zostawił swoją córkę samą w mieszkaniu na cały tydzień!

– Podobno myślał, że babcia przyjdzie w odwiedziny, że znajdziemy dziewczynkę wcześniej, już podobno sam miał zgłosić...

– Trzeba powiadomić Nancy Bailey.

– Już kogoś wysłali.

– Od początku miała rację.

– Tak.

– Jej córka nie porzuciła swojego dziecka. – Została zamordowana, a oni prawie pozwolili, aby sprawcy uszło to na sucho. Sadie poczuła satysfakcję i ulgę oczyszczenia z zarzutów, ale też ogromny smutek i przygnębienie, ponieważ prysła ostatnia nadzieja, że córka Nancy wróci do domu. – Co się stanie z Caitlyn?

– Na razie zajmują się nią ludzie z opieki społecznej.

– A potem?

– Nie wiem.

– Nancy uwielbia wnuczkę. Opiekowała się nią, kiedy Maggie pracowała. Ma przygotowany pokój dla Caitlyn. Dziecko powinno zostać z rodziną.

– Zgłoszę to.

– Donaldzie, musimy zrobić coś więcej, niż tylko to zgłosić. Jesteśmy to winni temu dziecku. Już raz

nawaliliśmy. Musimy dopilnować, żeby to się nie powtórzyło.

Nie pozwoli Caitlyn zginąć w machinie pomocy społecznej. Już ona umie robić za zgrzytający trybik i stanie na głowie, żeby ta historia dobrze się skończyła.

Właśnie kiedy poprzysięgała sobie w duchu, że wykorzysta każdy dług wdzięczności, jaki ma w odpowiednich miejscach, aby Caitlyn wróciła do Nancy, w tłumie mignęły jej znajome twarze.

– Muszę kończyć, Don.

– Jasne, rozumiem, powinienem być posłuchać...

– Nie przejmuj się tym. Pogadamy później. Wyświadczyć mi przysługę.

– Dobra.

– Dopilnuj, żeby wnuczka wróciła do babci.

Zakończyła rozmowę, schowała telefon do kieszeni i zaczęła się przeciskać przez ciżbę w kierunku, w którym widziała Alice i Petera. Kiedy dotarła na miejsce, przystanęła i zaczęła się rozglądać, aż zauważyła charakterystyczne białe włosy.

– Alice! – Pomachała ręką nad głowami tłumu. – Peter!

Zatrzymali się i zaintrygowani obracali głowami, dopóki Peter, który przewyższał większość ludzi w tłumie, nie zauważył Sadie i nie uśmiechnął się promiennie. Znowu ta iskra. Bez cienia wątpliwości.

– Pani detektyw – powiedziała zdziwiona Alice, kiedy Sadie do nich podeszła.

– Tak się cieszę, że was znalazłam – wyrzuciła Sadie bez tchu. – To był Ben.

Wtedy zauważyła, że Peter niesie w plecaku szpadel, a Alice ściska w ramionach coś, co wyglądało na dość dużą skrzynkę. Zdawało się, że przycisnęła ją teraz do piersi jeszcze mocniej.

– Co to ma znaczyć, na Boga?

– To, że Ben zabrał Thea. Pani ojciec, Anthony, był niewinny.

– Biedaczka majaczy w malignie – powiedziała Alice do Petera. – Pomóż jej, gada od rzeczy.

Sadie potrząsnęła głową. Do tej pory kręciło jej się w głowie po rozmowie z Donaldem, musiała się uspokoić i zacząć od początku, żeby wszystko nabrało sensu.

– Czy jest tu jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

– W hotelu – odparła Alice. – Choć mam poważne wątpliwości, czy będzie to spokojne miejsce.

Sadie rzuciła okiem w kierunku wskazanego budynku. Alice miała rację, tam nie uciekną od hałasu. Pomyślała o ogródku Bertiego z widokiem na morze.

– Chodźcie ze mną – powiedziała. – Znam idealne miejsce.



Wprawdzie Bertie nie wrócił jeszcze z festynu, ale zostawił zapalone światło na ganku i otwarte drzwi. Psy kręciły się wokół nowo przybyłych, obwąchiwały ich ciekawie, aż w końcu doszły do wniosku, że mają do czynienia z przyjaciółmi, i podreptały za nimi do kuchni.

– Napijcie się czegoś? – spytała Sadie, mgliście przypominając sobie o obowiązkach przypisanych roli gospodyni.

– Spodziewam się, że przyda mi się coś na wzmocnienie – odparła Alice.

Sadie znalazła w spiżarni butelkę sherry, wzięła ze sobą kieliszki i wypuściła gości do ogrodu. Na kamiennym murze migotały sznury kolorowych lampek i kiedy Alice i Peter przysuwali sobie krzesła do stołu, Sadie zapaliła świece w lampkach sztormowych i nalała każdemu sherry.

– A więc co to za historia z Theo i Benjaminem Munro? – Alice najwyraźniej nie była w nastroju do towarzyskich konwenansów. – O ile pamiętam, ustaliłyśmy ostatnio, że mój ojciec i nerwica frontowa...

– Tak – weszła jej w słowo Sadie – tak ustaliłyśmy i jestem pewna, że ta kwestia odegrała istotną rolę w całej sprawie, lecz Theo tamtej nocy nie umarł. Zabrał go Ben i nie działał w pojedynkę.

Zaplanowali to razem z pani matką.

– Nadal nie rozumiem, o czym pani mówi. – Alice położyła dłoń na metalowej skrzynce.

Sadie w ciągu kilku sekund powiązała ubrudzone ziemią pudełko ze szpadlem Petera, po czym odłożyła to osobliwe spostrzeżenie na bok i kontynuowała:

– Dobrze się domyśliłyśmy, że pani ojciec, chory na nerwicę frontową, przedstawiał zagrożenie dla małego dziecka, lecz myliłyśmy się, sądząc, że je skrzywdził. Ben i pani matka uznali, że chłopcu trzeba zapewnić bezpieczeństwo. Tunel, przyjęcie oraz pokaz fajerwerków nastęrczyły doskonałej okazji, aby zainscenizować zniknięcie chłopca. Znalazłam tę informację w ich listach. Oczywiście trzeba wiedzieć, czego się szuka. Pani matka bardzo ciężko to przeżywała, lecz nie widziała innego sposobu. Nie mogła opuścić pani ojca, kochała go i przyrzekła, że nigdy nie pozwoli, aby prawda o jego chorobie ujrzała światło dzienne. Z jej punktu widzenia nie było innego wyjścia.

– A Ben był biologicznym ojcem Thea – zauważył Peter, który przez cały czas kiwał głową. – Człowiekiem, któremu mogła zaufać.

– Jedynym – dorzuciła Sadie.

– Dlatego nie wyznaczyła nagrody – powiedziała nagle Alice, łącząc ze sobą fakty z prędkością i precyzją godną pisarki, która przez pół wieku knuła fabuły kryminalne. – To mnie zawsze nurtowało. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego była w tej sprawie tak nieugięta. Twierdziła wtedy, że obietnica pieniędzy ściągnie wszelkiego rodzaju desperatów, pieczeniarzy i oportunistów i tylko zaciemni obraz sytuacji. W świetle tego, co pani powiedziała, to nabiera sensu. Nie chciała, żeby ludzie tropili Bena i Thea, nie chciała, aby ich znaleźli.

– Wyjaśnia również, z jakiego powodu nalegała, aby w prasie nie zamieszczano informacji o zaniedbaniu niani Bruen – dodała Sadie. – A także dlaczego tak hojnie wynagrodziła Rose Waters oraz miejscowych policjantów.

– Naprawdę to zrobiła? – zdziwiła się Alice. – Nie wiedziałam o tym.

– Rose była zrozpaczona tym zwolnieniem. Nic dziwnego, skoro odprawiono ją właśnie dlatego, że była zbyt czujna. Plan by się nie powiódł, gdyby to ona sprawowała pieczę nad Theo. Zwalniając ją, pani matka wystawiła jej znakomite referencje oraz wypłaciła premię, dzięki której Rose mogła iść studia. To jej zapewniło pozycję do końca życia.

– Chciała jej w ten sposób zrekompensować stratę posady – zauważył Peter.

Sadie skinęła głową.

– Rzekome porwanie było fikcją, którą sama wymyśliła, więc chciała się upewnić, że każdy, kto w jej następstwie ucierpiał, otrzyma zadośćuczynienie za straty finansowe lub niepotrzebny kłopot.

– To do niej podobne – orzekła Alice. – Poczucie sprawiedliwości i prawości zawsze było jej myślą przewodnią.

– Co się stało później? – spytał Peter. – Ben wyniósł Thea tunelem i wywiózł z Loanneth. Myślicie, że go wychowywał?

Alice zmarszczyła brwi, kołysząc kieliszkiem z sherry.

– Ben walczył w drugiej wojnie światowej. Biedaczysko, życie spłatało mu okrutnego figla. Zginął podczas desantu w Normandii, tuż przed samym końcem wojny. Walczył od kilku lat. Moja siostra Clementine widziała go we Francji w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku.

– W czasie drugiej wojny Theo był jeszcze chłopcem – zauważyła Sadie, dokonując w głowie szybkiej kalkulacji. – Miał siedem lat, kiedy wybuchła. Jeśli Ben zaciągnął się na samym początku, to nie mógł go wychowywać. Chyba że się ożenił.

– Może Theo został oddany na wychowanie – wtrącił Peter.

– Co sprowadza nas do punktu wyjścia – podsumowała Alice.

Wszystkich ogarnęło zniechęcenie, nawet Asha, który westchnął przeciągle przez sen. Sadie napełniła ponownie kieliszki sherry i pili dalej w milczeniu. Nad miastem wznosił się przytłumiony

warkot festynowych owacji.

– Czy w listach nie znalazła pani niczego, co by wskazywało, dokąd Ben pojechał z Theo po opuszczeniu Loeanneth? – spytała Alice.

– Niczego takiego się nie dopatrzyłam. Pani matka bardzo stanowczo obstawała, żeby Ben nie mówił jej, dokąd jedzie.

– Może jednak mimo to przekazał jej jakąś ukrytą wskazówkę.

– Nie sądzę.

– Coś subtelnego. Jakąś bardzo prywatną uwagę, którą mogła pani przeoczyć.

Pewność Sadie nie wytrzymała próby sił z uporem Alice.

– Chyba warto spróbować – powiedziała. – Zabrałam ze sobą kilka listów, zaraz je przyniosę.

Kiedy weszła do kuchni, w drzwiach wejściowych stanął właśnie Bertie.

– Cześć, Sadie, skarbie – powiedział ze zmęczonym, lecz uszczęśliwionym uśmiechem. – Udało mi się wymknąć, zanim impreza zaczęła się na dobre. – Masz ochotę coś zjeść?

Sadie poinformowała go, że przyprowadziła ze sobą Alice i Petera i omawiają w ogródku sprawę Edevane'ów.

– Dokonaliśmy przełomu, ale wyłoniła się cała masa nowych pytań.

– Zatem kolacja dla czworga. Wkrótce na stole.

– Nie masz już dosyć serwowania placka z gruszkami?

– Co też za bluźnierstwa opowiadasz! W żadnym wypadku.

Sadie wyjęła z plecaka teczkę z jej prywatnymi aktami sprawy, a tymczasem Bertie nucił cicho przy czajniku.

– A co z tą drugą sprawą? – spytał, wrzucając do filiżanek saszetki z herbatą. – Miałaś jakieś wieści z komendy?

Streściła mu pokrótce rozmowę z Donaldem.

– Więc miałaś rację – powiedział z ponurą satysfakcją. – Mówiłem, że intuicja cię nie zawodzi. – Pokręcił głową i ściągnął ze współczuciem usta. – Biedactwa. Obie, dziecko i matka. Mam nadzieję, że teraz wrócisz do pracy.

– Nie jestem pewna. Ashford wie, że przeciek wyszedł ode mnie. Nie puści mi płazem tego wybryku, niezależnie od rozwiązania sprawy. Muszę poczekać, żeby się przekonać, co z tego wyniknie. A w tym czasie...

Przerwała i zamiast dokończyć uniosła teczkę i wskazała nad ramieniem ogródek.

– Oczywiście. Przyjdę do was za kilka minut.

Sadie wróciła do ogrodu w chwili, gdy Alice mówiła właśnie Peterowi:

– Wiesz, zawsze mi się wydawało, że tamtej nocy widziałam w lesie Bena.

– Dlaczego nie powiedziała pani o tym policji? – spytała Sadie, siadając i kładąc teczkę na środek stołu.

Alice spojrzała w kierunku ogrodzenia, gdzie porywisty wiatr grzechotał lampkami o kamienny mur.

– Ponieważ nie powinnam była chodzić do lasu – odrzekła. Na jej policzkach igrały cienie. – Miałam się spotkać na przyjęciu z panem Llewellynem. Nigdy nie przestałam się obwiniać za to, co się z nim stało, zastanawiać się, czy wszystko nie skończyłoby się inaczej, gdybym poczekała w altance dłużej. Podszedł do mnie około południa i bardzo naciskał, że powinniśmy się spotkać. Podkreślał, że chce o czymś ze mną porozmawiać. Czekałam, ale się nie zjawił.

– To kolejny „zbieg okoliczności”, który mi się nie podoba. – Sadie ściągnęła brwi. – Jego śmierć nie pasuje mi w tym wszystkim. Był zaufanym przyjacielem pani matki, wiedział, co zamierza i ile to dla niej znaczyło. Wydaje mi się niedorzeczne, że wybrał właśnie ten moment i to miejsce, aby popełnić samobójstwo.

– Całkowicie się z panią zgadzam – powiedziała Alice. – To nie ma sensu. Ale depresję, jak wiele

innych stanów psychicznych, trudno wyjaśnić w racjonalny sposób.

– Może gdybyśmy wiedzieli coś więcej na temat tego konkretnego przypadku depresji... – Sadie wstała i zaczęła krążyć tam i z powrotem. – O tym pierwszym załamaniu, gdy rzucił medycynę i zaczął pisać książki. Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy ktoś podejmuje tego rodzaju przełomową decyzję w swoim życiu, to kryje się za tym coś więcej. Gdybyśmy wiedzieli, co to było, może potrafilibyśmy rzucić na tę sprawę więcej światła.

Peter podniósł rękę.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie.

Sadie obróciła się na pięcie. Alice popatrzyła na swego asystenta znad okularów.

– Tak?

– Kiedy rozmawialiście dzisiaj rano w Loanneth o załamaniu Llewellyna, zastanawiając się, co je spowodowało, przypomniałem sobie mgliście, że czytałem coś na ten temat w czasie studiów. Wpadłem dzisiaj do miejscowej biblioteki i spotkałem niezwykle uczynnego człowieka...

– Alastaira – odpowiedziała Sadie.

– ...właśnie, który zupełnie przypadkiem miał na biurku odpowiednią książkę. Zamówiono ją z innej biblioteki i czekała na odesłanie, kiedy ją wytropiłem. To naprawdę jeden z najbardziej niezwykłych zbiegów...

– Nie wypowiadaj tego słowa.

– ...łutów szczęścia. Książka zawierała rozdział poświęcony Llewellynowi i *Magicznym drzwicom Eleanor*, bardzo ciekawą analizę dokonaną na podstawie kantowskich zasad symbolicznego...

– Peter! – upomniała go surowo Alice.

– Tak, tak, przepraszam. Autor twierdzi, że utwór Llewellyna można odczytać jako alegorię jego życiowych doświadczeń, zwłaszcza załamania, które przeżył jako młody lekarz, kiedy w wiejskiej rezydencji jego przyjaciela zdarzył się wypadek i stracił pacjenta.

– Dziecko. – Sadie aż zaparto dech. – Pacjentem było nowo narodzone dziecko.

– Skąd pani wie? – spytała Alice. – Jakie dziecko? Czyje dziecko?

Peter napotkał spojrzenie Sadie i zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedziała, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Uważa pani, że to było dziecko Constance.

– Tak. – Sadie podeszła szybko do stołu. – Tak, tak, tak.

Przerzucała dokumenty w teczce. Obok niej migotały świeczki w lampie sztormowej.

– To by wyjaśniało wiele rzeczy. – Peter mówił bardziej do siebie niż do innych. – Napięcie między nimi, wrogość, z jaką się do niego odnosiła. Była prawdziwą panną Havisham z *Wielkich nadziei*.

Zdezorientowana Alice w końcu wpadła w złość.

– Peter! – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Co ma do tego wszystkiego Dickens?

Odwrócił się do niej z pałającym wzrokiem.

– Kiedy pracowałem nad twoją stroną internetową, prosiłaś, żebym zrobił to, co trzeba, tylko nie zawracał ci głowy, a ponieważ potrzebowałem odpowiedzi na jedno z pytań, zajrzałem do dzienników w twoim gabinecie.

– Rozumiem. I co?

– Znalazłem twój komentarz na temat babki. Określiłaś ją jako „szkielet w zetlałych na proch bogatych szatach”. To cytat z *Wielkich nadziei*.

– Całkiem prawdopodobne. Była z niej istna sekutnica, a do tego uwielbiała się stroić w szykowne suknie z czasów swojej świetności. Tylko brakowało wśród nich ślubnej, mogę dodać z satysfakcją. Ale co to ma wspólnego z dzieckiem, na miłość boską?

– Proszę. – Sadie wyciągnęła kartkę, na której notowała sobie rzeczy z drugiego przesłuchania, które policja przeprowadziła z Constance w domu starców. – Pielęgniarka zeznała, że pani babcia nieustannie

powtarzała coś na temat Eleanor i nowo narodzonego chłopca, który zmarł w czasie porodu. Z początku myślałam, że pani matka miała syna, zanim urodziła Thea, ale najwyraźniej wcale nie chodziło o nią.

Alice zapało dech.

– To było dziecko babci.

Sadie skinęła głową.

– A lekarzem, który przyjmował poród, był Daffyd Llewellyn. To by wszystko wyjaśniało: ich relacje, jego depresję, a także powód, dla którego porzucił medycynę i szukał pocieszenia w bajkach dla dzieci...

– Wyjaśniałoby również fabułę *Magicznych drzwi Eleanor* – wtrącił Peter. – Starzec zdruzgotany wyrzutami sumienia i wygnany z królestwa; okrutna królowa, która z żalu po straconym dziecku pograża świat w wiecznej zimie; dziewczynka imieniem Eleanor, której niewinność ma moc, by zasypać przepaść... – Postukał się w zadumie w brodę. – Jedyłą rzeczą, której nie wyjaśnia, jest jego samobójstwo popełnione akurat w czasie tego przyjęcia świętojańskiego w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku.

– On nie popełnił samobójstwa – odezwała się Alice cicho, patrząc Sadie w oczy. – Prawda?

– Prawda. – To wspaniałe uczucie, że kolejny element układanki wpada na właściwe miejsce, wywołało uśmiech na twarzy Sadie.

– Tej nocy skradziono fiołkę z silnymi tabletkami nasennymi – rzekła Alice. – Przez długi czas sądziłam, że wykorzystano je, aby uspić Thea w czasie porwania.

– Tymczasem posłużyły do czegoś innego – powiedziała Sadie. – To nie było takie trudne, wystarczyło kilka tabletek rozpuszczonych w drinku i *voilà*. Żal po straconym dziecku przeżerał ją przez dziesiątki lat, aż w końcu zapragnęła...

– ...się zemścić – dokończył za nią Peter. – Tak, rozumiem, co mówicie, ale w końcu minęło czterdzieści lat, czemu zwlekała tak długo?

Sadie też się nad tym zastanawiała. Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać pod szyją Ramsaya, który usiadł u jej stóp.

– Czytałam ostatnio książkę, która stawiała to pytanie – zaczęła z namysłem. – Ni stąd, ni zowąd kobieta zabiła byłego męża, chociaż przez lata znosiła jego podłe traktowanie. Na koniec zaważył drobiazg: postanowił wyjechać na urlop w miejsce, o którym ona zawsze marzyła, i ta wiadomość przepełniła czarę goryczy.

– *Zemsta na zimno* – powiedziała Alice z satysfakcją. – Jeden z moich bardziej kameralnych, a zarazem ulubionych kryminałów. Tylko co przepełniło tę czarę w przypadku mojej babki? O ile pamiętam, pan Llewellyn nie planował żadnych egzotycznych wojaży.

– Ale za to coś ogłosił – zauważył nagle Peter. – Sama o tym dzisiaj wspominałaś. Dostał Order Imperium Brytyjskiego za zasługi dla literatury. Powiedziałaś nawet, że twoja babcia źle to zniosła.

– Królewski honor – rzuciła Sadie.

– Królewski honor – powtórzyła Alice. – Constance przez całe życie zabiegała o wstęp na królewskie salony. Została kiedyś zaproszona do pałacu, kiedy była młodą dziewczyną, ale nie mogła pójść. Boże, ile razy wysłuchałyśmy tej historii w dzieciństwie! Nigdy tego nie przeboleła. – Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją. – To mogła być kropla, która przelała dzban. Sama bym tego lepiej nie wymyśliła.

Siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w fale oceanu uderzające o brzeg, dalekie odgłosy festynu, i napawali się ciepłym blaskiem rozwiązania. Żaden narkotyk ani alkohol nie może się równać z dreszczykiem, jaki daje rozwiązanie zagadki, zwłaszcza takie niespodziewane jak to.

Chwila refleksji szybko przeminęła. Alice, którą w kwestii upodobań wiele łączyło z Sadie, wyprostowała się na krześle i przyciągnęła do siebie teczkę.

– Dobrze – powiedziała. – Jeśli mnie pamięć nie myli, szukaliśmy wskazówki, dokąd Ben mógł

wywieźć Thea.

Peter spojrział na Sadie i unióśł brwi z czułym rozbawieniem, lecz oboje posłusznie przysunęli się do stołu i zaczęli przeczesywać pliki dokumentów.

– Zastanawiałam się, czy za jakąś wskazówkę nie mógłby posłużyć fakt, że moja mama miała zwyczaj co roku przyjeżdżać do Loanneth – powiedziała Alice, kiedy po dłuższej chwili szperania w listach nie znaleźli niczego użytecznego. Zmarszczyła brwi. – Ale nie, nie sędzę, aby Ben zamieszkał w Kornwalii, i nie przypuszczam, żeby przywoził Thea do Loanneth. – Westchnęła zrezygnowana. – Prawdopodobnie był to dla niej symboliczny gest, rodzaj uczczenia jego pamięci, odnowienia więzi. Biedna mama, można sobie tylko wyobrazić, jakie to uczucie: wiedzieć, że gdzieś na świecie żyje twoje dziecko, krew z twojej krwi i kość z kości. Ciekawość, tęsknota, udręka zastanawiania się, czy jest szczęśliwe i kochane... Musiała przechodzić prawdziwe męczarnie.

Bertie, który wszedł właśnie do ogródka z tacą zastawioną plackiem gruszkowym i herbatą, rzucił wnuczce znaczące spojrzenie.

Sadie starannie omijała jego wzrok, odsuwając od siebie obraz Charlotte Sutherland w szkolnym mundurku i tej maleńkiej rączki w kształcie gwiazdki kołyszącej się nad szpitalnym kocykiem.

– Przypuszczam, że kiedy raz podjęła decyzję o oddaniu dziecka, jedyne, co mogła zrobić, to konsekwentnie kroczyć tą samą drogą. To uczciwy układ. Pozwolić dziecku iść własną drogą i nie utrudniać jej życia zbędnymi komplikacjami.

– Jemu – sprostował Peter.

– Jemu – powtórzyła głucho Sadie.

– Jest pani niezwykle pragmatyczną osobą, pani detektyw. – Alice uniosła brew. – Może odzywa się we mnie jedynie pisarska dusza, ale wyobrażam sobie, że wszyscy rodzice, którzy rozstają się na zawsze ze swoim dzieckiem, muszą pielęgnować w sercu ziarno nadziei, że pewnego dnia ich ścieżki się zjedną.

Sadie nadal unikała wzroku dziadka.

– Może są przypadki, kiedy rodzice obawiają się, że dziecko będzie nimi rozczarowane, a także zranione i rozgniewane tym, że je oddali.

– Zapewne tak. – Alice wyjęła z teczki zdjęcie Eleanor z trzema dziewczynkami w letnich sukieneczkach, stojących pod drzewem w Loanneth. – Moja mama zawsze miała odwagę bronić własnych przekonań. Jestem pewna, że skoro oddała dziecko, ponieważ uważała, że jest to najlepsza możliwa decyzja, miałaby również odwagę zmierzyć się z urazą, jaką mógłby chować do niej Theo.

– A niech mnie!

Wszyscy popatrzyli na Bertiego, który znieruchomiał za stołem z półmiskiem ciasta w jednej ręce i filiżanką w drugiej.

– Co się stało, dziadku?

Najszybszy okazał się Peter, który poderwał się na nogi, aby chwycić talerz i filiżankę, zanim upadną. Pomógł Bertiemu usiąść na krześle.

– Dziadku, nic ci nie jest?

– Nie, nie, tylko... to nie może być zbieg okoliczności... Ludzie często używają tych słów niepoprawnie, prawda? Uważają, że coś jest przypadkowym splotem wydarzeń, lecz zapominają, że istnieje słabe powiązanie. Wcale nie przypadek, tylko niespodzianka, ogromna niespodzianka.

Plół coś rozgorączkowany, aż w końcu Sadie przestraszyła się nie na żarty, że miał za dużo przeżyć jak na jeden dzień, że lada moment dostanie udaru...

– Dziadku – rzuciła surowo. – O czym ty mówisz?

– Spotkałem tę kobietę – powiedział, stukając palcem w zdjęcie Eleanor z artykułu, który Alice trzymała w ręku. – Kiedy byłem chłopcem i w czasie wojny pracowałem w sklepie rodziców.

– Spotkałeś moją mamę? – spytała Alice.

– Spotkałeś Eleanor Edevane?

– Odpowiedź brzmi tak na obydwa pytania. Wiele razy. Chociaż wtedy nie wiedziałem, jak się nazywa. Pracowała w służbach ochotniczych i przychodziła do naszego sklepu w Hackney.

– To prawda – potwierdziła zdumiona Alice. – Pracowała w czasie wojny na East Endzie. Pomagała dzieciom, które straciły dom podczas nalotów.

– Wiem. – Bertie uśmiechnął się szeroko. – Była bardzo miła. Należała do naszych najlepszych klientek. Często przychodziła i kupowała różne drobiazgi, rzeczy, których z pewnością nie potrzebowała, a ja robiłem jej herbatę.

– No cóż, to naprawdę fascynujący zbieg okoliczności.

– Nie – odrzekł Bertie. – Właśnie to wam próbuję powiedzieć. – Roześmiał się. – To z pewnością niespodzianka zobaczyć ją na zdjęciu po tylu latach i odkryć, że miała związek z historią Domu nad Jeziorem, która pochłonęła bez reszty moją wnuczkę. Nie jest to jednak aż taki przypadek, jak można by sądzić.

– Możesz to wyjaśnić, dziadku?

– To ona sprawiła, że przeprowadziłem się do Kornwalii. To ona zaszczepiła ten pomysł w mojej głowie. Przy kasie sklepowej wisiała pocztówka, którą przysłał mój wujek: małe drewniane drzwi w ceglany murze, gęsto zarośniętym bluszczem i paprociami. Zobaczyła je kiedyś i opowiedziała mi o ogrodach Kornwalii. Chyba ją o to wypytywałem, miałem książkę, której fabuła rozgrywała się w Kornwalii, i to miejsce zawsze wydawało mi się magiczne. Opowiadała mi o prądzie zatokowym, o egzotycznych gatunkach roślin, które tam można uprawiać. Te obrazy utkwiły mi w głowie. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że wspomniła nawet o Loeanneth, chociaż nie wymieniła nazwy. Powiedziała, że urodziła się i wychowała w majątku, który służył ze wspaniałych ogrodów i pięknego jeziora.

– Niewiarygodne! – zawołał Peter. – I pomyśleć, że po tylu latach pańska wnuczka odkryła jej opuszczony dom i obsesyjnie zafascynował ją wypadek, który się tam wydarzył.

– Tylko nie obsesyjnie – zaprotestowała Sadie. – Ale owszem, zafascynował.

Bertie nie zwracał uwagi na obydwa wtręty, pochłonięty wspomnieniami swoich dawnych rozmów z Eleanor Edevane o Loeanneth.

– Mówiła o nim jak o magicznym miejscu: o soli, przemytnikach, tunelach i bajkowych istotach. Powiedziała, że w samym środku znajduje się miniaturowy ogród, urocze, zaciszne miejsce ze złotymi rybkami.

– I rzeczywiście był – oznajmiła Alice. – Zbudował go Ben Munro.

– Ben Munro?

– Jeden z ogrodników w Loeanneth.

– No proszę... – Bertie przekrzywił głowę. – To doprawdy osobliwe. Tak się nazywał mój najukochańszy wujek, który zginął w czasie drugiej wojny światowej.

Alice zmarszczyła czoło, a Peter zapytał:

– Pański wujek pracował w Loeanneth?

– Tego nie jestem pewien. Możliwe. Chwytał się różnych prac. Nie należał do ludzi, którzy potrafią usiedzieć długo w jednym miejscu. Ale znał się na roślinach.

Wszyscy obecni popatrzyli po sobie, a bruzda na czole Alice jeszcze bardziej się pogłębiła.

– To musiał być jakiś inny Benjamin Munro. Ben, który pracował w Loeanneth, nie miał rodzeństwa.

– Wujek Ben też był jedynakiem. Nie należał do rodziny. Przyjaźnili się z mamą od dzieciństwa, oboje mieli rodziców archeologów, którzy żyli w ciągłych podróżach. Ben i moja mama poznali się w Japonii, gdzie pracowali ich rodzice.

Zapadła naelektryzowana cisza. Po chwili przerwał ją donośny huk i świst pierwszych świętojańskich fajerwerków nad zatoką.

– Gdzie się urodziłeś, Bertie? – spytała Alice lekkim tonem.

– Dziadek został adoptowany w dzieciństwie – odpowiedziała Sadie.

Właśnie sobie o tym przypominała. Opowiadał jej o swojej mamie, o jej kłopotach z zajściem w ciążę i o tym, jaka była szczęśliwa, kiedy pojawił się Bertie, jak bardzo ją kochał i jak ona go kochała. Dziadek powiedział jej o tym, kiedy u nich zamieszkała i musiała podjąć decyzję o oddaniu swojego dziecka. Dopiero potem wywietrzało jej to z głowy. To był taki trudny okres, zmagająca się z nawałnicą myśli i emocji, a Bertie zawsze mówił o swoich rodzicach z tkliwością i uczuciem, aż w końcu zwyczajnie zapomniała o tym, że nie byli jego biologiczną rodziną.

Bertie cały czas mówił o swojej mamie, Flo, i wujku Benie, nie zdając sobie sprawy, że Alice po cichu wstała od stołu i ruszyła w jego stronę. Ujęła jego twarz w drżące dłonie. Jej oczy w milczeniu studiowały każdy rys, każdy szczegół. Nagle szloch uwiązał jej w gardle i Peter wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

– Dziadku – powiedziała znowu Sadie oszołomionym głosem.

– Bertie – zawtórował jej Peter.

– Theo – oznajmiła Alice.



Gwiazdy zaczęły blednąć i nad horyzontem rozciągnęła się wstążka przedświt, a oni nadal siedzieli w ogródku Domu z Widokiem na Morze.

– Często do mnie pisał – mówił Bertie, otwierając drewniane pudełko, które przyniósł ze strychu. Wyjął z niego plik listów. Najstarszy nosił datę z 1934 roku. – Na długo zanim nauczyłem się czytać. Rodzice mi je czytali. Czasem razem z listem przychodziły upominki albo zwierzątka origami, które składał, żeby mnie rozbawić. Zawsze do mnie pisał, kiedy wyjeżdżał za pracą, a także potem z wojny. Mówił, że był moim ulubionym wujkiem. Czułem z nim szczególną więź. Chyba można by ją nazwać pokrewieństwem.

– Wiem, o czym mówisz – powiedziała po raz kolejny Alice. Tej nocy słowa te zamieniły się w prawdziwą mantrę. – Czułam to samo, kiedy spotkaliśmy się dzisiaj rano. Coś w rodzaju zażyłości. Zupełnie jakbym cię którymś zmysłem poznała.

Bertie uśmiechnął się i skinął głową, a oczy znowu zaszyły mu mgłą.

– Dziadku, co jeszcze jest w tym pudełku? – spytała łagodnie Sadie, czując, że lepiej będzie, jeśli zajmie czymś jego uwagę.

– Och, takie tam różności – odparł. – Pamiątki z dzieciństwa.

Wyciągnął wytartego pluszowego szczeniaka, jakąś starą książkę i małe śpioszki. Sadie zauważyła, że brakuje w nich guzika i aż jej dech zaparło. Sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła okrągłego amorka, którego znalazła w Loeanneth. Pasował idealnie.

– Czy mama i tata rozmawiali z panem kiedyś o pańskich biologicznych rodzicach? – spytał Peter.

– Opowiadali mi historię o tygrysie i perle – odparł Bertie z uśmiechem. – Jako szkrab byłem uszczęśliwiony, wierząc że przywieziono mnie z Afryki w postaci zaczarowanego klejnotu; że urodziłem się w lesie, a leśne duszki, odstawiwszy mnie od piersi, położyły na progu domu rodziców. – Wyjął z pudełka wisior z zębem tygrysa i przejechał palcem po mętnej mlecznobiałej powierzchni. – Dostałem go od wujka Bena i to mi wystarczyło za dowód, że historia jest prawdziwa. Kiedy dorosłem, przestałem pytać. Oczywiście chciałem wiedzieć, kim byli, ale mama i tata tak mnie kochali, że nie mógłbym sobie życzyć szczęśliwszej rodziny, więc pogodziłem się z niewiedzą. – Zerknął znowu na Alice oczami błyszczącymi od emocji spiętrzonych przez całe życie. – A ty? – spytał, wskazując głową metalową skrzynkę, leżącą przed nią na stole i nadal oblepioną ziemią. – Ja ci pokazałem swoje skarby.

Alice wyjęła z portmonetki kluczyk i otworzyła metalową skrzynkę. Uniosła wieczko i pokazała dwa

identyczne pliki papieru. Na wierzchu widniał tytuł *Żegnaj, pajacyku* oraz nazwisko autorki *Alice Edevane*.

- Manuskrypty – powiedział.
- Tak – potwierdziła Alice. – Jedyne istniejące egzemplarze pierwszej powieści, jaką napisałam.
- Co robią w tym pudełku?
- Pisarz nigdy nie niszczy swoich dzieł.
- Ale czemu zakopałaś je w ziemi?
- Teraz to już długa historia.
- Może mi ją kiedyś opowiesz?
- Może.

Bertie skrzyżował ręce na piersi, udając, że się dąsa, i przez ułamek sekundy Sadie zobaczyła w tym geście Alice jak żywą.

- Powiedz nam przynajmniej, o czym ona jest – nalegał. – Czy to również kryminał?

Alice wybuchła śmiechem. Był to pierwszy, szczery, spontaniczny śmiech, jaki Sadie u niej słyszała.

Melodyjny młodzieńczy dźwięk.

- Och, Bertie – powiedziała. – Och, Theo. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała.

Londyn, 1941

Przyszła natychmiast, gdy tylko się dowiedziała, gdzie w nocy spadły bomby. Minęły dwa lata od czasu, gdy dostała list, w którym znalazła krótką informację, że Ben zaciągnął się do wojska, oraz adres w Hackney. Aż do tej pory udawało jej się trzymać z daleka. Pracując w służbach ochotniczych w czasie wojny, zdarzało jej się podjeżdżać na rowerze na tyle blisko, że gdy widziała na ulicy dzieci i patrzyła, jak grają w ciupy lub biegną gdzieś z pośłaniem w szarych spodenkach i zdartych bucikach, niewiele brakowało, by uwierzyła, że jednym z nich jest Theo. Kiedy jednak tamtego ranka zgłosiła się do pracy i dostała spis ulic, które ma obejść po ostatnich nalotach, obróciła się na pięcie i wybiegła.

Podziurawiona jezdnia zasypana była gruzem, kamieniami, pogruchotanymi meblami, lecz Eleanor szybko omijała wszystkie przeszkody. Strażak skinął jej głową na powitanie, a ona odpowiedziała mu grzecznie. Trzymała skrzyżowane palce – dziecięcy, niemądry zwyczaj, ale pomagał, a z każdym mijanym szkieletem budynku coraz bardziej ścisnęła ją w gardle.

Nie spodziewali się następnej wojny. Kiedy kazała Benowi obiecać, że nie będzie próbował organizować ich spotkania, i upierała się, aby nie wiedzieć, dokąd wywozi Thea, nie wyobrażała sobie takiej przyszłości. Wystarczało jej wiedzieć, że żyje u ludzi, których Ben kocha, że jej śliczny synek dorasta szczęśliwie i bezpiecznie. Nie brała w rachubę, że może wybuchnąć kolejna wojna. To wszystko zmieniło.

Nie powie Anthony'emu, że tu dzisiaj była. Nie ma potrzeby. Zamierza tylko sprawdzić, czy dom stoi nienaruszony, nie będzie nawet zaglądać do środka. Z całą pewnością nie planowała się widzieć z Theo. Mimo to czuła lodowaty dreszcz zakazanego uczynku. Eleanor nie lubiła sekretów, ich własne tajemnice – jej i Anthony'ego – omal nie doprowadziły ich do tragedii.

Obawiała się, że na wieść o jej romansie mąż całkowicie się załamie, lecz tak się nie stało. Przyszedł do niej kilka dni później, całkiem spokojny, i namawiał, aby od niego odeszła. Zorientował się już, że Theo nie jest jego synem; powiedział, że pragnie, aby skorzystała z tej drugiej szansy na szczęśliwe życie. Ma dość myślenia o tym, że jest dla niej ciężarem, że krzywdzi ludzi, których kocha najbardziej na świecie.

Ale jak mogłaby rozpocząć nowe życie z Benem i Theo? Zostawić dziewczęta lub odebrać je Anthony'emu? Poza tym kochała męża. Kochała ich obu, Bena i Anthony'ego, i uwielbiała małego Thea. Lecz życie nie jest bajką i człowiek nie może mieć wszystkiego.

Wiadomość o jej romansie w paradoksalny sposób zmniejszyła brzemię winy, które dźwigał Anthony. Powiedział, że dzięki temu jego życie staje się mniej idealne, że zapłacił cenę, zrobił krok na drodze do zadośćuczynienia.

– Zadośćuczynienia za co? – spytała, zastanawiając się, czy w końcu się przed nią otworzy.

– Za wszystko. Za to, że przeżyłem. Za to, że wróciłem do domu, do wszystkiego, co mam.

Oczywiście Eleanor wiedziała, że kryje się za tym coś więcej. Mówił wiele razy, choć bardzo enigmatycznie, o wielkim cieniu, który go prześladowa, i kiedy Theo znalazł się bezpiecznie poza Loeanneth, spytała go w końcu o Howarda. W pierwszej chwili się rozgniewał; nigdy dotąd nie widziała go tak rozstrojonego, lecz w końcu po jakimś czasie i długich, cierpliwych namowach potwierdził historię, którą już wcześniej odkryła. Opowiedział jej wszystko o Howardzie i Sophie i małym Louisie; o nocy w stodole, gdy prawie pomógł przyjacielowi uciec, o przerażającej granicy, której o mały włos

nie przekroczył.

– Przecież tego nie zrobiłeś – powiedziała na koniec Eleanor, kiedy Anthony płakał wtulony w jej ramię.

– Ale chciałem. I żałowałem, że tego nie zrobiłem. Nadal niekiedy tego żałuję.

– Chciałeś uratować Howarda. Kochałeś go jak brata.

– Powinienem być go uratować.

– Ale on nie chciał, abyś go ratował w ten sposób. Kochał Sophie i jej syna. Chciał być dla niego ojcem, a rodzice zawsze poświęcą siebie, żeby ratować dziecko.

– Gdyby był inny sposób...

– Nie było. Wiesz o tym. Znalazłbyś go, gdyby był.

Popatrzył na nią i Eleanor dostrzegła w jego oczach iskierkę nadziei, że to, co powiedziała, jest prawdą.

– Gdybyś postąpił inaczej, obu by was rozstrzelali. Howard miał rację, widział sytuację bardzo wyraźnie.

– Poświęcił się dla mnie.

– Próbowałeś mu pomóc. Podjąłeś ogromne ryzyko.

– Zawiodłem go.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Siedziała przy nim, kiedy opłakiwał utraconego przyjaciela. W końcu ścisnęła mocno jego dłoń.

– Ale mnie nie zawiodłeś – szepnęła. – Złożyłeś mi obietnicę. Powiedziałeś, że nic cię nie powstrzyma przed powrotem do domu.

Pozostała jeszcze tylko jedna tajemnica, którą przed nim chowała: prawda o śmierci Daffyda. Anthony kochał go z całego serca i nie zniósłby myśli o tym, co zrobiła Constance. Eleanor znalazła w pokoju matki pustą fiolkę po środkach usypiających i odgadła, co się stało. Jej matka nie zadała sobie nawet trudu, aby zaprzeczać.

– To był jedyny sposób – oznajmiła. – Jedyna szansa na moje odrodzenie.

Od tej pory niczego już nie dało się między nimi ocalić. Nie wchodziło w grę, aby Constance zamieszkała z nimi w Londynie, lecz Eleanor nie mogła jej tak po prostu porzucić. Długo szukała odpowiedniego miejsca, aż w końcu znalazła Seawall. Był to kosztowny zakład, pod każdym względem wart swojej ceny.

– W całej Anglii nie ma lepszego domu opieki. W dodatku tak pięknie położonego – powiedziała kierowniczką, oprowadzając Eleanor. – Nad samym morzem. W każdym pokoju słyhać szum oceanu, niekończące się przyboje.

– To idealne miejsce – orzekła Eleanor, podpisując dokumenty przyjęcia.

Doprawdy było idealne. Niecichący, nieubłagany odgłos oceanu do końca życia – ni mniej, ni więcej to, na co Constance zasłużyła.



Eleanor skręciła w ulicę i omal nie wpadła na groźnie wyglądającego policjanta na rowerze. Przebiegła wzrokiem budynku aż do sklepu spożywczego. Odetchnęła na widok wesołego szyldu przed wejściem: CZYNNIE BARDZIEJ NIŻ ZWYKLE!

Odetchnęła z ulgą. Budynek nie został trafiony.

Skoro już tu przyszła, postanowiła obejrzeć wystawę. Podeszła do zaklejonego taśmami okna, by zajrzeć do środka. Przeczytała nazwę sklepu, wymalowaną dumnie na szybach, popatrzyła na starannie poukładaną piramidkę z puszek na witrynie. Nad sklepem wznosiły się dwa piętra. To był ładny dom.

Mogła sobie wyobrazić, ile wysiłku kosztowało utrzymanie w czystości szyb i markizy w okresie nalotów.

Kiedy pchnęła lekko drzwi, rozległ się delikatny dźwięk dzwonka. Sklepik był nieduży, lecz zaskakująco dobrze zaopatrzony, zwłaszcza jeśli zważyło się powszechne braki żywności. Właściciele zadali sobie dużo trudu, aby zaoferować zmęczonym wojną klientom wiele ciekawych produktów. Ben powiedział, że jego przyjaciółka Flo jest niebywale przedsiębiorczą osobą.

– Kiedy coś robi, wkłada w to całe serce.

To ostatecznie przekonało Eleanor. Wcześniej zapewniał ją również, że jest dobrą, miłą i uczciwą kobietą, tak więc choć nigdy nie widziała jej na oczy, zgodziła się powierzyć jej część swojej duszy.

W środku panowała cisza. Pachniało herbatą i mlekiem w proszku. Za ladą było pusto i Eleanor powiedziała sobie, że to znak. Zobaczyła to, po co przyszła, i powinna już wyjść.

W głębi sklepu zauważyła jednak otwarte drzwi i doszła do wniosku, że muszą prowadzić do mieszkania – miejsca, gdzie jej syn spał, jadał posiłki, gdzie się śmiał i płakał, skakał i śpiewał, do miejsca, które było jego domem.

Serce biło jej coraz szybciej. Czy ośmieliłaby się zajrzeć do środka przez uchylone skrzydło? Odwróciła głowę; na ulicy jakaś kobieta dreptała za czarnym wózkiem. W sklepie poza nią nikogo nie było. Wystarczy, że wślizgnie się przez szparę w drzwiach. Wzięła głęboki, uspokajający oddech i właśnie zrobiła krok w stronę wejścia, kiedy usłyszała za sobą hałas. Obróciła się na pięcie i ujrzała chłopca podnoszącego się zza sklepowej lady.

Poznała go natychmiast.

Przez cały czas siedział za kontuarem na podłodze i teraz patrzył na nią okrągłymi oczami. Miał około dziewięciu lat – nie, nie około, miał dokładnie dziewięć lat i dwa miesiące, pełne policzki i gęste, proste włosy w piaskowym kolorze, które opadały jak odwrócona do góry nogami miseczka. Był szczupły, ale nie chudy, ubrany w biały fartuch, przewiązany w pasie i dopasowany długością do jego wzrostu.

Uśmiechnął się ufnie do Eleanor jak ktoś, dla kogo świat jest miejscem pełnym dobra.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – powiedział. – Niestety, nie mamy dzisiaj mleka, ale dostaliśmy trochę jajek z farmy w Kencie.

Eleanor zakręciło się w głowie.

– Jajka – wykrztusiła. – Jajka będą doskonałe.

– Jedno czy dwa?

– Dwa poproszę.

Wyjęła bloczek z kartkami żywnościowymi i kiedy chłopiec odwrócił się do kosza stojącego na półce za ladą i zaczął zawijać jajka w kawałki starej gazety, po cichu podeszła bliżej. Czuła, jak serce kołacze jej w piersi. Gdyby tylko wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć.

Stanowczym gestem oparła dłonie na ladzie, a wtedy zauważyła na kontuarze książeczkę bez obwoluty, z wytartymi, pozaginanymi rogami. Nie było jej tu, kiedy weszła do sklepu, chłopiec musiał ją położyć, wychodząc z kryjówki.

– Lubisz czytać?

Malec rzucił przez ramię skrzeszone spojrzenie i zarumienił się.

– Mamusia mówi, że to u mnie wrodzone.

Mamusia. Twarz Eleanor zadrgała.

– Naprawdę?

Chłopiec pokiwał głową i zmarszczył lekko brwi, kończąc z wielką pieczołowitością zawijanie jajek i skręcanie końcówek gazety na kształt cukierków. Położył obydwa na ladzie i wsunął książkę na półeczkę pod spodem. Potem z powagą popatrzył na Eleanor.

– Właściwie nie powinienem czytać, kiedy pilnuję sklepu.

- Ja w twoim wieku byłam taka sama.
- I wyrosła pani z tego?
- Nie całkiem.
- Ja chyba też nigdy nie wyrosnę. Przeczytałem ją cztery razy.
- W takim razie musisz znać ją prawie na pamięć.

Uśmiechnął się z dumą.

– To o dziewczynce, która mieszka w wielkim starym domu na wsi i odkrywa sekretne drzwi prowadzące do innego świata.

Eleanor musiała się przytrzymać.

– Ta dziewczynka mieszka w Kornwalii. Słyszała pani o tym miejscu?

Skinęła głową.

– Była tam pani?

– Tak.

– Jak tam jest?

– Powietrze pachnie oceanem i wszędzie jest zielono. We wspaniałych ogrodach rosną dziwne i piękne rośliny, których nie zobaczysz w żadnym innym miejscu w Anglii.

– Tak. – Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. – Tak właśnie myślałem. Mój wujek mi o nich opowiadał. On też tam był. Powiedział, że tam naprawdę są takie domy jak ten opisany w książce, z jeziorami, kaczkami i sekretnymi tunelami.

– Wychowywałam się w takim miejscu.

– Ojej, ale ma pani wielkie szczęście! Wujek Ben przysłał mi tę pocztówkę. Walczy teraz na wojnie.

Eleanor spojrzała w kierunku, który wskazywał chłopiec. Do bocznej ścianki kasy przyklejono sepiową widokówkę, przedstawiającą zarośniętą bramę ogrodu. W prawym dolnym rogu widniały słowa wydrukowane białą kursywą: *Magiczne wspomnienia*.

– Wierzy pani w magię? – spytał z powagą.

– Chyba tak.

– Ja też.

Uśmiechnęli się do siebie i Eleanor poczuła prawdziwą symfonię dusz, jakby stanęła u progu czegoś, czego nie potrafiła przewidzieć ani nazwać. Przestrzeń między nimi wypełniła się nieskończonymi możliwościami.

Wtedy jednak ich uwagę odwróciło jakieś zamieszanie i hałas, a po chwili z pomieszczenia w głębi wypadła kobieta. Miała ciemne kręcone włosy i żywe oblicze o pełnych wargach i pogodnych oczach. Wniosła ze sobą do sklepu aurę żywiołowego, nieposkromionego ducha, przy której Eleanor poczuła się krucha i wątpiąca.

– Co robicie, skarbie? – Zmierzwiała chłopcu czuprynę i uśmiechnęła się do niego z nieskończoną miłością. Potem przeniosła wzrok na Eleanor. – Czy Bertie się panią zajął?

– Och, był niezwykle uczynny.

– Mam nadzieję, że pani zbytnio nie absorbował? Mój mały potrafiłby przekonać czajnik do przeniesienia jajka, gdybym mu na to pozwoliła.

Chłopiec wyszczerzył w uśmiechu zęby i Eleanor zrozumiała, że to ich stały, ulubiony żart. Ścisnęło ją boleśnie w piersi, wyciągnęła dłoń, żeby przytrzymać się lady. Znów zakręciło jej się w głowie.

– Nic pani nie jest? Zrobiła się pani blada jak prześcieradło.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Na pewno? Bertie, idź i nastaw czajnik, skarbie.

– Naprawdę dziękuję – zaprotestowała Eleanor. – Muszę już iść. Czeka mnie jeszcze mnóstwo zadań. Dziękuję ci za jajka, Bertie. Będę się nimi delectować. Nie wiem, kiedy ostatnio jadłam prawdziwe dobre jajka.

– Na twardo – dodał chłopiec. – Takie są najlepsze.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

Kiedy wychodziła, nad drzwiami zadźwięczał dzwonek, i przypomniał jej się dzień sprzed dziesięciu lat, kiedy otworzyła drzwi na pocztę i wpadła prosto na Bena.

– Następnym razem, gdy pani przyjdzie, zrobię pani herbaty! – zawołał za nią chłopiec.

Eleanor odpowiedziała mu uśmiechem.

– Bardzo chętnie – odparła. – Z największą przyjemnością napiję się u ciebie herbaty.

Londyn, 2004

Spotkały się w Muzeum Historii Naturalnej, jak zwykle w rocznicę śmierci Eleanor. Nie uściskały się, nie miały tego w zwyczaju, ale obchodząc wystawę, podtrzymywały się nawzajem. Żadna się nie odzywała, szły w milczeniu, pogrążone we własnych rozmyślaniach o Anthonym i Loanneth, i wszystkim, czego się dowiedziały za późno, aby mu pomóc, lecz nie za późno, aby dokonać zmian w swoim życiu.

Pozostali dołączyli do nich na herbatę w kawiarni Muzeum Wiktorii i Alberta. Nawet Bertie przyjechał z Kornwalii.

– Za nic bym nie przegapił takiej okazji – odpowiedział, kiedy Alice zadzwoniła do niego z zaproszeniem. – Poza tym i tak planowałem w tym tygodniu podróż do Londynu. Muszę być na pewnym wielkim otwarciu...

Czekał już przy stoliku, kiedy Deborah i Alice weszły do kawiarni. Pomachał im ręką, wstał z uśmiechem i uściśnął każdą po kolei. To dziwne, pomyślała Alice, kiedy jej siostra klepała go ze śmiechem po policzkach, że ich niechęć do wylewnych powitań nie przełożyła się na ich młodszego braciszka. Zupełnie jakby po tylu utraconych latach odczuwały fizyczną potrzebę przzerwarcia mostu nad tą czasową przepaścią. A może ponieważ zniknął jako małe dziecko, ich miłość domagała się tej dotykowej ekspresji w ten sam sposób, jak dorosły człowiek mimowolnie sięga, aby wziąć dziecko na ręce. Bez względu na to, jaka była przyczyna, obie przyjęły go niezwykle ciepło. Alice pomyślała, jaka szczęśliwa byłaby Eleanor, wiedząc, że się odnaleźli.

Następna zjawiała się Sadie, z plikiem dokumentów przyciśniętym do piersi. Szła szybko, ze spuszczoną głową, szukając czegoś w papierach.

– Przepraszam – powiedziała, podchodząc do stolika. – Metro miało opóźnienie. Ostatnio wszędzie się spóźniam, próbuję przygotować wszystko na otwarcie. Mam nadzieję, że nie czekaliście na mnie zbyt długo?

– Ależ skąd. – Deborah uśmiechnęła się serdecznie. – Dopiero przyszłyśmy.

– A oto jest i Peter – poinformował Bertie, wskazując głową wejście.

Sadie wręczyła Alice manuskrypt.

– Zazaczyłam wszystko, co mi się rzuciło w oczy, ale niewiele tego znalazłam. Załedwie kilka proceduralnych drobiazgów. Och, Alice – powiedziała, rzucając torebkę i siadając na wolnym miejscu – to świetna książka. Nie nadążałam z przewracaniem stron.

Alice wyglądała na zadowoloną, ale nie całkiem zaskoczoną.

– Cieszę się, że numer pięćdziesiąt jeden okazał się lepszy niż pięćdziesiąty.

Peter podszedł do stołu i pochylił się, żeby pocałować Sadie w policzek, a ona złapała go za koszulę i zrobiła to samo.

– Jak ci poszło? – spytała. – Dostałeś?

– Jest tutaj. – Poklepał swoją aktówkę.

– Jak ci się to udało? Mnie powiedzieli, że to potrwa co najmniej tydzień.

Peter uśmiechnął się tajemniczo.

– Mam swoje sposoby.

– Nie wątpię.

– Ma swoje sposoby i jest moim asystentem – wtrąciła się Alice. – Więc nawet nie próbuj mi go ukraść.

– Nie ośmieliłabym się.

– No to pokaż – powiedział Bertie. – Nie trzymaj nas w napięciu.

Peter wyjął z plecaka płaską paczuszkę i rozwinął z papieru. Metal zaśnił srebrzystym blaskiem, kiedy podniósł go do światła, aby wszyscy mogli zobaczyć.

Alice nałożyła okulary i przeczytała wygrawerowany napis. *Biuro detektywistyczne S. Sparrow. Proszę dzwonić. Złożyła ponownie okulary i schowała do futerału.*

– Rzeczowa – oceniła. – I to mi się podoba. Nie znoszę tych chwytnych nazw i haseł, „Psim swędem” albo „Agencja z kobiecą intuicją”.

– „Sokoli wzrok” – podsunął Peter.

– Szczerze mówiąc, to ostatnie całkiem mi się podoba.

– Niestety to nie ja wymyśliłem – powiedział Peter. – To pomysł Charlotte.

– Czy ona przyjdzie? – spytała Alice.

– Dzisiaj nie – odparła Sadie. – Ma dużo nauki. Ale obiecała, że postara się zdążyć na otwarcie w sobotę wieczorem.

– Czy zatem tym razem możemy odpuścić sobie herbatę i zamiast niej napić się szampana? – spytał Bertie z mieszaniną dumy, satysfakcji i głębokiego zadowolenia. – Wydaje mi się, że mamy dość dużo okazji do uczczenia.

Podziękowania

Jak zawsze winna jestem podziękowania wielu osobom. Nieoceniona Annette Barlow przeczytała, przemyślała i zrecenzowała nieprzyzwoitą liczbę egzemplarzy tej powieści, a Maria Rejt wykazała mnóstwo życzliwości, wyrozumiałości i mądrości. Obie jesteście bezcennymi klejnotami i wnosicie radość w świat wydawniczy.

Chcę wyrazić ogromną wdzięczność dla moich drogich przyjaciół z Allen & Unwin w Australii, do których należą Christa Munns, Karen Williams, Tami Rex i Andy Palmer, którzy swym entuzjazmem i profesjonalizmem po raz kolejny nauczyli mnie pokory; Ali Lavau oraz Simone Ford dziękuję za ich kunszt słowa i dbałość o szczegóły; Wenonie Byrne za jej oszałamiająco wszechstronne zdolności; a Robertowi Gormanowi za niesłabnącą wiarę we mnie i moje książki.

Moje podziękowania otrzymuje bezkonkurencyjna ekipa z Pan Macmillan w Anglii – Eloise Wood, Sophie Orme, Josie Humber, Geoff Duffield, Anna Bond, Stuart Dwyer, Jonathan Atkins, Katie James oraz Anthony Forbes Watson, którzy wnoszą tyle zapału, energii i profesjonalizmu; Rachel Wright i Kate Moore za sokoli wzrok, Liz Cowen zaś za jej imponującą wiedzę o wszystkim.

Wszystkim osobom w Atrii w Nowym Jorku za ich wielkie zaangażowanie i biegłość, na moją szczególną wdzięczność zasługują: Lisa Keim, Judith Curr oraz Carolyn Reidy, a także Kimberly Goldstein, Isolde Sauer, Lisa Sciambra i Hillary Tisman; jak również Kevin Hanson, David Millar i Rita Silva ze wspaniałej ekipy z Kanady.

Jestem również wdzięczna wielu wyjątkowym wydawcom i tłumaczom, dzięki którym moje książki są czytane w językach, których nie znam; a także każdemu z osobna księgarzowi, bibliotekarzowi, dziennikarzowi oraz czytelnikowi, którzy mieli do czynienia z moją powieścią – każdy utwór jest tylko ciągiem czarnych znaczków, dopóki nie zostanie przeczytany.

Niewyczerpanym źródłem pomocy byli dla mnie przyjaciele i rodzina. Dziękuję Julii Kretschmer, która towarzyszyła mi na początku i dodawała otuchy, kiedy fabuła miała jeszcze postać garści puzzli, które tylko sprawiały wrażenie, że mogą do siebie pasować; mojej agentce, Selwie Anthony, za jej najczystsza wielkoduszność, troskę i wnikliwość; Di McKean za to, że zawsze była pełną spokoju, rozsądku i pragmatyzmu sojuszniczką; Mary-Rose MacColl i Louise Limerick za ich twórcze pisarskie braterstwo; Herbertowi i Ricie Daviesom, którzy byli dla mnie wspaniałymi i kochanymi mentorami, oraz Karen Robson, Dalerie Patterson i Di Morton za bezcenny dar czasu.

Chciałabym uczynić specjalną wzmiankę o Didee, której niesłabnąca miłość i empatia są jak zawsze dowodem tego, co zdolna jest uczynić matka dla swoich dzieci.

I jak zawsze najbardziej chcę podziękować swojemu mężowi, Davinowi, który jest inteligentny, dowcipny i dobry, oraz moim trzem synom, Oliverowi, Louisowi i Henry'emu, dzięki którym stałam się bardziej wszechstronnym, dalekowzrocznym, odważnym i (mam nadzieję) lepszym człowiekiem.

Pełny spis źródeł, z których korzystałam, pisząc *Dom nad Jeziorem*, jest za długi, aby go tu zamieścić, lecz do najbardziej użytecznych i najczęściej przeze mnie wykorzystywanych należą: *The Perfect Summer: England 1911*, *Just Before the Storm* Juliet Nicolson; *The Victorian House* Judith Flanders; *Talking about Detective Fiction* P.D. James; *The Reason Why: An Anthology of the Murderous*

Mind pod redakcją Ruth Rendell; *For Love and Courage: The Letters of Lieutenant Colonel E.W. Hermon* pod redakcją Anne Nason; *A War of Nerves* Bena Shepharda oraz *Testament of Youth* Very Brittain, z której zaczerpnęłam ponury cytat prorektora uczelni: *Jeśli mężczyzna nie może służyć ojczyźnie, to lepiej by mu było umrzeć.*

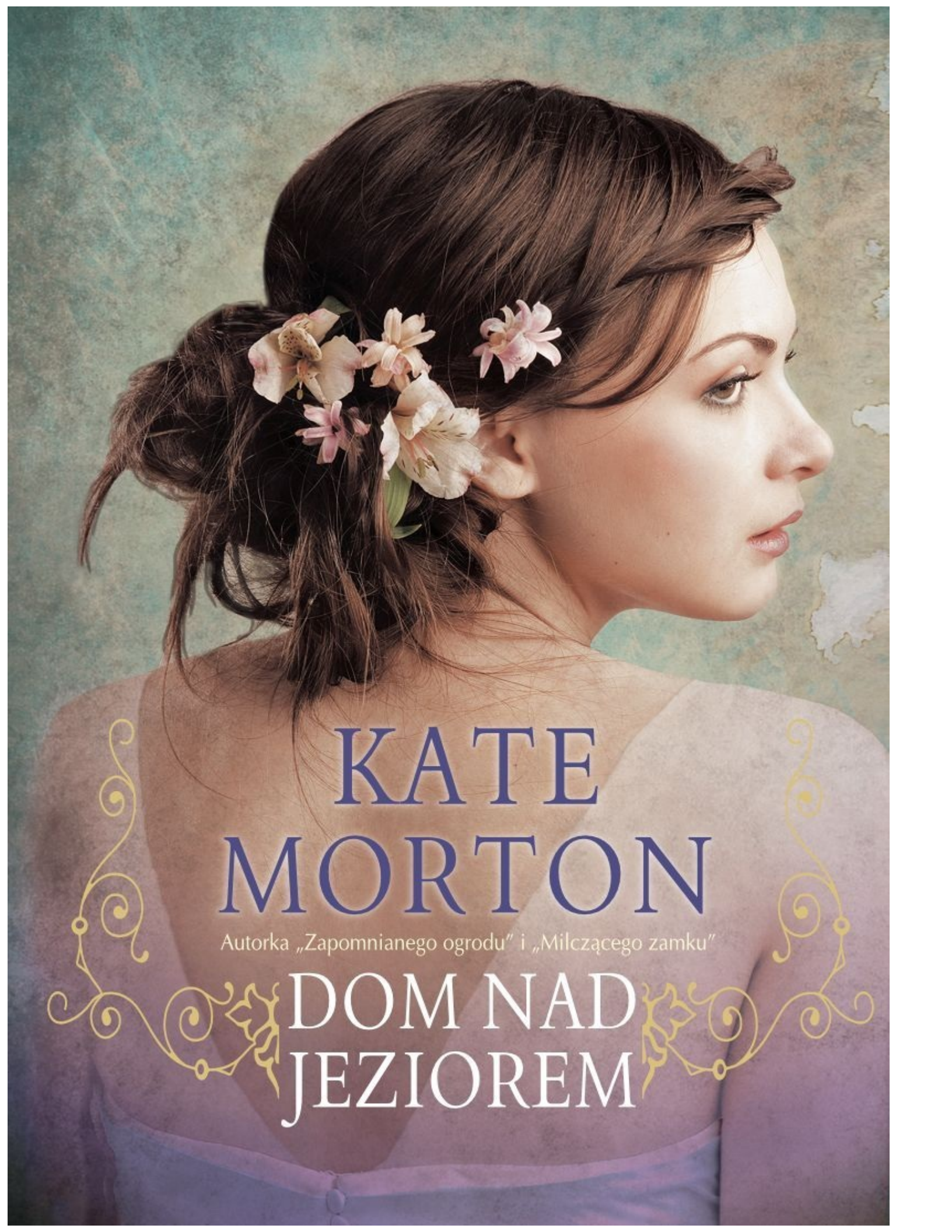
Strona internetowa www.beaumontchildren.com dostarczyła mi informacji na temat procedur śledczych, a www.firstworldwar.com zawiera bogaty materiał na temat nerwicy frontowej. Jest to również przypadkiem ta sama strona, na którą zagląda Sadie po spotkaniu z Margot Sinclair. Przeczytałam wiele internetowych relacji o doświadczeniach młodych kobiet z formalnościami adopcyjnymi. Większość z nich była anonimowa i jestem ogromnie wdzięczna ich autorkom za to, że miały odwagę opowiedzieć swoje historie.

Hrabstwo Kornwalii jest dla mnie nieustannie źródłem inspiracji i miałam wielkie szczęście spędzić tam w wyobraźni tak wiele czasu.

¹ Biblia Tysiąclecia, Ps 55.

² Przekł. Karolina Beylin.

³ Biblia Tysiąclecia, Iz 48, 22.



KATE
MORTON

Autorka „Zapomnianego ogrodu” i „Milczącego zamku”

DOM NAD
JEZIOREM